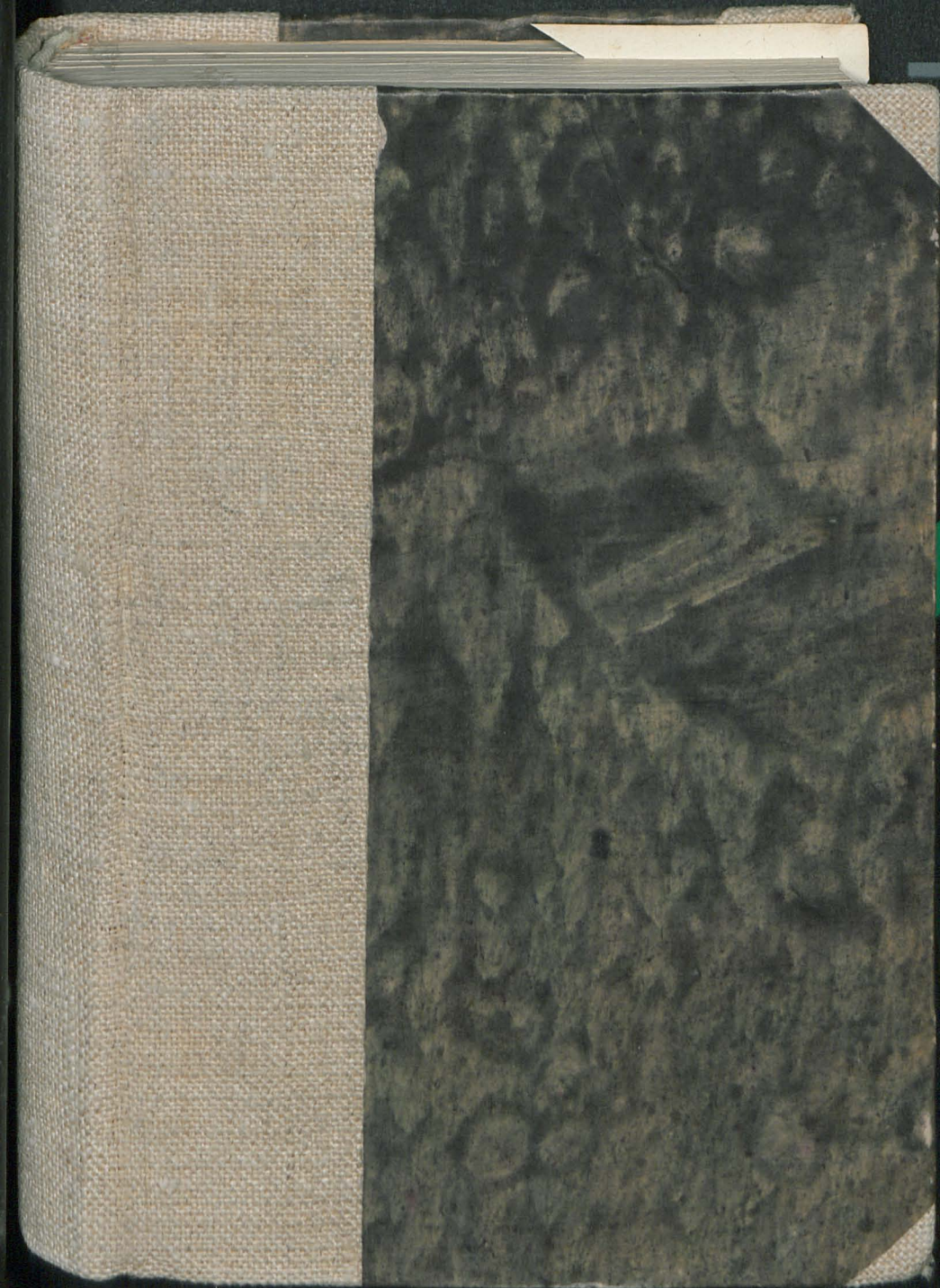




W. 10
Nr. 586

ZBIÓR POWIEŚCI
J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzone, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom pięćdziesiąty ósmy.

M. Arlovińska

METAMORFOZY.

OBRAZKI

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane i poprawione przez Autora.

In nova fert animus mutatas dicere
formas Corpora.

P. OVIDII Metamorphoseon. Lib. I.

TOM I.

LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.

1874.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.



M. M. 566

Nakładem Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

1856 — 1874! — Powieść ta zrodzona ze wspomnień akademickich, które autorowi nie jeden raz służyły za treść do jego obrazów. Z tego czasu młodości nawet bolesne wspomnienia są drogie — i tych tu najwięcej. — Od roku 1831 do 1856, od opuszczenia Wilna do zamieszkania w Żytomierzu, upłynęło ćwierć wieku, przypomnienia akademickie miały czas przebrać się poetycznie, nie straciwszy rysów swych charakterystycznych. — Czytając w lat ośmnaście po napisaniu to opowiadanie, wynajdując w niem typy, które za wzór służyły do obrazów, doznaliśmy dziwnego uczucia. Cały ten świat i wszyscy ci ludzie nie istnieją, niedobitki które jeszcze z życiem walczą — jakże się w istocie zmetamorfozowały do niepoznania! Na idee wieku przyszła też sama kolej co na ludzi. — Coby moi współczesni z owych lat powiedzieli na dzisiejsze dzienniki! Jakim szeregiem pojęć przyszliśmy od tamtych do dzisiejszych..?

Powieści tej osnutej dosyć dziwnie, a złożonej z epizodów tłumaczyć nie będę. W stosunku do jej istotnej wartości, mniej ona sympatycznego doznała przyjęcia, a tłumaczoną podobno nie była, bo tłumaczenie jej byłoby bardzo trudnem. Jest w niej wszakże treści poważnej daleko więcej niż w innych — i jeszcze życia a barwy trochę... Osądźcie — przeczytawszy, dla nas to książka serdeczna, bo tytuł walk ducha zapisała w sobie pamiątki.

J. I. Kraszewski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Vigilantium somnia.

Wróćmy raz jeszcze do źródeł życia, do jasnej młodości, do tych drogich wspomnień porannych, ku którym myśl się stęskniona obraca, by w nich sił nabrać do dalszej walki; — weźmij raz jeszcze kij pielgrzymi i powędrujemy do tych krajów znikłych, jak Atlantyda, lecz w pogodne dni wspomnienia ukazujących się na widnokręgu naszym. Pierś może w tym uścisku z przeszłością nabierze ochoty do życia, napije się tych soków, które z niej boleść wyssała, uśmiech może wróci na usta, nadzieja do serca, odwaga w piersi wystygłe.

Biada temu kto nie miał młodości, kto nie ma wspomnień, i zgubił drogę do tego źródła wody żywiącej, do odmlodzającego źródła za siedmią górą lat przeżytych.

Dla niego cudze przypomnienia nie obudzą drogich pamiątek, bo to wyklęty odrzutek nie mający skarbu, który my wszyscy niesiemy z sobą po kolących drożynach pielgrzymki naszej jak chleb Ezopa.

Biada temu kto się starym urodził, chłodnym oczy otworzył w kolebce i ani na chwilę w świat nie uwierzył; kto nie pokochał nic aby nie cierpieć, nie dał się uwieść niczemu i nie marzył innego świata nad ten, jaki mu ciążył na barkach.

Ja się obracam do moich towarzyszków życia, jak ja

ułamnych dzieci, co prześniły i przebolewały wiele, co pogubiły nadzieje po drodze; ale którym przeszłość promienieje zdaleka jasno, w których dziś jeszcze odzywa się czasem stara pieśń dziecinna o zaczarowanych krajach.

O! jakieśmy to śnili życie, a jak dziwnie inaczej się splotło? jakieśmy wierzyli święcie, jak czekali pocziwie, jak się modlili gorąco, jak spodziewali się ufnie, jak każdy gdyby w bajce królewicze działem brał jakąś część świata... a co nam dzisiaj z tego dziedzictwa urojonego zostało?

Przestrzegał nas nie jeden starzec siedzący nad drogą i mówił przechodzącym:

— Ostygniecie, prysną mary wasze, przebudzicie się ze snu, przyjdzie zapóźno rozum!

Ale któryby smutnym przepowiedniom wierzył? Nam tam dobrze było w tym jasnym obłoku młodości lecieć po nad ziemią i sypać kwiaty, i uśmiechać się pod stopami naszymi rozciągniętej ziemi.

Pamiętam, wielu nas było wówczas braci duszą, myślą braci, wiekiem, pragnieniem, nadzieją... siedmiu nas było zbliżonych trafem... tych siedmiu, jeżeli chcecie, opowiem wam dzieje, a siedmiu kroć siedmiu znajdzie się może co powie słuchając ich w zadumaniu:

— To naszego życia zwierciadło i to są przygody nasze! Bośmy wszyscy jednym prawie życia kolejom podlegli, i dobre ono jest, a kto się zeń wyłamał i nie był bratem ludzi, został odrzutkiem biednym i zmarł nie na wygnaniu.

Powiecie mi może:

— Stare to dzieje i znana historia.

Lecz nie stareż życie, nie stary świat, nie codzień się li powtarza to co od lat tysiąca zawsze w jednej porze, w jednaki się sposób odnawia?

Wieleż nam razy zaszło słońce, a wstajemy przypatrzeć się jego wschodowi?

Było ich kilku obcych sobie, a związanych przyjaźnią braterską, przywędrowali ze stron odległych

jednego dnia do starego naszego Wilna, i u murów zsiwiałych *almae matris* złożyli lekkie tłumoczki swoje. Wilno było jeszcze naówczas gospodą młodzieży, która tu z dalekich stron pokarmu na długą podróż życia szukać przychodziła, i ulice jego brzmiały weselem, a echa okolicy rozlegały się pieśniami, a młodzież czyniła młodym ów gród prastary, połamany w bojach, zczerniały w pożarach. U stóp zwałonego zameczyska na górze miastu panującej, kwitły fiołki jak ta młodzież świeża, choć z gruzów ciągnące życie. Przed wieki lane dzwony, grały pobożną pieśnią, która uszom młodym była wezwaniem na jutrznię... choć starym brzmiała pogrzebem wszystkich pokoleń, które pochowała; lecz gdy stu młodych witali jutrznię, któżby jednemu starcowi, słuchającemu pogrzebowego *Dies irae*, uwierzył.

Zbieraliśmy wspomnienia, i w martwych nawet znajdowało się życie, nie jeden zeschły kwiat odżył i napelniał się wonią przy piersi młodzieńczej.

Potęgą tej młodości użyźniała wszystko, miasto nią młodziło, starzy się usniechali, cmentarze nawet były wesole, wszyscy w niej brali życie i zarażali się tą chorobą nadziei — a kilku zeschłych nie śmieli się nawet odezwać, że nie w powietrzu nie czują. Zdawało się, że to tak silne, że to tak wielkie, iż wieki trwać musi, a nie trwało nawet chwili przelotnej. Reszta Bożego świata, co z tą młodzieżą nie wiązała się żadnem ogniwem, miała pozór wygnanców — a każdy komu było chłodno i smutno szedł się napić młodości między nami, cośmy ją pełnemi rozrzucali garściami.

Wszystcyśmy wówczas śnili na jawie, każdy co innego, lecz splecione w wieniec, te marzenia obudzonych, kwitły wszystkimi barwami tęczy, pachniały wszystką wonią ziemi i tworzyły obraz wielki, w którym nie do całości nie brakło. Jednem światłem gorzały wszystkie widma, które gorące wywoływały piersi... i jak my byliśmy bracią, tak dumy nasze trzymały się za ręce i wyglądały na równoletnie siostrzyczki... O! cóż to za śliczny, malowany świat błyszczał nam z daleka.

Pierwszy z nich był sierotą, ale dlań ubóstwo i odosobnienie siłą się stało nie ciężarem; opuszczony czuł, że wszystko potrzeba mu dobyć z siebie, wszystkich sobie zastąpić, i podwajał się dla przyszłości. Dziecięciem nauczył się pracy, wypił upokorzenie, spróbował niesprawiedliwości, uzbroił niemi na próby dalsze, i stwardniał na przeciwność. Los był mu opiekunem troskliwym, choć na pozór ze wszystkiego wydziedziczył, lecz znał kto z nas co mu ma wyjść na złe, a co na dobre? Sieroctwo było dlań bodźcem, niedostatek siłą, obojętność ludzka dała mu poczucie godności człowieka.

Któż z nas wie i policzy ile mu Bóg zsyła po cichu, tajemnie we śnie marzeniem, na jawie natchnieniem? ile rosy niebieskiej spada spłaczemu na czoło, które opatrność ubłogosławiła, ile w powietrzu żywota biorą piersi rozbite? — przypisujemy ludziom, światu, samym sobie, co się niewiedzieć z kąd bierze, co daje wiecznie czuwająca i otwarta dłoń, żywiąca razem muszkę, która jutro zginie, i bohatera co jak gwiazda przewodnicza wiekom ma przyswiecać!

Sierota wychowywał się pod opieką Bożą niewidomą, która powoli czyniła zeń człowieka... sam sobie się dziwił kładąc dosnu znużony i próżen myśli, — wstając napojony i silny. Nigdy też nie wątpił i nie rozpaczwał, a przeciwność wyrabiała w nim większe męstwo, silniejszy opór, pewniejszą nadzieję... Dziecko wsi i ulicy, nauczył się jak ptaszę wierzyć w ziarno rzuczone dlań nad drogą, w niespodziane ratunki losu, w natchnienia serc zesłanych, w spojrzenia płodne przyszłością, w siłę słowa... w Opatrzność. Wiedział, że gdy mu w wędrówce sił nie stanie, znajdzie gospodę nad gościńcem, że błędna drożyna zaprowadzi go gdzie mu być potrzeba, że nawet pozorne nieszczęście zmieni się w dobre narzędzie. A gdy płakał, to chyba nad słabością swoją co mu daleko poglądać nie dawała, i łzy zaraz ocierał ufności uśmiechem.

Dla czego wielki ucisk wyrobił w nim tajemną jakąś dumę? nie wiem, ale i w duszy świecie, siła wy-

wołuje siłę, jeśli w proch nie zetrze od razu, a wieleż charakterów wytrysło z poniżenia i zrodziły się odzruceniem?

Słabi tylko giną w objęciach przeciwności, silni się karmią u jej piersi.

Takim był ten młody chłopak w górę pogodnie podnoszący czoło, na którym byś próżno szukał wyraźnego napisu palca Bożego — oto człowiek! patrząc nań nic przeczuwać nie mogłeś; natura przeznaczając go na długie prześladowania, próby i walkę upartą, osłoniła w nim wielką duszę najpospolitszą powierzchownością, tak jak robaczkom toczącym ziemię daje kolor ziemi, a stworzeniom wód kolor wody. Twarz jego nic nie mówiła, ani obiecywała; spokojną była, startą, ciemną, i mijając ją nie doznawałeś wzruszenia, jakie czujesz na widok ludzi co noszą na obliczu całe przeznaczenie i historję swej przyszłości. Oczy jego nie miały blasku, patrzyły spokojnie, nie spieszyły się w świat poglądać, usta zdawały się nic nie mieć do powiedzenia, czoło nie promieniało się myślą, ani się pomarszczyło pracą i cierpieniem; twarz obumarała się zdawała i blada, i młodości nawet nie kwiecił ją rumieniec.

Ale wpatrzywszy się w nią, dojrzałeś łatwo, że nie była ulepioną z ciała wiotkiego, co rychło wiednieje i osuwa się, ale z marmuru twardego wykutą. Dla tego żadne przelotne wrażenie wypiętnować się na niej nie mogło, żadne cierpienie nic z niej nie zdjęło, nic jej nie dodało.

Uczucie przechodziło po niej jak woda deszczów po starym omszonym kamieniu, który zczernieje na chwilę i osycha zaraz pierwszym słońca błyskiem. Twarz to była zagadkowa i tajemnicza jak grób, wyuczona milczeć, drażniąca swym spokojem upartym, wiecznie na siedem zamknięta pieczęci. Czasem poryw młodości wywołał z niej iskierkę, błysk przelotny, płomyk życia, oświecił ją, ogrzał, otworzył, ale wnet nawyknięcie posagowe wracało, i cisza znowu ją swoim odziewała całunem.

Znaliśmy go pod imieniem Milczka, a że nazwiska

wedle chrztu, rodziców i świata, ustępowały tym naszym, któreśmy sobie nadawali jak w dawnych wiekach — i Serapion został między nami z przydomkiem tym, który z nim pójść miał na całą drogę życia. Któż z nas zresztą przywiązywał się do nazwiska, i co ono wówczas znaczyło dla tych, którym się chwilami śniło, że będą głowami pokoleń nowych, nowej epoki, ludzkości nowej?

Milczek był sierotą jakich mało na świecie pełnym sierot, nie miał nikogo, nie znał nikogo, ani domyślał się czy spadł z niebios na ziemię, czy wyklął się z czarnej gdzieś na zagonie skiby po wiosennym deszczu o wschodzie słońca. Nie żyli już ci coby mu byli coś o rodzicach powiedzieć mogli, dawno wypielgrzymował z tego kąta, w którym wypadł na świat — jak za mgłą widział pierwsze życia lata. Gdzieś na Litwie głębokiej, w ubogiej chatce, mieszkali ci rodzice nieznani, którzy go tak nielitościwie odumarli w dzieciństwie, zostawując mu łachman nędzy tylko, a Boga za ojca, matkę i rodzinę.

Jeszcze nie powstał na nogi, a już wiedział, że go nikt nie obroni od napaści, że się nim nikt nie zaopekuję, że musi się wybić z tłumu albo sercem i modlitwą, lub pięścią i pięścią hardą. Nieraz psy odbierały mu chleb suchy i z nimi najpierwszej walki się uczył, a im więcej ran odbierał, tem więcej zyskiwał siły.

Rósł tak wśród ludzi i natury sam jeden nikomu nie dając serca, nie dzieląc się z myślami, ale nie umiając nienawidzić i zazdrościć nikomu. Słabość tylko i niedołęztwo budzi te uczucia — silny wie że zdobędzie wszystko i czeka. Dzieckiem nie uśmiechał mu się dostatek ani marzył o próżnowaniu, pragnął pracy — czuł, że nią ma zdobyć wszystko.

Długo tak od wsi do wsi błąkał się sierota, ten i ów wabił go ku sobie, ludzie przypatrywali się mu jak towarowi na sprzedaż... będzie miał li barki silne, dłonie twarde, a duszę wytrwałą? Chcieli go zaprządz jak wołu, ale on już czuł opatrznem przecuciem, że nie

może zostać bydłem najemnem, że go gdzieś wyżej wola przeznaczenie.

Tak we śnie widział Kolumbus Amerykę, choć jej nie znał i Indją nazywał, tak dziecięciem Aleksander śnił zdobycze krain, których nie wiedział imienia — alboważ maluczcy ludzie w swej sferze nie są Kolumbami i Aleksandrami?? Ileż to razy, gdyby wzrok nasz nie łudził się mniemaną wielkością, dostrzegłby cudów w kropli wody i bohatera w odartej włóczędze?

Uśmiechała mu się wieś wszystkimi czarami swojego życia, wiosną jasną, błoniem szerokim, swobodą dla piersi, pieśnią pastuszą, dzwonem kościoła, tonami przed gospodą w niedzielę, a może rumianami ustami dziewczątek, które mu w oczy patrzyły, jakby zapytać chciały: — Co ty tam masz w duszy?

On w duszy miał przyszłość! jaką? — sam nie wiedział jeszcze, ale dalszą, ale inną, nie krewił się tu z nikim, przeczuwał że pójdzie dalej. — Na progu chaty przyjmował chleb i płacił go pracą ochoczą, a milczącą, słuchał ich narzekań i uśmiechał się, a co słyszał i widział, odziewało go skorupą twardą, żeby przetrwać i przeboleć co wiatry przyniosą.

W jednej wsi zachcieli go wziąć do dworu, poszedł tam zaglądać ciekawie a obojętnie; usiadł z nimi i poczuł znowu że tu jeszcze nie jego miejsce... ale postawił kij, bo tu jakieś ziarno do posiewu spaść miało do jego torebki.

Wieś nauczyła go nędzę znosić, dwór wyuczył upokorzenie siłą wewnętrzną odpychać. Bosy i odarty karmił psy pańskie, mył misy, z których nie jadł, patrzył na dostatek, którego nie zazdrościł i uśmiechnął się pierwszej książce, która mu tu w ręce wpadła.

Zrozumiał, że w tajemniczych tych znakach była dlań przyszłość, że głoski te, które czytali wybrani, musiały zamykać zagadkę świata, życia i siły. Długo patrzył na niedostępne hieroglify, zazdrościł trochę tym co je mogli okiem przebiegającym zrozumieć... nareszcie najął się za starego pracować, aby mu ten stary po-

kazał klucz od zaczarowanej świątyni.

I gdy inni rówieśnicy biegli szaleć, kładli się odpoczywać, on u świecy ogarka ślepił zdobywając sobie nowe i nieznane światy, ku którym wiodło go przecucie potężne. Martwym nauczycielem był dlań ów starzec, żywym własne siły, co tamten jak puste rzucił ziarno, w nim wzrastało kłosaми; ale je polewał pracą ciężką.

Słowo wchodziło do ucha dzikim gościem z oczyma osłoniętymi, ale gospodarz rozbrajał je, rozdziewał, modlił, aż maskę z twarzy zrzuciło.

Wówczas z tego słówka jednego rozwijały się wstęgą niezmierzoną, myśli, pojęcia, obrazy — wszystko z czego się ono rodziło, co przy niem rośło, z czem kiedy sąsiadowało, o co się kolwiek otarło. Słowo to prowadziło z sobą całą rodzinę, krewnych, sługi, przyjaciół, sąsiadów, domowników, cienie pradziadów i małuczkie swe dzieciaki. Chłopiec wdumywał się w nie, wpajał i póty borykał się z niem jak Jakób z Aniołem, póki zwyciężone nie pobłogosławiło mu i nie zaprorokowało.

A stary co mu drżącą ręką martwe pokazywał głoski, gdy je nazad odbite z ust dziecka posłyszał, zdumiewał się, słupiał i powtarzał niespokojny: — Zkądże ty to bierzesz dziecińo? tego tu nie ma!

Dziecię nie wiedziało samo z kąd brało, czerpało w tej bezdni Bożej, w której zawsze pełno, byleś na brzeg jej przypełzał, z której czerpią miliony, a śladu w niej nie masz ubytku... Sen mu przynosił myśli nawiewał je wiatr, wyśpiewywały ptacy, odpowiadały robaczki.

Każdy grosik zdobyty w tej torebce dziecinniej mnożył się, potrajał i rozrastał. Wkrótce jedyna owa książeczka nie miała dlań tajemnic, zapragnął ich więcej, a pierwszą co mu się nastręczyła po elementarzu, była — Ewangeliczka.

Dawniej ktoś z nią chodził po siolach w niedzielę i sypano mu groszaki, dawano po bochenku za te skarby słowa, — umarł ów Apostoł prostaczek, pochowano go

na wiejskim cmentarzu po cichu, a książka została sierotą.

Nikt jej po nim nie odziedziczył, nikt nie śmiał sobie przywłaszczyć, należała do wszystkich i do nikogo. Zjawiała się czasem na kuchni, czasem w przedpokoju, wędrowała z jednym do kościoła, drugi ją na folwark odnosił. Wszędzie, gdzie pobyla, słowo z niej jakieś zostało, myśl, iskierka ducha... I ten co najchłodniej wziął ją w rękę nie mając co czynić, zamykał ją wstając zadumany, przejęty.

Często ona prorokowała, często odzywała się odpowiedzią, jakby wiedziała o co ją pytasz, myśl i wątpliwość odgadując potajemną.

Żywy człowiek takby nie odsłonił twej myśli jak ona, ani tak święcie poradzić potrafił. Ileś ją razy otworzył w zwątpieniu, tylekroć odpowiadała ci jakie jest lekarstwo na rany twoje. Cudowna owa książeczka nigdy się nie okrywała pyłem, bo ją ktoś codzień otarł i tam z sobą zaniósł, gdzie najpotrzebniejsza była. Znalazł ją chory u nóg łoża, strapiiony na kolanach, wahający się na drodze, którą iść był powinien.

I Serapion drugą ją zaraz spotkał na ścieżce młodości, a choć tam pokarm niebieski podzielony był oszczędnie po okrucu na każdą niedzielę, pożarł od razu wszystko, i nie odetchnął aż o twardą drewnianą oparłszy się okładkę.

Dopieroż podniósłszy czoło, spojrział w świat... jakby go zdobył... Wiedział już wszystko i metę i drogę i czem się podeprzeć i czego obawiać i jak sobie nie wierzyć a pilnować siebie.

Ale złym trochę stał się sługa, tak się przywiązał do swej Ewangeliczki, łapano go przy niej gdy gdzieindziej mu być należało, odbierano mu ją nieraz gdy się zapomniął, ale ona do niego, on zawsze do niej powracał. Nareszcie ktoś mu ją darował, nie zareczam żeby jej sobie sam nie przywłaszczył. Oboje wszakże byli sierotami bezpańskimi, a Ewangeliczka nie miała właściciela, jak Serapion ojca ni matki... przybrał ją sobie za siostrę przyjaciółkę, a gdy raz uczuł że ją ma na piersi,

już jej więcej nie porzucił. Jak się to stało, że nikt potem zgubionej książeczki nie szukał, że nikt nawet nie zapytał o nią? nie wiem.

Chłopczyna kładł się z nią spać, i gdy brudny swój związał sieniczek na plecach go w ciemny kątek wynosząc, nie powierzał pościółce skarbu, zabierał go i nosił ciągle przy sobie. Stara Ewangeliczka choć dosyć była gruba i spora, tak jakoś umiała przytulić się i ukryć przy piersi, osłonić sukienką, że jej nikt nawet pod nią nie dostrzegł.

Panicze wyjeżdżali do szkół — bo wszędzie dla takich sierot znaleźć się muszą panicze... i nie sieroty im służą, ale oni są dla sierot stworzeni. Panicze wyrosną na wielkie kołki w płocie, które klasy społeczne rozdzielają, a sieroty... panują potem i im i społeczności...

I tu w sam czas Pan Bóg dał właśnie takich paniczów co do szkół jechać musieli wtenczas, gdy Serapion już umiał czytać i potrzebował się uczyć; a paniczom ktoś przecie boby czyścić musiał i posługiwać, aby mieli więcej czasu nie nie robić. Jakim sposobem Serapion znalazł się na drodze jegomości, gdy jegomość rozmyślał kogo by posłać z paniczami, nie wiem, jakim sposobem zebrało się na oporządzenie sieroty — nie jestem pewny — ale nie szło tu tyle o odzienie dla odartego chłopca, jak raczej o to, by sługa paniczów o ich dostatkach poświadczał i goli nie chodził.

Przyjechali do miasteczka, a jeszcze nie było mowy ani myśli nawet, żeby Serapion miał chodzić do szkół, a któżby boby czyścił? ktoby izbę zabrukana umiał? ale jak po obiedzie panów, słudzy i pieski i myszki żywią się okruszynami pozostałymi na podłodze, tak on gdy izbę umiotti, gdy boby poszuwaksował, gdy wszystkie należne odebrał szturchańce, — karmił się książkami, które tam jak trupy na pobojuwisku leżały... Z razu przystępował do nich z obawą i strachem, jak dziecię do nabitej strzelby, ale powoli przemijała bo-

jaż, przemogła ciekawość, i zaczytywał się, choć nie jeszcze zrozumieć nie mógł.

W Ewangelicze jeszcze wszystko było proste, jasne a wielkie... świeciła ona jak słoneczko krągłe nad światem, — książki inne wydawały mu się jak małe lampki, w których pełno szrubek i knocików, szkiełek i pretów, a blasku nie wiele. I postrzegł Serapionek, że nie nie umiał oprócz Boga chwalić... ludzie zaś wiele innych rzeczy od niego potrzebowali. Zawszad go coś nęciło do książki, spotykał się z nią co chwila jak z nieuchronnem przeznaczeniem, i nie rzekł jej nigdy: czemuż mnie prześladujesz? — Od jednej przechodził do drugiej, do trzeciej, póki nie schwycił końca nitki co go wewnątrz tych klatek ciemnych poprowadzić miała.

Zresztą czego panicze klepiąc się uczyć nie chcieli, to on boby im czyszcząc mimowolnie chwytal w powietrzu, a nieraz podszeptal w złym razie zakłopotanemu paniczowi, gdy do wypróbowania przyszło. Nikt tam na to nie zważał, bo chłopiec miny nie miał sprytnej, spokojny był do zbytku, dowcipu nie okazywał żadnego i ochoty do popisu nie miał wcale; — a był tam stary, stary bakalarz prosty, co paniczów pilnował, — nie wiele on umiał, ale serca miał dużo i często pocziwiał ze na oku.

Istota to była od urodzenia skazana na długie męczarnie, okryta już siwizną, nie skarżącą się nigdy, wzdychająca czasem, osierocona, samotna, chleb pożywająca w pocie czoła i utęsknieniu, — w której mieszkala litość, choć sam on nie doznał jej od nikogo. Pracą własną powolną wyszedł on z nieuka na preceptora, z popychanego posługacza na poważne krzesło mentorskie, na którym usiadł dla chleba — ale ono było rozpalonym rozsttem, na którym piec się musiał. Ani żony, ani dzieci, ani brata, ani przyjaciela, — miał dwa wazoniki na oknie, stary kijek sekaty i papierową tabakierkę, którą mu ksiądz prefekt darował, rozczulony tem, że go z papierka zażywającego widywał. On paniczów przeprowadzał do szkoły, wyprowadzał na przechadzkę, udawał że im rozkazuje, a w istocie od-

wracał głowę, aby nie widzieć nieposłuszeństwa i bał się ich jak szarańczy. Tęskno mu tam było tak samemu słuchać z drugiej izby przekasów i pośmiewiska, których udawał że nie rozumie. Dwa owe wazoniki, tabakierka i kij sękaty nie wystarczały jego sercu, szukał do kogo by się przywiązał, ale ilekroć czulej przemówił a łza mu w szarem oku błysła, uciekali od niego ludzie nie chcąc się dzielić niedolą, której nie byli ciekawi, nad którą litować się nie mieli czasu. Tułał się biedny stary, aż myszy głodne karmiąc i ze ścianami rozmawiając czasami, tak mu życie ciągnęło się tęskno i smutnie.

Serapion i jemu z urzędu bóty czyścił, i jemu podłogę zamiatał, a nieraz zobaczył go stary jak ze szczotką stał nad otwartą książką i podsłuchiwał że paniczom podpowiadał.

— Toby mógł być człowiek z niego! rzekł w duchu... i przyszło mu na myśl, że onby lepiej sercu dogodził niż myszka, wazoniki i tabakierka. I dnia jednego poczał mówić do niego, a dwie dusze biedne porozumiały się łatwo.

— Słuchaj no, rzekł — tybys, nieprawdaż, chciał się uczyć zapewne? he?

— O! i jak!

— A czytać już pewnie umiesz?

— Umiem trochę...

— I słyszę że czasem lekcje lepiej od paniczów pamiętasz?

— Samo bo w głowę idzie...

— Myślisz zapewne że ci da co nauka?

— Zrobi ze mnie człowieka...

— Nie głupio odpowiedziano, człowieka! mruknął bakałarz, choć nie wiem co to ty rozumiesz przez człowieka... zapewne lepsze odzienie, lepsze jedzenie i przejście z przedpokoju do izby — he?

— A! panie profesorze... jabym chciał! — nie! nie o to mi chodzi, ale ludziom się na coś przydać i sobie, być czemś, oświecić się...

— Dalibóg nie głupio! mruknął wstając z krzesła

nagle pedagog... ale nauka mospańieńku nie zawsze daje bóty i szczęście. Ot jak mnie widzisz mało nie od tego co ty zacząłem, a doszedłem do tego, że ze mnie drwią smarkacze dla tego, że mam nos gruby, zatabaczony i minę niepoczesną.

— Ale w duszy, profesorze, zarobiłeś na pokój!

— Hm, zkad on to wziął?... prawda, dziecko, pokój tych co są z Bogiem... prawda. I choć mnie się nie ze wszystkim udało, czemużbys ty także nie miał spróbować?

Tak skutkiem protekcji pocziwego pedagoga, który z zapalem wziął się do ubogiego chłopaka, gdy ojciec paniczów przyjechał synów odwiedzić, wyjednano mu u niego pozwolenie chodzenia do szkoły, nie uwalniając wszakże od czyszczenia bótów i zamiatania podłogi.

Śmiano się z biedaka, który tak bardzo uczyć się pragnął, on sam pomagał do śmiechu, ale się uczył gorliwie i czego nie zrobił we dnie, dopracował w nocy snu sobie ujmując. Stary bakałarz żywo zająwszy się biedakiem, nieraz mu gasił kagańczyk obawiając się o życie jego i zdrowie, jak o własnego dziecięcia przyszłość.

— Co też to z niego będzie? mawiał zażywając tabaki, czy wielki człowiek? czy taka jak ja nieszczęśliwa ofiara, której gruby nos śmieszny zamknie wrota do wszystkiego?

Serapion tymczasem, nie zrażony nawet śmiechem, poczał uczeszczać do szkoły, siadł w ostatniej ławie pokorny, jakby prosił o przebaczenie, że się tam śmiał znajdować, i patrzył w oczy profesorom jak piesek zgłodniały, gdy prosi o chleba kawałek. Dla czego wszyscy powzięli ku niemu jakieś przywiązanie i litość? nie wiem, ale najsrożsi zapatrywali się nań z zajęciem, słuchali go z podziwieniem, niepokoił się o niego więcej daleko niżeli o paniczów.

Ojciec paniczów, gdy Serapion po roku wziął nagrodę, której żaden z synów jego nie dostał, rzekł pociągając kołnierzyki wyżej uszów czerwonych:

— Nie wiem po co się to uczy! Trochę to liźnie

czegoś i potem na złe użyje... na co hołyszom nauka! pytam się na co im nauka? Chcieliście żebym mu pozwolił do szkół chodzić... no! pozwoliłem... ale patrzajcie że mu to na złe wyjdzie...

Tymczasem, wbrew tym prorocstwom, Serapion stał się przykładem dla szkoły i podziwieniem wszystkich gorliwością swą, pracą, skromnością i pokorą... Nie było dlań trudności, którychby nie przezwyciężył, jak nie było istoty, którejby nie ustąpił z drogi... Szedł tak coraz dalej milcząc, po cichu, wytrwale, a bakalarz zązywając tabaki powtarzał:

— Otoż zobaczymy co to będzie! otoż zobaczymy!

Czasem zacierał ręce i mokre oczy rękawem osuszał, to znów w chwilach zwątpienia wróżył same zawody i nieszczęścia.

Ojciec paniczów zawsze utrzymując, że ubogiemu nauka więcej jest szkodliwą niż potrzebną, chciał Serapiona powstrzymać i corok to mówił: Ale dosyć! na cóż mu już więcej? będzie z niego.

Ale ani go miał już prawa ani możliwości powrócić do bótów i szczotki, do przedpokoju i usługi. Wszyscy byli za biednym chłopcem i spiknęli się, aby go uwolniono całkowicie od zależności wszelkiej dla dalszej nauki.

Czyniąc to i ulęgłszy powszechnym namowom, miał tę pociechę przynajmniej ojciec paniczów, że poważnie wyrzekł do chłopca na rozstaniu:

— Pamiętaj-że... iż nam winienes pierwsze początki, i nie stań się niewdzięcznym jak wielu tobie podobnych.

Serapion rzucił mu się do nóg dziękując za to, że czyścił bóty i zamiatał podłogę, porzucił zresztą paniczów, bo sam na swój biedny kawałek chleba ucząc drugich mógł zapracować, i poszedł już dalej o swej sile.

To szczęście nie zawróciło mu głowy, nie podniosło go w pychę, zagrzało tylko i popchnęło... począł pracować nad dziećmi, a nocą zawsze nad sobą, bo uczył się nie dla tego, aby mu dano pierwszeństwo, ale dla tego, aby umiał... a grosz zdobyty w pocie czoła ciulał i skarbił na przyszłość.

W tym samym łatanym surducinie i bótach dziu-

rawych, w których począł swe życie, kończył powoli szkoły, nie dając się zwrócić z drogi, ani upaść dumą. Była w nim wewnątrz może jako uznanie siebie, ale nie wychodziło zeń nigdy. Gdy się rozstali, czasem stary pedagog przychodził do niego jak do dziecka, bo za nim tęsknił — siadał na ubogiem łóżeczku i wypytywał troskliwie:

— Co myślisz czynić? dokąd zmierzasz?

Naówczas we dwóch roili o przyszłości, jaką to ona być mogła, a stary odchodząc powtarzał sobie po cichu:

— Ale to ciekawa rzecz, co też to z niego będzie?

Szcześciem Serapion wybiwszy się z nędzy i zależności, nie poprzestał swej Ewangeliczki, i ilekroć znużyła go praca mozolna, powracał do niej jak do orzeźwiającego źródła, z którego pierwszą zaczerpnął ochłodę.

Dziwilo go to, że starszy, dziś w wyrazach, które mu wprzód starczyły swoją prostotą, coraz głębsze znaczenie i obfitszy pokarm znajdował. Nie wyczerpywała się nigdy Ewangeliczka, ani spowszedniała dlań, z po za tych wyrazów tak pojętnych, nowe i jaśniejsze coraz promieniało znaczenie.

Gdy skończył szkoły, niespokojny pedagog przybiegł doń późnym wieczorem spojrzeć mu w oczy i wyczytać w nich radość i dumę, znalazł tylko spokój i zamyślenie. Student związywał swe książki, robił węzelki, gotował swój kij pielgrzymi, i znowu na piersiach złożony Ewangeliczkę, w dalszą wybierał się drogę.

— Dokądże pójdziesz? zapytał stary...

— Do Wilna...

— Więc jeszcze się chcesz uczyć?

— Jeszcze...

— A potem? a potem?

— Któż to wie? Bóg jeden tylko... co mi los zdarzy to przyjmę...

— Daj Boże jak najlepiej... Któż wie? uda ci się może, bo ty wytrwasz do końca... a nie zapomnisz tam o mnie? I ścisnąć go począł ze łzami.

— Gdybyś potrzebował pomocy... dodał po cichu i nieśmiało.

— A! ojciec mój! — zawołał Serapion — czyżes ty mi jeszcze nie dosyć pomagał? zostaw mnie losowi mojemu, ja ufam weń i mam nadzieję. — Bóg mnie poprowadzi!

Tak poszedł Serapion na wpół pieszo, pół na wózkach chłopskich odprawiając długą do Wilna drogę, a idąc nie marzył nawet. Twarda wola nie dozwalała mu śnić zbyt, aby w rozczarowaniu sił nie stracił i trzymał się na wodzach.

Dnia jednego ujrzał przed sobą w dolinie miasto, którego wieże błyszczące wznosiły się w górę, modlitwą kamienną za ludzi, którzy u stóp ich pełzali, — serce mu bić zaczęło, stanął, odgadywać chciał co go tu czeka i wstrzymał się na brzegu dumania.

W pierwszych wrotach spotkała go twarz Matki Bożkiej, kląkł modlić się, i przyszły mu na pamięć wyrazy Ewangeliczki:

— Czemuście bojaźliwi? mało wierni? (Math. VIII.)

— Nie troszczcie się tedy o jutrze, albowiem dzień jutrzejszy sam o się troskać się będzie, dosyć ci ma dzień na swej nędzy. (Math. VI.)

A gdy wstał uczuł na szyi uścisk dwojga rąk młodych i wykrzyk piersi serdecznej, a podniósłszy wilgotne oczy poznał towarzysza ławy szkolnej Albina, który stał przed nim rozpromieniony zapalem, uśmiechnięty, szczęśliwy.

— A! to ty Serapionie?

— To ty Albinie...

— Jakżeś tu przyszedł?

— Bóg mnie przyprowadził.

— I cóż myślisz dalej?

— Sam nie wiem.

— Chodź-że ze mną, jeśli nie masz iść dokąd. Myślałem o tobie... nie zginiesz i tu... jest nas kilku twoich kolegów... pójdziemy razem podpierając się wzajemnie.

Uśmiechnął się Serapion na te słowa, bo dusza jego nie знаła strachu, i poszedł za przewodnikiem... A po

drodze z ust Albina lał się potok wyrazów, których on słuchał z obawą, aby się nie upić niemi; tyle w nich było szatu, tyle młodości i szczęścia. Jemu ani oszaleć, ani upojeniu uleść nie było wolno, musiał zimny, zamknięty w sobie przechodzić miasto gwarne, nie zdziwić się niczemu, nie dać oczarować i odurzyć: na każdą chwilę potrzebna mu była przytomność i siła nad sobą.

Cóż dopiero gdy wpadł w to grono zachwyconych, rozmarzonych, pierwszy raz wolnych chłopaków, którzy go chcieli ciągnąć za sobą na wszystkie próby, w których swą młodość kapali. — Jemu nie skosztować nie było wolno, ani tych uciech, ani swawoli i pustoty, ani zawczasie się napić z kielicha życia, bo mógłby upaść gdyby mu zawróciła się głowa i nogi zadrżały.

Podał im ręce ze łzą w oku, i znowu jął się cichej, surowej pracy — dla niego nie było młodości może dla tego, że całe życie młodem mu być miało. I tak szedł dalej, biedne dziecko sierota ku nieznannej przyszłości, którą musiał zdobywać powoli, mówiąc w swym sercu jedno i wciąż powtarzając słowa... — Człowiekiem być muszę!

Albin, którego przewano Fiolkiem, co pierwszy uściskiem powitał Serapiona, a na jednej wprzód siedział z nim ławie szkolnej, całe był inną istotą. Jeden jest człowiek, ale jak dziwnie różny, jak odmienny od siebie, i z jak rozmaitych nieskończenie żywiołów zbudowana ta mozaikowa społeczność, w której każdy z nas jest innej barwy i odcienia kamykiem!

Ten drugi urodził się w dzień wiosenny, na miękkich szczęściu poduszkach, kolysała go śpiwając matka wesola, dzieciństwo prześnił w kolebce z wonnego drzewa, na kwiatkach, a gdy świat poznawać począł, wszystko mu się uśmiechało...

Albin był delikatny i niewieściej piękności twarzy, wielkie niebieskie oko drżało w powiece wypukłej patrząc w świat z za mglistej osłony łez, które nigdy

nie wysychały, znać było na nim, że miłość nie boleść go wychowywała. Smukły a wiotki, w chodzie, w ruchu, miał coś niepewnego, bojaźliwego, ślaniał się jak brzoza od wiatru, słowo go przerażało, uśmiech nań działał i okrywał rumieńcem jak krew gorącym, wiatr przestraszał, człowiek onieśmiał, wszelka walka pobudzała do ucieczki. Cichy, spokojny, łagodny, prosił świata wejrzeniem oczów, ust uśmiechem, aby go nie wystawiał na próby ognia i boju — przeblagiwał Boga i ludzi bojaźnią i słabością swoją. Wrażliwy jak wody powierzchnia, odbijał wszystko co go otaczało, promyk słońca, chmurę przelatującą po niebie, błyskawicę, — powiew go marszczył każdy, cisza rozjaśniała, listek co nań spadł poruszał. Słaby, nie czuł sił w sobie, by o własnej iść mocy po świecie, potrzebował przewodnika i mentora, czepiał się jak bluszczyt ramienia, w którym widzi osłonę i opiekę. Szyderstwo najłżejsze zbijało go z drogi, słowo dwuznaczne osłabiało w nim najsilniejsze postanowienia.

Nauczył się marzyć w kolebce i snuł dalej marzenia swoje, przedzę do nich biorąc z otaczającego świata; a w tych snach na jawie układał sobie wszelakie szczęście dziś tak, jutro inaczej, ale zawsze z jednych żywiołów miłości, pokoju, dostatku. Na niebie jego nigdy chmur nie było.

Nas wszystkich przestraszał biedny Albin tem nieprzygotowaniem do życia, które rozpoczynał, tą wiarą we wszystko krucho, tem zaufaniem w wydzieloną sobie zawczasu na dziedzictwo kroplę niezmaconego szczęścia. Chcieliśmy go uzbrajać... ale na barki jego dziewice za ciężki był rynsztunek, za wielka zbroja, a sama potrzeba włożenia jej przejmowała go strachem, dając mu widzieć niebezpieczeństwo.

W duszy jego nieskalanej wszystko było jak w pieśni, jasne, rumiane i wiecznotrwałe. Idąc zawsze się uśmiechał, mówiąc przymilał, rozczulając płakał, a ideał porywał go i unosił co chwila nad ziemię.

Myśmy wszyscy więcej nad tego syna obłoków byli dziećmi ziemi, każdy z nas zaznał już koleców, dotknął

się cierni, sparzył u ognia i wiedział co go czeka, pilnując by wyminąć zasadzki; — on jeden nie domyślał się czarnych życia tajemnic, a gdyśmy nieostrożni odślaniali je przed nim, potrzasał głową z niedowierzaniem, — nie śmiał przez grzeczność zaprzeczać, ale znać było z uśmiechu, że słowa nasze miał za jakieś bajki groźne.

Dla niego nauka była nowicjatem koniecznym ale nudnym, wydelikacenie zawczasu odjęło mu chęć do pracy, nie chciał się uczyć, bo marzył, bo mu pilno było zasiąść do uczty, którą już zastawioną widział dla siebie. Wszystkich kochał bez wyjątku, ale surowszych unikał i obawiał się, wybierał sobie tych, co słuchali ochoczo jego marzeń i nie psuli mu przyszłości widmami groźnemi.

Przed niemi puszczał cugle, roił i malował świat jakiego potrzebował, a gdy mu się nie sprzeciwiali, całował ich i do bijącej piersi przyciskał, obiecując z niemi podzielić wszystko co go czekało.

Poznaliście w nim jedynaka, którego nieopatrzna miłość wypielegnowała, jak roślinkę czasem przed zimą lub pierwszemi mrozy, wyżywi jeden dzień ciepły choć po nim nie ma wiosny...

Dzieciństwo przysposobiło go do takiej młodości wątłej i dziewiczej. Gdy oczy otworzył, uśmiech macierzyński spotkał, gdy uszka nastawił, piosenkę słyszał, gdy rączki wyciągnął, całowano je i tulono, gdy główkę pochylił, przyciskała ją do piersi matka... Nic tak nie grzeje jak miłość — więc dziecina delikatna i wątła, biała i różowa, którą lada powiew mógł udusić, wyrosła śliczniuchna, wesola i nie mająca pojęcia ani nienawiści, ani boju, ani złego co ją może gdzieś za węglem czekało. Dawano mu czego zapragnął, ubierano jak chciał, a gdy zamarzył niepodobieństwo, obiecywano mu gwiazdy z nieba na jutro rano, nie śmiejąc ich odmówić — a nużby to zaszkodziło dziecięciu?

I pieszczoty matki uczyniły zeń jakby króla świata, który nie pojmował by gdzie drudzy królowie być mogli, by się kto innemu niż mu kłaniał, by co dosko-

nalszego nadeń gdzieindziej wyrosło. Ale zarazem miękcząc go, wpoili mu uczucia pieszczoty pocziwe, liłość łzawą, miłość gorącą, potrzebę kochania, obawę nienawiści.

Któż będzie miał siłę wyrzucać matce sierocie, której jedno pozostało dziecię, że je ukochała tak, i owinęła dzieciństwo złotą pieluszką macierzyństwa?

Długo, długo trzymała go przy sobie, ale nareszcie potrzeba było puścić w świat dalej ukochanego Albinka. Pierwsze jego kroki były jak gdyby dopiero zeń paski zdjęto, bojaźliwe i zdumione, świat mu się wydał inaczej niż z okna domu, ludzie jacyś straszni i napastliwi, serca twarde, łzy niewytlómaczone, okrucieństwa niepojęte.

Ale i tu jeszcze otoczono go, osłonięto tak, aby szkarady życia wpaść mu nie mogły w oczy, dobrano dlań nauczyciela niańkę, nie pozwolono zamecząć pracą i podawano pokarm w cukierkach. Umysł jednak rozwijał się, a choć pamięć leniwa służyć mu nie bardzo chciała, nauka przyjmowała się łatwo i Albinek nie był z uczniów ostatnim. Oranżeryjny ten kwiatek błyszczał powabnymi barwami.

Patrzac nań ci nieszczęśliwi co życie spędzili w walce z losem, w trudzie nieustannym, we łzach połykanych tajemnie, mówili sobie po cichu: — Cóż to jest za wybrany? Są więc wybrani, którym dano wszystko i są wyłączeni co nie mieć nie mogą? Dla czego on tak szczęśliwy, po różami słanej idzie drodze, gdy dla nas została ścieżka twardym zarzucona kamieniem? Jest-li to przepowiednia przyszłości, czy groźba straszliwa? Jak on wytrzyma? jak wytrwa burze, gdy przyjdą?

Ale dlań burzy nie było...

Miłość czy modlitwy matki, której siły są tajemnicą, obwarowały Albinka od wszelkiego pocisku, od wczesnego zepsucia, od łez coby z oczów jego krwią płynęły. Kochali go wszyscy, a nikt rozczarowywać nie śmiał, błogo było każdemu spojrzeć na szczęśliwego i pocieszyć się w swej niedoli tym uroczym obrazkiem.

Strzegły go oczy i serca, bronili obojętni, i świat

niezasłużonemu płacił za łzy matki i jej sieroctwo.

Szkoły dlań były tylko odmienną zabawką, towarzysze piastunami i sługami, nauczyciele niańkami, a nauka rozrywką... Szczęśliwemu przebaczano wszystko, bo rozbrajał uśmiechem jednym. Jedno spojrzenie zdziwionych jego oczu niebieskich, w których wiecznie łza krążyła, spaść nigdy nie mogąc, przelamywało gniew i spiknioną nań niechęć, a gdy nasrożonemu rzucił się w ramiona, któżby uściskowi nie uległ?

W szkołach nabywał głodu do domu, w domu mógł szkół i towarzyszków zaprzagnąć, zawsze więc miał nadzieję w zapasie i tkanę do haftowania swych marzeń. Czekala nań tu matka, tam posłuszni towarzysze, którym królował.

W szkołach spiewał im poetyczną piosnkę domowego szczęścia, przy którym przygrzewali się ci, co pustką byli otoczeni; w domu opisywał swe zwycięstwa szkolne, a matka padała przed nim na kolana i patrzac w niebieskie oczy syna, płakała z radości.

Wyrósł bo laleczką śliczną! kształtną, białą, różową, z jasnymi włosy, których tak żal było ostrzygać! takim czułem dzieckiem, takim serdecznie dobrem stworzeniem — można go było nie kochać? Kochano go jak kwiatek wonny, który gdy zdeptany w błocie spotka nawet przechodzień, jeszcze nad nim staje i pożałuje tak wątłej istoty nielitościwie zgniecionej.

A gdy przybył pod dach rodzinny, to go otaczali wszyscy i dziwili się mu, i płakali z radości nad panieciem.

Innych czasem taka miłość psuje i szczepi w nich samolubstwo, w nim jedną tylko bojaźliwość zasiała, ale nie znał nienawiści, nie umiał inaczej jak tylko z otwartymi rękami wyjść przeciw ludziom... pragnął, potrzebował być kochanym i sam kochał wszystkich.

Jeszcze siedział na ławie szkolnej, gdy już na piersi nosił zeschle fiołki i suche listki jakieś, dla tego dano mu to imię skromnego kwiatka, które z nim przywędrowało do Wilna. Ledwie wyszedłszy z dzieciństwa za-

marzył o kobiecie, zapragnął miłości, a dziewczeczka sierota, z którą się wychował, której rączki małe i sztywne jego opłoty uściskiem w ciszy ogródka jak raj pięknego — była już jego kochanką! Myśmy jeszcze latali za motylami i bawili się ptaszkami, gdy on już przeczuł, że jest na świecie coś, co goręcej zajmuje i przyświeca życiu jaśniej, niż wszelka inna namiętność.

Miłość jego była tak świeża, poetyczna, piękna i miła jak on sam, a niepohamowana jak dziecię pie-szczone. Rośli razem, potem ich rozdzieliła szkoła, do której Albin z obrazem Anusi przyjeżdżał i o niej marzył, chodząc wśród nas zamysłony. Myśmy nie jeszcze nie widzieli przed sobą, gdy on już sobie świat stworzył, Ewę postawił w raju i do bram jego myślami i żądzą się dobijał. Matka uśmiechała się z początku, Albinek tyle potłukł i powyrzucał zabawek, powiedziała sobie potem, to jedną więcej cacką, którą porzuci... zamilkła. Ale gdy ujrzała, że czar nie przechodzi... poczęła odsuwać Anusię, jedynak się rozplakał i Aneczka nazad wróciła.

Albin skończywszy szkoły jużby był został się w domu, ale nie pozwoliła matka i wymogła uściskiem, że pojedzie od niej uczyć się jeszcze... Myślała nieboga że tam zapomni Anusi; że się rozerwie, że kochać ją przestanie, ale Albin pozostał wiernym zeschłym fijołkom i grzał się sercem, a serce niemi rozgrzewał. Myślała że Anusia pójdzie za męża, zdradzi poczeiwie Albina i uwolni go, trochę nawet pomagała do tego i nastroczała jej sposobność, ale dotąd Anna kręciła główką, nie chciała nikogo, śpiewała wesoło i zdawała niczego nie pragnąć, tylko jak była swobodną pozostać.

Postrach przyszłości, rachuba na jutro jeszcze jej nie tknęły... miała ledwie rok szesnasty.

Z daleka pisywali do siebie, tęsknili, potem lecieli i spotykali się z uniesieniem. Miłość ta miała już dzieje długie, ginące w wieków pomroce, oboje nie pamiętali jej początku jak ludy swej kolebki, ale umieli na pamięć wszystkie późniejsze historji tej epoki... daty pierwszego uśmiechu, pierwszego pocałunku... pierw-

szego kocham ciebie... i dni szczęśliwe rysy wiekui-stemi, odmalowały się w ich sercach. W dziejach tych były cuda niepojęte i legendy bajeczne... były prze-czucia i sny, spotkania dziwne, myśli wspólne i odga-dnięte o mil sto... a! czegoż tam nie było! A jakaż przyszłość w gniazdeczku ze mchów i pyłów kwia-to-wych usłanem... roila się obojgu, a jakie śpiewały jej pieśni anielskie...

Albin nie żył tylko Anusią, Anna nim tylko, ale się rozdzielić musieli i płakać. Nikt z nas nie śmiał żartować z biednego Albina, który najsroźszego roz-broić umiał rumieńcem i uściskiem, po cichu tylko szydzono z biednego Fijołka, choć zaprawdę miłość ta była tak słiczna, tak czysta, tak rzewna i poczeiwa, że najzepsutszy z ludzi co w serce wierzyć przestał, jeszczeby nad nią zadumał się i westchnął. On ją miał za tak naturalną i konieczną, że się innym dziwił prze-konany, iż mu się tylko do swoich nie przyznawali, pewien że każdy coś na piersiach nosić musiał, za czemś tęsknić, czegoś pragnąć i wyglądać.

Czytał najwięcej o tem uczuciu, które go zajmo-wało, myślał o niem, żył niem, a resztę miał za do-datek mniej ważny...

Byle go Anusia kochała, świat się mógł do góry przewrócić, a narody powymierać z moru i pozarzynać wojną. Albinowi lęz by to wycisnęło z oka, ale nie zdawało się nadzwyczajnej wagi... miłość jego ważniej-szą dlań była nad wszystko.

— Fijołku kochanie, mawiano czasem do niego, mo-żnaż tak utopić się w jednym uczuciu? A jeśli los, wypadek, zdrada zakrwawia ci pierś, w czem znaj-diesz ratunek? ku czemu się wówczas obrócisz?

On uszy zatykał, słuchać nie chcąc i uciekał.

— Nie mówcie mi nic, wołał, nielitościwi szydercy, niepohamowani sceptycy? Wyście inaczej stworzeni chy-ba! egoiści, zawsze o sobie myślicie tylko.

Zdawał się nie domyślać, że Anusia była dlań obra-zem odbitym własnej postaci, a miłość jego najszałeń-szym z egoizmów, przystrojonym poetycznie.

Ale mogliżemy go przekonać?

Król absolutny w domu, a po trochę królik w szkołach, gdzie matka wszystkim sowsie za pieśczęty dla niego płaciła, gdy pierwszy raz znalazł się w gwarze i tłumie wielkiego miasta już nie pierwszym jak był, ale niepostrzeżonym, zamieszanym, nieznaczącą jednostką, — zabołec musiał nad tą nicością, ale ukrył pierwszą tę boleść swoją. Niedowierząc okiem spojrział na ten przerażający dlań obraz żywszych barw, tłukących się o siebie ludzi, w którym walka widoczniejszą się dlań stała, lecz nie przyznał mu prawdy, powiedział sobie: — To świat fałszywy jakiś, wyjątkowy, źle ulepiony... to ludzie nie moi, to stan jakiś nienaturalny — dla czegożby się nie mieli kochać? iść z dłonią w dłoń, uśmieczać do siebie, pomagać sobie, ścisnąć się i całować, kiedy tak z tem dobrze?

Wszystkie żywioły świata, w które uwierzyć nie chciał, miał za złudne jakieś mary powiększone złemi oczami, tłómaczył zbrodnię, przekręcał nienawiści, przerabiał sobie świat na inny, żeby nie wyjść z tej atmosfery miłości, w której go macierzyńskie przywiązanie zamknęło.

Chodził też obcy wśród towarzyszków z fijołkiem na piersiach, oczyma w niebie i westchnieniem, a gdy śmiech spotkał, uciekał jak od szatana. On potrzebował tylko jednego wiernego towarzysza, przed którym by się mógł spowiadać, co by go słuchał ze współczuciem, i takiego znalazł w Serapionie naprzód, który nań patrzył jak na niewytłómaczone a cudne zjawisko, uznając go wyższą i wyłączną do szczęścia stworzoną istotą; potem w zdrajcy Longinie... Ten nie sprzeciwiając mu się i kryjąc uśmiech szyderczy, dla jakiejś dziwnej przyjemności i nasycenia żywiołem sobie przeciwnym, wywołał z niego wyznania i zwierzenia.

Longin był okrutnym zdrajcą...

Lecz wy go jeszcze nie znacie, w kole współludziów chodził pod nazwiskiem Aleksandra Macedońskie-

go... Na ustach bowiem miał zawsze, że świat zdobędzie, ale tak głośno o tem rozpowiadał, jak uparcie Serapion Mileczek tał się ze swemi nadziejami przyszłości.

Longin uderzał na pierwsze zaraz wejrzenie nie usty tylko, mową śmiałą, ale twarzą i postawą bijąc w oczy. Nie był to wcale piękny mężczyzna, ale wysoki, barczysty, rozrosły muskularnie, silny w dłoni, na podziw śmiały, czoło nosił do góry i miał je wyniosłe choć wąskie, włosy na tył odrzucone, oczy piwne bez wyrazu, ale zuchwale w świat poglądające, usta pogardliwie wydęte. Na całej tej fizjognomji malowało się lekceważenie ludzi, a pewność niezachwiana i wiara w siebie potężna. Iluż to temi tylko dwoma orężami zdobywa stanowisko, które zawsze prawie siłą i przemocą wydzierać losowi potrzeba.

Miedzy Longinem i Serapionem w początkowych dziejach i wydziale nędzy było wielkie podobieństwo, ale i różnica wielka. Serapion cały był w sobie, ten cały po za sobą, zdawał się nie chcieć mieć tajemnic i ostrzegał z góry, aby mu ludzie ustępowali z drogi — obiecywał wiele, groził i uśmieczał się.

Nie wiem jakim był sam dla siebie, gdy się z sobą bez świadków oko w oko spotykał, ale w ogóle dla braci nielitościwym... Nic na świecie dobrem i czystem nie widział, wszędzie pierwszy dopatrywał dziury, plamy i skazy, a gdy ich wyszukać nie mógł, póty obracał przedmiot, póty go gniótł i dusił, aż z czystego ścierki powalanej nie zrobił. Tak samo nie wierzył w żadną wielkość i przez bohatera szpary, dosłedzić musiał nagego człowieka.

W dziwnie zeschlem tem sereu panowało szyderstwo i wielka miłość siebie, nie pojmował do czego by był niezdolnym i gdzieby pójść nie miał, a gdy mu przyszło stan sobie wybierać, uczynił to jak gdyby przed nim rozłożono do wyboru skarby ziemi, z których tylko schylić się i wziąć miał co mu do smaku przypadło.

— Co zechcę to zrobię z siebie, mawiał, bajką jest,

żeby człowiek do czegoś wyłącznie rodził się zdolny... Dwa jest rodzaje ludzi, jeden do niczego, drudzy do wszystkiego, ja do ostatnich należę i co zechcę to zdobędę...

Śmiano się z niego, ale on bynajmniej na to nie zważał, sztydził zresztą tyle ze wszystkich, że mu choć cząstkę tego sarkazmu oddać było można bez wyrzutu sumienia.

Longin był jak Serapion dzieckiem ubóstwa i sierotą, ale szczęśliwszym może, bo inną idąc drogą, nie ucierpiał ani upokorzeń, ani przeniósł tyle cichych boleści co biedny Milczek. Starszy od wszystkich, ale wiek nie zrażał go i nie zbijał z toru najzuchwalszych nadziei, nie liczył lat wcale.

Dzieciną wzięty był na wychowanie z łaski przez ubożego krewnego, który zeń chciał to uczynić czem sam był, czynszowego szlachcica, rękę jego zaprzadź do pługa i kark nagiąć do pracy, — ale niewiem jaka siła w tej głowie nad kolebką podniesionej, już jakąś myśl innych losów zasiała. Wszystko mu tam sierocie przyjeźnemu z serca i litości było już złem, wszędzie ciasno, ciągle prawili, że to dla niego mało, że musi wyjść z tego położenia. Stryj co go zrazu przygarnął, był prostym człowiekiem niewidzącym daleko, dał sobie niemal wmówić, że z Longinka coś się wielkiego gotuje dla rodziny i świata... Dziecko plotło, a starzy, słuchali kiwając głowami i dziwując się wielce, a tyle tam było jakiejs przewagi w tej mowie śmiesznej, śmiałej, powtarzającej się, że bosy dzieciak, przyjęty przez miłosierdzie do chaty, aby z głodu nie umarł, opanował stryja i stryjenkę, a za łby wodził braciśzków, których za nic nie miał. — Wy będziecie chodzić za plugiem, mówił im — a ja! zobaczycie! I uwierzyli w końcu. Nie wiedzieli wprowadzić jak do tego przyjdzie Longinek, ale cóżby przezeń gadało, zkadby to wziął, gdyby nie było w nim z góry zasianego przezcucia?

Szlachcic słuchał tego zrazu jak bajki, z której się wieczorem u komina śmieje, gdy ją dziad prawić po-

cznie, aż dalej, dalej, wiare się przykładą, bajka opowiada i dreszcz przechodzi po plecach, i lży się w oczach kręć. Tak było i z tym sierotą dziecieniem, które największą porcję kaszy zjadało, łyżką po łbach tłukło młodsze dzieci, nigdy bez guzów z zabawy z niemi powrócić im nie dało, a ząb za ząb z niemi się kłóć, choćby je ubił, nie pozwoliło się przekonać. Upór Longina był heroiczny, dwadzieścia razy gotów był leżeć na drzewo, potłuc się spadając, ale ulegałki dostał, gdy mu się zamarzyła i potem ją nadkasiwszy za płot w kałużę wyrzucił. Nie na wiele się w chacie przydał a pokoju z nim nie było, rosło z nim co przynosił gotowe: zuchwalstwo i zapamiętała wiara w siebie.

Szlachcic z żoną patrząc i porównyując go do własnych dzieci, nie mogli zrozumieć co to za krew junačka płynęła w tej utrapionej sierocie. Przyszedł czas do pracy, ale go do niej ani zapędzić ani uprosić, przeciw przemocy stawał śmiało, oko w oko, z próśb drwił i śmiał się, gdy mu grożono wiedział co odpowiedzieć, osmagany nie płakał, ale mścił się po cichu. Czasem z drugimi dziećmi poszedł w pole, gdy mu się izba znudziła, ale psuł im robotę i miał przyjemność czynić na przekór. Gotębiom przewracał gniazda, kury wywolywał umyślnie gdy latały jastrzębie, bydło od trzody odganiał, a koniowi żadnemu nie darował, póki go do upadłego nie zmęczył dosiadłszy. Żeby kogo kochał nie pokazało się nigdy, żeby zapłakał nawet ze złości nikt nie widział, bo się z płaczem ukryć umiał, tylko mu się zapalały źrenice i ręce drgały i wargi zacinął, a jak koziół głowę w dół pochyliwszy, gotów nią był bić choć o ścianę.

Co inny może byłby wysłużył dobrocią, to on sobie wyrobił nieznosnem uprzykrzeniem; szlachcic widząc że z niego nie zrobi parobka, uwierzył że tam być coś musi co powołuje do innej doli.

— Kto go tam wie, mówił, chłopiec musi przeczuwać... wyrывa się, trzeba się księżom pokłonić i do szkół go oddać, mówią że tak nie jeden biskup z pau-

prów wyszedł, a kto to wie! może będziemy mieli pomoc na starość.

— Ależ on nie na biskupa stworzony, kręcąc głową odpowiadała stryjenka, jak on ludzi paść potrafi, kiedy owiec nie umie, ledwie trzody dopadnie to ją rozpłoszy.

— Kto go tam wie czem będzie? to pewna że w nim siedzi jakieś utrapienie, w chacie to nie wytrzyma i dalej nas wszystkich z niej wypędzi. Już go się inaczej nie pozbedziemy jak szkołami, przynajmniej nasze dzieci sińce nosić przestaną...

— Pewnie że go potrzeba gdzieś oddać, rzekła potakując stryjenka, mówią że w szkołach ćwiczą, jak zaczną bić, to może z niego co zrobią.

— Djabła się on im da! mruknął szlachcic.

— Ale co waś gadasz, Wawrzyńcze, lepiej oni go od nas zażyć potrafią, dalej dalej, gdyby tu tak został, szubienicy by się mógł dosłużyć jak nie.

Uradzili tedy oddać go do szkół, i jednego poranku zlepiwszy mu odzienie ze starych szmat i lachmanów, powieźli go szlachcic do miasteczka do księży, którzy tam szkoły trzymali. Ale nim z domu wyszedł chłopiec dobrze wprzódę się wypytał dokąd go prowadzą, a na pożegnanie dał stryjeczyn po kuksańcu, i przemysłając powrócić do chaty gdyby mu tam źle było, drogę sobie dobrze uważał i w głowie zapisywał.

Staruszek ksiądz prefekt, który tam rej wodził w szkole, miał to do siebie, że widział w sobie talent rozpoznawania z fizjognomji przyszłych wielkich ludzi. Brał on chłopaków z góry za czuprynę, obracał ich twarzą ku słońcu i zajrzawszy im dobrze w nos, wyrokował nieodwołalnie co z nich ma wyrosnąć, bohaterowie czy bałwany. Pośrednich stopni nie było u niego. Mylił się wprawdzie często biorąc bałwanów za bohaterów *et vice versa*, ale to go nie zrażało, utrzymywał bowiem na swą obronę, że bałwany, jak ich zwał, miewają szczęśliwe na świecie powodzenie, a wielkie talenta często zagrzebane leżąc w proch się rozsypują. Jemu więc zostawionem było w szkołach egza-

minowanie kandydatów na paupry i przyjęcie lub odrzucenie stręczących się dzieci.

Był to zresztą bardzo dobry staruszek, powolny, łagodny, któremu studenci kolki na głowie ciosali, chociaż utrzymywał że się go obawiano jak stracha. Wiedząc o tem działwa, jak skoro się pokazał niby przerażona Jowiszowym wzrokiem jego, pierzchała z okrzykami na wszystkie strony, a prefekt łagodził to wrażenie słowy czulemi, przekonując ich, że nie był Neronem ani Kaligulą, ale trochę tylko za ostrym księdzem prefektem.

I Longin więc przywieziony został przez księdza rektora wprost do księdza prefekta, który już wiedząc o co chodzi, zażył tabaki, włożył na nos okulary, poprawił pasa i ujawszy szamoczącego się dzieciaka za czuprynę, przyprowadził go przed okno. Tu przypatrzwszy się tej ostrej już w chłopięciu, wyrazistej i nieuleknionej twarzy, bardzo się zamyślił.

— A cóż księże prefekcie? spytał rektor.

— Subjekt wcale nie pospolity, — odparł znawca — ale to być musi szalona pałka?

— O tak! — odparł kłaniając się szlachcic przytomny, — nawet po części dla tego musimy go oddać do szkół, że nam się na nic nie zdał, takie to krnąbrne i zuchwale dziecko.

— A co? a co? nie odgadłem? zawołał prefekt tryumfująco... ale u nas po użyciu moczonych różeg i dyscyplin... może z niego być człowiek, dodał poważnie... Chłopcze! chcesz-że się uczyć? ha? spytał po chwili czujając potrzebę złagodzenia wrażeń.

— A czemuż nie! rzekł śmiało Longin, juścić wolę jak paść świnię.

— Logika jest, odparł prefekt, prosta... wprawdzie, ale silna... wyrażona śmiało; to lubię, wezmę go do moich usług... Jednakże mi Jaśka zabraliście, księże rektorze, a w moje ręce go wziąwszy, już ja go wytresuję po mojemu, zobaczycie co z niego zrobię.

Rektor się uśmiechnął.

— A nie lepiej by go było oddać księdzu fizykowi?

— Za nadto łagodny, rzekł prefekt, ja to go dopiero scisnę... bo to charakter potrzebujący rygoru...

— Oj księżuniu dobrodzieju, szepnął szlachcic, może by jego ksiądz fizyk uchodził, ale z przeproszeniem, jegomości nie tak z oczów patrzy, żebyście go mieli pokonać.

— No! no! bądź spokojny... już mnie to nie pierwszy raz, wiem jak i z kim... to już do mnie należy... zostawcie chłopca u mnie.

Szlachcic rad, że się tak łatwo pozbył niewygodnego synowca, drapnął do domu w najlepszym humorze, a Longin poszedł zaraz zapoznać się ze studentami. Ani klasztor, ani prefekt, ani fizyk, nie go nie straszło, w obietnicę moczonych różeg nie uwierzył, a to mu już pachło, że kupę widział chłopaków, którym mógł sypać guzy i kulaki, i swawolić jak chciał.

Młodzież przyjęła go jak zawsze nowicjusza, zabierając się płatać mu figle i upokorzyć przybylcę, ale ledwie się o niego otarli, poznali że z nim nie można było żartować. Zamiast płakać Longin plunął w łapę i dalej — że na całe skonfederowane wojsko jak Samson na Filistynów, zamiast szczęki osłej porwawszy kija, który tam właśnie leżał na podoręczu.

Pierchły spłoszone zastępy, ale zwycięzca nie przebłagał się ich porażką i grzmocił uciekających, póki przerażony ich krzykiem ksiądz prefekt nie wyleciał z celi wołając:

— Hola! co to jest!?

W oczach tego surowego mentora Longin wytrzepał jeszcze kilku i siłą dopiero pochwycony przed trybunał, stanął w obliczu zagniewanego sędziego. Na zapytanie co by było powodem tego boju, wypowiedział śmiało, że został zaczepiony, a zatem inaczej postąpić nie mógł i bronić się musiał.

Podobało się to księdzu prefektowi, który już miał słabość do malca, wszystkim kazano klęczeć godzinę (co się później na kwadransie skończyło) a Longin poszedł z palmą na śniadanie.

Pierwsze i tak pełne zwycięstwo uzuchwaliło stu-

denta, który od razu stanął na czele infimistów, a wyżej drugiej klasy rozciągał wpływ i władzę swoją. Położenie jego w komórcie przy celi księdza prefekta uczyniło go wkrótce ważną nawet dla retorów figurą, wiedział bowiem i mógł donieść kiedy ksiądz prefekt spi, kiedy się na rewiję wojsk swoich wybiera, kiedy chory lub źle usposobiony na dyscyplinę pogląda, a ze wszystkiego Longuś skorzystać umiał.

Z księdzem prefektem obchodził się zuchwale... i podbił go nadzieją, że wyjdzie niechybnie na wielkiego człowieka. Robił więc co mu się podobało, a koniec końców zawsze na swoim postawił; prefekt sam przed sobą ze zbytecznego folgowania Longinowi tłómaczył się jak mógł.

— Bo to, mówił, z takimi charakterami nie można iść przebojem — muszę sobie i surowości, do której przywykłem, gwałt zadawać a prowadzić go łagodnie, inaczej wszystko bym popsuł... Moznaby tego szaleńca do wściekłości rozdrażnić.

A gdy ksiądz rektor upominał, ksiądz prefekt ruszał tylko ramionami.

— No! no! no! już ja wiem jak sobie począć, subiektem wielkie, uczy się ogromnie, genjusz wrodzony jest... ot co ważna, a charakteru inaczej jak powolnością ugiąć i zmiękczyć niepodobna, bo to dusza hartowna i rzymskiego coś w niej jest! o! rzymskiego, mości dzieju! starożytnego!

Czasem, gdy był zmuszony ukarać, prefekt niepokoił się ogromnie i szedł sam do chłopca.

— A widzisz, mówił, a żal, a wstyd, a fe! a nie trzeba broić... no! no! na ten raz idź już, wstań i do roboty... tylko ten ostatni raz daruję, ale uchowaj Boże jeszcze mi co splatasz... o! o! zdasz mi rachunek i za zaległości!

Ale za każdym razem darowywał mu tak samo pod innym coraz pozorem.

Chłopiec z nim robił co chciał, gdy bótów nie wyżyścił, udawał ksiądz prefekt że ich nie potrzebuje, gdy go nie posłuchał, zmieniał wolę i rozkaz, niedając

powodu do nieposłuszeństwa.

Longin panując tak, rozzuchwiał się do ostatka, a choć przywiązał się do pocziwego prefekta, śmiał się z niego ze studentami i z talentem go naśladował, sposób mówienia jego, ruchy, pogadanki, nawet głos jego zachryply udając doskonale.

Raz tak w korytarzu zszedł go sam ksiądz prefekt na tej improwizowanej komedji, ale nie dał mu poznać że zrozumiał kogo tam przedstawiał. W godzinę dopiero potem przyniesiono stół i dyscyplinę nietkniętą od dawna, a nieublagany sędzia stanął nad winowajcą.

— Widzisz moje dziecko, moścudzieju, rzekł zażywając tabaki, wszystko się darowuje, a niewdzięczności przebaczyć się nie godzi. Żartujesz sobie ze mnie, to dobrze, bardzo dobrze, ale gdy ci to płazem pójdzie, drwieć sobie potem będziesz ze wszystkich starszych i z Boga... kładnij-że się moścudzieju i *pro memoria* Jacek Kanafarz niech mu wlepi trzydzieści!

Longin zaklął się, że gdy go tkną dyscypliną życie sobie odejmie, począł się uniewinniać jako to czynił podżegany, zmuszony, w myśli niewinnej; prefekt się rozczał i skończył na kazaniu z tekstu o niewdzięczności ludzkiej, przywołując lwa Androniklesowego, dwa psy kulawe i szczurą co sieci przegryzał... Longin wcale nie słuchał perory, ale bardzo był rad, że się od dyscypliny wykreśli.

Prefekt stracił trochę dlań serca, ale nie przestał być zawojowanym przez niego.

Całe szkoły wierzyły już jak stryj, patrząc na powodzenia Longina, że w przyszłości wielkie go muszą czekać losy. Longin gadał o tem sam, profesorowie powtarzali, uczył się dobrze, a nawet gdy się trafiło lekcji nie umieć, gotów był nauczyciela przekonywać, że on sam nie zna swojego przedmiotu.

Wysokie też miano o nim pojęcie, a on o sobie wyższe nad wszystkich. *Quo non ascendam?* — mówił i powtarzał sobie nauczysz się trochę łaciny; a prefekt zażywając tabaki pomrukiwał także.

— Djabeł nie chłopiec... szalona pałka! zajdzie dale-

ko jestem pewny... tacy to świat zdobywają!

Świat jak świat, a tymczasem szkołę zdobył prawie Longinek, panując w niej sam i powagą ks. prefekta; szanował go nawet nieco ks. rektor, zdaleka obchodząc i niedając okazji do psikusa, za któryby go ukarać musiano.

Szlachcic stryj, gdy mu fantazja przyszła starszego syna trochę w szkole wytresować, musiał się synowcowi kłaniać, żeby go wziął pod możną opiekę swoją, a powróciwszy do domu po rozpatrzeniu się w tem, co się tam święciło, prorokował, że Longin musi wyjść na bardzo wielkiego człowieka, kiwał głową więcej jeszcze niż mówił, i domyślał się, że może nawet zostać profesorem.

Jak to szczęście, które mu tak stale służyło, wyszło w nim serce nie rozgrawszy go, jak weszły do tej duszy szysterstwo i pogarda ludzi? — ja tego wytłumaczyć nie potrafię. Może widząc ich tak słabymi, tak uległymi, domyślił się Longin, że na ziemi wszystko niemal zdobywa upor i siła, a najświętsze uczucie gdy go wola nie poprze, rozplynie się we łzach napróżnych. To wyrobiło w nim główną życia sprężynę, charakter i wolę niezłomną, a niemi nadstarczał co mu z innych stron brakło. Dla czego ani potrzebował kochać, ani chciał być kochany, ani czując się nim umiał być wdzięcznym, nie rozumiejąc wcale. Może obawiał się zmięknąć i instynktowo hartując, do dalszych zachowywał zdobyczy.

Bali się go też wszyscy i tak przeszedł niższe klasy zwycięzko, przenosząc się z nich już silny i pewien siebie do wyższych. Nie było tu już ani księdza prefekta, ani dawnych towarzyszy, ale jak komu pójdzie to idzie, a śmiałość zawsze wygrywa. Na tej mu nie zbywało, ubóstwo było mu drugą podporą, przyjęli go towarzysze po młodemu, i nazajutrz był już jak w domu.

Nie był to umysł wyższemi obdarzony zdolnościami, który siłą swą podbijał i zmuszał do posłuszeństwa, — wola w nim i charakter robiły wszystko, a rzadko kto przeciw nim wytrzymać potrafił.

Do niczego nie miał talentu szczególnego, ale do wszystkiego po troszę zdatności, pojęcie łatwe, logikę naturalną, zdrową i wielki chłód w sercu, a ład w głowie, które mu przytomność zawsze jedną dawały i czyniły go panem. Nie unosił się i nie upajał chyba jednym szyderstwem, do którego miał i powołanie i wprawę w niem i niezbitą niczem śmiałość. Ten wyraz sarkazmu piętnował twarz jego niecnie śmiałą, oko nieulekłe, postawę aktorską, ruchy przesadne.

Śmiał się ze wszystkich i ze wszystkiego, a słabości nawet i nieszczeście nie zmięczyły go, wszędzie na pierwszym planie widząc siebie, gotów był sobie wszystkich poświęcić bez wahania.

Taki człowiek nie mógł przepaść w tłumie, bo by się zawsze przebił przez ludzi, zagłuszył ich, zakrzyczał, a czego mu nie dawano, siłąby pochwycił, dla tego ufał w przyszłość i ani wątpił, że będzie świetniejszą od marzeń wszystkich towarzyszków młodości.

Drudzy nań z niedowierzaniem poglądali, on na nich z litością.

Skończywszy szkoły miał już o czem dobić się do Wilna, i choć grosza nie oszczędzał jak Serapion, nie dobijał się niezależności ofiarami, zebrał więcej od innych zapasu na drogę.

Ale też najłżejszą swą posługę umiał ocenić, a o zapłatę się upomnieć, w razie zaprzeczenia jej hałasować, i choćby z oporem przyszło wydrzeć ją temu na kogo raz wyrachował, że mu coś dać był powinien. Tak się obszedł z rodzicami powierzonych mu dzieci, i choć część zebranego grosza zaraz zmarnował na hulankę, jeszcze mu dosyć na Wilno zostało. Frymarczył wszystkim, sprzedawał co mógł, pisał co kto zażądał, śmiał się potem z tych, których słabości lub łatwości służył, i szedł dalej wesoło.

Znało go wielu z tych co z nim na jednej siedzieli ławie, a gdy ze śmiałością swą przywędrował do Wilna; zrazu rozsunęli się i puciekali przed nim wszyscy,

ale mało kto potem miał dość odwagi by mu powiedzieć — nie chcę ciebie.

Tu on też nieco odmienną przybrał sobie fizjognomiją i potrafił wcisnąć we wszystkie kółka, których być częścią zapragnął; wszedł w jedne przebojem, w drugie grubem pochlebstwem, które dla baczniejszych na szyderstwo wyglądało.

Wszędzie go było pełno i w końcu przywykliśmy do tej postaci, która w orkiestrze młodzieży stanowiła nótę odrębną, prawie potrzebną... Był to zresztą użyteczny członek społeczności jako wieczny sprzymierzeniec słabszych i uciśnionych; stawał w ich obronie, nie dla przyjemności pomagania, ale dla tego by grać jakąś rolę i walczyć z silniejszymi. Gardłował, chodził, brocił rozwijając działalność wielką, i tem sobie wreszcie pozyskał względy ogółu. Miał i ten takt, że rzadko z kogo w oczy szydził, ale nie było kogo by oszczędził pokątnie, a każdy mógł sobie myśleć, — przynajmniej, że mnie nie zaczepia.

Ze strachu i przez niedbalstwo dano mu wziąć górę powoli, a co raz zdobył tego już więcej nie puścił.

Takim był Longin, przewany Aleksandrem Macełdońskim z krzywdą dla bohatera, którego charakter nie zgadzał się wcale z rysami tej postaci zuchwałej, śmiesznej, ale nie bez pewnych cech niepospolitych, do których należała odwaga wielka i niezachwiana wiara w to, że wola człowieka jest tajemniczą dźwignią, co światami wstrząsnąć może.

Konrad Pópiel, wielkiego imienia dziedzic i chłopak bogaty, niedaleki sąsiad Wilna, bo majątność ich o kilka mil od niego położoną była, z rzędu czwartym się liczył członkiem tego studenckiego klubu, niemniej od poprzedzających zastanawiającym. Spojrzawszy nań widać tylko było pospolitego i przystojnego elegancika, którego mundurzyk z ciekłego sukna skrojony był według ostatniej uniwersyteckiej mody, płaszcz podbity karmazynową kitajką, fontaż chustki zawiązany szeroko,

a czapka na bakier zawsze włożona z niechcenia. Na twarzy miłej i arystokratycznego kroju, nie — jak na pustej tablicy, uśmiech mało znaczący, rozbudzona mocno ciekawość, trochę niepokoju o to jak się będzie wydawać...

Ale zbadawszy strój i powierzchowność, łatwo odgadnął flzjognomista, że Konrad przedewszystkiem myślał i starał się o to aby się pokazać, zastanowić, zwrócić oczy, ściągnąć uwagę... Wszystkie jego czynności ku temu zmierzały i może dla tego, że się już wprawili do grania komedji na świecie, miał czasem minę lichego prowincjonalnego aktora. Często można było wysledzić u niego brudną rękawiczkę, ale schowaną pod płaszcz, rozdarty surdut misternie utajony — to wszakże co przeznaczonem było wyjść na wierzch, musiało się świecić i bić w oczy. Łatwiej by się był obszedł bez kawałka chleba niż bez modnej kamizelki.

Majątny, chciał uchodzić za pana i magnata, dobrze urodzony dodawał sobie kasztelanów do genealogji, wiodąc ją z królewskiego rodu od Gopła i Kruszewicy; — ładny, miał się za Antinouse, dość dowcipny, zapożyczał się w koncepta cudze, aby ich mieć więcej — słowem, życie jego stało na tem, aby otumanić ludzi i okazać im jak on wielki. W gruncie było to dobre, dosyć pospolite chłopię, poczciwe ale pełne niepojętowanej próżności, które ta namietność co chwila popychała w niebezpieczne położenia, skazywała na zgryzoty i ledwie uratowanego cudem, miotła znowu na niebezpieczne wyprawy.

Wyglądał na pierwszy rzut oka na ładnego chłopca... ale tysiącem figlów nabytą była ta flzjognomja, która baczniejszego nie wytrzymywała rozbioru. Zdaleka była to udatna maseczka, zbliżka typ stary i pospolity, choć co zowią dystyngowany; nie podejrzrywano go żeby się bielił, mocno jednak wątpiono czy kolory miał naturalne i czy ich nieco nie ożywiał barwą przybraną, gdy niewczas czynił go bledszym, a interesująca bledłość nie była mu potrzebna.

Nos jego miał ten kształt pośredni i niepewny, o

którym nie powiedzieć nie można, prócz że gdyby nie to i nie owo, mógłby być pięknym rzymskim, greckim a choćby i polskim nosem. Jeżeli nie był piękny, nie był przynajmniej poczwarny.

Okło jedno zyzem trochę patrzyło, ale ostrożny Konrad drugie tak nastrajał, żeby się z niem posprzeczzać nie mogło, a to mu dawało minę człowieka poglądującego z melancholizmem zamyśleniem w głębiny przeszłości czy przyszłości.

Dla podwyższenia sobie czoła, które do zbytku było niskie, zdaje się, że je podgalał przy skroniach, miał przy tem trochę wypracowanego już częstem użyciem brzytwy, wąsika. Staranie jego o siebie przechodziło granice pozwolone mężczyźnie, muskał się, umywał, pomadował, fryzował i każdego dnia więcej podobno przesiedział nad toaletą i paznogiemi niż nad książką.

W jego pokoju na widoku stał ów przyrząd innym nie znany, szczotek, flakonów, kosmetyków, pilniczków nożyczek, proszków i płynów na wzorstęj rozłożony serwecie, z którego się naśmiewano, choć to nie nie pomagało. Konrad spędzał przy nim przed owalnym lustrem parę godzin zrana, parę o południu, a czasem jeszcze z godzinę wieczorem, gdy na bal lub maskaradę się wybierał.

Jakiemi prywacjami okupywał przepyszne fulary, które w kieszeni nosił, coraz nowe chustki, kamizelki, łańcuszki do zegarka, bóćiki i fantazyjne szlafroczy, nikt nie wiedział, ale się tego domysleć było łatwo, bo nie można przypuścić, żeby rodzice dogadzali takim zachceniom.

Stał jednak osobno, miał służącego i choć żył ze wszystkiemi dobrze, sposób jego życia z akademickim nie zgadzał się wcale. Mieszkanie zakrawało na elegancika miejskiego, apartament, w którym student starannie się ukrywał, jakoby błogiego swego stanu nieco się wstydził. Książki nawet naukowe miały u niego minę francuzkich romansów, tak ślicznie były poprawiane i poukładane w porządku w mahoniowej za szkłem szafie. Nielad, jaki w naszych mieszkaniach panował

w porównaniu z tym wyszukany porządek, był prawie rażący, ale znamionował pośpiech pracy, z której wypływał. Nie było tam czasu przybierać mieszkania i krasieć, gdzie każda chwila była drogą i niepowrotną, nie myśleliśmy wiele o przyjemności dla oka, ale o korzyściach z nauk, które chciwie chwytał każdy.

Konrad w naszym gronie wyróżniał się bardzo, a choć instynkt wiódł go winne towarzystwo, do którego się wkupywał, Bóg wie jak drogo placąc za to, — nie opuszczał przecie kolegów i nie gardził nimi.

On to im przynosił wieści z salonów, anegdota bawowe i charakterystykę domów, do których inni uczęszczać nie mieli czasu.

Mówilem już, że Konrad Popiel pochodził z rodziny znacznej, mającej związki z arystokracją, do której należeć pragnęła, rodzice jego mieszkali na wsi o kilka mil od Wilna, a syn dosyć dobrze dom ich przedstawiał. Miał on kilka siostr jeszcze i liczne rodzeństwo, więc choć majątek był znaczny, nie mógł się spodziewać bogactwa; mówił jednak o dobrach rodzicielskich tak, aby dać do zrozumienia, że kiedyś zaćmi wszystkich swem położeniem na świecie...

Wychowanie jego początkowe odpowiadało położeniu towarzyskiemu, bonę miał niemkę, potem guwernera francuza, z nim nawet jeździł do szkół, gdyż obawiano się nadewszystko aby języka w gębie nie zapomniał... Nie był on wcale pieszczony, ale starała się z niego matka zrobić ideał po swej myśli. O nic gruntniejszego jej nie chodziło, tylko o przyzwoitość, o dobrą manierę, o zręczne przedstawienie się Konradka w świecie, o prezencją w salonie; o trzymanie się prosto, o... zgrabność. Musztrowano go cięłośnie, aby nabrał dobrego tonu i miał minę dziecka pańskiego, uczono praktycznie w salonach znalezienia się (bojąc się zapewne, aby jak drudzy co chwila się nie gubił —) nastawano mocno na umiejętność języków, zresztą co do serca i głowy spuszczano się już na łaskę Bożą i krew dobrą, która szlachetne uczucia zaszczerpić miała.

Matka była elegantka i lubiła świat, niegdyś dziwnie piękna, a mimo dwudziestoletniego syna jeszcze bardzo przystojna i usiłująca resztę wdzięków zatrzymać, w przekonaniu, że są uprzywilejowane istoty, które się nigdy zestarzeć nie powinny — nie zastanowiła się nigdy inaczej nad człowiekiem jak ze stanowiska salonowego. Kto nie był przyzwoity, dla niej nie egzystował, nie należał do jej sfery i świata, *n'était point de son bord*; — inne ludzkie przymioty ceniła dla oka, ale znalezienie się i pozór nadewszystko.

Wiedziała zapewne a raczej czuła instynktowo, że w świecie tamtym pozór jest rzeczą główną, że w nim istoty prawie nie ma, a jeśli się co lepszego znajdzie to jakimś cudem dane przez Boga, ale nie wypracowane na sobie. O zasady nie troszczyła się wiele, gdyby nawet nieco odmienne były od powszednich nie mając nic przeciwko temu, boć i ekscentryczność popłaca. Jeden dowcip chciałaby była wszczerpić swojemu dziecięciu gdyby mogła, ale tego się nauczyć trudno, choć są ludzie co go udają... To jednak nie łatwe młodemu, potrzebuje otrząskania się i wprawy.

Po bonie, która Konradka piastowała dosyć długo, dano mu nauczyciela francuza i trafiono nie zupełnie szczęśliwie w wyborze.

P. Balard był eks-furierystą, eks-sensymonistą, eks-cabetistą, eks-chatelistą, a przy wszystkich eksach pozostał marzycielem utrapionym i stronnikiem reform społecznych nie powolnych i koniecznych, które czas sprowadza i postęp wyrabiać musi, ale radykalnych i gwałtownych. Fizjognomja starej ludzkości istniejącej od początku świata wydawała mu się pospolitą i nudną, potrzebującą koniecznie zupełnego przeistoczenia. Chciał ją przerobić z gruntu i odbudować inaczej, utrzymując, że człowiek się popsuł a raczej nie najlepiej został stworzony, więc się do niego tak wziąć potrzeba, żeby śladu nie zostało czem był przez pięć tysięcy lat. Nieprzyjaciel przesądów, nieprzyjaciel konwencyonalnych prawd, pewien był, że się ktoś musi trafić co wedle nowego systemu zreformuje porządek szczątki ludzko-

ści i w nowe ją weźmie kluby. Wprawdzie te próby, w których p. Balard uczestniczył, całkiem się nie powiodły, bo w nich zawsze człowiek stary na wierzch wyłaził, ale to dla niego nie nie stanowiło — utrzymywał że znać jeszcze nie trafiło na właściwą drogę.

Zmuszony uchodzić z Francji, gdy Felician Dawid, późniejszy autor symfonij Pustynia, uciekał do Algieru a inni do Ameryki, bo mieszczaństwo i episierstwo górę brało — nie mając chleba, przywędrował do nas poświęcając się nauczaniu tego czego podobno sam dobrze nie umiał. Pokazało się bowiem, że w języku rodzimym liczne czynił błędy, nazwyczajwszy się używać go jak Bóg dał, a wcale nad nim nie pracując. W gruncie rzeczy gramatyka zdawała mu się przesądem jak inne i staroświeckiem nprzedzeniem, niekiedy nawet dowodził, że każdy człowiek ma swoją gramatykę wrodzoną i natchnioną...

Zresztą choć trochę głupi, był to sobie niezły człowiek, spokojny byle mógł się o reformach wygadać do syta, lubiący deklamować, a przy spartańskich zasadach nawykły do wygod i smakujący w komforcie i zbytku.

Ze powierzchowność jego była miłą, twarz ładną, a manjerą jeśli nie salonową to oryginalną i wybitnie cudzoziemską, potrafił podobać się matce Konrada, która dlań poprzysięgła najwyższe uwielbienie. Deklamował tak, że gdy go nie rozumiała nawet, co się najczęściej zdarzało, zasluchiwała się w wdzięcznej muzyce jego głosu. Miał i ten wielki przymiot, że choć demokrata panią nazywał *Comtesse*, a cały dom uhrabił. Ta inicjatywa jakoś tak była szczęśliwą, że się hrabstwo przywiezione w rękawie z nad Sekwany przyjęło.

Maly Konradek pierwsze swe zasady przejął z ust p. Balard'a, który nie mając często słuchaczy, gdy mu język świerzbiał wpadał w zapal przed malcem i długimi ogłaszał go monologami. Zasypiał przy nich czasem Konradek, ale coś zawsze pchwylił z tego słów potoku. Balard zaś tak mało zważał na to czy go kto słucha lub nie, że niekiedy, w gorętszych chwilach natchnienia, mówił do czterech ścian i stołków,

gestykulując dziwacznie. Sam sobie odpowiadał, robił zarzuty, zbijał je zwycięzko i uspokojony nie zamilkł, póki systemu swojego do dna nie wypił.

System ten reformatorski nie był tak dalece nowym, składał się on z różnych okrucichów polapanych po świecie, gdyż Balard jak wszyscy pseudo-filozofowie francuzcy w zasadzie był eklektykiem, i pewien że prawda nie rodzi się od razu jedną i całą, ale się skleja z kawalków. Przechodził on z wielką łatwością od jednej opinii do drugiej, a każda nowa reforma znajdowała w nim żarliwego adepta.

W gruncie nie tyle mu może chodziło o odbudowanie świata nowego, ile o przewrócenie starego.

Konradek więc ucząc się niemal abecadła, dowiedział zarazem, że świat potrzebuje radykalnej kuracji na zastarzałą chorobę chroniczną; — najdziksze utopje, jak obrazki latarni czarnoksiężkiej przesunęły się przed świeżą jeszcze wyobraźnią i odpiętnowały na wrażliwego mózgu tkance. Nie dobrze umiał pacierz i to po francuzku do francuzkiego Pana Boga, ale w szkołach już począł na wzór mistrza myśleć o reformowaniu społeczności. Nigdy mu wszakże nie przyszło do głowy, że chcąc coś poczynić najnaturalniej od siebie — a życie jego codzienne było gwałtowną protestacją przeciw słowom i ideom.

Fenomen ten spowszedniał dla nas, lecz niemniej zasługuje na uwagę — jak w jednym człowiekiem teoria może być biała, a czynności czarne, słowo niebieskie a sprawy karmazynowe? Gdzieś tam widać jakaś ściana dzieli w środku komórkę czczych idei i marzeń od skarbonki, z której wychodzą uczynki, i tak jedna polowa patrzy w lewo druga w prawo — *e sempre bene*.

Całkiem logicznych w życiu i jednolito zbudowanych ludzi trudno napotkać, są co gorzej mówią i myślą, a lepiej daleko działają, choć to rzecz jest rzadka, ale najpospolitsi tacy, którzy na języku uchodziliby za świętych, gdyby rąk nie mieli zabrukanych po łokcie.

Czem się to dzieje, nie wiem, ale dziś może w spo-

leczeństwie naszym to rozdwojenie czuć się daje mocniej niż kiedy. Wszyscyśmy podobni do tego aptekarza, co leczy jakimś panaceum całe miasto, ale gdy sam zachoruje, udaje się po cichu do doktora; — teorie nasze sprzedajemy drugim, a dla siebie kupujemy wygodniejsze.

Francuz także był nieco w tym rodzaju, mówił ciągle o zwrocie do pierwotnej obyczajów prostoty, potępiał zbytek, pluł na arystokrację, ale chłopca besztiał, że mu śmiało coś odpowiedzieć, a wygodę życia cenił wyżej dostojęstwa człowieka.

Co było w mistrzu, powtarzało się w uczniu. Konrad wyrósł na eleganta, na panicza, z daleka obchodził grube mundury i namulanych unikał dłoni, ale mówić umiał ślicznie o braterstwie ludzi, o równości ich, o szkodliwości wyróżniania się, o potrzebie niwelacji. Francuz napoił go tak dobrze swojemi doktrynami, tyle mu ich rozmaitych dał do wyboru, że Konrad musiał zostać utopistą — to mu nadało barwę ciekawą i oryginalną. Matka wcale nie była przeciwko temu, czuła bowiem instynktowo, że ta paplanina do niczego nie prowadzi, że Konrad mówiąc przeciw zbytkom nie przestanie być elegantem, ani obstając przy narodowościach, nie porzuci francuzczyzny. Najwymowniej nawet dowodził o piękności polskiego, w języku francuzkim.

Zasady wszczepione przez Balarda sprawiły, że w przekonaniu Konradka co tylko istniało było złe i do przerobienia. Zaczynał od tego, że ruszał ramionami i śmiał się, a że krytyka zawsze łatwa, gdy przypiał parę latek, choć nie miał czem później tego co zburzył zastąpić, wykręcał się ogólnikami.

Pomimo swej toalety i elegancji, swych płaszczów i kamizelek, Konrad był surowym także stronnikiem powrotu do obyczajów pierwotnych, do spartańskiej polewki, do odzieży prostej, do kumunistycznego pozamykania ludzi w komórkach na wyważonym chlebie i soli i pewnej ilości wody. Ale te jego reformy i teorie były także płaszczami podbitymi pasowo i kamizelkami w kwia-

ty, na ulicy zwracał oczy podszewką, w salonie utopijami.

W szkołach już wielkie czynił wrażenie, miał przy sobie Balard'a, dom trzymali na stopie bardzo wygodnej i dostatniej, chodzili do niego chętnie znudzeni klepaniem jednych lekcji profesorowie i Konradek brał nagrody za to, że śmiało im w oczy patrzył, a zbieć się z tropu nie dawał nigdy.

Śmiałość jego, choć w innym rodzaju jak Longina, była zaprawdę uderzającą, a upor miał w sobie coś kobiecego. Przyparty do ściany i przekonany o fałszu, w tejsze chwile dowodził w żywe oczy, że on twoją opinią utrzymywał, i od początku ci mówił to, coś ty miał za swoje. Nigdy się nie dał zwyciężyć, bo zawsze wymknąć się potrafił — a gdy już do tego przychodziło, że dalej na stanowisku wytrwać nie mógł, wywijał koziółka i spychał cię w jamę, a sam zostawał na brzegu. W ostatku mocno krzyczał i tak długo, że go przeczekać nie było podobna, dyskuszja więc zawsze kończyła się na tem, że przegadał — a jeśli mu twoja prawda przypadła do smaku, to ją sobie włożył jak cudzą czapkę przywłaszczając bez ceremonji.

Czego nie chciał nie słyszał, co mu nie było potrzeba nie rozumiał, — głuch i ślepy kiedy to uznał koniecznem, conceptem się zasztukował, żartem cię odepchnął, a że najmniejszej nie miał logiki, nigdy go zwyciężyć nie mógł, bo ci skakał z trzeciego piętra na ziemię i z ziemi na poddasze, nimeś go mógł pochwycić za połę.

Zresztą byleby mógł deklamować, na wzór Balard'a, nie szło mu znowu tak bardzo jak skończy i przeciw czemu stawać będzie; — brał co z brzegu napadł, a choć nie daleko zaszedł z ciężarem, tyle młynków nawykręcał, że znużył w końcu najcierpliwszego i pozor nie utrzymał się przy swoim.

W domu jak w szkołach miano go za mały genjusz w pieluchach, Balard wiele z niego rokował dla barbarzyńskiego kraju, któremu ta gwiazda świecić miała, matka obowiązkiem swym tylko sądziła wstrzymać i hamować rozwój zbyt szybki umysłu tak zna-

komitego, zwracając dziecię ku światu, aby zbyt nagle nie wyolbrzymiało. Uwielbienie domowe, panowanie w szkole, pochwały nauczyciela, dały Konradkowi zarozumiałość potężną, chociaż źle mówię — poczciwy Konrad w gruncie przekonany był mocno, że jest oślątkiem i nie wiele umie, ale udawał zarozumiałego jak wiele jemu podobnych, żeby się rozumniejszym wydawać.

Świetne te powodzenia póty trwały, póki ze szkół nie przyszedł czas przeniesienia się do uniwersytetu.... Balard, który kawęczał na pedagrę, pozostał na wsi na łaskawym chlebie, a raczej na bułce łaskawej, gdyż chleba naszego nie jadł, — a Konradek emancypowany przybył do Wilna.

Matka jego i Balard utrzymywali, że bardzo potrafi sobie dać rady na świecie, ojciec trochę się obawiał niedoświadczenia, ale on tam nie wiele znaczył, służył tylko do przyjmowania gości i łajania sług, gdy był ku temu przez samą panią komenderowany. Konradek więc przyjechał do Wilna z kamerdynerem, z kredensem, z toaletą, z dosyć dobrym zapasem pieniężnym i znaną nam już zarozumiałością. Chciał on tu z nią iść dalej nieprzerwanym ciągiem tryumfów, i pierwsze robiąc znajomości, tak się postawił jakby o należne sobie panowanie upominał, ale wszędzie to łatwiej mu pójść mogło niż między młodzieżą, która ma instynkt świeży i niemylny, a poznaje człowieka nie wiem jak, rzekłbym węchem, bo pewnie nie z doświadczenia, ale nadzwyczaj trafnie.

Konrad był z kilkuset młodzieży ówczesnej, jedynym takim elegantem i paniczem; mieliśmy wprawdzie drugiego w tym rodzaju, ale tamten wcale się z ogółem nie mieszał, na lekcje tylko przychodził, a w ulicy towarzyszków nawet nie poznawał.

Konrad może, gdyby także w niszy ołtarzowej za firankami pozostał, uchodziłby może za zjawisko ciekawe i istotę wyższą, ale jak skoro zstąpił z piedestału między prostych śmiertelników, gdyśmy mu pod płaszczy i pod czuprynę zajrzeli, okazało się tam więcej wiatru i nadęcia niż istoty.

Myślał zaćmić towarzyszków i zrazu przysłuchiwano mu się uważnie, ale młodość nie ma litości; jak skoro jeden, drugi złapał go na bąku, a z szelestu słów nie się nie dało wycisnąć — urok pękł i Konrad został zdegradowany na prostą sroczkę wielkiego świata. Choć te zadania, z którymi występował, po większej części obce nam były — lepiej usposobione umysły oswoiły się z niemi, wślad pobiegły za reformatorem i ile razy utknął, okrywały go nielitościwym szyderstwem.

Konrad wprędce postrzegł, że tu komedij grać niepodobna, że nie omami nikogo, i ostrożniej coraz występował na plac popisu, bo czuł żeśmy wymacali jak płytkim był w istocie. Śmieliśmy się, ale że wiele miał dobrego w sobie i serce pocziwe, że się nie gniewał za gorzkie prawdy, a w cztery oczy pokorniał, byle go publicznie nie zbijać, że od nas nie stronił i owszem pobity zbliżał się do nieprzyjaciół, podaliśmy mu dłoń serdecznie.

Bawiły nas jego marzenia i ta łatwość z jaką umiał najdłuzsze plany reform tworzyć tak szybko jak domki kartowe; — nie trzymało się to długo, ale miało minę czegoś i pozór budowy. Niewyczerpany w opozycji, przy łada zdarzeniu surowy uczynił rozbiór świata i wskazywał smutne jego kalectwa.

W nas wszystkich było potrosze skłonności do idealnego na życie poglądu, każdy sobie świat także przetwarzal, oczyszczał, stroił; więc choć Konradek bałamucił, chętnie z nim puszczaaliśmy się w te nadpowietrzne podróże, do których młodość dawała nam skrzydła.

A! smutny to już wiek, w którym człowiek na utopje i marzenia nie choruje, gdy się pogodzi z kałużą i wygodnie mu w niej, powie sobie: Tak mi dobrze — a reszta fraszki! gdy tysiące zawodów wzbudzi w nim niewiarę i pogardę człowieka! Myśmy naówczas jeszcze nie doszli do takiego odczarowania, każdy z nas miał swój ideał świata, wierzył że go piersią gorącą ożywi, że w nim zaszczerpi miłość, zgodę, braterstwo, że poprawi, że wyapostoluje prawdziwych chrześcijan wśród pogaństwa.

Dla tego i ciągle wpadający w niedorzeczność i sprzeczność z samym sobą, zapominający dziś co mówił wczora paniczek-demokrata, był nam ukochanym bratem.

Sądziliśmy że lepsza myśl goła co się kiedyś w czyn wcielić może, niż sfalszowanie myśli na poparcie złych czynności. Nie dobre jest rozdwojenie w człowieku dowodzące słabości, ale ono lepsze może niż zupełne zaparcie się ideału, i podtrzymywanie krzywej drogi krzywszem jeszcze rozumowaniem. Z tego stanu rozdwojenia kiedykolwiek wyniść można, bo myśl i słowo choć nie rychło, choć cząstkowo pociągną do czynu, robi się choć maluczko, i to dobrze; ale zupełnie obłąkany człowiek, nie ma zasady, z którejby mógł się nawet odrodzić.

Konrad jakkolwiek się starał wygrać przed nami rolę myśliciela, wprędce okrył się śmiesznością; nie tailiśmy się przed sobą i przed nim z wrażenia jakie czynił, i powoli żartować poczeliliśmy przy każdym spotkaniu. Nie zraził się tem wcale, ale podwoił dozę komedji, i starał o popis, co podwoiło śmieszność. Konrad wszedł w lik oryginałów, których naszemu społeczeństwu nie brakło. Im więcej się czuł upokorzonym jako genjusz, tem z gorętszem staraniem zwracał do paniczekowstwa, stroju i elegancji. Dla nas zaś, jakby się chciał od żartów wykupić, był dziwnie uprzejmy, grzeczny, dobry, i stał się co się zowie kolegą, i nie raz poświęcił wieczór w mieście dla towarzyszków, dał się nakarmić niepocziwem jadem dla miłości ich, i zaszargał na przechadzkach, aby od ogółu nie odstąpić.

W jego miłutkich wyświeżonych pokoikach każda wizyta czyniła rewolucję i szkody niepowetowane — nigdy jednak nie syknął na to barbarzyństwo z jakim zabłocone bóty szarzały jego kanapę adamaszkową, fajki popiołem posypywały dywan, a herbata plamiła mu serwety z kutasami, które pokrywały stoliki. Nieraz boleśnie uczuć musiał rozbity bursztyn wspaniały, złamaną antybkę i jaśmin, splugawioną posadzkę woskowaną, przewróconą toaletę, — ale się śmiał i ścisnął,

dziękując za te dowody koleżeństwa i poufałości z heroizmem, który ocenić umiano.

Pomimo najusilniejszego starania o zjednoczenie się z ogółem duchem i dlonią, Konrad skutkiem wychowania swojego prawie domowego, mimo najlepszego serca, pozostał zawsze po trochę za obrebem akademickiego życia. Wszyscy tak zwani paniczekowie, a szczególnie ci, którzy szkół nie przeszedłszy, odrębnie wychowani byli, nie mogli się wcielić w akademicką całość. Nie odbywszy nowicjatu ławy szkolnej, nie mogli być przyjęci do tego zakonu braci, ku którego ostrości przygotowani nie byli.

Z iluż to łez, szturchańców, kulaków i praktycznych życia nauk drobnych składa się ten nowicjat straszny a potrzebny, to inicjowanie do żywota, tyle nauczające głównych cnót: pokory, miłości, szlachetnego wytrwania i ofiary dla ogółu! Student nie wiele uczy się w szkole, dużo nabiera złych nałogów przez zetknięcie z zepsutszymi od siebie, ale pomimo to nie nie sposobi do życia nad ławę szkolną, w której wpaja się często boleśnie zasady najpotrzebniejsze na przyszłość. Dzieja się i tu niesprawiedliwości, bo ten mały światek jest miniaturą większego, ale jakże natychmiast na wierzch wypływa z właściwą młodości szczerotą — podłość, egoizm, bojaźliwość, sobkostwo zasłaniające się kosztem cudzym! jak srogo karca dzieci same siebie za zdradę!

Towarzystwo i opieka pana Balard'a, który z Konradem kończył szkoły i pilnował go, aby się z gawiedzią ubogą syn dostojnych rodziców nie pospolitował, uchroniła go od kulaków i zetknięcia z niemówiącymi po francuzku ekonomczykami, ale zostawiony sam sobie Konrad poczuł że mu wiele brakło, że obcy był wśród tłumu, że ciężko mu było w nim się obyć i wyżyć w atmosferze, z którą nie oswoił się wprzód. Dobrą wolą i dobrem sercem nadstarczał za to co mu brakło, ale cierpiał i bolał wśród swoich, nie czując się swobodnym i pewnym siebie.

Daleko lepiej mu było w świecie starszych, w salonach, do których uczęszczał gorliwie, zrzucając chę-

nie, gdy tylko okoliczności bezpiecznie to uczynić dozwalały, akademicki mundurzyk, gdzie się nie spodziewał zastać ani Pietraszewskiego, ani Giedrojcia, ani pocziwego wreszcie Zabłockiego *). I gdy dla innych życie było jednolitem i jednolicem, bośmy je pędzili z sobą tylko i pomiędzy sobą, dla Konrada ono było podwójnem; — wpół akademik, na pół panicz, uczył się i balował, chodził na lekeje i na tańce, zdawał egzamina i kochał się w tylu przynajmniej pannach, ilu miał profesorów.

W tej epoce młodocianej gorączki, któż nie próbował kochać i nie był zakochany po uszy? Ale rozmaite bardzo były owe miłości; po większej części kochano się w pannach widzianych na balkonie zdaleka, przejeżdżających w powozie, do których zbliżać się nie śmiało, ani miano kiedykolwiek nadziei. Były to miłości rozpaczliwe, werterowskie, potokiem wierszy wylewające się na papier, kończące zmianą przedmiotu ubóstwianego... Inni szczęśliwsi kochali się w pierwszej z brzegu pannie, którą wypadkiem spotkali w domu dla nich otwartym. Ta miłość trwała czasem i długo i objawiała się gorąco, póki rodzice ostrożni, gdy wybuchować zaczynała, nie zamknęli drzwi przed nosem. Naówczas ścigano bóstwo po przechadzkach i kościolach... a zaklinano się w duszy: — Ta lub żadna!

Inni jeszcze kochali się w aktorkach, co czasem smutne wyradzało następstwa, lub pocieszne katastrofy, a najbiedniejsi kleili sobie ideały prostoty i naiwności z dziewcząt magazynowych i służących po kawiarniach, co także nie było bez niebezpieczeństwa.

Ale potrzeba serdeczna kochania objawiała się ogólnie, i wyjąwszy tych nieszczęśliwych, co czystego uczucia powziąć nie mogli, któż w mundurze chodząc nie

*) Nazwiska trzech naszych czasów pedelów uniwersytetu — Pietraszewski z medalami na piersi, dawny wojskowy, ni zły ni dobry stupajko, Giedroję mały blondyn, łysy, sprytny i przewrotny, Zabłocki poważny i dobre człeczysko. Giedrojcia się najczęściej obawiano.

kochał się? pod którymże nie było serce pełne marzeń i nadziei?

Konrad miał to szczęśliwe usposobienie, że się mógł jednocześnie kochać razem aż we trzech pannach, a póki na stronę jednej z nich nie przeważała się szala, pałał miłością równą dla wszystkich, zmieniając przedmiot a trwając stale w uczuciu. Rzucił potem razem wszystkie swe bóstwa, gdy mu nie dopisały, i brał inne, których stawał się wielbicielem na kilka tygodni... Skutkiem szalu zapewne, który go wówczas opanowywał gdy się kochał najgoręcej, najdziwniej kosiły mu się oczy, zapominał pilnować swego zęza i prawie straszno wyglądał.

Nie wiem dobrze czy pozyskał serce czyje, to pewna, że o mnóstwo ich się starał, a co dla nich w ofierze zbrukał paliowych i białych rękawiczek — niepoliczona. Zawsze wszakże przedmiot jego miłości musiał stać na wysokim szczeblu; najśliczniejsza panienka jak tylko nie bogata i nie mówiąca po francuzku, nie zwracała na siebie oczu jego, a w miarę niedostępności ideału powiększał się szal i miłość ku niemu. W parokształnym pierwszym namietności, najmniej trzy lub cztery razy na dzień przejeżdżał pod oknami pani serca swego, której firanki lub służącą tylko miał przyjemność oglądać, gonił za nią do teatru, ścigał na bulwarach, przybliżał się na balach... a po odbytych zaletach niemych, zrażony obojętnością lub tknięty słowem dwuznacznem, opuszczał niewdzięczną..

Próbował kochać się w mężatkach, ale przekonawszy się, że go to do niczego nie prowadziło, bo prawie zawsze dowiedział się potem, że go ktoś cywilny uprzedził, wołał poprzestać przy platonicznej miłości panien, dla których mundur akademicki mniej był wstępliwym.

Takim był Konrad, *unanimitate*, okrzyknięty Morusem, z powodu niewyczerpanych utopij, które miał ciągle na ustach; demokrata w słowach, panicz z pozorów, nie wyglądający wcale na to aby miał wiele skorzystać z pobytu w uniwersytecie. Uczył się tyle

tylko ile koniecznie było potrzeba, żeby stopień otrzymać i przebyć egzamina, a że los stworzył go na obywatela, wybrał sobie oddział prawny, który niby najskuteczniej przygotowywał do życia obywatelskiego, do zawodu urzędnika, jaki go mógł spotkać...

Opuszczał dosyć dużo lekcyj, a gdy inni czasami grzeszający tem samem, mogli wmówić nieubłaganemu Gedrojciowi i Pietraszewskiemu, że nie dostrzegł ich w tłumie, nieszczęśliwy Konrad ze swym pąsowo podbitym płaszczem i kamizelkami tak bił w oczy, że się wyklamać nie potrafił. Siadał przytem w sali zawsze tak na samym widoku, że gdy go nie było, zaraz brak jego czuć się dawał dobitnie — nie dostawało go widocznie. Były to niedogodności z jego położenia wpływające.

W tej galerji młodocianych portretów, którą przebiegamy na prędce, po Konradzie pierwszy się nam narzuca Cyryll (mniejsza o nazwisko), u nas znany pod imieniem Studni Mądrości, z powodu, że tak chciwy był nauki, tak zajądły w nabywaniu jej, iż mu ani jednego oddziału na który uczęszczał, ani lekcyj, ani nauczycieli nie wystarczało, i dwa razy tyle pracował co drudzy.

Cyryll był synem parocha unity, pocziwego księżyny, staruszka, który swe posłannictwo wiejskiego kapłana przyjął, pojął i wykonywał jak nie wiele spełnić są w stanie. Jedynakiem był u rodziców, ale sam ojciec choć mu probostwo mógł zostawić, odradzał stan, w którym ciężko podolać brzemieniu jakiego na barkach spoczywa. Pasterz wiejskiej trzódki, mawiał do syna, zbyt wielką odpowiedzialnością jest uciśniony — musi być nauczycielem, przewodnikiem, sędzią, świecznikiem przykładu dla swej trzódki — a któż z nas godzien stanąć na tak wysokim stanowisku, przy którym błędna i maleją największe na pozór i najświeższe społeczne missje innych ludzi?

W ubogiej sukni, w położeniu pokornem musi to być naśladowca Chrystusów, godzien dziecię Boże piastować na rękach czystych, wielki charakterem i nieposzlakowany w uczynkach; musi to być pracownik niezmordowany, stróż nieuśpiony, bo za wszystkie dusze, których na ramiona nie weźmie i nie przyniesie do wrót niebieskich, odpowiada, a Bóg jak Kaima o brata spyta go o nie: — Gdzie je podziałeś? I nie odpowie jak Kaim, że mu ich nie powierzono...

Ojciec tak przeraził Cyrylla trudnością podolania obowiązkom wiejskiego plebana, że go od duchownego powołania odstręczył; a że młode chłopię okazywało dary szczególne, pamięć szczęśliwą, ochotę do pracy niezmierną, sama natura wskazała mu drogę przez naukę do znaczenia i chleba — ojciec przyjął to z pokorą, posłuszny objawiającej się woli Bożej.

Cyryll także był dzieckiem wioski, i na dziecię zdrowe i silne wiejskiej chaty wyglądał. Nie był to piękny mężczyzna, ale człek zdrów, silny, nieuderzający ani czystością, ani regularnością rysów, przecież coś poważnego mający w fizjognomji i wyraz jakiś obudzający ufność i wiarę. Czoło panowało tej twarzy uspokojonej, zamyślonej, trochę przedwcześnie podstarzałej. Wydawał się też daleko dojrzalszym niż był w istocie; i znamiona statku i powagi uspokoiły oblicze, któremu brakło może świeżości i wdzięku. Była to jedna z tych twarzy co nie kwitną, ale też nie przekwitają.

Pod szerokiem i wzniosłym czołem uderzającym rozmiarami, świeciły oczy czarne, bez wielkiego ognia, z wyteżeniem spokojnem poglądające w głąb człowieka i świata. Wzrok jego nie był ciekawie roztrzępany i ruchawy, ale przywijał się i wpajał tak głęboko w przedmiot, że gdy z niego zszedł, już go sobie przyswoił i część jego zabierać się zdawał z sobą. Usta wczesną się także oblokły powagą i rzadko kiedy uśmiechały; nadto surowo od razu przywykał na życie spoglądać, nie w niem dlań nie było śmiesznego.

Cyryll z natury był powolny, zamyślony, małomo-

wny, ale nie nie czynił też na lekko, i czy co pomyślał czy wyrzekł, brał do serca, obiecawszy musiał dotrzymać, choćby go to najwięcej kosztować miało, czy dał sobie czy komu słowo, zaczawszy dokończył, z pół drogi nie zawróciło go zniechęcenie. Wcale nie samolubny, poświęcał się po cichu; o tem co czynił lub zamierzał robić nie mówił nigdy, nie pochwalił się, nie podniósł, nawet obwiniony nie łatwo chciał oczyszczać. Było może trochę dumy w tym charakterze zamkniętym w sobie przez uczucie godności, ale nie mającym z czem tać. Dla niego jedyną wyższość stanowił umysł, wykształcenie, nauka, a wreszcie uczynek — błyskotki nie mamili go wcale, nie kłaniał się im, ani bogactwu, ani imieniu, ani towarzyskiemu położeniu; — powierzchowność dumna nie onieśmielała go, władza nie obudzała postrachu, jaki na miłości własnej przerażonej o siebie czynić zwykła, gdy ją dotknie coś co podrażnić lub upokorzyć może.

Wszystkie te wielkie i gruntowne przymioty Cyryll winien był ojcu, który niepospolitym był człowiekiem przy swem ubóstwie i położeniu pokornem, i matce godnie posilkującej starcowi w wychowaniu jedynego syna.

Żadnemi oni nie karmili go złudzeniami, a smutna rzeczywistość krzyżowej drogi życia zawczasu odsłoniła się oczom Cyrylla; — nie miał prawie dzieciństwa i młodości, ale ciepło serca nie wygasło w nim, rozżarzyło się owszem, i tak był zbrojny na wszelkie życia wypadki, że nie dlań niespodziewanego nie mogło go spotkać, bo na wszystko był gotów.

Ojciec Cyrylla, którego dziad i pradziad przesiedzieli na jednym wiejskim probostwie, nie był pokaźnym ani sławnym, ale w istocie na swem miejscu wielkim człowiekiem, i na wszelkiem stanowisku jakieby zajął, równieby się odznaczył. Uczył się czytać na Piśmie Świętem, nie znał nic nad nie i Ojców Kościoła, świata mało, kątek swój, swoich parafian i obowiązki, ale nie zazdrościł nikomu i zdawało mu się, że berło piastuje...

Napojony przekonaniem, że powołanie jego świętem było i wielkiem, że życie całe i siły poświęcić mu było

trzeba, oddał mu się duszą i sercem. Pokochał lud, któremu przewodniczył, służył mu zapomniawszy o sobie. To też więcej tam był niż proboszczem — gospodarzem, ojcem, sędzią, pośrednikiem, stróżem, a plebanja dniem i nocą stała dla wsi otworem, i nie było doby, nie było nocy, by ktoś do niej nie zapukał przychodząc po radę, pociechę, pomoc, słowo, modlitwę.

Zwykle do tego stanu przywiązywała się jakaś chciwość groszã, skapstwo, pragnienie zbiorów i egoizm, który się wyraził w różnych dotąd znanych przysłówkach — ale nasz stary paroch od tej słabości całkiem był wolny. Miał jednego tylko syna, i dla niego spuszczał się na opatrność Bożą, braterstwo ludzi, pracę własną; na swą starość nie miał obawy o chleba. kawalek, żona zresztą podzielała jego spokój, i często w ich spżarence ubogiej, gdy ostatni garniec maki na podsitkowy chleb wychodził, uśmiechano się tylko do opróżnionej bodni, jakby z ciekawości kto też ją napelni, nie wątpiąc, że ręka Boża czyjaś tam dłonią przysypie. Nigdy też nie zabrakło chleba, bo się nim dzielono z ubogim i z chłopkiem i z psem nawet bezpańskim, co głodny zawył przed wrotami. Dobrodziejka tak była miłosierna jak on sam, a że się nie wstrzymywali oboje, robili więcej dobrego od wielu zamożniejszych.

— Jak jejmość myślisz, mówił paroch widząc nagiego dziada podedrzwiami, nie ma mu co dać, a stary płaszc, którym ja się w nocy okrywam wcale nie potrzebny, to czysty zbytek chować go... Możnaby mu go dać, a jabym się wysmieniecie okrył kielimkiem.

— Ale zapewne, mój ojczu, odpowiadała księdzowa... — i stary i dziurawy, kielimek cieplejszy, u nas to się wala, a dla ubogiego, to będzie wielka rzecz taki przyodziewek, nie zmarnuje się łachman przynajmniej.

I we dwoje potem wynosili stary płaszc, a nieraz pod równie dobrym pozorem i co nowszego. Ktoś im był parę łyżek srebrnych darował, ksiądz je bardzo lubił, leżały schowane w szufladzie z najdroższymi sprzętami; ale przyszła wiosna głodna, i jedną jejmość sama wyniosła ukradkiem by zboża kupić dla chłopka, drugą

tając się ksiądz sprzedawał na wołu do sochy, który księgosusz rozprzegał ubogiemu, oboje kryli się przed sobą, a gdy nareszcie prawda wyszła na wierzch uściskali się w milczeniu.

— A po co próżno miały w szufladzie leżeć! — zawołały oboje... — tak lepiej.

Życie poczciwego parocha płynęło spokojnie i jednostajnie jak mało jemu podobnych. Raniutko dzwonek budził go do cerkiewki, w której codziennie mszę świętą odprawiał, schodzili się na nią żona, domownicy nie zajęci pracą w powszedni dzień, a często słuchali i wieśniacy starzy, których nie przynaglała robota; młodszy zaś mijając wrota zasłi przynajmniej pokropić się święconą wodą u progu, przeżegnać, westchnąć, myśli o Bogu zaczerpnąć na dzień znoyny.

Cerkiewka była jakich u nas najwięcej stało przed laty, staruszka drewniana, niepokazna, ale tysiąc razy miłsza swą poważną starością, niżby najnowszy i najsmakowniej a chłodno wystawiony świeżo kościół. Wszystko w niej było pamiątką, każdy z ludzi miał tu swoje ulubione miejsce, ulubiony obraz i jakiś dar na ołtarzu. Jeden sprawił firanki, drugi kupił świece, inny wyrządził chorągiew, a nawet stare gosposie widziały na grubyh lichtarzach obwity len, który ofiarowały na cerkiew, aby im szczęścił się na zagonie. W dniu świąteczne ubierano staruszkę kwiatami, potrząsano podłogę tatarakiem, ostawiano ściany zielenią.

Nie było tu ani pięknych obrazów, ani bogatego sprzętu, ani przyborów kosztownych, z lepszych tylko czasów została złocista monstrancja, kielich wyrabiany, krzyż srebrny, i N. Panna w głównym ołtarzu miała kilka wotów przy pięknie i misternie trybowanej sukience. Obok jej wizerunku świeciły kilka blaszek wotalnych ofiarowanych przez zamożniejszych parafian; ale ręce, nogi i serca ulepione z żółtego wosku, pozawieszane na prostych sznureczkach, kto wie czy nie większym były darem nad srebro i złoto. Wisiał tam i nie jeden pierścionek ślubny i spinka od żupana z dawniejszych jeszcze czasów, świeciła nawet gwiazda szam-

belana, dawnego wioski dziedzica.

W bocznych ołtarzach Ś. Mikołaj i Ś. Bazyli stali w uroczystych szatach, błogosławiąc ludowi swojemu. Półtora sta lat bytu nagromadziły tu licznych darów pamiątek skromnych, lecz wiele mówiących; wiedziano kto posprawił chorągwie, kto oprawił ołtarzową ewangelję, zbudował rzeźbioną chrzcielnicę; — wieśniacy przywykli byli do twarzy rzeźbionych aniołów otaczających ołtarz i ambonę, do małych obrazków poprzybijanych na ścianie — a ileż to pokoleń przeszło z szeregu bratczyków koleją na cmentarz za wsią.

Dawniej pole umarłych, rola święta otaczała cerkiewkę, dziś przeniosła się dalej pod kapliczkę na polu, ale stare mogiły, na których gdzieniegdzie stały krzyże, czerniały jeszcze pomiędzy lipami.

Paweł kochał swoją cerkiewkę jakby narzeczoną, codziennie przedemszą i po mszy musiał ją obejść razy kilka i szczegółowo obejrzeć czy gdzie nie było dziury w oknie, czy dach nie zaciekał, czy się co nie popsuło przy ołtarzach.

Swoją ręką poprawiał zaraz uszkodzenia, a gdy podołać im nie mógł, odwoływał się do parafian i w różnych wyrazach żądał pomocy, której mu nigdy nie odmówił lud do niego przywiązany.

Zaraz po mszy powracał wolnym krokiem do plebanji, gdzie najczęściej u progu czekali już nań różni ludzie z prośbami i o radę.

Zasiadał latem w ganku na ławie, i tam, jakby *inter leones* odbywały się te poczciwe wiece, te sądy chrześcijańskie, które sobie miał za najświętszy obowiązek. Nieraz ojciec przychodził radzić się o dziecko, lub krnąbrne przyprowadzał, aby z ust staruszka prawdę usłyszało, żona przybiegała z żalem na męża, mąż na żonę, a gdy winnego powoływano, nigdy nie zaprzeczył tej władzy szanowanej, którą świętość parocha czyniła nienaruszalną. Słuchali go wszyscy chętnie, a że ciemu jego i skromnemu życiu nie zarzucić nie było można, że czynności jego w zgodzie były z Ewangelją, którą im czytał i wykladał, nigdy się żaden nie pod-

niósł przeciw niemu.

Prosta to była postać, z twarzy do otaczających wieśniaków podobna, tem dla nich większa, że żyła ich życiem, w takiej prawie jak oni mieszkając chacie, tymże powszednim kontentując się chlebem, suknią szarą, nie wynosząc się nad nich, ani pragnąc od nich odzielić. Całą wielkość kapłana stanowiła świętość i zaparcie siebie dla drugih.

Chociaż musiał jak wieśniak na chleb swój pracować, bo od gromadki swej mógł mieć mało, a nie nie wymagał, stary pleban nie bardzo się zajmował gospodarstwem, a szło jedną łaską Bożą tak, że głodu nie cierpiał. Nie posłyszalesz tam skarg zbytich na nieurodzaj i klęski, a gdy się nie powiodło, znalazła się zawsze jakaś misternie utworzona pociecha, by gorzki kęs osłodzić.

— Ot i dobrze! mówił paroch... chwala Bogu że nie urodziło, czlekby zabogaciawszy o Bogu zapomniał, nie miałby powodu doświadczenia pokory, z którą do pocziwych ludzi udać się musi o pomoc, a oni by zręczności nie mieli spełnić dobry uczynek.. Wie Pan Bóg co robi!

Było to jego ulubione często powtarzane przysłowie, które jak ogólne lekarstwo do każdej przykładał rany.

Jeżeli na ławie zasiadłszy nie doczekał się nikogo zrana, szedł potem z książką nabożną na pole, rzadko na swoje własne, częściej tam gdzie pracowali ludzie, gawędził z niemi wesoło, czasem usiadłszy na sнопie zagadał się do połudenka i nie rychło na plebanję powracał. Te jego pielgrzymki zawsze coś dobrego przyniosły, wesoły i dobrej myśli pocieszył nie jednego, rozgniewanego upamiętał i uspokoił, poważniejszych zgodził, a czuwaniem tem wiązał się codzień ściślej ze swoją gromadką, która go miała za ojca. Jak najdalej go zobaczywszy biegły do niego dzieci, pewne że dla nich ma coś w kieszeni, lub przynajmniej przyjaźnie po twarzy poklepie, i gospodarz zwracał z drogi, gospodynie spieszyły do drzwi na jego spotkanie.

W tych pielgrzymkach upływał czas do objadu; a

w chacie, którą nawiedziła choroba, smutek, strata, nie-szczęście, niezgoda, często po całych dniach przesiadywał. Z ludźmi postępował jak z bracią — nie karciał, nie fukał, ale nachmurzone brwi jego straszniejsze były, niż innego groźby i lajanie.

Wróciwszy zasiadał do stołu, a strawa to była niewymyślna, prosta, wieśniacza, przy której rzadko się ktoś obcy nie pożywił. Najczęściej tuż przy progu znalazłeś dziada żebraka z garnuszkiem u pasa, który opowiadaniem jakim ubawiał gospodarzy.

Potem jeśli nie nie powoływało do drugiej wioski, do chorego, na pogrzeb, paroch zajmował się Cyrylkim i spędzał przy nim pozostałe do wieczora godziny. Szedł jeszcze na wieczorną modlitwę do cerkiewki; tam ją klęcząc przed ołtarzem odprawiał i powracał na plebanję ze starostą niosącym klucze, resztę dnia spędzając na rozmowie z żoną, synem i czeladką. Rzadko wszakże dano mu z niemi pozostać sam na sam — i takie było nawyknięcie udawania się do proboszcza, że mało który wieczór bez gościa się obszedł.

To ktoś ze dworu, to wójt, to stary gospodarz jaki, to szlacheccy sąsiad, spędzali z nim pozostałe dnia godziny. Czasem nagle jak piorun porywała go z pod strzechy wiadomość o chorobie lub potrzebie pomocy duchownej, i nie patrząc pory, pieszo zakasawszy poły, z kijem w rękę ruszał zaraz gdzie głos nieszczęścia go wołał.

Pocziwa żona choć troskliwa o jego zdrowie nigdy go nie wstrzymywała zbytkiem obawy od spełnienia obowiązku, a gdy cicho szepnęła czasem żeby się lepiej odział, odpowiadał:

— Nigdy powinność odbyta nie zaszkodzi, nie poczuje ani chłodu ani głodu.

Istotnie też do późnych lat trzymał się starzec cudem prawie rzeźwy, krzepki i wesoły, z uśmiechem dobrodusznym, który zawsze usta jego umilał. Twarz jego bardzo przypominała Ś. Wincentego a Paulo, ten sam mając wyraz świętości, dobroci i słodyczy.

W takim to domku ewangelicznym, gdzie każdy

dzień poczynął się od modlitwy, zajmował pracą cały, a kończył przed obrazem Chrystusowym śpiewaną pieśnią pobożną, — Cyryll urodził się i wychował. Jak go kochali rodzice, potrzeba opisywać?

Może z tej troskliwości o dziecko, widząc w niem charakter i upodobania z którymi by ciężko mu było sprawić po ojcu obowiązek parocha, staruszek nie skłaniał syna do stanu duchownego, i dozwolił mu pójść tą drogą jaką sobie sam wybierze.

Cyrylek od dzieciństwa miał namietność do książek; nie umiejąc prawie czytać już bawił się niemi i uspakajał w placzu, potem schwyciwszy elementarz, pobożne modlitewniki i co tylko miała plebanja, pożerał, czytać jeszcze dobrze nie mogąc. Nie pędzić go ale odpędzać było potrzeba od nauki, której pragnął nadewszystko. W plebanji nie wiele się czem mógł pokarmić, i wkrótce przebrały się zapasy, tak że Cyrylkowi zabrakło pożywienia.

Sam ojciec nauczył go czytać po polsku i po słowiańsku, dał mu pierwsze początki łaciny, pojęcia obowiązków człowieka, które najlepiej wszczepił przykładem.

Lecz czynne życie nie było widać przeznaczone Cyrylkowi, który od niego uciekał do książki jak pod opiekuńcze skrzydła pokoju. Często w fasolowej altance na ogródku, łapano dziecię na uczynku z wielkim foljantem żywotów lub łacińskim jakim szpargałem, usiłując dociec co znaczą głoski i co zamykają słowa.

Nie godziło się tak wyraźnemu sprzeciwiać powołaniu; Cyryll był niepospolitem dziecięciem, ale gospodarze wiejscy od razu postrzegli, że im ojca nie zastąpi.

Mądry to będzie człowiek, mówili, ale z niego taki ksiądz jak nasz dobrodziej nie wyrośnie.

Widzieli to ojciec i matka, nie śmiejąc mu przeszkadzać, ale po cichu nieraz westchnęli oboje myśląc, kto w tym starym pochylonym pradiadowskim domku zamieszka? Kto obejmie po nich opiekę nad wsią i ludem przywykłym do starego parocha jak do ojca? Żal im było oddać w obce ręce tę chatę, w której mieszało tyle szczęścia, taki spokój święty przez lat wiele!

— Ale, dodawał stary — Pan Bóg wie co robi, nam się woli jego nie sprzeciwiać.

Cyryllek wrędcę zapotrzebował nauczyciela, a nie bardzo go mieli czem zapłacić, ojciec nie mógł mu się oddać cały, mając inne większe obowiązki, pomyślano więc o szkole i pierwszy raz może w życiu gdy przyszło do niej oddawać Cyrylla, pleban westchnął że grosza przy duszy nie miał. Chłopczyne i oporządzić było potrzeba i książki mu kupić i stół a pomieszkanie i opiekę zapewnić... wszystko to na Bożym świecie kosztuje, i nie nigdzie darmo nie dają.

O tej prawdzie tak dla innych powszedniej i pospolitej, starzec niemal się pierwszy raz dowiedział, tak była mu obcą. Świat jakoś dziwnie mu się wydał pogąński. Nie zwątpił jednak o sercach ludzkich, o przyszłości, i ufał w opatrną pomoc Bożą. Ze starej sutanny wysztukowano przyodziewek skromny, oporzadzono chłopca, ale stół, mieszkanie, książki, za co było dostać, czem okupić? Łyżek srebrnych już nie było, nie do sprzedania w domu, wyciągnąć rękę trudno kapłanowi, jeden tylko konina stał na stajni, i tego często potrzebowano. Obejść się bez niego było ciężko.

Paroch z żoną poczęli się naradzać.

— Co tu począć? co począć? jakby to temu podolać i za Cyryllka zapłacić?

— Konia mi szkoda, mówił stary, ale nie ma sposobu tylko go sprzedać muszę... Pocziwe to stworzenie, najwięcej mnie boli, że się w złe ręce jakiego okrutnika dostać może, co się z nim źle będzie obchodził.

— Ale i tobie bez niego zejść na piechotę...

— A mnie on na co? podchwycił księżyna — czy to ja gdzie jeżdżę? piechoto nawet daleko zdrowiej i prawdziwie po apostolsku... a nie tak stare kości trzęsą się jak na wózku. Jejmości to do miasteczka... ot sęk!

— Zmilkuj-że się... któryż z gospodarzy naszych mnie nie podwiezie, sami się o to napraszają... a mnie koń na co?

— Mnie też tak jak niepotrzebny, ale bestja poczciwa!

I tak sprzedać go postanowiono; wyszukać tylko należało kto go na jarmark poprowadzi.

W wigilią tego dnia ofiary, paroch sam nakarmił faworyta na pożegnanie, dobył siana z zastronka, nasypał owsa żłób pełen i cichą łzę otarł, zmuszony rozstać ze swoim Grzywiakiem. Takie imię nosił ów poczciwy gniadosz, któremu potrzeba oddać sprawiedliwość, że miał i rozum wielki i charakter jak na konia łagodny i dobry. Poznawał wprzężony do wózka, po sposobie ładowania go i osobach, które doń siadały, gdzie się ma udać z niemi, stawał sam, zawracał, nie potrzeba nim było kierować. Sam ze stajni wychodził i do niej powracał, i szkody żadnej nie zrobił; miał tylko tę, w stworzeniu naturalną zazdrość, że chłopskich koni, zachodzących czasem przypadkowo na dziedziniec, nie wpuszczał i wyganiał z niego, zagryzając do krwi, gdy się upierały jego trawę skubać przed plebanją.

Dobrodziejce także bardzo było smutno pozbawiać się Grzywiaka, ale czując jaką ofiarę mąż robi, nie śmiała pary z ust puścić, a sama jeszcze namawiała do sprzedaży.

Cały wieczór chodzili oboje zasmuceni i milczący, a pleban powtarzał: — *Alea jacta est...* Bóg wie co robi...

Posłano na wieś po gospodarza Mryhuba, aby wziął konia do swojego wozu i poprowadził go z sobą, a ksiądz dziwował się czemu Mryhub nie przychodził.

W tem dość już późno, zaszurgotało coś w sionce, szmer jakiś dał się słyszeć, i gdy drzwi się otwały, ujrano naprzód wezwanego Mryhuba, za nim sześciu najstarszych ze wsi gospodarzy, którzy stanawszy w progu, kłaniali się do ziemi dobrodziejowi. Przed nich wystąpił najwymowniejszy z gromady Kalenica, *natus orator* wioski, i nim pleban miał czas zapytać co ich sprowadziło, śmiało i jasno w imieniu wsi całej wyrzekł, że księdzu konia sprzedawać nie pozwolą, a Cy-

ryllka biorą sobie na własny koszt.

Można się tego było spodziewać po wychowawcach poczciwego starca, a jednak obojgu księdzostwu łzy zwilżyły oczy, a pleban w mileczeniu począł ścisnąć i Kalenicę i Mryhuba i ile ich tam było.

Moje dzieci, rzekł po chwili, jakie to dla mnie szczęście ta wasza ofiara, tego ja wypowiedzieć nie potrafię. Bóg widzi! nie żebym był chciwy cudzego, ale żeście mnie nią o sercach swych przekonali, że ziarno nie padło na rolę suchą i skalistą. Ale mogę ja to przyjąć od was? Wyście sami ubodzy, nie urodziło wam, potrzeby wielkie, środki małe, łatwiej mnie pozbyć się Grzywiaka, niż wam składać się po groszu na moje dziecko.

Długo tam dosyć walczyli z sobą, ksiądz z jednej, gromada z drugiej strony, aż wreszcie zapłakany paroch przyjąć musiał ofiarę, i wyściskawszy parafian, odprawił ich błogosławieństwem żegnając w ganku.

Szła za nim księżkowa i dzieciak rozczuleni, a nie zadziwicie się gdy powiem, że potem całą noc nie spali, bo i szczęście sen odbiera.

Grzywiak w swej stajence pozostał, a Cyryll pojechał dobrze opatrzony z ojcem i z Kalenicą do szkółki w pobliżu miasteczku. Dziecku żal było domu, ale go nęciła nauka i dopadłszy źródła, zajadł się z niego począł upajać. Inni czasem zadziwiają talentem i żywością umysłu, ten zdumiewał pracą i wytrwałością cichą, dojrzałością wczesną, zastanowieniem nad latami. Smutno było patrzeć na dziecko nie mające dzieciennych upodobań, nie dzielące zabaw, nie dające się roztrzępotać i rozweselić, zawsze zadumane, milczące, pokorne i zatopione w rozmyślanii; ale w tym nadzwyczajnym jego rozsądku nie znać było cierpienia i walki, przychodziło mu to naturalnie, z konieczności, usposobienia i temperamentu.

W tej niższej szkółce Cyryll więcej się nauczył od drugich, więcej z nauczycielami przebywając niż z uczniami, mając przystęp do zapylonej biblioteki monasteru, do której nikt prócz niego nie chodził. Łatwo mu było

uzyskać pozwolenie korzystania z niej, gdyż od lat kilkudziesięciu całkiem jakoś zapomniana została. Jest to los wszystkich takich zbiorów, które jeden czynny pracowity człowiek zgarnia, ściaga, gromadzi, a następcy opuszczają, zapominają, rozsypują...

Do starych ksiąg, głosów dalekiej przeszłości, mało kto ma powołanie, straszą tu foliały, trupy świadki umarłej epoki, mówiące o niej i wyrażające potrzeby i pojęcia nie istniejące; człek musi nagiąć się, by je pojąć i słowo zawarte w tej twardej łupinie wydobyć. Cyryll był tu jak w domu, instynktem jakimś trafił gdzie mu było potrzeba, domyślał się rzeczy nieznanym, łapał cele ukryte, odgadywał najtrudniejsze zadania.

Śmieszno i dziwno było zarazem widzieć go zagrzebanego w tych pergaminowych stosach ksiąg, które on po swojemu porządkował, ustawiał, składał, i nie wiele jeszcze korzystać z nich mogąc, poił się wonią, którą wyziewały.

Miał on to przywiązanie do ksiąg rzadkie, a niewytlómaczone, które czasem w monomanią przechodzi; nie tylko bowiem próbował je czytać i coś z nich zdobyć dla siebie, ale szanował jak coś świętego i wielkiego, jak rzecz najdroższą na świecie. Trafiło mu się na śmietniku zbierać rozerwane karty z poszanowaniem z jakim Mahometanie podejmują wszelki mały zwitek, widząc na nim zapisane imię Allaha.

W ten sposób, w wieku gdy drudzy ślęczą niechętnie nad początkowymi kilką podręcznikami, on już poczynił żywot uczonego od kąpieli w zbutwiałych papierach. W bibliotece był jak w domu, czuł się na miejscu i wkrótce prawdziwym stał się gospodarzem, bo każde w niej dzieło znał z twarzy i pamiętał, a gdy mu przyszło porzucić szkółkę, na równi z nauczycielami biblioteki żałował, żegnał się z nią jak z przyjacielem.

Taką już drogą i dalej pójść musiał, ale nie długo ciężarem był gromadzie, która go utrzymywała, potrafił już uczyć młodszych, na chleb sobie zapracować, co lży pociechy wycisnęło z oczów rodziców. Stateczny

i poważny nad wiek, pożądanym był dozorcą, rodzice już się o chleb powszedni dla niego nie potrzebowali kłopotać.

Każdy jego przyjazd na święta, był dla nich chwilą nieopisanego szczęścia, bo ich umacniał w spokoju o przyszłość dziecięcia, które coraz mniej opieki potrzebowało. Nie dziwił się ani przeciwil pleban temu, że syn jego pierwsze grosiwo zapracowane zaraz począł na książki obracać, i co mógł gdzie dostać zwoził, składając do rodzicielskiego alkierzyka. Namiętność do książek rozwinęła się w nim do tego stopnia, że nie mając surduta i bóty bardzo lichy, kosztowne jak na swą kieszeń kupował już dzieła i bibliotekę gromadził, cdejmując sobie od gęby.

Kiedy go w domu nie było, a osieroceni starszucowie chcieli się jego przypomnieniem ożywić, szli wówczas do alkierzyka, i oboje opylali, przekładali, czyścili z pajęczyn stosy książek, które Cyryll tam zostawiał.

Na okolo nich stały pułapki na myszy aby chciwy ząb ich nie uszkodził skarbu, od pyłu kilimek osłaniał. Ojciec sam tak się przejął miłością ksiąg synowską, że po wsiach i dworach zebrał niemal o stare szpagaly dla syna, a gdy przybył na wieś Cyryll, zasadzał go potem zacierając ręce i chodząc do koła, aby tę nową zdobycz ocenił.

Nauki szły Cyryllkowi bardzo łatwo; — chociaż mógł był wyprzedzić współuczniów i zdać egzamina do klas wyższych od razu, bo się do nich przysposobił, nie śpieszył wcale, i pracując a idąc naprzód nie prześcigał tych, z którymi razem drogę rozpoczął.

Pocziwe to dziecko tak zaprzątnione jednym, zajęte pracą, choć wzbudzało w starszych szacunek, a płochych rozśmieszało powagą, wskazywane było palcami; prześladowali je towarzysze uczonością, bawili się jego zobojetnieniem na wszystko co nie było książką. Na ogólnych zabawach Cyryll choć się znajdował, tak do nich był niezgrabny, że pocieszenie nań spojrzeć było gdy się do nich brał za wyższym rozkazem.

W dziecku tem nic nie było dziecinnego.

— Na coś to osobliwszego wyrośnie! — mówili nauczyciele.

— Monoman, — szeptali drudzy.

— Wątpię, żeby się to wychowało, bo to coś fenomenalnego, powtarzali inni — to nie jest rzecz naturalna w dziecku takie oddanie się książkom i nauce.

Skończywszy szkoły, a nie zebrawszy na chlebnie dozorczy nic prócz znacznej ilości rozmaitych szpargałów, Cyryll powrócił do domu z upartą myślą udania się do uniwersytetu. Ale tu nowe przedstawiały się trudności prawie niepokonane, brak grosza, wielkie oddalenie, podeszły wiek rodziców tęskniących za jedynem dzieckiem.

Cyryll nie obawiał się niedostatku ani walki z biedą, ale mu żal było staruszków opuszczać, którzy go tak ukochali, że miłości swej niemal zapierali się i taili z nią, aby ona go nie wiązała. Powrócił znowu na parę miesięcy do cichej plebanji i zamyślił się czy nie należało mu uczynić ofiary z siebie dla ojca i matki. Gotów był zostać księdzem, by ojca wyręczyć; serce ciągnęło gdzieindziej, ale obowiązek zdawał się tu przykuwać.

Rodzice milczeli — paroch owszem namawiał, aby się z wyznaczonej mu palcem Bożym drogi nie zwracał.

— Mój drogi Cyrylku, — mówił — są skazówki w życiu pochodzące od Boga, które człowiekowi cel jego wyznaczają, i przeznaczenie oznajmują. Nie jestem ja, uchowaj mnie Boże, fatalistą, ale wiem przecie, że Opatrzność opiekuje się nami, rządzi, pomaga. Wolno człowiekowi postąpić przeciw natchnieniu z góry, ale mu to nigdy na dobre nie wyjdzie. Ten, któremu w dzieciństwie Bóg zesłał przeczucie przewodnicze przyszłości, grzeszy gdy go nie słucha... Innym zbywa na niem, ci idą ślepo, ale wybranych oświeca łaska z góry, a przeciwie się jej zgubna. Tobie widocznie znać powiedziano, że ludziom się przydasz nauką, słuchaj-że co każą. Dla nas moje dziecko ofiara twoja byłaby bezpożyteczną, dni naszych maluczko jest i policzone one

są, my cię z daleka przez góry i morza widzieć będziemy i cieszyć się tobą... idź! idź! Ale dokąd pójdziesz i o czym? Nie wymawiam ci tego, ale gdyby teraz był ten grosz, który wyszafowałeś na książki, ani my ani tybys się tak nie kłopotał.

Cyryll na to całując rękę ojcowską odpowiedział ze wzruszeniem:

— Pan Bóg prowadził i pomagał, nie opuści i teraz, nie boję się ja ani dalekiej drogi pieszej, ani braku grosza mój ojciec. Mogłem nie ocalić tych ksiąg, które zniszczenie spotkać mogło, gdybym ja ich z rąk nieświadomych i obojętnych nie wyrwał? Wieleż to tam słów świętych, myśli wielkich, pamiątek drogich... jest-li coby przeszłość i tradycje rodu ludzkiego przechowywało lepiej nad księgi? nie obowiązek-że święty ochraniać je od zagłady choćby wielką ofiarą? Dają medale za ocalenie życia, jabym równie nagradzał za wyratowanie życia tego, które jest w każdej księdze... Z każdą zniszczoną książką ginie część jakaś żywota ludzkiego na ziemi.

Ojciec już nie nie rzekł, a matka staruszka pocałowała go w głowę.

— Jednak... szepnęła po chwili — jak to się tobie tam dostać? a dostawszy się poradzić na początek? Gdyby choć znajomy jaki, choć list do kogo?

Cyryll się uśmiechnął.

— Czyż mnie tam braknie znajomych i przyjaciół z ławy szkolnej, co mnie tam uprzedzili? No — a Pan Bóg, matuniu? Alboż to ja się zlekne niedostatku i głodu? czy to u nas kto umarł z niego? Pieniądzy mi wcale nie potrzeba, pójdę pielgrzymując od plebanji do plebanji i nikt mi drzwi nie zamknie. Tam raz w Wilnie, czy już sobie zarobić nie potrafię?

Rodzice oboje nie na to odpowiedzieć nie mogli, oni wierzyli w Opatrzność — tylekroć jej doświadczywszy.

Upłynął czas wakacyjny, nikt o podróży nie wspominał, przykrym to było dla wszystkich przedmiotem; — ojciec jednak odgadłszy niepokój Cyrylla postarał

się trochę grosza pożyczyć, połowę pola odnajął, i związał węzelek dla jedynaka.

Zapłakali gdy odchodził, bo nie to to już było co o kilka mil, do szkół, świat jakiś obcy, daleki, straszny... a starym przychodziło na myśl, że już może syna nigdy oglądać nie będą. Pieszko wyszedł ze wsi, matka, ojciec, gromada, wszyscy go przeprowadzili do krzyża. Tu po modlitwie cichej stary księżyna z wesełszą twarzą odwrócił się do dziecka.

— Jeśli nie tu to tam zobaczymy się, rzekł. — Nie potrzeba się daremnie rozłaziwać, lzy na oplakiwanie grzechów naszych zostawmy. Niech cię Bóg błogosławi synu! nie zapominaj! pisz często! pisz proszę.

— Pisz, dodała matka, nie zabądź rodzonych twoich... my za tobą tak tęsknić będziemy!

Kalenica czekał z wozem i Cyryll znikł im wkrótce w tumanach kurzu, a gdy powrócili na probostwo — tak było pusto, tak pusto! lzy się cisnęły do oczów.

Na stole otwarta książka, którą syn tam zostawił pozostała na pamiątkę przykryta serwetą... nie tknęli jej oboje... choć codzień chodzili do niej. Był to Nowy Testament, na którego rozłożonej karcie stały te dziwnie do nieobecnego dające się stosować słowa, których znaczenie ojciec wziął za dobrą wróżbę:

„I o to proszę, aby miłość wasza więcej a więcej obfitowała w umiejętność i w wszelakiem zrozumieniu: abyście doświadczyli co jest pożyteczniejszego, żebyście byli szczerymi i bez obrażenia na dzień Chrystusów.“
(*Ś. Paweł do Filipensów. k. 1.*)

I tak o kilkadziesiąt złotych powędrował chłopak spokojnie ku Wilnu; Kalenica dowiedział się do najbliższego miasteczka, a że się tu nie trafiła fura poszedł pieszko, co go nie zasmuciło wcale. Miał w kieszeni Elzevira darowanego na wyjeździe przez ekonoma z wsi sąsiedniej, i z niego powoli napajał się Virgilim, nie śpiesząc bardzo a dążąc do celu z ufnością szerokim gościńcem, który wiodł ku starej stolicy.

Trafiło się, że go ktoś podwiózł trochę, to znowu spocząć poprosił, nocował przy kościołach na plebanjach, popasał chlebem i wodą pod szumiącą jedliną, stanął posłuchać ptasząt, siadł poczytać Virgilego, trochę zamarzył, trochę zateśknił i tak się zbliżył do Wilna. Tu już koło Solecznik spotkał współuczniów, którzy go zabrawszy na żydowską brykę z sobą dowieźli do miasta. Ani na chwilę opuszczone dziecko nie doznało strachu i o los swój niepewności. W Wilnie zrazu ciężiej było coś znaleźć, ale mu pocziwa jakaś dusza nastreczyła ubogie dzieci, które dach i chleb dawały za naukę, a tó dwoje zapewniwszy sobie, nie wiele więcej potrzebował.

Czem mu najprzykrzej dolegało ubóstwo, to pozbawiając go możliwości nabywania książek. W ówczesnem Wilnie pełno ich było wszędzie, niezliczone falangi przemysłnych żydków roznosiły je po ulicach; — spotykało się z nimi wszędzie, w rogu Kardynalji, gdy uczniowie wychodzić mieli z uniwersytetu, pod Ś. Janem, w najdalejszych miasta zakątkach... Często jeden i ten sam Izraelita handlował sukniemi i mądrością narodów, dźwigając podarte mundury i stopy powiązanych woluminów. Cyryll pod pozorem kupna oglądał je ciekawie i nie raz stanawszy pod bramą, zaoskomiony pragnieniem, drżącą ręką przebierał te drogie zabytki, które niewiedzieć jaki los czekał. Żydzi nie znając się dobrze, prócz na malej ilości znajomszych dzieł, o reszcie sądzić się uczyli od tych co u nich kupowali. Handlarze uliczni wkrótce oswoił się z bibliomanem, który choć kupował rzadko znał się nie źle na wartości towaru, radzili się więc chętnie studenta, i przychodzili doń z nabytemi starożytnościami.

Na lekcje uczęszczał jak najregularniej, a resztę czasu spędzał Cyryll w bibliotece, którą poznawszy, gospodarzył w niej jak niegdyś w szkolnej, jeśli nie rękami to oczyma, spędzając godziny całe nad katalogiem i przy szafach...

Pragnienie nauki uczyniło mu wybór przedmiotu bardzo trudnym; byłby się uczył razem wszystkiego,

gdyby na to godzin mogło wystarczyć, ale potrzeba było wybrać jedno, i tem się ograniczyć. Nauczyciele i współpracownicy wskazali mu literaturę i filologję, która go usposobić mogła w przyszłości na profesora...

Najbiedniejszy to z chlebów ludzkich, ale jako powołanie najdostojniejsze; tu potrzeba istotnego poświęcenia, bo lada chłystek lepszego próżnując dobieje się bytu, nie nie nagradza pracy, zadanie trudne, przecież milującemu naukę miłe i słodkie. Cyryll musiał się chwycić pedagogiki, bo ona jedna najłatwiej mogła zbliżyć go do upragnionych książek, i przy nich zatrzymać na zawsze. Zaczął więc studia i zaraz się w nich odznaczył a nie zadowolniony niemi, na prawo i lewo zbijał się z drogi pochwytyjąc co było można, dodawał sobie godziny innych prelekcij, wkładał się na nie, i w milczeniu szeroki plan przyszłości zakreślał.

Należał on do szczupłej liczby zajadłych akademików, co przerażali nauczycieli niezmordowaną pracą i zapalem, namiętnością z jaką się parli do wrót świątyni.

Co najdziwniejsza jednak, studia poważne, odosobnienie w pracy, suchość zajęć, drobnostkowość ich nie ostudziły w nim wyobraźni, ani spętały myśli. Hlekróć sam z siebie potrzebował coś dobyć, obficie znajdował w sobie nowych pojęć i zdrowych sądów, nie karmił się i nie przejmował cudzem, ale przerabiał na swoje czegokolwiek dotknął.

Z jak różnych żywiołów składało się to gronko akademickie, już to poniekąd dostrzedz łatwo. Serapion był sierotą i dzieckiem ludu rzec można; Albin pieszczonym paniczem; Longin zdobywcą szczęśliwym, co wprost z sieroctwa i opuszczenia wszedł na tron, dopominając go się jak należności; Konrad potomkiem wielkiej rodziny i członkiem większego świata; Cyryll wreszcie dzieckiem plebanji, namaszczone do uczoności w chacie ubogiego parocha. Dwaj pozostali zbiegli się tu także z różnych stref społeczności.

Dojrzeć już w tem łatwo, jak niezmiernej wagi dla kraju jest wychowanie publiczne, a zwłaszcza życie uniwersytetów łączące najprzeciwniejsze kasty, równające wobec nauki i obowiązków przyszłości wszystkie stany, skupiające na chwilę to co później rozpięchle nawet, zachowa zawsze ku sobie jakieś powinowactwo.

Cóż może zastąpić te związki młodzieńcze, wlewające miłość bratnią w ludzi, którzy się wszyscy kochać i łączyć powinni? Jest-że z nas kto coby spotkawszy dziś towarzysza dawnego nie wyciągnął mu ręki, choćby dłoń która ma dotknąć jego naperfumowanej rękawiczki była gruba i namulana, choćby białe jego palce ucisnąć miały osmoloną prawicę wyrobnika?

Jakkolwiek później świat, powołania, losy, rozdziela i rozsuna, zostaje pamięć równości, żyje przyjaźni isierka, coś łączy i zbliża, jest wspólne miejsce, na którem schodzą się starzy towarzysze broni. Nie dziwujemy się, że te wielkie instytuta gromadzące młodzież tysiącami winniśmy chrześcijaństwu, (bo za pogańskich czasów pojedynczy nauczyciele wiedli za sobą tłumy adeptów i akademje inny miały charakter, a nowsze uniwersytety są instytucją czysto średniowieczną, katolicką). Kościół ustanawiając je i potwierdzając przeczuwał, że one będą nie tylko źródłem nauk i oświaty, ale potężnym cementem mającym społeczność skleić i zgarnąć w braterskie grono.

W Wilnie duch ten jedności, zgody i pobratymstwa rozwijał się może dzielniej niż gdzieindziej, uniwersytet nie stał się jak owe wykoszlawione niemieckie, zakonem jakimś potrzebującym inicjacji, nowicjatu, podzielonym na klasy i czysto ludzkim zbiegowiskiem malującym zawczasu świat i jego namiętności — ale całością świętą i wielką, która pociągała ku sobie potężnie wszystko otaczające, pragnęła się powiększać, i nie gardząc filistrami, z niemi szukała przymierza by w nich tchnąć swego ducha.

Co się tu wydzielalo z ogółu, nie łączyło, napiętnowane było w przyszłości odrzuceniem, co było dobre

garnęło się w jedną kupkę braterską bez różnicy lat i stanu. Cudowny instynkt potrzeb społeczeństwa, potrzeb przyszłości, oświecał tę z różnorodnych żywiołów złożoną całość.

Ale to pogrzebowa nad grobem egzorta!... uczniowie i nauczyciele rozpierzchliśmy się po Bożym świecie, rozbitków nawet już mało, a rzadko z tamtych czasów spotykamy człowieka coby je nam żywiej przypomniał.

Z dwóch pozostałych o których coś powiedzieć jeszcze musimy, pierwszym był Jordan Hruszka, Krezus *in spe*, bo ciągle o zbgaceniu mówił tylko, a tymczasem dosyć ubogi chłopak. Nikt z nas nie powątpiewał, że musi i powinien zrobić majątek, bo się z taką do grosza spekulacji urodził namietnością jak Cyryll do książek. Jordan w tym wieku, kiedy pospolicie najtrudniej się do udawania i wielkiej skrzętności nałamać, wyglądał już na przebiegłego lisa. Był to dosyć ładny chłopiec, którego fizjognomja kłamała przedstawiając na pierwszy rzut oka rysy spokojne i prawie idealne. Całość twarzy niezaprzeczenie piękna, bardzo regularna, uderzała naprzód wytworną proporcją wszystkich swych części. Oczy tylko mogłyby być nieco większe, ale w tych małych ile było niespokojnego ognia i żywości! Czoło nie uderzało rozwinięciem, ani też zbyt uciskało mózgu, nad niem unosił się włos ciemny iśniący, ale tak twardy, że trudno go było przyczesać i zawsze prawie jeżył mu się do góry. Nos śliczny, usta trochę wazkie i nawykłe ukrywać uśmiech, co je często nawiedzał przelotem, owal twarzy kształtny, mimowolnie zwracały oko. Postać równie miał kształtną, wzrost dosyć wyniosły, a nie każdy dostrzegł maleńkiej ułomności, która się pochyleniem lekkim ku lewej stronie zdradzała.

Jordan widziany na ulicy zawsze czysto i starannie ubrany, bo dbał o powierzchowność, nie wydawał się wcale z charakterem swoim, ginał w tłumie pospolitej młodzieży; przy pierwszym też poznaniu więcej drugich

studiując niż z sobą się wydając, nie lačno dawał pochwycić. Słuchał więcej niż mówił, badał, wyciągał, a ze swoim zdaniem ukrywał, gotów był nawet trochę potakiwać przeciw przekonaniu, byle się czegoś więcej z człowieka dowiedzieć i wyciągnąć. Trzeba było pożyć z nim dłużej, aby odkryć ile tam zasobów i zdolności się ukrywało. Wszystko to oblekało się powierzchownością pospolitą, startą, nie wiele dbającą jak się wyda, unikającą popisu. Nie szukał towarzystwa, ale go nie unikał, sam nie lačno się otwierał i najbliżsi nawet nie mogli powiedzieć, żeby go całkiem znali i pochwycili do głębi. Nie wiele jednak rachowano na to serce ostrożne i niechące się otworzyć.

Potrzeba było wnikać w przeszłość i pochodzenie Jordana Hruszki, aby nieco go sobie wytlómaczyć. Synem był rodziców bardzo niezamożnych i liczną obarczonych familją, (bo to się u nas obciążeniem nazywa co dawniej mianowało bogactwem). Po staremu trzymali się oni zagona, i innego sposobu do życia nie widząc, uprawiali kawałek roli, cierpiąc dotkliwy często niedostatek.

Nie przykrejszego nad położenie w jakim zostawali rodzice Hruszki na wiosieczce malej w polach piaseczystych i nieurodzajnych, ledwie dającej chleb powszedni i to ubogi. W tych samych warunkach przy lepszym zrozumieniu życia i zastosowaniu się do możliwości swej, rodzina ta mogłaby była wieść żywot szczęśliwy, bo ileż to ludzi mniej ma daleko, a nie cierpi na tem? Tu wszakże główną przeszkodą do szczęścia było, że Hruszkowie mieli to z tradycji i herbarza, że pochodzili z bardzo zamożnej i niegdyś utytułowanej szlachty. Pamięć tych przodków nie dozwalała następcom przyjąć ubóstwa z dopustu Bożego spadłego na nich, z rezygnacją i godnością, nie chcieli się zgodzić z wolą przeznaczenia i uledez jej zmieniając odzież, sposób życia, stosunki.

Ubóstwo trzymało ich w żelaznych klubach a pycha ścisłała je mocniej co dnia.

Ofiarami więc charakteru, godności, poczciwości nie-

mal okupywano pokazanie się, skapiono i cierpiano w domu, byle światu dowieść, że Hruszkowie nie upadli. Musiał być powóz choć stary, dom powierzchownie pański, służba w liberji z herbowemi guzami, kucharz, salon i t. p., a nabycie tych czezych oznak fałszywego dostatku, które nie oszukiwały nikogo, kosztowało drożej niż było warto... Za to musiano targować się i kręcić z żydami, robić dług, uciskać wieśniaka, nie opłacać sług, wydzedziczać się z potrzeb istotnych by zmyślonym dogodzić.

Na dobitkę świat, który nie jest tak głupi jak się zdaje, śmiał się z tego i w blichtry nie wierzył, bo zwykle nikogo prócz siebie w ten sposób nie oszukujemy — cierpiało się w życiu codziennem, a choć twarzą wypogodzoną witało obcego, mimowolnie coś w domu wyszeptano tajemnicę biedy, której utaić niepodobna.

Nie mogli czy nie umieli powiedzieć sobie, że najpiękniejszym sposobem noszenia wielkiego imienia choćby w siermiędze, jest zatrzymanie i przechowanie wielkiego charakteru, który go odznaczał; a najgodniejszy potomek sławnej rodziny jest ten co się swojego ubóstwa i pracy nie wstydzi. Mnóstwo u nas jest w kraju podobnie omylonych ludzi co sądzą, że państwo i znakomitość na pieniądzach i zbytku zależą. Jest to fałszywe i zgubne pojęcie, bo lada żyd bogaty, co łyż chłopka przez alembik na złoto zamienia, może dogodzić swoim fantazjom zbytkowym i popisywać się z zamożnością, — ale prawdziwa wielkość i o kiju z torbami roztrząsa tłumy, wzbudza cześć i pochyla głowy.

Pierwsi królowie zarówno z poddanymi sypiali na słomie, chodzili w kozuchach jak nasz Jagiełło — pierwsi biskupi drewniane mieli pastorały, a gardzić pozłotą długo było cechą najwznioślejszych umysłów. Dziś, od niejakiego zwłaszcza czasu skutkiem najfałszywszych teoryj pogańskich napływających do nas z zachodu, pod pozorem dobra ogólnego, postępu przemysłu i handlu, przyszliśmy do czei ciełka złotego, której już się nawet nie wstydzimy. Śmieją się jak z nieuków z tych co inaczej utrzymywać śmieją, ci dobroczyńcy ludzkości

co w grosz jak w zbawienie uwierzyli. Ztąd przyszliśmy wreszcie do mierzenia groszem wartości człowieka, uczynków, dusz, umysłów i narodów. Najniecieńsze z narodów jak Anglia co zamęczyła Irlandję krwią się jej upajając, co wysłała Indje, do rozpaczny je przywoząc niechrześcijańską administracją, co podburzała ludy kłamiąc później najuroczystszy obietnicom swoim i opuszczając je, gdy skorzystała z rozruchu dla swej kontrabandy — co oprócz własnego interesu nigdy nie znalazła nic więcej — wyszła dziś na świecznik jako wzór i mistrzyni. Wszyscy ją wielbią i podnoszą, że tyle ma grosza, że go tak robić umie i tak nim mądrze szafuje. Nigdy jeszcze sumienie ogólne tak sfalszowanem nie było — robiono złe, ale skłaniano głowę przed ideałem dobra i oczyszczano się kłamstwem cnoty, dziś ideałem się staje co najszpetniejszego w świecie jest pod względem moralnym... ale praktyczne i silne...

Zatem idą dalsze następstwa, nieposzanowanie ubóstwa, które pocziwem poświęceniem nabyte zostało, przebaczenie występku szczęśliwemu, przyjęcie bogatych, choćby splamionych byle bogatych, — odpychanie upadłych chociażby dla ocalenia pocziwości. Wszystko to trafiało się i dawniej, bo człowiek był słaby i ułomny; ale nigdy nie budowano systematów na podtrzymanie błędu, nie ośmielano się przerabiać czarnego na białe, a słabości przeistaczać na cnoty.

Ta cześć i poszanowanie grosza doprowadziła nas wreszcie do istotnego zwichnienia pojęć o enocie i obowiązku.

Nie trzeba się dziwić potem, że ubogi kłamie dostatek, udaje zamożność, pnie się, gdy szczere wyznanie ubóstwa przyjetoby pogardą, a komedję płacą grzechnością i biorą za coś przyzwoitego.

Prawdziwa wielkość charakteru w naszym świecie miejsca sobie nie znajduje, jednym wydaje się donkwichoterją, drugim udaniem i rachubą, innym prawie szaleństwem, — uciekają od niej jak od zarazy, aby tej samej gorączki nie dostać i nie wystąpić krokiem z rzeczywistości.

Chłodni, przytomni, po żydowsku rachując, stąpamy ostrożnie i powoli, a choć jeszcze żegnamy się rano i wieczór machinalnie, Chrystus Pan już nie mieszka z nami.

Hruszkowie byli po prostu dziećmi swojego wieku, nie martwiło ich to, że już do niczego zdadni nie byli, że nie nie robili pożytecznego; ale że dalej udawać dawniejszych Hruszków coraz im było trudniej.

Zamiast się czegoś w pocie czoła dorabiać, oni z biedą naciskającą walczyli dzień w dzień maluczkimi wysiłki kłamstwa i wykrętów. Dwór to był jaki nie jeden zapewne widzieć się wam zdarzyło, bo u nas na nieszczęście jest takich wiele a wiele. Licha wioseczka o kilkunastu chatach otaczająca go przedstawiała smutny obraz porozwalanych chałup i z nędzą oplakaną walczących wieśniaków, którzy chodzili z głową pochyloną rozpaczającą jakąś milczącą a straszliwą. Do koła pola były źle uprzążone, drogi zaniedbane, płoty porozwalane... przecież dwór za coś paradnego chciał uchodzić, a dziedziniec otaczający klomby, a sad wycięto na angielszczyznę, i ostatni dziedzic począł stawiać wieżyczkę nad oranżerją, która niedokończona sterczała dziwaczna ruina i sypała się już w gruzy. Budynki folwarczne ode drogi miały facyjaty białe, a z tyłu chruściane ich ścianki się waliły; brama w słupach murowanych nie zamykała się nigdy, nędza łączyła się z wystawnością, nieładem i niezrecznie odgrywaną komedją. Na niuudolne jej przedstawienie nie wystarczało całych sił życia, a spektatorowie śmieli się trzymając za boki... Przy gościach parobcy występowali w dłuższej nad potrzebę lub krótkiej nad miarę liberji — zmagano się nawet na podejrzanego Osterlofoskiego szampana — a po funt cukru na kredyt posyłano do miasteczka. Gdy nikogo nie było często jadła zabrakowało, ale przy odwiedzinach wielkiego pana, mówiono zawsze o budującej się oranżerji, i pokładano jakieś zbladłe pożyczane *Revue* na stolikach. Sama pani miała chustki dziurawe ale batystowe, a brakło jej pospolitych pończoch, sam pan jeź-

dził koczykiem, ale koni nie miał za co popaść, i zmuszał do słuchania retoryki. Gdy do tak urządzonych interesów dodamy kilkoro dzieci wołających chleba i wychowania, długi i dłużki, niezłamany niezem nałóg próżności, wyobrażenia fałszywe o pozycji socjalnej i zgryźliwe usposobienie wyrobione zbiegiem tych okoliczności — będziemy mieli obrazek domu, w którym się Jordan wychował.

Komedja na wielkim świecie, jak na dobrym teatrze jest rzeczą czasem zabawną, na małym i ubogim śmieszna, wzbudzająca litość, obrzydzenie, pogardę. Łudzą na chwilę te dekoracje, wystawne, ale ścierka brudna, reprezentująca obłoki nawet dziecka nie oszuka.

Tu codzień od rana poczynął się płacz i zgrzytanie zębów czyscowe, a trwały do nocy. Ledwie pan przetarł oczy, zjawiał się żydek z kwitkami, których nie było czem opłacić, egzekucje za podatki, urzędnicy do opisu ruchomości, natrętny szlachcic co lat kilka od swej sumki nie widział procentu, a ledwie się temu wszystkiemu opędzono, z sąsiedztwa zjeżdżał ktoś, z kim zasiadano w salonie mówić o kwiatkach, ogrodzie, nowościach, zabawach i udawano, że się za granicę wybiera dla nerwów, aby oznajmić, że są i nerwy.

Dzieci w ten sposób uczono kłamać od kolebki, bo ile razy wygadały się niepotrzebnie z jaką biedą zakulisową, stawiono je potem na pokutę, a wprawiając do fałszu, zwichnięto przyszłość ich całą, bo świat w oczach ich stał na kłamstwie.

Wszystko się tam trzymało, jak powiązane sznurkami i poklejone, grosz grosza nie dogonił, cudem tylko zachowywano się przy majątku, co dzień polykając wstyd gorzki i wymówki ludzi, którzy nie szanują nędzy strojnej w pożyczane lachmany. — Wszystko to nie poprawiało. Po żniwach dawano wieczorynki, zapraszano na dożynki, rozczulając się nad chłopkami, którzy koszuli nie mieli na grzbiecie, a słyszeli, że im obiecywano ochronę i kasę oszczędności, jeżdżono do miasta na karnawał, aby drugim nie ustąpić, i małpo-

wano możliwych dla honoru domu!

Sam pan Hruszka, wychowany już był przez ojca, jako dziedzic wielkiego imienia i to go zgubiło, na pieczęcie miał paludament kniazia Marusza Hruszki, który pięćset lat temu w kronice jakiejś, zabił Murzę Tatarskiego, i pamiętał o kasztelanie prapradziadku babki. W osiemnastu latach usamowolniony począł piastować majątek, godność naczelnika rodziny i tak dobrze szastał, choć nie było czem, że w dwudziestu latach wioska została bez rachunku odłużoną.

Po tym krótkim karnawale, począł się nieskończony post czterdziesto-letni, młodzik pokreślił się jeszcze trochę po świecie, nie udały się projekta świetnych ożeń, i w końcu wszedł w dozgonne śluby z guwernantką, u której wprzód był tysiąc rubli chwycił, rozpoczynając z nią razem naukę opędzania się wierzyteliom. Oplakane to było życie!

Matka Jordanka niegdyś piękna, która niewiadomo jak przyszła do kilkunastu tysięcy złotych, mając już lat do trzydziestu, wydała się za p. Hruszkę, biorąc go w dług za tysiąc rubli, których opłacić jej nie mógł. Szczęściem małżeństwo to nie mogło być poczytywane za mezalians, gdyż i panna pochodziła z bardzo znakomitej jakiejś choć nieznannej rodziny, po której choć papiery i dowody przepadły, imię brzmiące pozostało, jako świadectwo przeszłości. W herbie jej była korona hrabiowska i cztery kompartymenty, choć nie nie upoważniało do noszenia tych godeł — ale któżby śmiał pytać o pochodzenie szlachectwa?

Pobrawszy się państwo Hruszkowie, gdy oboje pojeśli położenie swoje i lepiej się wzajemnie poznali, wspólnymi siłami wzięli się do grania nieszczęsnego melodramatu, który im zajął całe życie.

Jednym z pierwszych Jordan wystąpił na scenę, był on najstarszym z dzieci, i wprzód zrozumiałwszy rodziców, ich dole i co cierpieł, zaklął się prawie, koszulkę w zębach nosząc, że bogatym być musi.

Żyjąc od pieluch w tem utrapieniu pochodzącym z braku grosza, łaknąc wszystkiego, a nie mając

cheiwy bo głodny, postanowił sobie bądź co bądź dorobić się, dźwignąć z tego upokorzenia i fortunę do której wzdychano pozyskać choćby zaprzęciem własnym.

Dziecinne jego lata zbiegły w przysposobianiu do szkół najnieporządniejszym, brano i odprawiano nauczycieli, czasem miesiącami całymi dziecko biegło samopas powierzone opiece losu, niekiedy do nauki brała się sama matka, ale ją odrywała potrzeba nieustanna czuwania nad domem, ażeby się wydawał na przyzwolonej stopie, — a gdy przyszło Jordanka posłać już do klas, z niezmierną trudnością mógł być przyjęty, bo do nich się nie okazał wcale usposobiony. Miał dosyć zdolności, ale ochoty tylko tyle ile jej wyrobiło przekonanie, że i do nabycia groszy nauka jakoś potrzebna. Wszedłszy do szkół dosyć późno chłopak więcej myślał jakby wynieść co najprędzej, niż żeby z nich miał korzystać.

Postępował zwolna coraz wyżej bez wielkich i świetnych powodzeń, ukryty w tłumie, towarzysze nie bardzo go lubili, nauczyciele nie zwracali nań uwagi. Wprzód odkrył się w nim tak jawny i wielki egoizm, że tylko rachuba i obawa wstrzymywały go od poświęcania co krok towarzyszów dla siebie. Kilka razy postąpił sobie tak, że o mało nie został wywołany, a uczeń raz wzgardzony, od którego się usuneli na jednej z nim ławie niechęć siedzieć koledzy, na całe życie potem zostaje wygnańcem w społeczności, piętno haniebne wynosząc z sobą za próg szkoły.

Wiedział to Jordan i poprawił się w porę, ale go już znano i wiadano, że zamknięty w sobie nie dla nikogo nie uczyni, i nie wymagano od niego żadnych ofiar, ale dlań nie robiono żadnych.

Ojciecłożył nań w szkołach choć z trudnością, ale się interesa pogorszyły, i na uniwersytet wysyłając dał mu tylko małą zapomogę jednorazową, oznajmując że nadal powinien się sam starać o siebie, bo on nie jest już w stanie ponosić ciężaru jego wychowania. Jordan więc zaraz postarał się o kondycję i szczęściem znalazł ją w domu dostatnim, rozpoczął kursa, a niewiele się

udzielając ludziom, po cichu kroczył dalej ze stałą jedyną myślą w głowie, zrobienia koniecznie majątku jakimś sposobem. Przeszło to u niego w prawdziwą monomanię, i byłoby dla nas tajemnicą, gdyby młodość mająca prawa swoje nie zmusiła osamotnionego zbliżyć się do towarzyszków i wygadać przed niemi.

Jordan potrzebował towarzystwa, nie mógł się powstrzymać od kilku słów rzuconych nawiasem, a gdy te wyrzekł resztęśmy z niego sami pociągnęli. Bawił nas i wielkością familji Hruszków, której splendorów dawnych nikt z nas nie znał, i wiarą swą niezachwianą, że się ma kolosalnej z niczego dorobić fortuny. Z góry zapowiadał, że w wyborze środków nie będzie trudny i gotów sprzedać się pierwszemu lepszemu, ożenić ze starą babą, a tych co mu na drodze staną nielitościwie zepchnie i poświęci.

— Pieniądz, mówił z krwią najzimniejszą, jest osiłą świata, nabycie jego usprawiedliwia wszystko, patrzcie co gadają na pana Ko... na Sa... na tylu innych, a jak ich jednak przyjmują? Któż się odważy nie podać im ręki? czyj dom zamknięty przed niemi? jakiego związku nie są w stanie okupić milionami swojemi? Ludzie w ciągu roboty i podłości do których często zmusza nabycie grosza, hałasują i krzyczą na śmiałego pioniera, ale gdy wyklęty dobieje się złotego klucza, otwiera nim i serca i ręce, i drzwi i wschody... idzie gdzie chce, a ci co nań świstali, czapki pozdejnowawszy przeprowadzają z respektem... Co mi tam reszta! Bogatym być muszę i będę. Jak? nie wiem... schwyć pierwszą sposobność jaka się nawinie.

— A jeśli się nie nawinie?

— Ja ją sobie nawinę... będę jej szukał i złapawszy powalę... młody, silny, przystojny i nie głupi człowiek, jeśli się czego nie dorobi, sam sobie winien, ale musi panować nad sobą i serce zapieczętować.

— Możeż być pewnym że pieczęć nie pęknie?

— Położę ich siedem jedna na drugiej, a wyrwać się nie pozwolę sercu, bo ono nas gubi.

— Daż ci bogactwo szczęście? pytaliśmy go często.

— Już to mnie zostawcie... będę wiedział jak go użyć... szczęście dla mnie jest w dostatku, innego nie znam i nie rozumiem.

Lubił tak czasem, choć bardzo zawsze umiarkowany i milczący, gdy sobie cudzym kosztem podjadł i napił się — pobujać trochę i głośno pomarzyć, a wówczas budował pałace na lodzie, tak na pozór nieprawdopodobne, żeśmy pękali od śmiechu; żenił się, spekulował, wykopywał skarby, odkrywał sposoby szybkie robienia majątku, wymyślał najdziwniejsze i w romansach tylko trafiające się środki zbogacenia... a o jednej tylko pracy cichej, powolnej i wytrwałej nie wspominał nigdy.

Każdy z nas wówczas miał marzenia swoje, ale nikt tak wysoko jak on nie sięgał, liczył na miliony, przewracał się w złocie, żenił się z księżniczkami, pożyczwał kapitałów królom i panującym, a tymczasem chodził w wytartym mundurzyku i nie nie zwiastowało, żeby te piękne sny kiedykolwiek ziścić się miały.

Zwaliśmy go żartobliwie Krezusem, za co się wcale nie gniewał, pewien będąc, że kiedyś na ten przydomek zasłuży.

Teofil Sorokowski, ostatni z tych siedmiu braci, był z nich wszystkich najszczerzej młodym, a najmniej odgadnąć z niego było można, co później z tej młodości wyrośnie. Każdy już miał przed sobą cel, zamysł, plan życia jakiś, pragnienie co go wiodło, Teofil jeden codziennie chwycił się czego innego, a sam nie wiedział na czem skończy. Namiętność i chwilowe uniesienie wiodły go czasem w najprzeciwieńszym wczorajszym kierunku, nie myślał nawet być logicznym i nie wstydził się wcale sprzeczności nieustannej z samym sobą, w jakiej zostawał między dniem wczorajszym a jutrem. Nigdy może dziwniej temperament i imaginacja nie rzuciły człowiekiem w różne strony. Niezmiennie żywy, zapalał się w jednej chwili, oddawał cały, wypijał co pochwycił tchem jednym, ale natychmiast następował przesyt i rozczarowanie, zrażenie, obojętność. Jednego

dnia widzieliśmy go zaklinającego się, że musi zostać księdzem, bo czuje ku temu powołanie niezłamane, następne myślał być artystą dramatycznym i chciał wszystko rzucić dla teatru. Tak samo postępował sobie z nauką, to do matematyki poczuwając namietność gwałtowną, to do beletrystyki znowu powołanie niepohamowane.

Na nieszczęście, miał usposobienie mierne, a raczej zdolność znaczną mniej więcej do wszystkiego, i póki się nie zraził, początki szły mu wcale nie źle, łudził się tem do niejakiemu czasu, a zapalając coraz więcej, mniemał, że już trafił na drogę właściwą, ale to był fałszywy apetyt człowieka, co czuje pragnienie strawy, a jeść nie może.

Główną chorobą jego była ta nieszczęsna niestałość i kapryśne rzucanie się na wszystkie strony, od którego wstrzymać się nie mógł, bo wcale nad sobą nie panował. Na chwilę tylko pod naciskiem wyobraźni, budziła się w nim silna wola, która przemagała pierwsze zapory, ale gdy zapal ostygł, rozum jej wyrobić na dłużej nie potrafił. Fantazja rządziła nim, utrzymywała w naprężeniu imaginacja, lecz gdy nerwowe podbudzenie ustało, siły opadały i czekać musiał osłabiony nowego powiewu, któryby nim pokierował.

Kładł się często spać niespokojny, aby co najprędzej jakiś plan przywieść do skutku, uczynić krok jakiś stanowczy, cały wieczór chodził brzemienny nim w gorączce... nazajutrz rano budził się, nie mogąc sam pojąć siebie, bo wszystko już było przeszło — namietność, ochota, potrzeba,; zostały tylko wątpliwość, trudności, ciernie, które nagle się zrodziły.

Był to razem powiedzieć można chwilami najszczerliwszy z ludzi, to znowu najboleśniej cierpiący — coraz nowe łudziły go mamidła, ale też na nieustanne odchorowywał rozczarowania. A było to w nim podniesione do tak wysokiej potęgi, jak w żadnym z rówieśników, dał się bowiem zwycięzać bez oporu lada marzeniu, lada pokusie, a jedno nic potem rozbijało całe wojska przygotowane do boju — i pierzchały jak nocne

widziadła.

Teofil nie był z nich najmłodszym choć na dzieciaka wyglądał; prawie zawsze widzieć go było można wesołym i niezmiernie zajęтым; spieszył się ciągle, nie chodził ale biegał, potracał przechodzących, lada widok go zatrzymywał, o wszystkim dowiedzieć się pragnął, i wszędzie nastawiał ucha. Minę też miał ożywioną, oczy biegające, ruchy gwałtowne, a nikt go pół godziny na jednym miejscu siedzącego nie widział.

Małego dosyć wzrostu, blondyn, oczy miał ciemne, małe, ruchliwe i błyszczące, usta rumiane i wydatne, nasek mały i kształtny, twarz drobną i zaokrągloną, czasem wyglądał na eleganta, niekiedy zaniedbywał się zupełnie. Kochał się równie często i łatwo jak Konrad, ale miłości jego były wcale innego rodzaju, nie sięgały wysoko, schodziły zbyt czasem nisko, szukając w błocie djamentów, które się rzadko po kałużach trafiają. W pierwszej chwili zakochania był Werterem, przysposabiającym pistolety, ale najlżejsza przeciwność ostudzała go i po chwili przerażającej boleści, z której szaleć się zdawał, przechodził w zupełną obojętność.

Umysł i serce miał niespokojne, i nigdy długo nie mógł wytrwać w stanie chłodnym normalnym, bez jakiegoś rozgorączkowania, rzekłbyś, że jak Salamandra do życia potrzebował płomienia. Gdy przez dni kilka brakło przedmiotu żeby weń wlał życie i gwałtownie go zajął, chodził jak chory i obumarły, a raczej włókł się oswiały, w przekonaniu, że niebezpiecznie jest cierpiącym, ale lada wrażenie z tej choroby leczyło.

Całe życie jego przechodziło w takich paroksyzmach podbudzenia gwałtownego i zupełnej po niem prostracji... szaleństwa i rozpacz, znużenia i gorączki. Wiedzano, że na to pocziwe lecz niebezpiecznemu temperamentowi podległe serce trudno było rachować; poświęcenie nagle nic go nie kosztowało, wytrwanie było niepodobieństwem; w pierwszej chwili oddałby koszulę, ostygłszy nie chciał patrzeć na tego, któremu wprzód poprzysiegał przyjaźń do śmierci.

Na nieustanny taki ogień nie mogąc sam sobie

wystarczyć, Teofil potrzebował podsyceń zewnątrz, samotność była mu nieznośną, — musiał ciągle pod czyimś wpływem i panowaniem zostawać. Każda też wyższość podbijała go w jednej chwili, poprzysiegał jej cześć i posłuszeństwo; ale nigdy przewidzieć nie było można, kiedy i dla czego wypowie poddaństwo, w które się zaprzęgał dobrowolnie. Satellita błyszczący kręcił się zawsze przy jakimś słońcu, koło którego zagrzawszy się nieco, odlatywał w przestrzenie. Wczoraj nigdy go nie obowiązywało do jutra, lecz niewiara chwilowa bardzo często ustawała, jak przyszła bez widocznej przyczyny, a syn marnotrawny wracał z pokorą pod strzechę rodzinną.

Teofil był synem obywatela-urzędnika owdowiałego zawczasie, który go miał tylko jednego; powiadano, że rysami twarzy przypominał piękną swą niegdyś matkę, która sławną była z czarującego wdzięku, żywości i dowcipu.

W twarzy jego było też coś kobiecego.

Ojciec osierocony, całem sercem przywiązał się do dziecka, które go wiązało ze światem, ale słaby dla jedynaka nieco, zbyt nie dogadzać mu musiał nie mając pojęcia surowszych wychowania obowiązków. Obudzał w dziecku pragnienia, aby miał przyjemność zadosyć im czynić; budził nadto fantazją młodą, sądząc, że nią poruszy władze umysłu. Sam on był pierwszym nauczycielem syna i wpadł w ten błąd, w który i wytrawniejsi wpadają pedagogowie, że chcą naukę uczynić rozrywką, a pracę zabawą. Chodziło mu o ulżenie dziecku, zmieniał co chwila przedmioty, ukazywał ich stronę wybitniejszą i zajmującą, nigdy się nie poważył zmusić umysłu dziecka do surowszego i głębokiego zastanowienia. Podobalo mu się to i zdawało rokować wiele, że dziecko pojmovalo łatwo, pamiętało wybornie i chwytalo chciwie, ale gdy potem przyszło nałamać je do cięższego zajęcia, znalazł niespodziewane trudności.

Umysł ten w żadne już kluby ująć się nie dawał, biegł na prost do celu, a drogi powolnej nie chciał krok po kroku przechodzić — usuwał zapory, przeska-

kiwał tamy, od razu chciał stanąć u mety.

W młodej tej główce namnożyło się łańkowych wiadomostek jak w norymberskim sklepie, ale przypatrzwszy się tym cackom, dostrzegłeś łatwo, że każda z nich była nadłamana, że tej brakło rączki, tamtej głowy, innej barwy, a innej sprężyny, któraby nią poruszała.

Wkrótce ojciec się uczuł niezdolnym dalej prowadzić swe dziecko, ale nie przestraszając się kaprysami jego, po ojcowsku pocieszał żywością umysłu i talentami, jakie co dzień znajdował w synu. Potrzeba mu było nauczyciela, trafił się jeden z tych ludzi co u nas zajmują się wychowaniem dla tego, że do niczego innego nie są zdolni. Był to biedny człowiek nie bez zdolności, ale z takim właśnie usposobieniem nieszczęśliwym jakiego ziarno było już w przyszłym jego uczniu.

Skończywszy szkoły miał iść do uniwersytetu, chorooba go wstrzymała na wsi, potem naczytawszy się przypadkowo dzieł agronomicznych, wziął się do gospodarstwa i zażądał mu poświęcić. Grad, pomorek, posucha i niepomyślny rok pierwszy spędziły go zaraz z tego stanowiska, jał się więc innego chleba i spróbował cukrowarstwa, którego znowu się z książek wyuczył. Tu nie lepiej mu się powiodło, wstąpił z rozpaczą do seminarjum, ale i tu nie wytrwał roku, zrzucił sukienkę i chciał się już żenić, gdy opór rodziców panny zrobił go nauczycielem.

Nie jest to jedno z najprzyjemniejszych powołań, nie dziw więc, że na niem skwaśniał do reszty, ale potrzeba powszedniego chleba trzymała go przy bakałarstwie. Wiecznie z siebie i ludzi niezadowolniony, żyjący rozpaczą i narzekaniem Atanazy wlał w dziecko, które mu powierzono wadę co go czyniła nieszczęśliwym. Wrażliwy chłopak nasłuchiwał się co dzień na nowo osnowanych projektów i napatrzył dusznych zawodów, a będąc usposobiony do zarażenia się tą chorobą, zawczasu ją przyjął od mistrza.

Takim już z rak pana Atanazego poszedł do szkoły, która z razu wydała mu się rajem po jedynackim odo-

sobnieniu w domu, lecz pierwsze próby studenckiego życia tak go zraziły prędko, że gdyby był mógł, uciekłby ze szkoły. Zmuszony wprzódz się w jarzmo regularniejszej nauki, pilnować godzin, stawać na zawołanie, cierpiał i wykręcał się z tej niewoli jak umiał. Łatwo się domyślać jak nierównym był uczniem, przez kilka miesięcy odznaczając się nadzwyczajnymi postępami, to znowu opuszczając się zupełnie. Nim nauki dokończył, rozpoczął zielnik, zbudował elektrykę, porwał się do kilku języków, które wprędce porzucił, a wahając się tak nieustannie, przy egzaminach szóstej klasy jeszcze był niepewien jaki sobie przedmiot obierze.

Powrócił do domu na wakacje, ojciec nie mu narzucać nie chcąc, pilnie go badał, ale przypadła właśnie chwila zniechęcenia do wszystkiego i pierwszy wybuch poezji; Teofil począł pisać elegje i sonety, czytać niemieckich poetów i błąkać się po ciemnych lasach z czołem zachmurzonym. Gdy przyszło wyjeżdżać do uniwersytetu, sam nie wiedział jeszcze do czego się tam weźmie.

Ojciec wcale nie chciał dziecka przymuszać, nie umiał mu dopomóc do wyboru, a co gorzej, ruchawość tę niespokojną umysłu biorąc za oznakę ogromnych zdolności, nie nastawał wcale na stalszy kierunek i zostawił go samemu sobie. Zdawało mu się, że z tych materiałów samo się coś wyrobić powinno.

Pierwszych dni po przyjeździe do Wilna — wpadłszy w ten tłum młodzieży, Teofil zupełnie oszalał. Naprzód samo miasto jakiego jeszcze nie widział pełne starych pamiątek, porywające wspomnieniami przeszłości, otoczone poetycznym urokiem, zachwyciło go, obleciał góry i doliny, zbiegał uliczki, oglądał kościoły, wdzierał się na wzgórza, wciskał między zwaliska i w ciągłym był zachwycie, w nieustannej gorączce.

Nie spał, nie jadł, zapomniał o uniwersytecie, napawając się nowemi dla siebie obrazami. Wielkie mury akademickie, nad którymi unosił się cień Stefana, uderzyły go ogromnem wrażeniem; profesorowie wydali mu się bogami, biblioteka świątynią, gabinety jakimiś

tajemnic Eleuzyńskich przybytkami, a że wszystko nęciło, zrazu nie wiedział co począć z sobą. Jedno piękniejsze, większe, coraz więcej porywające zdawało mu się nad drugie; radził się wszystkich lecz jedna rada zbijała drugą, a każdy dzień powiększał niepewność.

Świat ludzi żywych niemniej go oczarowywał od świata umarłych, ta młodzież oszalała, wesola, z głęboką wiarą w swą przyszłość jasną, podnosząca czoło ku niebu, przejęła go zapalem; serca mu nie mogło wystarczyć na przyjaźnie które zawiązywał, na wzruszenia jakich doznawał.

Napróżno go oblewać chciano zimną wodą rozwagi, której między towarzyszami nikt nie miał sam wiele — jak na rozpalonym kamieniu kropla ta obracała się w parę wrzącą.

Teofil nareszcie zapisał się na wydział literacki będąc jeszcze pod wrażeniem poezji, której ospe przebywał. Wypadkiem zaszedł na wykład fizjologii i medycyna wydała mu się jego powołaniem. najpiękniejszą z nauk. Będzie czy nie doktorem, mówił, ale się mogę nauczyć wiele.... kto wie, może odkryję później jedną z tych prawd jakimi znaczą się epoki w naukach.

Począł więc chodzić na medycynę, ale zaraz od kilku początkowych lekcyj anatomji upadł na duchu, pamięcią roztargnioną nie mogąc wystarczyć ogromowi nazwisk które potrzeba było udźwignąć.

Postrzeżono go zniechęconym, ostygiłym, tającym się z nowem jakimś postanowieniem, wreszcie powrócił do literatury. Czynił tak wycieczki co tydzień do innych oddziałów, zapalał się z kolei do prawa, astronomji, do teologii i pedagogiki.... ale że mu jakoś najswobodniej było z literaturą, znużony wysiłkami, w niej szukał przytułku.

Co z niego mogło zrobić życie? nikt z nas na to pytanie odpowiedzieć nie umiał.

Zdawało się nam wszystkim, że wielka zagadka przyszłości rozwiąże się dla nas tak jakeśmy wówczas

przewidywali. Nie zuchwalszego nad młodość, niekiedy jest w niej jakieś przeczucie wieszczce, ale najczęściej skacze ona nad przepaścią i śpiewa ani się domysławiając, gdzie ją popchnie silniejsza ręka Opatrzności.

W tej ciżbie zbiegającej się zewsząd młodzieży, za prawdę jednym z najciekawszych było to przygotowywanie się do życia, o którym marzył każdy po swojemu, a nikt z nas pojęcia nie miał. Marzenia były olbrzymie, życie miało je spłacić swoją zdawkową miedzianą monetą dni powszednich.

Ale któżby był wówczas o czemkolwiek śmiać wątpić? — wszystko tak łatwą przedstawiało się zdobyczą! tak dostępnem, tak dla nas przygotowanem! Uczta stała zastawiona, czekano tylko biesiadników.

Kilku może starszych i doświadczeńszych pojmovali zadanie surowiej, poważniej widzieli przyszłość i pracowali na nią z jakimś wczesnym smutkiem i rezygnacją odczarowania.

Może najchłodniejszą z tych istot wyjątkowych był nasz towarzysz Baltazar, nie młody już człowiek, przezywany czasami Heraklitem, dla tego, że świat widział ze strony prawdziwszej i nie wiele się od niego spodziewał. Był on od nas wszystkich znacznie starszy, spóźnił się jakoś do uniwersytetu zbierając wprzód środki materialne dla niezależnego przebycia tych kilku lat nowicjatu. Wyszedłszy ze szkół, dość długo na wsi zajmował się nauczycielstwem, skapiąc niesłychanie, ażeby potem być zupełnie niezależnym i przy nauce nie troszczyć się już o chleb powszedni. Ta pielgrzymka pedagogiczna nauczyła go świata i ludzi, odbierając mu pozostałe złudzenia młodości; przyszedł w ten świat młody tak różnym i daleko dojrzalszym, że go nie łatwo przyjęto, ani się z nim oswojono, wydawał się im starcem myślą, mową, postępowaniem i zupełną z otaczającymi stanowił sprzeczność.

Nim się on dobił tych kilkuset rubli, które chciał mieć przed sobą, podstarzał dobrze, wyłysiał i nieżartem walczyć musiał; nieszczęście chciało, że go różne wypadki wstrzymywały po drodze, praca przepadała,

nie uiszczali się wierzyciele i co raz zarobił, tracił, nieogłędnie powierzwszy. Ale innegoby może było do rozpacz przywiodło i na wieki szyki splątało, Baltazara zrazić nie potrafiło. Rozpoczął na nowo zawód swój ostrożniej, wybierając domy, bez zapалу, ale sumiennie spełniając zobowiązania, nie dając się światu zagarnąć i stale przysposabiając do obranego zawodu.

Potrzeba było w istocie niczem nie zmożonej wytrwałości jego, żeby zapomniawszy o szkołach, skosztowawszy trochę swobody, podstarzałem a mogącemu mieć zawsze kawałek chleba, powrócić znowu na ławę, sięść na niej obok młokosów i rozpoczynać *ab ovo* studentckiego życia koleje.

Baltazar w chwilach wolnych na wsi od zatrudnień bakałarskich przysposabiał się do medycyny, którą sobie obrał zawczasu, tak, że gdy przybył do Wilna lepiej od innych był przygotowanym, miał książki, ogólne pojęcia o rzeczy i stawał do tej walki inaczej od nas uzbrojony.

Całkiem też inaczej uczył się niż inni, systematyczniej, łatwiej i pilniej daleko, to pewna. Obrachowawszy ile mu na pięć lat kursów było potrzeba do życia, panując nad sobą despotycznie, ani litością niewczesną, ani złudzeniem żadnem, ani spuszczeniem na Opatrzność nie pomieszał sobie wcześniej porobionych rachunków. Dla siebie i dla drugich zarówno był nie-litościwym, a porządek drobnostkowy stanowił jedną z ważnych sprężyn jego życia. Co raz pomyślał i powiedział sobie tego dopełnił niechybnie, niczem się odwieść nie dając od zamierzonego celu. Wszystko u niego było z góry wyrachowane, nawet wypadek choroby ciężkiej i kosztów jakie za sobą mogła pociągnąć, które w razie zdrowia inne otrzymywały przeznaczenie.

Dla współtowarzyszów jakkolwiek zrazu nie sympatyczną był figurą, bo każdego chłostał jak dzieciaka moralami z zimną krwią starego pedagoga; — musiano jednak uznać jego wyższość nad sobą i uważać go za reprezentanta chłodnego rozsądku w gronie, w którym fantazje, marzenia i serca popędy panowały.

Swobodniejszy od wszystkich prawie, bo bez rodziców i krewnych, pan siebie, Baltazar jednak był przykładem jak mając wolność wszystkiego, mało używać się godzi. Nikt zdrowiej, ale zimniej nie pojmował życia, i jeżeli wyzucie się dobrowolne ze wszelkich złudzeń i marzeń, a przywiązanie do rzeczywistości, cechować powinno medyka, człowiek ten był prawdziwie powołany do stanu, który obrał sobie.

Dla niego świat ducha nie istniał wcale, życie było gościńcem szosowanym, prostym, gładkim, z którego pod strachem obłędu i niebezpieczeństwa zboczyć sobie nie pozwalał na chwilę.

Nie szukał on przyjaźni młodych, ale ich nie unikał, a miał tę wadę, że odzierał tych do których się zbliżał ze wszelkich marzeń, któremi kołysać się nam było tak dobrze i miło! Zdaje się nawet, że ten eksperyment stanowił dlań cały powab obcowania z młodzieżą, bawiła go jej nieopatrzność, śmieszyła rozpacz, gdy straszliwy kościotrup z za zasłon ukazał.

Baltazar wyglądał może starszej niż był powinien, a przeszłość jego prócz tego, że pracował bakałarzując, była dla nas tajemnicą — unikał wszelkiej tyczącej się jej spowiedzi. Zasady jego dozwalały się domyslać, że pochodził z ludu bo był demokratą, a nieszczęsne koleje jakie przeszedł po domach pańskich, kierunek ten czyniły w nim wybitniejszym jeszcze.

Pelen taktu i umiarkowania wyciągał zręcznie wyznania z młodzieży, ale sam przed nią nie spowiadał się nigdy — było to nieco rachubą, bo wszelką spowiedzią człowiek się w pewien sposób oddaje na łaskę temu przed którym się odkrywa, — Baltazar zaś najgoręcej o niezawistość się dobijał.

Fizjognomia jego dziwnie odbijała od munduru, był bowiem dobrze łysy, trochę otyły, a wczesne zmarszczki odebrały wszelką świeżość rysom jego, jakby zmęczonym i uwiedłym. O wieku nawet swoim nie mówił nigdy nikomu.

Kragłej i tatusiowatej twarzy nie miał na niej nic prócz wyrazu lekkiej wzgardy spokojnej a głupkowatej i szyderstwa milczącego, wiele przytem godności i powagi w ruchach i postawie, choć nieco sztywnej i przymuszonej. Znać było, że się w chomacie pedagogicznym nałamał. Bardzo bystry w poznawaniu łupiny ludzi, zadziwiał często od pierwszego wejrzenia chwytając człowieka, ale już później nic z niego nie dobył więcej, z młodzieżą zresztą łatwiej mu to przychodziło niż z kimkolwiek, bo ta nigdy komedij nie grała i serce nosiła na dłoni. Dość mu było parę razy zobaczyć kolegę, żeby go prześwidrować na wylot i przepowiedzieć mu nawet przyszłość; obawiano się jego żartów, ale szanować go musiano mimowolnie i niepodobna było nawet siedząc z nim na jednej ławie spoufalić się z nim całkowicie.

Dla niego znowu żadna wyższość nie była powagą mogącą go ukorzyć i ugiąć, ani położenie towarzyskie, ani stosunki, ani talent, ani żywość i odwaga, ni te nawet przymioty, na których mu widocznie zbywało nie wzbudzały w nim czci i poszanowania. Człowiek nie był dlań już ciekawem zadaniem, bo go sobie widać rozwiązał zawczasu.

Mieszkania akademików rozsypane były po całym mieście, każdy sobie stosownego szukał, wogóle cisnели się wszyscy po zaułkach i oddaleńszych uliczkach, gdyż tam najem był dla kieszeni studenckich przystępniejszy.

Wielu zbierali się w kupki i po kilku i kilkunastu w kwaterach wspólnie najętych. Traf zrządził, że siedmiu wymienionych i Baltazar nawet, w dwóch sąsiednich kamienicach na Łotoczku się mieszcili; wiedli więc życie niemal wspólne, a że młodzież potrzebuje towarzystwa, rzadki był dzień, żeby się u którego z nich nie schodzono. Serapion uczył dzieci ubogiego rzemieślnika na dole i najmniej może wciągać się dawał do tych wrzawliwych posiedzeń, uśmiechając się tylko na ich szale i wesele; jeden Albin w tej samej kamie-

niczce mający parę pokoiów na górze, porywał go najczęściej, wylewając przed nim swą rozkochaną i rozczuloną duszę. Longin Macedo obok w drugim domu miał ucznia w rodzinie urzędnika, gdzie spełniał obowiązki tak zwanego dozorcę.

Konrad choć sobie szukał mieszkania na paradniejszej ulicy, bliżej tego świata, ku któremu go serce ciągnęło, został zmuszony wreszcie pozostać przy Łotoczku, a to go szczególniejsze skusiło, że tu miał salon i kilka pokoiów, które gdzieindziej we dwójnasób by tyle kosztowały, miał okna od ulicy i apartament wcale przyzwoity i choćby w nim oddającego wizyty magnata przyjmować przyszło, nie potrzebował się wstydyzić.

Może mu to nie dogadzało, że towarzysze tak zbliska trzymali go w obleżeniu i na sposób życia jego otwarte mieli oczy, wiedząc nawet kiedy wychodził i powracał, kogo u siebie przyjmował, jak dzień każdy poczynął i kończył, ale mniej więcej wszędzie nie uszedłby oka towarzyszków, którzy lepszą od miejskiej mieli policję.

Cyryll, studnia mądrości, w tejże kamienicy na tyle uczył dzieci i mieszkał, obok mając Jordana Hruszkę, a na drugiej galerji Teofila Sorokowskiego.

Baltazar mieścił się obok w parze stanczynek, które większą część roku dla gości szczelnie były zamknięte. Spotykano się codzień, widywano nieustannie a wieczorami schodzili się wszyscy do kupki, albo w wytwornym apartamencie Konrada, jeśli przyjmował, a nie był gdzie w mieście, co mu się najczęściej zdarzało, lub u Teofila Sorokowskiego.

Szczęściem, mieszkanie jego choć nie od ulicy i nie pokaźne, dosyć było obszerne, a że jedno okno wychodziło na galerję od dziedzińca, idąc do Teofila konieczności koło niego przechodzić było potrzeba. Każde więc niespodziane najście Pietraszewskiego lub Gedrojcja, znajdowało ich przygotowanymi, a w razie niebezpieczeństwa można było drapnąć drugimi drzwiami.

Baltazar rzadko wpuszczał do siebie, gdyż choć nie tak dbał o wytworność i porządek jak Konrad i Albin,

niezmiernie jednak pilnie godzin i ładu u siebie przestrzegał, a każdy napływ współtowarzyszów musiał za sobą nieść rozstrój i nieład chwilowy. Niepodobna mu było powstrzymać ich całą swą powagą od przerzucania książek, wytrząsania fajek pośrodku izdebki, rozstawiania krzesel, które miały miejsca sobie wyznaczono i przewracania łóżka bardzo troskliwie zasłanego.

Baltazar utrzymywał, że żadne to uporządkowanie, przy którym obstawał, oszczędzało mu wiele czasu, a niewola pozorna była potrzebną tam, gdzie najczystszy kapitał przyszłości stanowiła każda godzina. Mieszkanie jego tchnęło tą surowością, która panowała całemu życiu jego; czysto, schludnie w niem było, ale goło i chłodno, nic nie powiadało o sercu, które nie zdawało się tu mieszkąć.

Żadnej nigdzie pamiątki, nic coby myśl od rzeczywistości oderwać mogło, nic dla przyjemności i rozrywki nie znalazłeś w tej celi anachorety. Łóżeczko ciasne i czysto usłane, na którego pościeli widać było, że dość długi czas służyła, krzesło do pracy wygodne, stolik, na którym stopy książek poklasyfikowane były przedmiotami, kałamarz zawsze od suchot obwarowany korkiem, kilka piór świeżych i nie głębiej nosa zamaczanych w atramencie, papier biały, symetrycznie według wielkości ułożony. Na półkach mniej potrzebnych książek trochę, w kącie pół szkieletu tylko, bo połowa starczyła do nauki a mniej niż cały kosztowała; parę słojów z preparatami, trochę odzienia oponą okrytego na szaragach, otóż i wszystko.

Ale smutne to gospodarstwo całego przyszłością zajętego człowieka, trzymane było w tak starannej czystości i symetrii, że malując w nim zupełny brak uczucia, wzbudzało jakąś ciekawość dla istoty, co tak umiała zapanować nad sobą, by zakrzuszywszy się nawet szukać piaseczniczek i na podłogę nie splunąć, a zateśkniwszy, smutek zabijać tylko niezmordowaną pracą.

Drzwi tego pomieszkania były zawsze hermetycznie zamknięte i rzadko je nawet natrętnem kołatanem

otworzyć było można, jeżeli gospodarz miał zajęcie. Naówczas jek nawet boleści nie mógłby nielitościwej kłamki poruszyć.

Cale inaczej wyglądały mieszkania Konrada, któreśmy już opisali, zapierające się studenctwa i udające apartament dojrzałego człowieka, Jordana, Teofila i Albina.

Albin swe pokoiki przystrajał codziennie z wdziękiem jakimś niewieścim, starając się by mu wieś przypominały, lubił kwiaty, miał dosyć cacek, mnóstwo pamiątek, a przed rabunkiem naszym zamykał je skrzętnie w kryjówki szkatulek.

Najczęstszym przytulkiem, zwykłą giełdą naszą, było wspomniane coenaculum Teofila Sorokowskiego, gdzieśmy się o wszelkiej porze dnia i nocy schadzali, bo zawsze stało gościnnie otworem. Dość wielki pierwszy pokój, choć trochę ciemny, bo miał tylko dwa okna, z których jedno na przysłoniętą okapem galerją, drugie naprzeciw ściany sąsiedniego domu, niedopuszczającej nigdy światła słonecznego, wychodziło, był zwykłą akademików gospodą, ale od najazdu nie uwalniał sypialni Teofila, która się z nim stykała. Można sobie wystawić w jakim stanie i porządku była zawsze ta salka narady, nauki, wieczornych schadzek i przytulku opóźnionych, którzy tu dokoła na sofach całe często noce spędzali.

Trafiały się dnie, że jej nawet zamieść czasu nie było, bo od rana nieustannie wychodzący i przybywający zajmowali ją, mieniając jedni drugich. W pośrodku był stół dosyć wielki, z rozbitą zawsze paczką wagsztaffu w jednym końcu; na nim siadali często ci, którzy potrzebowali nawet odpoczywając nogi mieć w ruchu, przykład tego nadużycia dawał najczęściej sam Teofil.

W kącie prawie zawsze syczał niewygasły samowarek biały, blaszany z przekrzywionym na łbie kominem, z którego woda gorąca ciekła tak powoli i cieniuchno, jakby na siebie wzięła uczyć cierpliwości młokosów. Ważnym tu także sprzętem był piec, w którym

gorzało zawsze, a jednak izba ta w zimie na nieuleczone chorowała chłody, gdy latem za to parno w niej było nie do wytrzymania.

Zresztą, prócz znanych dwóch okien, nie dających żadnego widoku, sof i kilku krzeseł bardzo prostych. z których jedno odznaczało się oblamany i mundury odzierającym poręczem... Nie tu więcej nie było.

Mylę się, był chłopak sługus akademicki, zwany Cymbusiem, to jest spieszczonym Cymbalem, zawsze na straży przy piecu lub samowarku i tak wcielony w żywot akademicki, mimo swej głupoty, że żadna rozmowa bez jego uwag i komentarza się nie obeszła.

W wielkich wypadkach, gdy zgromadzenie było zbyt liczne, by do rozpraw w niem czas mógł znaleźć, Cymbus poważnie milczał, ręce założywszy na plecy i chwytając co kto mówił uchem ciekawem, ale z dwoma lub trzema, puszczał się śmiało w dySSERTacje i narzekania. Wieczną dolegliwością jego było znużenie, na które się zawsze uskarżał, zresztą bardzo naturalne, bo nie miał chwili pokoju i żaden negr tyle co on nie pracował. Nie mając czasu myśleć o sobie, Cymbus był zawsze obszarpany i odarty, a że kulał nieco na jedną nogę i mocno był oszpecony od ospy, całkiem się już wyrzekłszy wszelkiej nadziei przypodobania się roman-sowym kucharkom, wcale nie dbał o to jak wyglądał.

To smutne wydziedziczenie z najśladzich życia marzeń, musiało wpływać i na humor jego, niewyleczenie kwaśny. Niewiadomo kiedy sypiał i czy się do snu układał gdzieindziej jak na rogu sof, gdzie go często na znak spoczywającego z gębą otwartą znajdowano; — ale jak skoro wstał na nogi, porywany był co chwila. Pan sam posyłał go to po wagsztaff, którego zawsze brakło, do Opitza, to po bułki, to po kawę, po książki, po wodę, a ledwie wróciwszy musiał dmuchać w zagasły samowarek, poprawiać w piecu, fajki nakładać i zamiatać, czyścić odzienie i drewna przysposabiać. Samo zamiatanie było robotą Penelopy w pewnym względzie, nigdy się nie kończąc, raz że je prze-rywano pilniejszymi rozkazami, to że miejsca oczyszczone

natychmiast warstwą śmiecia okrywano znowu. Wiedząc tam z której strony leżała szczotka, oznaczająca miejsce gdzie robota przerwana została, ale nie mogąca powstrzymać nikogo. Uważano później, że nabywszy więcej doświadczenia, Cymbuś już się nawet nie kusił o zmiatanie codzienne; bardziej uderzające śmiecia nogą popychał w rezerwoary podkrzesłowe, a na popospolite patrzył zupełnie stoickim zgodzeniem się z wolą przeznaczenia.

Cymbuś zresztą naiwnie głupawy i ciekawy, miał jedną wielką cnotę, której go wyuczyła potrzeba, nigdy nic nie widział, choć na wszystko patrzył i słuchał. Niewiadomość ta udana była wysoką ostrożnością, dowodzącą poczciwej niewiary w siebie. Nie będąc bowiem pewien co godzi się a czego mówić nie można, wołał o wszystkim milczeć, stając głuchym i ślepy. Wzdychał do wsi i choć nie był w ścisłych związkach ani z łabędziem Mantuańskim, ani z dziedzicem Mandeli, nieustannie z pod pieca wolne tłómaczenie z łacińskiego:

O rus! quando te aspiciam!

powtarzał.

Literatura jego ograniczała się początym od roku Sindbadem, którego przygód dokończyć nie dawały mu liczne zajęcia gospodarskie; miał także sennik pod poduszką.

Teofil zawsze potrzebujący towarzystwa i łaknący nowości, najuprzejmiej wszystkich przyjmował; w jego mieszkaniu można się było o wszystkim dowiedzieć, tu odbywały się narady, poszukiwania, ztąd płynęły rozkazy do rzeczypospolitej studenckiej, często despotyczne, ale zawsze najściślej spełniane.

Rzadki był dzień, w którym ten wiecowy plac na parę godzin został pustym, a Cymbuś wówczas wyciągał się na sofie z nieopisanym lubieżności wyrazem.

Czyniło mu to nieopisaną przyjemność, gdy sam na sam pozostał z samowarem i imbryczkiem; czuł wsze-

lako niepokój, jakby się coś działo przeciwko naturze, odwracał się co chwila do drzwi, i okazywał jawnie podziwienie swoje. W lecie, ku wieczorowi częściej się to przytrafiało, bo młodzież nęciła uroczę okolice i przechadзки, zimą chyba teatr i panna Izabella Górska, mogły tak do nogi wyludnić Caenaculum nasze.

O! gdyby te ściany opowiadać umiały! ileżby to charakterystycznych rozpraw powtórzyć mogły, ile scen zajmujących przedstawić! Ilu ludzi, których piękna i wielka przyszłość czekała, zasiadali tu z marzeniami na tych sofach, w ciasnych mundurzykach akademickich! Jednym z najrzadziej odwiedzających gospodę, był Baltazar, ale i ten czasem potrzebował się odświeżyć, spocząć, dowiedzieć o czemś i polajać nas, schodząc z wyżyn swych ku nam na chwilę.

Naówczas wielki chór głosów witał zstępującego na ziemię bohatera, który się uśmiechał, siadał i studził nas, przykładając do rozpalonych skroni swą żelazną i zimną logikę. Nie miał jednak w sobie tyle siły by szał młodzieńczy zahamować, i choć go nie podzielał, pędu jego nie powstrzymał. Jeden wrażliwy Teofil milki przy nim, chowając jak ślimak rogi, uczucie i fantazję, zaraz z gorączki przechodząc w zwątpienie, bo go najmniejszy kamyczek na drodze mógł do zacołania zmusić.

Serapion milczek najczęściej zasiadał gdzieś w ciemnym kącie i słuchał, nie dzieląc naszych uniesień i nie wdając się w rozprawy — czasem tylko rzucił wielkiem a niezrozumianem słowem, poddanem mu przez Ewangeliczkę, którą prawie umiał na pamięć.

Albin spowiadał się ze swej miłości i przyszłego życia wedle wzoru, jaki mu serce jego rysowało; Longin rozbijał nas szyderstwem, Konrad karmił teorjami przyszłości i reform, Cyryll przynosił tu stare szpargały, Jordan swe spekulacje wymarzone, a inni zbytek życia, który się co chwila słowem lub ruchem, pieśnią i wykrzykiem wylewał.

Ten tylko, kto nigdy młodym być nie miał czasu, nie wie, jak zuchwałym jest umysł całą siłą w tej chwili, w życiu jedynej, pomykający się w górę. Strzela

on jak kwiat, na który zdobywa się roślina, całą potęgą w niej ukrytą i podsycaną powietrzem, światłem, rosą i deszczem niebieskim....

I tak ten pierwszy kwiat, umysł rzeźwy nie ku ziemi, z której wyszedł, ale się drze wysoko, zuchwale i zdaje mu się, że łodygą swą dotknie lazurowego niebios stropu.

Jest-że zadanie, na któreby odpowiedzi brakło młodości? nad któremby się ona zawahała? któreby ona poszanowała jako tajemnicą okryte? Zagadki wieków zdają się jej igraszką, a starość co wątpi, niepojętą chorobą; wszystkie już mając słabości ludzkie w sobie, gry ich nie pojmuje, skutkom się dziwi, radaby odbudować i nie wątpi, że to uczyni.

Ale jakże potem prędko przychodzi odczarowanie?

W okolicach Łotoczka, na małych uliczkach sąsiednich mieszcili się także w wielkiej liczbie towarzysze nasi, i dla nich otworem stojące mieszkanki Teofila służyły za plac najulubieńszej schadzki. Tu przedstawiali się i zapoznawali nowo przybyli młodzieńcy pragnący zjednoczyć ze starszą bracią, co ich poprzedziła do zdroju; tu czasem zaglądali ci, co zrzuciwszy mundur, tęsknili jeszcze za nim, i choć rzadko, zjawiał się jednak niekiedy surdut nie należącego do wielkiej korporacji-akademickiej człowieka, co tu zabłądził, aby się młodym duchem orzeźwić.

Z kolei wedle fantazji Teofila gospodarza domu, który się zbyt często przerzucał w różne postacie, co Cymbusia do rozpacz przyprawiało — zgromadzenie też otaczające go przybierało coraz inny charakter. Literatura, medycyna, teologia, historia, otrzymywały pierwszeństwo, i wychodziły na stół chwilowo, by wkrótce potem zlecieć z niego.

Rozmowa rozpoczęta o jednym, nie długo zatrzymywała się na przedmiocie obranym, z którego spychały ją zaprzętnienie chwilowe na największe często i najzawilsze kwestje życia. Nie było przedmiotu o któ-

ryby nie zawadzili, a najnieodstępniejsze były właśnie upodobane.

Zapasy z niemi przedstawiały porywy Tytanów, górami ścielących sobie drabinę do niedostępnego nieba, od którego piorun rzeczywistości miał ich odepchnąć.

W religji, w polityce, w nauce historii społeczeństw, w nieodgadnionym rozwoju ludzkości, najtwardsze węzły rozcinano co dnia metodą Aleksandrowską — toporem, szablicą. A co marzeń kwitło w tej ciemnej izbie zadymionej fajkami i istnem pandemonium Hoffmanowskim, w którego obłokach jak anieli na obrazach młode i świeże promieniały twarzyczki, Albina dumającego o kochance, Serapiona marzącego o życiu, Longina wzbijającego się na najwyższe stanowiska, które zdobyć miał jednym prawicy zamachem, Konrada przerabiającego Jednym prawicy zamachem, Konrada przerabiającego społeczność, Cyrylla reformującego naukę, Jordana rachującego zyskane miliony, Teofila upędzającego się za coraz nową mrzonką efemerydą, i Baltazara osłoniętego nieprzebytą tajemnicą. On tu jeden wyglądał jakby dlań prócz patentu na doktora nic nie pozostawało do użytkowania — reszta jeszcze chodziła po różach nadziei wonnych i niezwiędłych.

W kątku tym tworzył się w ten sposób cały osobny światek wystarczający sobie i niebardzo skwapliwy do przyjęcia obcych mu żywiołów... Jeden Konrad czynił z niego wycieczki do salonów, przynosząc często goręce zawodów, rozpaczę zawiedzionych miłości — reszta żyła najwięcej w swoim kółku. Serapion zrazu postarał się być o kondycję, o którą nie było łatwo, ale z rodziną ubogą, do której się dostał nie mógł się pogodzić mimo swej pokory i umiarkowania, a w pierwszej chwili zbolenia Albin wyciągnął mu rękę i gwałtem prawie wziął go do siebie, dzielił się z nim czem mógł, co miał. Mniej niż ktokolwiek Serapion mógł zawadzać — pokorny, cichy, mały i drobiazły, aby się nie stać natrętnym, a sobą służył ofiarą chętną i serdeczną dla drugich.

Albin mógł się przed nim wylać ze swoją miłością, nadziejami, czytać mu pełne achów poezje, pewien, że się z nich Milczek nie rozśmiejie, i całe nocy trzymać

go opowiadaniem dziejów miłości swej dla Anusi. Jemu jednemu tylko pokazał jej miniaturkę wieńcem zeschłych niezapominajek otoczoną, i pierścione, który miał od niej, z obawy szyderstw, i przypadku nieszczęśliwego nie na palcu, ale na piersiach noszony.

Longin, który był także powiernikiem Albina, nie tak go słuchał potulnie i wzbudzał obawę, nie wiem dla czego wszakże hamując się z szyderstwa, jakby miał litość nad rozmarzonym dziećciem.

Cyryll, jakeśmy wspomnieli, dostał był także zajęcie w domu sąsiednim u ludzi niezamożnych gdzie za stół i bardzo szczupłą izdebinę musiał nauczać nie tylko chłopaka rozpuszczonego i leniwa, ale jeszcze dwunastoletnią jego siostrzyczkę. Była tam w tym domu jeszcze jedna panna wcale nie szpetna, którą znano; widując ją często przez okno i imieniem Telesfory nie wiem z jakiego powodu w słowniku akademickim ohrzczono.

Panna Telesfora już dojrzała, wyglądała męża lada godzina i zdawała się mocno zajęta swoją przyszłością, której ciągle w oknie jakby się jej na ulicy zjawiać miała, oczekiwała. Badaliśmy o nią i jej familją, Cyrylla, ale on nigdy o nich nie mówił, a panny nawet zdawał się nie znać, tak go książki zajmowały. Konrad z nią czasem polował na wejrzenia, ale tylko w chwilach rozpacz, gdy go wszystkie generalówny i radczanki zdradziły. Ona też wcale nie zdawała się rachować na niego, a stałse nieco miała zamiary na przystojnego kancelarzystę, który co dzień dwa razy Łotoczkiem, w florasem podbitym płaszczu, mimo okien jej przechodził niekiedy nawet bywał u jej rodziców. Rozwinięciu się na większą i swobodniejszą skalę tej miłości wiele zawadzały oczy akademików wytrzeszczone zewsząd i niepokojące pannę i kancelarzystę. Musieli się ograniczać niememi wejrzeniami ku sobie i telegrafią, której znaki tajemnicze dla widzów nie były zrozumiałe.

Niekiedy okno panny Telesfory zasłonięte było do połowy krosienkami, czasem stawały w niem wazoniki, szklanka z wodą, i tym podobne sygnały, których zna-

czenia tajemniczego metodą Champoliona pierwszy Longin się dobał. Kancelista też różnie nosił parasol, papiery, laskę, chustkę fularową, płaszcz, surdut wedle potrzeby oznajmienia o swych obrotach ukochaney Telesforze...

Jordan Hruszka miał najlepszą kondycją w majątnym domu, w którym także znajdowały się dwie panyienki dorosłe, śliczne niebieskookie blondynki, bardzo podobne do siebie, z tą różnicą, że jedna z nich, starsza, miała twarzyczkę zawsze uśmiechniętą i połowę białych ząbków świecących w niedomkniętych ustach, druga czegoś smutna wyglądała jak podcięty kwiatek.

Byli tam jeszcze ojciec i matka i maleńki synek, którego Jordan był mistrzem. Ojca zwano panem prezydentem, a po sposobie życia ich poznać było można, że musieli być majątni; trzymali bowiem powóz i konie, oddawali i przyjmowali mnóstwo wizyt, miewali na wieczorach tłumnych gości i należeli do uprzywilejowanego świata. Pani kwestowała z córkami po kościołach przy grobach, a żaden bal się bez nich nie obszedł.

Oszczędność jednak wielka panowała w domu przyzwyczajonym utrzymywaniem, z należą ostrożnością, by pewnych nie przechodzić granic. Jordan Hruszka nudził się u nich, narzekał na skąpstwo i zbytnią gospodarność, ale prezydentowi, żonie jego i dzieciom przyznawał, że byli wcale dobrzy ludziska. Z Manią i Ziunią rzadko się spotykał, choć w jednym mieszkaniu domu, matka bowiem niezmiernie była surową, nie spuszczała ich z oka na chwilę, a dziewczęta bardzo skromne, na każde śmielsze wejrzenie rumieniły się jak jabłuszka. Zawsze je poubierano jednakowo, w jednobarwnych kapelusikach, w jednego kroju sukienkach, widywano idące na mszę i powracające z matką do domu. Gdyby byli bogatsze, Konrad gotów był w smutnej pokochać i miewał chwile zadumania, gdy kto o niej wspominał; ale Hruszka zapomniał, że w domu o pięćdziesięciu tylko tysiącach posagu była mowa, a to nie mogło zaspokoić Konrada, który niżej dwóchkroć z żoną nie przypuszczał.

Hrabstwo lub wielkie imię i stosunki mogły tylko wpłynąć na zmniejszenie wymaganych krociów, a tych tu nie było.

Mania i Ziunia musiały być przez ostrożną matkę nauczone wczesnie, gdyż względem narodu akademickiego trzymały się zdaleka z jakąś obawą i nieco wymuszoną oziębłością, która widocznie była nakazaną. Mania uciekała z okna jak tylko się w przeciwnych szybkach mundur zwodzicielski ukazał.

Otóż i całe prawie sąsiedztwo... ale nie koniec na niem. Niżej naprzeciw mieszkała dramatyczna rodzina szewca Pilsucia, z którą przez dziurawe swe bity akademicy byli w częstych i poufanych stosunkach, a na domiar pokuszenia, Pilsuc miał także dorosłą córkę, pannę Różę, ślicznie urodzoną, świeżo, wesoło, śpiewającą, drażniącą, śmiało i zdające wyzywać przyszłość na pojedynek.

Róża co do wdzięku nie ustępowała żadnej z panienek pierwszego piętra, choć mieszkała z rodzicami na dole w trzech ciasnych izdebkach, u których okna stał wyprostowany sztyl z bitem o żółtych sztylpach, drugim z kutasem węgierskim i trzecim karbowanym misternie na podbiciu wedle dawnej mody. Oprócz tego na precie żelaznym przed pracownią wisiał jeszcze wielki bót drewniany pozłacany, *armes parlantes*, inwencja pana Pilsucia, nieco naśladowaniem złotych obwarzanków i złotego wieprza tchnąca.

Pilsuc był rzemieślnikiem pracowitym, żona jego niestety! niegdyś piękna, chorowała na wcale niepotrzebną elegancję. On sam nosił surdut krojem kapotowym i kapelusz tylko na święta wielkanocne i procesje cechowe; ona stroiła się starannie, zawsze z pretensją do mody, a że córkę swoją chciała wyżej na drabinie społecznej umieścić, choć nie wiedziała jak i którą ją tam zaprowadzi, dała jej wedle swych pojęć edukację wysoką. Róża chodziła na pensję do Dejbów, miała fortepian i metra, śpiewała arje włoskie, stroiła się — ale mimo tych pozorów panienki było to dziecko sklepu i uliczki, żywe, potrzebujące gwaru, śmia-

łe aż do zuchwalstwa, nieopatrzone, namiętne.

Matka ani ojciec upilnować jej nie mogli, pełno jej było w oknach, na progu, w ulicy, w korytarzach, a najczęściej stawiała w ganku i tam nucąc piosenkę, lub gryząc orzeszki, studjowała swobodnie przechodzących. W chwilach wielkiego roztrzęsania trafiało się, że zuchwałszym języczek pokazywała.

Róża miała tę piękność nderzającą, jaką się czasem odznaczają dziewczęta gminu, dosyć pospolitą ale pełną życia, nie zbyt idealną, ale przejmującą wyrazem; oczy czarne, żywe i szalone, usteczka rumiane, drobne, ząbki jak perły, rączki i nóżki maleńkie, w pasie aż do zbytku była przecięta dzięki staraniom matki, która to miała za wielki wdzięk w kobiecie, ruchy i postawa były ponętne i mile, a instynkt kobiecy nauczał ją zawsze się z gracją obrócić, przegiąć, nachylić. Głosik czysty i dźwięczny, w którego wyrazie świeże panowało wesele, ubiór zawsze staranny i bijący w oczy, coś pokuśliwego i pociągającego szatańsko, czyniły ją dla młodzieży niebezpiecznem stworzeniem.

Bardzo też dobrze o tem wiedziała i nie lekając się wcale ani oczów, ani słów, ani zbliżenia, nastrecała się na przygody, wiedząc że z nich zawsze potrafi wynieść zwycięzko. Znali ją wszyscy i ona doskonale każdego z młodzieży, tajemnice akademickiego życia, położenie ichmościów, ich charaktery, a co dziwiło nie pomatu, słabość się mieć zdawała do kosoockiego Konrada, który ją swym płaszczem pasowo podbitym i czapeczką złotem i jedwabiami haftowaną z którą siedział w oknie, oczarować musiał.

Był to może jej ideał! Niestety! jakkolwiek śliczne to było dziewczę, a wprawę jej muzykalną nabytą u Rennera mógł dobrze ocenić Konrad, bo ją cała ulica słuchiwała popisującą się koncertem *la minor Hummela* i wielką fantazją Kalkbrennera — jej położenie w świecie szwieckim nie dozwalało paniczykowi zwrócić oczów ku córce rzemieślnika, a choć w swej reformie społecznej zamierzał dźwignąć mieszczan i rękodzielników, sam jednak nie życzył sobie dawać przykładu rehabili-

tacji z panną Różą, a wiedział znowu, że z ojcem jej i matką wcale nie można było żartować.

Ta kwateryk szwiecka i warsztat p. Pilsucia ożywiały niepospolicie uliczkę. Naprzód miło było zobaczyć twarzyczkę świeżą i figlarne oczki panny Róży, posłyszeć jej piosenkę a czasem srebrny śmieszek z za wazoników jej pokoiku; potem chłopcy w terminie u szewca były to frygi nieustannie burzące po bruku i zawodzące coś pochwyconego z szajnekaterynki, a sam pan Pilsuc ze swą powagą majstra, mieszczanina, starszego cechowego, głowy domu i ojca tak wysoce utalentowanej córki, zabawny też był niezmiernie. Męczennik ten chwilę jakąś szalę i zapomnienia okupywał wojną trzydziestoletnią ze swą ukochaną połowicą, nieustannie domagającą się wyjścia po za szranki życia rzemieślniczego... nikomu jak jej nie śmierdziała skóra i dratwa. Cóż jej pomogło, że miała salonik z fortepianem w kącie, z doniczkami, z obrazami i poduszkami haftowanymi ręką córki na kanapie, kiedy wnijścia do niego nie było innego jak przez warsztat pana Pilsucia.

Kilkakroć próbowała temu zaradzić pani Pilsucina, ale zawsze zostawała alternatywa albo wchodzenia do salonu przez warsztat, albo do warsztatu przez salon, a stary jakkolwiek dawał sobą powodować żonie, na zmianę mieszkania, które by go klienteli pozbawić mogło, zgodzić się nie chciał w żaden sposób.

Były projekta przekształcenia całkiem sklepiku na magazyn obowiązuje z napisem francuskim, na ulicy Wielkiej, niedaleko Fiorentiniego i Opitza, ale stary głową kiwał i statecznie się opierał niebezpiecznej dla kieszeni reformie.

W rogu uliczki był i piekarz, który wszystkich jej mieszkańców miał na swym rejestrze, a choć akademikom wyżej trzech rubli niechętnie dawał kredyt, czasem jednak pod pozorem niedostatku drobnej monety, udawało się wziąć u niego bez pieniędzy i na

trzydzieści złotych świeżego chleba i bułek. Oprócz tych pierwszej potrzeby wyrobów, wypiekano tu rogale, strucle, a nawet baby wielkanocne wspaniałe i lukrowane i placki do Świeconego.

Jak na toż, by uliczce na kwiatkach świeżych nie zbywało i wesołych twarzyczek nie brakło, piekarz Niemiec miał córkę Franię, tak pulchną i świeżą jak jego bułeczki; blondynkę, typ czysto germański, coś powolnego, łagodnego, spokojnego, nieznużonego w pracy i jakby oślepiętego na pokusy i wesele życia. Chociaż nie źle mówiła po polsku i sama siadywała w sklepie, Frania nie rozumiała nigdy tego co jej o czem innem jak o bułce i rogalu chciał mówić, a choć czasem oczy jej z nudów wlepiły się w ulicę, nic z nich iskierki życia wywołać nie potrafiło. Uśmiechała się wdzięcznie gdy kto kupił dużo, na komplementa odpowiadała milczeniem i wejrzeniem roztargnionem, a stale tylko prosiła każdego przechodnia, żeby drzwi za sobą zamykał. Ojciec stary i kilkoro jeszcze rodzeństwa składały dom, w którym Frania była matką i gospodynią, cierpliwie czekając na jakiego Michel'a mającego się zgłosić o pulchną jej raczkę.

Otóż prawie i cała ludność znajomsza małego Łotoczka. Pomieszkawszy na niej młodzież tak się z nią była oswoiła i przywykła do jej obyczajów, że żaden ruch, krzyk, stuknięcie drzwiami nie były dla niej zagadką; umiano rozpoznać turkot powozu państwa prezydentostwa, zgadując kiedy wyjeżdżał sam pan lub z córkami; po piosence i głosie rozróżniano chłopców pracujących u Pilsucia, po szmerze sukienki odgadywano przelatującą Różę, po dźwięku szyb każde otwarcie drzwi u piekarza, po chodzie kancelarystę przesuwającego się pod oknami panny Telesfory.

Cymbusia kulawość piętnowała pochod jego po bruku tak charakterystycznie, że posłany po tytoń, a niecierpliwie oczekiwany z powrotem, zdala po krokach nierównych niechybnie został odgadnięty i drzwi mu otwierano nim klamkę poruszył.

Spokojna to była zresztą i uczciwa uliczka, z której

ognisko akademickie najlepiej znane było jego członkom, dalej już ku końcom, kraje były mniej zwiedzane i mieszkańcy ich tylko z widzenia znani, a mistyczne o nich historie chodzące z ust do ust, sprawdzonymi być nie mogły. Brakło na to cierpliwości i czasu...

Cisza prawie cały dzień panowała na tym zaulku, rzadko przerwała ją dorożka, rzadsze jeszcze było zjawienie się powozu, a hałas i historia, któreby wszystkich szewczyków wywiodła przededrzwia, nigdy się tu prawie nie przytrafiały. Opodal był szynk, ale jakiejś natury spokojnej, nie przywabiający muzyką, nie hałaśliwy, przyzwoity i dbający o swą sławę. Sprzedawano tam wódkę flaszkami, buteleczkami, a czasem na kieliszki, ale zawsze pilnując, ażeby między konsumentami nie było hałaburdy, któreby niepotrzebnej narobiwszy wrzawy, uczciwe miejsce skompromitowała. Dozorca tej części, do której składu należał Łotoczek, co dzień tu przychodził na swój kieliszek kminkówki, czasem znajdował powód odwiedzenia gospodyni, z którą w wielkich był stosunkach, i dwa razy. Dbala o tę przyjaźń na wszelki wypadek przydatną, pani Janowa wchodzącemu zawsze ofiarowała krzesło i haust słodkiego nektaru.

Obok szynku siadywała przekupka z pomarańczami, jabłkami, gruszkami i innymi owocami, ale i to był raczej loszek hurtowy niż drobna sprzedaż. Wysyłała ona od siebie z nadpsutemi wiktuałami dwóch chłopaków na miasto, a ci i do akademików czasem zachodzili, bo na te łakocie jeszcze wszyscy byli po studencku łasi. Przy loszku Wawrzyńcowej paliła się późno w noc latarka, która nie raz opóźnionym wskazywała wśród ciemności drogę do domów.

Sprzedawały się tu kolejną jabłka, gruszki, winogrona, a na wiosnę wisznie, jagody, małgorzatki i wszelkie nowalje zielone, a handel nie ustawał nigdy, przedłużając się na przednówku orzechami, rożkami, figami i tego rodzaju pokusą dla gęby, około której zawsze dzieci sąsiednich domów odprawiały straż połykając ślinke

Podróżnym, co Łotoczek nawiedzał niekiedy, był żydek z katarynką, obdartus, miny łotrowskiej, którego instrument chrypiał jak jego gardło, i obu po kilka zębów gdzieś w szynkach utraconych nie dostawało. Z jarmulką na bakier, z popodpinanemi polami, niegdyś sinym kalinkurem podszytymi, wpół zgięty, czasem przybierający do towarzystwa dziewczynę lat trzynastu z obrechem na rękę pokazującą sztuki łamane, i bachura, który bił w bębenek z wielkim akcentem, przesuwiał się niekiedy i przez spokojny Łotoczek, ale tu rzadko amatora muzyki i widowiska wynalazł. Odgłos tylko katarynki wywabiał chłopców pana Piłsucia za drzwi, a pannie Róży był powodem do ukazania w oknie główki z przytkniętymi do niej z obu stron rączkami osłaniającymi uszy. Robiła wówczas minke tak strapiona, tak pogardliwą i zbolalą, jakby katarynka nie była dla niej pierwszą na świecie słyszana muzyką. Rada może była, żeby ją wówczas często w oknie przesiadujący w szlafroku jedwabnym i haftowanej czapeczce Konrad zobaczył pocieszenie przekrzywioną a zawsze ładniuchną... Miała niestety! widoczną słabość do niego, a ciągle bez powodu nastroić mu się nie mogła, gdyż ojciec i matka nawet jej wejrzeń przez okienko doglądali, nie bez przyczyny obawiając się szalonej dziewczyny.

Oprócz Serapiona, który był zawsze zatopiony w sobie, Cyrylla zajętego nauką, Albina, który nie w świecie nie widział nad Anusię, Longina i Jordana nie myślących o kobietach, reszta mocno była zajęta i piękną Rózią i Manią i Ziunią i piekarsówną Franią i panną Telesforą nawet i wszelkiemi zjawiskami rodzaju żeńskiego.

Matki i ojcowie dobrze czuwać musieli, zewsząd otoczeni nieprzyjacielem, który krążył i szukał kogoby pożarł... sam widok munduru ich przerażał. Jedna Różia nie zdawała się wcale obawiać nikogo, i owszem nastroczała się oczom i uszom, przyjmując powitania i hołdy w sposób nie odstreczający.

Różia była ziemskim kwiatuszkiem tej doliny, któ-

rej Mania i Ziunia były gwiazdkami, Telesfora poważną planetą, a Frania smacznym i miłuchnym grzybkim wyrosłym pod starą jodłą.

Nad Rózię nikt lepiej nie znał nas wszystkich, a kiedy przypadkiem przyszło nam u pana Piłsucia bóty zamówić i do niej się zbliżyć, witała po imieniu i nazwisku, i badała w sposób okazujący, że życie nasze nie miało dla niej tajemnic. Chociaż dalej nad ganek przeciwnego domu nie stąpiła krokiem, przenikliwość jej zgadywać się zdawała przez ściany co u kogo znajdować się mogło, jak kto mieszkał, i czem się zajmował.

Dziwnem jakimś uczuciem wiedziona, choć się do niej Teofil uśmiechał i był czas, że nieśmiertelną miłość jej poprzysięgał, choć inni zwracali ku niej blagające oczy, ona stale okazywała największą sympatją dla Konrada. Wyrobiła mu nawet tajemnym wpływem swoim kredyt na obowie, którego elegant ów, więcej niż inni, i rozmaitszego potrzebował; ale mimo to niewdzięczny chłopiec najmniejszego dla niej nie okazywał współczucia i powracając z balów odwracał się od niej, aby swych wspomnień na tej mieszczącej twarzyczce nie zetrzeć.

Można już mieć pojęcie jak im czas upływał... każdy z nich szedł o swej godzinie do uniwersytetu na prelekcje, tam przesiadywał często pół dnia i obarczony notami wracał do domu spoczywać, uczyć się, przepisywać, a najczęściej schodzono się do Teofila na herbatę i wieczory, które wiele zabijały czasu marzeniami i młodzieńczą gawędą.

Czasem schodzono się tam z seksternami, bo nauka lżejszą się wydawała, gdy jeden drugiemu do niej przeskadzał. Przed półrocznemi egzaminami przygotowywano się do nich u Teofila, ale przybywszy na miejsce, nim się wypaliło z dziesięć fajek, wypilo herbatę, zebrano do porównywania notat i *variae lectiones*, często i północ wybiła. Potem mrużano godzin parę powtarzając niby, przerywając sobie i śpiewką i gawędą, nareszcie

spać się zachciało i drzemano do rana, a Cymbuś choć się nic nie uczył, pomagał do tego wyśmienicie. Spiąc chrapał, a muzyka ta nocna miała tyle i tak dziwnych rozmaitości, że się czasem godzinami jej przysłuchiwano fizjologicznie badając ten dziwny fenomen fonetyczny.

Przygotowania do półrocznych egzaminów, potem do rocznych i całkowitych, były to najznakomitsze epoki w tem życiu, zresztą jednostajnem, choć w istocie rozmaitości pełnem. Nie dojrzało jej obce oko, zawsze też same widzące twarze, też same postacie w jednych powracające godzinach, lecz ileż tam dla nich było ważnych wypadków!

Rozmowy same już się stawały faktami znakomitemi, prócz tego każdy coś obok siebie znalazł co na nim robiło wrażenie, przynosił jakąś szczyptę do wspólnego ła, wrażenie, pytanie, wątpliwość, choćby humor i usposobienie. Konrad był wonią z większego świata, Cyryll w nauce czynił odkrycia, Teofil zachwycał się coraz czem innem i kazał nam podzielać swe entuzjazmy, Longin szyderstwą myśl podbudzał a marzeniami swemi nasze podsyczał, Albin często listem z domu odebranych przejęty wchodził zamyślony pośród nas, każdemu jakąś oddaloną przypominając westchnieniem.

A ileż to szalu i uciechy sprawiała każda nowa książka, każda wyśpiewana gdzieś daleko poezja, każdy wypadek, któryśmy sobie najfalszywiej tłómaczyli po dziecinnemu!

Szczególniej zjawiska świata umysłowego, które dziś dla nas tak spowszedniały, ileż to robiły przyjemności! jak upragnione zjawiały się przepisywane nocą, wychwyczone z rąk zazdrośnych — jakeśmy je zaraz na pamięć umieli i brali do serca.

Nie wiem czy kiedy wznowi się już ten zapal świeży z jakim naówczas najmniejsza drobnostka przyjmowana była. Wprawdzie Longin zawsze znalazł coś do krytykowania w arcydziele i sparodjować je potrafił, ale w oczach milczącego Serapiona ileż to razy dostrzeżliśmy łzę skrywana! Poczciwy Albin klękał i ręce

składał, gdy go rzewnymi wyrazy poezja do niebios upragnionych podniosła. Cyryll był trochę chłodny, bo go nauka uczynić takim musiała, a obcowanie z arcydziełami zrobiło niedowierzającym nowym czasem, które w oczach jego karłowato się wydawały. Konrad i Teofil unosili się także po młodemu, jeden tylko Baltazar śmiał się z tych uniesień i szalów wołąc rzadkie dzieło medyczne mogące mu posłużyć do zamierzonej rozprawy, niż najszczytniejsze poezje mistrzów słowa! I on wszakże słuchał ich, zaciekawiał się... krytykował, a niekiedy wołał mimowolnie przejęty: — A! to wielka prawda!

Ale rzadko natrafiał na taką prawdę, któraby z niego wyrwała przyznanie, ho co było uczuciem, to zawsze od stalowej piersi jego odpadało przystać do niej nie mogąc — a w poezji wszystko się musi przelać w uczuciową formę.

Długie wieczory zimowe, wszyscyśmy się schodzili do Teofila, każdy ze swoim tłumaczkiem dziennym, ze swą troską i zaprzętnieniem, a zbliżenie się dodawało nam sił i podpierało tych, których mała jaka przeciwność zachwiała. Znajdowali oni chętną pomoc w towarzyszach, a nikt jej nigdy nie odmówił koledze, bo wszystko im było wspólne i choć często wyradzały się kłótnie, rzadki był bardzo przykład by te nad jeden wieczór potrwały, po wybuchu chwilowym, namiętnym, ognistym, ścisłal się mocniej jeszcze węzeł przyjaźni.

Stan ten trwał zrazu bez żadnych zmian znacznych po przybyciu i rozłokowaniu się w Wilnie, drobne różne okoliczności zaczęły go potem powoli zmieniać, a największą zmianą było nieustanne przerzucanie się Teofila u którego się zbierano, który spróbował medycyny, prawa; nauk przyrodzonych, literatury, zrażony wreszcie, nie wiedział co począć z sobą, bo już nie miał ochoty do niczego. Longin, który niby nim najwięcej kierował i narzucał mu się, zamiast pomocy i litości, jaką był powinien okazać, prześladował go teraz nielitościwymi

szyderstwami. Teofil począł coraz mniej uczęszczać na prelekcje, zobojętniał, bawił się czytaniem wyrwanem i bez ciągu, zagrażało mu nawet w przyszłości, że będzie musiał uniwersytet porzucić.

Potrzeba więc było radzić, a Serapion cichy i milczący, gdy szło o niego samego, postrzegłszy co się święci, pobiegł do Baltazara, którego za najstateczniejszego uważał i miał sobie za obowiązek zwrócić na to jego uwagę.

— Teofilowi potrzeba coś poradzić, rzekł, inaczej porzuci nauki... spróbował wszystkiego po troszę, dziś mu już nic nie smakuje.

— E! to głowa otwarta na cztery wiatry, odparł Baltazar, który do nudnych spraw dla miłości bliźniego mieszać się nie lubił — co ty chcesz? przerobić człowieka? takim się urodził i takim umrze, na nic mu uniwersytet i nic po nim uniwersytetowi — niech sobie lepiej do domu powraca.

— Ależ szkoda by go było, rzekł po cichu i skromnie Serapion, nie jest on bez talentu... mógłby się stać sobie i drugim użytecznym... Gdybyśmy go zachęcili, podali mu radę dobrą, zwrócili go na drogę pracy?

— Jakiejże pracy? ruszył ramionami Baltazar — co ty chcesz z niego zrobić? Dosyć Longin z niego naszydził, a przecie nic na nim wymódz nie potrafił.

— Gdybyśmy się kiedy zeszli do niego i łagodnie a serjo przedstawili mu następstwa tej niestałości, może poznawszy siebie popracowałby nad sobą.

— Kochany Serapionie, ty to zawsze mierzysz drugich sobą... ty co innego, on co innego... wszystko to daremne, bo z Teofila prócz dobrego towarzysza nie będzie, człowiek co niema wytrwałości, zgubiony.

— Ale mógłby ją właśnie w sobie wyrobić!

— Gadaj zdrów...

— Zejdźmy się wieczorem...

— Ja przyjdę, ale tylko, żeby posłuchać i zobaczyć, jak się do przerabiania człowieka weźmiecie, czarno-księżnicy!

Pocziwy Serapion poszedł tak milczkiem i do in-

nych, wstąpił do Konrada, którego zastał nad tualetą i studjami komologicznymi; — porzucił wreszcie gospodarz szcztotkę i wesoło powitał rzadkiego u siebie gościa.

— Przyjdiesz dziś do Teofila? spytał po prostu Serapion.

— Wieczorem? nie wiem! mam dziś wieczór! jestem proszony... zawołał Konrad.

— No, to przed wieczorem twoim, chodzi o to, aby Teofilowi poddać zapalniczy i ochoty, na których mu zbywa...

— A jakże! a jakże! doskonale! będę, powiem mu kazanie! Potrzeba żeby starał się usposobić na żywego członka społeczeństwa, nie martwą częścią jego... musimy go sprostować, natchnąć, pokierować!

Cyryll przyjął podobne wezwanie milczeniem, Albin uściskiem, Jordan ręką machnął tylko i o mroku wszyscy się do Teofila powoli ściągać poczęli. Oprócz wymienionych było jeszcze kilku przypadkowo przybyłych i do tej nienależących kolonij, ale im wcześniej oznajmiono o co chodziło.

Teofil był właśnie w jednym ze swych paroksyzmów zwątpienia zupełnego, nic mu nie smakowało, wszystkiego popróbował i rzucił, życie zdawało się obojętne... zastaliśmy go nad książką, którą przewracał nie czytał, leżącego na łóżku w szlafroku, i poziewiającego szeroko.

Aleksander Macedoński pierwszy stanął naprzeciw łóża w postawie teatralnej, założył ręce na piersi i odezwał się do niego podniesionym głosem:

— Patrzcie! oto człowiek! ma młodość! ma dostatek! ma czas, ma talent... boć i talent jest... a że mu Pan Bóg dał wszystko, niczego użyć nie umie! Skosztował tylko po troszę z jednej i drugiej miseczki i już się znudził wszystkim... panowie medycy szukajcie mu lekarstwa... niepodobna opuścić kolegę!

— Jako medyk, przerwał Baltazar, jako starszy od was wszystkich, niechym innego nie poradził nad porządną frykję, któraby funkcje żywotne do harmonji powołała, bo jest dezorganizacja jakaś... ale Teofil już na to za stary... Medycyna nic tu nie poradzi, ale gdyby ojciec majątek stracił, a kawałka chleba zabrakło, kto

wie możeby żelazna konieczność...

Konrad, który wszedł wystrojony chuchając w białe rękawiczki i począł serdecznie do zbytku witać po kolei wszystkich, rozbrajając żarty, które czuł, że go z powodu elegancji podejrzanej spotkać mogły — podchwycił żywo:

— Wina cięży nie tyle na Teofilu, co na społeczeństwie.

— Jakto na społeczeństwie? przerwał żywo Serapion — co ci jest?

— O tak! rzekł Konrad, Teofil nie nie winien, że wychowania jego nie zastosowano do charakteru, że jednak karmiono go jak innych, że pocziwemu ojcu dozwolono wypieścić syna. Społeczeństwo powinno było odebrać dziecie ojcu i czuwać nad nim, zrobić djagnozę umysłu i stosownie do niej postąpić. Dziś, złe dokonane, sam on tylko z tego zwątpienia dźwignąć się może wyrabiając w sobie wolę silną...

— To jest, mruknął Longin, żeby toczyć, potrzeba tokarni, a tokarnia musi być wprzód wytoczona sama...

— Czego wy chcecie odemnie? podchwycił Teofil, oglądając się po zgromadzeniu, które łoże jego otaczało... Cymbuś! ustawiaj samowarek i daj mi fajkę! *Et tu Brute contra me?* wyźwierzył się do Konrada — i ty elegancie, próżniaku i światowcze? Czegoż powtarzam, chcecie od nieszczęśliwego, padającego ofiarą swej żądzy nauk i sławy? Wszakżem próbował wszystkiego? wszakiem się zapalał? wszak siedziałem po nocach? chodziłem jak zwarjowany? Cóżem winien, że jak kamień od razu idę na dno i widzę marność wiedzy ludzkiej? Mogę ja gdy mi ręce bezsilne opadną, gwałtem się skazywać na pracę, któraby była bezpłodną?

— Możesz, rzekł po cichu i zwolna Serapion, zbiegając się na odwagę wystąpienia w cudzej sprawie — możesz, powtórzył, praca nie jest zabawą, — męczy, to dobrze, nuży, tak być musi, łamie człowieka, to jej powinność... Widzisz chwilami, że droga, którą idziesz, pusta, a nie wiesz dokąd prowadzi, a iść wytrwale potrzeba.

— Ale gdzież się zajdzie nie miłując przedmiotu? spytał Teofil, tu potrzeba miłości!

— Tak jest... a więcej jeszcze nad nią wytrwania — rzekł Cyryll. — Być-że może, abyś z całego ogromu wiedzy ludzkiej nic dla siebie wybrać i stale ukochać nie potrafił?

— *Dixisti*, odparł leżący, tak ono właśnie jest — wybierałem po kolei każdą naukę, kochałem każdą i żadna mi się wzajemnością nie wyplaciła. Zupełnie tak jak kobiety... z daleka przeszłości... zachwycasz się, zbliżysz, rozpoznajesz... ehe! plama na twarzy, brodawka na nosie... nogi jak stempory, ręce czerwone, i ideał przemienił się w kucharkę...

— To nieszczęście właśnie, że ty kucharki kochać nie umiesz, przerwał Konrad... trzeba umieć kochać, mieć miłość, a ideał ona stworzy, serce twe chłodne i próżne...

— Balamucicie młokosy! przerwał żywiej niż zwykle Baltazar — porównanie nie racja, Cymbus gotów myśleć, że się jego pan kochał w Marytornie... skończyłście, jak zawsze, na błazeństwach!

— Widzę, że to cały spisek na mnie, rzekł Teofil śmiejąc się — ale cóż poradzicie, kiedy mi ochoty braknie?

— Ochoty się nabiera, byle chcieć jej, rzekł Baltazar.

— A kto nie umie? kto nie może?

— Robi bez ochoty, a z obowiązku — odparł Cyryll — czy myślisz, że i my mamy ochotę zawsze? że i na nas nie napadają chwile znużenia i zniechęcenia? każdy na to choruje, ale słabość zwyciężyć umie!

— A więc recepta! dawaj receptę! zawołał Teofil.

— Weźmiesz-że lekarstwo? wątpię!

— Czasem się ono daje i gwałtem! szepnął Longin z boku.

— Ale napróżd lekarstwo!

— Wytrwanie uporczywe! rzekł Cyryll.

— Ależ właśnie o to chodzi! ja go nie mam!

— Ucz się go wprawą powolną... *usus te plura docebit*.

— Żart żartem, zawołał Longin, tobie raz przecie potrzeba się namyslić, wybrać stanowczo i wybrać przedmiot nie rzucać już go choćby się wy-

czerpał i umęczył.

— Dajcie mi przedmiot... sam go wybrać nie umiałem, wybierzcie dla mnie...

— Słuchajcie! rzekł panująco Longin, znam dosyć człowieka, zrobimy konsyljum walne, a ja jako ordynariusz opowiem historią choroby.

Wszyscy widząc, że się na długo zabiera, poprzyśiadali na krzesłach, łóżku, poręczach, kufrze i oknie, a twarz ospowata ciekawego Cymbusia, który o samowarku zapomniiał, ukazała się we drzwiach.

— Poczęło się to, mówił Longin, od niepomiernego użycia różnych niestrawnych umysłowych pokarmów — chory obzał się, był głodny, dopadł nagle do zastawionego dla liczego towarzystwa stołu, pił, jadł, opychał się i dostał w wysokim stopniu...

— Niestrawności! przerwał Teofil... dobrze... ale tu ani emetyku, ani hipekakuany nie zaadministrujesz?

— Natura młoda sama się pozbedzie niepotrzebnego, ale na przyszłość trzeba przepisać djete, mówił stanowczo Longin. Głowa się do wszystkiego paliła, a nie każda rzecz wszystkim dobra, medycyna kochanku nie dla ciebie, kochałbyś się we wszystkich swych pacjentkach... prawo nadto poważne i suche, na filozofa nie wyglądasz. Kiavierem nie będziesz, bo jakby ci przyszło z zęba odgadywać zwierzę, nie doszedłbyś dalej szczęki... Tobie panuje imaginacja i pierwsze wrażenie, każda rzecz cię porywa, odbija się w tobie i wstrząsa cię do głębi, jesteś stworzony na poetę lub literata, który niczem innem nie jest tylko zwierciadłem odbijającym otaczające go życie: wróć więc do literatury i trzymaj się już jej jak pijany plotu...

— Literatury! zaśmiał się Teofil, masz mnie więc za człowieka co nie poważniejszego, surowszego nie potrafi?

— Mam, i tak jest! rzekł Longin.

— A to może i prawda, zmieniając ton, odparł Teofil, powstając z łóżka... zawsze w sobie czułem to powołanie...

Wszyscy się rozśmiali, Cymbus pokiwał głową ru-

szyl ramionami wyraziście, i spluwając powrócił do samowara. Mina jego zwróciła oczy wszystkich, Longin wskazał go gospodarzowi.

— Oto patrz, rzekł, nawet Cymbuś już w ciebie nie wierzy i śmieje się z ciebie.

— Bo nikt mnie nie rozumie! nikt na całym świecie! — krzyknął tragicznie obwiniony.

— Owszem, doskonale, rzekł Baltazar, ale gdybyś ty Teofilu lepiej swą słabość zbadał, możebyś coś na nią poradził.

— Nie rozumiecie mnie, nie! mówił dalej gospodarz — dusza moja łaknie nad miarę, ale ma jakieś przecucie znikomości rzeczy ludzkich, nicości nauki, próżni życia. Goreję a nie mnie nie chłodzi, pragnę, nie mnie nie napaja, wołam, nikt nie odpowiada.

— Otoż dowód, jak dobrze radziłem, przerwał Longin, gotowa poezja, o rymy tylko chodzi, ruszaj na literaturę i po wszystkim.

— To jest, powróć, dokończył Albin Fioletek, niech twą dłoń znowu jako kolegi uścisk, siądziemy na jednej ławie i pracować będziemy razem.

— Cymbuś czy samowar nie gotów? przerwał gospodarz zmieniając ton rozmowy.

— Dajże pokój Cymbusowi i samowarowi, rzekł zbliżając się Serapion, rzecz więc postanowiona, wracasz do literatury i dajesz nam słowo, że wytrwasz.

— Słowo? na co?

— Dla tego, że cię nam wszystkim szkoda bracie, że cię nam żal Teofilu, że później ty sam żałować będziesz straconego czasu, a dla szczęścia twojego potrzeba pracy, celu, zajęcia.

Teofil rzucił mu się na szyję.

— Drogi mój milczku! rzekł, — niech-że cię uściskam za najpocziwsze twe chęci, ale są ludzie przeznaczeni na męczarnie, i napiętnowani klejmem fatalności!

— Jak pan Pilsuć, dodał Longin — bóty robi, bez bótów chodzi i żona mu łysą głowę myje.

— Ale za to córeczka! rozśmiał się Jordan.

— Mnie się zdaje, że ten skarb nie wiele go pociesza, bo w dodatku jeszcze argusować nad nim musi, a Różia nie łatwa do upilnowania.

— Różia w jedno tylko okno Konrada pogląda i tam dla niej niebezpieczeństwo, rzekł Longin, reszta zabawka.

Konrad się jakoś uśmiechnął kwaśno.

— Niewdzięczny! rzekł Teofil — gdyby chciała tak patrzeć na mnie, jabym dla niej szalał!

— Szczęściem u ciebie i szal nie trwał by długo, dodał Jordan.

— Ale słowo twoje? słowo? podchwycił Serapion słowo... oto świadkowie... czekamy...

— Chcecie? daję więc uroczyscie, powstając i wznosząc rękę do góry rzekł Teofil — i poprzysięgam że... ale na cóż mam przysiądz? że literatury nie porzucę aż do śmierci!

— Bylebyś dotrzymał do ukończenia kursów.

— Niech i tak będzie... biorę ją sobie za małżonkę... choć bardzo stara! rozśmiał się Teofil.

— Poezja? stara? — rzekł Albin.

— Jak świat... powtóre, trochę płocha, ale cóż robić? przyjmuję wyrok z rezygnacją.

Cymbuś, który piąte przez dziesiąte słuchał i zrozumieć nie mógł, a przyśniło mu się, że jego panna żeniono z Rózią szewcówką, wychylił głowę i zawołał:

— Oto, jak się pan dowie! będzie paniczowi dopiero!

Śmiech ogromny i oklaski powitały śmiało wystąpienie Cymbusia, który ruszywszy ramionami wrócił do pieca i samowara.

Tymczasem Konrad, który nałożył już nareszcie rękawiczki i z niecierpliwością poglądał na zegarek, nie śmiejąc wyjść pierwszy, szukał widocznie powodu do oddalenia się; Longin to postrzegł, a raczej domyślił się.

— No! bez ceremonji kochanie, idź gdzie wola powinność! Czuję przez skórę, że cię korci! nie potrzeba nigdy gwałtu zadawać naturze, nas ona prowadzi do

tej dymnej izdebki, ciebie *ad altiora*, do świetnych salonów, na ślizgawicę posadzek.... dobranoc wielki mężu!

— Nie dobranoc, Pasquinie.... bo jeszcze pewnie was zastanę tu zebranych powróciwszy—odpowiedział Konrad, wymykając się — wiercie, że mi istotnie żal, że tak miłe towarzystwo opuścić muszę.

— Ale obowiązki przedewszystkiem! — szepnął sztydersko Baltazar.

— Ochota gorzej niewoli! — dodał Jordan — sam się zmuszasz i dobrze czynisz.

Konrad nie czekając reszty, potrąciwszy Cymbusia, wybiegł na wschodki śpiewając piosnkę dla nadania sobie odwagi.

Reszta zgromadzenia pozostała na cały wieczór, a Teofil nawet dał nadzieję wieszery i pieczonych kasztanów. Zabrało się więc na długą gawędkę, a przybycie jeszcze kilku towarzyszków z dalszych krajów, ożywiło jeszcze trochę Coenaculum, i przeniósłszy się z sypialni do wielkiego pokoju, młodzież rozsiadła się w nim na sofach do koła.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzone, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom pięćdziesiąty dziewiąty.

METAMORFOZY.

OBRAZKI

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez Autora.

In nova fert animus mutatas dicere
formas Corpora.

P. OVIDII Metamorphoseon. Lib. I.

TOM II.

LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.

1874.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.

Zebrali się tedy na jeden z tych wieczorów pamiętnych, których wspomnienie dziś jeszcze nieraz przychodzi w życiu spowodowane jakąś drobną okolicznością, dymem fajki, szmerem czyjegoś głosu, słowem, które tam wyrzuczone kiedyś zostało.

Wszyscy byli w tem usposobieniu ciepłem, z tą ochotą do życia i nadzieją w sercu, z którymi wesoło na świat się pogląda, Teofil nawet poczynił wychodzić z odretwienia, choć go zrazu ta napaść zbiorowa kolegów bardzo pomieszała; Serapion pocziwy uśmiechał się przechadzając po izbie wielkimi krokami wybraawszy sobie ścieżkę, na którejby jak najmniej potraçał i spotykał ludzi.

Longin usadowiwszy się w jak najlepszym miejscu, opanowawszy jak najczystszy cybuch i porwawszy pierwszą nalaną szklankę herbaty, zabierał się czynić postrzeżenia nad otaczającym go towarzystwem, oko jego drgało szyderstwem.

Ciepło jakoś było, zacisznie, wygodnie, ogień świecący w piecyku zastępował komin, który wieczorne posiedzenia tak tajemniczo oświeca i fantastycznie maluje, że wziąłbyś go za najpotrzebniejszego z gości.

Pomilczano chwilę, w tem Albin podparty na łokciu westchnął, a cichy ten głos pragnienia jakiegoś i tęsknoty, który się odbił w duszy wielu, wywołał zaraz uśmiech na usta Baltazara i Longina — prawie razem zawołali szydersko:

— Gdzież to posłałeś westchnienie?

— Dokąd? nie powiem. I z tego byście się może śmieli! Jacyście wy wszyscy szczęśliwi, jacy szczęśliwi! nigdy nie opuszcza was wesołość, nigdy i nie, nawet litość, nie powstrzyma uśmiechu.

— Gdy twym udziałem, Werterze, płacz i narzekanie!

— Jednakże, przerwał Teofil, ręczę że Albin swojego bolesnego westchnienia na ich rozkoszny śmiech by nie pomieniał.

— O! to pewna!

— Nie mów więc żeśmy z nim szczęśliwi!

— Co tam szczęście, bałamuctwo, rzekł Longin, ale myśmy ludzie, gdy pan Albin jest dzieckiem tylko.

Albin splonął cały, dotknęło go to.

— Już dzieckiem chyba i umre, dodał cicho.

— Bardzo być może, odparł Longin.

— Wam wszystkim uśmiecha się życie, kończył pierwszy, mnie ono już poi gorczyzą, a tak nie wiele by mi do szczęścia potrzeba!

— Chatki i serca! rzekł Baltazar... stare brednie!

— Filemon jest, braknie tylko Baucis.

— Śmiejcie się, pozwalam, ale któż z was nie ma swojego ukochanego marzenia? Kto z was nie karmi jakiej nadziei? Studentami potajemnie hodowaliście jaszczurki, myszki i szczygły... był to symbol i przepowiednia tych fantazyj, które starsi żywić mieliśmy, jak owe jaszczurki i myszy, kryjąc je za pazuchę od profesora. Każdy ma to stworzeńko u piersi gdzieś ukryte, którego się wstydzi a kocha.

— Tylko że jedni kochają je dla mięsa a drudzy dla pierza, rzekł Baltazar... ja się od razu przyznaję, że karmię wołu na poledwice.

— Ale, przerwał żywo Albin, czy ci twej sztukamięsy na całe wystarczy życie nie wiesz i nie ręczę, panie Baltazarze... Gdy zjesz, gdy się napijesz, gdy odpoczniesz, przyjdzie tęsknota, nieuleczona choroba, od której jak od ospy nikt nie jest wolen, staniesz się niespokojny, nie wiedząc czego ci braknie, i syty a nie

pragnący boleć będziesz musiał... za to, żeś tylko poledwice karmił.

— Mylisz się kochany Albinku, wonny fijołku, dziecię moje, przemówił Baltazar — jam już łysawy i stary, znam życie i nie wymagam od niego wiele; zimno sobie patrzę na nie, nie roję, idę dalej powoli, ostygły, okulawiały może, ale pewnym krokiem...

— Tego ja ci nie zazdroszczę, rzekł Albin, bo to według mnie choroba, kalectwo, największe z nieszczęść, zastygnać.

Baltazar się rozśmiał.

— Tak jest, dodał pierwszy, są tacy ludzie, ale to nie jest idealny typ człowieka jakim on być powinien. Świat jakim ja go marzę dla was i dla siebie, składać by się powinien z ludzi miłością przejętych, zawsze gorących, zawsze dla brata gotowych, związanych jedną myślą wspólną, a oczy podnoszących ku niebu. Co mi ziemia i życie bez poezji, bez miłości, bez ideałów?

— A gdybym ja ci powiedział, że wiara w ideał to także kalectwo i gorączka?

— Pozwał bym cię przed sąd świata i wieków, zawołał Albin — ludzie jak ty panie Baltazarze nie udają ciepłych, nie muszą czasem odegrywać roli zapалу i zmyślać, że poezję kochają i rozumieją? Nie jest-li to dowód, że się wstydzą swojej impotencji?

— Jaki z niego dialektyk, rzekł ruszając głową Longin, ot patrzajcie! zbił w puch Baltazara.

Stary poglądził się po łysinie i uśmiechnął dziwnie z wyrazem litości.

— Ja, rzekł, nigdy nie udaję — wolę być kaleką niż drewnianą podszukowywać się nogą. Ale odmalujże nam swój świat, dodał powoli — prosimy, będzie to zapewne naśladowanie Gessnerowskiej sielanki, ale i to ma swoją wartość.

— Mój świat, rzekł Albin... mój świat to świat Boży, jakim go chciał Pan Bóg, gdyby go ludzie nie popsuili... Pokój, zgoda... miłość, swoboda... cisza...

— Pierwszy nonsens, przypisujesz Panu Bogu idylliczne usposobienia... a burze, a choroby, a klęski... czyż

ich nie ma koniecznych i nieuchronnych?

— Na burze, choroby i klęski nie ma ratunku w naturze, ale jest lekarstwo w sercach ludzkich. Co burze zwałą to ręce braterskie odbudować powinny, rany goić, smutki pocieszać... nie jest-że obowiązkiem i rozkoszą? Zresztą ja nie wymagam od świata, żeby był rajem, ale może być przedśmionkiem niebios, gdy dziś jest to giełda wrzawliwa, wśród której niespokojnemi oczyma pozerają się nie dowierzając sobie ci, co się kochać i wspierać powinni.

Wiem że świata nie przerobię, ale sobie mój utworzę wedle serca.

— Każdy z nas nosi w sobie taki ideał, zawołał Teofil — a wiecie co? jakby to było zabawnie i miło, gdybyśmy się choć raz z marzeń naszych wypowiedzieli. Jesteśmy nie źle usposobieni, Cymbus poda fajki i herbatę, Albin, który już swój obraz naszkicował, rozpocznie i zagał to posiedzenie.

Poklasknęli wszyscy, tylko Serapion zaprotestował, chociaż ożywiony był więcej niż zwykle, ale przywykły do skrywania się w sobie pokornie, przeląkł się widząc zmuszony do wypowiedziania najtajniejszych myśli.

— Godziź się tego wymagać? rzekł gorąco — możeż się każdy na to zdobyć, żeby skarby swe dać na poniewierkę?

— Większość głosów! wotujemy! krzyknął Teofil stukając pięścią o stół.

— Większość głosów! powtórzono... *minoritas* poddać się musi.

Ręce niemal wszystkich i głosy podniosły się potakując myśli Teofila, a jeden biedny Serapion pozostał ze swą protestacją.

— Ja nie mam, rzekł, ani snu, ani marzenia, ani nadziei, przyjmę co Bóg zesle...

— Opowiesz więc nam, cobyś życzył, żeby ci Bóg zesłał... i kwita... Większość stanowi, choć bywa głupią i niesprawiedliwą... wszyscy tego chcą, nikt się wylaamywać nie ma prawa... tak na świecie, tak!

Serapion spuścił głowę...

Albin więc zaczął pierwszy, i zasiadłszy w kątku, tak marzył:

— Wystawcie sobie naprzód nasz domek w zielonym ogródku, na wzgórku, otoczony kwieciami i krzewami...

— A zimą? spytał Longin.

— Zimą pokryty białym rąbkiem śniegu i srebrzystymi, brylantowymi szronami... Ale nie przerywajecie...

— Niech nikt nie przerywa! ozwały się kilka głosów... cicho! dajcie mu marzyć na jawie...

— Słowik śpiewa w krzakach bzu i jażminu, lipy stare szumią jeszcze piosenkę ludzi, przy pracy swobodnej pocieszających się starymi śpiewy wyuczonymi od prababek; w dole młyn szumi i huczy, na drodze turkoczą wozy włościan... od wsi zalatuje nucenie dzieci, które piastunki pocieszają nim matki powrócą... nie ma i jednej nuty sprzecznej w tym chórze wesela i pokoju. Koło łoża chorych jest miłosierdzie co czuwa, jest ręka bratnia co otula, a cierpiący wstrzymuje skargę, aby nią nie zranic litościwego stróża swojego.

Widzicie jak tu pięknie i wesoło!

Mógłbym pomyśleć o własnym szczęściu, gdybym wprzód o tle, na którym się ono rozwinie, nie dumał? cóż mi warto moje, gdy na cudze łyż, potrzebując uśmiechu, patrzeć będę zmuszony? Naprzód więc przerażam świat i snuję utopiję, nie na teorji jakiejś, ale na jednym słowie: — kochajcie się jak bracia.

Znikają przedemną różnice stanu, urodzenia, pochodzenia, inteligencji — wszyscyśmy bracia i każdy wprzód niż o sobie myśli o drugich, to jedyny środek dorobienia się szczęścia na ziemi nie osadzając go na egoizmie. Nie potrzebuje już czuwać nad sobą, bo wszyscy troszczą się o mnie, lecę ku drugim i koję ich smutek, a czyniąc to, o swoim zapominam... ktoś mi dłoń ciepłą przyłoży do serca i pierś moją zagoi.

Naprzód więc zwracam się do tego ludu, który od secin lat jak muł i osad na dnie społecznym leżąc, jęczy skazany na ciemnotę i barbarzyństwo. Nie niosę mu nauk wysokich ani wymagam by każdy z tych co

za plugiem chodzą, stał się medrcem, pragnę go uczynić pocziwym, chce by pojął życie i cel jego. Na to więc ustanawiam szkółki chrześcijańskie, gdzie nie wszyscy mogą się uczyć czytać, ale każdy musi się nauczyć być człowiekiem i bratem, gdzie mu wpoją miłość, gdzie zgaszają niechęć, gdzie wytepią zazdrość, gdzie im pokażą, że mienie i grosz nie stanowią szczęścia chociaż się niem zdaleka wydają. W tych szkółkach osadzam ludzi skromnych, łagodnych, cierpliwych, coby natchniono, namaszczone, gorąco słowem nie literą nawracali pogan...

Chodzi tu o drugi chrzest w kilkaset lat po pierwszym; ów pierwotny połączył kraj nasz ze światem chrześcijańskim imieniem, ten go zjednoczy istotą z ludzkością, z czeladzią Bożą...

U ludu nie ma wiary — jest obawa kar, jest ciemne przyszełego życia pojęcie, jest zabobonny przestrah jakiś, jest pogańska zasada, w którą wszczepiono chrześcijańską gałązkę i zeschnęła nie podżywiana.

Potrzeba apostołów co by tych mniemanych chrześcian nawrócili na nowo.

Mniejsza, jeszcze raz powtarzam, o naukę czytania i pisania, potrzeba naprzód wyuczyć myśleć, a to, sądzę, otrzymać się może żywym słowem i przykładem lepiej niż otwarciem im drogi do książek, których nierozumiejąc, popsuć się z nich mogą.

Jak troskliwa matka małemu pisklęciu sama wprzód wybiera i przeżuwa i w dzióbek wkłada pokarm, bo wie, że głodne struło by się, rzucając na pastwę szkodliwą.

Zbieram więc apostołów, ludzi dobrej woli i poświęcenia i rozpoczynam misję generalną po świecie dla nawrócenia pogan, bośmy my wszyscy bez mała pogan! Te misję odprawiać będą jak uczniowie Chrystosowi, nie w kościele, nie w świątyniach, ani w samej szkole, ale wszędzie i ciągle kaząc Królestwo Boże, po rynkach, w polach, nad brzegami stawów, przy pracy, przy wieczornem ognisku, szczepiąc miłość i zasadzając miłosierdzie.

Rozdajemy ludziom chaty i pól po trosze, zachęcając

ich do nabycia więcej pracy; do ładu, umiarkowania, zgody. Nie marzę ja o żadnej równości, bo by ta była największą tyranią, ale o wydziale ludziom wedle ich potrzeb zdolności. Konrad jest utopistą, coby ludzi chciał pod jedną miarą mieć wszystkich, ja nie sądzę, by to co dla mnie jest dostatecznem, drugiemu starczyło, i buduję mój świat na harmonji, nie na monotonnem *unisono*.

Jeden z nas potrzebuje ruchu, pielgrzymki, waleśniania się, nowości; za cóż go mamy przykuwać do roli i wiązać niewolą posiadłości, której nie chce i nie żąda? Drugi wszystko odda za mały spokojny kątek ocieniony, gdzieby życie przemarzyl; inny chce miasta i gwaru, ten musi zbierać i gromadzić, ów potrzebuje rozkazywać, tamten podlegać, słuchać i powodować się.

Na tle tych potrzeb natury ludzkiej buduję społeczność w której nie może być równości, bo jej nie ma nigdzie na świecie. Nie niesprawiedliwszego jak jeden wydział wszystkim... u stołu i w życiu ten je za dwóch, tamten nasycą się odrobina. Nie można porównać nas inaczej jak miłością braterską, któraby zgładziła co w naturze ludzkiej jest dziwnie nierównem i różnem.

Władze, namietności, potrzeby, pragnienia, wszystko nas dzieli, miłość tylko jednoczy... miłość tłómaczy, że ani jednego pragnąć, ani się jednym wszyscy zadowolić możemy.

W moim świecie zupełną swobodą obdarzeni są ludzie, byle nie przestąpili granicy, którą zakreśla braterstwo i miłość. Jedną tylko wypędzam nienawiść zjadłą i niechęć nikiemną.

Stoi tedy szkółka apostołska, a z niej wychodzą mi ludzie, którym świat uśmieszać się musi, bo będą mieli serca otwarte, które umysłem pokierują dając mu natchnienie. Nauczyciel-apostoł i kapłan, stróż i pocieszyciel, kobieta matka, oto są środki, któremi wasz świat na mój świat przetwarzam. Nigdzie nie przypuszczam egoizmu, bogaty musi pracować głową dla ubogiego, ubogi pocieszać tych, co z nim cierpią, a że miłosierdzie jak wielką szatę rozścielam nad światem moim, nie boję się dlań nędzy. Miłość otworzy szpi-

chlerze, nakarmi i napoi, któżby jadł patrząc na głodnych?

Każdy ma swój kątek większy lub mniejszy, ma się gdzie przytulić, bo w imię Syna Człowieczego, gdyby swojego nie miał, do każdych drzwi zapuka i znajdzie schronienie. Pielgrzymują śpiewając ci co miejsca zagrzać nie mogą... w szkółce kształcą się pokolenia nowe, kapłan je zagrzewa do pracy i wytrwania, nikt nikogo nie odpycha, nikt wyższym nad drugiego się nie mieni.

Skalę wielkości ludzkiej zmieniam zupełnie... otaczam szacunkiem tych co go są warci, daję ster moralny ubogim Cyncynatom, im cześć, i pojmuję, że w moim świecie przyjdzie do tego, że bogaty skłoni głowę przed bogatszym od siebie czcigłowską i poważaniem ludzi.

Znika mi niechęć klas ku sobie, bo klas już nie ma, nie ma zapory, wszyscy mogą wszystko, i idą gdzie chcą byle siły po temu. Od roli jedni przechodzą do handlu, drudzy na świecznik nauki, a od nauki wracają do roli i pluga; do zagony i sochy... Wszędzie zdolność toruje drogi, byle ją ubłogosławiła miłość i uświęciła pokora!

Otóż jeszcze cnota, którą szczepić zamyslałam, którą krzawić potrzeba, na której jak na miłości bratniej nowy świat buduję.

Pokora bowiem jest niczem innym jedno miłością braterską w innej szacie, w jednym ze swych objawów czynnych.

Można-li być pokornym bez miłości, albo kochać prawdziwie nie mając w sercu pokory? Wszystkie cnoty są miłością, tak jak wszystkie zmysły jednym zmysłem, a raczej narzędziami jednego. Dajcie mi jaką chcecie cnotę, a okażę wam, że nie płynie żadna, jedno z tego źródła.

W świecie moim pokora jest wielkości cechą, dumę wypędzamy za drzwi i stawim na straży anioła z mieczem ognistym, aby jej więcej do nas nie puszczał.

Ażeby nikt nikogo upokorzyć nie mógł, dosyć jest

wszystkim mieć pokorę... cnota ta podnosi, uzacnia, rozbraja nieprzyjaciela, a zbroi wojownika.

Jakiż teraz śliczny świat choć na oko nie wiele w nim zmieniłem, gwałtownie z posad go nie wstrząsłem, ani wywracam bym z ruin budowałem... wprowadzam tylko gościa, który jedna i godzi wszystkich i pokój różeczką oliwną zwiastuje.

Bogatym nie odbieram mienia. Ubogim daję tylko litość i pracę, opiekę i pociechę wiary, nie strącam z posad wysokich tych, co na nich stoją, nie wydzieżdżam spadkobierców wiekowych, — ale wśród tych żywiołów niechętnych i nieprzyjaźnych, wlewam nowy i przeistaczający. Wnet się wszystko przemienia... Pomysłmy tylko coby było, gdyby wszyscy stali się chrześcijanami nie z imienia jak dziś są, ale rzeczą i istotą samą... Świat wyglądałby na nowe całkiem zjawisko: otwierają się drzwi a przez nie zdrada nie wnijdzie, bo jej nie ma, wyciągają zewsząd ręce, nikt się zbytecznie o jutro nie troska, nikt nie umiera z głodu i pragnienia, sam widok tej nowej Jeruzalem, tej *Civitatís Dei* już napelnia szczęściem... życie staje się modlitwą!

Zmażmy tylko niechęć, zazdrość, samolubstwo, a raczej to jedno ostatnie, a cały świat się przemieni. Powiecie mi, że to niepodobieństwo, bo człowiek słaby, ale ja wiem to także — pragnę tylko by uczynił wiele może, żeby mu społeczność pomogła, i żeby słowo Boże ciałem i czynem stało się przeciwie.

Na to naprzód nic więcej nie trzeba, tylko żebyśmy się zaczęli kochać — kochamy i dziś, ale bardzo oszczędnie; tych których znamy, ku którym serce ciągnie, co są nam potrzebni, z nałogu, z obowiązku, z powinności, — a tu otoczyć potrzeba cały świat wielką miłością braterską, i zrozumieć, co znaczy bliźni!

Dla nas dziś bliźnim nie jest występny, choć i ten nim być powinien, nie jest nim żyd, bo żyd, tatar, bo ma nos płaskaty, chłop, bo głupi, pan, bo arystokrata jak mówicie...

Wyłączamy tyle, że w końcu nie zostaje nam na

bliźnich, chyba rodzony brat lub matka... reszta ani nas obchodzi, ani się liczy. Chodzimy koło ludzi z niedowierzaniem, z obawą, a co gorzej ze strachem o nas samych i zbyt niemiłym a podłym uniżeniem tam, gdzie śmiało a serdecznie słowo nawrócić by mogło.

Tonie i ginie ktoś w oczach naszych, moralnie się topi, nikt mu słowa nie powie, bo się lęka. Z tchórzostwa więc nie spełniamy obowiązku. Występnemu zapominamy występku i złego przykładu, znowu z bojaźni obraży; a gdybyśmy w duchu miłości nie dla upokorzenia go odezwali się doń — któż wie czybyśmy nie pociągnęli go na inną drogę?

Ktoś inaczej poszedł inaczej pomyślał od nas, zblądził i wstydą się zdrady, my go wypychamy na wieki, a gdy chce powrócić drzwi mu zamykamy... jest-li to dobrze?

Ja tedy pojmuję łagodne i święte apostołstwo nieustanne i ciągłą ofiarę z siebie dla prawdy. Niech nikt nie pokładnie fałszowi i nie przebaczy złemu, a złe zniknie.

Nie żądam kary — owszem za całą karę uważam oburzenie społeczności, lecz trzeba by społeczność miała na to siłę i odwagę, w miłości chrześcijańskiej je czerpiąc.

Tak przerobiwszy świat, wszystkie stany równam uznaniem ich użyteczności, a ludzi zasługą cnoty — kto więcej kocha i czyni, ten większy, znikają wnet różnice, padają zapory — i w wielkim uścisku łączymy się wszyscy. Kmiotek co dał ubogiemu grosz wdowi i pan co poświęcił pół majątku dla dobra ogółu stają u mnie w jednym rzędzie, ani się jeden wstydzi drugiego, ani go odpycha. Szanuje pamięć ojców, ale chce po synach, aby ją nosili godnie — gdy syn nie dorówna leżącemu w trumnie rodzicowi, cóż mi po wielkim trupie, którego cień za karłem chodzi?

— Ale ba! bardzo bo już daleko zajechałeś, rzekł Baltazar, który się z uśmiechem przysłuchiwał — a nie widzimy dotąd co ty robisz na tym świecie, który tak sobie pięknie stworzyłeś.

— Ja? kocham, śpiewam, marzę i trochę pracuję... abym mojej miłości dla Anny nie pożarł od razu. Rachuję się z mojem szczęściem, aby na wieniec całego życia mi stało, przeplatam go pracą umysłną, poezją, ideałem, kolcami rzeczywistości, liśćmi dni powszednich, i tak powoli starzeje.

Dla mnie nie ma szczęścia bez niej — jest jedno serce i jedna twarz stworzona dla mnie, których mi potrzeba jak powietrza i słońca. We troje z matką siadamy tam w tym domku okwieconym, który widzę przed oczyma duszy, do stołu szczęśliwości... Anusi oczy uśmiechają mi się, ściskam jej rączkę drobną, drżącą w mojej dłoni... chodzim, śpiewamy, nasycamy się muzyką, wstawiamy witać malowany przez Boga obraz wschodu słońca, czytamy poetów, zbliżamy się do wioski i jej mieszkańców, a gdy po dniu pracy wieczór przyjdzie, spoczywamy oparci o siebie z uśmiechem pokoju.

A! tylko mnie to zasmuca, że życie tak krótkie!

— A twoja utopja tak dziwnie do starej Gessnera sielanki podobna! przerwał ziewając Baltazar — wysłuchałeś z niej wszystko co jest życiem prawdziwym, a zbudowałaś ją na widmach i w chmurach... Nie chcesz zatruwać przyszłości, ale gotujesz sobie morze zawodów, z tego stanowiska na świat się zapatrując.

— Wypowiadałem wam pragnienie duszy, rzekł Albin, ale ziści się li ono — nie wiem i wątpię; to wiem i zdaje mi się że rzeczy potrafię za siebie, że we mnie nie nienawiści ludzi zaszcześcić nie potrafi; wiary w nich nie odejmie — że ich, zdradzony nawet stokroć, kochać nie przestanę.

Baltazar głośniejszym głosem wprzód poziewnął.

— Sielanki! rzekł, sielanki! śmiech mówić! takie rzeczy... ale jakżeś ty jeszcze młody?

— Mam dziewiętnasty rok i tego się nie wstydzę, rzekł Albin z zapalem, matka dla wypróbowania mnie każe sześć lat czekać na Anusię... będę czekał, a wówczas! a! o mojem szczęściu nie chcę nawet marzyć, bośmy my nie ci kochankowie pospolici, których po-

ciąga chwilowe pragnienie, osamotnienie, namietność — ja ja kocham jak brata i towarzysza! jedne mamy myśli i pojęcia... któżby mnie tak zrozumiał, kto myśli moją dopowie mi jak ona i jak ona odgadnie? kto mniej pragnie świata i ludzi, byle nas było dwoje razem zawsze, zawsze z sobą!!!

— Zawsze, to znaczy od lat dwudziestu do dwudziestu siedmiu, maximum trzydziestu — przerwał nielitościwy Baltazar — a! jakżeś ty młody!

— Z tej choroby nigdy się nie pragnę uleczyć, zawołał Albin i począł deklamować:

Młodości ty nad poziomy...

— Gdyby się młodość nie starzała i nie kończyła nigdy, gdybyśmy nią otoczeni byli, nie mówię, dokończył, pierwszy, ale na nieszczęście nie jest to życie, jest to jego pałacowy przedśionek; dalej roisz o salonnach, a wchodzisz do chaty lub w gruzowiska. Prawda, urocza i czarowna jest młodość, ale to tylko gorączka jak przy wyrzynaniu zębów.

— Nie! reszta życia jest śmiercią powolną, a ona życiem, rzekł Albin w zapale. — To treść żywota, to wyskok jego, to kwiat jasny! Dlatego młodość daje nam przeczcucia wszelkiego dobra i piękna, dla tegośmy lepsi w młodości, dla tego szczęśliwy kto ją przedłużył i nie postarzał się sercem... a pewien jestem, że kto nie zechce ten nie zgrzybieje...

— I pozostaje pijanym wśród trzeźwych! zakończył Baltazar — *sobrius inter ebrios*, śliczna rzecz, ale pijany wśród trzeźwych nie tak wesół!

— Ależ to upojenie święte, to szal wieszczy i proroczy, to gorączka natchniona...

W tem Cymbuś głośno krzyknął sam do siebie splaskując rękami.

— Ot i samowarek zgasi!

Wszyscy się rozśmiali, a Baltazar dodał:

— I młodość zgasi! niech-że się kto drugi spowiada, bo Albinowskich poezyj mamy już dosyć.

— Na Cyrylla kolej!

— Jakto? na mnie? ja? ale cóż wy chcecie żebym wam powiedział?

— Nie ma wyjątków dla nikogo, reguła ogólna, mów co ci ślina do gęby przyniesie jak Albin, a powiedzieć nam coś musisz.

— Wy wiecie, że ja wiele nie roję, rzekł powoli, cóż w tem ciekawego?

— No to mów nie ciekawe... ciekawiśmy nieciekawego.

Blagającym wzrokiem potoczył po towarzyszach Cyryll, ale w nich nie było litości, i po chwili milczenia skazany, tak z kolei począć musiał:

— Prawdziwie nie wiem cobym wam mógł powiedzieć o sobie? wysoko nie patrzę, nie marzę górnio, żądania moje skromne, a cel jasny przedemną. Ani świata, ani ludzkości przerabiać nie myślę, mam jedno pragnienie nauki, to cel mój i *meta laborum*.

Albin wam wyśpiewał za Horacjuszem, moim ulubionym poetą tę cudną piosenkę:

Hoc erat in votis: modus agri non ita magnus
Hortus ubi, et tecto vicinus jugis, aquae fons,
Et paulum silvae super his foret
..... Nihil amplius oro.
(Liber II. Satira VI.)

Cóż ja po nim wymyśleć potrafię?

Dla siebie tylko powtórzyłbym znowu z Horacjuszem:
Beatus ille qui procul negotiis.

Ale czyż mam o sobie myśleć tylko? Powiedziałbym, że chcę także maleńkiego domku pod słomianą strzechą, wiejskiego spokoju i ciszy wśród której bym pracował, uczył się, myślał.

Jam nie człowiek czynnego życia, ale spokojny mól książkowy; — nauka i żywot z umarłymi po nad chaosem namietności waszych, w cichej i jednostajnej atmosferze pokoju, oto ideał dla mnie.

Zapach starej księgi to dla mnie woń fijołków, widok nieobciętego Elzewira, to ideał, schwycenie Hallerowskiego druku, rzadkiego Inkunabulu, to całe szczęście, którem ja uczuć zdolny. Więc gdybym sam mógł sobie urządzić życie, przyczepił bym je do jakiej wiel-

kiej biblioteki dobrze ogrzanej, utrzymywanej w porządku, nie nazbyt uczęszczanej, w której bym mógł być panem i wszechmocnym władcą, przedstawując, porządkując, studiując wydania, porównywając teksty, nasycając się tem co jest w księgach i zewnętrznym nawet ksiąg widokiem..., ku któremu ciągnie mnie jakaś namiętność.

Miałbym pokoik mały do pracy, jasny, czysty, ogrzany i na rygiel zamknięty dla profanów, ogródek zielony pod oknami, wiernego sługę, któryby za mnie myślał o jedzeniu i picu, o wszelkich potrzebach życia, a wyrzekł się manii sprzątanía i układania, — i przedsięwziął sam jakieś dzieło potężne, benedyktyńskie, coś w rodzaju Bayla... którego by erudycja, krytyka i dowcipu trochę tło stanowiły.

Nauka wysusza, powiadają próżniacy, ale to potwarz! Jest nauka i nauka, i między narodem uczonych są głupcy jak wszędzie. Myli się kto sądzi, że pióro tylko geniusz i talent trzymają, dziwne i niepojęte okoliczności często na tę drogę zapędzają ludzi, którzyby na żadnej innej ani chleba kawałka, ani znaczenia najmniejszego dojść nie mogli. Trochę wprawy, śmiałości, wytrwania, nieczułości na pociski i zarozumienia choć na oko i dla drugich — otóż i literat gotowy, choćby krzty nie miał geniuszu, a nawet kropli talentu! Będzie to zbieracz i komentator, kompilator i skracacz, naśladowca niezgrabny, wreszcie rozprawiacz krzykliwy, ale któż mu pisać zabroni?

Prawdziwie uczonych, a zarazem życiem i zapalem obdarzonych ludzi jest bardzo niewiele, policzyć ich można w dziejach literatury... za to chmury są pracowników bez iskry natchnienia: piszą tylko, bo by nic innego robić nie potrafili.

Uczoność, jak ją pojmuję, ma zarazem świadomość tego co gdzie pomyślano i uczyniono, niezbędną by pójść dalej, i własny sąd o rzeczy — sąd niezawisły, głęboki, ożywczy.

Jakkolwiek uczyniono wiele i bardzo wiele, stokroć więcej pozostało do zrobienia; cały ten gmach wiedzy

ludzkiej w największym rozstroju i nieładzie. Leżą w nim obok najcenniejszych zabytków, najpodlejsze rupiecie, opylone i zapomniane skarby i wysoko oszacowane lichoty. Drogi wielkie pozasypywano gruzem, mianowcami porobiono ścieżki, poobalano wschody, a po-przystawiano chwiejące się drabiny... nigdzie porządku i logiki.

Nie idzie tu o formę tylko, klasyfikacje i jakiś dowolny porządek, ale o ułatwienie nauki i badania, które dziś w tym lesie jest błędem na oślep krażeniem.

Gdybym więc tworzył utopiją dla siebie — marzyłbym sobie dziurkę przy bibliotece, celę podobną do owej szczura anachorety w holenderskim serze... Czogożby mi więcej potrzeba nad spokój i książki? Życia nie pragnę, wolę na nie patrzeć zdaleka niż w cyrku pójść w zapasy. Gdybym snuł utopiją użyteczności mojej dla ludzi, chciałbym być wielkim reformatorem nauki, wskazać i przetrzebić nowe drogi, oczyścić stare, pogodzić świat z nauką, a naukę przyswoić światu, wykształcić smak ogółu... poznać wreszcie czy wielka zagadka dzisiejsza postępu jest istotnie myślą nową, czy pod wielkiem słowem czezą mrzonką... idziem-li dokąd, czy jak w zamieci kołujemy daremnie?

Na każdej stopie jest tu coś do odkrycia... chciałbym, przyznając, odkryć coś użytecznego, wielkiego, płodnego w rezultata, ale upokorzony faktami zeznać muszę, że wszystkie odkrycia czynią się przypadkiem — niestety! a kto goni za szczęśliwym przypadkiem, ten się z nim prawie nie spotka!

Zresztą jam tylko nieznaczące kółko w tej olbrzymiej nauce i jedno z najpośledniejszych... Chciałem wszystkiego, za karę nic mi przeznaczonem nie będzie, i polyhistorem, nazwiskiem pogardy pełnem, napiętnowany zostanę. Poezję czuję, ale spiewać nie potrafię, naukę pojme i zbiorę może pamięcią, ale jej nie posunę dalej... stróżem będę u drzwi których inni wchodzą i wychodzą; a jeśli po latach wielu żmudnie wypracowaną rozprawę po łacinie wydam o zatraconej jakiej księdze lub rękopiśmie, którego tylko reszty zo-

stały, któż ją czytać zechce?

Sed nos in mensum spatiis confecimus aequor :
Et jam tempus equum fumantia solvere colla !

(*Virgil. Georg. II.*)

Tak! dosyć, zdejmijcie ze mnie chomąt dymiący znojem tych wyznań.... dość naśmieliście się przyjaciele, pozwólcie zamilknąć, a żem zawiódł oczekiwania wasze... darujcie. Gdybyście mi kazali wyliczyć edycje Horacjusza i ocenić pracę nad nim Bentleja, Sanadona, Kirchnera, Frankego, Webera, Milmana, Stallbauma, Bonda... lepiej bym się pewnie z zadania wywiązał...

— Ten nas istotnie zawiódł, rzekł Teofil, więcej daleko po nim się spodziewałem, ale z uczonego prochu, trudno dobyć iskry, a od kochanka książek, papierowej miłości tylko mogliśmy się spodziewać.

— Nie szczery i skryty, zawołał Longin, to mu się nie chwali...

— A z czemżebym się ukrywał? przerwał Cyryll, serce moje oprawne w stary pargamin, znajome wam aż nadto... dajcie mi pokój i dozwólcie spocząć, i tak już ta drobina marzenia upoiła mnie na długo... nie potrzeba zaglądać nawet w przepaście szczęścia, bo i od nich głowa się zawraca.

— Powinienby nam przecie i pan Baltazar coś powiedzieć, przeciął Longin, spozierając nań z ukosa — ale czy zechce?

Stary nasz kolega uśmiechnął się i ruszył tylko ramionami.

— A to by było zabawne, żebym ja się miał spowiadać przed wami.

— Wszakżeś słuchał, mógłbyś i mówić, odparł Longin, śmielszy od innych.

— O! jakie ciekawe dzieciśka! rozśmiał się podłyśiały medyk. Więc was zadziwić dziś muszę popularnością moją. — Cymbuś, podaj mi szklankę herbaty, a w niej trochę natchnienia i poezji.

— Co? proszę pana? spytał naiwnie przysłuchując się sługa, sądząc że to był rodzaj rumianku lub mięty.

— No! herbaty!

Baltazar usiadł i począł sucho:

— Nikt z was dobrze nie zna mojej przeszłości, dla tego trudniej wam będzie zrozumieć czego od jutra żądam... ale mniejsza o to, każdy z was dosztukuje swoim łachmanikiem.

Powiedźcie mi naprzód, czego w najszcześniejszym razie może człowiek wymagać od ziemi? Spokoju tylko i negatywnego szczęścia, które jest finalnie — brakiem cierpienia; więcej rozsądny ani pragnie, ani się spodziewa, bo wie że zawieść by się musiał. Sama natura życia wskazuje mu, że tu wszystko zmienne, niestałe, że nic nie ma trwałego, nic pewnego, na co by rachować można. Do niczego więc zbytnio przywiązywać się nie potrzeba, to pierwsza, na nie bardzo rachować, to druga, a usiłować się tak ograniczyć by cisza i dostatek wystarczały na wszelkie potrzeby.

Naprzód więc precz z marzeniami i nadziejami próżnemi, żadnych namiętnych przywiązań, żadnych ideałów — kawałek chleba, ciepły ką, suknia porządna, od ludzi trochę szacunku i przyjaźni, które są także do spokoju potrzebą i warunkiem.

Jestem przekonany, że człowiek chłodny, wyrachowany, nie dopuszczający się marzeń, nie zakładający szczęścia w tem, co go dać nie może, jeśli nogi nie złamie, kaleką nie zostanie, raka nie ma i liszajów... może wcale znośne wieść życie...

Ja też od żywota więcej nie wymagam nad to, żeby było znośne... a że każdy tylko o sobie myśli, ja także myślę o sobie. Ludzi tak bardzo nie potrzebuję, miłości ich zbytnio nie pragnę, chociaż nienawiści chciałbym uniknąć, bo to rzecz niewygodna... Spokój, dobry byt, to zadanie moje.

Nie powiem wam, żebym bardzo medycynę kochał, albo naukę miał coś innego jak za narzędzie; pełno w niej niepewności, tajemnic, nigdzie punktu podpory, wiem, że przez nią trochę mogę znać człowieka, ale

całkiem nigdy, uczyć się więc wprost dla chleba i do tego najszczerzej się przyznaje. Niech mi nauka da byt niezależny a o więcej jej nie proszę.

Utopija moja jest gdzieś w dobrem, cichem, na ustroniu miasteczku, domek własny, zamknięty szczelnie, ze dzwonkiem u drzwi, sługa wierny, gabinet ciepły, fotel wygodny, grosza dosyć na moje potrzeby, kucharz smaczny, piwnica zaopatrzona, zapas w sakiewce na przypadek wszelki, kilku dobrych znajomych, ludzi porządnych i łagodnych do preferansika lub wista, kilka domów dla rozrywki gdy się u siebie znudzę, książka czasem jako środek odświeżenia umysłu... ot... zdaje mi się że na tem koniec i nie więcej.

Widzicie żem wcale nie wymagający...

Albin porwał się jak oparzony.

— Panie Baltazarze, zawołał, wiele masz lat?

— Tyle ile ich mieć potrzeba by poprzestać marzeń.

— Ale miałeś kiedy marzenia? kochałeś kiedy? spodziewałeś się czego?

— Prawdziwie... nie pamiętam, rzekł Baltazar uśmiechając się.

— I nie lękasz się by ta ospa, której nie przebyłeś za młodu, nie przyszła ci na starość?

— Ho! ho! rozśmiał się medyk... zdaje mi się żem zupełnie pewien, iż na nią chorować już nie będę: chcecie bym jak wy kochał się w chińskich cieniakach i wzdychał do gwiazd na niebie?

Jak to? więc dla nikogo miłości? żadnego porywu ku niebu? nic na ziemi co by inne a lepsze przypominało ci światy?

— Są to kwestje, które ty tylko robić możesz, odpowiedział Baltazar — zazdrościsz zapewne mojemu szczęściu... Nie porywam się na zadania, których stanowczo wiem, że z danych jakie mam rozwiązać nie potrafię: poeta mnie Bóg nie stworzył, bym dopełnił imaginacją na co fakta nie starcza... Jestem już dziś na wyzynie, do której wy nie prędko dojdziecie jeszcze...

— Ja bym powiedział: na dnie przepaści! rzekł Albin.

— Czego rozsądnie wymagać można po życiu? przewał ciągnąć dalej Baltazar — miłość ludzi jest nie-trwałą i zagadkową, przyjaźń ich stała, rzadkim fenomenem, gotowa do poświęceń, niewidzianem zjawiskiem, szacunek i uwielbienie, najczęściej udziałem niezastużonych... a ideały na ziemi, widmem chorobliwych oczów... Człowiek chłodny bierze życie jak jest, rachuje zimno, a jeśli się omyli w rachubie, którą zawsze podejrzewa, stara się poprawić ją czynem, nie rozpala się do niczego, znosi bez śmiesznych i dziecinnych wrzasków co go spotka, siebie tylko pilnuje, o sobie się troszczy — a że to, co zowiecie w nim duchem, jest czysto konwencjonalną zabawką... i udowodnić się nie daje, bo fenomena ducha zlewają się z działaniami cielesnemi — usuwa ten żywioł z rachuby i nie miesza go do ścisłych swych na przyszłość kalkulacji. Dajcie mi zresztą pokój, sami widzicie żem nie wasz, choć z wami na jednej siadłem ławie, choć jeden mundur noszę i słucham waszych szaleństw, jakbym słuchał szumu drzew na przechadzce w Zakrecie.

W mowie Baltazara chłodnej i przesiąkłej wiarą w jedną tylko rzeczywistość naga było jednak coś co nas zdradzało, jakieś dawne zawody na drodze życia, jakąś gorycz ukrytą... Wiedzano wszakże, iż się z nich nie wypowiada, bo utrzymywał zawsze, że człowiek, zwierając się komuś niepotrzebnie, zaprzega się w jarzmo i oddaje w moc jego... Gdy więc umilkł i głowę spuścił na piersi, nie badano go więcej, a Longin sam wyrwał się pierwszy z wyznaniem.

— No! to teraz ja, moi moiściwi panowie a bracia, rzekł w pół szydersko — mojem *Credo* jest to axioma i pewnik, którego Cyryll potwierdzi starożytne pochodzenie, że:

Audaces fortuna juvat.

Śmiałość i odwaga są tylko przecuciem tego co nas czeka i rękojmnią powodzenia; kto ich nie ma, może

być pewien, że w jego przyszłości też nie się ciekawego nie znajdzie.

Nic darmo i bez celu od natury nie otrzymuje człowiek; komu dana władza zdobywczą i śmiałość, ten pewno ma jakąś Amerykę przed sobą, i choćby nim najśroźsze burze miotaly, przyplynie do niej Kolumbem!

Przyznaję się żem zawsze czuł w sobie powołanie do wyższych celów, gorączkę dźwignienia się po nad drugich, i dotąd nie mogę się skarżyć, aby mnie matka natura, *alma parens* zawiodła. Dobilem się czego chciałem, i dobiję się czego pragnę...

Życie z natury swej jest walką, a bez pięści, silnej drogi nie ma co przedsiębrać... na prawo i lewo nieprzyjacie!; jeżeli ty nie popchniesz, pchną ciebie i zgniotą. Jedno więc z dwojga, albo zostać zgniecionym, albo samemu dusić potrzeba, ja wolę ostatnie.

Idę w ten sposób i dojdę jak najdalej będę mógł. Są ludzie co mają namietność podróży, świadkiem pani Ida Pfeiffer, której już dzieci nawet jeść nie chcieli, a która jeszcze sucha i wychudła jak szczepa włóczy się po świecie, szukając czego nie zgubiła. Wolno mi więc także mieć namietność przepodróżowania świata i wdarcia się na stanowisko najwyższe, jak Anglikowi na Mont-blanc. Byłem sierotą i odbartusem, chcę o siłę własnej, bez pomocy niczyjej, dójść tak wysoko jak mi życie pozwoli, i wedrzeć się na szczyt mojej góry, choćby miała być wyższą i niedostępniejszą od Araratu, na którym szczątki arki czernieją.

Narzędziem mojem wiara w siebie i odwaga. Ludziom panować potrzeba, a wszystko się otrzyma, dobroć i łagodność to żebractwo, niemi wymodli się kawał suchego chleba — królestwa brać musimy bojem i przebojem.

Ja chcę niewiele... śmieć się widząc, że w jednym wyszarganym mundurze chodząc, tak śmiało się odzywam — pragnę tylko ogromnych bogactw, wielkiego znaczenia, stanowiska w świecie znakomitego, krzyżów, honorów, tytułów, skarbów... i po troszę wszyst-

kiego co ludzie cenią i w czym smakują.

Pragnę z pamięcią mojej nędzy i pychą zdobywcy zasiąść na stopniach najwyższych, wybrać sobie z rasy najwyszukańszej towarzyszkę życia, iść, iść, drapać się póki sił i żywota stanie...

Nie chodzi mi może o szczęście, bo jak Baltazar nie wiele w nie wierzę, ale o to bym nakarmił dumę, bym sobie winien był wszystko, tylko sobie... by dla mnie nie niedostępnem nie pozostało. Chcę skosztować wszystkiego, spróbować co nieznane, umoczyć usta w ambrozji... i nie umrzeć póki jeszcze zostanie szczebel do zdobycia i łup do pochwycenia.

Małem ograniczyć się nie mogę — wszystko lub nie — padnę? to cóż? u wejścia byłem nędzarzem i sierotą, wrócę tylko do tego czem byłem! Ale to być nie może... nie! nie! *Audaces fortuna juvat!* a ludzie są głupi.

— Tak sądzisz? spytał Cyryll z uśmiechem.

— Jestem tego najpewniejszy. Nie powiem żeby mnie Pan Bóg lepiej od innych obdarzył, ale dając mi odwagę, dał mi wszystko... nad to nie potrzeba więcej, jest to wytrych co otwiera zamki najtwardsze. Ludziom wszystko wmówić można, talent którego się nie ma, naukę gdy się nie umie, serce choćby nigdy nie biło, dobroć nie dając jej dowodów, co chcecie, byle uporczywie o nich gadać. Jeśli ci nie przyznają całosci, to choć krakowskim targiem połowę...

Jest to pewnik niewzruszony; śmiało patrzaj w oczy, nie dawaj się nigdy zbić z tropu choćbyś w duchu zbitym się poczuwał, pokonany, utrzymuj żeś zwyciężył, upadłszy, mów żeś się dobrowolnie położył, ludzie ci w końcu uwierzą. Serca nawet zdobywają się szturmem, nie że ci ktoś z razu skrzywioną pokaże minę, że cię powoli odtrąci, że drzwi ci zamkną przed nosem, powracasz raz, drugi, trzeci... i postawisz na swoim.

Marzenia moje mnie się tylko tyczą, o drugich nie myślę... świata nie przerobię, nie bardzo weń wierzę, ale co tylko może dać nasycenie chwilowe, szal czy prawda, złudzenie czy rzeczywistość, biorę wszystko,

garne i pakuję do mojej torby żebraczę.

Urodziłem się na potężnego egoistę — nikt o mnie nie myślał, nikt mnie nie chciał, wszystkom musiał wywalczyć, a co dalej przedemną, nie wiem. Upodobał nie mam szczególnych, głodny, gotów jestem zjeść co napadnę...

Jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że powodzenie mnie czeka, że kampanja zostanie wygraną, i siądę wyżej nad was wszystkich.

Każdy z was ma jakąś słabość, piętę nie umaczaną w wodzie, ja cały zanurzony w nią zostałem... Tego Albinka można kupić miłością, Baltazara, sądzę, pieniędzmi, Teofila lada cackiem błyszczącym, — mnie nieчем.

Biorę miłość nie dając serca, pieniądze także i cacko jeśli ładne, ale to mnie na drodze nie wstrzyma, nie sparaliżuje, nie osłabi; namietności nie rozumiem, na monomanję nie choruję żadną, jestem zahartowany.

Jakże mi się nie ma udać? zdaje mi się, że wszelkie żywioły powodzenia mam już w sobie, a póki odwagę mieć będę i tę wiarę jaką jestem natchniony, że nademną świeci gwiazda jasna... pójdę daleko i wysoko...

Dokąd i jak zajdę? to kwestja czasu i okoliczności...

— Nie rachujesz widzę wcale na nieprzewidziane wypadki i przeszkody? — przerwał mu Baltazar.

— Takich jak ja ludzi broni sam los, który ich do wielkich rzeczy namaścił; dając im instynkt w chwili niebezpieczeństwa, natchnienie gdy o wybór chodzi... Jeżeli doróżka ma jutro przejechać kogo w ulicy, a nas tam z Albinem dwóch iść będzie, jestem pewien że on wpadnie pod koła a ja zostanę cały.

— Ale to także szaleństwo, taka wiara w fatalność jakąś, rzekł pierwszy, mówisz że nic cię nie uwodzi, żeś panem siebie, a bałamucisz się jakimś mistycznym przeznaczeniem.

— Już ciż w coś wierzyć, choćby w siebie naostatek muszę, nie tak jak wy panie Baltazarze, rzekł Longin podnosząc głowę. — Jeszcze ci powtarzam, ty również masz słusność z obawą swoją jak ja z odwagą: to jest

poczucie bezbronności i słabizny, a to uczucie swęj siły. Każdy z nas ma w sobie ziarno przyszłości, którą pielęgnuje... nie się jednak nie urodzi zeń innego nad to, co tam zasiano.

— Fatalista! szepnął Serapion z przestachem.

— Może trochę — zawołał Longin powolnie — ale przy fatalizmie moim dużo jest dano samym siłom człowieka. Z żołędzia nie zejdzie jedno dąb, ale dąb od siebie zależy by był krzywym i koszlawym krzakiem, lub wystrzelonem do góry, wyniosłem i potężnem drzewem.

Nie przerobisz się, ale się dźwignąć możesz lub pozostać przy ziemi.

Cóż wam więcej powiem? Że pragnę wszystkiego po troszę, a raczej wszystkiego po wiele... sławy, bo to narzędzie i wielka dźwignia do dzieła; — imienia, grosza ogromnie, hobiet nawet, miłości, honorów, tytułów, wszelkich znikomości, które że są diable znikome, więc ich też wiele na jedno życie wymagać muszę. Znajduję to logiczniejszem niż gardzić znikomościami; kiedy mi na wieczерze dadzą bifszytk dobry i posilający, nie mogę go zjeść wiele, a ciasteczka znikomego gotów jestem koszt cały... Toż z temi marnościami, nie rychło one nakarmią, więc masę ich spożyć potrzeba...

Teofil poklasnął.

— To teorja nowa, zawołał.

— Gotowi posyłać po nocy po ciasteczka! westchnął ruszając ramionami pod piecem stojący Cymbus... a żeby ich z temi grymasami!!!

— Ale jakąż obierasz sobie drogę do tych zdobyczy? zapytał Teofil, bo to ciekawa rzecz, jak myślisz zajść daleko i którędy?

— Wiecie że chodzę na oddział prawny, nie żebym filozoficznie badał idei prawa i zasady jego, nie żeby mnie ciekawiły: Dwanaście Tablic, Hugo Grotius, Puffendorf i Vatel, lub objaw idei prawa w ciągu wieków się przetwarzający, ale po prostu że znajomość prawa daje wielką w życiu siłę. Na niem oparte są wszelkie stosunki ludzkie, a ludzie tacy głupi, że zawsze cudze-

mi rękami się posługują, gdzie swoich dwojga byłoby nie dosyć.

Prawniki jest więcej niż lekarzem, bo chorzy umierają a zdrowi go nie potrzebują, gdy prawnika każdy, i nikt sam sobie bez niego dać rady nie potrafi. Przytem raz na tej drodze otwiera mi się wolny przystęp do wszystkiego, do dyplomacji, do urzędów, do znaczenia w świecie. Najnieprawdopodobniejsze fortuny i kariery porobili dziś prawnicy; zaczę bodaj od małego, ale że się dam poznać to pewna, na logice i trafności mi nie zbywa, ludzi znam z dobrej dla mnie ich strony, to jest ze słabej... a to mi najpotrzebniejsza... potrafię w nią uderzyć. Zrazu dam się poznać jaką śmiało odegraną komedią, zrobię co czy nie zrobię, potrafię mówić głośno i śmiało żem dokazał cudu, a im szaleńsze będzie kłamstwo, tem lepiej mu uwierzą ludzie, mówiąc sobie: Już ciż by nie mówił, gdyby nie zrobił!

Raz zdobywszy tylko cal ziemi, byłem stołę, palec postawił, idę dalej niepowstrzymany jak uragan i burza. Cóż wy myślicie? śmiejecie się po cichu, a ja swoje:

Audaces fortuna juvat!

— Ale zuchwalstwo też czasem się samo zabija — mruknął chcąc się pomścić Baltazar.

— Ba! tylko że ja wiem gdzie i jak mam walczyć i jakim orężem, bądź o mnie spokojny; życzę ci jeszcze dziś choć starszemu zasięgnąć u mnie rady jak masz począć praktyczną medycynę w swoim idealnem miasteczku, bo jeśli mnie nie posłuchasz i trochę szarlatanerii nie użyjesz, kto wie czy pacjentów mieć będziesz innych prócz żydów i dwuzłotówkowych...

Baltazar rozśmiał się, a wszyscy za nim radzi przezwyciężać milczenie. Longin chodził żywo po pokoju, fajkę palił, dymił okrutnie, pił ze wszystkich szklanek i potraçał coraz mu się głębiej w zakątek pod piecem ustępującego Cymbusia... istotnie minę miał zdobywcy kroczącego przeciw wielkiemu jakiemuś przeznaczeniu.

Rozrzucano kasztany na stole i wszyscy, nie wyjmując Baltazara, który sobie najlepsze miejsce wynal-

azł, i Longina ostrożnie ładującego zaraz kieszenie, aby go drudzy nie objedli — rzucili się na te łakocie z wesołością dziecinną.

— Teofil jest najpocziwszym z ludzi, rzekł Longin, wotuję mu wieniec obywatelski. Gdzież tak swobodnie i wygodnie nam jak u niego?... gdzie lepsza herbata i kasztany?... zobaczycie że za admonicją którą dostał, gotów jeszcze posłać po kotlety z klasyczną cytrynką...

Cymbuś syknął i w głowę się poskrobał.

— To nie kotlety jeszcze, rzekł, ale na tyle osób gdzie talerze i grabki?

— Potrzeba jest matką wynalazków, Cymbusiu kochanie powinienes już o tem wiedzieć, gdy słomą dziury w bótach zatykasz, rzekł Longin — ja naturalnie będę jadł na talerzu i najlepszym widelcem, Baltazar także, a lud pocziwy i skromni proletariusze... palcami, rękami, łyżeczkami, na papierze, na miseczkach od filiżanek... Główną rzeczą jest jeść, akcessorja małej wagi.

— A sos? spytał Cymbuś naiwnie jak zawsze.

— Sos... wiedz o tem, jest zawsze na świecie tylko dla uprzywilejowanych.

Spojrzał mu w oczy Cymbuś, nie zrozumiał nieborak, ale tak był przekonany, że potężny Longin musiał coś bardzo rozumnego powiedzieć, że się na wiarę rozśmiał i rękawem wstydliwie przykrył twarz rozweseloną.

— Więc dalej panowie! zawołał Baltazar, no, już ciż i Milczek Serapion coś nam dziś powiedzieć powinien, nie prawdaż?

— Ja!!! — krzyknął przestraszony.

— A! powie, powie! krzyknęli wszyscy, już się nie wykreśisz, musisz! musisz! milczałeś tyle żeś nam winien nareszcie coś przecie. Jesteś jak ów co zawsze je cudzym kosztem, a sam nakarmić nie chce.

— Albin co mnie dobrze zna, mógłby wam zaświadczyć, że nie nie roję, żądania moje skromne, a przyjmę z pokorą co Bóg dać raczy.

— E! nie sztuka tak się wykręcać, przerwał starszy ocierając usta... gadaj paniezu, kiedy mnie do tego zmuszono, cóżes ty lepszego od drugich? Słuchałeś, będziemy słuchali i śmieli się z kolei... Korona ci z głowy nie spadnie!

— Nie ciekaważ to rzecz, to co ja wam powiedzieć mogę, szepnął po cichu skromny chłopak. Sierota jak Longin, ludzkiemu miłosierdziu winienem nadzieję lepszego bytu, Ewangelicze wiare, którą żyję; nie snuję sobie nadziei świętych, nie pragnę wiele, nie żądam nic... pewien jestem, że jaki stan i byt Bóg wyznaczy, z Ewangelią moją szczęśliwym będę, bo i doli i niedoli pokorą, rezygnacją, poddaniem się podołam... Nie myślę wyłamywać się z ogólnego prawa cierpienia, bo któż od niego wolen? zniosę co mi przeznaczono...

Proszę nie śmieć się ze mnie, wiecie wszyscy żem z jednej książki czerpał całą mądrość moją i naukę żywota, nie mogę i dziś jej zapomnieć, przychodzi mi nieustannie na myśl i usta.

Jej winienem spokój duszy, pogodę serca mojego, przygotowała mnie na wszystko, nauczyła kochać świat cały, nikim nie gardzić, a w przyszłość patrzeć spokojnie.

Nie pragnę być niczem prócz człowiekiem Ewangelii i uczniem Chrystusowym, iść z daleka w wielkie ślady i nie upaść.

Nie mam w sobie siły apostoła, ani słów proroka, nie potrafię nawracać, nie myślę też przerabiać świata i gromić tłumy, ale poczynam i kończę na sobie.

Zadanie to największe dla mnie: siebie sprostować, siebie podnieść, być samemu naprzód takim, jakim był Pan i Mistrz nasz... a światu — służyć w pokorze.

Słów takich dawno nikt z nich nie słyszał — przyznajmy tu prawdę, że duch religijny nie rozbudził się jeszcze, a szczątki XVIII. wieku silnie się czuć dawały w duchu uniwersytetu Wileńskiego.

Rzadko więc można się było spotkać z Ewangelią i otwartymi jej wyznawcami, nawet między tymi, co już nosili suknię duchowną, obojętność była największa

dla źródeł poświęconych, z którychby mogli zaczerpnąć wiarę gorętszą, od nich zwracano się do innych i zdawały się im czystsza wodą płynące. Serapion był tem dziwniej pięknym wyjątkiem, że się nie dawał pożyć otaczającym go wpływem, nie wstydał pocziwej wiary i nie odrzucił tej Ewangeliczki, która była jedynem jego na tej ziemi dziedzictwem — spadkiem wydziedziczonego.

A choć na twarzach Longina i Baltazara zjawiał się uśmiech pół szyderski i wejrzenie ich chłodne skierowało się na chłopaka, co z tak piękną odwagą wypowiadał duszę swoją, Serapion nie uląkł się szyderstwa, które mu grozić się zdało.

— Znam świat, mówił dalej, z tej tylko jednej księgi i ta mi wystarcza, w niej mądrość moja, przewodnik, wszystko; z nią jak we zbroi spokojny jestem na przyszłość, z niej uczę się nic nie pragnąć, wszystko przyjąć, i za wszelki dar błogosławić temu co mi go zesłał.

Oto jest wedle mnie prawdziwe szczęście na ziemi, — umieć nie żądać, nie przywiązywać się do niczego ziemskiego, kochać ludzi nad siebie, siebie ze zwierzęcia podźwignąć do ideału.

Idealem tym dla mnie ten naprzód co siebie na krzyżu za ludzkość poświęcił i jak wymownie ktoś wyrzekł (Rohrbacher) — ten żyd powieszony haniebnie, co śmiercią swą na szubienicy rzymskiej całego świata oblicze przerobił... W życiu jego jest wszystko, co na naukę życia potrzebne, w jego słowach jest stworzony przezeń raz drugi świat cały. Sto razy odczytuję te słowa, z których prostaczek i mędrzec się napawa... i bezdni tej wypić nie mogę. Słowa to na pozór proste, nie wyszukane, a jednak jak potężnie większe od tego co je poprzedziło, i co po nich kiedykolwiek wyrzekł człowiek.

Idealem potem dla mnie pierwsi chrześcijanie, wielkie postacie *wezwanych*, z ludu, od sieci, od roli, od ceł, od oręża, żołnierzy, rybaków, wyrobników, co posłuszni być umieli duchowi, który ich ożywił; wielkie a ludzkie postacie, bo uczą nas nawet podźwignienia

się z upadku, którego doznali; — męczennicy, święci i Boży lud wybrani, który od Betlejemskiej szopki po dziś dzień składa jakby jeden nieprzerwany szereg — jeden świetny zastęp bojowników zwycięzców...

Życia — wam ani nikomu nie zazdroszczę, ani marzeń jego, ani wątplych nadziei, ani nasyceń chwilowych... spokojny jestem, czekam co mi ma być dano... na wszystkim gotów...

Czy przy tej uczcie co trwa mgnienie oka, zasiąde w purpurze, czy w żebraczym odzieniu, możesz to wiele obchodzić? Czy mnie na pierwszym lub ostatnim miejscu posadzą, cóż po tem? Widzę grób pod nogami, a za nim krainę pokoju.

Credo videre bona in terra viventium!

Na ziemi nędza, utrapienie, boleść — narzędzia ubłogosławienia, a na nie lekarstwem miłość braterska, wiara niezachwiana...

Wy coście sobie z jakich sześćdziesięciu lub siedmdziesięciu obiegów ziemi zrobili wieczność całą i bezpiecznie gnieździecie się w życiu, które się jutro rozprysnąć może jak bańka mydlana — dziwię się wam, ale nie zazdroszczę.

Wiem, że uśmiech wywołam na usta wasze i będziecie jak niegdy z apostołów wyśmiewać się ze mnie, myśląc żem i ja pijany a muszczu pełen (Dz. Apostolskie, R. II. 13.), ale cóż mi śmiechy wasze? sam w duszy pełen spokoju...

— Jak to? i masz się za tak silnego, że cię nie nie zwalczy? zapytał Longin, że ci się nie uśmiechnie nic, nie pociągnie, nie skusi, nie oszali?

— Mylisz się bracie, rzekł Serapion — jestem słaby, ale to uznanie słabości mocą jest moją, unikam czego przemódz nie potrafię, uciekam gdy zwycięztwa nie pewien, a upadłszy powstaje.

— A! więc padasz! rzekł Longin...

— Padam duchem i ciałem, odparł Serapion, i jeśli się godzi do siebie zastosować te słowa święte: umysłem służyę zakonowi Bożemu, lecz ciałem zakonowi

grzechu. (Paweł do Rzym. VII, 25), — ale któż bez zmaży? Alboż myślicie, że i na mnie nie przychodzą chwile zwątpienia i potów śmiertelnych? ale gdym wołał o pomoc, gdym się ukorzył, gdym płakał, nigdy mnie Bóg sierotą nie porzucił i nie odepchnął.

Z tą wiarą cóż mi mój żywot na ziemi, gdy obojętna dla mnie jak przejdzie, byleby mnie nie pokalał? Nic nie marzę, a przyjmę co mi będzie dano: dole, niedole, cierpienie, upokorzenie, trochę spokoju lub wiele boleści — mam ojca w niebiesiech, a ten lepiej pamięta o mnie niż wasi rodzice. Mojem dziełem czuwać nad sobą i czystym iść gdzie każą, pewien jestem że nikt sobie nie wyrobi pracę najzuchwalszą, co mu Opatrzność nie przeznaczyła...

Ale przyznam się wam do jednego tylko marzenia... a! gdyby siły po temu, gdyby natchnienie z góry, gdyby promień na głowę Bóg zesłał!

Wśród tego świata zubożniałego, skośniałego, zimnego i zwracającego się znowu do pogaństwa, w którym nauka Chrystusowa jest już tylko pięknym słowem, a szukają w niej dziś nie prawdy, ale poezji tylko — ja bym chciał wdziawszy sakwy i kij ujawszy w rękę, pójść z Ewangeliczką moją od chaty do chaty, od dworu do dworu, z nowiną dobrą, z gorącym słowem; chciał, bym je zaszczerpić w sercu ludu, którego nikt nie krzepi w sercu wielkich, które stwardniało, w sercu wszystkich, co o Bogu nie myśla.

Otóż los godzien zazdrości tego, coby był dziś namaszczone, w wieku rzeczywistości, tą poezją świętą prawdy świat wskrzesić i odżywić; ktoby był mocen słowem oderwać kupców od ich rachunku, uczonych od ich zaciekań, spekulantów od grosza, a szalone dzieci rozpusty od kielicha, który tak chciwie wypróżniają...

Wystawiam sobie jak szalonym bym się im wydał, a jakbym był wielkim!! Łacniej zaprawdę było kazać ludom w pierwszym wieku po Chrystusie, niż chrześcijanom w XIX.; — tamto były świeże i niezapute ludy, przysposobione do przyjęcia prawdy wielkiej i nowej pragnieniem i oczekiwaniem wieków; dziś gorzej, bośmy

wśród tłumu, co przyjął i zapoznał prawdę, co owoc wziął, skosztował i odrzucił od ust spalonych.

I więcej, zaprawdę, potrzebuje może zepsuty świat dzisiejszy apostołów niż ówczesny... Wierzone we wszystko wielkie, cudowne, łakniono nieba na ziemi i Bogów na nią sprowadzano; — dziś suchy i zimny rachunek zastąpił popędy szlachetne, a wrota nieśmiertelności zamknięto, żeby przez nie na zromatyzmowaną ludzkosć nie wiało.

Gdybym potrafił o kiju wyjść apostołować znowu! — U nas jeszcze może nie jedne drzwi by się otworzyły, nie jedno posłuchało by serce otwarte... ale dalej... dalej... cóżbym czynił w tej starej Europie, gdzie wszystko co nie powszednie to śmieszne? Najałby może Barnum jaki proroka, żeby go za biletami znudzonym pokazywać handlarzom.

Politycy szukaliby w nim sekciarza jakiegoś teorii socjalnej — podejrzewanoby w nim wszystko, oprócz ucznia Chrystusowego, tak to już postać niewidziana na świecie.

Otóż ideały i marzenia moje... z kijem pielgrzymu a drzwi balowych w Paryżu staję i nawracam, idę pod Giełdę ich wrzawliwą, jak widmo Banka zjawiam się wszędzie, gdzie zapominają o Bogu — w pośród teatru na scenie, wśród biesiad jak błądy upiór, jak statua Komandora, w fabryce między zgnitym proletariatem, co się dusi w powietrzu i obyczajach zepsutych...

Nie jest-li to marzenie cudne! A jeśli wśród mojej pielgrzymki od wrót do wrót o zebranych chlebie, pokorą i miłosierdziem nawróciłbym gdzie choć jedną duszę, zasiał myśl zbawienną, wzbudził uczucie, łzy osuszył — nie dość-że by było na oświecenie życia całego, nie okupiłaby one grzechów mojego żywota?

Wy się uśmiechacie ze mnie — ale inaczej-li poczynają się wszystkie wielkie i święte reformy jak śmiechem i szyderstwem wygwizdywane? pogardą i odepchnieniem witane?

Zwróciłbym się do nieszczęśliwych, ci by najlepiej zrozumieli mnie pierwsi... jest ich dosyć!

Chwyciłbym potem tych co z życiem nie wiedzą co począć, co siedzą u gościńca, nie pragnąc i nie łaknąc niczego.

Powiedziałbym mądrym, że troskają się wiele, a zapominają co główna; biednym, że ich jest królestwo niebieskie byle oczy zażawione wzniesli ku niebu, znalazłbym w tej malej księżeczce mojej słowo dla każdego, na każde cierpienie pociechę... Któż wie, może gorące słowo obudziłoby isierkę jaką? może pociągnąłbym za sobą, mógłbym do kościołów wprowadzić modlitwę, do serc nadzieję i miłość — do umysłów jasność niebieską?

— Gotujesz się jak widzę nie żartem na Apostoła, rzekł Baltazar — ale po cóż ci już nauka?

— Mylisz się, odparł Serapion, którego oczy łzami polyskiwały, nie czuję w sobie sił do tego posłannictwa tak wielkiego — a jedno maluczkie serce ciepłe dziś by nie roztopiło tego oceanu lodów, w którym żyjemy — dziś — bodajbym nie bluźnił — potrzeba by nowego przyjscia Chrystusa, aby nawrócić tych pogan, którymi my wszyscy jesteśmy.

Chrześcjanie? gdzież braterstwo, gdzie bracia? spytał z Albinem — chrześcjanie? gdzie cnoty chrześcjan? gdzie poświęcenie i pokora? Chrześcjanie? gdzie światła pogarda, gdzie męztwo? gdzie ci coby życie dali za prawdę, i co dla nich prawdą?

Ślepy chyba by nie dojrzał, że od kilku już wieków wielka rzeka ludzkości zwróciła się znowu do starego swego zamulonego łożyska, a nowem korytem sączy się tylko strumyk maleńki... wody potoku całe lecą pędem dawnymi błoty i zgnilizną.

A tak by jasno, cicho, szczęśliwie, spokojnie mogło być na świecie, gdybyśmy go na słowie Chrystusa: Miłujcie się jako bracia! odbudować mogli!

Serapion spuścił głowę i wszyscy owiani smutkiem jakimś zamilkli, tylko Teofil porwał się cały rozogniony i mowcę serdecznie uściśnął.

— A! rzekł gorąco — daj mi siły, daj wytrwanie, daj mi moc a pójdę z tobą i za tobą, będziemy nawrcać!

— Nawróćmyż wprzód samych siebie, odparł smu-

tnie młody chłopak, to pierwsze i największe, to najważniejsze zadanie. Drogi mój Teofilu, pracujmy nad sobą, nie nam, nie nam obu sięgać po kij apostolski, ręce go nasze nie udźwigną... I... dosyć marzenia!!

— Gdyby nam kto co weselszego, a bardziej pocieszającego powiedział, ziewnął Baltazar, nie byłoby od rzeczy... a kolacja też nie jest od rzeczy! dodał w sposobie cichego komentarza.

— Kolacja! Cymbuś! ruszaj po kotlety! zawołał, z poezji przechodząc do prozy nasz amfitryon.

— A pieniądze? zapytał Cymbuś naiwnie, bez pieniędzy już nie dadzą!

— A! pieniądze! to prawda! rzekł gospodarz i pobiegł do stolika, otworzył szufladę, w której ujrzał tylko zupełną próżnię a w średniej samotnie walającą się berlinkę nie zapomnianą niestety, ale odrzuconą, bo jej żaden żydek nawet przyjąć nie chciał, tak wyglądała podejrzenie czerwono.

— E! dadzą na kredyt! rzekł Teofil zwracając się błagając do Cymbusia, na którego wymowę rachował.

— Nie, nie dadzą! stanowczo odparł Cymbuś, kiwając głową.

— Co tu robić? Albin pożyczycy?

— W imię miłości powszechnej i dobra publicznego, dodał Baltazar.

— Wiele chcecie, daję, rzekł Albin dobywając sakiewki.

W tem wszedł Konrad powracający z wieczora w zbrukanych już rękawiczkach i z dosyć kwaśną miną.

— A witajże Don Żuanie! krzyknęli wszyscy otaczając go... otóż *deus ex machina*, naturalnie kolej na ciebie!

— Do czego? spytał zamyślony elegant — co? jak? nie wiem.

— Jakto? już o niczem nie pamiętasz?

— A cóż się to stało?

— Wszakżeśmy przedsięwzięli spowiedź generalną naszych marzeń i ideałów, rzekł Teofil, i z kolei Sera-

pion nawet musiał nam głębi swej duszy odkryć do dna... ty się także nie możesz wykreścić.

— Dajcież mi naprzód... fajki i herbaty, począł rzucając się na sofę Konrad.

— Tyś taki wybredny, że nie wiem jaki ci cybuch dać się ośmielę, we wszystkich gra jak na organach, poślij po swój z bursztynem do domu.

— Dobrze, i po szlafrok razem, dodał młody człowiek, a potem... no! wypowiadam się i ja, bo mi nie brak pomysłów do przyszłości.

— A! o tem wiemy, zawołali śmiejąc się wszyscy.

— Tylko jeśli się tak śmiać będziecie?

— Chciałbyś żebyśmy płakali?

— Nie — ale trochę współczucia... to sił dodaje.

— Ja cię będę podtrzymywał, rzekł Longin, ale ponieważ się masz spowiadać — dodał, zaczynając od grzechów dzisiejszego wieczora — gdzieś bywał i jak ci się powiodło?

— U jenerałowej, a powiodło mi się. — Zatrzymał się i ślinę przełknął.

— Nie kłam, rzekł Longin, bo gdy skłamiesz zaraz ci się oczy koszą i belkoczesz, poznamy, opowiedz raczej jak to było?

— Zwyczajnie jak na wielkim świecie, wieczór wspałały, panien mnóstwo i ślicznych, salony oświecone, świat znakomity i poważny... Ja maluczki akademik utonąłem w nim jak mucha w miodzie i dosyć miałem okradzioną minę. Do panien niepodobna się było zbliżyć, bo oficerowie i urzędnicy zabrali wszystkie, zostawili mi do wyboru stare od czterdziestu do pięćdziesięciu lat mężatki, jeszcze tańczące i na głodny żąb uchodzące, lub trzynastoletnie dziewczątka, które już udają że starsze, a na prawdę umieją być zalotne, choć o ich chude łokcie ukuć się można.

— A! jaki paradny! zawołał rozweselony Baltazar — ale po cóż tam chodzisz?

— *Trahit sua quemque voluptas*, szepnął Cyryll ostrożnie.

— Słabość nie uleczona, rzekł Konrad, lubię świat i

uczę się go, a żadna nauka nie przychodzi bez pracy i zawodów, świadkiem kochany Cyryll, który nie raz dobija się zjadale dzieła in folio, najpiękniejsze na niem pokładając nadzieje, chwytając je, niesie, otwiera i znajduje...

— Wielkie nic!

— I dla takiego nic ty poświęcasz, Konradzie, wieczór w gronie przyjaciół i kolegów!

— Cóż chcecie? pijacy idą do szynku, nie prawda?

Przyniesiono Konradowi wyszywany jego szlafrok jedwabny, krymkę haftowaną wzorzysto i paradny bursztynem szafniowym ozdobny cybuch, a w stroju tym nowym zasiadłszy wygodnie na sofie, począł mówić, wcale się już prosić nie dając.

— Co do mnie, rzekł — z poprzedniego znanie mnie już zeznania, lubię świat z jego ułomnościami, jest to zły nałóg jak inne, ale okupuję go szczerze przyznając się do błędu. Nie sądźcie jednak przeto, że bym się kochał w świecie jakim on jest. Potrzebuje przerobienia i lada dzień dadzą mu formę nową; potrzebę tę czują wszyscy, zgadzają się na nią, oczekują jej, ale korzystają z *interim*.

Wszystko bo jest do góry nogami... dowiodły to świeże pokuszenia reformatorów, których głos choć przeszedł niewysłuchany, nie może bez owocu pozostać. Ludzkość jest chora, lekarza szukają, ale się dotąd żaden nie zjawił, kuracja może być trudna, bolesna, bo słabość zapuszczona ale nie zropanczona.

Według mnie, dodał stanowczo udając więcej pewności niżeli jej miał w sobie — nie ma lepszego pomysłu nad zrównanie ludzi wychowaniem i sprowadzenie ich do jednego pośredniego mianownika. Wypędzić lub poobcinać skrzydła geniuszom, wielkich ludzi poprzycinać do miary, wyrównać wszystkich w jeden szereg, a potem... reszta pójdzie najłatwiej.

Przeszkodą do wszystkiego są to niespokojne umysły, co się pną nad inne i niepotrzebnie nami wstrząsają; poetów jak Plato wyganiał z mojej republiki, retorów także, by darmo nie bruździli, wszelką wyższość

topię, ścinam, eliminuję, i dopiero poczyną się utopja moja, gdy człowiek do człowieka podobni będą jak dwie kropki wody.

Naówczas nie ma już nic trudnego — jedną polewką karmię naród cały, jedną dłoń suknię kroję na warsztacie, jednakowe cele buduję dla wszystkich i największą zaprowadzam równość, a zatem zbawienną władzę dyktatorską, któraby to w karmach trzymała.

Może być co szczęśliwszego nad tak urządzoną ludzkość?

— Przyznam ci się, że bym do niej należeć nie chciał, rzekł śmiejąc się Longin, zaraz bym przeciw tobie bunt podniósł...

— Nimbyś o nim pomyślał jużbyś był wyeliminowanym, odpowiedział Konrad — ja odradzam społeczność takim wychowaniem, które doskonałą równość wprowadzi, nie dalbym ci więc wyrosnąć na oponenta i wiśchrzyciela, a gdybyś się nie chciał poprawić... ha! są i na to sposoby.

Nielitościwie śmiać się zaczęto z tej nowej rzeczypospolitej Konrada, który się wcale nie zmieszał.

— Żartowałem, rzekł, jest to sobie tak utopja cellularna... jak inne... ale u mnie się ich do tuzina znajduje na usługi wasze... Tak! jest to prawda, zrównać ludzi trudno, ale jest na to inny sposób — zawsze jednak na tem oparty, aby nikomu osobistej nie zostawiać swobody, wszystko ująć w kluby sprężyste, ścisnąć i kierować każdym ruchem... dla szczęścia i pomysłowości ogólnej. Dziś ludzie idą samopas, każdy sobie, potrzeba dozoru i władzy dla szczęścia, zawsze dla szczęścia wszystkich... ludzie są dziećmi...

— Ale któż będzie nauczycielem i wodzem, kiedy wszyscy dzieci? zapytał Baltazar.

— Dojrzałsi i — system, raz tylko niech będzie system...

— A któż ma zbudować tę arkę zbawienia? te same dzieci?

Konrad mocno był zakłopotany, pocierał czoło i dumał.

— Zbijacie mnie, rzekł, nie mogę myśli rozwinąć, oczewiście są jeszcze w tem wszystkim pozorne sprzeczności, nie donosilem tych zarodków idei — poczekajcie.

Zresztą ludzkość idzie wedle danego prawa ku czemuś co jej jest przeznaczonem i trafi na drogę prędzej później w danej ku temu godzinie. Całe dzieje są historją wysiłków jej dla trafienia na tor prawdziwy, zakryty, ale istniejący. W swej drodze, jak obłąkany podróżny w śnieżystą zamięć zimową, przechodzi ona i mija gościniec, wchodzi nań znowu i znowu się zbija...

— Ale czemuż nie ma tego rozumu, żeby jak podróżny, rzekł Longin, spuściła się na instynkt koni?

— Bo chodzi piechoto! przerwał Baltazar śmiejąc się — nieprawdaż?

— Para dobrych szkap zbawiła by ją, tę biedną ludzkość! dodał ktoś po cichu.

— To jest... instynkt... wytłómaczył Longin, ale cóż, kiedy Konrad jak widzę wierzy tylko w rozum ludzkości, a dopiero na ostatku z biedy instynkt wiodący ją przypuszcza, i to nie będąc dobrze pewien czy na niego rachować można w ciągu drogi.

— Ot wiesz... kwitujemy cię już z utopij twoich, dodał Baltazar, powiedz nam lepiej co dla siebie samego i z sobą czynić zamýślasz?..

— Jeżeli na twarzy świata starej i pomarszczonej nie się nie ma odmienić, zawołał Morus, a wszystko ma zostać po staremu — cóż ja mam pragnąć dla siebie? Nic tak dalece wielkiego i niepodobnego?... ot... ładnej, bogatej i dobrze urodzonej panny za żonę...

— Nie byłby Polak, naprzód podwika! rzekł Longin.

— Nie przeszkadzajże... mówił Konrad... do tego z wielkim posagiem... bo to fundament... ze stosunkami... z...

— A nadewszystko z posagiem! — zaśmiał się stary medyk.

— Dalej *et caetera*... Nie jestem gorszy od innych, los nie powinien mi odmówić tego co drugim hojnie udziela, trochę szalu w młodości i trochę na starość rozumu!

— Ostatnie wątpliwe! dodał Longin po cichu.

— Trochę majątku... jaki tam jeden biedny malutki milionik, nie więcej — stosunki mile, sąsiedztwo przyjemne... co dwa lata powozik z Wiednia, domek jak z igły, możność dania czasem baliku lub wieczorku... at! marność światowe!

Radbym mieć i kucharza francuza, potrzebuję biblioteczki, muszę mieć gazety, nie lubię się nosić nie-dbale, to są rzeczy bogatym właściwe; pragnę więc logicznie, jeżeli reformy moje nie przyjdą do skutku, mamony jak inni, bez której nie... a że jej z gustem użyć potrafię... za to ręczę.

— I ja za gust ręczę, za rozum nie tyle, dodał nie-litościwy Macedo, ale to już rzeczy nie ciekawe co dalej, poziome masz pragnienia i do zbytku pospolite żądze, możesz łatwo dopiąć celu złamawszy jedną główną trudność... oto, ożeniwszy się bogato, znakomicie, a w dodatku z osobą młodą i piękną... Gdybyś z tych warunków nieco spuścił mógłbym ci wyprorokować nie złe, mimo twoich oczów...

— A cóż moje oczy? krzyknął Konrad.

Cymbus się rozśmiał w kącie nadto głośno — bo już był powrócił z kotletami, które w piecu odegrzewano.

— Oczy? jużciż klóć się trochę, odparł Longin nieustraszony — ale masz młodość, dobrą minę, wymowę i francuzczyznę, tańczujesz, nazywasz się nie brzydko, za to wszystko mógłbyś coś utargować, tylko znowu nie tak wiele... Ale musisz się zaprzedać!

— Za pozwoleniem, przerwał pierwszy — jużciż i nie sprzedając się mogę sięgnąć tam gdzie drudzy...

— Sięgać nikt nie broni, ale dosiądz trudno, odpowiedział Baltazar — ręce jegomość masz krótkie a pragnienie nieumiarkowane...

— Wiecór dzisiejszy niech ci da miarę świata i tego co cię na nim spotkać może...

— O! ten przekłety mundur, to do wszystkiego zapora, zawołał Konrad, jemu przypisuję całe moje niepowodzenie w salonach. Bo cóż on mówi? naprzód

świadczy dobitnie o niedojrzałości, powtórę znamionuje podległość rodzicielskiej władzy, po trzecie odkłada ziszczenie wszelkich nadziei najgorętszych na lat kilka, bo akademicy nawet żenić się nie mogą...

— Ale bałamucić się mogą! dodał Teofil.

— Słowem, ten mundur jest to jak pasek dziecinny, dowód, że się jeszcze chodzić samemu nie umie...

— Jednak gdybyś był nieco skromniejszy w żądaniach, przerwał Baltazar, wskazałbym ci osoby, które na zaletach munduru i młodości się znają i cenić je umieją — są to wdowy nieco letnie, damy podżyłe, pragnące się odegrzać wedle metody króla Dawida, i tym podobne istoty. Gdybyś tylko z młodości i piękności kwitował, mógłbyś się zaraz nawet wcale nie złe umieścić.

— A tak! bardzo dziękuję! rzekł Konrad.

— No i dalej nie masz-że nam co powiedzieć? spytał Longin — a zatem, Cymbusiu szanowny, w antrakcie dawaj wieczkę, a gorąco na stół wedle przepisu...

Wystąpiły więc owe kotlety z cytrynką, na które zgłodziących nie potrzeba było prosić, bo ukazanie się ich było znakiem zagłady, mignęły jak błyskawica i poszły jako cień, wedle przepowiedni Longina, rozchodząc się na miseczki i obchodząc bez usługi widelców, bo Bóg, wedle znanego przysłowia, pierwaj stworzył palce niż widelce.

Baltazar, który jak się zdaje, najciekawszym ze wszystkiego był kotletów z cytryną, zaraz po nich wyniósł się po cichu chwyciwszy za czapkę, a pozostali gotowali się jeszcze wysłuchać Teofila i Jordana. Pierwszy z nich był łatwy do odgadnienia i nie wiele mógł powiedzieć, drugi mógł wysnuć z siebie całą przedsięwziętą kawałkami już znano z codziennych jego wykrzyków... i byliby ich towarzysze pokwitowali może ze spowiedzi, ale nie wypadało wzgardzić tak niemi, wieczór był długi, czasu dosyć na wyznania; dopominano się więc zaległości.

— No! Jordanie nieboże, rzekł Longin promotor, gdy znowu sprzątnąwszy jadło zasiedli na sofach — przystępuj do rzeczy.

— Cóż ja wam powiem? odparł żywo zagadniony — toż samo pono co drudzy? nie jednoż śni się nam wszystkim? każdy z nas zdobywcą wychodzi na świat, choć nie jeden zebrakiem powraca, nazwaliście mnie już Krezusem *in spe*, to wszystko zawiera w sobie. Chcę tylko pieniędzy i to mieć będę; gdy je pozyskam, jak użyję, nie wiem, ale przedewszystkiem grosza pragnę, tego nerwu wojny, którego do walki życia nie można mieć nigdy nadto.

— Ale nam przynajmniej powiedzieć możesz jak go myślisz zdobyć i którędy poń pójdiesz?

— Na jednej siedziemy ławie i zdaje mi się że podobną z Longinem iść myślimy drogą, odparł Hruszka, ja sobie obrałem także prawo.

— A myślisz iść w lewo, bąknął Longin.

— To pewna, że użyję wszelkich środków jakie są tylko w mocy człowieka, aby naszemu imieniu stary jego blask przywrócić.

— Wyzłocić je chcesz na nowo jak starą chochłę, rozumiem, przerwał antagonistę.

— Wszyscy pięknie umiecie mówić przeciw groszowi, o pogardzie złota, poeci śpiewają pioruny rzucając na *sacra auri fames*, wszyscy przecież na głód ten chorują; jam tylko szerszy od drugich i powiadam z góry — złota! złota i złota! Muszę je mieć, będę je miał, zacznę od miedzianego grosza, od szelągka, od dydka... będę skąpił i ciułał, zbierał i chował, wydzieriał tym, którzy użyć nie umieją. Każdy z was czegoś żąda jednego i jednym się ogranicza, ja wszystkiego chcę i łaknę bez końca — grosza naprzód jak podstawy, sławy potem, imienia, znaczenia, stanowiska... wszystkiego co świat dać może.

— No, a środki? spytał Longin, ja otwarcie powiedziałem, że myślę iść przebojem.

— Na co, kiedy można unikać walki? uśmiechnął się Jordan, — są środki inne i równie skuteczne, na

ludziach wszystko wyrobić można pochlebiając ich słabości — śmiejąc się z nich za oczy a głosząc ich konika; każdy go przecie ma, nawet ty, Longinie, którego w danym razie wziąłbym jak swego admiracją twej siły i potęgi. Nie ma bezpieczniejszej nad to drogi, serca nie kupują się inaczej jak poznanie ich słabości — każdy je ma, chodzi tylko o to by znaleźć tę piętę, która czasem jest piętą a częściej sercem lub głową...

Któż mi zabroni potem szydzić z nich, kiedy tak na to sownie zasługują? Za cóż się nam bić, gdy mogę spokojnie wziąć to o co ty będziesz się musiał walczyć okrutną i krwawą dobijając? Nie odrzucam ja wojny, ale wierzę w dyplomację... życia. Często nie zwyciężony na ręce, da się uchodzić jedwabnemi słowy, — im kto głupszy, tem łatwiej, głupich zaś *infinitus est numerus... Mundus vult decipi, ergo — decipiatur.*

Zresztą czego wy chcecie odemnie? rozwińcie sobie ten temat, ja do długiego gadania nie przywykłem i znajduję, że słowo wyrzeczone jest zużyta siłą, odbiera moc do czynu potrzebną: kto mówi ten już nie robi, milczący tylko działają.

Spojrżeli na siebie z Longinem jak dwaj zapaśnicy, może pomyśleli — kto wie czy nie spotkamy się na świecie z dwoma rodzajami broni? — i Longin zamilkł zamyślony, znać poczuwszy że oręż nieprzyjaciela nie był do wzgardzenia.

— Kto wie? szepnął po chwili — kto wie? może coś być z niego.

— Więcej się już ze mnie nie dopytacie, przerwał Jordan, i tak wiele uczynił, że się na tych kilka słów zebrał... słowo które jest nasieniem czynu, nie powinno się rzucać bezmyślnie, szkoda go, czysta strata... Teofilu, dodał, tyś ostatni, ciebie słuchamy:

Continuere omnes intente ora tenebant...

Inde thoro pater Aeneas sic orsus ab alto.

— Zostawiliście mnie sobie na zakąskę, zawołał Teofil z westchnieniem, ale znacie mnie nadto, czego dziś miałem dowody, bym przed wami spowiadać się szeroko potrzebował. Nie wiem czem, a pragnąłbym być czemś wielkiem, podnieść się nad tłum, uczynić coś znakomitego, zasłużyć się ludzkości i marnie żywota nie spędzić...

Ale w duszy mojej są żywioły wszystkiego... namiętności, i w niepewności wielkiej czekam chwili natchnienia, które nie przychodzi.

Do pierśi chciałbym przygarnąć świat cały, pochwycić wszystko, objąć, opanować, a wybrać sobie nie umiem... powiadacie mi że poeta; ja sam nie wiem jeszcze, ale czuję że mógłbym być może poetą...

Za małym znajduję życie, za krótkimi lata nasze na to, co mamy przed sobą do zrobienia — bo cóż można z wiedzy ludzkiej wyłączyć? co odepchnąć? co nazwać niepotrzebnem? Uśmiecha się wszystko, każdy stan ma wielkość swoją, swój urok i chwilę złości.

— I jesteś jak ów osioł w bajce, dodał Longin, który między dwoma miarkami owsa zamiera z głodu, nie mogąc się namyśleć czy z prawej czy z lewej pochwyci?...

— Wolę być tym osłem, niż ograniczyć się jakimś ciasnym maluczkim wydziałem, jak wy, którym wystarcza staranie o chleb powszedni... i jedna ścieżka przez świat szeroki.

Nie znam siebie, ale mnie nęci wszystko co otacza... Pogląd na świat budzi we mnie artystę, piękność przemawia do serca, rozumiem język jej i chciałbym nim mówić, klękam przed obrazami malowanemi ręką Bożą i arcydziełami stworzonymi dłonią człowieka.

Czuję że schwyciłbym myśl z tej nieśmiertelnej twarzy stworzenia i użyć jej potrafił jak głoski alfabetu mojej duszy. Patrzę na Venus Medycejską, rozumiem jej twórcę i pragnę mu dorównać, przed Transfiguracją Rafaela, pojmuje kochanka Fornariny i zadanie jego życia, którym był ideał niewiasty świętością i dzie-

wietwem promieniejący; z Michałem Aniołem rozumiem, że wyraz siły jest potęgą i jednym z obliczów piękności; — Boucher zachwyca mnie pasterkami swemi, Flamandeczyk swą krową tak żywą, że prawie tęsknotę bydlęcą poczuwamy patrząc na nią i ryczeć się z nią chce razem. Otóżem artysta, wołam i myślę, że nim jestem.

Ale idę do kościoła i gdy się modlę przed obrazem, który we mnie wywołał pragnienie utworzenia arcydzieła — śpiew słyszeć się daje, płyną dźwięki poważne! To stary Haydn! to siedm słów Zbawiciela, które mistrz swemi siedmią nieśmiertelnemi sonatami wyraził tak potężnie... Słucham i zapomniałem o malarstwie. Jakże nie zapragnąć być tak prostym i wzniosłym jak on, i przemówić tak do ludzkiej duszy, by z niej dobyć same najczystsze uczucia, same natchnienia najświętsze?

Z Haydnem ja nim jestem i nim być chcę tylko... ale tuż odzywa się Mozart i różnobarwna jego lira mnie zachwyca, chciałbym tak wylać swój smutek jak on w *Dies irae dies illa*, takim finałem jak Don Żuana odmalować burzę wstrząsających mną namiętności, taką uzyskać potęgę i dzielność, jaka jest w jego symfoniach; tak się stać jasnym i pojętnym przy genialności jak on...

Z Beethovenem schodzę na padoł płaczu i cyrk męczęstwa, pomiędzy ludzi: ten mistrz boleści ludzkiej i namiętności zachwyca mnie siłą, wdziękiem, rozmaistością, fantazją, sercem, które drga w każdym jego dziele, dziwactwem nawet, które maluje, co się w tej duszy utrapionej i zbolalej kryło... Oto jego Adelajda, świeża cała jak kwiat wiosenny, oto septuor, cały świat tonów ze swą tęskną pieśnią i walczącym scherzo; — oto kwartety misterne, i Chrystus na oliwnej górze... z przerażającym marszem przybywających z Judaszem żydów — oto Sonata Księżycowa, skarga duszy niewieściej cicha i łzawa... z początku... zakończona lawiną harmonij, oto tysiące marzeń, poruszeń, cierpień, wykrzyków oddanych z nieporównaną energią w symfoniach; oto całe życie ludzkie i całe cierpienie ludzkości

w dziele jednego człowieka... Nimbym chciał być znowu, ale nie wielu dano Beethovenem zostać! zdumiewa mnie kunsztem Bach, mistrz formy wykwiintnej, zachwyca Pergolese, unoszą na chwile Spöhr, Schumann, Meyerbeer i wesoly a łatwy na pozór Rossini, biorący życie z najpospolitszej, powszedniej strony, a umiejący podnieść je do ideału... Kłękam słysząc Chopina i modlę się jego tęsknotą... ale przed nim czuję, że nim być nie mogę, że on jeden się sobą urodził. Szubert mnie rozławia, Weber porywa duszę, widzę Wertera i Lotchen, tańczących tego walca, w którym puls całych Niemiec takt wybija... Kimże tu być? co pierwaj wykrzyknąć tęsknotę czy radość? gdy wszystko jest we mnie i modlitwa i pieśń, i wesele i rozpacz, i hymn tryumfu i krzyk boleści?? milczę i płaczę, nieudolny i skazany na męczarnie nieme.

Nic to... to dopiero jedna strona kalejdoskopu świata, tak samo ciągną mnie wszystkie... nauka swemi przepaściami, filozofia głębiną czarną, religja ekstazą mystyczną, czynny żywot walkami dni powszednich i nieustannością boju; błąkam się, kłękam i płaczę. Byłbym szczęśliwy, gdyby mi Bóg dał jedną wyłączną namiętność i kierunek, a zamknął powieki moje na resztę świata, gdyby mi wydzielił u tego stołu miejsce i pokarm, a nie przywiódł przed zastawioną ucztę, która nęci głodnego tysiącem barw i zapachów...

Wy się uśmiechacie ze mnie, lecz to śmiech dziecinny; gdybym się urodził w wieku Arystotelesa, kiedy cała umiejętność ludzka zmieścić się mogła i w jedną głowę i jedną księgę, kiedy umysł jeden mógł uporządkować owoce doświadczenia wieków — byłbym tym szczęśliwym może co zarazem zwierzęta na klasy, poezję na rodzaje i politykę na rozdziały rozporządził, co logikę i historję naturalną, muzykę i historję ujął w jedne kluby. Lecz gdzież dziś umysł coby wszystkiemu wystarczył, wszystko objął potężnie i panować mógł wszystkiemu? Jestem więc skazany na męczęstwo i pośmiewisko ludzkie.

Stan mej duszy oplakany, a przyszłość czarna i

smutna, wiecznie za czem tęsknić i czegoś pragnąć, i żałować i rzucać się a nie dojść do niczego, a z każdego szeregu być odepehniętym jak przybłęda...

Bo nie mi na długo wystarczyć nie potrafi, i w każdej głębinie dno widzę, i nicosć w każdym kątku... W pierwszej chwili zachwycają mnie blaski — zaraz potem widzę tylko ułomność. Po siedmiu słowach Hajdna, słyszę już jego kwartet ubogi i zużytą formę jego fortepianowej sonaty, Beethoven mi się powtarza i niecierpliwi pokuszając się o fugę niedostępną dla niego, w Michale Aniole dostrzegam gwałtowność naprężenia niemal śmieszną, w Mozarcie słabość i zużycie, w Raffaelu chłód i jednostajność, w nauce wszędzie niepełność, w filozofii sztuczną zabawkę.

— Jesteś jednym słowem najnieszczęśliwszym z ludzi, ale poeta, rzekł Longin, to jest *inutile pondus terrae*, do niczego nigdy nie dojdiesz, nic nie zrobisz, i co krok omyłki stawiać będziesz tylko. — Masz-że co więcej jeszcze? zapytał.

— Żale, rzekł Teofil, nie tylko żale; przyszłość mi się nie uśmiecha, bom w wiecznej z sobą niezgodzie i sam nie wiem czego pragnę...

— Nie wieleśmy się od ciebie dowiedzieli, dodał wstając i ziewając szeroko Aleksander Macedoński — ale to nas pocieszać powinno, że ty nie wiele więcej wiesz o sobie, dałeś co mogłeś, a grosz wdowi wystarcza...

Gdyby też — dodał śmiejąc się — dla ukończenia tego wieczora powszechnych spowiedzi, zaprzadź do niej i Cymbusia? Coby to on nam powiedział.

Ledwie się z tem dał słyszeć Longin, gdy okrzyk ogromny obudził drzemającego chłopaka i wszyscy porwali się z miejsc swoich otaczając go i nagła o to czego zupełnie nie rozumiał. Oskoczył w pierwszej chwili od samowara, przy którym nieodstępnie stać przywykł jak na straży, i gdy mu wykladać chciano, czego wymagano po nim, nie dawał przystępu do głowy tak dzikiemu żądaniu.

— Widzisz, rzekł mu Jordan, każdy z nas tu dziś

wypowiedział czego chce, i jakie sobie w przyszłości życie obmyśla, gdyby mu losem rozporządzać było wolno, czyż ty byś nie potrafił opowiedzieć czego ci się zachciewa? co ci się uśmiecha?

— E! rzekł Cymbus drapiąc się w głowę — tobyście się panowie śmieli ze mnie.

— Ale nie! nie! mów śmiało, czego sobie życzysz w przyszłości?

— Już to naprzód, z tego Wilna powrócić co najprędzej do domu, proszę panów, odchrząkując dodał Cymbus, który nabierał odwagi, bo, jak Boga kocham, ja tu nie wyżyję, panowie mnie zamęczycie.

— A potem? spytał Longin.

— No! to będę odpoczywał! odparł nieszczęśliwy z westchnieniem.

— No! ale jakże?

— A! jak! na piecu! rozumie się że na piecu! mówił ożywiając się Cymbus... pan mógłby mi dać chatę i ogród, a rozpatrzywszy się, może bym się z Motrunką ożenił, kupił bym parę szkap u Lejzera... i furmanował... ot po wszystkim.

— Jakże! to tak mało pragniesz? nie więcej?

— A cóż ma być więcej? rzekł chłopak — żebym był bogaty to bym pewnie nic nie robił, a chłopca bym trzymał żeby go za uszy kręcić... ale bogaty nie jestem i nie będę.

— A chciałbyś być bogatym?

— Tak bardzo to nie, bo zaraz potrzeba ubierać się porządnie i siedzieć wyprostowanemu, a mnie to na co? Trochę żebym miał, a mógł na piecu spać do syta...

— A w lecie?

— No! na słońcu naturalnie! rzekł zziębły sługa.

— A więcej?

— E! nudzisz bo pan? co więcej! na co więcej! Motruna by jeść gotowała... ze słoniną... kieliszek wódki by się znalazł przed obiadem... czasem w niedzielę nalewka... a wnukom bym zakazał żeby do Wilna nie jeździli i akademikom nie służyli.

— Tak ci to już dojadło?

— Jak nie miało dojeść? Ta to męki wiekuiste! Jacy

to ludzie w tym Wilnie, niech ich kaczki zdepczą! ani się rozmówić, ani poprzyjaźnić! — Śmieją się... nikt nie spojrzy... nie zagada... u nas na wsi lepiej...

— Otóż mamy i marzenia Cymbusia i piec, odpoczynek, Motrunka, słonina... posądzam że ta Motrunka musi być rumiana i tłusciuchna jak pączek dziewczeczka.

— Aha! aha! jak pan zgadł, rzekł śmiejąc się i poruszając gwałtownie Cymbuś, żeby pan ją widział! Ale, lepiej żebyście panowie jej nie widzieli... śliczności dziewczyna... a dobra!!

— Wcale skromne marzenia, dodał Longin, ostateczny ich rezultat — używanie bez pracy... Gdybyśmy my z równą naiwnością wypowiadali się wszyscy z myśli naszych, można by życzenia nasze do tegoż sprowadzić mianownika... W życiu tylko szersze zakreśliły granice, a że wiemy iż pracą je okupić potrzeba, naprzód robimy wybór pracy, jaka się nam zdaje najlżejsza i najlepiej do serca przypada. Cymbuś przypuszcza żeby furmanował... Wszystko i zawsze jedno, a człowiek pod sukmaną i w jedwabnym szlafroku Konrada, *mutatis mutandis*, sukmanę na szlafrok *unus et idem*.

— Północ! zawołał wstając Albin.

— Godzina upiorów i widziadeł! dodał Longin... Chodźmy więc, i tak już dosyć bałamuctwa tego, na któreśmy tyle czasu daremnie stracili. Cała korzyść, że się może komu choć przyśni co upragnionego, a Cymbusiowi cień różowej Motrunki! *Utinam!*

Od takich to marzeń poczynają się pierwsze lata pobytu w Wilnie, ale pasmo wątle tych snów złotych, choć się prawie do wyjścia na świat ciągnęło, zrywali je i płątali później ludzie, wypadki, doświadczenie, zawody... Każdy doznał uścisku rzeczywistości, który na nim swe piętno wypalone jak czyścowej duszy dotknięcie — zostawił.

Już nawet w tych błogich latach snów i marzeń poczęły się mieszać szyki, musiano rachując się z przyszłością wyśnioną po troszę z niej ustępować. To co

się z razu wydawało łatwem, dostępnem, blizkiem, odbiegło, podrosło, niepochwycenem stało, posmutniały twarze i serca nieco ostygły. Ale młodość ma w sobie tę siłę gojącą, która blizny duszy jak rany ciała wprędce zaciąga i zamyka; — wczorajszy dzień nie zrażał do jutra, ani dłań był prorokiem...

Po chmurce przelotnej, świeciła znowu pogoda, a każdy grzał się na swem słońcu, nie przypuszczając by burza przyjsć mogła.

Może najpewniejszym krokiem postępował powoli coraz dalej milczący Serapion, który pojął od razu życia zadanie i to co ono dać może, najcierpliwiej znosił walkę, najspokojniej podolał zawodom przewidzianym.

Nauka szła mu łatwo, a choć sam charakter i skromność nie dozwalała mu wyjść naprzód i innych prześcigać, wkrótce na jego wartości wewnętrznej poznali się wszyscy nauczyciele i współpracownicy, pokochali go jedni, uszanowali drudzy. Żadną też płachością, od której nikt nie był wolny prócz niego, nie ustał w pracy, nie zwątpił, nie opadł mu ręce.

Albin, wierny przyjaźni, którą powziął dla niego, wciąż go miał przy sobie, a choć to położenie przykrem było dla ubogiego, stosunki ich tak były braterskie, że Serapion nie poczuł się nigdy iż był na łasce, owszem Albin się miał dłań za obowiązane. Sam Milczek powoli znalazł sobie sposób zarabiania na skromną odzież i książki, a mieszkając przy Albinie, poświęcał się dłań, był mu pomocą i przewodnikiem i nie mógł opuścić tego, któremu przyjaźń jego stała się pocziwym nałogiem.

On jeden przystał najlepiej tej naturze dziewczęcej fijołka, którą raziło lada ostrzejsze słowo, uśmiech wątpliwy, obejście szorstkie, nieostrożne dotknięcie. Potrzebował on takiej łagodnej, chrześcijańskiej, uświęconej duszy, jaką była Serapiona, aby w nią mógł przelać swą tęsknotę, z niej pokój zaczerpnąć i nie wystawić na pośmiech łez, miłości swej i marzeń dziewczęcych.

Inni towarzysze, choć ich kochał, choć go kochali, ranili go często mimowolnie słowem nieopatrzem, a ta

sensytywa czuła każde najlżejsze draśnienie i ciężko je odboleć musiała.

Albin tęsknił za domem, matką, Anusią i spokojem, jedynym środkiem rozrywki były dlań książki i nauka. Wpływ ich jednak na niego był nieznaczny, kształcił się, ale w kierunku własnym wybierając to z owoców umysłu ludzkiego, co do serca jego i usposobienia najlepiej przypadło. Zachwycali go poeci, ale zwracał się raczej ku starym niż nowym, więcej ku francuzkiemu idealizmowi, niż do nowszej szkoły niemieckiej szepiącej realizm, który później miał tak przerosłemi chwasty to pole zasiał i okryć.

Po cichu musiał Albin coś pisać, jakieś elegje i sielanki, poemata i ody, ale się z temi płodami muzy nie popisывał przed nikim, a Serapion co je sam tylko znał, będąc wtajemniczony, nigdy o nich nikomu nie wspominając, dochowywał Albinowi danego słowa. Była to przyjaźń nierozzerwana i w zgodzie świętej przeżyli z sobą te ostatnie lata próby przedzielające świat od szkoły, tak długie, a tak później wspomnieniem swem drogie.

Longin mniej pilnym był uczniem, ale się wszakże nie opuszczał, bo czuł, że całą przyszłość nosił w tece studenta; ale to była natura dziwna, która śmiałością samą chciała zastąpić wszystko. Śmiano się zeń często, to go bynajmniej nie zrażało, i nie poprawiało, na szyderstwa odpowiadał wybuchami gniewu, łajał, gdy czuł, że nie miał słuszności za sobą, potem nazajutrz wszystko było zapomniane, a on dalej szedł swoją drogą. Zdziwili się towarzysze widząc ku końcowi, że nieokrzesany i prostakowaty, potrafił sobie porobić stosunki w świecie, wcisnąć się do kilku domów, a co więcej pewną w nich odegrywać rolę.

Kobiety wierzyły w jego genjusz, który on wma-
wiał wszystkim, mężczyźni prorokowali mu przyszłość świetną. Świat też wcale go nie onieśmiał, nie odejmował mu ani siły, ani przytomności — salon go nie olśnił, starsi wiekiem i nauką nie upokarzali go swą powagą, cenili ich lekko, a mimowolnie patrząc na to,

każdy posądzał o wyższość człowieka tak pewnego siebie w którym nad wszystko górowało zuchwalstwo. Raz sobie powiedziałwszy, że stosunki z ludźmi są mu potrzebne, gdy się o nie starać począł, nie ustał póki do wszystkich domów, które mu się nastreżały nie wcisnął się. Radzi mu byli zrazu czy nie, kazał się prezentować; nie przyjmowany, powracał dziesięć razy do drzwi zamkniętych, z ludźmi się w przedpokoju kłócił, gospodarzowi tłumaczył, że go nie może odepchnąć, przymówek nie rozumiał, dwuznaczniki zjadał i raz opanowawszy pozycją, żadną już siłą z niej wyparować się nie dawał.

Dla wielu nieprzyjemnym będąc, choćby mu to kto i powiedział, słuchać i wierzyć nie chciał. Niekiedy zuchwalstwo swoje posuwał aż do bezwstydu, ale doznanych nieprzyjemności mścił się potem, nie szczedząc tych co mieli nieszczeście narazić go sobie.

Konrad zdziwił się zrazu niezmiernie spotykając Longina w tych domach, do których się on ze swem imieniem, powierzchownością, francuzczyzną, elegancją ledwie dostać potrafił, nie mógł pojąć dla czego przyjmowano go nawet lepiej niż jego. Zrodziła się z tych spotkań jakaś milcząca nieprzyjaźń między niemi, bo Longin nie oszczędzał go wcale, a Konrad śmiertelną ku współzawodnikowi powziął nienawiść. Nie wybuchał jednak jawnie i po kątach tylko przedrwiwali z siebie, bo walka z Longinem łatwą nie była, a na gębę jego straszno się było dostać.

Powoli usprawiedliwiając swój przydomek Aleksandra Macedońskiego, zdobywał sobie ludzi i przysposabiał się do przyszłości, mając już myśl pozostania w Wilnie, gdzie spodziewał się znaleźć zajęcie jakieś i początek przyszłego zawodu. Ztąd wedle planu zamierzał później udać się do stolicy, był to bowiem właśnie czas i chwila, w której stołeczni pełnomocnicy nic nie robiąc bajeczne zyskiwali fortuny.

O Cyryllu trudno coś powiedzieć, tak nigco lat kilka nie zmieniły, — pozostał wiernym swym książkom i nauce, zawsze z tą manią bibliofila, która przy ubo-

stwie była dlań największych udręczeń powodem. Wkrótce jednak porzucić musiał dom rodziców panny Telesfory, gdzie nie szanowano dosyć ani jego, ani drogich dlań skarbów i niepiękna łapka panny Telesfory odważyła się wydrzeć z biblii Scharffenbergerowskiej kartkę na obwinienie jakiegoś kobiecego cacka.

To barbarzyństwo tak oburzyło Cyrylla, że choć go wszelkimi sposoby usiłowano zatrzymać i wydartą kartę restytuowano pomietą, ale prawie całą, wyrwał się z domu tego i wyniósł nieco dalej ku miastu na inną kondycję do bogatego kupca, przy którego synu prawie do końca pozostał. Niemiec umiał ocenić sumienie i pracowitość człowieka, a manją jego uszanować, dał mu osobny pokój na książki i obchodził się z nim z poszanowaniem jakie należy monomanom nie drażniąc słabej strony.

Cyryll usposabiał się na nauczyciela i filologa, rozpoczął tłumaczenie dialogów Platona, rozprawę o systemie klasyfikacji umiejętności ludzkich, i cały pogrążony w nauce, ani się obejrzał jak mu dnie i miesiące po nad głowę przelatywały. Czasu miał zawsze za mało, stękał że mu go na nic nie wystarczało, spieszył się wiecznie a chodził zamyślony i przejęty, nie widząc co się wkoło dzieje. Był to pewnie najpracowitszy ze wszystkich, ale najmniej umiejący obmyśleć pracę swoją, o którą nie miał czasu się troszczyć, *in votis* było spokojne gdzieś miejsce profesora, własny domek i duża izba na ułożenie zgromadzonych skarbów, kąt cichy, praca cicha.

Jordan Hruszka w pierwszym roku pozostał u prezydentostwa, a choć codziennie narażany na wejście ślicznych oczek Masi i Ziuni, wcale się w żadnej z nich nie zakochał, i nawet znał je mało. Panny te były w ogólności dosyć nieszczęśliwe, i w nikim o ile wiemy nie obudziły gwałtownego przywiązania, choć otaczała je młodzież łatwo się na widok pięknych twarzątek zapalająca. Śliczne ich główki parzysto wyglądały z za szybek mieszkania jakby prosząc o spojrzenie, ale za ledwie się kto ku nim obrócił. — Konrad bywał u pre-

zydenta, trzymając jednak zdaleka od dziewczątek, bo dla niego były za ubogie, a nazwisko też nie zdawało mu się dosyć historyczne. Później Hruszka znalazł lepsze umieszczenie przy bogatym towarzyszu z oddziału prawa, który go wziął jako pomocnika, repetytora i sekretarza, a że hrabia ów miał wielkie w świecie stosunki, Jordan z chęcią się doń przywiązał, rachując na podporę w przyszłości. Uważano nawet, że jak dla kolegi zbyt był uniżony, posłuszny i ostrożny z paniczem, który go sobie z góry i dość wzgardliwie traktować pozwalał.

O innych nie wiele powiedzieć możemy, nie się prawie nie zmieniło w ich stosunkach i położeniu, w usposobieniu i charakterze. Baltazar pracował ogromnie, a medycyna ciężko mu przychodziła, tak że często przed egzaminami do młodszych przychodzić musiał, aby z nimi razem powtarzać, czego sam wyuczyć się nie mógł.

Dzieje tej uliczki ustronnej w ciągu tych lat kilku były jak historia krain szczęśliwych, o których mileża księgi dla tego, że były szczęśliwe; dzień do dnia, rok do roku podobne były jak krople wody. Ku końcowi drugiego wszakże, w początkach trzeciego, zaszła mała zmiana niedostrzeżona prawie w obyczajach Konrada i pięknej Rózi, córki pana Piłsucia. Nie darmo grała tak głośno koncert Hummla i fantazją Kalkbrennera, poglądając ukradkiem w okno pana Popiela; Konrad też ku niej powoli zwracać się począł, oczy ich spotykały się i chwytano eleganta na uczynku, gdy długie godziny w swej krymce haftowanej z cybuchem wspinałym spędzał, wpatrując się w rumianą twarzyczkę, wcale tej kontemplacji upartej nie unikającą...

Jak do tego przyszło, że wielki ów pan i strojniś zniżył się do Rózi, córki szewca Piłsucia, trudno wytłumaczyć i zrozumieć; wpłynęły na to rozmaite uboczne okoliczności, a najbardziej to może, że pomimo swych zalet, w salonach nie doznał takiego, jakiego miał prawo wymagać przyjęcia, młode zaś serce dopominało się kochania, a Różia rzeczywiście była istotą uroczą i mogącą głowę zawrócić, choć warstat, w którym kwitła,

okrutnie odczarowywał i za nogi ściągał na ziemię. Konrad długo się opierał nawet balamutnemu spojrzeniu; lecz gdy raz bliżej spotkały się ich oczy, gdy jakoś przypadkiem przemówili do siebie, biedak stracił głowę, zapomniał że pan Pilsuc bóty robił i począł utrzymywać, że familja ta znajduje się w herbarzu niedrukowanym Kojalowicza.

Co jednak najbardziej musiało pociągnąć Konrada, to drobna okoliczność na pozór obojętna, która chwilowo blasku dodała córce rzemieślnika. Rózia grała na fortepianie bardzo dobrze, była to jedna z najulubieńszych uczennic Renner'a, którą ów chlubił się jak przyszłą Szymanowską.

Muzyka jej podobną była do twarzy, głośną, szumną, polyskującą, wesołą, ale nie bez wdzięku; — wielką miała biegłość w palcach, a sztuczki naówczas zaczynały wchodzić w modę, tryll jej drżał jak listek jesienny, passażę przesuwaly się jak równiuchne pereł sznury, nie znała trudności i wyrabiała co chciała ze sprężystymi paluszkami.

Gdy przyszło dawać koncert na ubogich, a wirtuozek z arystokracji zabrakło, pani Deibel dawną swą zapropomowała uczennicę; dano znać rodzicom, Rózia ucieszona wezwaniem, wybrała sobie ów koncert Hummła *la minor*, który tak często powtarzała, ale z orkiestrą. Matka jeździła z nią na repetycje, a w dzień występu uroczystego, szewcówna wystroїła się jak margrabianka. Ojciec musiał kupić nie tylko suknię, trzewiczki i rękawiczki, ale jakąś bransoletę i szalik. A gdy świeża jak owoc pokryty pyłkiem dziewictwa, rumiana od wstydu, hoża z wesołością na ustach i w oczkach figlarnych, wystąpiła przed licznie zgromadzonych słuchaczy, zachwyciła wszystkich, powitano ją rzeszami oklaski, gdy koncert odegrała śmiało i czysto, zarzucano ją bukietami. Musiała później na domagania się powszechne zagrać jeszcze nokturn Field'a, i oczarowała nim zwłaszcza starych kawalerów. Ten pamiętny wieczór dał jej sławę i wielbicieli, panie nawet winszowały jej, ściskano biedaczkę, chwalono, zapraszano, dowia-

dywano się po cichu o pochodzenie prorokując sławę drugiej Szymanowskiej... Rózia pijana szczęściem swem powróciła do domu marząc w drodze świetną partję i los jakiś niespodziany. Konrad był naturalnie na tym koncercie i dopiero nazajutrz po nim raczył okiem pożądlivości i zaciekawienia rzucić na wirtuozkę, która teraz mniej ku niemu skwapliwie poglądała, bo jej się zdawało, że stu magnatów dobijać się będą o tę rękę, co takich umiała dokazywać cudów... Ale niestety! magnaci pozostali mytem!

Całym skutkiem tego sławnego koncertu, od którego datować poczęto, jak od nowej ery, wszelkie wypadki w domu pana Pilsucia, było to, że do dwóch czy trzech salonów zaproszono Rózię na wieczory, że dwie panie prosiły ją o lekcje, a starzy kawalerowie, gdy szła do kościoła gonili za nią i otaczali jej ławkę, przeskadzając się modlić chrypliwiemi westchnieniami zboliałych piersi.

Miedzy Rózią jednak a Konradem, bliższych nad owe oczne i ulicą przedzielone, nie było stosunków; oczyma mówili sobie wiele, spotykając się witali nieznacznym uśmiechem, głowy skinieniem, słówkiem urwanem. Konrad obawiał się pisać, a Rózia listu czekała, sama go zacząć nie mogąc.

Skończyło się więc na wejrzeniach, na wzajemnem szukaniu i częstych spotkaniach chwilowych; Rózia zaczęła grywać częściej melancholiczne nokturna, ostatnie myśli Webera i Beethovena, walc Schubert'a, Konrad częściej w domu i oknie przesiadywał. Śmieli się z niego towarzysze, że zszedł na romans z córką Pilsucia, ale on wypierając się i gniewając jak najmocniej, już cofnąć się nie miał siły — wejrzenie to grzało go jak promyk słońca.

Teofilowi szło najtrudniej i choć dawszy słowo, że na literaturze poprzestanie, dotrzymywał go, męczył się jednak widocznie. Napadały go zawsze paroksyzmy zapалу, to do muzyki, to do malarstwa, to do nauk ścisłych nawet — rozpoczynał dzieła olbrzymie, robił studia, ale najmniejsza trudność zrażała go, a żadnego

węzła rozwiązać nie umiając cierpliwie, wszystkie plątał i rzucał. Umysł jego czego nie pochwycił od razu, omijał, cofał się przerażony, a nie przemódł pracą wytrwałą nie potrafił. Widać już z tego było, że Teofil na świecie mógł odegrać rolę bardzo świetną, bo więcej umiał od ogółu, ale nie nie mógł dokazać wielkiego, dla braku wytrwałości i porządniejszych studjów. Tak się to przynajmniej wówczas zdawało, kochano go bardzo, ale zawczasu ubolewano nad jego losem.

Biedny Teofil kochał się trochę w Rózi, w Mani i Ziuni, w pannie Telesforze nawet i w Frani córce piekarza, jak w naukach i sztukach, to jest do pierwszej kwaśnej minki; miłość jego choć wybuchała gwałtownie, trwała krótko i przeradzała się w najzupełniejszą obojętność.

Dziwniejszem dla wszystkich było, że Baltazar zimny i wyrachowany w każdym kroku, chociaż tał się niezmiernie, zdawał się czuć skłonność ku Frani piekarzance hodować, czyniąc z niej pono ideał przyszłości, która dotąd obchodziła się bez niewiasty. Odkryto tę słabostkę podtatusiałego medyka przypadkiem, a Longin pierwszy ją wyszperał. Przechodząc koło sklepu piekarza, do którego jak się zdaje wstąpił w myśli kupienia bułek raz i drugi Baltazar, uczył się pociągnięty nieznany sobie urokiem, i coraz częściej go nawiedzał. Uważano, że niekiedy dłużej nad potrzebę zatrzymywał się na rozmowie z Niemeczką. Przyszedł w ten sposób do poufalej znajomości z piekarzem, odwiedzał go wieczorami i zastrzągał nie obraniając się namietności, której już skutki obliczyć wprzód musiał. Nikt mu nie mówił, że go odkryto i posądzano o widoki matrymonialne, on sam nie bardzo sobie może zdawał sprawę z tego do czego niebieskie oczy Frani łysinę jego doprowadzić mogły, ale nie zwyciężony rachmistrz, po cichu wszelkie możebności i następstwa przez *plus i minus* wcześniej wyrównować musiał.

Przeszły nareszcie te lata nauki tak skoro, tak niepowrotnie, że żal po nich zrodził się prawie z kłopotu, który je otaczał, a każdy uniósł wspomnienie drogie

choć maluczkie tych chwil uroczych młodości, spędzonych w gieldzie Teofila, w pokoiku Albina, na przechadzkach po okolicy, na dumaniu w ławce... jeszcze dziś każdemu z tych, co w tej uczcie uczestniczyli, te lata z takimi szczegółami są przytomne, jakby wczoraj dopiero za niemi zamknęły się wrota snów czarodziejskich. Trudno opisywać to życie bez wypadków, jednostajne, a jednak tak pełne zdarzeń pamiętnych, dla tych co niemi żyli; te drobnostki tak wówczas ważne, a dziś tak maluczkie przy poważniejszym i smutnem dalszych lat obliczu, co się cierpiało dla jednego zamkniętego lub przysłoniętego okienka, przez ostygnięcie przyjaciela, dla niedocieczonej jakiejś prawdy, z którą się umysł młody pasował i walczył daremnie... Z takich to żywiołów składały się lata nowicjatu, w których mało kto pomyślał i zatroszczył się tem, co po nich nastąpić miało.

Nareszcie wybiła godzina wyzwolenia, swobody, upragniona a straszna, z bijącym sercem każdy rzucił te sale spokojne, jeszcze drgające echem żywego słowa nauczycieli, żegnając je na wieki, wspaniałą Aulę, lektorja znane, w których każdy miał swe miejsce uprzywilejowane, gdzie widok każdego okna wyfotografował się w pamięci na zawsze... zrzuceno mundury uprzykrzone i nastąpiła stanowcza chwila rozstania.

Jakże się tak było rozejść smutnym nie podawszy sobie dłoni? nie pożegnawszy na długo, gdy serce mówiło przecuciem, że się w życiu nie spotka już może. Uczł nie było sprawiać za co, każdy wyjeżdżał ledwie popłacawszy długi i dłużki, mnóstwo jeszcze rzeczy potrzebując do domu, a nie było czem szafować tak bardzo; więc po staremu towarzysze dali sobie słowo zebrać się na ostatni wieczór u Teofila Sorokowskiego, który przyobiecał herbatę, kasztany, kotlety, krem nawet od Malinowskiego i pieczeń ciełącą, a cybuchów ile ich będzie potrzeba...

Nie był tu już ów wieczór gwarny i wesoly marzeń i spowiedzi jakimś opisali; każdy na ramionach

przynosił troskę jakąś, wszyscy zebrali się smutni, jakby wczesnem przecuciem zawodów przyszłości. Może i rozstanie to nagle po tylu latach przyjaźni, po przywyknienu do wspólnego życia, rozerwanie tego węzła, który ich łączył, wpływało na pochmurzenie czoł troską jakąś zoranych. To pewna, że w znanej salce Teofila zebrawszy się jak dawnej, nie znaleźli w niej swobody i wesela, które tu dawnej mieszkali. Sam gospodarz był pochmurny i z żalem opuszczał Wilno pakując nuty, rysunki, rękopisma pozaczynane, poczęte zbiory naukowe, tysiące gratów i fraszek, których miał do zbytku; — powitał przybywających westchnieniem, ściśnieniem ręki milczącym i prawie lżąc w oku.

Jeden Cymbuś na przekor wszystkim jaśniał, śmiał się i z niezmysłoną radością krzątał się żwawo jak nigdy, mając powrócić do domu i spocząć na laurach wspomnień! Krzyczał głośno, potraçał wszystkich, trzpiotał się nieborak i nie ukrywał z tem, że opuszcza Wilno bez najmniejszego żalu.

Tak zwani przezeń panicze nie dzielali wcale tego uczucia zwierzęcego, każdy tu coś zostawiał, ten częśćkę serca, ów złudzenie, inny nadzieję lub pierwszy zawód w życiu, a wszyscy wspomnień wiele, tych mogilek ducha! Przywiązujemy się biedni wygnańcy nawet do bruku, po którym chodzimy.

Wieczór, mimo skromnych obietnic herbaty, kasztanów i wieczerzy od Malinowskiego, obiecywał się świetniej niż kiedykolwiek, pokój był świeżo umięciony i jedna tylko wytrzęśniona w pośrodku fajka kałała czystą podłogę służąc do wybitniejszego ukazania jej świetności. Samowara pożyczono u gospodarzy, większego niż zwykle, nie tak krzywo wyglądającego jak codzienny, który już gdzieś spoczywał w kątku zapomniany niewdzięcznie. W kącie była masa imponująca talerzy i widelców, a kasztany piekły się w piecku na wielką skalę... jak przy uczcie Baltazara... W dodatku był wielki koszt pomarańcz.

Ale to wszystko teraz już rozweselić nie mogło, rozchmurzyć nie potrafiło. Na twarzy Serapiona zawsze

pokrytej jednym wyrazem rezygnacji spokojnej trudno coś było nad nią wyczytać, ale postawa zdradzała bolesną tęsknotę. Jeden Albin był weselszy, choć tracił przyjaciela, który go miał tylko na pół drogi przeprowadzać, spodziewał się przybliżyć do Anusi, do matki, do ukochanego kątka, do gniazdka przyszłej szczęśliwości.

Longin już był po cywilnemu i rozpoczynał jakąś dependencją u mecenasa, a że mu się tak udało zaraz wpaść na drogę, tryumfował niezmiernie, śpiewał fałszywie a głośno, chodził zagłębiany w siebie, niekiedy milczenie przerywając homerycznym śmiechem, a mimo to jednak i w tem sercu samoluba odzywała się tęsknota po latach w kółku młodem przeżytych.

Cyryll nie wiedział co z sobą pocznie, ale miał pozostać w Wilnie z nadzieją otrzymania jakiejś profesorskiej posady, ku czemu dopomagał mu drugi taki jak on biblioman, stary poczeiwy nauczyciel, zawdzięczający mu dokompletowanie *Ogrodu Królewskiego*, którego trzy karty niedostające gdzieś dlań Cyryll wyszperał. Taka usługa obowiązywała do wiekistej wdzięczności.

Bardzo wielu pozrzucali już byli mundury akademickie, które im jak ołowiane okowy ciążyły na ramionach, a Konrad jeden z najpierwszych przebrał się w tużurek czyniący honor najpierwшему wówczas wileńskiemu krawcowi; było to w swoim rodzaju arcydzieło kunsztu; króciuchny przyodziewek podbity lekką jasną materyjką, leżący jak ulany i malujący zgrabną figurkę ze wszystkimi jej wdziękami zaokrągłeń, wypukłości, obłaczystości i t. d. Cudo to widocznie przeznaczonem było na wieś, do kościoła parafialnego dla upokorzenia i zdumienia wiejskich lwów, którym domowy Lejzerek szył kapoty pod pozorem surdutów.

— Ha! pamiętacie panowie, odezwał się Longin, ów wieczorek nasz u Teofila... *quondam* w czasie pierwszoletności, gdyśmy się tu z niedorzecznych marzeń naszych naiwnie spowiadali? Otóż przebieżona droga, która wiodła do drzwi tego upragnionego żywota — stajemy u nich, trzymamy za klamkę, chwila jeszcze, a bramy

otworzą się na oścież przed nami. Czy dziś jeszcze też same mamy w piersi pragnienia i żądze? czy też samą w sercach odwagę?

Baltazar westchnął nieznacznie — obejrzał się po drugich, — nikt nie miał dawnego humoru, swobody, czuł każdy że się zamykała ważna życia epoka, a rozpoczynała nowa, do której tamta była tylko przygotowaniem.

— A jednak to smutno, rzekł stary, nawet z biedą się rozstawać! Cóż to za dzieciinne uczucie? już ciż gorzej nam być nie może, zyskujemy swobodę, a przecież jakoś mimowolna tęsknota ogarnia na rozjezdne; człowiek jest zaprawdę niepojętą istotą.

— Może nie jeden z nas lęka się dziś przybliżając do krańców, czy przeszłość mu dług obiecany wypłaci, rzekł Albin.

— Tak, a rozpoczęcie walki, dodał Longin zakładając ręce w próżne jeszcze kieszenie — to także nie wesola rzecz, boć to nie co innego tylko trąba, gra do boju i wybieramy się iść na ostre walczyć ze światem.

Konrad poświstywał, ale jakoś melancholicznie, jakby z nokturnu Fielda.

— Nawet Konradowi, rzekł szydersko Macedo, przeznaczonemu do wielkich powodzeń na woskowanych świata posadzkach, zbrojnemu w długie już balowe doświadczenie, przysięgnę, że smutno opuszczać okno, z którego na Rózię poglądał i słyszał srebrny jej głos. Prawda, że ni mniej ni więcej szewcówna, bardzo ładne dziewczę.

Konrad się zarumienił jak jabłko.

— Ale dajcież mi pokój! krzyknął opryskliwie z oburzeniem — a co mi tam wasza Rózia!

— Naturalnie, to było tak sobie tylko dla przepełnienia czasu, jak P. Baltazar zachodził czasem do piekarza, ale...

Baltazar wstał z sofy zaperzony.

— Takżeście znaleźli mnie czem prześladować, dziewczyną!

— Ludzie są tak złośliwi, dorzucił Hruszka, im aby

pozór tylko.

— Ale gdzież podobieństwo? ja? cóż znowu!

— Są gusta różne, podchwycił Longin, a kto lubi świeże bułki, może pokochać tę co je sprzedaje; zresztą i to dziewczę niczego, a bardzo stateczna, śmieje się tylko do dwuzłotówki, nigdy do człowieka...

— Co do mnie, rzekł Albin powoli, nie żał mi żadnej twarzy, bo jedną tylko wyrytą noszę na sercu i myśli; nie żał mi miasta, choć to kolebka długich marzeń moich, — żał mi was przyjaciele dobrzy, nad których wierniejszych i życzliwszych nie da mi życie — gdzie takie serce znaleźć jak Serapiona, Teofila, Konrada, was wszystkich? gdzie takie życie jakiegoś tu pędzili z dłonią w dłoni? A! smutno pomyśleć, dodał, — że gdy nas rozpędzi żelazna różga konieczności, już się może nigdy a nigdy nie spotkamy w życiu!

— Góra z górą się nie zejdzie, mówi przysłowie, a człowiek z człowiekiem.

— Szkoda że sobie powiedzieć nie możemy... ot za lat tyle i tyle... zjeżdżmy się znowu i spojrzymy sobie w zbłądłe twarze...

— Prawda! jakby to było ślicznie, dodał Teofil chwytając myśl dramatyczną, wiecie w bajce o królewiczach, jak to tam oni zawsze żegnają się na rozstajnych drogach, i podają sobie dłoń, i przyrzekają za lat tyle a tyle w temże miejscu na dzień naznaczony się stawić.

— Doprawdy! a co za myśl szczęśliwa! gdybyśmy sobie co podobnego przyrzekli, zawołał Albin.

— No! a dla czegoż nie? podchwycił Teofil — pomyślcie tylko... ja się z góry piszę...

— Myśl święta! myśl cudowna! zawrzał znowu Albin... Panowie! wzywam was wszystkich do wotowania na nią. — Jaką sobie zakresłamy datę?

Longin się uśmiechnął.

— Prawda, rzekł, spowiadał się tu przed sobą z nadziei naszych przed kilką laty, powinniśmy, gdy się te ziszcą, pochwalić wytrwaniem i skutkiem. Ale to tak rychło nastąpić nie może.

— No! więc kto żyć będzie za lat dziesiątek.

— Ale gdzież znowu! za piętnaście chyba, — rzekł Baltazar.

— A ja mówię za dwadzieścia, zawołał Teofil, daleko to i kto wie czy dożyjemy tej epoki, ale kto z nas żyw na świecie się znajdzie, czemużby nie miał przybyć do Wilna na ten sam dzień, w którym się rozstajemy, abyśmy spojrzeli sobie w oczy i zobaczyli, co z nas też zrobiło życie.

— Niezmiernie poetyczny i młody pomysł — rzekł Baltazar kręcąc głową — ale doprawdy uśmiecha mi się... za lat dwadzieścia! co to z nas będzie? kawał czasu... z niejednego strzępki ledwie zostaną.

— Brawo! wołał Konrad, za lat dwadzieścia! dziś który lipca? piętnasty? dajmy że piętnasty. Wotujemy więc i poprzysiegamy, po upływie lat dwudziestu tych zebrać się tu na Łotoczek, na godzinę szóstą wieczorem, i ci co żywi będą uściśną się a za umarłych nabożeństwo odprawimy.

— Ja mam nadzieję że wszyscy żywi tn staniemy... zawołał Longin, jak wyglądać będziemy nie zaręczam, ale któżby u licha mizernych lat dwudziestu nie miał w młodej kieszeni?...

Teofil zatarł ręce z radości.

— Potrzeba spisać urzędownie protokół na tyle rąk ile nas tu jest i poprzysiądz spełnienie tej cudnej myśli... Panowie! zawołał z zapalem — słowo! słowo! i jakeśmy wówczas spowiadali się tu z nadziei i marzeń, wypowiadamy się z życia i ich spełnienia, z jego zawodów i boleści... A zatem, wszyscy przyjmują? nie ma więc opozycji?...

— Ja, rzekł Baltazar poważnie, wotuję tylko paragraf dodatkowy, że ktoby nie mógł dla przeważnej przyczyny znajdować się na umówiony czas w miejscu oznaczonym, przysłać nam spowiedź, to jest *curriculum vitae* na piśmie... mogą być wypadki, potrzeba obmyśleć wszystko.

— Zawsze z rachunkiem! rzekł Longin... ale dotrzymajcież słowa.

Podniosły się ręce wszystkich i żywy okrzyk za-

świadczył jak gorąco przyjętą została ta propozycja, która dawała w przyszłości nadzieję uściśnienia ręki przyjaciół raz jeszcze...

Dla tem większej pewności, że się przyrzeczenia nie zapomni, każdy z nich wypisał zredagowany przez Teofila artykuł i włożył go z datą, dniem i godziną przyszłości do pugilaresu.

— A zatem, do zobaczenia... za lat dwadzieścia!... uśmiechnął się Longin, radbym z góry wiedzieć kto przyjedzie karetą a kto z nas przysunie się piechotą.

— A jabym rad przeczuł, dolożył Albin — kto z nas tu tylko przywedruje tęsknym duchem z za mogiły... bo śmierć nie oszczędza i tych co są słowem związani.

Rozmawiano tak długo jeszcze, ale powoli wszyscy prawie nagleni wyjazdem i mnóstwem zajęć pilnych, wymykać się zaczęli po wieczery, którą gospodarz bacznym przypieszyć kazał, tak że Teofil, Albin i Serapion zostali sami... I tym wkrótce słów zabrakło do rozmowy, tak jutrzejsza przyszłość ciążyła już na sercach wszystkich.

O samej północy wstali z sofy ostatni i podając ręce Teofilowi, który zasmucony łzy miał w oczach, rozstali się z nim powtarzając po cichu:

— Do widzenia! do widzenia za lat dwadzieścia!

Koniec części pierwszej.

CZĘŚĆ DRUGA.

Vulnera vitae.

Lucretius.

Nazajutrz ledwie ślady pozostały po dawnych kilkoletnich Łotoczka mieszkańcach, okna Konrada stały otworem szeroko, odarte z firanek jak po pogrzebie, — u drzwi wisiała świeżo przyczepiona tabliczka z napisem:

Do najęcia.

a piękna Różia siedziała na przeciwko, zapłakana, smutna po świeżem jeszcze pożegnaniu... W innych mieszkaniach widać było to krzątanie się żywe, pakowanie, to przybory do wyjazdu — bryki stały w ulicy u bram, ludzie wynosili rzeczy, starzy sąsiedzi przypatrywali się ciekawie. Teofil smętny siadł do powozu za łzą w oku nie widząc nikogo, choć kilka dłoni wyciągnęły się jeszcze ku niemu i drżące głosy powtarzały ze wzruszeniem:

— Do zobaczenia! do zobaczenia kochany!

Dziwne słowo którem się człowiek pociesza, choć nie wiem czy każdyby je wymówił, spojrzawszy w przyszłość, tak dlań jutro i to co zobaczy niepewne...

Strachem przejmują wyrzeczone — do zobaczenia, gdy pomyślemy o człowieku — jest ono jakby wyzwaniem

niem zuchwałem, któremu najczęściej jutro urągowskiem odpowiada.

Cóż mówić o tych śmiałkach, którzy szydząc z przyszłości, rzucali sobie słowo — do zobaczenia! przez głowę lat dwudziestu, gdy nikt niepewien co się z nim i za dwadzieścia minut stanie?

I cicho korytem zwyczajnem popłynęło życie, rok za rokiem pociągnęły się nieliczone lata — szybko, powoli, a czasem, w pośród zaprzątnień powszednich, któremu z towarzyszków przypomniła się dana obietnica, termin ów dwudziestoletni, uśmiechnęła myśl zobaczenia znowu tych z którymi się rozstało w rozkwicie nadziei, i przechodziła jak sen stary...

Każdego z nich porwał wir i uniósł w swoją stronę, tak że wzajem stracili się z oczów, rzadko nawet dowiadując o sobie, a spotkanie za lat dwadzieścia, miało być dla nich nie już starych przyjaciół ale nowych ludzi spotkaniem! Komuż z nas życie dozwoli być tak logicznym, aby po latach dwudziestu stał się tylko dalszym ciągiem tego, co obiecywała młodość?

— Co też on zrobił? jak mu się powiodło? doszedł-li czego pragnął? mówili sobie czasami i nieraz opowiadając dzieje wesołe akademickiego żywota przed bliższymi, wspominali im o tym terminie i słowie danem sobie uroczyście, a w miarę jak ta data się zbliżała, nie raz uśmiechnęły się ich usta jakąś błogą nadzieją.

— Ale czy dawna swoboda i wesele odrodzić się mogą choć starzy ludzie spotkają się z sobą? będziez to też samo?

Stanąż wszyscy na stanowisku?

Nareszcie jak wszystko w świecie, przyszedł ów 15. lipca 18... roku i o godzinie szóstej, w pogodny dzień letni, z różnych stron kilku ludzi kierowali się powoli ku środkowi uliczki Łotoczka.

Z miny ich i oczów znać było że już zaledwie sobie przypominali miejscowość, że ich zastanawiały co krok jakieś niespodziane zmiany, że się kierowali z trn-

duością startem wspomnieniem, nie mogąc wynaleźć na jawie tego co się im żywo jeszcze malowało w sercu, jakoś dziwniej, poetyczniej, inaczej.

Uliczka zdawała się im ciasna, brudna, domki małe, horyzont szczupły, okolica smutniejsza, wszystko zbiegnięte i skrzywione. Dwadzieścia lat nosili ten obraz w duszy, nie dziw że tam wypiętnowany na tle jej jasnym nie zgadzał się ze spłowiałą rzeczywistością; że rzeczywistość ta którą opromieniało wesele młodości, postarzała teraz i zdrobniała w znużonych oczach...

Pierwszym z tych wiernych słowu przybyszów, który stanął przed domem dawniej zajmowanym przez Teofila, był człowiek twarzy zmęczonej, ale nie stary, chudy, nieco łysy, z wejrzeniem smutnym i zobojętniałem. Na jego licu wczesnie pomarszczonem, łącno było dostrzedz blizn dusznych, tych *vulnera vitae* Lukrecjusza, które z nas każdy nosi na sercu i duszy. Iza wstrzymywana wilżyła mu powieki, drżały wargi a podniósłszy ku oknom oczy, zagłębiwszy je w ulicę, zapatrzył się długo i tęsknie, jakby pytał:

— Czyż nikogo? nikt-że nie przyjdzie? samże odejdę nie poczuwszy dłoni przyjaciela, nie powitawszy w nim pamięci lat moich drogich? A złote to były lata!

Wtem oglądając się wkoło i szukając dawnych śladów, naprzeciw siebie dostrzegł zbliżającego się wolnym krokiem z wejrzeniem wlepionem ciekawie, mężczyznę, na którego widok uderzyło mu serce. Oba zmierzyli się bacznie oczyma, nie dowierzając oku... z obawą, z nadzieją; — zbliżający się zwalniał kroku, pierwszy stał nieruchomy.

Drugi ten był spokojnego oblicza, bladej twarzy, podstarzały człowiek, a po długiej czarnej sukni poznać w nim było łatwo duchownego — kij miał w ręku, maleńką książeczkę pod pachą, szedł powolnie nie spiesząc się, rozglądając bez smutku ale z zajęciem, oczy jego uśmiechały się z wyrazem wielkim słodyczy i dobroci.

Chociaż i na tem obliczu spokojnem życie wyryło pietna swych sponów, znać było że rany tu zgoiła i zatara jakaś siła nadziemska, a teraz pogoda panowała

na twarzy poważnej, ulagodzonej, promiennej i czystej jak niebo letniego wieczora. Jakaś aureola świętości opasywała tę skroń wyschlą ale nie pomarszczoną, oczy wyplakane a nie zgasłe, usta w których boleść mieszała się z uśmiechem wyższych już nad ziemskie nadziei.

Ci dwaj ludzie najpierwsi spotkali się u wrót domu, a Teofil poznał w duchownym Serapiona, którego rysy młodzieńcze widać jeszcze było w twarzy już ostygiego i dojrzałego człowieka. Mimo lat i cierpienia, jeszcze w nim coś dotąd młodzieńczego dotrwało.

Teofil daleko więcej się zmienił, a choć wiek nie odebrał mu uroku jaki miało pocziwe oblicze, znać w nim było że z duszy starły się ideały, jak z rysów świeżość lat pierwszych; — każdy fałd i marszczka zdawały się pamiątką jakiegoś cierpienia, a włos już się zawczasie srebrzył na skroni.

— To ty Serapionie?

— Teofilu? tak jest. Teofil! rzekł poznając go po głosie duchowny — i uścisnęli się serdecznie z tak żywym uczuciem jak przed laty dwudziestu. Była chwila długa wymownego rozrzewnienia, która spoila wspomnienie dawne z dniem dzisiejszym.

— Jakżeś się biedaku odmienił! zawołał Serapion — mój Boże, jak ciężko wyryły ci się na twarzy boleści żywota... cierpiełeś mój drogi? o! mów!

— Któż z nas nie cierpiał! dola to nasza! rzekł spokojnie i prawie wesoło Teofil — ale za wiele płaci chwila teraźniejsza — a ty? twoja twarz spokojna... dodał Teofil — tyś szczęśliwy, ta suknia.

— Ona ci powie wszystko! jestem sługą Bożym... jak widzisz, odpowiedział Serapion, powołał mnie Pan, a przyszedłem tu z tą samą starą Ewangeliczką, z którą życie rozpoczynałem w poniewierce i utrapieniu. Niosę ją na świadectwo mojej zgody i jedności z dawnym Serapionem, bałem się, że może wy we mnie nie uwierzycie... Ten sam jestem, bracie! ale gdzież reszta naszej gromadki?

— Wyznam ci, że i ja niespokojny, rzekł Teofil, z żywym uczuciem spieszyłem tu na miejsce spotka-

nia — nikogoż więcej, my dwaj tylko z ośmiu sprzy-sięzonych?

Obejrzeni się oba, a wtem trzecia postać, z razu nieod-gadniona i obca, powoli się ku nim przysuwać zaczęła.

Był to człowiek nie stary jeszcze ale zszargany, bez zębów, przygarbiony nieco, żółty, a na lysej głowie jego, którą odkrył dla gorąca, trochę poprzczesywanych włosów okrywały czaszkę ciasną i lśniącą. Po oczach sko-szonych już niestety niewątpliwie, choć je nabrzmiało i zaczerwienione okrywały powieki, poznać tylko było można elegancika Konrada.

Zresztą, mimo zawczesnej starości i strój i mina wpatrzywszy się, przypominały owego strojnisia rumia-nego i białego, dziś jeszcze ubranego z pewną preten-sją, wyświeżonego, choć poważniej nieco, ale zawsze niezapominającego o sobie.

Konrad miał minę jakby nie z dalekiej drogi, ale z drugiej ledwie przybywał ulicy, ubiór miejski, laska w reku z wspianiałą rzeźbą, wystawującą nagą kobietę i tabakiereczka złocista, buciki lakierowane, strój letni bardzo wygodny, dawały mu pozór odróżniający go od opuszczonych trochę wieśniaków.

Tabakiereczka malutka i skrywana starannie kazała się domyślać, że tabaki używał tylko jako lekarstwa od bólu i zapalenia oczów... może dodatkowo jako do-brego środka pochwalenia się przy zażywaniu parą pierścieniami, które dźwigał na wychudzonych palcach.

Człowiek ten nie tyle się jeszcze zmienił jak ogro-mnie postarzał, — ostrożnie ujrawszy dwóch rozmawiających, przybliżył się do nich, spojrzawszy na złoty zegareczek wskazujący szóstą godzinę i poznawszy na-przód Serapiona, z przesadnymi ruchy radości i za-chwyty podał mu rękę, wykrzykując:

— Ojciec Serapion! to wy?... a! i pan Teofil?!

— Jak się masz?

— Jak się macie?

— Otóż i zjedzonych lat dwadzieścia... za drugie tyle dać sobie możemy *rendez-vous* na cmentarzu, a żaden pewno nie chybi, gdy tu jak się zdaje coś nas będzie

podobno nie wielu.

Wtem od strony miasta powóz zatętniał na bruku, wszystkich oczy zwróciły się ku górze, a gdy się zbli-żać począł, w oknie pięknej karetki podróżnej ukazała się głowa mężczyzny, której z razu nikt sobie przypo-mnieć nie mógł. Może te ramy karety niespodziewane, w których wcale innej wyglądał twarz, dziwnie od-bijając od rysów, nie dozwoliły poznać w przybliżają-cym się skromnego i cichego Cyrylla.

Możnaż się było domyślać ubogiego bibliofila, dzie-cię plebanji wiejskiej, w człowieku co tak po pańsku przybywał w karetkie angielskiej na miejsce, z którego wyszedł ze skromnym tłumoczkim piechotą?

O kilka kroków od domu, przed którym stali towa-rzysze dawni, zatrzymał się powóz, otworzono drzwiczki i Cyryll wysiadł powoli, a chwilę popatrzywszy, zbliżył się ostrożnie do kupki rozmawiających, których z żywą ale bojaźliwą powitał radością. I w jego oczach łzy stały.

Ścisnęli się i ucałowali po staremu, a w wejrzeniach wszystkich pełno było pytań i ciekawości — coż kiedy już życie nauczyło ich nie wylewać się tak żywo jak przedtem, nie spowiadać tak otwarcie... Nie śmieli py-tać... usiłowali odgadywać.

— Otóż i po latach dwudziestu! rzekł bibliofil wzdy-chając — patrzcie co za odmiany na mnie pierwszym.

— A prawda że zmiany, rzekł Konrad, Teofil błady i smętny, ja łysy i bez zębów, Serapion z medyka księdzem...

— A Cyryll w karecie! dodał sam bibliofil i smutnie westchnął machając ręką wydelikaconą i białą.

— Większe jeszcze zmiany w sercach, rzekł po chwi-li — gdzie ta nasza swoboda, wesele, nadzieje... mój Teofilu! gdzie błogie marzenia nasze...

Fugaces labuntur anni!

Łacina tylko jedna, jak widzicie, ze starych rupieci została...

Mówił jeszcze z wyrazem łagodnej jakiejś tęsknoty, gdy z drugiego końca Łotoczka ukazała się postać,

w której na pierwsze wejrzenie nikt się ani mógł domyśleć starego znajomego i towarzysza. Człek to był dosyć wysokiego wzrostu z głową do góry zadartą, z sekowatym kijem w rękę, wyglądający na oszarpanego żebraka, w którego stroju i postawie mimo zuchwalstwa z jakim je dźwigał jeszcze, było coś znękanego ciężką niedolą... Ubiór jego zaniedbany był i brudny, podarty i stary, choć starannie pokrywający nędzę, która przezeń wyglądała widocznie. Na szyi miał chustynkę czarną, zdartą w szmaty i przekreśloną węzłem na bok, z pod której nie koszula ale goła szyja, wyschła i pomarszczona wyglądała, — na nogach buty wykoszlawione, spodnie wyszarżane i krótkie, na sobie surdut z powydieranymi guzikami, czapkę otłuszczoną, a cała figura zdala trąciła szynkiem i nędzą straszliwą.

Pomimo widocznego upadku, może z powodu właśnie, że się czuł poniżonym, człowiek ten nadrabiał miną szyderską, zdając się uragać światu, losowi i ludzi wyzywać — uśmiechał się gorzko a bezczelnie, stapał zamaszysto i śmiało, niekiedy podnosił czoło chmurne, i usta jego krzywiły się uśmiechem przerażającym.

Strój i charakter jaki miało to zjawisko, odpychały od niego, nieszczęście bowiem, którego szpony widne były na nim, nie wyuczyło pokory, a wywiodło tylko na wierzch co wewnątrz leżało skryte — nienawiść i wzgardę ludzi, lekceważenie ich i zazdrość; w oczach zakrwawionych nie było łez, ale ogień jakiś złowrogi.

Pierwszy Cyryll poznał w tym żebraku Longina, inaczej Aleksandra Macedońskiego, co miał świat zdobyć silną prawicą, a przez lat dwadzieścia nawet pary butów nie wywalczył. Ale walka ta bezowocowa nie zła mała go jeszcze, był w nim jeszcze ten sam, co przedtem, niepohamowany zuchwalec, nielitościwy szyderca, nieuleczony i cyniczny samolub.

— Otóż i ja jestem! — rzekł nadrabiając fantazją niezręczną i zdejmując czapkę, a oglądając się ciekawie po towarzyszach.

— Fiu! fiu! dodał, jeden z panów karetą! — Któż taki? Konradzik pewnie!

— Nie, Cyryll!

— Co? Cyryll! nie do pojęcia! on! w karecie a ja bez butów lub przynajmniej bez podeszew, rzekł szydersko — otóż to los głupi! — Rozśmiał się sucho, straszno i splunął.

— Prawda, kończył, żeście się panowie tak Longina zobaczyć nie spodziewali, ale i ja mógłbym być zajęchać przed was karetą, gdyby nie bestje te! wrogi moje! Tylko że między nami nie koniec jeszcze...

Towarzysze wszyscy nań spojrzeli z jakąś obawą i wstrętem, ale on, czy tego nie dojrzał, czy nie uważał, czy widzieć nie chciał, podparłszy się na kiju ręką pod bok założoną, pozostał nadrabiając miną i wesołością bolesną.

Szczęściem drażliwe to położenie przerwało zjawienie się nowe człowieka, którego równie trudno było rozpoznać jak Longina. Był to mężczyzna okrągły, pulchnutki, z twarzą księżycowej okrągłości białą i rumianą, żywo toczący się ku gromadce stojącej na Łotoczku, który zasapany przybiegł otwierając oczy i ręce, gdy poczał rozpoznawać starych swych towarzyszków. Któżby w tym kraglutki, podtuptanym już pieszczoszku domyślił się czulego Albina, żyjącego promieniami księżycy, karmiącego się westchnieniem? Serce tylko w nim jak przedtem pocziwe zdradził pośpiech z jakim przybiegał, zapal jego i lzy serdeczne na widok starych przyjaciół.

— To nasz kochany Albin!

— Jak się masz Fijolku! ale zaprawdę na pełną przerosłeś Lewkonję!

— A już ciem to ja! ja sam! moi drodzy, a! jakżem szczęśliwy... Niech-że was uścisnę, niech się napatrzę, nacieszę... Oto chwila oczekiwana lat tyle... oto upragnione spotkanie... Iluż nas tu jest? liczymy się, godzina szósta, kogo nam jeszcze brakuje, zmówiemy przynajmniej Anioł Pański za jego duszę...

— Jordana i Baltazara.

— Wątpię, żeby ci już przybyli! zresztą, któż to wie? przyszła może lub dadzą znać o sobie, rzekł Lon-

gin... Oba żyją, Baltazar nawet być tu musi, a w razie niestanności, ja się obowiązuję obu *curriculum vitae* przedstawić.

— Ale cóż tak *sub Jove* stojemy? zapytał Cyryll, nie lepiej by się gdzie schronić?

— Prawda! chodźmy więc pod dach, kochani towarzysze, przerwał Albin, — bo na ulicy już i tak ścigamy oczy, a Łotoczek mało potrzebuje na to, by spokój jego został przerwany — szanujmy obyczaj miejscowy. Szkoda, że nie ma do wzięcia mieszkania Teofila, dałbym za to wiele! jakby tam dobrze nam było! Jakby się żywo przypomniały stare dzieje i dawne a lepsze czasy! Ale tam dziś magiel stoi! praczki z żołnierzami rozwieszają białiznę, sprofanowano *caenaculum*!

— Prosiłbym was do siebie, rzekł nieśmiało Konrad, ale potrzebuję wprzód żonę przygotować.

— Dajcież pokój żonom! a ty tu mieszkasz?

— Lato zwykle przepędzam na wsi, ale dotąd nie wyjechałem, oczekując na was umyślnie.

— Żona twoja byłaby dla nas uciążliwym świadkiem, przerwał Albin, a ja już pomyślałem o wszystkim. Musicie się dać zaprosić na dziś do mnie, jam tu gość, stanąłem w domu Podbipięty i zająłem umyślnie jak najobszerniejsze mieszkanie... Do mnie więc na herbatę, wieczór i... na co chcecie!

— Jąbym was zaprosił do siebie, rzekł Cyryll ostrożnie oglądając się na Longina, ale...

Spojrzenie jego bardzo się tłómaczyło tą postacią, którą do porządniejszego domu trudno zaprawdę było wprowadzić.

— Ale... mówić nie daje... tylko zabieram was wszystkich na dziś, krzyknął Albin, pożegnajmy łąką pocziwy nasz Łotoczek, *angulus ridens* i chodźmy wieczór spędzić po staremu... każdy z nas znajdzie co powiedzieć... historia lat dwudziestu!

Ruszyli się wszyscy oglądając i uśmiechając wspomnieniom, które się co krok nastreczały.

— Gdzież się to podział ów szyld wspianiały, bóg złości i obowie w obłokach starego Pilsucia? zapytał

Albin... a Rózia, Konradzie?

Konrad się zmieszał widocznie i zarumienił.

— Wszystko to się powoli wyjaśni, rzekł tajemniczo i niewyraźnie.

— Prezydentostwa z Manią i Ziunią ani znaku ani slychu, piekarz także emigrował ku cieplejszym krajom, a rzeźnik ze świnia złotą zajął jego miejsce. Wawrzyńcowy loszek zajmuje jakaś nieznajoma jejmościanka... wszędzie świat nowy...

— A myż nie nowi? zapytał Cyryll.

Mortalia facta peribunt...

spiewa stary Horacy

Multa renascentur quae jam cecidere cadentque

Quae nunc sunt in honore...

— Niewierna cytacja, boś ukradł *vocabula*, dołożył Teofil po cichu.

— A! lat dwadzieścia! wiek cały! co za zmiany, przerwał Albin, ludzie, miasto, mury, powietrze zdaje się inne...

— Nie, ale te piersi, któremi je czerpiemy, zmieniłone, w nich to zmiana największa!

— A wszystkie te metamorfozy, rzekł Longin, którego postać i strój dziwnie odbijały od towarzyszków, choć bardzo poufale się z nimi obchodził — głupie i niepojęte; Cyryll w karecie, Albin różowy i tłusty, Konrad bez zębów i żółty, ja bez butów i głodny, a co gorzej spragniony.

— *Audaces fortuna juvat!* mówiłeś dawniej, podchwycił Konrad — a tu się pokazuje, że raczej...

— Stój! nie kończ, zawołał Longin, jest druga mąksyma, której mnie dłuższe nauczyło życie, że fortuna jako panna, (choć się z nią codzień tyłu żeni), kocha nadewszystko... (odchrząknął), ale wolę niekończyć bo- byście się wy co w bótach chodzicie pogniwać mogli. — Ja nie miałem się jej szczęścia podobać, ale zje licha! prędzej, później moją być musi, wiem ja, że się jej gwałt zadać musi... Cierpliwości! wrogów pokonam i boby za kolana sobie sprawię!

W chwilę potem wszyscy towarzysze siedzieli w jednym z pokojów zajętych przez Albina, służba jego krzątała się około herbaty. Z mieszkania choć najętego na krótki czas tylko, z tego co otaczało Albina wnosić było łatwo o jego położeniu i upodobaniach eks-Fijołka, zmianach, jakie w jego charakterze zajść musiały i przywyknienu do gnuśnego a wygodnego życia. Dwór wyglądał bardzo pańsko i znamionował człowieka co dba wielce o powierzchowność, ale więcej jeszcze o to, by mu na niczem dla rozpieszczonego ciała nie zabrakło.

Tyle przyborów różnych otaczały Albina, żeby ich i na sześć osób wystarczyło, w domu nie w drodze, każda z tych rzeczy była wyszukana, dobrana, wykwintna, patentowana i najwytworniejsza. Ogromny kuferek angielski ze srebrami na kilkanaście osób, wina, pasztety, ciasta, wszystko to znajdowało się w podróznym furgonie Fijołka. Nakrycie oznaczało dwór na stopie pańskiej i z wielkim urządzony przepychem, srebra, szkła, porcelany wszystko było herbowne, poznaczone koronami hrabiowskiemi, nad połączonemi godłami dwóch szlacheckich rodzin...

— Oh! mój Boże, jakże to daleko dziś do naszego samowarka kulawego! zawołał Teofil poglądając do koła — gdzie nasze stare pootłukane szklanki, owe pogięte łyżeczki służbowe, które powysługiwały emeryturę, i owe drewniane kijki do miészania herbaty wynalazku nieoszacowanego Cymbusia — gdzie te naczynia wyszczerbione, z których się pilo nadzieję?

— Tam gdzie i nadzieje! poszły *ad patres*, to jest na śmiecisko, odparł chmurno Longin, rozsiadając się w krześle z tem więcej rażącą poufałością, im dziwniej wśród otaczającego zbytku, jego żebracza wyglądała postać — wzdurliwie a szydersko poglądając na bogactwo i wytworność Albina. — Tak! moi panowie! Aleksander Macedoński bez bótów... a może bez koszuli! cha! cha! cha!

Ten zwrot ciągly i egoistyczny ku sobie, ostudził wszystkich do reszty.

Cyryll stanął przed nim z politowaniem wrytem na twarzy.

— Któż z nas nie cierpiał i nie cierpi Longinie, rzekł poważnie, trochę z winy swej, trochę z woli Bożej, ale nikt się nie skarży... nie umiesz znosić...

— Tak! ale każdy bo z was ma choć chleba kawałek, każdy się tam czegoś dobił — a ja! ja! rozśmiał się gorzko — nędzy! ale to nie! Chwilowa przygoda, nie skwitowałem z życiem i w łeb sobie nie wypałem, wolałbym komu innemu... zobaczycie co koniec pokaże... pogrzebie nieprzyjaciół... zwyciężyć muszę i zwyciężę.

— E! gdyby tu była wódka! przerwał nagle — spluwając na wspomnienie ambrozji — nim wam tam te ciepłą wodę zagrzeją, napiłbym się gorzaliczy — Hej! hej! kolego Albinie! aquavity, przyjacielu!

Zeschle wargi, oczy czerwone, jakiś wyraz nie nasyconego pragnienia, dawały poznać, że Longin wpadł w natóg z rozpacz, nie czas go było nawracać, Albin pośpieszył i kazał podać wódki. Ale u niego i wódka jaką on przyjmował wcale inną była niż ta, do której przywykł biedny pijak uliczny.

Albina kantyna zawierała: Cognac stary, Ginn, Kirsch przedziwny, a na poobiedzie likwory Wyp i z Bordeaux, brakło mu tej siwuchy pocieszycielki, którą się zalewał Longin, co mu się najlepsza zdawała. Na widok karafek podrózných kryształowych, ich ilości i doboru, gdy mu na srebrnej tacy przyniósł służący cały szereg, tłómacząc napisy na kartkach poprzyklepane, ruszył ramionami i splunął po swojemu mruczając pod nosem.

— Ale ba! — siła złego tyle na jednego! odezwał się przepatrując karafki jedna po drugiej... wszystko to cudzoziemcy, jakieś nieznane spirytuoza... pańskie likwory, delikatne pewnie i łagodne, a pocziwiej okowity kotłówki nie dostrzegam, owej starki litewskiej sławnej, coby dobrze zagrzała żołądek do głębi i zakreśliła aż wątrobę... No! serce mów, boś pewnie kosztował, zapytał lokaja, która tu z nich najmocniejsza...

to muszą być słodkie paskudztwa... daj przynajmniej szklanke, któż naparstkiem pije...

Służący postawił tacę zdziwiony przemową i figurą przyjaciela kotłówki, a Longin wybrał wreszcie znany mu dawniej Cognac, którego wprzód z flaszki powąchał zdając się dosyć zadowolony. — Wszyscy unikali nań patrzeć wstydząc się za biedaka, ale on wcale się nie sromął nałogu, który go opanował.

— To niezłe! rzekł spluwając po wypiciu — coś niby *species* starki, znałem to dawniej, dziś zszedłem na demagogiczną siwuchę, ale też to konsolacja jedyna i nie droga dla biednych, jak ja ludzi, a prawie wszędzie i o każdej dnia godzinie dostać jej można. Gdy raz dobierze się do żołądka ani poznać czy to konjak trzy-rublowy, czy prościuchna za dwa złote... bo w kioskach jak w grobie wszyscy równi...

To mówiąc łakomie haust powtórzył.

Odnosił tacę, gdy we drzwiach ukazał się siwy zupełnie, dobrze stary, w wyszarzanej surducinie mężczyzna dosyć gruby, blady, z wyrazem przybranej, ale źle odegrywanej powagi — nie poznano go zrazu, ale Longin, którego oczy widziały jaśniej po Cognacu wskazał w nim doktora Baltazara.

— A witajże nam, witaj! kollego! — poczęli wszyscy otaczając go — jeszcze jeden! — chwała Bogu; gdyby nie Jordan byłibyśmy wszyscy słowa sobie dotrzymali.

— Będziecie i jego mieli jak sądzę, stawiając kij wyslizgany od noszenia i pokrywając go nie mniej wyszarzaną czapką, a sam po przywitaniu siadając, odparł Baltazar... Jordan wiem że jest w mieście, ale się spóźnił na Łotoczek, szuka zapewne nas... i znajdzie niewątpliwie.

— Ha! więc jesteśmy w pełnym komplecie, i śmierć dobrodziejka nikogo nam nie wzięła... zawołał Teofil — bravo! bravo!

— Ale czas praktykował nas nielitościwie, rozśmiał się Longin — co za zmiany! aj! *horresco referens*, gdybym był referentem.

— Tylko nie o sercach, — rzekł Albin.

— O sercach się nie mówi, tylko o nosach i kieszeniach, które djabły się zmieniały... a humory także... wszystko to postarzało... lat dwadzieścia!

— Cóż bo chcesz wieczności na ziemi! gładząc siwe bakembardy rzekł doktor Baltazar.

— Tak, lat dwadzieścia, to całe najlepsze życie ludzkie! dalej już kończy się czynna epoka, przerwał Teofil, a co się nie wyrobiło przez ten czas, trudno dalej, już po żniwie.

— Protestuję! zawołał gorąco Longin, na którym wódka poskutkowała — zawsze czas do roboty, kto ma siły po temu... Człowiek różnie starzeje, jeden jak nóż miękki zetrze się w rok na chlebie, drugi jak stal na kamieniu tylko zaostrzy... Co to starość i czas? rachuba mylna — bałamuctwo! zresztą żaden z was, ekscypując Baltazara, nie ma wiele więcej nad czterdziestówkę, jesteśmy w pełni sił, a nasi ojcowie, w tej dacie w skórę jeszcze brali i uważali się za smarkaczów. Co do mnie czuję, że dopiero dojrzałem... wyzywam wrogów moich... zobaczycie dopiero, jak ich z mańki zażyję... bylebym znalazł gdzie trochę pieniędzy!!! zobaczmy! zobaczmy.

I pięść groźną podniósł do góry.

Wśród tej przerywanej rozmowy która się jakoś nie kleiła, bo starzy przyjaciele z pewną nieufnością i obawą zdawali się spoglądać na siebie i badać wzajemnie z niedowierzaniem, zaczęto podawać herbatę ze wszelkimi po angielsku towarzyszącymi jej przekąskami polwieczorkowymi, a dobór ich okazywał wykwintnisza i smakosza. Zamiast Cymbusia co szklanki w kątku tajemniczo nalewał i dolewał, nadpijał i dopelniał, dwóch lokajów w liberji roznosili imbryki, serwetki, filiżanki, owoce, mięsiwa zimne, sery, jaja miękko gotowane; — zamiast otluczonego fajansowego czajniczka, którego nadwierzona przykrywa sznureczkiem do rączki przymocowaną była, aby ją nie narazić na ostateczne rozbicie — przepyszny serwis srebrny uderzał oczy; — zamiast bułki od piekarza było tysiące przysmaków,

których woń przyjemnie lechtała powonienie, — Longin patrzył uważnie i ciągle uśmiechał się szydersko.

— Jednym się zmiele, drugiemu się skrupi, mówił po cichu do siebie biorąc obojętnie szklankę i szukając do niej rumu, o który zaraz się dopomniął — zobaczymy jaki będzie koniec...

— No! a teraz, rzekł Albin otoczywszy przyjaciół troskliwie talerzykami i jadłem, którego zalety wyliczał z umiejętnością Brillat'a Savarin, o sobie nie zapominając także i przysunawszy się do stolika — któż z nas zacznie spowiedź dwudziestoletnią?

— Mnie się widzi, że jabym powinien, przerwał Longin, rozpierając się w krzesło; wszyscyście mniej więcej spaniali, będziecie kłamać, to przywilej sukni, ja prawdę powiem bom goły i nauczę was odwagi. A zatem *Silentium dominationes!* proszę o głos, o butelkę rumu do osobistego mojego rozporządzenia i łaskawe ucho, jeśli nie serce panów dobrodziejów.

— „Wyszedłem w świat z jak najpiękniejszymi nadziejami jakieście sami widzieli. — począwszy powoli — mogłem się spodziewać, że dójdę do czegoś, bo ledwie mundur zrzucił już miałem zajęcie. Plenipotent księcia R... wziął mnie do pomocy w interesach, miałem pole do odznaczenia się i nie zależałem go. Interesa to były osobliwsze, ale po świecie trafiają się i takie; chodziło o ocalenie fortuny pańskiej dla pana, co jej użyć nie umiał, kosztem stu może ubogich rodzin, których całą majątność pochłonięła rozrzutność poprzednika. Gdyby to tak z kim innym się stało, zapłaciłby do grosza, bo stawało majątku, zaspokoiłby wszystkich, poszedłby pracować i rzeczby się cicho i ucziwie skończyła. Tu szło nie o to, żeby popłacić i oddać co komu należało, ale żeby pan legalnie panem został, a o ile możliwości nikomu nie dał, żeby mali padli ofiarą.

Mnie wcale nie czas było wystrychnąć się na bociana i nawracać drugich na poczciwość, kiedy cały świat nic złego w tej manipulacji nie widział. Pleni-

potentowi naszemu, który tej mądrej podjawszy się roboty, miljon na niej zyskiwał, czapkowali wszyscy, kłaniali mu się, ściskali go i choć robił szelmstwo uchodził za uczciwego, bo przegrawszy w karty, płacił i pił wino szampańskie.

Miałem ja przez głupią delikatność umyć ręce od roboty, która mi się tak w porę nastęrczała? Dano mi cząstkową plenipotencję i parę mniejszych interesów do obrobienia; zawsze i tu szło o to — nie patrząc co komu należało, — aby nie zapłacić.

To było zadanie główne, gdyż chciano koniecznie, aby pan panem został, choćby kredytorowie mieli pójść z torbami. Zrozumiałem rzecz jak należy i dwa interesa tak skończyłem przez układy szczęśliwie, że po połowie kapitałów uciałem i procenta wszystkie, których było *alterum tantum*. Płacąc zaś pieniądze wzięliśmy kwit na sumę całą i część procentów, bo coś na szelmostwie trzeba było i sobie zyskać dla uciszenia sumienia. Któżby się do licha darmo chciał walać? Zysk ten należał do plenipotenty głównego, a mnie dostały się ochlapki tylko, coś nakształt pary tysięcy, — ale pokazał mi co umiem i zaraz się na mnie poznał.

To mu i dziś przyznać muszę, że się znał na ludziach i wybierać ich umiał. Zaraz mi tedy powierzył jeszcze jeden trudniejszy interes, gdzie potrzeba było wyrobków i bez procesu obejść się nie mogło. Szlachcic miał należność świętą, ale nie zaaktywował w swoim czasie, nie było świadków na skrypcie, obaliłem jego pretensją jak napaść i groszaśmy mu nie dali. Tylko potem, żeby wielkiego krzyku nie było, a samym coś zarobić, bo droga procesowa pozbawiała wszelkiego akcydensu, nim zaapellował rozbity na gładkiej drodze, zawarliśmy z nim dobrowolną umowę, i znowu taż sama robota co przedtem.

Mnie to oczy otworzyło, jak mam o sobie pamiętać, i w tym ostatnim interesie układając się ostatecznie, oprócz naznaczonych mi honorarjów, zawarowałem dla siebie coś do kieszeni. Poszło jak z płatka, miałem

trzy tysiące rubli w kieszeni w krótkim czasie, byłem już na drodze, zyskałem sobie reputację zręcznego człowieka. Przyznaję się teraz, że mi się niepotrzebnie głowa zawróciła, ale nie chciałem sobie żałować, nająłem porządny apartamencik, począłem żyć wygodniej.

Zdaje się, że główny nasz plenipotent jakoś w salonach obok siebie mnie widując, i z subalterna uważając, że się rychło wspiął na prawie mu równego w towarzystwie, musiał to wziąć za złe, skrzywił się, a nawet powziął jakieś podejrzenia.

Był to już wielki pan całą gębą, lubił żeby mu się kłaniano, jam tak dalece płaszczyć się nie umiał i to mi na złe wyszło. Raz, drugi począł mnie w zgromadzeniach traktować z góry, to mi się nie podobało, on sobie, ja sobie się nadałem. Nie przyszło do starcia, ale chłód został, i w krótkim czasie, ni z tego ni z owego plenipotencją mi cofnął. Jam się rozśmiał, a że mi Pan Bóg dał dobrą gębę, począłem gadać potroszę, tłumaczyć ludziom, jak się to smaży interesa księcia, i jak ubogich odzieraają dla zbogacenia jednego trutnia.

Jakkolwiek ludzie o tem, co się robiło bardzo dobrze wiedzieli, ale wszędzie chodzi o to jak się rzecz przedstawia, rozdmuchany ogień począł płonąć i plenipotent dowiedział się, że jam mu piwa nawarzył. W dodatku poddmuchnąłem kredytorom jak się mieli bronić, co robić i jak w razie układu komplanację podpisywać; podjąłem się wreszcie parę interesów przeciw masie. Chociażem się z tem ukrywał, poznał moją rękę pan... i otóż państwo macie całą przyczynę nieszczęść mojego życia.

Same okoliczności nastreczyły mi rolę, jaką miałem odegrać, i drogę, którą mi obrać wypadało; musiałem się, walcząc z niepocziwym, oblec w cnotę i prawość, a rola ta na początek dla młodego człowieka wcale dobra. Czego się śmiejecie? ja nic nie myślę obwijać w bawelnę.

Chodziłem po mieście i w ten sposób tłumaczyłem położenie moje, że użyty przez plenipotentą do czarnej

roboty, sam ją porzuciłem, przekonawszy się, że była nieceną i podłą. Podniosło mnie to w opinii, ale zrobiło wroga i tak niebezpiecznego, jakiegom się z moim młodem zuchwalstwem spodziewać nie mógł. Nie rachowałem wówczas, że pan, którego plenipotent reprezentował, był ogromnie spokrewniony, że miał krewnych i popleczników na całym świecie, że mnie sierocie walczyć z tą potęgą było po prostu szaleństwem.

Pobudziwszy pokrzywdzonych kredytorów, odartych, tudzież narobiwszy wrzawy, jałem się żywo roboty i plenipotent gdzie stąpił, wszędzie mnie naprzeciw siebie znaleźć musiał.

Nie wielem ja na tem zarabiał, bo sami ubodzy i uciemiężeni uciekali się do mnie, a ci nie bardzo mieli czem szafować, ale i grosz jeszcze był i co więcej wysoko stanąłem w opinii publicznej, ja! obrońca uciśnionych. Nieszczęściem trwało to tylko chwilę gdyż nieprzyjaciół miał tysiące środków, których przeciwko mnie użyć nie zaniedbał.

— A! mój Boże, zawołał Serapion stając na przeciw Longina, któż w tem nie ujrzy ręki Opatrzności! patrz kochany towarzyszu, ona to dźwignęła cię i opierającego się, mimowolnie popchnęła na drogę cnoty.

Stałeś się obrońcą pokrzywdzonych, rycerzem słabych, posiłkiem bezsilnych, sprzymierzeńcem biednych... Dla czegoż to stanowisko nie zasłużone, tak piękne i wielkie, nie obudziło w tobie zamilowania cnoty i nie natchnęło cię heroizmem?... stałeś już na szczelblu...

— Z którego dla głodu musiałem zleźć, ojcze Serapionie, rzekł Longin dolewając sobie rumu, mówisz jak z kazalnicy, ale czemuż ta ręka Opatrzności nie dała mi chleba?

— Bracie! grzeszysz tą mową! poświęcenie twoje wzięłoby zapłatę i nie byłoby ofiarą...

— Daj mi pokój z nawracaniem... już nie pamiętam kiedym się spowiadał ojcze Serapionie, to darmo... ja wiary nie miałem i nie mam. Słuchajcie dalej, a missja na potem. Była tedy istotnie jasna chwila w życiu mojem, ta o której mówię—znaczenie, szacunek, wiara

w moje zdolności podnosiły mnie, ale obok prześladowanie nurtowało powoli. Użyto wszelkich środków, aby mnie zgubić... nie poszło to łatwo, tłómaczyła się potrzebą oczernienia, musieli mnie wciągnąć w paskudną robotę, abym z niej wyszedł zwalany.

Patrzcie tedy co zrobili.

Plenipotent stopniowo począł zmieniać taktykę, twarz, obejście, szukał mnie prawie, dając mi znać przez trzecie osoby, że znów pragnąłby użyć zdolności na których się poznał. Nie byłem tak głupi, żebym nie zwąchał pisma nosem, i nie obrachował, że zszedłszy z mojego bohaterskiego stanowiska, już na nie powrócić nie wdrapać się nie potrafię. Ale pokusa ogromna ciągnęła mnie, a grosza się przebieierało.

Chciałem się dobrze o siebie wytargować — jemu zaś chodziło o to tylko, żeby pokazał, żem przedajny i że mnie kupić potrafi, żem nie tak *integer vitae scelerisque purus*, za jakiegom się przebieierał. Czuł to, że choć plućm bezinteresownością i cnotą, alem w nie nie uwierzył.

— I to cię zgubiło, nieszczęśliwy, zawołał Serapion z litością.

— Nie, nie to, mój ojczy, ale to, żem był goły i głupi... Zaofiarowano mi znów roczną plenipotencją, znaczną pensją i różne widoki na przyszłość; — zmieklećm jakoś nie w porę nie umiając się wytargować, musiałem przygotować zmienić ton i mowę, zesałbnąć w opozycji i w chwili, gdy już mi plenipotencją dać mieli, upadłem w opinii kompletnie... ludzie postrzegli, żem tylko udawał Don Kwichota.

Zręczny oszust dał mi półroczną pensję, dał ograniczone pełnomocnictwo, natychmiast je odwołał, i tem mnie zabił że pokazał, iż mnie kupił.

Podstęp ten, wcale umiejętnie wykonany, wyjaśnił żem w tem miał tylko interes własny, a nie byłem tym, za którego chciałem uchodzić; plałem tedy na cztery nogi. Bogaty i możny, nie obawiałbym był się tego wcale, znaleźliby się ludzie coby mi jak jemu rękę podali, choć dobrze wiedzieli, że kradł i rozbijał;

ale młodemu i nieznanemu, ubogiemu i splamionemu, nikt i palca nie wyciągnął. Wszystkie drzwi mi zamknięto, na ulicy uciekano odemnie, odwracano twarz aby się nie ukłonić, udawano że mnie sobie nie przypominano. Chciałem się podźwignąć, nie było sposobu, bo ta nieszczęsna plenipotencja stała w aktach, a mnie nikt już nie wierzył.

Wszyscy mnie mieli teraz za narzędzie tajemnicze plenipotentą, i osobiste moje znaczenie upadło bezpowrotnie.

— Widzisz więc Longinie, że cnota a prawda najlepiej prowadzą do celu, rzekł kapłan.

— Stare to dzieje! odparł Longin — jak komu księżuniu, jak komu, nie ma prawidła bez wyjątku, ja jeszcze nie tracę nadziei. Ale posłuchajcie-no co się dzieje... Chodząc około tych interesów tom zyskał, żem nabrał wprawę i nosa; chociaż mi się środki wyczerpały i ciasno a kręto było koło mnie, jednak żyć miałem z czego, i znano mnie jako dobrego w złych razach doradcę. Nastęczałem się zresztą i sam do spraw, szukałem ludzi, miałem tyle, że nie mogłem umrzeć z głodu. Zwłaszcza też krzywe interesa szły teraz do mnie, a na tych się najlepiej zyskuje. Powoli znów odrabiać się zaczynałem i wchodzić między ludzi, którzy mnie potroszę przyjmowali. Choć czasem kto nosem zakręcił, jam nie dbał. Zrobiłem sobie swoje kółko i towarzystwo, a żem zawsze lubił życie, nie oszczędzałem w pocie czoła zarobionego grosza. Z przeproszeniem wszystkich tu znajdujących się doktorów, poznałem się wówczas z panem Surginem, którego pamiętacie może z uniwersytetu, chodził na medycynę z nami i skończył przy nas *cum summa laude*. Ożenił się potem z ubogą ale ładną na podziw dziewczyną, która, gdym wszedł do ich domu, zaczynała dopiero rozkwitać w całym blasku, a małżeństwo właśnie po przejściu latek miodowych, skłaniało się ku epoce chłodu i przyjaźni — trafiłem więc w porę. Surginowa była śliczna jak anioł, romansowa bardzo i potrzebująca wielbicieli więcej jeszcze niż kochanków. Mąż całe dnie

pędził za domem i jakoś ostygł był dla niej... No! co było do czynienia? he? wziąłem się do jejmości... widzę że brwi marszczycie Katony — e! e! dajcie no pokój! hipokryci! kto z was nie ma podobnych grzechów na sumieniu? To bieda, żem ja tu znowu idąc przebojem, tak wlaź jak tam wprzód z plenipotentem. Surgina znałiscie, zawsze był oryginał, zaraz się przekonacie do jakiego stopnia. Raz, niespodzianie w nieprzyzwoitej godzinie zszedł mnie z żoną poufale zabawiającego się, bom klęczał przed nią i głowę miał na kolanach ślicznotki... podsłuchał niepoczciwy cośmy z sobą mówili, zwyczajne blażeństwa zakochanych, że życie bym dał dla niej, a ona mi odpowiadała, że nigdy nikogo nie kochała nademnie!...

Kiedy my tak gramy sobie w uczucia — wśród tych czułych a głupich zwierzeń, buch! otwierają się drzwi, wchodzi gdyby konsul rzymski, poważny a błady jak ściana mój Surgin, bo żonę kochał bardzo, choć tego okazać nie umiał — staje widmem przed nami, zakłada ręce na piersi i płakać zaczyna wielkimi łzami... Jam osłupiał, ona krzyknęła i zaczęła spazmować.

Chciałem opamiętawszy się uciekać i zostawić ich z sobą samych, żeby się pogodzili, ale Surgin pochwycił mnie i pchnął silnie.

— Stój! woła — odebrałeś mi jej serce, odarłeś mnie z jedynego szczęścia na ziemi, nie obwiniam cię o to, tem mniej słabą kobietę, którą słowem omamić łatwo, a sercem pociągnąć. Dziś to już o mnie i moją obrazę nie chodzi, idzie o nią, o jej przyszłość i szczęście... ona żyć ze mną nie może, bierz ją i uczyni szczęśliwą, a pamiętaj że się o to u ciebie srogo dopomnę... jeśli jedna łza pocieczy z jej oka...

Tak ślicznie wydekamowawszy monolog, ustąpił z placu, a mnie w najgłupszym zostawił położeniu, bo musiałem panią Surginową wziąć do siebie, a żyć z cudzą żoną, zawsze to jakoś rzecz dla ludzi, a zwłaszcza żonatych, nieprzyjemna do widzenia... Z tego powodu znowu ludzie się odemnie odstrychnęli i musiałem zostać w nieciekawem kółku bannitów spo-

cznych, które mnie otoczyło.

Nie mówię nie o Surginowej, która w rok potem poszła sobie z drugim amatorem... Szczęściem doktor umarł, bo by mnie był pewnie zamordował, tak ją kochał jeszcze. Dziś podobno sama gdzieś już mieszka i utrzymuje się z niewiem jakiego przemysłu... a gdyby się nie bielila i nie różowała, dalibóg byłaby jeszcze ładna.

Otóż macie drugie głupstwo, którem zrobił i to kapitalne... ale przychodzę do trzeciego i największego, które mnie dorzuciło. Żył się jako tako, trzymałem dom otwarty, grano u mnie co wieczora, nauczyłem się kart i robiły mi przyjemność, a przytem była w tem rachuba, nawet grając co się zowie uczciwie.

Jużciż nie posądzicie mnie o to, żebym był tak głupi i karty znać, albo po prostu filował i kręcił, są to stare i nędzne środki; miałem inne i lepsze, oparte na filozofii i znajomości serca ludzkiego.

Najsumienniejsi gracze używają ich jak ja, rzecz prosta. Naprzód lepiej i ostrożniej grałem od innych, powtóre dobrzem wiedział jak z kim grać, w jakich chwilach i warunkach. Jam był zawsze panem siebie, ci z którymi grywałem w chwilach pewnych nie własnili sobą, a tych chwil właśnie używało się aby ich ociąć. Jasno, czysto i nie zarzucić niepodobna, głupsi to pokutuj, nie graj, nie przegrasz. Z młodym gdy się upije, gdy się zapali, grać najlepiej; ze starym gdy się trochę zgra, z innym gdy trochę wygra i zasmakuje, z tamtym podbudzając próżność, z drugim drażniąc chciwość, otóż to się wie i z temi zasadami sztuki, grając czysto i uczciwie, wygrywa się zawsze i wygrywać musi. Gdy mi karta nie idzie tom słaby, gdy pójdzie podszuczam do gry, korzystam ze swojej szansy, a drugim ją odbieram.

Takim sposobem w domu u mnie grywano dużo, naturalnie zapraszałem tych, co zwykli byli i urodzili się na to by przegrywać... i to także rachuba... przegrywano więc; a niepoczciwy świat ogadał mnie zaraz jako szulera... gdzie sprawiedliwość?! Zresztą, to co

się od samych kart zbierało u mnie, starczyło prawie na koszt wieczorów i herbaty.

Ale dom w którym była Surginowa i karty od rana do wieczora, nie mógł zbyt niepokalanej używać sławy. Młodzież się cisnęła jak na lep, bo doktorowa miała jeszcze siostrzenicę nieszpętną i swawolnicę zabawną, ale rodzice i żony mnie przeklinały....

Po odjeździe Surginowej, na której nową miłość patrzałem przez szpary, bom sobie życzył żeby mnie kto od niej uwolnił, bojąc się żeby to zbyt długo nie trwało i nie przeszło w rodzaj małżeństwa — jakoś byłem wolniejszy, ale w miarę jakim się grze więcej oddawał, dom mi opustoszał i nikt interesów nie chciał powierzać. Ogłoszono mnie za szulera, najniesłuszniej, jak sami widzicie... Potem pokłócili się parę razy u mnie przy kartach i przyszło do szturchańców, co nie polepszyło sławy domu, choć ja kąpiłem sobie z tego... znów tedy poczęło być ciasno.

W takim stanie rzeczy trafia się, że przyjeżdża wdowa z córką, mająca gruby interes z moją masą księcia... przedawnioną sprawę, popsutą. Chodziło o pół miliona, za który dawano jej sto tysięcy, a sam czysty kapitał wynosił pięćkroć... Ktoś mnie nastreczył wdowie i zgłosiła się do mnie. Była w stanie najopłakańszym, odarli ją do koszuli prawnicy i nie nie poradzili, choć interes był czysty, jasny, prawny i dobry. Raz i drugi byłem u niej, zobaczyłem córkę, dziecko wychowane w prostocie i niedostatku, niewinne i nieśmiałe. Była jedynaczką, miała lat szesnaście i dosyć ładną twarzyczkę.

Dobrze się więc rozpatrzywszy w papierach, raz, drugi, widzę że wygrać można więcej pół miliona, bo procenta całe nie spadną... Zacząłem utrudniać, targować się... gdy mi coś szepnęło — żeń się z córką i chodź jak o swoje, wdowa ci ją da i procesu się na was zrzecze.

Rozmyśliwszy się, że już drugi raz w życiu pewnie się taka gratka nie trafi, ot, licho nadało, pokusiłem się... Rada w radę — widzę interes jasny, sprawa

czysta, to tylko bieda, że z nieprzyjacielem, ale o swój własny inaczej się i śmieiej idzie. Rachowałem, że sam pojedę do stolicy, że tam karty wprowadzą mnie do salonów, że placu dotrzymam i plenipotentowi i księciu; oświadczyłem się więc staruszce, która po niedługim wahaniu się przyjęła moją ofiarę i ożeniłem się po cichu.

Ale chociaż wprzód przeglądałem papiery, znać byłem oślepiony, że wiele niedopatrzyłem, dopiero po ślubie, ochłonawszy, gdy się do sprawy wziął i czynnie koło niej chodzić zaczął, odkryły się rzeczy niespodziane. Naprzód z pięćkroć zesłaliśmy na dwakroć czystych i to bez procentów, bo się okazały nadpłaty, rachunki z zastawy, wytrzymanie części sumy; potem plenipotent tak się uwziął na mnie, że gdy przybył do stolicy, nigdzie mi drzwi nie odemknęto. Otworzyłem ja dom, nie pomagało i to, łapałem tylko niższych urzędników, a matadory mnie widocznie unikały, taką mi tam zrobili renome. Postrzegłem za późno, że się pośliznął, ale to już gra szła o życie lub śmierć.

Nie będę wam opiewał nieszczęść moich, bo te trwają do dziś dnia, szczebel po szczeblu, spadłem na odartusa, jak mnie widzicie, do niedostatku, do nędzy... i do siwuchy za całą pociechę.

Mam żonę, która mi dała w miejscu pięćkroć, pięcioro dzieci, choć nie prosiłem o nie, starą matkę, która mi głowę myje i zajada wyrzutami, w domu piekło, a na grzbiecie łachmany.

Ale myślicie może, że wyrzekł się walki? nie! póki było o czem, wiodłem ją gorąco, dziś do ostatniej sprzedawszy łyżki, jeszcze ją popieram dwózłotówkami, pójdę piechotą do stolicy, jeśli będzie trzeba...

Sto razy mnie obalili, sto razy na nowo rozpocząłem proces z nowych źródeł, od pierwszej instancji; kłopotę ich i siebie, dokuczam, męcę, a swego nie daruję, piętnaście to lat trwa, jeszcze pożyczę dla nich z piętnaście, a na swoim postawie... Dostanę się do stolicy, będę służył za odzwierne w jakim departamencie, ale zjem i zgniotę w końcu wrogów moich.

Plenipotenta i tak już diabli wzięli, ale ma następ-ców godnych, nie te! i tym da się rady! Wypychają mnie z sądownictw, krzyczą na ulicy, po dziesięć próśb podaje na dzień, skarżę wszystkich, wywołuję śledztwa, żalę się na urzędników, dojadłem, dopiekłem, zwałłem się w przedpokojach, miałożby to wszystko być darmo? o nie! do sta katów, dodał bijąc pięścią o stół — na swoim postawie!

— Kochany Longinie, przerwał mu Serapion, Bóg z tobą... *pax tecum*... sam widzisz do czego cię to doprowadziło, te lata zmarnowane, sterane, gdybyś był pocziwej, sumiennej pracy poświęcił, nie byłyby ci obfitszych i zdrowszych dały owoców? Nie widzisz-że ich? daremne jest to dobijanie się majątku napaścią, rachunkiem, pieniactwem; nie dostrzegasz-że w tem ręki Bożej, która cię miłosiernie prowadzi do upamięntania drogą upokorzenia i boleści?

— A! kaznodziejo! kaznodziejo! krzyknął Longin — dajże mi pokój! Miałem i ja dobre chwile w życiu i mnie uśmiechała się pogoda, alem parę baków zastrze-ili... ot co!.. trzeba było mieć więcej rozumu...

— Rozumu, nie, ale serca, serca, towarzyszu mój, mówił dalej kapłan powoli — i dziś przy twem ubóstwie dałoby ci ono upatrzeć w niem pociechę i doznać jej, ale potrzeba się obmyć z pychy, z chęci zemsty, z nieczystych uczuć ludzkich, a odezwać o pomoc do Boga... Nie wszystko dobre i święte zamarło w tobie... odżyj byś mógł jeszcze...

— Ale, zlituj się, nie na kazanie, nie na kazanie ja tu przyszedłem, oburzył się Longin, coż to znowu?

Serapion złożył ręce, spuścił głowę i umilkł z serdecznem uczuciem boleści, a wejście jego mówiło:

— Módlcie się za zgubionego!

— Rachunek mój, przerwał szalenie, dolewając wciąż rumu do nadpitej szklanki — o tyle mnie tylko omylił, że za szparko chciałem zdobywać to, do czego bym powolniej mógł dojść bezpiecznie... ale człowiek musi głupstwa robić i pokutować za nie...

Albin, któremu jak innym postać ta i wyznania

coraz się stawały przykrzejszemi, chciał już przerwać tok rozmowy i wyznać, i odezwał się:

— Zwykła to kolej rzeczy ludzkich... ale chwila ci była przeciwną, ktoż wie? druga może zmienić dolę i jaśniejszą zaświeci! Wszak masz wytrwałość i nadzieję?

— Ogromne... a naprzód w was kochani towarzysze, że mi bóty sprawicie i obmyślicie coś na pierwsze potrzeby... dużo na to rachuję...

Spojrzeni po sobie przybyli znacząco, a Serapion westchnął tylko.

— Każdy z nas, rzekł, da co może, rozłamię się chlebem z łaknącym, ale mybyśmy coś większego i droższego dać ci chcieli, radę dobrą, uczucie pokoju i ufność w Bogu, mogące wszelkie położenie osłodzić...

Longin kiwnął głową zapijając herbatę.

— No! no! rzekł, śliczne to, ale mnie tem nie odprawicie z kwitkiem... a teraz! słucham co nam ichmość powiecie...

— Serapion, zawołał Albin... powinien by nam wytłumaczyć tę suknię, którą włożył na siebie.

Kapłan spuścił oczy wilgotne, i nie opierając się tak zaczął.

— „Niechaj ta spowiedź moja przed wami, choć stare odżywi blizny, zostanie mi porachowana za grzechy moje... gdyż nie bez wstydu i upokorzenia uczynić mi ją przychodzi.

Ale ja składam jako ofiarę przeszłości, jako słuszne zadość uczynienie za winy.

Znaliście mnie milczącym i zamkniętem w sobie dzieckiem pracy. Bóg mi błogosławił nawet w tej drodze niepewnej, którą tylko do doczesnego szczęścia zdawałem się zmierzać, nie dosyć myśląc o wiekuistym... Ale różnie On powołuje sługi swoje ku sobie, jednych jasnością oślepiającą, drugich słowem niepojętem, innych boleścią wielką...

Dla mnie ta ostatnia przeznaczoną była.

Widzieliście mnie tu przemyślającego tylko nad zapewnieniem chleba powszedniego, chwytającego się medycyny jako środka, który mnie miał z nędzy podźwignąć; wasza pomoc pocziwa i chętna dozwoliła mi skończyć nauki nie zaprzegając przyszłości. Gdy lata próby wyszły, byłem zupełnie wolny, miałem patent w kieszeni, mogłem się udać gdzie chciałem, naturalnie serce i instynkt przeciągnęły mnie ku rodzinnej stronie: choć tam dla mnie nie pozostało nic prócz wspomnień sieroctwa.

Alem ich nie unikał, ani się myślał zapierać pochodzenia i pracy, którą sobie wywalczyłem niepodległość. Z szczupłym groszem, wyjechałem do najbliższego miasteczka w sąsiedztwie wioski, którą pamiętałem tak dobrze... nieznany nikomu, bez opieki, bez stosunków, silnie tylko ufając w łaskę Bożą.

Stałem sobie wprost w najtańszym jaki znalazłem domu zajezdnym, a obawiając się, żebym przybyciem mojem nie uszkodził dawniejszym, co mnie tu poprzedzili lekarzom, pierwszy krok zrobiłem ku nim.

Dwóch ich wówczas mieszkało w naszej mieścinie, jeden Niemiec, staruszek bezżenny, drugi młody niedawno wyszły z uniwersytetu doktor miasta i okolicy z urzędu. Oba mieli w sąsiedztwie swoich klientów: Niemiec poważniejsze domy majątne, w których leczył nie bardzo przeszkadzając naturze, ostrożnie, delikatnie, łagodnie, drugi w miasteczku, zajmował się żydami, mieszczaństwem, medycyną sądową, a w razie gwałtownych wypadków wzywany był wraz ze starym do narydy.

Niemiec, gdym go pierwszy raz odwiedził, nie ukazał mi wcale nieukontentowania, owszem zdawał się przyjmować z zajęciem; — wyegzaminował mnie bacznie, rozmawiał długo, podał rękę przy rozstaniu, a gdym mu o młodszych wspominał, pokiwał tylko głową i uśmiechnął się nic nie mówiąc.

W ogóle, doktor Halm był bardzo ceniony, więcej może jako człowiek niż lekarz; wiek i ociężałość nie dozwalały mu bardzo pilnie zajmować się chorymi, lu-

bił już spoczynek i miał prawo do niego, medycyna go męczyła, wdzięczny był tym co go mieli za człowieka, a nie nudzili go jako lekarza.

Powiedziano, że zebrał był sobie kapitalik dosyć znaczny i o praktykę nie dbał wiele, bardziej dla stosunków odwiedzając domy sąsiednie; — sądziłem więc, że i dla tego dobrze mnie przyjął od razu, że się będzie mną mógł wyręczać w praktyce dla niego uciążliwej. Dosyć, że mi się wydał przyjacielskim i życzliwym.

Gdy już miał odchodzić, ujął mnie za rękę i oczy wlepiwszy odezwał się powoli:

— Pozwól sobie, młody mój kolego, dać jedną dobrą radę.. mnie jej nie swoje, ale cudze nauczyło doświadczenie. Wielu z naszych rzuca się, niecierpliwi i zmienia miejsca po kilka kroć w życiu, chcąc od razu owoców obfitych i powodzeń świetnych. Nie czyń tego; siedź w miejscu, które sobie obierzesz, a co ma przyjść to przyjdzie, potrzeba ażeby poznali człowieka, oswoił się z nim, dopiero go ocenia. Nie zrażaj się obojętnością, zapoznaniem, pracuj gorliwie, nie wymagaj wiele, umiej czekać... i żaden doktor z głodu nie umarł, a wielu z głupstwa poumierło.

Podziękowawszy za radę, która w istocie była bardzo dobrą, z cichego domku, który Halm zajmował na przedmieściu, otoczonego ogródkiem, i bardzo miluchnego, udałem się do miasta do drugiego kolegi lekarza, pana Eframowicza, którego główna kwatery była w rynku, w najętej kamieniczce. Nie potrzeba było pytać się o jego mieszkanie, bo od rana otaczało go żydostwo, stada ludzi i wołów oczekujących na świadectwa życia i zdrowia. Oprócz tego dwie bryczki stały u ganku, straż odbywała policja, i kochierzy czerwonych kreciło się mnóstwo; ledwie się mógł dobić i doprosić, żeby mnie tam wpuszczono.

Zastąpiłem młodego praktykanta w szlafroku, z cybuchem ogromnym w gebie nad herbata, w towarzystwie dwóch urzędników powiatowych, strapezego blado i wymokłego i sprawnika opastego i rumianego. Ci dwaj panowie uosobiali wybornie siedem lat dostatku

i siedem lat głodu, choć kieszenie ich były w stosunku odwrotnym do postaci.

Z nieładu mieszkania łatwo było domyśleć się jak pan Eframowicz był straszliwie zajęty, — po stolikach walały się herbowe papiery, notaty, — potwierane książki różne, rozsypany tytuń, resztki wczorajszego jadła; jakby obozowisko; gospodarz wyraźnie świeżo powracał z drogi, bo tłumok na wpół rozpakowany leżał jeszcze w pośrodku izby.

Gdy mu się przedstawił kto jestem, zmierzył mnie okiem nieufnem, bojaźliwym, ale choć zimno, przyjął grzecznie, usiedliśmy, a sprawnik i strapczy wprędce pożegnawszy się odeszli zostawując nas samych.

— Więc pan tu myśli osiąść? spytał Eframowicz.

— Nie mam jeszcze stałego projektu, ale nie wszystko jedno?

— Okolica szkaradna, odparł doktor, ludzie panie dobrodzieju jakich na całym świecie nie ma. O! gdybym ja był wiedział co mnie tu czeka! I potarł niespokojnie czuprynę.

Pan tu także nie nie zrobisz; naprzód nie chorują tylko ubodzy, powtóre, jeśli komu z tłustszych co zaboli, posyłają po Halm'a. Halm tyle pomoże co umarłemu kadzidło, przyjedzie, pomruczy, każe pić wodę z cukrem, zaadministruje krople laurowe, w najgorszym razie postawi pijawki... ale to Niemiec!

Szkaradny kąt! Pan się tu nie utrzymasz! choć — dodał, bardzo rad jestem, że we dwóch przynajmniej biedę klepać będziemy, zawsze to weselej. — Może pozwolisz fajki? spytał w końcu:

— Dziękuję.

— Więc pan lokuje się... w miasteczku?

— Jeszcze sam nie wiem...

Milczenie moje znać mu się wydało podejrzanem, choć zaprawdę pochodziło nie z chęci tajenia się, ale wprost z tego, że postanowienia stałego nie miał i sprawy sobie nie zdawałem z tego co począć wypadnie. Bądź co bądź, postrzegłem, że Eframowicz widział we

mnie nieprzyjaciela, udawał obojętność, obeszło go jednak jawnie, że się tu osiedlić myślał, dowodził mi, że jest mnóstwo szczęśliwie położonych miejscowości, gdzie fortuny robią się we trzy dni, a sława i wziętość w półtorej godziny... Wysłuchawszy tych opowiadań pełnych dowcipu, a przerywanych kilkakrotnie wołaniem Eframowicza do drugiego pokoju dla podpisu różnych świadectw, cofnąłem się widząc, że w nim ani towarzysza, ani przyjaciela mieć nie będę; — uważał mnie za niepotrzebego wcale i niebezpiecznego przybłędę, mającego chleb odjąć od gęby.

Wiem że zaraz potem począł o mnie rozgłaszać, jakobym był dziwnie niedołężną istotą, rodzajem kretyńizmu upośledzoną, bez najmniejszego talentu, ledwie raczył mnie uznać zdolnym na cyrulika. Nie mogłem mu mieć za złe, że tak sądził z pozoru, bo mnie nie znał, a bardzom się mógł wydać mu źle z moją bojaźliwością i onieśmieniem.

Powróciwszy do mojej stancyjki w miasteczku, pomyślałem o oddaniu wizyt obowiązkowych urzędnikom miejscowym. Zdaje mi się, że jestem pobleżającym w ogóle dla ludzi, ale kto chce o nich najgorsze powiedzieć wyobrażenie, niech tylko zajedzie nieznany, bez imienia i znaczenia, na prowincję do jakiej małej miejsciny, która niezależność swą winna oddaleniu od stolicy zarządu... Ze smutkiem przekonałem się, że ludzie, którym się powierzają obowiązki w oddalonych miejscowościach z władzą wielką w istocie z powodu położenia tych osad w głębi kraju, powinni by być dobie-rani nie tak dla zdolności, jak raczej dla poczciwości i serca... a najczęściej jest inaczej.

Wszędzie spotykała mnie duma śmieszna, zarozumiałość o swej ważności, o co mniejsza, ale arbitralność niepojęta.

Nie mówię już o urzędnikach wyborowych, marszałek bowiem powiatowy, jeśli ma do tego najmniejszą ochotę, może grać rolę jednego z dawnych Bogów Olimpu, i u niego czyścić w przedpokoju każdy odbyć musi, kto do oblicza chce być przypuszczonym. Łaska wielka

jeśli rękę poda i siedzieć poprosi...

Sprawnik zostający z nim w antagonizmie koniecznym, jest drugą istotą przepełnioną na prowincji pojęciem ważności swej i stosunkową do niego dumą; strapczy nareszcie i wszyscy aż do ostatniego piszczyka... wszystko wzdęte, a świat mają za stworzony na to, aby oni się zeń urągali i krećili nim wedle upodobania.

Smutne pojęcie o człowieku wyniosłem z tych odwiedzin, gdzie mnie wszędzie przyjmowano, dając uczuć wyższość tylko: nigdzie ręka i serce po chrześcijańsku uprzejmie nie wyciągnęły się ku mnie, każdy mi się chciał popisać ze swem znaczeniem, nikt z uczuciem.

Marszałek w pierwszych zaraz słowach znalazł sposób napomknąć, że jedzie zaproszony na bal do generał-gubernatora, potrafił napomknąć jak jest tam widziany, jak wielką ma przewagę w wyższych kancelaryjnych sferach, jak ścisłe stosunki, jak wielkie znaczenie; wreszcie oznajmił o wyjeździe do stolicy w interesach powiatowych. Sprawnik znowu usiłował mi dowieść, że marszałek jest niczem, że to tylko cieniak a władza istotna zostaje w jego rękach, że się rządzi a tamten coś nakształt królika konstytucyjnego panuje, ale nie rozkazuje nikomu... Znalazł się sposób opisania mi walnego zwycięstwa jakie odniósł nad marszałkiem w kwestji akcyzy, w dziełach inwentarzowych i t. p., a gdym wysłuchał tej Illiady, pożegnał mnie protekcjonalnie, dając do zrozumienia, że powinienbym coś obmyśleć na jego nagniotki.

Strapczy znowu był pełen nierozwikłanych tajemnic, ale dawał nieznacznie do zrozumienia, że słowo jego w górze więcej nad inne ma znaczenia, chwalił niesychanie Eframowicza, który mu żonę z upartej febry wyleczył, nie prosił siedzieć i pożegnał śpiesząc do sądu powiatowego. Toż samo znalazłem u sędziego, podseków i urzędniczej ludności miasteczka, więcej zajętej tem, żeby ją kto nie wziął za pospolitych, niż żeby ich miano za uczciwych ludzi.

Prócz jednego starego Halma nie poczułem tu serca w nikim, i chłodno, smutno mi się jakoś zrobiło, alem

to Bogu ofiarował. Powiedziałem sobie, że takimi życiem na ustroni robić musi małych ludzi na pierwsze wejście, że zbliża się im przypatrzawszy znajdem przymioty, których zrazu dostrzedz nie mogłem.

W istocie mało jest ludzi, o którychby sądzić można z pierwszego poznania i nie omylić się; najczęściej pierwsze wrażenie oszukuje, bo człowiek stara się pokazać właśnie tem czem nie jest, i tai się z tem czem by się słusznie miał prawo pochlubić.

Ale tak jak biedny Voltaire, co wołał by go miano za wielkiego matematyka niż za poetę, dla tego że nie chciał być niższym od ubóstwianej pani du Chatelet, my wszyscy pospolicie wołamy okazywać moc charakteru, dumę i próżność, niż ciche a pocziwe serca przymioty.

Do jednego Halma powrócić mi się chciało, do reszty nie miałem jakoś ochoty.

Nie powiem by mi pierwsze chwile pobytu w tem miasteczku bardzo ciężko spływały; ubóstwo nigdy mi zbyt nie dokuczało, bom je jako dawno znajome nauczył się znosić wesoło, cisza i brak towarzystwa dozwalały oddać się pracy, okolica była piękna, ja w sumieniu spokojny, a odosobnienie nawet ma pewien urok dla młodej duszy.

Pierwsze dni spędziłem, darujcie mi, że się wdaję w te szczegóły — w zajeżdżnym domu w ubogiej stancyjce, później nieco trafiła mi się na jednej z głównych ulic, połowa dosyć porządnego domku, do której się przeniósłem. Miałem tu parę pokoiów dla przyjęcia, gdyby kto przyszedł, izdebkę sypialną, składzik, wziąłem służącego i czekałem cierpliwie co Bóg zdarzy nie zżymając się a uznając dobroć rady Halma.

Gdym w kilka dni znowu go odwiedził, stary do tych pierwszych uwag, dodał jeszcze te dla mnie pamiętne słowa:

— Słuchaj kolego, rzekł, choć ja tego nie używałem środka, i ty, jak widzę, nie masz do niego usposobienia, trzeba żebyś wiedział, że ludzie są tak biedni, że im koniecznie potrzeba trochę szarlatanerii, aby pociągnąć

ku sobie. Tyś bardzo prosty i szczerzy, nie chwalisz się, nie masz tajemnic, nie przychodzisz z niczem nowem... trudno ci będzie!

Uśmiechnąłem się na tę nową radę Halma, ale zastosować się do niej nie mogłem, ceniłem w sobie kapłana nauki zbyt wysoko, bym z siebie dla grosza miał robić jakiegoś skoczka na linie. Udławiły by mnie wyrazy jakiegoś programu, który by przypominał afisze prowincjonalnych teatrów, ogłaszające za każdą razą rzecz niewidzianą jeszcze, niesłychaną i nową.

Chciałem być winien Bogu i pracy mojej to co mnie czekało, a nie słabości ludzkiej.

Tak więc pozostałem w mym cichym kątku czytając wiele, myśląc i długimi po okolicy rozrywając się przechadzkami. Czasem spotykaliśmy się z Dr. Halmem, który pomimo swej ościężałości kochał naukę, i miał ku niej pociąg, a choć chłodny z początku, poznawszy mnie bliżej stał się życzliwym i przyjacielskim.

Z Eframowiczem widywaliśmy się mało; spodziewał się we mnie antagonisty, z którym mu walczyć przyjdzie, widząc tak obojętnym i powolnym posadzał o jakąś tajemnicę, pojąć nie mogąc, żebym dołków nie kopał i nie knuł jakiejś zdrady, wiedziałem o tem, że mi nasyłał szpiegów, że badał o mnie, i nie rychło się uspokoił, gdy nareszcie nieodwołalnie przekonał, że nie jestem złą i skrytą, ale według jego słów, tylko nic nie znaczącą istotą.

Kiedy go w miasteczku nie było, lub w gwałtownych razach, zdarzało się, że i mnie czasem wzywano dla zastąpienia go. Tu taktyka jego względem mnie była zręczna choć nieprzyjazna, mówił o mnie mało, ale zawsze z pochwałami, gdym jednak co przepisał odmienił zaraz, kiwając głową w milczeniu na recepty i dając do zrozumienia czynem, że mnie ma za nieuka, gdy niby przez obowiązek stanu odzywał się przeciwnie. Do konsylium wzywał Halm'a, dla którego wielkie okazywał uszanowanie, lub lekarza ze wsi, mnie nigdy. Tym sposobem chciał się mnie pozbyć, alem ja nie prędko się nawet tego domyślił. Jakkolwiek mało mia-

łem zajęcia i dochodów, nie wielkie też potrzeby, i to co Bóg zsyłał codziennie, na codzienne wystarczało życie, nie dopuszczając nawet bardzo się troszczyć o jutro. Swoboda i czas wolny dozwalały mi przedłużać studja, pracować nad rozprawą do stopnia, robić postrzeżenia nad miejscowością. Bylbym wiele dał, gdyby mi wolno było zajrzeć do szpitalu miejskiego, ale ten zostawał w wiedzy i pod zarządem Eframowicza, który nie lubił, aby w jego czynności wglądano. Wiedziałem mimowolnie co się tam działo, a choć szpital w dnie rewizji wyglądał przepyszenie, w ciągu roku była to tylko korzystna spekulacja dla ordynariusza, który zdając się na cyrulika zarabiał na wszystkim poczynawszy od bułek do pijawek. Żydek był dostawcą chleba do szpitalu. Im widoczniejszym dla mnie było, że tam szachrowano niegodnie, tem mniej już napierałem się naglądać na chorych, aby mnie nie posadzono o chęć wysledzania i wglądania w czynności, które do mnie nie należały. W razie odjazdu i komenderówki Eframowicza naznaczono zwykle Halm'a na jego miejsce, a ten też nie wdawał się tam ściśle w rzeczy nie dające się zreformować, od cyrulika tylko dla oka słuchając raportów, bo wiedział, że przy najgorętszej chęci nic nie robi, a nieprzyjaciela nieubłaganego zyszcze, dotknawszy czarno podszytych tajemnic.

Zresztą te skrytości miasteczkowe są zwykle doskonale wiadome wszystkim, ale że każdy ma jakiś grzech na sumieniu, toleruje to co robi sąsiad, aby mu jego własna wina przebaczoną była. Jest to smutna parodia Modlitwy Pańskiej i prośby o przebaczenie! Ten zyskuje na więzieniu, które głodem morzy, ów na chlebie ubogim garnizonowych żołnierzy, inny na chorych w szpitalu, — a wszyscy znają się i milczą. Jeden człowiek prawy wpadłszy wśród nich nic nie poradzi, ale mimowolnie staje na stanowisku nieprzyjacielskiem, jeśli mu nie zarzucić nie można. Za wroga więc uważano mnie, bom o nic nie prosił i nic nie miał na sumieniu.

Ze smutkiem przyszło mi wejrzeć w głąb tego ży-

cia, które obnażone przeraziło i odstraszało brudami. Wszędzie samolubstwo, słabość, chęć z bogactwami się nie patrząc jakim kosztem, choćby najbiedniejszych, — a nigdzie sumienniejszego przekonania o obowiązkach.

Jakieżże to potrzebaby siły, żeby to społeczeństwo zgangrenowane podnieść i odrodzić!

Powtarzam dziś com mówił niegdyś — trudniej tu niż z pogany, bo ci poganie czynu mają pojęcie prawdy i pogardzają jej spełnieniem, wiedzą i czują, że źle czynią, a brną dalej przeciw sumieniu! Cóż zrobisz z tym, który pojmuje, że jest w grzechu i błędzie, a urągając się cnocie, idzie dalej drogą poczętą. Nikt z tym tłumem nie śmie iść do walki, bo każdy czuje się słabym... a świat dalej swoim torem rusza.

Eframowicz był na hańbę świętemu imieniu lekarza, które nosił, wprost spekulantem używającym tylko medycyny jak narzędzia do zrobienia grosza. *Hoc erat in votis.*

Szpital opatrywał go w bułki, w mleko i krupki, rzeźnia miejska w poledwice, żydzi w co który miał jadalnego, bo służba zdrowia dawała mu nadzór nad wszystkim; każde świadectwo musiało być opłacone sownie, a o śledztwach już nie ma co mówić.

W najsmutniejszych z wykle okolicznościach odbywają się te zjazdy, w których lekarz tak wielkie i ważne spełnia posłannictwo, on często jest wskazówką zbrodni lub obroną niewinności, istotą opatrzną. Posłannictwo to wielkie i święte, które się spełnia w obliczu śmierci. Eframowicz z niego, jako ze wszystkiego robił sobie przychód tylko, a im więcej rozplakana rodzina opierała się przez cześć zwłok otwarciu jakiego nieboszczyka, tem on silniej popierał potrzebę exenterowania, póki mu nie opłacono za poszanowanie drogiej, straconej istoty. Tak robił zawsze i wszędzie, umiał z prawa korzystać i uniknąć go, a kodeks leżał u niego ciągle otwarty, bo nieustannie popełniając nieprawności, nim zasłaniać musiał. Kochany i lubiony przez tych, co z nim te nieczne łowy dzielili, Eframowicz nie wzbudzał szacunku i nie dbał o niego — podzielał hulanki urzę-

dników, ich spekulacje, pomagał im, oni jemu i w tej znacznej spółce żył swobodny i szczęśliwy.

Przybycie takiej jak ja tajemniczej postaci, nie dającej się ani przywabić ani zbadać, musiało go trochę zniepokoić. Naprzód już świadek był w miasteczku niepotrzebny, powtóre posadzał mnie zawsze o złe zamiary względem siebie, i nie wystawiał sobie bym inaczej jak na ruinie jego swoją budował pomyślność. Otoczono mnie więc siecią szpiegowstwa, o której wiedziałem, alem się jej obawiać nie mógł, bo nie miałem się z czem tać. Eframowicz wiedząc, że coś piszę, obawiał się i tego pisania, nasadzał ludzi, którzy mu znać dawali, kiedy mnie nie było w domu, przekupił służącego i rewidował papiery... znalazł w nich rozprawę do stopnia.

Serapion uśmiechnął się łagodnie. — Było to jedyne w życiu dzieło moje, niestety — poczęte tylko, *dissertatio de Meningite tuberculosa...*

Choć się już potem przekonał, że nic nie knuję, stosunki moje z Halmem, mniemana uczoność, odosobnienie w jakim żyłem, wadziły mu, rad był się pozbyć i różne ku temu poczynił kroki usiłując wyprawić na wieś. Tymczasem siedziałem jednak uporczywie w miasteczku, które dawało ubogi chleb powszedni i spokój nieopłacony. Zrana obchodziłem biednych pacjentów moich, potem często zawadzałem o dworek Halm'a, z którym zasiadaliśmy w jego ogródku na gawędkę, jeśli był w domu, co się najwięcej trafiało; wracałem na mój kawałek chleba do domu, a po obiedzie puszczałem się w okolice na przechadzkę. W porze roku kwiecistej herboryzowałem, zbierałem owady, robiłem prócz tego postrzeżenia meteorologiczne i to mnie żywo zajmowało, wieczór najczęściej spędzałem w domu nad książką. W towarzystwo miejskie wchodziłem mało i wcale go nie pragnąłem, a to moje usunięcie się od niego obudziło uczucie nieprzyjemne. Sprawnik, strapczy i ci panowie, choć witali mnie nieco z góry, ale grzecznie, posadzali wielce o niedobre jakieś zamiary, brzydząc się istotą podejrzaną, która

ich życia dzielić nie mogła. Parę razy za Eframowicza zapotrzebowany do śledztwa, poprowadziłem je nie tak jak sobie życzyli, unikali mnie na potem, jako niewygodnego współpracownika. Z jednym więc tylko Halmem żyłem w miasteczku, a i to za złe mi miano, on sam bowiem będąc ciężki, często wyprawiał mnie na swoim miejscu na wieś i to co było potrzebą serca, porachowano mi jako spekulacją dla pozyskania sobie i odciągnięcia jego pacjentów.

Wierciecie mi jednak, mimo tego smutnego obrazu, który wam kreślę, że choć są źli ludzie, choć świat jeszcze pogański, w ogóle nie straciliśmy przyrodzonego instynktu, co do dobrego wiedzie, a jeśli sił kto nie ma je pełnić, ma prawie każdy poznanie dobra i szacunek dla niego. Maluczkom ja mógł uczynić w miasteczku, przecież poznano się na mnie, leczyłem ubogich, jako lekarz nie wymagałem nic od nich, anim się kiedy targował, mając to sobie za zasadę, że ocenienie pracy naszej nie do nas należy; a żem był chętny i z serca zajmowałem się biedakami, żydowstwo, mieszczenie, uboż wszelka przywiązali się do mnie nie zasłużoną wdzięcznością. Eframowicz i to miał mi za rachubę podyktowaną nie przez serce, ale przez antagonizm przeciwko niemu, a zobaczywszy, że miasteczko całe zrana garnie się do drzwi moich, zapalił się wielkim choć starannie tajonym gniewem.

— To chytra żmija! zawołał przy cyruliku, który zaraz mi słowa jego powtórzył — potrzeba go ztąd wykurzyć... on tu dla nas wszystkich jest wrogiem, Halma wziął pochlebstwem, żydów mniemaną dobroczynnością, a dwóziotówki płyną i jeszcze go sławią pod niebiosą wynosząc... dobrze się wziął! ha!

Takie były początki mojej praktyki, a niemożność zbliżenia się do ludzi, nienawiść jaką spotkałem, zastręły je najboleśniej. Nicem przecie nie czynił, aby wyjść z tego położenia, na które jedyną radą była rezygnacja i życie uczciwe — nic mi zarzucić nie mogli.

Powoli zaczęto się obracać ku mnie zewsząd, Eframowicz tał gniew, który nim miotał — został przy

szpitalu, przy śledztwach, rodzajem medyka-urzędnika policyjnego, jako lekarz codziennie tracąc praktykę. Spełniał bowiem ten swój obowiązek zimno, pośpieszenie, szydersko, a gdzie go większy nie oczekiwał datek, tam bez ceremonji, albo sam nie szedł i cyrulikiem się wyręczał, albo poszedłszy zaledwie spojrzeć raczył.

Spotykaliśmy się zawsze, z razu był nadskakujący, potem już codziennie mniej tał się ze swą nienawiścią ku mnie i żalem. Nie mając sobie nic do wyrzucenia, postępowaniem mojem starałem się łagodzić nie rozjątrzać. Wpływ jego w końcu podziałał tak na urzędników i miasteczko, żem ani jednego domu przyjaznego nie zachował oprócz chatki Halma... i moich ubogich.

Chodziłem do kościoła, zdaje mi się że i pobożność moją Eframowicz przeciwko mnie obrócił, był to rys bardzo przypadający do fizjognomji, jaką mi chciał nadać — hipokryty i świętoszka.

Co sobie zadał pracy, aby na mnie znaleźć jakąś głośną i wielką kondemnację, trudno dziś wypowiedzieć, wolę to pokryć zapomnieniem i przebaczeniem.

Grosz ubogich, od którego często nie obrażając ich odprosić się było niepodobna, datek zamożniejszych ludzi, z którymi Halm stosunki mi porobił, oszczędność nie nie kosztująca bo konieczna dla mnie, postawiły mnie po jakimś czasie w tak szczęśliwym położeniu, żem parę koni i bryczkę porządną mógł nabyć i swymi już kucykami jeździłem do oddalonych chorych po wioskach.

Wielkie to powołanie kapłana-lekarza, gdyby je tak pojąć chciano, nie jako chleb ale jako postannictwo. U łoża boleści, w chwilach niebezpieczeństwa, jakże skutecznie i na duszę działać można, jak wielki obowiązek leży na nim poszanowania człowieka w boleści, łagodność dlań i świętego rycerstwa prawdy, a niepozbawiania złemu! Ale na to samemu apostołowi czystym i świętym być potrzeba. Ileż to razy słowo leczy lepiej od lekarstwa, pociecha religijna umacnia, uczucie rezygnacji wlane w porę ochładza i uspokaja. Każdy by kapłan powinien być razem lekarzem; z dwojga

tych władz nad duszą chorą i ciałem, jak silna wyrodziła by się potęga nad ludźmi, jak skutecznie mógł by nią działać wiodąc ich ku dobremu.

Halm stary, ze szkoły jeszcze Franków i XVIII. wieku — gdy przybył do miasteczka i zapoznał się z nim, z razu mimo dobroci serca przykre na mnie zrobił wrażenie niedowiarstwem swoim, które weń wlała stara nauka bez ducha, zimna, szukająca bezpieczeństwa i portu w sceptycyzmie.

Ale w tym zacnym człowieku trwała na iskierce niedogastej oparta walka tego co weń wpojono, z tem ku czemu wiódł go instynkt potrzeby wiary i przeczuć jej prawdziwości. Materjalista był razem mistykiem, religiję odpychał ale przypuszczał mnóstwo tajemnic, wysoko podnosił ducha, miał potrzebę modlitwy, walczył z tą, jak ją nazywał słabością.

Medycyna na nieszczęście jest jedną z nauk najbardziej ostudających człowieka i przykuwających go do rzeczywistości. Halm gdy się stawał medykiem, w nie już nie wierzył, wracając do człowieczeństwa swojego, wzdychał ku zamkniętym światom ducha. Zdaje się że rozmowy ze mną i stosunki nasze coraz częstsze, obudziły w nim chęć poznañomienia się z dziełami, któreby go w przedmiocie religijnym objaśnić mogły... zaczął czytać Nicolas'a, wziął się do innych ksiąg apologetycznych, znalazł w nich nowe, żywe zajęcia i jakąś pociechę. Nie raz ja mu głośno czytywałem w ogródku i takeśmy na tych umysłowych biesiadach pędzili długie godziny; starzec przychodził do zgody z sobą, i to mu na wiek już późny zostało wielką pociechą, dało pokój wewnętrzny jakiego nie znał dawniej.

Ten nowy stosunek utrwalił przyjaźń między nami, a poznawszy mnie bliżej, Halm przywiązał się, jak osamotniona starość do odżywiającej ją młodości przywiązywać się umie. Z drugiego końca miasteczka często przychodził do mnie, siadywał do późna. Nawczas powracającego ja go znów odprowadzałem i rozstawaliśmy się często nad rankiem. Gdy do tego przyszło, Eframowicz nie mogąc sobie inaczej wytłómaczyć

stosunków, jak pochlebstwem z mojej strony a słabością z drugiej, mocniej się przestraszył jeszcze o pacjentów, których mu mogłem odebrać, odziedziczając ich po Halmie.

Widziałem jak rosła i wzmagala się jego i przyjaciół nienawiść ku mnie, ale ją rozbrajał spokojem i pokorą, nie dopuszczając walki niepotrzebnej i drażniącej.

Często mi to Halm wyrzucał, że zbyt mało o godność swoją stoję, gdy Eframowicz najrozmaitsze wymyśla przeciwko mnie niedorzeczności i figle mi płata, ale postanowił milczeć póki by szło o mnie.

Walka wyradza gniew, a ten jest najgorszym doradcą, i sam przez się uczuciem ohydne, bydlęcem, strzedz się go należy, bo gdy raz ta namiętność obejmie, człek nie jest już panem siebie, nie wie dokąd go ona zaprowadzić może. Z razu gniew w zarodku zgnieść można w sobie, później już siły nań nie starczą — wypłec go musisz z duszy nim wyrośnie, bo zboże zagłuszy.

Robiono mi tysiączne maleńkie przykrostki, naznaczano do najtrudniejszych czynności, na podróże i dalekie komenderówki w porę najmniej dla mnie wygodną, podbudzano na mnie w miasteczku, rzucano potwarze, znosiłem wszystko — ale walka była nierówna — Eframowicz codzień się uzuchwalał, a jam go bierną cierpliwością nie mógł zwyciężyć.

— Słuchaj WPan, rzekł widząc to Halm, ty się tu zagryziesz, a raczej oni cię zagryzą, jakkolwiek znosisz cierpliwie, ale albo nie wytrzymasz w końcu i wdasz się z temi niegodziwcami w walkę nierówną, albo cię oni bezbronnego zgniotą i zamęczą, na to potrzeba coś radzić!

Kilka już lat przeżyłem w tym kątku i przywiązałem się do niego, ciężko mi zawsze rozstawać się, bo przyrastam do miejsca, przekonany nawet jestem, że natura człowieka nie przeznaczyla na tułactwo, ale na stałe osiedlenie, które jest dlań warunkiem szczęścia. Nie wierzę w to żeby gdzieś lepiej było jak gdzieindziej, ci co się ludzą tą nadzieją, dopiero w końcu zawodu swego przekonywają się, że to

co im zatruwało życie, w nich mieszkało nie po za niemi. Bardzo mi się nie chciało opuszczać miasteczka, do którego szczerze się przywiązałem, gdzie oprócz tej szajki Eframowicza nie miałem nieprzyjaciela. Nie rozpoczynając przeciwko nim krucjaty, zdawało mi się że oni też w końcu w pokoju mnie zostawić powinni. Wypadło tymczasem jakieś śledztwo, Eframowicz był już w powiecie, pilno potrzeba było obejrzeć trupa; — wysłano mnie, dodając dla straży cyrulika, prawą rękę Eframowicza. Był to wypadek nagłej śmierci, zdarzony w domu, gdzie nikogo nawet ani się o zbrodnią posadzić godziło — umarł gospodarz, głowa domu, po którym płakała żona, troje dzieci, którego słudzy kochali... gdzie nie było śladu ani interesu coby pobudził, ani nieprzyjaciela któryby zbrodnię wykonał.

Uważałem ten wypadek jako dopełnienie prawnej formalności. W drodze już cyrulik mi szepnął, że się domyśla iż tam być musi kryminał, iż krążą gawędy o jakichś podejrzeniach; ofuknąłem go za to, będąc pewien że to natchnienie subalterna, który Eframowiczowi, sobie i policji chciał napędzić nieprawego zysku. Dom był bardzo zamożny, sam mój przyjazd przeraził, a gdy cyrulik szepnął że potrzeba będzie ciała egzenterować, żona nieboszczyka przyszła i do nóg mi się rzuciła, ofiarując co zażadam, bylebym nie profanował zwłok męża.

Pieniędzy nie przyjąłem, — obiecałem co będzie można i sam poszedłem do ciała, na którym widne tylko były ślady gwałtownej apopleksji. Z badania ludzi nie okazały się żadne symptomata otrucia, któreby podejrzenie rzucić mogły, uznałem więc dalsze poszukiwania przyczyn śmierci za zbyteczne... Chirurg mocno obstawał za otwarciem ciała, ale mu stanowczo oświadczył, że nie widzę tego potrzeby, uspokoiłem rodzinę i odjechałem. Na drodze już spotkałem sprawnika i Eframowicza, którzy lecieli na miejsce... pokazałem im akt sporządzony, pokiwali głowami, zabrali go i pojechali.

Tajemne doniesienie wskazywało istotnie służącego,

który do pana o żonę swoją żał mając, podać mu miał silną truciznę; pozory były straszne, a ja winien się okazałem, że zbyt dobrze trzymał o ludziach. Dostałem się naturalnie pod sąd, musiałem opłacić urzędnikom od potępienia ostatecznego, i w całej tej nieszcześliwej sprawie postępowanie towarzysza wykazało mi niechęć głęboką, zjadłą, nieprzyjaźń niezwykłą... Mimo odwagi wewnętrznej, która mnie nie opuszczała nigdy, osłabłem i zawałałem się, a gdy przybył do Halma po ostatniem badaniu, łzy mi się w oczach kręciły.

On wiedział już o wszystkim, o moim kłopotcie, o tem jak mnie zgnieść usiłowano i że mnie odarto w sposób najohydniejszy. Jeden z nich wziął u mnie pieniądze, sam się sposobem pożyczki o nie upomniał, bobym mu ich dać się nie odważył; drugi niby kupił u mnie gwałtem bryczkę i konie... Eframowicz bez ceremonii poprzątał z domu co było lepszego aż do książek.

— Wiesz co, rzekł Halm — ty tu wytrwać nie potrafisz, to niepodobieństwo, osiądź na wsi, właśnie hrabia IX. mówił mi o tobie z tą myślą, ażebyś u niego w miasteczku przy jego rezydencji jako lekarz nadworny zamieszkał; dom uczeiwy, ludzie zacni, płaca mała, ale praktyka w sąsiedztwie w pomoc jej przyjdzie, wieś, spokój, swoboda, życie ciche, towarzystwo dobre i w dodatku nie będziesz patrzył na tych łajdaków.

— Chciałbym wprzód choć własnymi oczyma zobaczyć do Eldorado, rzekłem Halmowi.

— No! to ja cię zawiozę, odparł stary.

Nazajutrz pojechaliśmy do Waliborowa. Samego hrabiego widziałem z daleka razy kilka, był to stary już człowiek, dobry, łagodny, grzeczny, zawojowany przez żonę i mający jedną tylko słabość do pisania wierszy francuzkich. Wychowanie, które odebrał, młodość spędzona za granicą, naśladowanie innych uczyniły go Francuzem, a nie wiem kto mu mógł podać, że był poetą. Przekonałem się później, zbliżywszy się do niego, że nie ma w świecie nic łatwiejszego jak pisać poezje

francuzkie, jest to właściwie język, który nie z wyrazów jak inne, ale z całych składa się frazesów, myśli, zdań wystereotypowanych... Jak skoro po naszymu zechcesz to rozbić na części składowe i użyć cząstek swobodnie, już to nie będzie francuzczyzna. Ten tylko mówi i pisze dobrze po francuzku, kto używa całych frazesów odlanych od razu; i najdowcipniejsi ludzie, najwięksi pisarze są jak zegarmistrze genewscy, którzy kółka kupują w jednej fabryce, sprężyny w drugiej, czasem cały werk osobno, kopertę oddzielnie, cyferblat sprowadzają, a sami składają tylko części gotowe. Ztąd żeby pisać i być pisarzem francuzkim, rozumie się pospolitym, nie wiele potrzeba, złoży się zawsze z tych sztuczek jakiś komunał nie bardzo bezsensowny, a ja się tylko temu dziwuję, jak dla istotnie oryginalnych i myślących pisarzy we Francji musi to być wielki kłopot, żeby się z wieżów pospolitości wyłamać. W nie jednym z nich widzę lub zdaje mi się, że dostrzegam to pragnienie i usiłowanie, nie mało kosztujące pracy, a często bezskuteczne.

Mój hrabia ze swemi poezjami, które były najczystsza pisane francuzczyzną, nie zadawał sobie tego kłopotu wcale: brał, przypominał, sztukował, porównywał to potem do innych i był najpewniejszym że stoi na wyżynach Victora Hugo, A. Musset i Lamartin'a. Brakło mu tylko tego, żeby się pokazać w Paryżu, naturalizować i zasiąść w cenaklu czterdziestu nieśmiertelnych. Oprócz lekkich poezyj, pracował od lat dwudziestu pięciu nad wielkim poematem romantycznym, *Ostatni trubadur*. Zresztą jako człowiek, hrabia lx. był najpoczeiwszym, żonie ulegał jak dziecię posłuszne, sąsiadem był uprzejmym i do usług gotowym, chrześcijaninem gorliwym, i co w nim niedoskonałości znalazł, potrzeba było przypisać je światu, zakucił się w jego przyzwoitości, nawyknięcia i formuły.

Niech mi tu wolno będzie, przyjaciele moi, choć oklepaną może powtórzyć raz jeszcze prawdę, że to co się zowie światem i formy świata, wiele w istocie czynią złego, gdy kto im służy niewolniczo. Są ludzie co

dla świata wstydzą się praktyki cnoty i praktyk religijnych, co dla mniemanej przyzwoitości nie spełniają obowiązków, co się gorszą dobrowolnie, aby zejść do poziomu pospolitych ludzi i zrównać się z niemi, nie mając odwagi do wystąpienia przeciw światu i wymaganiom jego.

Jeśli co do nawrócenia pogan dzisiejszych staje na przeszkodzie, to ta fałszywa cywilizacja formy, która szkodliwsza jest niżeli się zdaje. Ani pokazać boleści, ani objawić oburzenia, ani skarcić występku nie pozwala świat i przyzwoitość... ani się odróżnić od innych, choćby poczeiwie, nie wolno, tłum ciągnie, idzie się baranym sposobem za tłumem. Ludzie najpoczeiwszi a słabego charakteru, gdy raz zagrzejną, czują dobrze iż wpadli na drogę fałszywą, a zejść z niej nie mają siły, walczą z sobą i nie mogą się podnieść nad tę falę, nad którą głowy podźwignąć nie wolno.

Fałszywy wstyd opanowuje ich w chwili najpoczeiwszych postanowień, — tego powiedzieć się nie godzi, tamtego wyznać nie wypada, to nie uchodzi w salonie, to cię poda za źle wychowanego człowieka, i tak przez owe formy żelazne, odejmujące wszelką samoistość, wpadamy w optymizm a raczej zobojętniałość na wszystko. Poczynamy od tolerancji wszystkiego w drugich, a kończym na zgubnem pobbazaniu samym sobie. Kończę potrzebą bliźniego, ale mu pobbazać się nie godzi, tem mniej sobie. Miłość powinna dać siłę ratowania brata! gdybyśmy widzieli kogoś trującego się, czyżbyśmy mu nie wyrwali z rąk naczynia, i nie rozbili je, choćby to mogło być niegrzecznem?...

Dom Ixów cały stał na formach, był on jednym z najpospoliciej u nas trafiających się, poczeiwy, przyzwoity, a pełen nielogiczności. Wszyscy w nim byli gorliwi katolicy, ale spełniając co nakazywał kościół do drobnostek, nie troszczyli się o wyższe prawdy religijne i wprowadzenie ich w czyn, o zaświadczenie wiary życiem. Było trochę arystokracji, było dużo francuzkiej galanterji, ale wiele i dobrego, bo religja ma to do siebie, że ci nawet co jej powierzchownie tylko

się trzymają i spełniają bodaj formy same, już są niemi nawet pociągnięci mimowolnie ku dobremu.

Dom składał się z samego hrabiego, poety i francuza, z hrabinej, niegdyś cudnie pięknej a teraz jeszcze bardzo widoczne ślady tej piękności zachowującej starannie, kobiety dobrej ale słabej, lekkiej, zalotnej, pragnącej hołdów, uwielbień, czcicieli i przypomnień młodości choć miała więcej lat czterdziestu; — z córki Eweliny, osiemnastoletniej, wychowanej do świata i wedle świata panienki, i towarzyszkę jej, ubogiej dziewczyny, wziętej ze szlacheckiego dworku dla zabawy pańskiego dziecięcia.

Oprócz tego były dwie guwernantki, francuzka uczona, której hrabia swe wiersze czytywał i muzyczka niemka, blondynka dość ładna, uczennica konserwatorium, żyjąca tylko muzyką. Dalej jeszcze znalazłem rezydenta, dalekiego kuzyna, coś nakształt marszałka dworu, młodego i ładnego mężczyznę, który używał opinii faworyta samej pani, kapelana, zacnego człowieka mającego tę wadę, że nad wszystko polowanie lubił, — i zawsze liczne bardzo towarzystwo zwabione wdziękami panny Eweliny, stosunkami państwa i stopą domu pańską, stołem, kuchnią, muzyką.

Ujrzałem się nagle w całe nowym świecie, czując że i w nim dosyć mi będzie ciężko, jeśli zechcę wedle sumienia iść prawdą i prawdę mówić szczerą.

Przyjęto mnie z tem zresztą bardzo słusznem niedowierzaniem i obawą, z jaką ostrożni oglądają każdego, mając go przypuścić do swojego rodzinnego koła, towarzystwa i życia powszedniego. Świat aż nadto usprawiedliwia tę nieufność, a znajomość serca ludzkiego i własnej słabości, powinna nas w wyborze towarzyszków i przyjaciół czynić oględnymi. Nie obraziłem się tem bynajmniej, że mnie oglądano z trochę dziwną ciekawością, którą łagodziły grzeczne formy. Halm wprawdzie, którego tam ceniono, a szczególnie lubiła sama pani, bo miał u niej stare zasługi, ręczył im za mnie, ale nie mniej poznać i wypróbować musieli sami.

Proszono pod pozorem jakiejś słabości, ażeby

został na cały tydzień, a ja postanowiwszy prawie poddać się losowi nie robiłem trudności. Choć form im zwyczajnych nie znałem i to mnie śmielszym w ich oczach czynić musiało, wrędcę schwyłem główne prawidła życia, do których sumienie pozwalało się zastosować, aby im sobą nie psuć zgody i harmonii życia. Nie mogę powiedzieć, bym na wstępie znalazł tu nieprzyjemne uczucie, pani tylko zawsze okazywała się zimną dla mnie ale pełną uprzejmości, reszta domu życzliwą. Największą dla mnie trudnością było, żem języka francuzkiego nie znał tak dobrze, aby nim mówić z łatwością, bo tu oprócz sług, wszyscy mówili po francuzku. Ale jako lekarz i figura podrzędna, mogłem się nie mieszać do rozmowy; mnie to jednak i ich zarówno jakoś kłopotalo.

Z razu wystawiony na rodzaj badania, uczułem boleśniej położenie moje, ale po dwóch dniach poddałem się tej torturze z uśmiechem. Nie było w śledztwie nieżyczliwości, hrabia instynktowo mnie polubił, hrabina mogła znosić, choć potrzebowała charakteru więcej nad mój do pochlebstwa skłonnego, jam się jej wydał zimny. Szczęściem, oddała mi z innych względów sprawiedliwość, boby się mimo pana domu nie utrzymał, gdyby ona zaprotestowała. Francuzka, wielka ulubienica pani, może dla tego nie zupełnie niechętnem rzuciła na mnie okiem, że upatrywała w przybyszu łatwą dla dowiecipu igraszkę, a że często chorowała, łatwego i powolnego lekarza. Słowem, przyjęto mnie po tygodniu próby za domownika i jam się tu znalazł lepiej i wygodniej. Atmosfera tutejsza w inny może sposób nie zdrowa, przyjemniejszą jednak była do oddychania niż miasteczkowa... Zepsucie tu nie było ani tak bezwstydné, ani tak głęboko zakorzenione.

Zrazu postawiono mnie w pałacu, ale hrabia kazał wyorządzić apartament w oficynie aż nadto dla mnie wygodny i obszerny. Zyskując wiele pod innemi względami, straciłem tu wszakże jeden z darów, których się człowiekowi wyrzec najtrudniej — swobodę ruchu i godzin. Nie byłem panem ani czasu, ani siebie, zmuszony za-

stosowywać się do wszystkich, wszystkim ulegać. W chwili najupodobańszej pracy wywoływano mnie dla obojętności palca hrabiny zakłutego od szpilki, dla kaszlu francuzki, która nie mogła się zdecydować czy Pate de Regnault, czy Ipecacuanha Losenges nań użyć. — Kapłan ciągnął mnie na polowanie, niemka potrzebowała niekiedy słuchacza, gdy się z grą popisowała, hrabia na nowy wiersz, jeśli go nie przyniósł do oficyn, to do siebie powoływał — słowem, nie miałem pokoju.

Do osób, o których tu wspominałem, dodać jeszcze muszę pannę Ewelinę, z której uczyniono dobrowolnie istotę nic nie znaczącą, płochą i niepojmującą wcale ważnych zadań życia. Matka, która władała interesami, gospodarstwem, domem i miała swoje zajęcia, raz lub dwa tylko widywała ją w dnie i zdala na Madame Voyou i Fräulein Drescher, które się wyłącznie jej wykształceniu poświęciły.

Przy niej, jakem już mówił, była towarzyszką rówieśnica, imię jej było Lucja.

Serapion westchnął, spuścił oczy i zatrzymał się chwilę.

— Toć już widoczna, rzekł szydersko Longin, żeś się Wasza Świątobliwość musiał w niej zakochać... oszczędzam twej skromności to wyznanie...

— Człowiecze! rzekł poważnie a łagodnie kapłan, spojrzij na suknię moją i wstrzymaj się od szyderstwa... Nic nie było w tem uczuciu poczciwem, czego bym się dziś mógł powstydić, i wyznanie to kosztować mnie nie będzie.

Lucja jak ja, była dzieckiem ubogich rodziców, ale poczciwego dworku naszego co stare przechował cnoty. Wychowano ją w domu pobożnie i święcie i był to anioł dobroci, jak anioł wdzięku i prostoty, w tym domu, przyjaźnym zresztą, przebywający ciężki czyścić próby. Uczyniono jej pozorną łaskę pozwalając korzystać z nauk obok hrabianki, ale dziecię strzechy słomianej opłacało się tysiącem upokorzeń.

Naprzód całe to życie, w które weszła Lucja było dla niej niezrozumiałem, bo wychowana po chrześcijańsku

inaczej pojmowała cel jego, potem przypuszczona do tej świątyni musiała stać zdala jak neofita, a wszystko co w niej dobrego było, przeciwko niej świadczyło i kryć się musiała z całą duszą, aby nie zasłużyć na pośmiech otaczających. Bóg jej dał ku temu anielską cierpliwość i pokorę; nowicjat życia odbywała cicho, nie skarżąc się, uśmiechnięta choć nieustannie upokarzana i drażniona. W innej byłoby to obudziło uczucie nienawiści, zemsty, pragnienie usamowolnienia, bo nie tak nie jątrzy charakteru jak położenie podobne, niby równe, w rzeczy niższe i narażające na nieustanne drobne uklucia. Lucja była stokroć szczęśliwszą w domu, ale rodzice chcieli dla niej tego świetnego wychowania, wysoce cenili sobie umieszczenie przy hrabiance, nie było sposobu wyłamać się z tego.

Pani Voyou głośno i cicho lubiła porównywać swe dwie wychowanki, zawsze nalegając na rodowe przymioty i dystynkcję Eweliny, na jej zdolności i talenta; Fräulein Drescher nieco była przyjaźniejsza Lucji, ale różnice wieku i położenia nie dopuszczały między nimi poufalej przyjaźni. Dwór naturalnie padał na twarz przed hrabianką, a Lucja była cieniem, który tę światłość podnosił — byłoby to dla niej najmiłszem, gdyby gwałtem nie wrywano jej z kąta, w którym zostać pragnęła.

Moje położenie i charakter naturalnym mnie jej czyniły sprzymierzeńcem, chociaż nie rychło ośmieliłem się ku niej oczy obrócić.

Przybysz w tym domu, zrazu wystawiony byłem na tysiączne próby, z których wyszedłem zwycięsko, z wyższego stanowiska poglądając na ten świat niż ci co go zamieszkiwali.

Nie było w moim charakterze ani kłamać, ani pochlebiać, alem też nie był skwaszonym opozycjonistą, co wszystko karci i złem widzi. Gdy mnie pytano mówiłem prawdę, gdy nie badano milczałem, jeśli nie był przyjemnym, byłem przynajmniej nie zawadny.

Położenie lekarza jest takie, że go wszyscy niemal potrzebują, więc choć grzeczni dlań być muszą — zna-

lażem też wszystkich dla siebie dosyć dobrze usposobionych. Od zbytniej niewoli dworskiej i salonowej uwalniały mnie obowiązki, bo wielki klucz, w którym hrabina pozakładała lazarety i trzymała cyrulików dla włościan, nieustannie objeżdżać musiałem.

Dopełniałem tego chętnie i z największą gorliwością. Pierwszy to raz zbliżałem się do ludu naszego, który wielce się różni od mieszczan lepiej mi znanych, — zajęło mnie tu wszystko, opuszczenie jego, niedola, ciemnota i wrodzone przymioty wielkie, które uznać musi każdy, co wieśniaka bliżej poznaje. Nie występkiem jego i wadom, ale cnocie i zasługom dziwić się tu potrzeba. Lud wschodzi jak trawa, jak trawa rośnie i jako trawa jest zdeptany; jeśli tam kwiat jaki wykwiła to cudem. Bóg mu dał więcej niż ludzie.

Objeżdżając chaty, wchodząc do nich, poznając się z włościanami, prawdziwą w tem apostołstwie znalazłem przyjemność, ale zarazem przeraziłem się stanem ciemnoty w jakim go ujrzałem. Rozum, którego nikt nie kształci i nie próstuje, serce którego nic nie zmiękcza, instynkta, które przeważnie same sobą kierują, namietności, których nie nie przeciwważa... a wiara czystą formą tylko... oto stan ludu naszego. Pomimo tych przeszkód lud ten, w gruncie, jeśli go do rozpacz nie przywodzą, łagodny, łatwy ku dobremu, szlachetny, na poświęcenia gotowy — ale położeniem pognębiony, pozbawiony pierwszych zdrowych pojęć, które mu są najpotrzebniejsze, cóż dziwnego, że się czasem obłąka?

Jedno tu tylko na przykład przywiódł, pojęcie własności. Złodziejstwa są bardzo częste, dla czego? bo chłopiec zupełnie o wyłącznej własności żadnego pojęcia nie ma. On sam nie posiada siebie. — Ja pański, powiada, pan Ciesarski, a wszystko Boże! wszystko więc wspólne... Własność uważa jako Proudhon za nadużycie tylko i przesad... Jest w tem komunizm starej gminy słowiańskiej, jest tradycja i skutek położenia długo niewolniczego. Nie waha się więc chłopiec wziąć cudze, bo mu się zdaje, że cudzem jest chwilowo, konwencjonalnie, a choć mu tego nie wydzielono, ono równie do

niego jak do wszystkich należy. Może być inaczej, kiedy nie ma własności on sam, i parą wołów roboczych i ziarnem zapracowanem rozporządzać nie może, *uti et abuti...*

Przywiódłem jedno tylko pojęcie, którego mu brakuje, ale ileż innych fałszywych! a któż myślał kiedy o ich sprostowaniu?

W pałacu zamierzano niektóre ulepszenia bytu włościan naśladować w tem popęd ogólny, ale gorąco nie zajmowano się niemi. Hrabina wszakże wdzięczna mi była za urządzenie lazaretów i pilność moją, choć nie byłaby darowała pewnie, gdybym śmiertelnie chorego chłopka nie porzucił dla jej zdraźnionego paluszka, paluszek hrabiny, w jej przekonaniu, wart był nieskończenie więcej niż nie jedno życie wieśniaka.

Wiedliśmy w Waliborowie żywot znośny, a dla innych może nawet wesół, gości bywało dosyć, bo sąsiedztwo bardzo ten dom lubiło, a trzeba oddać sprawiedliwość hrabiemu, że był niesłychanie dla wszystkich uprzejmy i grzeczny. Było w tem coś i polskiej starej gościnności i francuzkich form wyszukanych, ale razem wzięte czyniło go to jednym z najprzyjemniejszych gospodarzów domu. Do nikogo jednak mocniej nie przystało serce moje, nawet do kapelana, który był poczciwy, ale opanowany namietnością dziecinną, tak że nie marzył jeno o myślistwie, i mszę świętą odprawiając wyciągał w pole, a nie wracał aż późną nocą. Marszałek dworu był ze mną zdaleka, bo się miał jako krewny państwa za człowieka innego świata, ja zaś nie tając się z mojem pochodzeniem otwarcie o niem mówiłem.

Lucja ze wszystkich była dla mnie istotą najsympatyczniejszą; powziąłem ku niej, nie miłość, bo tego uczucia nazwać mi trudno wyrazem tak wytartym, pospolicie oznaczającym szal chwilowy, — ale raczej przywiązanie braterskie i cześć poczciwą. Nasze dusze rozumiały się, charaktery przystawały, położenie nas zbliżało i nic w tem nie było zadziwiającego dla nikogo. Sądzę nawet, że się domyślano wprzód koniecznego

przywiązania mego do niej, niżeli ja sam je poznałem, a raczej po świecku obrachowano, że młody w kimś, a najprędzej w pięknej Lucji zakochać się muszę.

Nie było to jednak zakochanie... jam go w życiu nie znał, kochałem w niej istotę wybraną, biedną a pocziwą, silną i niezępsutą, pełną godności i wdzięku. Ona mi tu ze wszystkich wydawała się najidealniejszą, choć piękności i dziewiczego uroku pewnie więcej było w Ewelinie — istocie powietrznej, uśmiechniętej ławo, powabnej, trochę zalotnej i jak matka już potrzebującej do życia atmosfery kądziel i pokłonów. Prócz matki, która ją po swojemu na zimno kochała, Ewelina była od wszystkich wielbioną w całym dworze i nieco przez to zepsutem dziecięciem. Stłumiono w niej umyślnie świętą pokorę, podniecono próżność, wmówiono że jest wybraną istotą — przepowiadano losy świetne, niemal koronę.

Pani Voyou była w tem niewyczerpaną; ojciec na kłęczkach był przed nią — matka kochała w niej swą młodość, jakże nie mieli trochę ją popsuć i nauczyć egoizmu? Straszno było patrzeć na to rozkołysane szczęściem dziecię i pomyśleć, że los tak często urągający się przepowiedniom, mógł ją dotknąć i wystawić na próby, na nieszczęścia, przeciw którym wcale nie była przygotowaną. Nędza, upokorzenie, cierpienie, gdyby ich Bóg dobrośliwy nie oszczędził temu słabemu dziecięciu, byłyby je zabiły lub zawiodły nie wiem w jakie przepaście... pochlebstwo mogło ją obłąkać, lada przeciwność złamać; — nie miała pojęcia życia, nie była wcale przygotowaną do walki; każde jej zachcenie było rozkazem, którego słuchali wszyscy, każdy uśmiech tryumfem, każdy smutek klęską publiczną...

Kochała ona Lucję, ale tak jak pieśczochoy kochają, każąc sobie za miłość odsługiwać, nosząc się z nią jako z rzeczą wielką, chwając ją, czyniąc z niej aureolę; nie była to przyjaźń cicha i głęboka, ale rzecz na pokaz stworzona, a między czterema ścianami słabnąca... trochę serca a wiele komedji.

Wyzwolony od Eframowicza, wdzięczny byłem Hal-

mowi, że mnie tu umieścić — jakkolwiek nigdzie między ludźmi zupełnie dobrze być nie może, spokojnie mi tu było przynajmniej, a unikałem zetknięcia z tym światem urzędującym, którego już miałem zanadto. Czasem jeździłem tylko do miasteczka, aby starego doktora pozdrowić, poradzić się z nim, i dzień jaki w towarzystwie jego przepędzić.

— Słuchaj no, rzekł mi raz, gdy do niego przybył — tu już zaczynają mówić, że ty się chcesz żenić z Lucją, czy to prawda?

— Ja żenić się! — zawołałem z uśmiechem — ja, co nie mam jeszcze ani grosza na jutro, ani dachu własnego, com nigdy na żadną kobietę z tą myślą nie spojrział i o małżeństwie ani mi się śniło? Któż to mógł przydumać?

Halm ruszył ramionami.

— Chleba kawalek zawsze mieć będziesz, jesteś na drodze do zarobienia go, nie zabraknie ci jeśli zechcesz... o to nie masz się co troszczyć. Ale małżeństwo to zadanie trudne dla sumiennego człowieka, rozmyśl się wprzód dobrze.

— Ale ja ani mogę, ani chcę o tem myśleć! — rzekłem:

— Tak? — spytał stary niedowierzająco.

— Najpewniej.

Na temesmy się rozeszli, ale wróciwszy, skutkiem może podrzuconej mi myśli, uważniej poczęłem spoglądać na Lucję. Nigdy dotąd nie zbliżał się do niej, nie przemówił prawie, obawiając się tego dla niej i dla siebie; — nie przybliżyłem się i później, ale z mojego kąta w salonie miło mi było na nią patrzeć i cieszyć się tą istotą Bożą, wśród czysto ziemskich stworzeń promieniejącą blaskiem skromności i prostoty.

Lucja cichą była, bojaźliwą, pobożną niezmiernie, za dawnych czasów byłaby sobie pewnie obrała klasztor i w nim Boga chwaliła, — wiek tylko ostygłej tej myśli nie przypuszczał, i nie dozwolił ani osnuć ani spełnić pragnienia. Wśród dworu dosyć płochego, ona jedna czystymi oczyma nie widziała, co się w koło

niej działo, nie złego pojąć nie mogła, i uśmiechała się niewinnością duszy niepokalanej. Pół dnia najczęściej spędzała w kaplicy na modlitwie, resztę przy pracy lub na posłudze Eweliny, inaczej bowiem tego jak usługą nazwać niepodobna.

Trzy lata upłynęły mi jako jeden dzień w tym domu, z którym ja i on ze mną połączył się węzłami jakiegoś nałogowego przywiązania; nie pokochano mnie może, ale mnie znoszono i lubiono nawet, hrabina nie mi do zarzucenia nie miała, zadając jedynie żem był zimny, bom przed nią jak inni nie padał na twarz. Tu poznałem lepiej to co się nazywa światem i co dziś przedstawia stary ów polski świat szlachecki. Ścisnęło mi się serce na widok ludzi w głębi pocziwowych i dobrych, ale dziwnie lekkich i nieumiejących ani myśleć, ani pracować dla przyszłości. Wszyscy chętnie narzekali — nikt nie nie czynił, umieli boleć a nie myśleli nawet o ratunku na swą chorobę, durzyli się zabawą i każdy zdawał się tylko troszczyć o to, by sam do końca jakkolwiek życie dopędził. Wielkie obowiązki i cnoty, do których my więcej od innych jesteśmy przymuszeni położeniem naszym, wszystkim zdawały się konieczne dla drugich, niepotrzebne dla siebie. Czasem w salonie dotknięto tego przedmiotu, wyzwano i mnie, a chociaż jak mogłem najłagodniej wypowiadałem myśl moją, jeszcze się im za surowym wydawał. Lucja naówczas patrzyła na mnie tak, żem w jej duszy czytał, iż się ze mną zgadzała.

Nie będę wam opisywał tych lat kilku życia jednostajnego... przychodzę do tej boleści, która mnie na wieki w czarną suknię oblokła, do przełomu w życiu mojem, którym podobano się Bogu dotknąć mnie, aby od świata oderwać.

Byłem w Waliborowie, gdy cholera wybuchnęła naprzód w okolicy, później w samem miasteczku. Strach powstał nadzwyczajny, a sama hrabina posuwała go do śmieszności prawie. Pałac opasany został kwarantanną, a ja com był zmuszony codziennie jeździć do chorych, musiałem się poddać oszyszczeniu najdziwniejszemu,

i ledwie miał pozwolenie z daleka od pani znajdować się w salonie.

Pozwono zewsząd lekarstwa, antidota, zapachy i w najokropniejszej trwodze hrabina, pani Voyou, która to uczucie podzielała, cały dwór, oczekiwali końca tej klęski srożącej się coraz gwałtowniej. Choroba wybuchła naprzód z wielką siłą po wioskach, potem w samej mieścinie położonej nad stawem i zasianej żydostwem. Dnia ani nocy nie miałem wolnej, ale dosyć szczęśliwie ndawało mi się przychodzić w pomoc chorym środkami najprostszymi, byle prędko. Wyrobiłem sobie to przekonanie, że tu nie chodzi o specyfik żaden, którego zresztą nie ma, ale o zyskanie czasu, po którego upływie nic nie jest w stanie dezorganizacji zapobiedz.

Godzina takiej kary Bożej dla człowieka, co jest do śmierci przygotowany, przytomny i patrzeć może na nią okiem postrzegacza, stanowi obraz wielki i majestatyczny.

Dotknięci plagą wszyscy są lepsi, pokora wstępuje w serca, uczucie nicości przenika człowieka, dusza jego podnosi się, świat maleje. Wiem to, że nigdy ludzie moralnie piękniej mi się nie wydali, jak wśród tej klęski, która ich podnosiła nad ziemską pospolitą troskę: kościóły były pełne, miłosierdzie czynne, rozpacz nawet cicha, a choć egoizm i tu szpecił widok, było i poświęceń wiele, które zań płaciły sowicie. U ludu fatalizm przemagał wszędzie i przekonać się było łatwo, jak on dotąd mało w gruncie chrześcijański.

Moje obowiązki nie dawały mi spocząć, jako lekarz winienem był nie schodzić z placu do ostatka.

Choroba ekonomowej w drugiej wsi za stawem wypędziła mnie nocą dla ratunku, od godziny krzątałyśmy się przy niej bezskutecznie, gdy kozak dworski przyleciał zdyszany dając mi wiedzieć, że ktoś we dworze zachorował, a hrabina rozkazywała mi natychmiast powracać.

Znając jej bojaźliwość, łatwom pojął jaki ją przestraszył paniczny ogarnąć musiał, zostawiłem więc cyrulikowi przepisy, a sam pośpieszyłem nazad do pałacu.

Zastałem tu niewyrażony popłoch, wszystko co żyło na nogach, hrabinę w kaplicy, kwarantannę, drugą na dziedzińcu oddzielającą część budowli, pokoje oświetlone i trzech ludzi na koniach po innych lekarzy.

Zasłabła była pani Voyou, około której dotąd niemka tylko chodziła i służąca, gdyż hrabina sama i jej córka cofnęły się z Lucją do przeciwległego skrzydła pałacowego.

Gdy nadjechał symptomata cholery były już rozwinięte a środki użyte nie pomagały — przyczyną choroby był ogórek, który francuzka uparła się zjeść przy obiedzie.

Zdawało mi się, że tu przy chorej powinien być znaleźć Lucją i byłaby przy niej, gdyby nie zakaz hrabinej, która natychmiast ze swoim dworem oddzieliła się całkowicie.

Okolo północy, gdy nic nie pomagało, a rozstawione po korytarzach posły dały o tem znać samej pani, na usilne prośby i zaklęcia Lucji dozwolono jej przybyć nam w pomoc do chorej. Była to prawdziwa siostra miłosierdzia i dopóki ją tylko milczącą i cichą widywałem z dala w salonie nie mogłem jej ocenić — tu dopiero czynną zajaśniała mi w całym blasku. Ani obawy żadnej, ani ostrożności, ani myśli o sobie, żadnego zwrotu ku niebezpieczeństwu, żadnej idei o zachowaniu swej godności — była sługą, pomocnicą, stróżem, a pojmowała każde wejrzenie i skinienie. Szczęściem dla nas przybyła, gdyż bez niej, mimo całych starań moich, ja sam z cyrulikiem, gdy cały dwór żeński hrabinej uciekł z placu nie byłbym nic dokazał. Po jej przyjściu przy ciągłym rozgrzewaniu boleści się uśmierzyły, ciało poczęło ocieplać i francuzka mogła usnąć, co było najlepszym znakiem, że się natura obroniła napaści. Nad rankiem padłem sam znużony w fotel przy łóżku i sen mną ośladnął... ona czuwała za wszystkich.

Przebudziłem się gdy świtało i ujrzałem panią Voyou z twarzą rozognioną już, rumianą, ale obok w krześle Lucja siedziała jak trup blada i widocznie

cierpiąca... zielona ta białosz zwiastowała chorobę, ale wierna stróżnica chorej, tajiła boleść swoją i przemagała ją siłą ducha, nie chcąc nikogo trwożyć, ani mnie przebudzić.

Dla mnie nie było już wątpliwości! — pobiegłem ku niej jak oszalały i zmusilem ją, udając złe spokojność, do położenia się w łóżko, czyniąc co tylko było można, aby zapobiedz rozwinięciu choroby.

Na rękach już musieliśmy, osłabłą nagle, zanieść do jej pokoiku. Po symptomatach wzmagających się gwałtownie poznałem grożące niebezpieczeństwo; twarz odmieniła się straszliwie i boleści musiały być okropne, ale chora nie wydała krzyku, nie zawołała ratunku, — dusza jej nawet w ostatecznym tem cierpieniu była panią, modliła się szybko, żywo i przygotowywała na śmierć.

W tejsze chwili rozesałem po lekarzy, napisałem do Halma i do dwóch innych nie ufając sobie, bo mi się zawracało w głowie; co tylko miałem w sobie energii, umiejętności, siły, wszystko obróciłem na jej ocalenie. Ale Bóg wcześniej naznaczył ją piętnem wybranych swoich i chciał jej dać śmierć męczeńską jako nagrodę za życie poświęceń. Przy jej łóżu doświadczyłem co to jest bezsilność ludzka, czem umiejętność nasza, co może nauka i jakim my prochem jesteśmy. Jak szalony rzucałem się do wszystkiego co tylko na myśl mi przyszło, nie straciłem chwili, sekundy, wy-modliłem pomoc kilku sług do niej przywiązanych, ale choroba naigrawała się z nauki, pracy, starań, nawet z modlitwy.

Jedno tylko przedłużenie jej męczarni dawało promyk jakiś nadziei, ale nazajutrz powtórzył się atak i z niego rozwinął tyfus.

Zdawało mi się, że jakkolwiek straszliwą jest ta choroba, zwłaszcza gdy po wycieńczeniu cholera przychodzi — nie jest jednak nie do wyleczenia, byłem na drodze znajomszej, sądziłem, że coś poradzić potrafię, powitałem ją jak zbawcę. Kilka dni spędziłem nieprzytomny u jej łóża między przerażeniem i nadzieją — i

doczekałem tylko końca wszelkiej nadziei i pierwszej w życiu rozpacz.

Na łożu boleści dopiero poznajesz człowieka, tu on odkrywa co ma głąb jego duszy, wiarę lub zwątpienie, tchórzliwe przywiązanie do życia, bojaźń dzieciinną i wszystko złe, które tał. Ta istota dotrwała, nawet nieprzytomna, jaką była w krótkim swem życiu, z rezygnacją anielską, z pobożnością, cierpliwością i słodyczą. Ani słowem jednym nie zaprzeczyła sobie: umarła jak żyła, czystą i wielką, pojednaną z Bogiem, z uśmiechem mimo męczarni. Na chwilę przed skonaniem powróciła jej przytomność, trochę siły, mowa, ale już czuła śmierć nadchodzącą, obróciła się ku mnie i chciała mi podziękować za starania, jakieśmy około niej mieli, zdjęła mały pierścionek z turkusem i słodkiej rączki i oddała mi go z anielskim uśmiechem.

— Miałam go od ojca, rzekła, jeśli się nie obawiasz przyjm na pamiątkę odemnie ty coś mi rodziców zastąpił... niechaj ci siostry przypomin, która się modlić będzie za ciebie. Mnie nie potrzebne było życie, ja wolę umierać...

I martwą już prawie ręką schwyciwszy dłoń moją, ze łzami w oczach modląc się skonała.

Nie wiem co się ze mną potem stało, bom nie rychło oprzytomniał, znalazłem się w swoim pokoju na łóżku sam jeden, z uczuciem jakby się życie moje skończyło i świat zamknął na zawsze... Od pierwszej chwili powrotu do siebie powiedziałem sobie że lekarzem nie będę, że nauka jest czcą, a przyszłość nie mi na ziemi dać nie może.

Ktoś tam zachorzał we dworze i przybiegli do mnie, alem rozdarł mój patent lekarza i odpowiedziałem im, że nie jestem nim więcej, porwałem kij i wyszedłem piechotą nie wiedząc gdzie mnie oczy poniosą. Sam nie wiem jak się znalazłem w kościele o mil kilka od tego miejsca i tu u ołtarza wyrzekłem ślub wiekuisty przywdziania sukni sług Bożych.

Umysł mój i serce potrzebowały się poddać pod rząd cudzy, bo sobie panować nie mogły, bezsilny,

musiałem wyrzec się woli i kierunku, i to dla mnie było zbawiennem.

Oto smutna historia — dodał Serapion, kończąc — mojego życia i odmiany stanu, a dziś, gdy na los mój pierwszy spoglądam, gdy porównygam dwie początkowe drogi moje i ostatnią, dziękuję Bogu, że mnie poprowadził przez cierpienie ku sobie. Przeżyłem walkę, przeżyłem nadzieję, największą boleść, jaką może doznać serce i przed sobą mam już tylko jedną przyszłość sługi Bożego, który nie mając własnej woli, spełnia tylko rozkazy pana. Twarz moja pogodna, serce spokojne, nic nie pragnę tylko pozostać w tym stanie ducha w jakim jestem. Nie obawiam się niczego prócz braku siły na spełnienie obowiązku.

Uśmiechniecie się może, że rozpacz taka poprowadziła mnie na drogę, którą bym był powinien obrać inaczej, ale któż zbada wolę Bożą dla czego tak, a nie inaczej to czyni co czyni z ludźmi? dla czego jednych drzwiami, drugich wyłomem wprowadza do świątyni i pełzać im każe ku światłości?

Dzisiaj jestem proboszczem małej parafii w głębinie lasów i puszczy położonej, a składającej się z ubogiej szlachty i ludu; dawne moje powołanie lekarza jest mi tu pomocą wielką, bo doktora nie mamy, a ja zastępuję lekarza duszy i ciała... Pracę mam niezmierną i za nią dziękuję Bogu, bo ona mnie trzyma dniem i nocą na czuwaniu... W tej chwili nawet, gdy przypuszczę, że mnie tam może mój ludek potrzebuje, on co nie ma nikogo — wyrzucam sobie, że tu przyszedł związany słowem danem w młodości, tylko dla własnej przyjemności mojej.

Wszyscy umilkli, nawet Longin przestał się uśmiechać szydersko, i gdy Serapion skończył, była długa chwila milczenia, świadcząca, że proste jego opowiadanie na wszystkich zrobiło wrażenie głębokie. Cyryll wstał i uściśnął go cicho, a łza prędko otarta, potoczyła mu się z oczów.

ZBIÓR POWIEŚCI
J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom sześćdziesiąty.

METAMORFOZY.

OBRAZKI

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

In nova fert animus mutatas dicere
formas Corpora.

P. OVIDII Metamorphoseon. Lib. I.

TOM III.

LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 10.

1874.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glöcksberga.

Ale jeśliś tu się płakać zebrali, to bywajcież zdrowi, — zawołał po chwili Longin, tu trzeba sobie jaśniejszą młodość przypomnieć, a nie szlochać, bo tego dostanie wszędzie... No? panowie, kto ma weselszą życia powieść, niech wystąpi, bo zacny preopinant zachmurzył oblicza wszystkich... No? kto gotów?

Ale nikt nie odpowiedział na wyzwanie, czy że nik weselszej nie miał powieści, czy że w nikim nie było usposobienia do spowiedzi.

Poczęła się rozmowa obojętna, w której chwilami przemagały wspomnienia z Łotoczka i długi czas upłynął, nim namówiono Albina, żeby on swe życie rozpoczął.

— Jąbym prawie odgadł co on nam powie, rzekł Longin, z premissów jakie znam... oto przybył do domu, rzucił się wraz z Anusią do nóg rodzicielce, ona pobłogosławiła, pobrali się i mają dużo dzieci, i żyją szczęśliwi, co widać z twarzy Albina. Że mu się i materialnie powodzi, znać z tego co otacza... *Cognac* doskonały, rum *primae classis*...

— Jeśliś zgadł, dodał — tobym się wódki napił!

— Nie zgadłeś, odparł Albin wygodnie zasiadając w krześle, bo któż ludzkiego życia odgadnie koleje? (ale to nie przeszkadza ci napić się wódki). Są w niem niezbadane tajemnice, tu rozum ludzki najwprawniejszy zawsze się myli w rachubie, bo nie zna wszystkich żywiołów i nie bierze w rachubę ani woli Bożej, ani oko-

liczności maluczkich na pozór, a mogących przecie obalić największe nadziei rusztowania.

Podano wódkę dla Longina, który raz jeszcze cognakiem się pokrzepił, a Albin odpawiwszy ludzi, tak począł, nie bez zafrasowania i wahania.

— I moje życie nie poszło tą drogą, jaką dlań młoda wyobraźnia i serce wyznaczyły. Los je inaczej urządził, i zwał wątle nadzieje, z któremiście mnie widzieli odjeżdżającego. Leciąłem rozmarzony, szczęśliwy, bo tam czekała na mnie Anna moja... ale nie bez smutnego jakiegoś a raczej tęsknego przeczucia, bo od kilku miesięcy ani od niej ani o niej żadnej nie miałem wiadomości. Spieszyłem tem bardziej, im to milczenie jej i matki mojej dziwniejszem było i mniej zwyczajnem. Jeszcze życie nie nauczyło mnie tej obawy, z jaką dziś po kilku godzinach niebytności powracamy wszyscy pod strzechę, którą w jednym oka mgnieniu może nawieźć śmierć, może zniszczyć i w garść popiołu obrócić iskra jedna. Ale przeczucie jakieś napełniało mnie tęsknotą, tak, że gdy pożegnawszy się z wami wyruszyłem za rogatki, nie dałem ani sobie ani towarzyszowi chwili spoczynku, i bez wytchnienia leciałem do domu.

Nie znacie mnie i tego co nas otaczało tylko z dawnych opowiadań moich, muszę więc choć rys wam dać tej postaci, dawno mi znanej, która pierwsza spotkała mnie z wieścią o matce, na kilka mil przed domem. Był to opiekun sądownie jej dodany, stary przyjaciel mojego ojca, niejaki sędzia Powodowicz, poczciwy i serdeczny człowiek, ale dla mnie tem nienawistny, że on pierwszy sprzeciwił się matce, gdy mu o mojem przywiązaniu do Anusi powiedziała i zdawała się nakłaniać do moich zamiarów. On to oparł się jej, doradził zwłokę, nareszcie przekonał, żeby mi uchyliła swojego błogosławieństwa i pozwolenia, jeżeliby trwał w przedsięwzięciu. Byłbym wszystko łzami i prośbą wymógł na matce, której znałem miłość dla siebie, gdyby Powodowicz nie stanął mi na przeszkodzie. Zimny i wyrachowany, pospolity człowiek łatwo potrafił przekonać ją, że to ożenienie z ubogą sierotą zawiąże mi świat,

pozbawi nadziei i podźwignienia majątku posagiem, a nie może dać szczęścia w przyszłości, gdyż lata nasze są prawie jednakowe, a charaktery nazbyt dzieciinne. Broniła sprawy mojej matka jak umiała i mogła, ale głosu zimnego rozsądku usłuchać musiała, bo w istocie Powodowicz miał słuszość po swojemu, a dla niego miłość moja była rzeczą zupełnie niepojętą. Kobieta byle piękna i młoda jedna czy druga, ta czy inna, zdawała mu się zupełnie równą... nie pojmował jak się ludzie kochali... Zresztą sam majątny i nieżonaty, od dawna miał chłodne wyrachowanie ożenienia z Anusią, której wiek dla siebie znajdował bardzo stosownym.

Przejeżdżaliśmy przez miasteczko o mil dwie tylko od domu, najbliższe wsi naszej, gdy mnie złapano na rogatce od Powodowicza i zmuszono na chwilę się zatrzymać.

Prośba jego była tak nagła i usilna, że mimo pośpiechu i niepokoju musiał stanąć, i nim do karczmy zajechałem, już nie wiem jakim cudem Powodowicz był przy mnie

Jego uściski, przywitania, serdeczności, mina pomieszana, dały mi niezmiernie do myślenia.

— Cóż się dzieje u nas w domu? spytałem — dla czego mnie pan wstrzymałeś? nie ma nic złego?

— Nic! nic! wszystko dobrze...

— Matka zdrowa? rzekłem nie śmiejąc go pytać o Anusię.

— Zdrowa i z utęsknieniem oczekuje na kochanego Albina.

— Puść-że mnie pan, niech jądę...

— Odpocznij chwilę, rzekł gładząc łysę czoło — mamy z sobą do pomówienia, pragnąłem cię zobaczyć, wyglądałem, czekałem, musimy... porozumieć się...

— Ale czy nie możnaby później? rzekłem zdziwiony jego miną tajemniczą i zmieszaną.

— W żaden sposób, kochany panie Albinie... chociaż znówu nie ma to nic tak ważnego... wprost rady opiekuńcze dla szczęścia twojego.

— A więc i za dni kilka jeszcze mi się przydadzą, odpowiedziałem.

Powodowicz wstrzymał mnie za rękę, bo już mu chciałem uciekać.

— Stój, rzekł zagadując, nie wyrwyj się. Jakże ci poszły egzamina? z jakimi do nas przybywasz projektami? my tu myśleliśmy, żeby cię wyprawić za granicę...

— A ja, odpowiedziałem, przyjeżdżam wprost rzucić się do nóg matce i nie wstać aż na moje ożenienie zezwoli.

Powodowicz pobladł jak ściana, zmieszał się, zakłopotał i ściskając mnie za rękę:

— Kochany panie Albinie, rzekł — czyż zawsze jeszcze trwasz w tem jakimś dziwnym zakochaniu? Nie przeczę, że *osoba* warta twojego przywiązania, ale ty i ona macie po lat dwadzieścia i dwa, ona w kwiecie ty w pączku... ona się zestarzeje, gdy ty zaledwie dojrzewać zaczniesz, miłość zgaśnie, a niedostatek bez niej ciężiej przeniesić będzie. Ty jesteś rozmarniony, nieogłębny, lecz my za ciebie powinniśmy mieć rozum. Majątek twój dosyć szczupły, matka wychowała cię do pieśczęt i wygódek, z ubóstwem nie masz sił walczyć. Przyszłyby dzieci, oszczędność konieczna, ofiary, którymbyś ze swym charakterem nie podolał, trzeba więc, żebyś sobie powiedział, że to być nie może, matki nie dręczył, a słów prawdy i życzliwości wysłuchał.

— Nigdy i nikt, rzekłem mu na to, nie oderwie mnie od niej, — majątek jest niczem, gdzie dwoje serc wiekuiście się sobie czują potrzebnymi, gdzie jest nadziejska sympatja. Co mi to szczęście podsędkowskie jakie mi pan przedstawiasz, dodałem, co mi dostatek, gdy to co jedno życie rozjaśnić może, chcecie mi wydrzeć? na co mi chłodno obmyślane mienie, pieśszczoty, wygódki, gdy ja z tęsknoty po niej, a ona za mną umierać będziemy?

— Ani ty po niej, ani ona za tobą... nie poumieracie, to pewna, odpowiedział Powodowicz, to pewna! ludez już z miłości przestali umierać, moi dobrodzieju! Z głodu, z niedostatku, ze zgryzoty... trafia się... ale z takiej synogarliczej tęsknoty!..

— Ale ja ją kocham nad wszelki wyraz... a ona..

— No, a ona? uśmiechnął się Powodowicz.

— Ona mi dała słowo, że niczyją nie będzie, tylko moją i dotrzyma go... dotrzyma!

— Małoś się tedy nauczył w Wilnie, odparł zimno stary, kiedy nawet wartości przysiąg kobiecych nie znasz, i liczmany bierzesz za dobrą monetę... A to plewa, moi dobrodzieju! Co dziwnego, że ona ciebie polubiła, żeś ty ją pokochał? to były miłości dziecinne... płocze... prawdę mówiąc, niepotrzebne... ale winieneś jej, jeśli ją istotnie kochasz, więcej niż takie ożenienie dać może.

— Mów pan jaśniej, rzekłem zniecierpliwiony, nie rozumiem.

— Jasno, jasno... jak najjaśniej, zawołał Powodowicz... oto masz... jasno, że... Tu się zająknął i spojrział mi w oczy.

— Że z tego nic być nie może? — pochwycilem.

— Tak, i nie może, i nie będzie...

— A ja panu powiadam, że musi! zawołałem gwałtownie.

— Kiedy nie może!

— Dla czego?

— Bo panna Anna... za mąż poszła!

Było to dla mnie uderzeniem piorunu.

— Waćpan kłamiesz! wykrzyknąłem rzucając się ku niemu... kłamiesz! jeśli tak jest... to sprawa twoja i życiem ją przypłacisz...

Stary przeląkł się gwałtowności wybuchu, i do drzwi uskoczył, ja pierwszy raz w życiu trząśłem się z gniewu nieprzytomny, ale wnet siły mnie opuściły i płacząc padłem na krzesło.

Powodowicz biedny, sam rozplakany także, nie wiedział już co począć ze mną, ale na prośby moje i błagania, aby wyznał, że to co powiedział nie było prawdą, milczał uparcie.

Szalałem, łzy płynęły mi z oczów, dalej już nawet do matki, którą tak ujrzyć pragnąłem, jechać nie miałem ochoty.

Są chwile w życiu tak okropne, że ich nie odmalować nie potrafi, ale na szczęście czy nieszczęście nie

nie trwa, i to co jak burza jest gwałtownem, jak burza łamiąc i druzgocząc — przechodzi. Jeżeli żal jak piorun nie zabije od razu, człowiek się z nim jak z bliźną zasklepioną oswaja i żyje.

Powodowicz mimo swojego chłodnego i wyrachowanego charakteru kochał mnie jak dziecko i widząc boleść, której się nie spodziewał, drżał, całował mnie, cieszył, nie wiedząc jak dalej radzić mnie i sobie, mając jeszcze w perspektywie matkę, która mu żalu mojego przebaczyćby nie potrafiła.

Otożem sobie biedy nawarzył! powtarzał nieustannie kręcąc się koło mnie... co ja tu z nim pocznę?

— Ale to być nie może! Anna nie złamała przysięgi swoich. Anna nie opuściła mnie! wołałem — nie wierzę, nie mogę...

— Uczyniła tę ofiarę dla twojego własnego szczęścia, rzekł poważnie, poświęciła się, aby ciebie uleczyć i wyswobodzić, wiedziała, że inaczej wiecznie byś się czuł słowem związany.

— Ale ślub ten można rozerwać, zawolałem — męża mogę zabić, zabiję, porwę ją i ucieknęm.

Gwałtowność moja znowu przeraziła Powodowicza, który po cichu posłał wezwać doktora... cały drżący, nie śmiejąc ani wyznać, że sam był od dwóch miesięcy mężem Anny, ani mnie tak rozdrażnionego opuścić. Mnie to nawet na myśl przyjść nie mogło, żeby Anna i kto? ten stary, zmówili się na tak szkaradną zdradę.

Najprozaiczniejsza w świecie okoliczność dokonała reszty... Andruszka chłopak, który ze mną był w Wilnie, wpadł nagle do pokoju z wielkim krzykiem i miną przestraszoną.

— Panicz nic nie wiel!.. a to pan Powodowicz ożenił się z panną Anną!

Winowajca zbladł i ręce załamał, ja dopiero pojąwszy wszystko opadłem na krzesło bezsilny, gniew mnie opuścił, a żal i smutek opanowały, wyszedłem nie odezawszy się słowa do niego, pieszo ku domowi.

Powodowicz powłókł się za mną biedny, długo nie śmiejąc przybliżyć, wyprawił konie i przykazawszy,

ażebym mnie na bryczkę wsadzono i do domu odwieziono, sam do miasteczka powrócił.

Dałem im zrobić z sobą co chcieli, myśli bez ładu krążyły mi po głowie zbolalej, a gdy ujrzałem znowu ten dom osierocony, pusty, którego dla mnie nawet miłość matki zapłacić nie mogła, te miejsca tak mi drogie, tyła usłane nadziejami, ozłoczone wspomnieniami, zdało mi się, że umrę, że się we łzy rozpiję, że przeżyć mojego sieroctwa nie potrafię. Nie ma Anny! nie ma Anny! wołałem, nie ma szczęścia! nie ma życia... wszyscy zdradzili, nawet matka, nawet ona!

Najdziksze projekta przechodziły mi przez głowę. chciałem ją wykraść, uciec z nią, rozwodzić, a stanąwszy w ganku, gdy matka niespokojna przeciwko mnie wybiegła, nie mogłem do niej przemówić słowa, prócz jednego:

— Oddaj mi Annę!

Jest temu lat dwadzieścia, bracia moi, jam ostygł, ochłódłem, odmieniłem się, zestarzałem i z dziecka stałem się dojrzałym mężczyzną, a jeszcze mi serce bije na myśl tej chwili, którą przeżyłem wówczas. Są boleści, których się już nie pojmuje, a po których wiecznie coś boli w człowieku. Ja nie znam strasniejszego cierpienia nad wiekuiste rozstanie, to milczenie nicości, które po nim idzie, tę tęsknotę pustkowni, jaką ono zostawia... gorszą od śmierci, — bo żywcem wkopanie w grób.

Matka biedna sto razy przekleła Powodowicza, siebie i godzinę, w której rady jego usłuchała, widząc, że daleko ciężiej przyszło mi przechorować na tę boleść, niżeli się ona spodziewała. Sama już nie wiedziała czy pisać do Anny by powróciła, bo i nato była przygotowana, czy żądać by się od nas oddalili.

Byłem jeszcze w tej epoce Werterowskiej miłości. i zdało mi się, że dla kobiety warto dać życie, a uczucie i chwila szczęścia jakie ono daje, stanie za lata ostygłe choć długie. Z początku pilnowano mnie bardzo, po parze dni gdy się nieco uspokoił, zwolniono straż, i namówiłem Andruszkę, aby dla siebie i dla mnie

miał wieczorem gotowe konie. Szczęściem sama matka dowiedziawszy się, że życzę sobie przejażdżki, a nie wiedząc dokąd mam jechać, pozwoliła na nią chętnie. Ledwie siadł na koni byłem na drodze do miasteczka, dokąd przybiegłem o mroku. Skwarny był dzień letni i burza nadchodząca zdawała się grozić. Czekałem zupełnego zmierzchu tylko, aby się wkraść do dobrze mi znajomego ogródka Powodowicza i widzieć się z Anną raz ostatni. Po tem pożegnaniu chciałem udać się do Ameryki i osiąść w świecie Nowym, któryby mi nie nie mógł przypomnieć, bo wspomnienia zabijały i dusiły mnie niewypowiedzianie.

O dobrym zmierzchu, z nadchodzącą burzą wysunąłem się z mieszkania, przebiegłem ulicę miasteczka puste, niepostrzeżony, i wylamawszy opierającą mi się furtkę, wypadłem z wiatrem razem do ogródka.

Dopóki mnie nieopamiętanego wiodła namietność, szedłem bez namysłu nie wiedząc co czynię, tu dopiero znalazłszy się, uczulem złodziejem, upokorzonym, ostygłem nieco i zacofałem prawie w chwili, gdy miał ujrzeć.

Nowy i niespodziany szereg myśli stanął przedemną: świat, ludzie, obowiązki, przysięgi, ale to mięgnęło z błyskawicą.

Ujrzałem okno od ogródka otwarte, a przez nie doszedł mnie głos jej fortepianu, ciche towarzyszenie do śpiewki, której śpiewać nie mogła... przypominając ją sobie tylko kilką urywanymi dźwiękami... piosnka tak mi była znajoma! Kierując się głosem usłyszanym, pobiegłem do balkonu, i z niego... ujrzałem ją... Siedziała przy fortepianie, ale nie sama! Powodowicz w krzesle przed nią ze złożonymi rękami nasyczał się jej widokiem... ona uśmiechała mu się łagodnie, smutna, ale z jakimś wyrazem życzliwości... Nie mogłem w niej poznać Anny; zdało mi się, że inną istotę podobną tylko do niej mam przed sobą; chciałem krzyknąć, szczęściem głos zamarł na ustach.

Przestała grać, mąż wstał i w rękę ją, pieścąc się, pocałował, potem w białe czoło, ona go także,

choć czułem że westchnienie się jej wyrwało leciuchne, bo pocałunek ten musiał mnie przypomnieć i przechadzki nasze w kwitnących bzach i różach młodości.

— A! nie dziwię się temu trzpiotowi Albinowi, zaczął Powodowicz, jakby na mnie z tem czekał, że się w tobie tak szalenie kochał... kiedy ja stary... com myślał że tam na-dnie nagromadzonych życiem popiołów, nie już nie ma ani iskierki, czuję pod oddechem twym powracającą młodość... kiedy ja stary szaleję...

— Biedny Albin! cicho wyrzekła kobieta...

— Mnie się serce kraje, rzekł Powodowicz, ale nie mogło być inaczej dla twojego szczęścia, lubuniu; — te gwałtowne przywiązania nie obiecują nic na przyszłość prócz zawodów; co ma trwać, musi wzrastać cicho i powoli jak dąb, tylko uczucia co się same zniszczyć mają; objawiają się wybuchami. Jest to prawda ogólna, Anno, służąca wszelkim istotom i wszelakim obywatelom...

Wykładał jej chłodniuteńko Ontologią, a ja słuchałem.

— Biedny Albin! powtórzyła Anna z litością.

— Ale cóż było robić? gdybyśmy byli nie pospieszyli, później oboje byście mogli upoić się chwilowem złudzeniem, i życie zatruć sobie.

— Ale ja się boję o niego — on...

— On jest dziecko, mimo lat dwudziestu i dwóch, lękam się o jedno dla niego, żeby nie umarł dziecięciem, jak wielu siwych młokosów: fraszka go zabawi, podróż rozerwie, pieścizoty matki ból ułagodzą... Tylko na Boga, Anno, ty z nim unikaj spotkania, dla ciebie samej.

— Dla mnie? pochwyciła Anna poważnie i z urazą, co chcesz powiedzieć?

— Tyś go przecie kochała.

— Jak brata, odpowiedziała — jak brata!

— Nic więcej?

— Nic! ach nie! taki dziecinny... tak smutny!

Sędzia w nagrodę w czoło ją pocałował, a ona przy-

tuliła się do niego, jam patrzył, słuchał i wrzałem jak kipiątek.

— Mój drogi mężu, dodała po chwili z uśmiechem, któżby w moim wieku nie dał się upoić harmonją tych słodkich słów miłości, która choć nie dochodzi do serca, karmi i oszala człowieka... Nie śmiałam mu nigdy powiedzieć prawdy, bo by jej nie zniósł i nie zrozumiał, wdzięczność moja dla nich, moje położenie każały mi kłamać i milczeć... o! ile razy ostudzić go pragnęłam, odezwać mi się nie dał...

Włosy powstały mi na głowie, oblałem się potem zimnym, błysnęło w chmurze i sędzia rzucił się zaraz okno zamykać, a ja odskoczyłem od niego przebywszy chwilę najstraszniejszej męczarni, na jaką kiedy człowiek co kochał był narażony.

Powróciłem z tej wyprawy do domu szalony, gniewny, rozpaczający, i od tej chwili powiedziałem sobie, że na sercu ludzkim nie budować nie można, że to krucha podwalina, na której ani gmach szczęścia, ani nawet kryształowy pałac nadziei utrzymać się nie może... powiedziałem sobie, że miłość kobiety jest heroicznym kłamstwem młodości — nic więcej.

I tak jest, bracia moi... to tylko wspomnienie ze świata, z którego dusza zstępuje na ten padół z rąk przedwiecznego Ojca, jeszcze cała wonią niebios przesiąknięta. O! miał słuszość Platon, bo są idee wrodzone i człowiek nie goła tablicę, ale wyryty napis przynosi z sobą na duszy... Młodość rozbudza powoli wspomnienia mgliste niebios, i dla tego świat tak się nam wówczas innym i piękniejszym wydaje.

Nie mamy pamięci niczego, ale obraz starty innego świata niesiemy z sobą, i kto go zmasać nie zechce, nosi przez życie całe. Dla tego każdy ziemski krok jest zawodem, dla tego wierzę w ideały, gdy tu są tylko skalane i ułomne istoty, i biedziemy się chodząc w ciemnościach, po za którymi świeci jasność z której Bóg duszę utworzył.

Więziem ona w tych cielesnych okowach, wśród spędanych równie i wlokących się po nocy towarzy-

szów. Wiem że wielu zaprzecza tym wspomnieniom raju w duszy dziewiczej, któreby jakiś byt przedświatowy i nie ortodoksyjny znamionowały, ale cóż może zbić fakt żelazny? dosyć spojrzeć we własną duszę, żeby postrzedz że nie do ziemi jesteśmy stworzeni, aniśmy wyszli z tej ziemi; dusza nie pamięta bo nie była, ale naturą swą nieśmiertelną tęskni i wyrwa się, przeczuwa i boleje. Dla czegoż później żywot smutny i blady ściera z nas cośmy na sobie mieli pochodzenia niebieskiego? dla czego wszystko się spika aby nas uczynić ludźmi zwierzętami, zamiast ludzi aniołów, aby nas kolonistów innej ojczyzny do tego wygnania przywiązać?...

— Ślicznie mówi, przerwał Longin, ale dla czegoż, kochanie, nie idziesz na pustynię i nie obleczesz się szatą pustelniczą, nie posypiesz głowy popiołem i nie zatopisz się w kontemplacji niebios, a wozisz z sobą likwory, szynkę westfalską i sery angielskie, które nie zdają się przypominać niebieskiej ojczyzny?

Albin się uśmiechnął.

— Dziś, rzekł, jestem już istotą zgasłą, żyjącą ciałem tylko, ułomną, znałogowaną, nieszczęśliwą...

— A na twarzy wcale tego nie widać, boś podobien róży Jerychońskiej, czy... Saronu!!

— Robię co mogę aby się na coś przydać na świecie i nie być ciężarem nieużytecznym, ałem słaby — obyczaje i nawyknięcia zrobiły ze mnie pocziwego ale niedołężnego Sybaryte.

— Dobrze żeś się przyznał, rzekł Longin, teraz już nie przerywam i słucham dalszego ciągu dziejów; mówisz wcale przyjemnie. Spodziewam się żeś też zaniechał przerabiania świata, o którym marzyłeś tyle, przekonawszy się, że to tylko drugi tom romansu z Anusią.

— W tem toś się trochę omylił, przerwał Albin, nie znasz jeszcze co to jest egoizm takiego jak ja Sybaryty... listek róży złożony we dwoje dokucza śpiącemu, ależ i cierpienie ludzi, na które zmuszony patrzeć, jest dlań nie do zniesienia. W tem egoizm bywa narzędziem dobrego i pobudką cnoty, musimy uszczęśliwiać

co nas otacza, aby na nędzę nie patrzeć... bo widok nieprzyjemny... Nie wielem zrobił, bo czynić cokolwiek-bądź z rzeczą martwą łatwo, ale przetwarzać świat i ludzi, dzieło nie człowiecze... sił nie ludzkich wymagające. Siebie jestem panem i to nie całkowicie, drugim mi trudno zawiązać zupełnie. W pierwszych chwilach zdaje ci się, że nic nie ma łatwiejszego jak przekonać człowieka o tem co dlań dobre, ale spróbuj walczyć z uprzedzeniem, nałogiem, niewiarą, nieufnością, lenistwem?

Z temi wszystkimi musiał się zetknąć kto miał do czynienia z ludem, i nie jednemu, jak mnie, ręce opadły. W dodatku po ludzku sądząc, czynisz co dobrem znajdujesz, a z posianego przez cię mniemanego żyta przepyszny kłół wyrasta... Najczęściej nie znamy się na ziarnie, na roli i na porze zasiewu...

Nie dziwię się modlącym ze mną do Ducha Śgo, bo rozum ludzki nie potrafi tu poprowadzić, istotnie potrzeba jasności z góry, przecucia, które często jest większe od rozumu, namaszczenia do tej pracy.

Nie sądzicie bym zrobił wiele, choć pragnąłem świat przekształcić miłością; poznałem wprędce, że zadanie najpierwsze człowieka ograniczyć się powinno promieniem jego działalności.

Zrobić to co najbliższe nad sobą, potem dalej nad drugimi, ulżyć nędzy, rozpędzić ciemnotę, pomódz, poratować, pocieszyć, nie snując ani dalekich planów, ani rachub na lata — oto co nam pozostaje. Zrobiłem też com podolał i nie patrzę na nędzę, podniosłem moralnie wiarą tych co mnie otaczają... i kiedy jem moją szynkę westfalską, mniej mnie ona dławi, bo wiem, że wieśniak ma słoninę, która dlań tę samą co mnie szynka sprawia przyjemność.

— Aleś się ożenił, zapytał Konrad uśmiechnięty rozwiązaniem romansu Albina.

— Ożeniłem się i czysto dla tego tylko, że chciano po mnie abym się ożenił, bez miłości w sercu, chłodno, wyrachowanie, rozumnie.

— I? spytało kilka głosów ciekawych.

— I na przekór teorii jestem zupełnie szczęśliwy... Nie tak szczęśliwy jak chciałem, ale po ludzku, po ziemsku...

— Jakże to było? rzekł Konrad...

— Naprzód musiałem odboleć przeszłość, rzekł Albin... powróciwszy z tej przejażdżki do domu, obudzilem się z goryczą w sercu, ale innym człowiekiem. Spadłem z nieba, potłukłem się, żyłem. Ujrzałem matkę, rozplakałem się jak dziecko... Ona sama poddała mi myśl podróży, którą przyjąłem jak lekarstwo. W kilka dni potem byłem upakowany, opatrzony we wszystko i gotowy do drogi. W takim usposobieniu w jakim zostawałem, podróż jest istotnie może najlepszym środkiem, widok świata ochładza, studzi, wyzbiebia, gdy samotność egzaltuje. Człowiek mimowolnie musi zejść do stopnia otaczającej go atmosfery, co chwila też ostyga, wstydzi się zapалу, którego nie nie podziela i przychodzi do uznania go szalem.

Nie byłem wcale ciekawy obcych krajów, ale mnie one zajęły gdym nasz opuścił, wielką odmianą jaką zaraz mi się uczuć dała... świat był wcale inny jakiś, ludzie z innej gliny.

Tu u nas on jeszcze stary, podaniowy, niemal biblijny, a przynajmniej średniowieczny, tam nowy, tworzący się i kipiący fermentacją octową, z której daj Boże żeby doszli do cukrowej; tu wszystko jeszcze tradycją, nałogiem, przekazem starym; tam gorączka jakaś prze naprzód, wre ludzkość, szamocze się, wyrzywa a choć ślepo dąży nie wiedząc dokąd i dojdzie pewnie nie tam gdzieby chciała, pewna jest, że prostą drogą do celu niewidomego trafi. Przebywszy granicę, czujesz przy pierwszej stacji, żeś porzucił spokojną dziedzinę historii, a wszedł w świat żywego czynu... u nas wszystko żyje przeszłością i jej siłą, tam wszystkim jest przyszłość. Ale na cmentarzu stoją krzyże i jest coś świętego w prochach wiekowych, gdy w rynku hałastra i gawieź, wrzawa i smród życia.

Zdaje mi się, że na każdym nieuprzedzonym człowieku to wrażenie musi zrobić po naszym kraj obcy.

Smieszna kto sądzi, że po za granicami naszymi są jeszcze jakieś narodowości, są indywidualne charaktery ludzi; — tam epoka narodowości już przeszła, jedni Słowianie w nią wierzą i piastują tę świętą ideę starą, która tam wydaje się przesadą. Tam wieża Babel zmieszanych ludów i języków, nie ma przywiązania do ziemi, które zastąpiła miłość grosza, nie ma poszanowania tradycji, a jest wiara w nieomylność rozumu. Francuz, Anglik, Niemiec, Włoch, jeden mają cel żywota... jedną ideę, ojczyznę, religję, wiare...

Grosz...

Money is a good soldier, powiedział Shakes peare a tam u nich i żołnierza i prawo i uczucie i ko ściół cnotę zastępuje pieniądz. Rzekłbyś że ta ludzkość cała oszalała, że ją chwyciła jakaś choroba zaraźliwa, jakaś gorączka i manja... o niczem nie mówią, nie słuchają, na nic nie patrzą prócz grosza. Stare uczucie, przekonania, świętości, służą tylko za narzędzia, są to czeze formuły, czasem użyteczne, któremi jeszcze się posługują, ale celem jedno... z bogacenie.

Zrazu mimo poszanowania jakie we mnie wzbudzały co krok spotykane wielkie pamiątki... obrzydliwość uczuciem dla tego tłumu nawróconego przez Izraela na wiarę żydowską i życie żydowskie... Nie można tego nazwać inaczej: — spełniły się przepowiednie, przyszło królestwo Izraela i bankier stał się panem świata.

Stara Europa, pełna relikwii życia zgasłego, żadnego nie ma związku z tą nową, która na jej gruzowisku koczuje jak naród przybyszów. Sterczą katedry olbrzymie, w których się nikt nie modli, pokazują je za pieniądze, przestały być świątyniami Boga, są to *dzieła sztuki!* Dzieła sztuki — myślał-że lud pobożny co je stawiał, i te skamieniałą modlitwę wznosił nie znając prawideł budownictwa, że dźwiga... dzieła sztuki!

Pełno grobów postaci olbrzymich, zdobywców, bohaterów, męczenników, świętych, a wnuki ich wszyscy... żydzi. — Jedno jest tylko co ten świat wielki rozdziela na dwa olbrzymie pokolenia, wybitnie się od siebie

różniące, jedno jak żyd w dorobku skąpi obrzydliwie i brudno, drugie jak żyd bogaty nadyma się, używa, zbytkuje i popisuje zdobyczą.

Drugą plagą tego nieznanego nam universum nowej fazy, jest zbytek, który naturalnie wynika z żądzy i posiadania grosza... trzebaż się wreszcie pochwalić z nim i ciału dogodzić, gdy się dlań tyle pracowało. Cały ów świat myśli o dwojgu — zdobyć i użyć! — a jeśli chcecie jeszcze, z używania popis zrobić — nie więcej. Wszystko święte dawniejsze zostało martwym słowem bez zastosowania i możliwego użycia. Cóż zrobisz z Ewangelią wśród tego żydostwa?? Chrystusa ukrzyżowaliby raz drugi, gdyby to mogło podnieść kurs papierów na giełdzie.

W naszym kraju, przy mnóstwie wad, są jeszcze niestrwonione zapasy które nagromadziła przeszłość, troskliwa prababka... jest z czego zbudować coś na jutro; — tam wszystko zabite i wyczerpane. U nas nie czezem słowem braterstwo, prawdą choć chwilową, tam już o nie i nie pytaj! Dla ubogich są szpitale, jest niewola i zamknięcia, jest urzędnik wyznaczony co się o nich troska, reszta nie ma czasu niemi się zajmować. Natchniony prorok jeśli nie prorokuje za pieniądze, za pozwoleniem urzędu, w najetej sali gwoli namiętnościom, to go policja za kark weźmie z rynku choćby krucjaty głosił; — natchniony poeta nie docisnie się nawet do akademii francuskiej, a któżby śpiewu jego słuchał, kiedy tak ładnie świszcze parochód i grają maszyny?

Cześć świętości dawnych chroni się po strychach i poddaszach, po ubogich lepiankach.

O! gdybyśmy nasze skarby znali i cenić umieli, jakby dla nas ta uludna cywilizacja materializmu nie uroczego nie miała! jakbyśmy jasno w niej ujrzeli ziarno grzechu i pochodzenie pogańskie! Ale wielu z nas powraca zachwyconych geometrycznym ładem Europy, przemysłem dokazującym cudów, suchemi zjawiskami rozumu żydowskiego, a nie widzi, że u nas nie tam jest życie jutra, że u nas siły jeszcze, gdy tam starość

niedoleżna, co się poi i podbudza aby żyła po troszę, durzy się i szaleje.

Mnie tam nie to co jest, ale to co było, zajmowało, dodał Albin... wspomnienia.

Kości praoców nawet pokazują tam za biletami płatnemi, bo nie bez grosza... Nie pytaj gościnności słowiańskiej, ani uprzejmości naszej, filuci tylko co cię odrzeć pragną są grzeczni, a kupcy gdy im płacisz uprzejmi, zresztą kręć sobie kark na rynku nikt się nie odwróci, to im wszystko jedno, byle drogiego czasu nie tracić... bo czas to grosz... życie grosz... wszystko grosz.

Gdy zobaczył pogrzeb ubożego w Paryżu, ten dół wspólny (fosse commune) w którym go, jak u nas bydle na rozdrożu, bez modlitwy rzucają — wzdrgnęła mi się dusza. Tam już ziemia jest za droga, aby jej każdy umarły mógł mieć bezpłatnie trzy łokcie dla siebie samego, metr płaci się po kilkaset franków, więc nawet majątniejszym pożyczają się groby na lat dwadzieścia, trzydzieści, póki ciało nie zgnije, później kości zapewne obracają się na szuwaks, i tylko bardzo bogaty człowiek na wieczność może kupić ściśle obchowaną przestrzeń, w której spocznie, jeśli kolei żelaznej lub municypalności nie podoba się nieboszczyka wywłaszczyć i wyrzucić z dołu...

Co krok fakta podobne... Całą tak Europę, pokazowaną dziś za biletami, przejrzałem bez entuzjazmu, z bólem w sercu dojmującym.

Nasz kraj dziki wydał mi się po niej rajem — tu szeroko, swobodnie, ludzko, swojo; tak jakeśmy nawykli... tam jeden sklep i kramy żydowskie. Wkrótce na stopniach Śgo. Piotra zrobią giełdę, a relikwie będą miały kurs na bursie... ale któż je kupi?... chyba my.

Z duszą uciśnioną powróciłem...

Długiego bym potrzebował opowiadania, aby wam dać pojęcie podróży, którą chcąc uczynić znośną, potrzeba kierować w pustynie i ruiny. Co nowe jest często dziwne, ale ani cech wielkości nie nosi, ani

piętna trwałości, celem użytek tylko. Dość tu jeszcze wspomnieć, że wiek co tyle buduje, nie znalazł nawet formuły nowej dla swego budownictwa, musi się zapożyczać nieustannie od gotyku, który się sam z siebie urodził, to z odrodzenia, które samo jest pożyczane, to od starożytnych... Toż w innych sztukach; — gdzie ducha i natchnienia potrzeba, brak go wszędzie, gdzie dość rachuby, jak w naukach i przemyśle, rozwijają się z wielką potęgą: — zamiast Hymnu zostanie po nas księga rachunkowa...

Może usposobienie, z jakim ten świat przebiegałem, tak mi go odmalowało czarno, wiem, że zdumiewając się nad tem, co od lat kilkuset zawsze skutecznie wszystkim turystom gębę otwiera, nie znalazłem nic takiego coby mi otworzyło serce. Mylę się... spotkałem na nieznanym wiejskim cmentarzu we Włoszech, w małej miejscinie pod Florencją, zapadły grób i kamień omszony wygnajca, który umarł z tęsknoty o kilkaset mil od swojego kraju, i — zapłakałem nad nim.

Powróciłem do domu spokojniejszy, chłodniejszy, ale tak już wyuczony życia od mistrzów co je w moich oczach praktykowali, że mi się ono stało dosyć obojętne... Matka pragnęła żebym się ożenił, i po powrocie zaraz poczęła mnie naglić o to.

Może się jeszcze obawiała spotkania, przypomnień, powrotu mojej miłości dla Anusi i ztąd wyniknąć mogących nieprzyzwoitości.

Prosiłem już żeby mi sama wybrała żonę, z góry będąc pewien, że jej macierzyńskie oko i serce instynktem niechybnym wiedzione najlepszy uczyni wybór.

Tak się stało... kazano mi jechać, pojechałem. Przyszła moja miała lat osiemnaście, odebrała wychowanie wszystkim u nas pannom wspólne, i doszła do wprawy takiej na fortepianie i w śpiewie, że publicznie w koncertach na ubogich występowała — była piękna, skromna, a jako jedynaczka przeszło milion obiecywała posagu. Serce jej nie było zajęte, może w niem na chwilę zagościł jaki kuzynek, alem go wypędził zaraz i z moją

miną znudzoną, obojętną, wystygnięciem i sceptycyzmem miłośnym miałem się szczęście podobać. Rodzice nie mi nie mieli do zarzucenia, nie kochając się więc, nie marząc, powiedziawszy sobie, że sen mój jedyny przeszedł bezpowrotnie — stanąłem z nią do ołtarza.

Lata wyrobiły we mnie dla niej przywiązanie ciche, serdeczne, miłość jakąś nałogową, przyjaźń i szacunek, oboje zimni jesteśmy, oboje dosyć świat lubimy, wystawę, wygodki, porządek... i bardzo nam z sobą dobrze. Kocham ją właśnie tyle ile mi potrzeba do spokojnego szczęścia małżeńskiego, a ośpa którą przebyłem w młodości, i po której blizny w głębi serca zostały, zabezpieczyła mnie na całe życie od drugiej podobnej gorączki.

— Widziałeś kiedy potem Annę? — spytał Konrad.

— Zaraz po powrocie z zagranicy, i matka i Powodowicz sami się o to starali, żeby nas zbliżyć i pojeźdnąć; ona też o to musiała prosić, bo była pozbawiona towarzystwa mojej matki i stosunków z nią potrzebnych jej w przyszłości.

Na balu w sąsiedztwie wśród gwaru i zgiełku, muzyki i hałasu, zeszliśmy się nagle w wielkim salonie... moja Anusia, niegdyś moja... choć zmieniona bardzo, różowsza, pełniejszych form, pospolitsza, zaświeciła mi wspomnieniem, i jakkolwiek cały już dla mnie straciła urok, serce na widok posagu uderzyło po staremu, słów mi na powitanie zabrakło, bałem się żeby ludzie co wszystko widzą, zmieszania mojego nie postrzegli... Trząśłem się cały, lży chciały wybuchnąć oczyma, choć usta krzywiłem do uśmiechu... Ona była przytomną i chłodną — podała mi rękę swobodnie, z minką nieco szyderską, w której się i politowanie i ciekawość malowały.

— Jakżeśmy się to dawno nie widzieli! zawołała.

— W innym życiu i świecie! — rzekłem.

Spojrzelśmy sobie w oczy.

— A jak się spotykamy! dodałem; a! pani! mógłbym przewidzieć, że się tu dopiero zejdziemy i powitaemy tak chłodno, tak cudzo!

— Panie Albinie, rzekła z dziwnym oczów wyrazem, mam nadzieję, że mi pan nie będziesz czynił wymówek... wszyscy na nas patrzą.

— Jakież ja mam prawo? — odparłem — dziś żadnego! stary znajomy.

— Prawda że bał prześliczny? — dodała Anusia wodząc oczyma po sali.

— Cudny! uśmiechnąłem się — gdyby nie to że gorąco, duszno, ciasno i nikt się nie zna...

— Wszakże pan do mnie już nie masz urazy? — szepnęła szybko uśmiechając się dla patrzących.

— Do pani żadnej! rzekłem, — do przeznaczenia mojego — nie darowaną nigdy!

— Ależ już dziś możnaby się pośmiać wysmienicie z tej naszej dziecinnej miłości, tak idealnej, poetycznej, a tak śmiesznej, tak śmiesznej panie Albinie?

— Pani, rzekłem poważnie, nigdy się sam z tego świętego dla mnie uczucia nie uśmiechnę, ani komukolwiek z niego, prócz tobie, śmiać się dozwolę. Była to chwila, w której ja stałem najwyżej może, bom wierzył w człowieka, w kobietę, w serce, w przysięgi... dziś ta wiara pod nogami, zdeptana, — a! nie ma się śmiać z czego!

Spojrzała na mnie trochę niespokojna.

— Pan bo się jeszcze gniewasz na mnie, — rzekła zimno.

— Nie, pani, na nikogo, nawet na siebie się już nie gniewam, ale wielu żałuję.

Chwilę milczeliśmy, tłum tak nas ścisnął, że ani ona choć niespokojna widocznie, ani ja odejść nie mogłem. Ochłonawszy nieco, przybrałem twarz obojętną i uśmiechającą się.

Im więcej przypatrywałem się jej, tem więcej zdumiewałem i bolałem... Zmiana była straszliwa, metamorfoza niepojęta! Nie moja to już była Anna, urok poezji, którym ją otaczała młodość dziewczęca, który dawała jej miłość moja — prysnął cały, coś pospolitego, chłodnego, czyniła ją jakby starszą siostrą tej, którą niegdyś kochałem. Oko było bez wyrazu, usta nie miały

wdzięku dawnego, myśl jej nie podnosiła się nad strop salonu. Jeśli co, to ta chwila, w której mi ona odebrała i zatarła nawet ten obraz dotąd w zakątku mojej duszy zachowany jak świętość — była niewysłowioną boleścią... Uczulem spotęgowane stokrotnie to wrażenie, jakiego się doznaje przy niezdolnej sztuczce prestidigitatora, który ci bukiet róż, niesiony do ust i piersi, zamienia w obrzydliwe osty i pokrzywę.

Nie wierzyłem oczom i uszom, szukałem mojej Anny, ale jej już na świecie nie było... Anioł przemienił się w żonę pana Powodowicza... nią tylko już była — niestety! dobrą gospożą i najtroskliwszą z matek... a myślała więcej o oszczędzeniu sukni balowej niż o mnie, com się przy niej męczył rozczarowując.

— Jaki pan jesteś smutny, jaki zmieniony! — rzekła mi usiłując rozweselić... czy już nie tańczysz?

— Zapomniałem, pani... odpowiedziałem — razem wszystkiego dawnego, i wesela i uczuć i tańcu... No! a pani?

— A! gdzież mnie teraz tańcować! zawołała... ja tylko patrzę co mój mąż robi, bo się obawiam, żeby gdzie nie siadł do preferanca, zawsze się biedny ogrywa i potem martwi.

Nie śmiałem jej powiedzieć, że go już w drugim pokoju widział u stolika wywołującego osiem bez atut!

— Pani więc... rzekłem po chwili z cicha — jesteś szczęśliwą... i nie, niczego... nie żał jej?

— Dobry panie Albinie, odezwała się z uczuciem, jakimś kobiecem, jednego mi żał tylko... Pana, że go zawiodła... że sobie nie możesz wyperswadować młodości, dzieciństwa... i tych naszych marzeń dziecińczych... Mybysmy z sobą nigdy nie byli szczęśliwi, ja się obawiałam pana, a w chmury z nim lecieć nie mogłam... ja potrzebowałam takiego cichego ziemskiego szczęścia, jakim mnie Pan Bóg obdarzył... Sumienie mi nie pozwalało za opiekę nad sierotą odwdziżyć wniesieniem niepokoju i ubóstwa do waszego domu.

— A Anno! Anno! zawołałem, nie mów tego — byłabyś miała czem zapłacić za opiekę, gdyby twe ser-

ce... aleś ty nigdy tak jak ja nie kochała...

— O! to prawda! odparła uśmiechając się — pan jesteś poetą, a mnie Bóg stworzył na prostą gospodynię... Nie wiedziałam jak stąpić, co mówić, gdyś mnie pan przebierał za bóstwo ze skrzydłami... robota to daremnaby była, kochany Albinie. Skrzydła do ramion nigdy przyrosnąć nie chciały. — Zostaw mi tylko przyjaźń swoją, dodała, o nią cię proszę, nie gniewaj się na mnie, sam więcej winien jesteś, żeś się omylił... żeś był ślepy... i wziął biedną ziemską istotę za twój marzony ideał.

Mógłbym się gniewać na nią potem? nie! zaprawdę! — ale ostatki złudzeń się rozwiały, przestawszy wierzyć w kobiety, młodość, serce, zostałem czem mnie widzicie, kapłanem spokoju i przyjacielem żołądka.... Dziś pani Powodowiczowa jest szczęśliwą matką czworga dzieci tłustych i czerwonych, matroną poważną, grającą w preferansa lepiej od męża, a ja tym smakoszem, jakiego przed sobą widzicie.

Na losy uskarżać się nie mogę, ale jest-że co w stanie zastąpić raje, które się widziało we śnie? Jeszcze dziś moja Anna, ta którą znałem i kochałem w dzieciństwie, śni mi się czasem jak anioł czysta i piękna... ale wiem obudzony, że jej nie ma na świecie.

Chłodno i wyrachowanie idę po ścieżce prostej i wybitej, nie mi nie braknie, prócz szczęścia, w które uwierzyłem zawczasie.

Jem, piję, śpię, nie trwożę się wielce i staram się stać najpospolitszym z ludzi, najchłodniejszym z obywateli, najporządniejszym z kuratorów magazynowych. Robię majątek mimowoli, a ideały moje zwróciwszy w inną stronę na trakt bity, staram się o wyidealizowanie mieszkania i wygodę życia. Radbym was widzieć kiedy w kątku, który sobie usłałem jak gniazdeczko, który wycacałem i wyświeżyłem, jak gdybym wiekuiście miał w nim przebywać. Co roku dodaje coś do tego pałacyku mojego i nie mieniałbym się z królem żadnym na najwspanialsze gmachy, z takim smakiem wykończyłem tę uroczą całość.

Cóż więcej wam powiem? Sama postać Albina powinna tej historii dokończyć — możesz się choć kropelka poezji mieścić w tej okragławej postaci, rumianej, białej, pulchnej, zdrowej i uśmiechnionej?

Przestałem nawet nosić żalobę po młodości.

— Historia jakich wiele, — rzekł Longin powoli ziewając, bo go znać była znudziła, — jam się jej nie domyślał i chociaż te Anusie zawsze wyrastają na Powodowiczowe, jeszcze to szczęście, że pod trzydzięci lat nie przyszła jej ochota odegrywać roli opuszczonej Didony, choćby na jakie dni parę — byłbyś w niepospolitym kłopotcie. Miłość dziewczica i dziecinna jest świeża, rozumna, dowcipna... ale w człowieku wszystko trwa chwilę i po tym błysku mroki długie... Gdyby ta prozaiczna pani chciała z tobą dla igraszki dalej romans prowadzić pod pozorem niewypłaconych Anusi długów... dopierożbyś był w szalonym kłopotcie!

Albin zamilkł.

— A! nie wiem, rzekł po namyśle — ale i dziś jeszcze to dla mnie wspomnienie święte, nie wierzę w to czem byłem, a żal mi tego stanu... pogrzebałem ideał, ale grób jego szanuję...

— No! i jużby warto zejść z tego cmentarza, niechby kto inny rozpoczął swe dzieje, bo nas tu jest jeszcze kilku kandydatów do konfessjonatu, rzekł Teofil, ja, Konrad, Jordan, na którego próżno oczekujemy, Cyryll, a choćby i Baltazar, to jeszcze ni mniej ni więcej pięć takich historyj...

— Jeżeli wszystkie smutne, rzekł Longin, wartoby z nich dać treść tylko i zrobić buljonik — a gdy mowa o buljonie, dodał — wszak miała być wieczerza?

Albin się uśmiechnął.

— I będzie — rzekł — nawet na pamiątkę lat młodych kasztany, ale je kazał osmażyć w cukrze... i kotlety, ale z trufkami, spuście się na mnie, wieczrę obmyśliłem starannie, wina sam wybierałem, i znalazłem tu stare, suche Bordeaux, takie jakiego już dawno nigdzie nie piliem. Ręczę, że kolacyjka będzie wedle wszelkich prawideł sztuki, i co się zowie comfor-

table... Mój kucharz podróżny pilnuje wykonania szczegółów, a że półmiski nosić potrzeba, urządziłem tu fajerki, aby nie postygły... Zalecam wam z góry *beignets aux ananas*, które w swoim rodzaju, po rzeczach posilniejszych, są królewskim jadem...

— No, już ja się na tem nie poznam, to pewna, odparł Longin, ale żem głodny jak pies, jeść będę choćby trawę smażoną za czterech... Nie szkodzi też zapas w żołądku na jutro niepewne; kto wie czy trafię na obiad, i czy na samych kartoflach *au naturel* po siwusze poprzestać nie będę musiał... A ten szęśliwiec obлизuje sobie już wcześniej palce mówiąc mi o trufkach i ananasach!

To muszą być rzeczy niestrawne! dodał śmiejąc się z błyskiem oczów okropnym, — wcześniejby antycipando wódki się napić potrzeba!

Apostrofy tej nikt nie słyszał, a raczej udano głuchych.

— Na kogoż kolej panowie, aby czasu nie tracić? — zapytał Longin zagadując już wódkę, której się powstydził — czy będziemy los ciagneli, jak kiedyś, gdy jednemu z dziesięciu potrzeba było paść ofiarą Pietraszewskiego lub złośliwego Giedrojcia i winę przestępstwa wziąć na siebie?

— Dobra myśl, rzekł Albin wiaząc węzelek — Baltazar zostanie nakoniec jako *moralité de la fable*, iub raczej Jordan, który dotąd się nie zjawił, my ciagnijmy... tylko uczciwie!

I podał im batystową chusteczkę, z której razem wysunęły się cztery końce... węzeł został w ręku Kenerada.

Rozśmiał się nieco pomieszany.

— Wolałbym po wieczerzy przystąpić do rzeczy, rzekł zakłopotany jakoś, i widocznie nieprzygotowany do tak prędkiego wystąpienia.

— Dla czego?

— Bo to długie dzieje; a nie życzyłbym sobie przecinać ich na dwoje.

— Wieczera poczeka, rzekł Cyryll.

— Za pozwoleniem, przerwał Albin, wieczera czekać nie może, lub skompromitujecie i ją i mnie zarazem, pieczyście wyschnie, kasztany ostygną i stwardnieją, ananas... pączki... wszystko w niwecz pójsć może... Nie! protestuję jak najmocniej... Czyż Konrad potrzebuje tak długiego czasu?

W tej chwili obżalowany ku któremu zwracały się oczy wszystkich, ukazał z za surduta różek białego papieru zwiastujący rękopism.

— Jakto? tyś opisał żywot swój? prozą czy wierszem?

— Autobiografia! na wzór Dycalpa! zawołał Longin.

— Coś naksztalt tego — odparł Konrad z cicha, z tą różnicą, że zamiast prostej a nudnej biografii przynoszę wam bajkę...

— A bajka wedle prawideł, przerwał Cyryll, nie może być długa.

— Bajka, bo to proza, w rodzaju tych, które stare baby opowiadają dzieciom, o królewiczu... Wy sami sobie w niej mojej biografii ukrytej i sensu moralnego dójdziecie.

— Ale to dalipan ciekawe! zawołał Teofil, ktoby się był po Konradzie żyłki autorskiej spodziewał... Miał ten żyd słuszną co się obawiał, żeby kij nie wystrzelił do niego, nigdy przewidzieć nie można, co się trafić może...

— Co dziwnego, lat dwadzieścia do tego się gotował, dorzucił Longin.

— Tak jest moi panowie — począł Konrad — nie od lat dwudziestu, ale od trzech zacząłem sobie pisać powoli, i dziś staję w zupełnej gotowości przeczytania wam pierwszej elukubracji mojej... Jest to jedyne dzieło i wydać go się nie spodziewam, ale jeśli się znudzić pocieszacie się tem, że wyłącznie dla was pisane było.

— Aby się wykpić od spowiedzi!

— Choćby i tak.

— Nadtoś nas zaoskomił, rzekł Albin, a więc pora-

dziemy inaczej z wieczera... przez umiejętne w razie potrzeby fajerek użycie... a ty... czytaj!

— Naprzód tedy krótka przemowa! zawołał Konrad.

— Ach! i przemowa jest! niestety! zakrzyknął Longin, zatem epilog i dwadzieścia cztery rozdziały... zlituj się choć nad żołądkami i naśladowaj pamiętniki Roztopczyńa...

— Czytaj-że, nie strzelaj! przemowa tylko ustna i improwizowana, dodał autor, powoli dobywając rękopismu na welinie przepisanej starannie z kieszeni surduta... Ojcowską pieczę młodego autora widać było w sposobie obejścia z dziecieniem spowitem w glansowane papiery i powiązanem w różowe wstążeczki... Tytuł był kaligrafowany trzema atramentami... przemowa, rzekł, tydzień, tydzień się wyrozumienia baśni...

— Mybyśmy ją może i bez tego wyrozumieć potrafili! szepnął Longin.

— Oto, siedząc na wsi i nie mając co robić...

— Wymówka stara jak świat i zużyta...

— Ale proszę mi nie przerywać. Począłem zbierać podania i baśnie naszego ludu, z nich to a raczej na ich tle napisałem historję moją, w której słuchacz łaskawy znajdzie łatwo *mutatis mutandis* zastosowanie do pisarza. Chodzi mi o to żem się nieprzyzwicie może nazwał królewiczem, ale w bajkach wszyscy bohaterowie są królewiczami...

— I to ci się należało... przerwał Longin...

— Lud na weselach pana młodego jeszcze dotąd tak nazywa, a małżeństwo ubiera w korony, bo młodość czyni nas więcej niż królewiczami może.

— A teraz poczynam moją historję.

— Której tytuł?

— Historja o królewiczu Rumianku i siedmiu królewnach.

OPUS TUMULTUARIUM.

— A toż co znaczy? zapytał Baltazar.

— U starożytników, przerwał Cyryll szybko, jakby z prawa do niego nota należała, oznacza to gmach

wzniesiony z różnych szczątków starych, kolumn, marmurów, rzeźb, kamieni nagromadzonych z gruzów. Takie gmachy zaczęto wznosić w Rzymie po zniszczeniu go przez Barbarzyńców.

— Dostyc komentarza! ad rem! ad rem! bo nie zaczniemy nigdy, a co za tem idzie i wieczery nie da-
dza, rzekł Baltazar.

— Jeszcze jest godło, dewiza czy epigraf — rzekł zaglądając Cyryll.

— Kawalek piosnki weneckiej:

La troppo cara imagine
Sempre che viva in mi
Non vedo altro che ti
Ti sola sento!

— Jakże on to wypracował! rzekł Teofil! — ot jeszcze może się w nim nowy i niespodziany talent pisarski odkryć przy tej okoliczności.

Ale cicho... słuchamy!

— Jeszcze słówko, przerwał Konrad, mówcie co chcecie po przeczytaniu, ale wśród czytania raczcie mi nie przerywać.

— Naznaczam sztraf, dodał Albin, kto przerwie... za każdą interpelację, jednej potrawy przy wieczery pozbawiony zostanie!

Tam do licha! szepnął Longin do Baltazara — albo mało kazał zgotować, że się do takich środków represyjnych ucieka, albo myśli nas objeść sam i boi się, żeby mu nie zabrakło... Co do mnie wolę spać i nie słuchać niż się narażać na tak wielkie niebezpieczeństwo...

Konrad odchrząknął i powtórnie odczytawszy tytuł i dewizę, rozpoczął rzecz jak następuje.

Było to, jakoś już dosyć dawno temu — nie wiem z pewnością w ile lat po stworzeniu świata, ale niez-

wodnie przed potopem. Jest rzeczą niezawodną, choć są niedowiarkowie, co na to ramionami ruszają, (ale na cóż ludzie ramionami nie ruszają i nosami nie kręcą), że ziemia bardzo już naówczas była zaludnioną i wszędzie po troszę rozeszło się ludzi, rozpoczynając gospodarstwo i karczunek dla przyszłych pokoleń. I nie tylko w południowych strefach młody człowiek wygrzewał się na słońcu, ale i w Europie, na naszej mglistej północy, już się krzątano i zabierano do życia.

Szło to mało co inaczej jak dzisiaj, trochę tylko było puściej, a zdaje się, wedle wszelkiego podobieństwa, że uczciwiej i lepiej, choć potop ogólny daje do zrozumienia, że się nie obeszło bez wybryków.

O ówczesnym Bożym i ludzkim świecie doszły nas wiadomości, nie w księgach wprawdzie, które mimo okładek pergaminowych często kłamią, nie na papyrusach i deskach, ale w podaniach z ust do ust się przelewających. — Wszystko to co stare baby opowiadają w bajkach, z których my się śmiejemy — największa prawda, tylko się odnosi do owej epoki przedpotopowej kiedy świat jeszcze hulał, i natura a człowiek więcej sobie niż dziś pozwalali... zwyczajnie młodzi oboje.

Przyjdzie czas, że się i te zamierzchłe wieki rozjaśnią. Uważajcie panowie tylko, że na wschodzie, gdzie najżywiej, jako w kolebce rodzaju, wrzało to życie pierwotne, tradycje o niem do dziś dnia są najpełniejsze, i tam im wiarę dają na jaką zasługują. Wszakże i do nas dostały się te podania, niewiedzieć jak i któredy, jedno przyłgnawszy do sandałów kupców, którzy tu z towarem przyjeżdżali, drugie z wiatrem lecąc, inne z ptaszkami wędrując, z rosą spadając, z pyłem kwiatów dmuchnięte. Ale że u nas powszechnie w starej Europie chłodno i coraz zimniej, tak że wkrótce przyjdzie pośrodku gdzieś w Niemczech wielki piec postawić dla opalania tej wielkiej gieldy, w której zębami dzwonić — podania te na zimno też przyjęliśmy, obojętnie, z niedowiarstwem. Dla tego, że pod nasze czasy nie się już cudownego nie dzieje, przestaliśmy wierzyć w cuda. Tymczasem jako żywo bajki bajkami nie są, mniej

zawsze człowiek wybaje niż Pan Bóg zrobić może; a taki stare baby coś znają i wiedzą. Wyszły dziś źródła żywiące od czasu jak ludzie w nich nogi moczyć zaczęli i na kąpiele używać, przestały ptaki gadać, gdy im to nie raz wyszło na pieczyście, a jelenie i zające musiały zerwać stosunki z człowiekiem, jak skoro się przekonały, że je kochał miłością zbyt materialną i wiodącą na półmisek. Ale nie mniej pewna, że bywało z razu inaczej i wcale inaczej.

W owe to czasy na Podlasiu, które już było zamieszkałe i nawet nie źle zagospodarowane, panował sobie król Gwoździk. Są o nim tradycje, ale dziś najnielszniej uchodzi za figurę bajeczną, choć niezawodnie żył i panował. Królestwo jego nie było bardzo rozległe, wszakże sądzię z Berozem, który gdzieś o nim wspomina, że zajmować musiało całą ławę łąk i lasów nadbrzeżnych, które dziś rozgranicza dwa kraje. Stolicą jego był gródek niedaleko Buga, na małej wzniosłości ufundowany, niepokąźny, ale bezpieczny i wygodny. Nie mu tam do życia nie brakło: ryby, grzyby, łąka, mąka, dostatkiem miał wszystkiego, i choć poddani składali nie wiele, a z podatków nie bardzo się pożywił, bo zaległości nie umiano wówczas egzekwować, uchodził nawet za jednego z bogatszych królików w tamtej stronie. A że był łagodny, umiarkowany, sprawiedliwy, kochano go powszechnie i szanowano. Król ten Gwoździk miał, o czem podanie świadczy, brata Ćwieczka, charakteru wielce różnego. Oba z razu wzięli równe po ojcu dzielnice obok siebie położone, ale Ćwieczek innego charakteru, zaraz swoją utracił. Lubił żyć — z kąd wziąć to wziąć byle było — dawał uczyty, stroił się w złotogłowy, po sześć i osiem koni do kolebki zaprzęgał, bez trzechset dworzan nigdy z domu nie ruszył, — pozaciągał długi u żydów (i wówczas już byli żydzi) i przyszło do tego, że na pisk i płacz poddanych ulitowawszy się Gwoździk, poszedł z wojskiem, i brata z królestwa wypędził, sam je dla siebie zajmując. Długów nie popłacił, ale wierzyście przycupnęli i cicho... Z Ćwieczkiem postąpił sobie bardzo ludzko.

Było wówczas w powszechnym zwyczaju podbitym co najmniej oczy wylupywać, a często im i głowę z karku zdejmowano; tego jednak Gwoździk nie zrobił, nie okuła go nawet, i lekko tylko związanego kazawszy w wygodnym wozie na kobiercu przywieźć za sobą do Stolpea rezydencji swojej, tu go zrazu pod honorową strażą posadził na wieżycy, potem nawet, gdy Ćwieczek nieco ochłonął i przeboleł, wolno go puścił. Przekonał się i sam więzień, że brat mu nie krzywdę ale dobrodziejstwo wyrządził, bo by tak gospodarując zupełnie się był utracił i do kija i torby przyszedł; tu zaś u brata po królewsku utrzymywany z córką jedynaczką, miał wolność w papierowej koronie na ganku chłodku używać — jadł i pił co wlażło, szanowano go, na niczem mu nie zbywało i żydzi nie dokuczali, tak, że pierwszy raz pokoju zaznał. Marnotrawca u siebie w domu nieustannie znosił kłopoty, od których się bronić musiał często do gwałtownych środków uciekać, a że nie był z natury srogi, męczyło go to. Wolny od napaści, można powiedzieć, że pierwszy raz swobody skosztował, gdy wolność utracił. Bracia więc potem żyli sobie ciele po bratersku, u stołu im obu jednakowe trony stawiano, gospodarz gościowi prawą rękę dawał, w domu szanowano rozkazy obu, byle tylko się Ćwieczek już w żadne rządy nie mieszał, bo do tych był oczywiście nie zdolny, a dobrze mu się działo i bez tego. Gwoździk później nazначzył komisją do rozpatrzenia długów, która lat sześćdziesiąt pięć trwała, póki wszystkie kwitki po szynkach zregestrowano, a przez drugie sześćdziesiąt ze skarbu je płacono, a oba królestwa połączywszy przywiódł je do bardzo błogosłego stanu.

Całkiem to inaczej wyglądała wówczas stolica królestwa niż dzisiaj, gdy się wszędzie wkradły zbytki, a był też to i królik niewieluczki, który nie dbał o wystawę. Dziś nie jedno hrabiątko lepiej żyje, a daleko więcej nosa zadziera.

W środku państwa rozległą otoczoną puszcza, przez którą kilka szkaradnych dróg wiodły do stolicy, leżało owe miasteczko nad wielką rzeką na zielonej równinie.

Kilka ulic, obszerny rynek, na nim wielka gospoda drewniana, gdzie Berko szynkował miód, bo już wszędzie było pełno Izraela, który zaraz pochwycił za kwaterekę — dalej kontyna drewniana; ot i miasteczko całe; Na pagórku stało zamczysko tynem do koła obwiedzione. W środku był Stołp to jest wieża kamienna wysoka na wypadek napaści, a do niej przyparte budynki drewniane, pałac coś nakształt starego szpichrza, tylko ozdobnie wyrabiany przez cieśli i pomalowany pstro i gorąco, stajnie, obory, stodoły i t. d. Król to by bowiem szlachcie i gospodarz i miał sobie folwarczek, którego urządzeniem się bawił; królowa jejmość przędła z dziewczkami, a takie to było nie pyszne, że bywało, gdy Gwoździk siedzi w ganku nad misą kwaśnego mleka wieczorem, a pocznie gawędać z parobkami co konie do wody prowadzą, z wójtem, z czeladzią, gdyby nie korona na głowie rogata na czerwonej czapce, wziąłbyś go za jakiego podsędkę. A stroić się też wcale nie lubił i chodził latem w płóciennym żupanie, zimą w kożuchu czarnym pokrytym szarym jedwabiem, a podpasywał się czerwonym pasem, co go sama jejmość wiązała i farbowała ze swemi dziewczkami.

Gwoździk był dobroniusz, łatwy, do śmiechu skłonny, dobry mąż i ojciec, ale w królestwie gospodarz też nie lada i wiedzieli wszyscy, że gdy co kto splata, to znów jak każe na debie powiesić, nie ma się co wyprasać, bo się na nic nie przyda i dyndać musi. Gdy się pogniewał nie łajał, nie sierdził się, tylko pobladał, żył, mnał się, a uchowaj Boże jeszcze zęby zaciął, nie można było długo popasać... żona, brat, najulubiejsi milczeli przed nim jak trusie, lub nogi za pas.

Pod ten czas, kiedy się nasza historia poczyną, król Gwoździk miał lat... chronologia niepewna, ale wyglądał na pięćdziesiąt, krępy, zdrowy, silny, już nieco szpakowaty, broda, że jej nigdy nie strzygł, spadała mu po kolana, a włosy na głowie z tyłu niemal równie miał długie, choć w środku łeb świecił dobrą łysiną. Gdy na konia siadał, bywało brodę na dwoje rozdzieli, a jak się rozmacha i wiatr mu ją rozedmie, aż strach, niby dwie

szpakowate miotły, dwa tej brody końce. Brwi także miał wyrosłe ogromne i na oczy zwieszone, ale pomimo tego wyraz oblicza łagodny i pocziwy, kiedy go nie gniewano. Dzieci i słabych lubił, tym go i za brodę targać było wolno, ale z mocnemi i upartemi nie borgował, i na wojnie w drogę mu włożyć nie było bezpiecznie. Siły był takiej, że wołu schwyciwszy za rogi przez płot przerzucał, a konia dosiadłszy, gdy go ściśnął, w śmierć zdusił, pięścią stoły rozbijał, a podkowy łamał gdyby chrościane.

Brat Cwieczek, choć rodzeniuteńki Gwoździka z jednej matki i ojca, całę inną miał minę, naprzód choć podtuptany i o rok tylko od niego młodszy, lubił młodego udawać; słusniejszy od brata, smukły, z twarzy piękny, brodę strzygł, włosy zaplatał i baba mu je na kasztanowato farbowała, ale od słońca w rude wpadały... dawniej tego tak jak dziś nie umiano*). Błady, chudy, oczy miał w czerwone i zaraz w nim było znać hulakę; za kobietami latał, błaznami się otaczał, śmiechem i zabawką całę dzień przepędzał, i tak na oko był to człowiek choć go do rany przyłożyć, ale... miał swe ale.

Z lada żebrakiem za dobry żarcik gotów się był w twarz pocmokać, lada włóczęgę co go zabawił, sadzał do stołu z sobą, okrywał purpurą i władzę mu dawał; jednak niechże go kto obraził, nie zapomniał do śmierci, nie wybaczył choćby u nóg jego leżał. Przytem zdania swojego nie miał, dziś czarno, jutro białe, nareszcie szaro, w końcu niewiedzieć co — co mu kto szepnął to przyjął, ni ład, ni skład, ani w sercu ani w głowie. Ożenił się był lada jako z ładną dziewczyną, która go w pole wyprowadziła i jedną mu tylko po sobie zostawiła córkę, nazywano ją Lala...

Po śmierci jej, owdowiawszy, do służebnych się zalecał i potem je za mąż za dworaków wydając, w coraz to nowe płacząc się miłości, doszedł do tego nareszcie,

*) Dziś jak wiadomo zamiast w rudą barwę wpadają w fiolet, co daleko przyjemniejszem jest dla oka.

że stara klucznica, co sobie burakiem twarz namazywała, całkiem panowanie nad nim objęła i tu z nim na zamek braterski przybyła, niby służąc córce za ochmistrzynię.

Z razu gdy go jedwabnemi sznurami skrepowanego przywieziono do Stołpca, miotał się i odgrażał na brata Cwioczek, sądząc że z nim wedle obyczaju postąpią i odjawszy mu wszystko do ciemnicy go wrzuca; ale gdy zobaczył, że go Gwoździk szanuje i słowami prawdy opamiętywa i woła mu daje i boleść koi a łagodzi, jak był z natury miękki i do próżniactwa skłonny, a nieład mu domowy dojadł, zgodził się zupełnie z losem swoim. W istocie na zamku brata niczego nie brakło, w koronie sobie chadzał, dziecię jego jedyne pieszczono, pił, jadł, zabawiał się, robił co chciał, o niczem nie myślał, i w końcu, gdyby go już puścili, nie poszedłby ztamtąd na powrót do siebie.

Król tedy ten bez królestwa, jakeśmy już powiedzieli, miał córkę jedynaczkę, a Gwoździk syna jedynaka, i dzieci te prawie się razem wychowywały. Królewicz dziedzic znacznego państwa zwał się Rumianek z tego podobno powodu, że mu jakaś wróżka wianuszek z tej rośliny w kolebce przyniosła, życząc zdrowia i obdarzając nim na całe życie.

Był to chłopak hoży, rumiany, biały, dorodny, czarooki, bystrego pojęcia, poczciwego serca, ale na nieszczęście umysłu niespokojnego, co ojca jegomości bardzo trapiło. Od kolebki prawie ani uniańki na kolanach, ani w izbie, ani w podwórzu, ani w granicach grodu i stolicy utrzymać się nie mógł. Im więcej widział, tem więcej poznać pragnął, nieustannie pytał, dowiadywał się, wyzywał, chciał się przypatrzeć, zbadać, podglądać i zawsze niepokoił. A choć go kołysano i uśmierzano dorastał niecierpliwy mając nadzieję, że mu ojciec cugli popuści i w świat pójść pozwoli. Było to bowiem obyczajem owego wieku, że młodzież się podróżami i przygodami bawiła, nabierając w nich doświadczenia.

Choć go matka stara, królowa Dobruchna, pieściła trochę, choć król Gwoździk kochając bardzo wiele wy-

baczał, nie popsuli go jednak. Trochę swawolny i pusty, serce miał złote, i gdyby nie to wiercipięctwo i niepokój ducha, który w nim mieszkał, mogli się byli nim cieszyć.

— Wykipi się młode piwo, mawiał król.

— Byle mu się nic nie stało, wzdychała królowa u kądzieli. I bywało tak zasiadłszy przy kominie oboje królestwo marzą sobie o jego przyszłości. Ale oboje wiedzieli, że nie dać Rumiankowi wylecieć i trzymać go w zamknięciu byłoby go zgubić.

— Niech-no pojedzie a parę guzów złapie, — mówił stary, prędko ochłonie i powróci, damy mu dobry orszak i dobrego przewodźcę, żeby sobie w złym razie dał radę, a musi się dobry koń wybrykać.

— Nuż mu się co stanie! powtarzała królowa.

— Co mu się ma stać! — Licho go nie porwie, a mężkości inaczej się nie nauczyć, tylko w polu i podróżu. Któż wie? może gdzie skarby jakie zakłete odkryje, królestwo zdobędzie, królownę odbije, lochy smocze spenetruje... nie byłoby od rzeczy, gdyby z łupem powrócił.

Mając już tedy królewicza wyprawić, naprzód, wedle obyczaju tamtego wieku, posłano po wróżki, które jak dziś i zawsze chodziły w łachmanach i sobie rady dać nie mogąc, drugim bardzo skutecznie przysługiwały się przestrogami. Wyprawił tedy król Gwoździk siedmiu *dzieciach* po siedem najslawniejszych czarownic, i w dwadzieścia cztery godzin przywieziono je oklep na koniach w dziedziniec zamkowy, gdzie od tego poczęły, że się załby porwały. Wysoki ich rozum, duch wieszczy i wszelkie inne mądrości nie nauczyły ich ani się kochać, ani się znosić, wszystkie siedem nienawidziły się najokropniej. Musiano je zaraz wodą oblewać i porozdzielać, boby się pozajadały, i kazano z kolei królewiczowi prorokować, ale nie rychlej aż się uspokoiły, najadły i przespały.

Pierwsza tedy, Jędzą zwana, prorokowała mu, że olbrzymą zwycięży i skarb zdobędzie, co tak było na owe czasy naturalnem, że jej prawie nie słuchano;

druga Kostycha obiecywała mu spotkanie z bardzo mądrym królem, który miał go uczynić dziedzicem państwa swojego, trzecia Jaga podarowała mu jako talizman na podróż puszczalkę, na której zagrawszy mógł ją w najodleglejszym końcu świata przywołać w pomoc sobie, ale nie z przyszłości powiedzieć nie chciała; czwarta... piąta... aż do siódmej, wszystkie bredziły ni to ni owo, jedno ze strachu, drugie ze złości, inne żeby się prędzej uwolnić i do chat w lesie drapnąć, gdzie swoje koty na przypieckach pilnujące domów zostawiły i naturalnie nie bardzo były spokojne.

Koniec końców, to tylko z owych siedmiu prorocत्व można było wyrozumieć, że królewicz wiele doświadczywszy miał powrócić do domu rodzicielskiego caluchienki, bez szwanku, ożenić się i panować szczęśliwie. Królowej o to tylko chodziło, żeby mu się nie stało, Gwoździkowi żeby królestwo bezpotomnie nie zeszło na brata Cwieczka — oboje się uspokoiili.

W chwili właśnie gdy w podróż miano wyprawiać Rumianka, dwaj bracia królowie mocno się byli poważnili z sobą i wynikły ztąd bardzo przykre i niespodziane następstwa. Cwieczek siedząc na Stolpeckim dworze, choć mu i ptasiego mleka nie brakło, bo trzymano na stajni trzy pary strusie zielonych jakich dziś już nie ma na świecie, które dostarczały śmietanki do rannej kawy — jak z razu znosił swą dolę cerpliwie, tak potem z próżnowania począł się w różne mieszać intrygi.

Owa klucznica, którą przy sobie trzymał, farbująca się burakiem i czernicami, ovladała starym zupełnie, a że jej żal było postradanego królestwa, w którym się jak szara gęś rządziła, podburzała wydziedziczonego pana przeciwko bratu... Ztąd nieustanne plotki, król coś tam powiedział przy stole, królowa się o coś nakrzywiła na Cwieczka, ktoś z dworzan śmiał się lekko o nim odezwać. Jak zaczęli jątrzyć brata przeciw bratu, jak jeli im sadła gorącego za skórę nalewać, do tego przyszło, że o mało znowu Cwieczek i klucznica nie dostali się na chleb i wodę do wieżycy zamkowej, bo

Gwoździk aż usta zaciął. Córka Cwieczkowa, zwana Lala, śliczne dziecko, które królowa stryjanka Dobruchna lubiła bardzo, obroniła jakoś ojca i wyprosiła towarzyszkę jego od nieprzyjemnej klauzury. Ale niespokojnemu Cwieczkowi życie regularne i porządne na dworze Stolpeckim nie przypadło do smaku, tu mu było ciasno, tam dymno choć cynamonem palili, tam zbyt gorąco, ówdzie za wilgotno, słowem że jak zaczął dziwaczyć, wmówił w siebie, że żyć razem z bratem nie może.

Ten go znowu o kiju wypuścić nie mógł, bo łatwo przewidzieć było, że Cwieczek wydostawszy się na świat byłby począł zaraz jęczeć i użalać się na brata i burzyć ludzi na niego, zebrał by był wojsko, napadł królestwo i Gwoździka mógłby wyzuc z niego. Stary brodacz nadto był rozumny, żeby się miał na to narażać. Gdy się więc Cwieczek zaczął wypraszać na wolę, nie dano mu jej, ale że i on i ulubienica jego dwór cały do góry nogami przewracali i niezgodę sieli... jak pisała tylko, że chciałby się wynieść do miasteczka, zaraz mu na to pozwolono.

Dokończył ten jeden warunek ostrożny Gwoździk, że jeśli by brat na jedno staje od miasta się oddalił, to go wilcy, których na to umyślnie postawiono na straży, w szmaty rozedrą.

Wilcy bowiem jeszcze wówczas słuchali ludzi, a miał nad niemi komendę hetman zwierza drapieżnego Waligóra; brali dziennie po jednej gęsi żołądka i w rok cztery woły na dziesiątek paszcz...

Zamiast kursorji, na której się wilcy rozpisały nie potrafili, rozesłano między nich zaraz cztery wołowe pieczenie przez pacholców, a każdy z wilków szarpnąwszy z nich na znak po kawałku, wyszedł straż pod miasteczkiem odbywać.

Tak ostrzeżony eks-król Cwieczek wyniósł się do prostego dworku z córką i farbowaną ulubienicą, zamieszkując na ustroniu, całę dawnego stanu zapominając i z mieszczanami za pan brat żyjąc, jak gdyby rogatej czapki nie nosił. Małą miał u nich z razu kon-

syderacją, ale jednak zapraszali go na korowaje weselne, na postrzyżyny i strawę, a że kufel lubił i od miodu nie był, szastając się po miasteczku, zawiązał dosyć przyjaźni i po cichu do dziewcząt się umizgał. Drwiły one z niego naprawdę, ale im miło było, że eks-król na ich wdziękach się poznał.

Cóż tedy państwo na to, powiecie, gdy zajęcia się i hulaniek przebrało, a król Ćwieczek nudzić się począł, bo takiej był natury, że nic go długo nie bawiło — pomyślał co by to u licha robić, aby czas leniwo idący w kark popędzić?

Radził się wszystkich, ale nikt nie umiał mu poradzić, jedni mu życzyli aby się wziął do gospodarstwa i uprawiał na polach pajęczynę, z której ówczesne królewny przędły i tkwały zasłony, drudzy życzyli siać kaszę wedle nowo odkrytej metody, z której sobie obiecywano, że się miała zbierać od razu ugotowana i z masłem. Wielki jeden agronom nawozem krowim miał tej sztuki dokazać. Król Ćwieczek jednak medytował, myślał, pocił się, aż w końcu na psikusa trochę bratu, a trochę dla fantazji, wywiesił szyld i po prostu został szewcem. Wielki był z początku krzyk w całym królestwie, ludzie zaraz na brata winę zrzucili, że go opuścił i do takiej nędzy doprowadził, ale choć mu pieczone i warzone przysyłano i dostatek miał wszystkiego, król Ćwieczek został szewcem na dobre, na złość pochodzeniu swojemu i żeby figę pokazać losowi. Bawiło go to może, że robił buty dla charłaków, którzy mu się kłaniali dawniej do pięt, a on dziś brał im miarę przyklekając...

Pomimo tego dobrowolnego upadku, Ćwieczek pozostał nie tylko dumny, ale się stał może pyszniejszym niż kiedy. Najprzykrzejsze to położenie było dla córki jego Lali, której, mimo usilnych próśb królowej Dobruchny na zamku zostawić nie chciał i zabrał ją z sobą do miasteczka, usiłując jej dać wychowanie jak najlepsze, ale nie puszczając od siebie.

Za owych czasów wszystkie jeszcze stany rządzone były przez osobnych królów, cyganie, żydzi, szewcy,

krawcy, każdy miał osobnego zwierznika, a król Ćwieczek na następnej zaraz giełdzie szewskiej wybrany został królem szewców i wdział bót złoty na głowę, który był oznaką tego dostojenstwa, jak to widać nawet w opisie obyczajów na północy Aeneasza Sylwiusza.

Ale to nie należy do historii, a raczej wypadłoby powiedzieć, że królewicz Rumianek, którego wyprawiać miano w podróż na cztery wiatry, od dzieciństwa się prawie hodując z siostrą stryjeczną Lalą, dosyć ku niej miał przywiązania i afekt więcej niż braterski. Oboje kochali się serdecznie ale po dziecinnemu.

Gdy wszystko było gotowe do drogi, a Rumianek już się w świat miał puszczać, pojechał odwiedzić szewcównę i stanął w rynku ze swoim orszakiem.

Ćwieczek rozsądzał właśnie ważną kwestję, zdaną na jego rozum i spór między dwoma szewcami, z których jeden przybył z Chin a drugi z Indji, — czy szydło czy dratwa ważniejszem są rzemiosła narzędziem; nie mogąc nic stanowczo wyrzec, gdyż szydło ciągnęło za sobą dratwę, a dratwa na nic się nie przydała bez szydła... w tem synowiec królewicz zjawił się przed gospodą. Rzucił więc djalektykę, odkładając ferowanie wyroku do jutra, a Rumianka na górę do królewny poprosił, gdzie nie tak skóry śmierzdzały.

Tu w obliczu sędziwego starca miało nastąpić uroczyste pożegnanie, na które królewicz przybył dosyć obojętny; ale gdy ujrzał śliczną swą siostrzyczkę, która nań tęskno spojrziała, poczuł że mu serce w piersi uderzyło jak młotem i lży jakieś stare, zapomniane, przyszyły się prosić do powiek. Obojgu im żal się niezmiernie zrobiło, gdy przyszło rozstawać z sobą... przywykli byli i do zabaw wspólnych i do cichego spowiadania się przed sobą i do nieustannego widywania; ale że nic ich dotąd nie dzieliło, nie wiedzieli sami czem byli dla siebie. Dopiero zagrożeni utratą szczęścia tego, postrzegli, że trudno, smutno, ciężko im będzie wyżyć w rozłące. Królowna, choć się rozplakała, ale to poszło na karb czułości niewieściej, królewicz, choć mu lży

zwilżyły oczy, zamalował je udaniem trzpiotowstwem.

— Jedziesz braciszku! rzekła.

— Jadę siostrzyczko!

— Daleko?

— Gdzie oczy poniosą!

— Po co?

— Tego nie wiem, ale wszyscy mi mówią, że potrzeba jechać koniecznie, zdobyć parę królestw, walczyć z pół tuzinem olbrzymów, dobić się do źródła żywiącej wody, odkopać skarb jakiś, Madeja uwolnić z łoża, na którym jęczy, ogromnie się wslawić i w laurach powrócić.

— Ale do czegoż to wszystko? zapytała królowna.

— Dla tego że tak wszyscy robią i że podróże jeśli nie kształcą serca, to niezawodnie psują nogi.

— A z tych wszystkich zdobyczy gdy je posiędziesz, co uczynisz? mówiła Lala.

— Ja tak bardzo pożytku z tego nie widzę, odparł królewicz, ale jechać mi się chce, bom ciekawy przygód i muszę jeszcze w dodatku wyszukać sobie żony, któraby miała słońce na czole, księżyc na nosie i gwiazdami usiane rączki... Mówią, że taka ma być koniecznie przyszła moja żona.

Lala spojrzała na królewicza i westchnęła.

— Nie uwierzysz, rzekł Rumianek, jak mi ciebie żał opuszczać; jużbym i podróży się wyrzekł, ale mi wstydz.

— A! a mnież zostać tu samej? szepnęła królowna.

— Wszakże powrócę...

— A! powracaj prędko! powracaj!... A gdybyś zażęknął po nas... dam ci na to lekarstwo... zostało mi to po matce, będzie razem pamiątką po mnie... Oto masz zwierciadelko, w które gdy spojrzysz, pokaże ci co my tu robimy, i że o tobie pamiętamy. Dopóki ono obraz nasz pokazywać ci będzie czysto, znak to żeśmy o tobie, żeś ty o nas nie zapomnieli, gdy w niem nie zobaczysz nic, ani matki, ani ojca, ani mnie... nie będziesz już miał po co powracać... węzeł co nas łączył zerwany będzie na wieki.

To mówiąc oddała mu zwierciadelko misterne, w kształcie serca wyrobione i chciała odchodzić by się swobodnie wypłakać, gdy królewicz znając się na grzeckości, ofiarował jej wzajem maleńki pierścionek i rzekł:

— Włóż go Lalu i noś na palcu, gdy spadnie to będzie znakiem, że ja umarł, gdy uciśnię cię mocno... da ci wiedzieć, że jestem w niebezpieczeństwie.

Po czym odbywszy ten obrządek starodawny, uściśkali się i rozeszli, a Rumianek zaraz wyjechał w swą podróż, wzięwszy w ganku błogosławieństwo od rodziców. Towarzyszami jego dodanymi mu na tę wyprawę byli: naprzód hetman zwierza Waligóra, paziuk Motylca zwany, dworzanin Paliwoda, starszy masztalerz Maruda, miecznik Wilczyżab i błazen Lizitapa. Oprócz tych dostojników zbliżka strzegących jego osoby miał siedmdziesięciu dworzan i siedmuset siedmdziesięciu konnych dobrze uzbrojonych.

Z rynku tedy wyruszyli tak jak stali, nie wybierając wcale drogi, gdyż w takich podróżach zakazaniem było zastanawiać się nad tem i musiano iść na oślep... Spuściwszy się tedy na los i instynkt koni, pofolgowali im cugli i dali ostrogę, ale tuż pod królewiczem, co było bardzo złą wróżbą, koń utknął. Maruda radził usilnie powrócić, gdyż przypomnieli sobie po niewczasie, że to był poniedziałek i baba im z wiadrami próżnemi drogę przeszła, ale Waligóra plunął na psa urok zrzucając, i wybiegli żwawo na rozstajne drogi. Tu się zatrzymali, gdyż trzysta sześćdziesiąt sześć gościńców wiodły na wszystkie strony, a konie kręciły się w różne drogi, i królewiczowski targał się młynkując w miejscu. Potrzeba było wezwać kogo aby wytłómaczył co to miało znaczyć i jak sobie postąpić należało.

Właśnie pod ogromną bryłą kamienia zastali tu siedzącą żebraczkę, która jakby na królewicza oczekiwała, wychyliła się z jamy i spytała go, dokąd myślał jechać?

— Otóż że ja sam nie wiem i dokąd i którądy, czy nie mogłabyś poradzić i ukazać?

— Na różne nogi różne są drogi, kiwając głową

odpowiedziała staruszka, najgłówniejsza rzecz jechać zawsze przed siebie a nigdy się w tył nie oglądać, ani zbyt oczy wlepić przed siebie, odgadując co się za górami dzieje... Ale po cóż przecie jedziecie?

— Ja szukam królowej do zaślubienia, królestwa do zdobycia, skarbu do odkopania, olbrzymów abym ich pozabijał, zaklętych abym ich pouwalniał, źródła żywiącej wody by z niego zaczerpnąć, złotej jabłoni by owocu jej skosztować... i różnych ciekawości tego rodzaju, które przyzwoiły człowiek doświadczyć musi.

Baba się rozśmiała, pokazując półtora zęba żółtego.

— Dużo ci się pozachciwało, rzekła, podziękujesz jeśli choć jedno ci się nada.

— Ależ stara Micielico, choć do jednego z tych cudowisk drogę musisz wiedzieć?

— Słyszałem o nich... ale cóż? kto tylko pojechał, nie wrócił, od nikogo dopytać się nie mogłam czy te drogi istotnie prowadzą dokąd chcą ludzie. Oto naprzekład gościniec krwią gdzie niegdzie obłany, a kośćmi ludzkimi wysłany, który ma prowadzić do kraju zaklętych skarbów, ale cóż o nim mówią? że kto tylko tam wnijdzie, wyjść już nie może i na złocie z głodu umiera. Ta błada ścieżynka pomiędzy zaroślami wspinająca się ku gór szczytom, prowadzi do żywiącego źródła... na tym szlaku trafiają się w poprzek leżący olbrzymi co nie przepuszczają przez drogę. — Któż to wie? ja choć latam z wichrami to niedaleko... co mi starej? Gdybym chciała zejść ztąd dalej, nad promień oka nie mogę, bo mnie czarnoksiężnik młodą jeszcze przykuł do tego kamienia... na lat tysiąc, tysiąc dni, tysiąc godzin i pół minuty.

Baba kończąc to, znowu uśmiechniętemi usty pokazała zęby niedojedzone, a zdawało się że sobie z królewicza żartuje; ten dalej słuchać już jej nie myśląc ruszył drogą, którą sobie koń zniecierpliwiony wybrał. Maruda już tu chciał nieco popaść, Lizilapa wychwalał rozum pański, którego dowodem dlań było, że nikogo nie chcąc usłuchać, poszedł za instynktem zwierzęcia, Waligóra gniewał się pałką machając na Micielicę,

Paliwoda wyprzedzał orszak do noclegu, a Motylica dowodzący przednią strażą na skrzydlatym jadący koniu to się po ziemi toczył, to na powietrze wzbijał w niepohamowanym pędzie.

Jadą tedy, jadą aż zmrok padać poczyną, a żywej duszy nie widać, ani mieszkania, ani wioski, ani chałupy, a puszcza ciemna i gęsta rozpościera się przed niemi. Królewiczowi nudzić się poczęło, i nie przywykły do niewygody, nie mógł pojąć jak na pierwsze żądanie zaraz mu się gospoda nie zjawi wśród drogi. Lizilapa uczucie to znajdował wzniośłem, naturalnem i szlachetnem, dowodząc że żywioly powinny słuchać człowieka, a szczególnie takiego jak królewicz.

Dobrze się już zciemniało i burza rycząc nadchodziła, gdy ujrzano światelko i pokazała się chałupka, ale tak mała i niska, biedna i uboga, że się w niej królewiczowi strasznie zdawało i od burzy schronić. Ale cóż miał począć? deszcz kropił, rozbito namioty dla dworu, a Rumianek wpadł głową stuknąwszy o uszak, do chałupki.

Była to owa sławna chatka na kurzej nóżce stojąca, w której mieszkał znany z mądrości Chochół, starzec mający już tysiąc sto sześćdziesiąt i dwa lata, z brodą tak długą że ją sobie musiał za pas zakładać, wzrostu małego, łysiuteńki i zaschły od lat tysiąca, żywiąc się orzechami, korzonkami i wodą, na rozmyślanu i samotności. Niegdyś był to rycerz wielki, ale po świetnych zwycięstwach i zdobytej u świata sławie, tak sobie ludzi obrzydził i pogardił niemi, że królestwo porzuciwszy, poszedł na puszcę i więcej nie chciał mieć do czynienia z człowiekiem. Przyjmował wszakże gości tym traktem niekiedy przejeżdżających, lub umyślnie do niego po radę przybyłych uprzejmie, i nikt odeń bez zdrowego zasilku nie odszedł.

Chociaż nikt mu nie mógł dać wprzód wiedzy o Rumianku, przyjął go bynajmniej niezadziwiony i od razu poznał kto był, ale nie kłaniając mu się jak drudzy i nie wstając z ławy, poprosił go do ognia i stołu na którym plastr miodu, orzechy, chleb i woda stały.

Dwór królewicza gorszył się tą poufalością i poczęto go łokciami trącać aby powstał a pokłon mu oddał.

— A co mnie ten młokos znaczy, rzekł Chochół, czy to on mnie co dobrego lub złego uczynić może? ani mojej dobrowolnej nędzy odjąć mi nie potrafi, ani spokoju, który w sobie noszę odebrać! On sobie królewicz, ja sobie Chochół... stary... a złe mu orzechy i miód, niech sobie nie je, kiedy gęba im nie rada.

Pokrzywiwszy nosami i on i dworzanie, poczęli się jednak do miodu i orzechów skradać, bo byli bardzo głodni, ale co który rozgryzł to robaczliwego świstuna, a co kto wziął miodu to z pszczołą, jeden tylko Rumianek same pełne wybierał orzechy i miód zabierał czysty. To jeszcze gorzej dworzan na Chochola rozgniewało, ale ten rzekł im:

— Samiście winni, bo zły czego dostanie obraca w złe, a młodemu i niewinnemu, co weźmie, w smak i korzystać idzie, nie trzeba było na orzechy i miód wydziwiać, zatoście robaków i żadeł napytali.

Głodni tedy poszli spać, ale królewicz mający o świecie jechać, nim się na suchych liściach położył, prosił starca o radę na dalszą drogę, dokąd by się miał udać.

— Jedź, rzekł mu Chochół, zawsze prosto przed siebie, a gdy cię niepewność ogarnie, zapytaj raczej serca niż rozumu, ono ci pokaże drogę...

— A jeśli zmilczy i nie odezwie się?

— Naucz je gadać.

Stary zamilkł, a nazajutrz gdy się obudził królewicz i dwór jego, znaleźli się w puszczy na gołej ziemi bo i chatka i Chochół znikli, a drzewa tylko szumiały nad ich głowami.

Dobrze się stało, bo rozgniewany Paliwoda i Waligóra, który rad był awanturze, chcieli na odjeźdźnem spalić chałupę na kurzej stopie.

Ruszyli więc dalej pośniadawszy rosą.

Wybrnąwszy z przepaścistych błót i lasów o pół dnia postrzegli na wzgórzu okazały bardzo zamek stojący wysoko, murami otoczony, a tak świecący, że nań

od blasku oczy się patrząc męczyły... Zdawał się cały sadzony djamentami, podle niego płynęła ogromna rzeka, jakby z topionego srebra... Na skale tej jednak ani drzewa ani zieloności życia nie było.

Pustką głuchą stała okolica, nie było kogo spytać, ktoby w zamku mieszkał, aż sobie Motyllica jadący przodem przypomniał, że słyszał o tym grodzie świecącym, w którym miał panować król Wciórnastek, a przy nim mieszkała jego rodzina... Mówiono, że to był pan bardzo możny, mający jedyną córkę prześliczną i siedmiu synów walecznych, skarby przy tem wielkie, ale znano go z charakteru wadliwego, złym i strasznym nad wyraz. Chcieli tedy, żeby królewicz minął ten zamek, na wstępie grożący mu niebezpieczeństwem, ale im więcej go prosili i przekonywali, żeby doń nie zajeżdżał, tem więcej się podżęgniony ciekawością, upierał przy swoim, i trąbiąc przyskoczył do bramy, samowtór z Motyllicą...

Gdy się głos trąby dał słyszeć na zamku, poczęł się w nim rozruch wielki, wybiegły strażę zbrojne, a postrzegłszy Rumianka i jego orszak, i poznawszy w nim potężnego królewicza, zaraz dali znać Wciórnastkowi, śpiesząc gości przyjmować.

Zdziwił się niezmiernie Rumianek zbliżka podjechawszy, przekonawszy się, że świecące w ścianach djamenty były to proste krzemienie, a woda w rzece gęsta i błotnista, zamek zaś sam zdała tak jasny, strasznie lichy zbliżka wyglądał.

Jednakże ciżba w nim żyła ludu choć odartego — kapoty i szarafany miała szamerowane i bramowane złotym szychem, ale stare i podarte, a wielu z nich nogi wyglądały boso z chodaków choć pióra na łbie nosili. A tak to tam wszystko było rozporządzone, że kto głowę pokazywał miał stroik na czubie, kto nogi naprzód wystawiał, ten uda miał strojne, kto z tyłu mógł być widziany, wyhaftowane nosił plecy, kto z przodu piersią nadstawiał się, zawieszisto miał upstrzone ramiona... reszta ubioru powiązana sznurkami i łachmankami, jak Bóg dał...

I w budynku ściany, które oczom ludzkim nie były dostępne, z błota i gruzu tylko wylepiono i gliną szarą poosmarowywano. Pompatycznie to patrzyło zdaleka, ale wszedłszy i oczy i nos nie bawiły się bardzo, bo nie było wiele porządku. Dopiero na wjazd królewicza zamiatać poczęto ulicę przed nim; a śmiecie zastaniali sobą szeregiem stojący dworacy... aż tu i sam Wciórniastek XXXI, pokazał się we wrotach na powitanie Rumianka...

Był to rycerz ogromny jak dąb, z wąsami, które z obu stron twarzy jak dwie siwe wiechy odstawały, gdyby gałęzie rosochate starej sosny... Po półtora łokcia wąsa było z obu stron twarzy, na łbie wygolonym czub sterczał podczesany do góry, szpakowaty jak krzak suchego ostu. Ślipia miał stare i małe, ale za to nos sążnisty, spuścisty, ani rzymski, ani grecki, bo pod te czasy jeszcze się pierwszy grek, ani pierwszy rzymianin nie urodził, ale przedpotopowy, to dosyć powiedzieć. Na piersi dźwigał zbroję jak się później domacano, papierową, a u boku szablę okrutną, ale w niej pawie pióro było zamiast główki osadzone... u nóg zaś ostrogi tak długie, że z nimi chodzić uczyć się było potrzeba... Na ramionach spływała szuba przepyszna z przodu sobolem obłożona, a z tyłu lisami wyszarzanemi podbita, ale pasowo okryta cała... w rękę niósł kij z złoczoną gałką, zawierający w sobie misternie wpuszczony bizun, na pomniejszych potrzeby — było to znamie władzy.

Znając ze sławy króla Gwoździka i Rumianka Gwoździkowicza, jako jedyne go po nim dziedzica i następcę, król Wciórniastek bardzo go serdecznie przyjął, a pewnie był rad spotkaniu temu, mając córkę jedy-naczkę, po której całego posagu obiecywał korzec białego maku, obrachowując misternie, że po posianiu w lat pięć, można będzie za sam olej wybity kupić pierwsze królestwo, jakie się trafi na licytacji. Rachował może, iż wydawszy królownę Marzannę za Rumianka, obejdzie się i bez maku posagowego, pozbędzie się córki, a w sąsiedzie zyska potężnego sprzymierzeńca, eoby nie było od rzeczy na przypadek wojny o siano-

kosy, jakie się co wiosna trafiały.

Siedmiu synów Wciórniastka byli to chłop w chłopu rycerze dzielni i pięknie zbudowani jak ojciec, wyjąwszy jednego, który był garbaty, kulawy, jednooki i okrutnie zająkływy. Zwali go pospolicie Jakałą i nikt tam we dworze na niego nie uważał, popychając go jak głuptaska; bo się ani w ojca, ani w matkę nie udał; prawdę mówił aż ły od niej ciekły, jak od chrzanu, polityki wyuczyć się nie dawał, a każdą rzecz tak *in crudo* nazywał po imieniu, że aż strach go było słuchać.

Weszli tedy na salę ogromną, gdzie muzyka grała na galerji świeżo ze stodoły przyprowadzona, a królowa ze swoim fraucymerem i córką Marzanną zasiadła na podwyższeniu. Zdaleka i pani się wydała poważna i dziewczę śliczne bardzo... Rumianek od jej wzroku na wpół się roztopił, i aż mu się słabo zrobiło, że go Waligóra przytrzymać musiał. Na tym skutku swojego wzroku poznać się musiała piękna Marzanna, gdyż uśmiechnęła się, twarzyczka jej pokraśniała, a matka wielce uprzejmie poprosiła gościa bliżej, i niebawem dano do stołu. Tu Rumianka posadzono przy pannie, a on znowu z tego wielkiego szczęścia aż osłabł, i gdyby go hetman nie trzeźwił, byłby omdlał na poły. Marzanna była słuszną blondynką, białą, rumianą, świeżą, a oczy miała niebieskie takie co to zdaje się, siedzi w nich jakaś tajemnica, ot, ot... coś wielkiego, coś strasznego powiedzą... ale na tem się kończy, że gadać obiecują a milczą uparcie. Królowna strojna była niezmiernie, jednakże postrzegł Rumianek z zadziwieniem po jakimś czasie, że w koronie jej było dużo szlifowanych szkiełek, a w stroju i w przyborach wiele fałszów. Wszystko tam w tym rodzaju było u Wciórniastków; — gdy poczęli przy stole opowiadać swoje dzieje ojciec i sześciu braci, włosy na głowie wstawały, takie niedorzeczności pletli, a stary Wciórniastek coraz tylko przerywał groźnem wejrzaniem i wykrzykami, że gdyby kto śmiał przeczyć, szablą się gotów upomnieć i popierać co mówiono... Wszyscy milczeli, na rogu tylko siedzący Jakałą głową kiwał i

śmiał się czasem tak, że musiał głowę oburącz przytrzymywać, bo miał śmiech piszczący i straszny, że ludzie od niego o milę marli z trwogi, gdy się dał słyszeć swobodnie.

Wszyscy bracia opowiadali każdy swoją historję, ten, że olbrzyma zwałił silnem dmuchnięciem, ów że trochę rozpedziwszy się górę przeskoczył; a trafiwszy z drugiej strony na morze, miał go tylko po kolana; trzeci, że raz sześćdziesiąt sosen przyniósł w kieszeni od kapoty i t. p. Stary także sławił swą potęgę i o państwie swem powiadał, że w niem jest Wschodownia słońca, i z tego powodu codzień do niego rano Jutrzenka po klucze przychodzi, a gdyby ich kiedy nie dał, toby i dnia nie było. Stara królowa tem się tylko popisywała, że młodszą jeszcze panną będąc tak była piękna, iż idąc ulicą wzrokiem ludzi zabijała i padło ich tyle ofiarą, że w końcu musiano jej oczy zawiązywać, a po rynkach przy bębnie ogłaszać, kiedy iść ma, aby się nikt nie ważył w drogę jej zachodzić, pod utratą życia.

Ta własność szczególna, której mąż nie padł ofiarą, gdyż nie ulegali jej ci co śmiało królownie w oczy patrzali i przechorowawszy osławiano się z jej wejrzeniem, ustać miała po urodzeniu pierwszego dziecięcia. Królowa Marzanna także opowiadała, że się o jej rękę starało już osiemdziesięciu królewiczów, a z tych siedemdziesięciu pozabijali się na śmierć z zazdrości, jeden z rozpaczę się obwiesił, a ostatni łzami zadławił.

Jakkolwiek się to wszystko dziwnem zdawało Rumiankowi, ale że to wówczas jeszcze był świat, w którym większe dziwy powszednie widywano niż dzisiaj, uwierzył wszystkiemu i od pierwszego wieczora straszliwie się pokochał, zwłaszcza gdy poszli w taniec, a królowa bardzo dlań ukazała się przychylną. Nazajutrz rozmarzony, ani chciał słuchać o dalszej podróży i został na dworze Wciornastków, zakochany po uszy w królowie Marzannie. Lizilapa chodził między swojem i chwalił postanowienie królewicza, dowodząc, że młodzi kochać się muszą, a wszelka miłość jest rzeczą świętą... Motylca równie był zakochany i milczał, inni

gadać nie śmieli. Maruda odpoczywał. Paliwoda nazajutrz radził się już oświadczyć, stanąć na kobiercu i do domu powracać na gody.

Zdziwiło to jednak Rumianka, gdy następnego dnia królowna się w dzień nie pokazała; dopiero pod wieczór wyprowadziła ją matka znowu śliczniejszą jeszcze i Rumianek zaraz się do niej przysiadł, a rodzice zostawili ich samych znać nie przypuszczając, ażeby co z tego nieprzyzwoitego mogło wyniknąć.

Korzystając ze swobody królewicz wywiódł pannę do wirydarza i tam przykląkszy przed nią, przy księźcu świadku, oświadczył się, że ją kocha, prosząc o rękę, na co ona drżącym głosem odpowiedziała po cichu:

— Jeśli papa i mama pozwolą...

Był tedy najszcześliwszym nie wątpiąc o pozwoleniu, a w razie oporu gotów papę i mamę zadławić, pozostał nazajutrz jeszcze. A że mu tęskno było z raną samemu do obiadu siedzieć, bo panowie bracia pojechali na łowy, a król z ekonomem miał konferencję z powodu nadchodzącej kosowicy jedwabiu, który się tam na łąkach rozził, a robaki go później za pańszczyznę przedły, poszedł Rumianek wdychać do ogrodu i trafunkiem o białym jasnym dniu, pierwszy raz spotkał Marzannę. Królowna z razu chciała uciekać bo była nie ubrana, ale królewicz nasz, który biegł szybko, dogonił ją i chwytając za rękę przytrzymał... wyrwać mu się nie mogła.

Zajrawszy jej tedy w oczy, mocno była inna, a cała jej piękność musiała się na popołudnie i wieczory robić przez umysłnie do tego wyuczone kobiety, które jej płeć malowały, brwi farbowały, oczy jakimś urokiem nasypywały. Marzanna bowiem po dniu była sucha, stara i do Jąkały podobna, co strasznie zmieszało królewicza. Ale sobie zaraz powiedział, że mu się to tak przydać musiało. Czekał wieczora niecierpliwie Rumianek, a Marzanna wyszła znowu, jak anioł piękna, świeża, młoda, pachnąca, i królewicz gorzej się jeszcze rozkochał. Prawda, że u stołu podpoili go trochę, bo

mu dolewali a dolewali jakiegoś napoju robionego z soku, który na wiosnę płynie z rozciętych łądyg azalii... i smaczny jest a upaja i oszala.

Już tedy powoli zaczęto i o zaręczynach przebąkiwać, a Marzanna popędzała go, żeby się rodzicom oświadczał publicznie... tylko, że wypadło wprzód postać Lizilapę do Stolpca o pozwolenie rodziców. Wciór-nastkom się to wydawało nie potrzebne, ale stary Gwoździak zapowiedział synowi, że jeśli się ożeni bez pozwolenia, to go wydziedziczy... i pięknego królestwa stracić się nie chciało.

Już tedy Lizilapa miał nazajutrz jechać z poselstwem, gdy wieczorem w tańcu królownie włosy odpadły, co bardzo zafrasowało zakochanego, bo miała prześliczne, tylko nie swoje. Pomyślał tedy w duchu, — a nuż i ręce i nogi potem jej podopadają, jak się lepiej rozmacha? — Jakoś więc posmutniał i rozmyślać się począł. Udali się na spoczynek, gdy Waligóra rzekł mu bez ogródki, że nazajutrz dalej ruszać potrzeba, a dalej tu nie ma czego bawić, bo dwór z głodu pozdycha... W istocie w sali bankietowano, choć i tu więcej się świeciło na półmiskach niż karmiło, ale ludzi Rumiankowych chcieli puścić na paszę pod pozorem, że i królewscy dworzanie we dworze nie jadają, ale ich na łąki codzieli pastuch wypędza, gdzie rośnie gotowy makaran włoski, sałata wyborna w oliwie, a w lesie po deszczu znajdują się pod każdym drzewem placuszki z makiem.

Waligóra otwarcie też dodał, że panna stara, malowana, zęby i rumieńce przyprawne, dla tego ją tylko o zmierzchu pokazują, a dziesięć godzin wprzód sztukują, malują i politurują, — dodatku korzec tylko maku posagu. Sam Rumianek wszystko rozrachowawszy i coś już złego przeczuwając, zabierał się do drogi nie opierając zbyt mocno, gdy nadszedł Jakała.

— A co? spytał królewicza, pewnie już myślicie o drodze?

— Zkądże ta myśl w panu?

— U nas to tak zawsze, kto tylko się o moją sio-

strę starał, zwinął chorągiewkę, po trzech dniach do-wychawszy się fałszu.

— Tak-li?

— Bo ona nie jest ani moją siostrą, ani królowną, ale ją sobie królowa dla zabawy ze starej lalki zrobiła i chce za męża wydać bogato. Serce jej wstawili pożyczone od gęsi, trochę mózgu z cielątka, reszta nie wiem z kąd kawałkami pobrano. Zabieraj się i ty i jedź sobie, dodał, bo mi ciebie szkoda, ale ruszaj nie żegnając się, bo cię król nie wypuści i gwałtem żenić będzie. Każ ludziom po cichu się zbierać do drogi, i nikomu o tem słowa... niech cię Bóg prowadzi.

To rzekłszy, a snąc bojąc się być wyspiegowany zemknął Jakała, ludziom dano zaraz rozkazy, aby się po cichu pakowali i sztyftowali, ale któryś z nich musiał się nieostroźnie wypaplać, gdyż nim Rumianek spać legł, żeby w strapieniu wypocząć, już Wciór-nastek stary z sześciu synami wszedł do izby w groźnej postawie.

— Wstawaj! krzyknął, i zdaj mi sprawę a rachunek z niecnych swoich czynności... uwodzicielu jakiś! Słysz, że zamysłasz uciekać i wynieść się po kryjomu jak złodziej ukradłszy mi serce córki, niedotrzymując danego słowa dziecku i krwi tylu bohaterów!! Co to ma znaczyć mospaneńku? he?

A sześciu królewiczów jak jeden ryknęli za nim:

— Co to ma znaczyć mospaneńku? he?

— To ma znaczyć, postawił się Waligóra, że gwałtem nikt się nie żeni... jak zechcemy to się ożenim, jak nie zechcemy to nikt nas do tego nie zmusi.

— A zatem wszyscy tu zginiecie do nogi i kostki po was nie zostanie! krzyknął Wciór-nastek... i za-trąbił.

Działo się to w pośrodku zamku, a owi siedmuset rycerzy Rumiankowych stali z końmi pod murami jego, przy nim był tylko dwór i kilkunastu pachołków, z tych zaraz Lizilapa schował się w dziurę od pieca, Maruda przebudzić się nie mógł, ale Waligóra i Paliwoda stali za resztę. Więc wszyscy do szabel, królewicz też roz-

grzawszy się i poczuwszy pot, jak koń stepowy — zatrąbił po swojemu na swoich. Ale ino mieczów z pochew dobyli, i król i sześciu synów natychmiast im z oczów znikli, a hałastra zamkowa choć jej wolano, z pierzyn wstać nie myślała, i tak sobie drogę torując szablami pociemku, królewicz i orszak jego wyszli na błoń, siedli na koń i śpieszno ujechali obawiając się pogoni. Dopiero o dobrą milę dognał ich z wielkim hałasem Wciórnnastek, ale napastować nie myślał, łając tylko na przemiany i różne niestworzone obiecując rzeczy. Naśmiewszy się z niego i niezważając na nie, ruszyli tedy dalej w swą drogę.

Następnego dnia słońce po swojemu zeszło i pogoda była piękna; około południa, gdy ledz mieli na popas przy źródle pod dębami, ujrzeni straszliwego olbrzyma niosącego na plecach krowę, a za nim szedł chłopiek płacząc i rozpaczając, gdyż to była jego ostatnia. Zaraz tedy, że to był chłopiek wielkiego serca, Rumianek ujął szablę i z Waligórą zaszli mu drogę... Drab miał ze szesnastcie łokci wysokości (wiedeńskiej miary), a łeb jak dobra kufa wódki.

— Co? zkąd? jak? masz paszport? co tu robisz? czyja krowa? począł Rumianek, sądząc, że do bitwy przyjdzie, ale choć mu się bardzo chciało spróbować z olbrzymem i czuprynę mu zdjawszy nią się chlubić, bo wówczas z czupryn takich robiono burki i z tego to poszły dzisiejsze węgierskie — ale w miarę, jak Rumianek nań następował, olbrzym malał, malał, zrobiło go się dziesięć łokci koronnych, pięć, trzy półtora i w ziemię cały wlaź, a krowa się na łące pasie, a chłop przy niej płacze... Nie było się z kim bić, królewicz Rumianek zafrasował się i zawstydził, że na takiego cieniaka napadł.

— Słuchajże no Waligóro, albo i ty Motylico, coście mi bajki o olbrzymach pletli... gdzież oni są... co to za olbrzymy, którzy do walki stawać się boją? Niechbym się ja choć z jednym spróbował.

— Najjaśniejszy paniczu, rzekł Lizilapa, olbrzym ten uległ potędze twojego wzroku i wrósł w ziemię, jest

to fenomen naturalny i w fizyce wytłomaczony. W historii naturalnej kraju naszego znany był i opisany ten rodzaj olbrzymów co maleją, gdy się im śmiało plunie w oczy, a powoli całkiem się w ziemię chowają!.. Jest to olbrzym fałszywy, *Gigas fallax*, ale trafiemy i na lepszych.

— No, kiedy tak to co innego, odparł Rumianek, bo też to smutna rzecz na olbrzyma się zamierzyć, a z karlem bić, lub w powietrzu szablą świsnąć.

Gdy popasali trafił się im żebrak, który kości ich obiadu pozbierawszy i do torby pochowawszy okruszyny, spytany o drogę powiedział im, że są na szlaku, który od wieków zowie się gościńcem żywiącej wody i złotej jabłoni; ale tą zarosłą drogą oddawna nikt nie jeździł i nie chodził, a nie można było wiedzieć dalszego jej kierunku. Królewicz mocno się jednak ucieszył.

Rozpowiadał jeszcze starzec, że od prapradziada słyszał, jakoby przebyć trzeba było trzy przepaści, dwie góry i wiele trudów pokonać, aby się dostać do tych cudowisk, które, jak mówili ci co ich nie widzieli, miały się popsuć ze starości; i lepsze od nich sprzedawano w kramach na jarmarku po trzy grosze.

Tych już uwag zakrawających na filozofję, nie słuchał królewicz i dawszy tyńfa żebrakowi pojechał dalej ze swoim orszakiem, na zdobycie marzonych skarbów i dziwów.

Słońce już zachodzić miało, gdy w dolinie pokazał się im dwór, jak się zdawało książęcy, z ogromnemi zabudowaniami do kola; a nad nim górował komin jeden tak wielki jak piramida, i z czupryny mu dymiło strasznie i ogniem buchało. Na polu też różne postrzeżli osobliwości zaraz wjechawszy w to królestwo — z jednej strony na grzędach rosły w miskach polewanych kartofle ze słoniną, z drugiej z masłem, dalej z łąnu żyta wprost płynący ruczaj mocno czuć było okowitą... W górze nad polem wisiały worki z deszczem, dmuchawki do robienia wiatru, parasole od skwaru słońca i różne sztuki gospodarskie, ale żywego ducha widać nie było; — wszystko tu jakoś samo się robiło

bez ludzi. Nie wiedzieli czy ich tu na noc przyjmą, gdy dobijając się do wrót pole oddzielających ujrzeni kalekę, który ich pilnował i spytali kto by tu był panem.

— Pan zowie się Licho, pani Cetno, a dwór jest stolicą królestwa Groszaków... bardzo możnego i wielkiego.

Spytany potem stróż czyby ich siedmiuset kilkudziesięciu na nocleg przyjąć chcieli, pokiwał głową i rzekł, że w gospodzie za pieniądze przyjmą, ale we dworze — za Bóg zapłać... pewno nie.

Pojechali więc ku gospodzie, która, że tamtędy wiódł jakiś gościniec, była ogromna i mogli się w niej pomieścić, a królewicz ludzi swych zostawiwszy w niej, pieszo z Motylicą udał się nawiedzić króla Licha w jego domu.

Znaleźli go nad wielkim białym otyłym burakiem, z którym prowadził rozmowę, gdyż to był czarnoksiężnik wielki, i kamienie u niego nawet, gdy je zaklął, gadać musiały. Rozpytywał się ile ich z pola przyszło i wiele przez dzień powyrastali, i jak się czują w żołądkach, słodko czy nie. Chociaż bardzo zajęty przyjął Rumianka z polityką, ale go z razu wziął za kupca, dopiero gdy mu o sobie powiedział, o ojcu i pochodzeniu, zaprowadził go do zamku, który był bardzo wspaniały, ale zimny i pusty. Wyszła zaraz i pani Cetno i córka ich jedynaczka królowna Misza, którą jak skoro ujrzał królewicz, zaraz się w niej wedle zwyczaju swojego rozkochał.

W istocie była to osóbką bardzo piękna, mała, ale szykowana brunetka, którą wróżki i czarownice z daleka sprowadzane wychowywały; umiała śpiewać pieśni osobliwe, prorokować, ciągnąć kabale, grać na arfie i cymbałach, tańcować na sznurku, i różne inne śliczne rzeczy; ale że ojciec i matka bardzo byli bogaci, spodziewała się wyjść bardzo świetnie, najmniej za potężnego króla jakiego. Wymagała już po swoim przyszłym, żeby miał wóz skrzydlaty, i żeby ją wiozł za siódme morze na jakąś wyspę, zamieszkaną przez wróżki i czarnoksiężników zabawnych bardzo i bawiących się nieustan-

nie. — Lubila bowiem bawić się i popisywać.

Wzgardliwie z razu przyjęła Rumianka, choć był ładnym chłopcem, aż dopiero, gdy jej ojciec szepnął, że król Gwoździk ma bardzo obszerne państwo i stać go nawet na dwa wozy skrzydlate i na nie wiem jakie fantazje, a co lepiej mógłby nawet dla syna po żonie posagu nie potrzebować, poczęła nań Misza miłszem okiem spojierać.

Zaprosili go tedy na jutro, a wieczór zabawiali li-czeniem owiec, które z pola powróciły i fasoli, którą łuszczone dla przepędzenia czasu, przy czem królowna grała na arfie i śpiewała.

Chociaż dwór Licha nie bardzo przypadł do smaku wędrownikowi, ale oczy panny bardzo go zajęły, i pozostał, aby dłużej w nie popatrzeć. Nazajutrz dany był wielki festyn w sali zimnej i obiad na półmiskach wążących każdy po czterdzieści funtów srebra, ale na niektórych nie było nic, a na innych tak mało, że wszyscy od uczyty wstali głodni. Na deser poprowadził ich król oglądać skarbiec i gospodarstwo co trwało do nocy.

Jakoś do trzeciego dnia odechciało się Rumiankowi i królownej i posagu, i oczów, a przypatrzwszy się chłodnej owej piękności dowoli, rano wymknął się w dalszą podróż.

Dotąd mało jeszcze miał przygód siebie godnych i znajdował, że mu los niedopisywał; puścili się więc ztąd drogą pustą, znowu szlakiem wody żywiącej, wśród którego mieli jak mówiono, przebywać niezmierne pustynie. Ale konie dobrze owsem kupnym podkarmiwszy, a rano ruszywszy, do południa ulecieli trzysta mil ukraińskich i postrzegli przed sobą przepaść taką, że ani jej objechać, ani minąć, ani przeskoczyć — nie było można.

Powiadano, że gdy ziemia świeżo jeszcze z mokrej gliny ulepiona, z tej strony na słońce wschodzące raz pierwszy wystawioną została, gdy słońce jeszcze nie zmordowane bardzo, na pierwszy raz przygrzało, skurczyła się i pękła szeroko. To pęknięcie było ową prze-

paścią niezmierną, nad którą przybywszy królewicz jął medytować co począć.

Wracać? wstyd — przejść? nie ma sposobu, objechać nie można... Jeśli tedy radzić wszyscy, Motyllica, żeby skrzydła ludziom i koniom poprzyprawiać, Paliwoda, żeby drzew narąbać i przepaść zarzucić niemi, Maruda, żeby poczekać aż sama powoli zasunie się od brzegów, Waligóra, żeby dziurę zakłąć... Lizilapa wotał, aby Najjaśniejszy panicz nikogo nie słuchał mając rozum wyższy nad wszystkie ludzkie rozumy... I rzekłszy, to pocałował kraj jego surduta choć był powalany błotem.

Tymczasem słońce zaszło i zanocowali tu, a Rumianek raz pierwszy stęskniwszy się dobył zwierciadélka i zajrzał w nie, aby zobaczyć co robią w domu. Po wierchnia jego była czysta, postrzegł w nim naprzód ojca jegomości w ganku Stołpeckim na zamku, z nogą na nogę założoną drzemiącego, matkę u kądzieli za myśloną, a Lalę zapłakaną z rączkami założonemi i oczyma czerwonemi. Cwiecek latał stary bót i trzyomał nóż w zębach, — nowego bowiem obóvia nie robił, ale miał to sobie za największą sztukę, z nie warbił, obdartych chodaków, nowe i śliczne wysztukować tak umiejętnie, że nikt ich od najprzedniejszych babyłońskich rozpoznać nie mógł.

Patrząc na Lalę smutno się zrobiło Rumiankowi, tęskno, przykro, i mało nie zapłakał za Stołpcem, pytając się siebie dla czego by go i po co opuścił, gdy tam miał pokój i szczęście, wszystko czego potrzebowało serce, czego pragnęła dusza?

Tym dumaniom sen koniec położył, a nazajutrz rano kazano konie posiodłać i dobrze popodpinać, i królewicz widząc przepaść przed sobą świsnął na Jagę, aby w pomoc ze starem przybywała doświadczeniem.

Czarownica zjawiała się na miotle żeglując przez powietrzne szlaki, czerwona od zmęczenia i zdyszana.

— Jak przepaść przebyć? zapytał jej Rumianek, — jest-li sposób?

Poszła stara nad brzeg miotłą się podpierając, po-

patrzała, pokiwała głową i wyznała, że nie wiele wie, ale od babki swej słyszała, że przez nią rycerze mężnem sercem przeskakiwali. Wprawdzie dużo ich tam ginęło, ale kilku do mety doszli i żywiącej wody zaczępnęli.

Że królewicz nie miał nigdy zwyczaju wątpić o sobie, dał zaraz rozkaz do skoku i Motyllica naprzód, a za nim inni poparłszy konie ruszyli.

Ale — o cudo! w chwili gdy już dopełnić się miało salto-mortale, przepaść owa znikła i maluczki tylko ruczajek w parowie się okazał, przez który konie z łatwością przesadzili. Nim jednak Maruda zebrał się sięść na koń, tamci już byli na drugiej stronie, przepaść otworzyła się znowu i on pozostał sam jeden. Słychać było że w dziesięć lat później, na szkielecie konia siako tako powiazanym sznurkami, bo mu mięso w drodze wiley objedli, powrócił do Stołpca, niesłychanie zmęczony niewygodną podróżą...

Na drugiej stronie przepaści kraj był daleko piękniejszy i żyźniejszy, mnóstwo zwierza i ptaków, a fertyczna srocza w czarnym płaszczyku wyszła na spotkanie królewicza i wypaliła mu oracją po syryjsku i chaldejsku, mieszając zgrabnie te dwa języki, że ich obu zrozumieć nie było można, winszując przybycia i prosząc o trzy grosze na śniadanie.

Dalej witały go także inne stworzenia z respektem wielkim, i lis przyszedł się ofiarować za przewodnika, strasząc dziwami, olbrzymami, którzy na drodze zasiadali i do żywiącej wody nie dopuszczali, a radząc ich wiadomemi sobie ścieżkami wyminać.

Pozbywszy się tego i innych natrętów, a nareszcie niedźwiedzia, który uparczywie żądał, ażeby mógł być przyjęty za przyjaciela, ofiarując się za tanie pieniądze, to jest za pięćdziesiąt dwa plastry miodu i kilkoro cieląt rocznie... pojechali dalej. Tu pierwszy raz spotkali mnóstwo ludzi pozaklinanych, w rozmaitych postaciach i położeniach. Byli to wszystko poprzednicy królewicza na tej drodze, którzy znużeni przed czasem, jak którego rozpacz i zwątpienie schwyciło, siedli i

skamienieli.

Jeden stwardział grając na piszczałce, drugi nad jadłem, trzeci u kolan jakiejś kobiety, czwarty we śnie leniwym; każdy w tem do czego miał jakąś słabość, i aż śmiech i litość brały patrzeć co tam ich było w różnych postawach, niby żywych a w istocie życia dla nałogu pozbawionych. Minawszy to niebezpieczne miejsce, gdy dalej iść mieli, oznajmił im lis wlokący się z tyłu w nadziei ochłapów, że jeśli by chcieli na popas z drogi zjechać ćwierć milki, przyjemną by spędzili chwilę we dworze króla Sloty, wielkiego i potężnego mocarza, który w sąsiedztwie kawał pustyni i słone morze posiadał. A choć to miał być mimo rozległego państwa ubogi człowiek, jednak pan z panów, i liczył sobie trzysta sześćdziesiąt pokoleń w prostej linii, które z tego morza do pekeflejszów czerpały ropę.

Jakkolwiek nie miło było zjeżdżać z drogi królewicowi, jednak gdy orszak mocno się zdawał zmęczony, lis ich poprowadził ścieżką w góry i wkrótce ukazało się zameczko na wysokości, z którego tylko jedna wieża sterczała, a mury były porujnowane bardzo, i w około smutno i goło, ale majestatycznie i poważnie.

Na polu ani śladu posiewów, w ogrodzie sam pan o kiju się przechadzał i wróble opędzał z wiśni dojrzewających, z których owocu sokiem spodziewał się ochłodzić. Z wielką gościnnością otwarły się przed niemi bramy, ale jedna o mało nie ubila Lizilapy, bo zawiasa pękła i w łeb dostał lisztwą. Dowiedziawszy się przez marszałka dworu o procedencji gościa i herbach jego, a znając dobrze rodzinę Gwoźdźków, z którą był spokrewniony król Sloty, przyjął wędrującego młodziana uprzejmie. Gdy przyszło jednak do obiadu, znalazł się tylko w spiżarni kawałeczek starej słoniny, chleba spleśniałego bochenek i kubek piwa dla dworu... tak nieborak ów Sloty podupadł i zubożał. Ale czas obiadowy spędzili z nim wesoło, słuchając opowiadań o prastarych czasach, gdy jeszcze praojcowie Słotów koczowali u wrót raju, ze swemi trzodami owiec zło-
torunych i wielbłądów.

Z rozmowy dowiedzieli się, że król Sloty miał córkę jedynaczkę i Rumianek bardzo był ciekawy ją zobaczyć, ale im się nie pokazała. Dopiero gdy pozostali na noc, wieczorem wyszła w towarzystwie pode-
szłej ochmistrzyni na pokoje i zasiadła z daleka za herbowną zasłoną. Postać miała wspaniałą, głos miły, słowo rozumne, ale gdy przy wieczerzy odsłoniła twarz, Rumianek przeląkł się, tak była bladą i trupią. Ani kropla krwi jej nie zarumieniła, a oczy były martwe i nie zwracały się, chyba głowę obróciła w stronę. Jednak gdyby dłużej pobyl, może by się i w tej zakochał, bo nie była bez wdzięku, ale rano Lizilapa przyszedł z oznajmieniem sekretne, że panna ta córka Sloty dawno była umarłą, a ojciec ją tylko zabalsamowaną pokazywał, utrzymując przy sztucznem życiu siłą czarnoksiężką...

Choć więc Sloty zabierał się im rozpocząć historję o sześćdziesięciu bohaterach swych przodkach i wielkich ich dziełach, nad którymi sam rozmyślając, nie miał czasu wziąć się do niczego, bo się obawiał aby tradycyę ze znużenia nie pozbył i nieustannie ją w sobie odświeżał rozpamiętywaniem — umknęli rano i chcieli znowu tą samą drogą do żywiącego powrócić źródła, gdy lis, co ich tu przywiódł i nazajutrz miał odprowadzić, znikł, a sami nie umieli w pustej okolicy wy-
naleźć szlaku, o którym nikt zresztą nie wiedział nawet.

W wielkim tedy królewicz znalazł się frasunku i biedzie, ale nie tracąc serca, rozkazał prosto od wrót konie wszystkie skierowawszy w jedną stronę jechać stale, w jednej linii, na los szczęścia gdzie się trafić uda. Jechali tak pół dnia, nic i nikogo nie spotykając; zaczynały konie i ludzie się trudzić, gdy nade drogą jak dwie góry ukazali się dwaj olbrzymi potężni, siedzący i pilnujący wazkiego przesmyku.

Po nich poznał Rumianek, że znowu był na drodze do źródła, a rozmierzywszy okiem wielkość olbrzymów, swoją rozrachowawszy siłę i pomyślawszy co ich tam spotkać mogło, po cichu całe swe wojsko wstrzymał i

rozłożył, naradzając się coby począć wypadało. Obejść po za plecami olbrzymów nie było podobna, zwyciężyć było trudno, siedzieli u wrót wozu z kamieniami, których lekkie potrącenie stopy mogło na ich karki obalić. Lizilapa, z powodu że zdrowie królewicza droższe mu było nad wszystko, radził wracać się nie narażając na niebezpieczeństwo i cytował szesnastu poetów będących tegoż zdania; Waligóra chciał uderzyć wstępną siłą, Paliwoda zgadzał się na to byle prędzej, Motyllica utrzymywał, że to nie były olbrzymy żywe, ale wypchane maniaki. Królewicz sam na podjazd wyjechawszy, wrócił z przekonaniem, że ponieważ spali już od kilkuset lat jak tamtędy nikt nie przechodził, można było cicho się przesunąć, nie budząc i tak wynieść z niebezpieczeństwa a na swoim postawić, lub gdyby się obudzili, życie mężnie narazić. Poobwijawszy więc szable krajkami, aby nie brzęczały, koniom nogi w buty z wojłoków pozaszywawszy, puścili się po cichuteńku.

Dwa owe straszne olbrzymy, Dumbor i Proznogóra siedziały na wierchołkach wyniosłych, a im bardziej się ku nim zbliżali jadący, tem rosły im w oczach; u nóg ich leżały stopy kości pozabijanych podróżnych... Nie budząc ich, na palcach się skradając, poczęli się przemyskać wąwozem i byłoby się wszystko udało wymienienie, bo już królewicz i dwór cały prawie i wojsko przeprawiło się na drugą stronę, ale w chwili kiedy reszta ludzi przechodziła, Lizilapa, nałogowy tabacznik wyjął z kamizelki tabakierę z rapą i przez grzeczność dał jej obok jadącemu nie przywykłemu do zażywania Paliwodzie; ten kichnął okrutnie, olbrzymy się przebudziły i już walić skałami, kamieniami, tak że mimo największego pośpiechu z siedmiuset ludzi ledwie trzechset ocalało. Królewicz już był dobrze za przeprawą, a Lizilapa dowodził mu, że wcale nie on temu był winien, ale nos Paliwody, i że wyszli jeszcze bardzo szczęśliwie, gdyż tych czterechset darmozjadów więcej im zawadzali niżeli pomagali w drodze.

Dalej gościniec począł być twardy i piał się ku górze. Czarownica stara imieniem Klepa utrzymywała

tam szyncelek, który był od dawna zamknięty i becзки w nim powysychały, bo nikt już od wieków traktem nie jeździł; sama ona zamarzła ostatniej zimy nie mając co jeść i czem się opalać, i znaleźli ją w kożuszynie łataną w kuczki siedzącą i zupełnie skością, a życia się z niej dowołać nie było podobna.

Ale że w tym pustym i nieznanym kraju potrzeba się było kogoś poradzić, jeśli ją rozcierać, cucić, ogrzewać, aż doszli że łajanie nad wszelkie frycje okazało się skuteczniejszem, bo baba wstała gdy ją Lizilapa besztać począł, przetarła oczy i zdziwiona wspaniałym dworem, który ją otaczał, upadła na kolana ze strachu.

Od niej dowiedzieli się, że w bok o pięćdziesiąt tylko mil mieszkał Liczykrupa, król staruszek osamotniony, wnuczkę jedną po bracie wychowujący, u którego mogli mieć schronienie i odpoczynek, gdyż do źródła wody żywiącej daleko jeszcze było, i mnóstwo do przebycia zawał i przeszkód. Wsadzono zeschłą czarownicę na konia i kazano jej prowadzić do zamku Liczykrupy, który był sławny na cały świat ze swojego skąpstwa, a zamieszkiwał na pustyni, choć miał inne państwa w swym kraju ludniejsze i weselsze, dla tego tylko że go tu życie nie kosztowało. Zamek ten był chałupą o czterech oknach, pod słomą, bardzo nędzny, obok którego mocny lamus ufortyfikowany, murowany, okowany, miał wedle pogłoski powszechnej zawierać skarby ogromne. Stary wyglądał na dziadka orzechów, taki był mały, suchy, zgarbiony, bezzębny; zobaczywszy tylu gości, pochwycił się za głowę i począł uciekać, wyrzekając że takiego najazdu nie ma czem przyjąć, ani myśli przyjmować. Ale w oknie właśnie siedziała wnuczka królewska, i ta postrzegłszy Rumianka, który przed nią przykląkł po staroświecku, zaczerwieniona pobiegła po dziadunia i skłoniła go aby bramę gościom otworzyć kazał.

— Ale oni nas tu zjedzą! zawołał stary przerażony trzymając się za głowę, więc w targi przez wasistas i samoczwart puścili królewicza do dworu, gdyż się zaraz na wstępie pokazało, że prapradziad Liczykrupy

i prababka Gwoździka byli sobie stryjeczno-wujeczno, cioteczno-serdecznie rodzeni, co stanowiło kolligacją w dwudziestym drugim stopniu, a Rumiankowi dawało prawo domagać się gościnności.

Rad nie rad, Liczykrupa musiał przyjmować, ale żeby się nie bardzo zmódz na traktament, udał że klucze pogubił, że się zamki od lochu i spiżarni popsuły, że dzień był w którym się nie jeść nie godziło i bardzo skąpo Rumianka u stołu nakarmił, nie mówiąc już o ludziach, którym więcej dawali wachać niż kasać.

Rozmawiał za to szczerze i słów nie żałował słodkich, słonych, pieprzonych jak kto chciał.

A że królowna wnuczka, która się zwała Pliszka, bardzo była śliczna i wesoluchna, a Rumianek niezmierną miał słabość do twarzyczek niewieścich — wzrok jej jasny i uścieszka uśmiechające się kazały zapomnieć o głodzie i wieczór przeszedł nim się spostrzegli. Królewicz kazał obóz rozbić podług zamku, na który Liczykrupa proste pole wyznaczył potrzebujące sterczoryzacji, i na noc się tu zatrzymali mimo sarkania zgłodniałych. Wieczerzy już nie było, tylko bardzo jakiś oszczędny podkurek, pod pozorem że Kopcidym, nadworny kuchmistrz królewski, zachorował na reumatyzm, a klucznica na łopacie wyjechała na Łysą górę po czosnek djabelski dla smarowania chorego bydłęcia. Pliszka za to śpiewała przy kądzieli, a głos miała tak śliczny, że zachwycała Rumianka, który poczuł że mu się już serce w piersi roztopia.

Gadu, gadu, gadu, zagadali się tak do późna, — aż stary w końcu zapytał Rumianka, dla czego by tak daleko od gniazda rodzinnego zawędrował, i co go do tak kosztownej wyprawy zmuszało.

Odpowiedział Rumianek, że go prowadziło serce, pragnienie przygód osobliwych, widzenia świata, pokonywania olbrzymów i zdobycie zaklętych skarbów.

— Skarby jak skarby, rzekł na to Liczykrupa — jest sens, choć nie wiem ktoby je tak zaklinał głupio aby odklął lada świszczypalka, ale powiem Asindzie-

jowi, że z innych względów podróż ta ni w pięć ni w dziewięć. Po co się włóczyć, konie męczyć, podkowy gubić, ludzi morzyć, siebie durzyć, czas marnować? nie lepiejżeby w domu siedzieć i na grosz pracować?

Królowna była także tego zdania, że dla niebezpieczeństwa, dla fantazji się narażać wcale Rumianek nie miał potrzeby, a gdy z zapałem począł jej mówić o źródle żywiciem, o złotej jabłoni, o innych dziwach, zaśmiała się, utrzymując, że ich nigdy na świecie nie było, a bajki o tem rozsiała czarownice, aby młodzież, do której zab miały, o zgubę przyprowadzić. Chwaliła także ciche życie domowe, a popierając mowę przykładem, w oczach królewicza pilnie się gospodarstwem zaprzatać zaczęła.

Jakkolwiek piękna była i miła, postrzegł się królewicz, że gdyby o niej pomyślał, a dla wdzięku się zakochał, toby go tu pewnie trzymali na uwiezi i zaprzegli z wołem do pługa... Słudzy tam szeptali, że u Liczykrupy zwierzęta w stajni, oborze, na wsi, w trzodzie, byli to czarami poprzemieniani ludzie, dla lepszego ich użycia — a mało kto u niego na wsi i w państwie ostał się w swej skórze... Złakł się więc Rumianek żeby i jego w bydlę robocze nie przedzierzgnął stary Liczykrupa i ta młoda czarownica, gdyż ludzi tam oprócz nich prawie nie było widać — i na-jutrz raniusieńko dał rozkazy do dalszej podróży.

A że mu znowu jakoś tęskno było na sercu, wyjął zwierciadelko aby w nie popatrzeć i porównać Pliszkę z piękną Lalą, której wspomnienie stuknęło mu do piersi... i znalazł nawet po tem dziewczęciu siostrzyczkę piękną, ale chmurniejszą jeszcze i smutniejszą niż wczora.

Do świtu nim Liczykrupa wstał, bo całą noc sam chodząc z grzechotką koło dworu i lamusu skarbów swych i wnuczki pilnował, — wojsko, dwór i Rumianek byli na nogach i w dalszą puszczili się drogę ku źródłu, coraz ją znajdując cięższą i niebezpieczniejszą.

Kraj był znowu pusty, najeżony górami i poprzerynany przepaściami doły, gdzie nigdzie sterczały

rały, gdyż raz wielką jakąś i ważną tajemnicę wypłatała przed ludźmi, za co własna córka i ojciec głębiej jej niewidomą kłódką zapieczetowali.

Hetka miał to do siebie, że wszystko co u niego było w domu musiał pokazywać i chwalić się każdą rzeczą; więc choć Rumianek był zmęczony i po podróży ledwie dychał, prowadzono go z sali do sali każąc się dziwować, dodając ile co kosztowało. Były tam niektóre osobliwości zapłacone tysiącem szturganców danych ludziom pracowitym, inne wartujące trzy tysiące batogów, inne po tysiąc łez, po półtora tysiąca westchnień, a niektóre szacowniejsze po dwa i trzy życia ludzkie. Królewicz znajdował je nad miarę drożycia ludzkie. Królowna utrzymywała z uśmiechem, że proste łzy i westchnienia gburów na to są stworzone, aby za nie sobie Hetki kupowali cacka i różne osobliwości.

Strasznie się umęczył Rumianek tym przeglądem rarytasów, aż nareszcie nie rychło dano do stołu bardzo wspaniale i suto, ale takie potrawy, których trudno było wziąć do ust, pokazało się bowiem, że Hetki żyli samymi przysmakami, dla pospolitych żołądków nie bardzo pojętnymi. Na zupe jadano mleko wielorybie, które tranem trąciło, ale Hetka zwrócił uwagę królewicza, że po nie do dojenia posyłano aż na morze lodowate, potem kotlety z brzusków węzowych, siekaninę z robaków, pieczone ze starego psa, a na zakąskę pierożki posypywane srebrem i złotem. Wszystkie oprócz tego potrawy zniechęcały tym, że na każdej z nich stała napisana cena, jaką kosztowała... a były szalenie drogie.

Zrzęda siadła przy królewiczu i tak go opanowała, umiając mu pochlebić, chwalać jego rozum, wynosząc dowcip, pozyskując sobie Lizilapę i Waligórę za sprzymierzeńców, że gdy rozeszli się do snu, Rumianek w zachwyceniu od siebie odszedłszy, na zwierciadelko ani spojrział.

Już się mieli kłaść spać i Rumianek sam pozostał, rozmyślając o wdziękach Zrzędy, gdy wszedł do izby

bakałarz, który się u stołu nie pokazywał. Był to nauczyciel Hetkowiczów, ten nisko się pokłoniwszy, prosił o posłuchanie u królewicza, na co się on chętnie zgodził.

— Najjaśniejszy paniczu, szepnął po cichu, znam ja króla Gwoździka i zącą familją waszą, boję się, żebyś tu nie wpadł w zastawioną łapkę. Wiem, że królowna Zrzęda będzie się starać usidlić ciebie, a Hetka mieć za zięcia, ale dopókiś wolny uciekaj z tych miejsc przeklętych. Ja za grzechy moje skazany tu jestem pokutować przez sto lat, ale nikomu nie życzę tego co sam doświadczam, bo się tu dzieją straszne rzeczy. A naprzód, potrzeba ci wiedzieć królewiczu, że Hetka nie dawno sam był włodarzem u króla Faraona i okradłszy go uciekł, królestwo sobie kupił, a sam się królem zamianował, choć jest pochodzenia niewolniczego i jeszcze ma na rękach od żelaza znaki.

Ludzie ci nie mają serca ani litości, ani sumienia, ale wszedłszy w nowy stan niezręcznie tylko małpują, co im się zda przyzwoitem i wielkimi słowy pluja. Bogactwa ich choć znaczne wszystkie są z pod spodu nieczystym czemś, krwią lub łzą pomazane, a wiadomo, że skarby takie do lat kilkudziesięciu w proch się rozsypują... gdyż krew i łza djamenty przejada. Z tego więc wszystkiego wkrótce smród i proch tylko będzie. Widziałeś ich udających królów bardzo wspaniale i dumnie, ale doma są inni, i ostatni chłop lepszy od nich; a byle na nich nikt nie patrzył, przebierają się w kozuchy i idą walczyć w błocie. Strzeż się więc królewiczu i uciekaj, dopóki cię nie obalamuci Zrzęda, która tu ma rozum za wszystkich. Litość mnie wzięła nad twą młodością i szyję moją stawiam przyszedłemu cię ostrzedz, nie wydawaj-że mnie, proszę.

Królewicz obdarzywszy biednego bakałarza uląkł się bardzo i zaraz na świt kazał wszystkim gotować się do drogi, choć był dzień następny przyobiecał zostać. Waligóra i Lizilapa trochę się starali wstrzymać go, ale woli ulegli, bo Rumianek był gwałtowny i co raz powiedział od tego nie ustąpił. Do dnia ruszyli z zamku,

ale jakoś nieostrożnie, bo się czeladź poprzebudzała, za nią Hetka i cała jego rodzina. A że nie domyślali się, co im sen przerwało, i szmeru się tylko przelekli, powybiegali w kożuszkach, w łachmanach jak się na noc zwykli byli przebierać, odarto i brudno; Rumianek przekonał się, że bakalarz prawdę mu mówił. Widząc że im królewicz ucieka poczęli wołać, aby go zwrócić, ale nasz podróżny wiedział o tem, że w podobnych razach ani się oglądać, ani słuchać nie trzeba i uszy zatykać, poparłszy więc konia drapnął co miał siły, a za nim dwór musiał pójść także.

Znowu tedy jak wprzód wyruszyli na wielki gościniec i dostali się do kraju wiekuiстых ciemności, przez który przejeżdżać było potrzeba, gdzie wszystko od wieków spało. Kraj ten bardzo już dawno zastawiony był chińskim lakierowanym parawanem od słońca, a że sprzęt ten był bardzo ciężki i w ziemię wrósł, gdy go tam ustawiano, — nikt go już teraz ruszyć nie mógł. Podróżowali tedy przy pochodniach i widzieli dziwy wielkie, gdyż w państwie tem jak co było przed kilku set laty tak zostało, a sen jak kogo zachwycił tak trzymał. Ten spał siedząc nade drogą, z kijem w rękę, ów w gospodzie z kwaterką, inny nad księgą, która się w proch rozsypała, inny na roli, którą uprawiał. Żyto spało stojąc na pniu, rzeki spały w wygodnych stawach, powietrze drzemało i ptacy w powietrzu śród lotu zatrzymali się i spali. Nie było sposobu żadnem zaklęciem rozbudzić tego świata, a królewicz obawiając się, aby i on sam i towarzysze jego nie pospali się także, świsnął w piszczalkę na Jagę, która się zaraz zjawiała z ogarkiem w podółku, na starym ożogu.

— Co tu począć, spytał Rumianek — jest tego kraju na cały dzień, albo i więcej, a tu już i tak mi ludzie drzemią?

Baba się mocno zamyśliła.

— Na to, rzekła, rada bardzo trudna, kto tylko idąc stanie, wstrzyma się choć na chwilę, w tył obejrzy, musi zasnąć i stwardnieć na wieki; więc konie pędźcie,

uciekajcie, a niczego tu nie bierzcie, nie dotykajcie i nie jedzcie, bo byście zarazili się snem, z którego ja nawet obudzić nie potrafię.

Usłuchał jej Rumianek, a choć w piersiach ich to oddychanie ciemnościami dusiło, a noc była tak gęsta, że aż bolało się przez nią przeciskać, lecieli co sił stało dalej a dalej, ani na chwilę się nie zatrzymując. Waligóra mieczem wylamywał drogę, a Motylica rozbijał ją skrzydłami; i tak jakoś dostali się do granicy, na której zaraz ściana ciemności się skończyła i konie nawet lby na światłość wystawiwszy prychnęły z radości.

A trwała ta podróż ciężka cały dzień i całą noc, że o samym wschodzie przebyli ową ścianę, przy której zaraz popasać musieli, bo im konie i ludzie ze znużenia padali.

Świat się im wydał taki piękny, jak nigdy po tym mroku nużącym i gęstym, od którego królewicz i wszyscy dostali niesłychanego kataru, a niektóre szkapy nosaciznę.

Waligóra i trzysta rycerzy, jak zaczęli kichać, powietrze się wstrzęsło i ogromna nadeszła burza.

Nie była to burza, jakie się dziś pospolicie na świecie trafiają, gdyż w owe czasy nie się jak dzisiaj nie działo; zamiast piorunów leciały słupy ognia, zamiast gradu lód kawałami takimi, że go już do lodowni na stawach pilować nie potrzebowano, a czasem zamiast deszczu jeszcze piasek z drobnymi kamykami sypał się jak z worka. Byliby więc wszyscy poginęli niechybnie, gdyby się im obok nie trafiła jaskinia wielka, w której ludzie i konie wygodnie się mogli pomieścić.

Całe to podziemie, choć w niem prócz niedoperzów wielkości karmnego wolu latających sobie swobodnie, nic nie było, zdało się królewiczowi ręką ludzką, lub duchów wykute i niegdyś zamieszkane, choć opuszczone pewnie od lat tysiąca. Wierzcho jego nawieszony był roztopionymi djamentami, które jak sople w mroź po odeldze wisiały nad głowami, a były różnych kolorów, i wielkie jak do góry dnem przewrócone piramidy. Środkiem jaskini był staw niebieski z rozpuszczonego

lazuru, i ten dalszy pochód w tajemnicze głębie tamował, chociaż znać było, że jaskinia ciągnęła się bardzo daleko we wnętrzościach ziemi. Nie było ani czołen, ani sposobu dostać się wewnątrz, co bardzo bolało królewicza, który się domyślał, że w głębi musiały być gdzieś ukryte skarby. Oglądając wszakże jaskinię baczniej postrzegł Rumianek, że po nad samem jeziorem w skale wykuta była ścieżka nieznaczna, umyślnie obłamami skał pozawalana, która gdzieś w głąb prowadziła, i choć wszyscy mu niebezpieczeństwo na jakie się narażał wystawiali, postanowił udać się nią z Motylicą, dla dójścia do wnętrza pieczary.

Napróżno mu Lizilapa przedstawiał, że z lada nie-doperzem w drodze się spotkawszy może być stracony w przepaść i wody, — Rumianek takiego był serca, że się niczem ustraszyć nie dawał.

Wyszli tedy we dwóch i poczęli się drapać ku górze ścieżką w skałach, która ich wiodła dziwnie się kręcąc to po nad samem jeziorem, to znów aż pod sklepieniami wysoko. Uszedłszy tak z milę drogi, a łamanymi gałązkami znacząc sobie ścieżynkę, aby nią nazad powrócić, dostali się do wgłębienia, które nagle w dół się spuszczało szybko w przepaści ciemne, i po za skałą szczelnie osłaniającą wejście, ujrzeli drzwi żelazne na siedemdziesiąt zamków zawarte. Szczęściem ich to zatrzymać nie mogło, gdyż królewicz nosił zawsze w kaletce ziółko, od którego żelazo pękało, i wnet potarłszy niem zardzewiałe kłódki, pootwierał je z łatwością. Z łoskotem wielkim i przeraźliwym rozwarły się żelazne wrzeciady, aż ściany podziemne się zatrzęsły, a wiatr wpadający nagle w pieczarę omało ich nie powywracał. Dopiero gdy się uspokoiło królewicz wszedł z Motylicą do skarbcu, ale od pędu powietrza światło im pogasło i zostali omackiem w dziurze, mając się już za w pół zginionych.

Nie było czem zrobić ognia, bo Rumianek, który ziółko cudowne nosił w kieszeni, o prostej hubce, krzesiwie i siarce zapomniał, Motyllica także...

Ze tu szło o życie, a wilgotne ciemności coraz ich

mocniej przejmując do szpiku, w mgnieniu oka zastu-dzały, Rumianek przypomniawszy sobie Jagę zagrał na zmokłej piszczałce. Napróżno... zaszelpotało coś tylko, ale się baba nie ukazała, zagrał raz drugi głośniej i trzeci, aż nad głową swą usłyszał pukanie. Znać czarownica wlecieć do środka nie miała kędy i nie rychło przedrapawszy z góry dziurkę maleńką, zapytała czego by żądał?

Zapytanie dowodziło, jak baba była głupia, choć czarownica, bo się sama nie domyśliła niebezpieczeństwa.

— Ognia moja dobrodziejko lub zginę! zawołał królewicz — okrażają mnie i duszą ciemności.

Na to Jaga poradzić nie umiała przez skałę, i życzyła tylko szukać patyków, aby z nich tarcieciem dobyć płomienia.

Królewicz tedy z Motylicą, nie mając innego drzewa, ujeli dwa trzonki od bizunów, które nosili za pasem, i nie prędzej z nich jak we cztery tygodnie jakoś ognia dostali, aby zgasał zapalić pochodnię; ruch i transpiracja nie dały im zginąć.

Przy świetle ukazała się pieczara ogromnie rozległa, a w koło niej rzędami stojące kufry żelazne bardzo porządnie ponumerowane, ale wszystkie z wiekami podniesionemi i puste.

Pełno w nich było tylko niedojedzonych od szczurów rewersów dziwnych, świadczących że ze skarbu tego wszystkie narody zabrały co mogły, a nikt grosza procentu ani kapitału nie oddał.

Po długiem poszukiwaniu pokazała się tylko jedna skrzynia zaparta, ale że zamki miała djamentowe, niczem ich otworzyć ani złamać nie było podobna. Widząc to, królewicz powiedział sobie, że w niej także musiały być papiery, lub próżną stała zapewne, boby ją dotąd odbito lub rozłamano jakimkolwiek sposobem.

Usiłowali dla ciekawości wyczytać niektóre z rewersów pisanych hieroglyfami, gwoździkami, węzełkami i punktami, żeby się coś z nich dowiedzieć, ale nie bardzo je zrozumieć mogli, choć w każdym stało co wziął naród jaki i na co miał obrócić. Zdziwili się tylko ile

tam poszło marnie skarbów niezmiernych...

Dłużej już o głodzie i w zimnie lochowem nie mogąc wytrwać królewicz, obiecawszy sobie, że na dżamentowe zamki znajdzie później środek jaki, pomyślał o powrocie. Uczuli bowiem oba i wycieńczenie wielkie i zimno dostające się do głębi, i bali się usnąć w podziemiu, zkądby już byli nie wyszli, gdyby się pochodnie powypalały. Nazad tedy przymknawszy drzwi żelazne, które na zamki zaskoczyły, aby wiatrom zaprzec drogę, puścili się tą samą ścieżynką w skałach, ale słabym i zmęczonym powracać było daleko trudniej i trzy razy na to więcej niż wprzód czasu stracili, co chwila padając, takie mieli nogi słomiane a ołowiane głowy.

Gdy obszedłszy jezioro powrócili do swoich, zdziwił się bardzo królewicz, w miejscu obozowiska nie zastałszy nikogo; nie doczekawszy się bowiem powrotu zapewne, niewiadomo dokąd odjechali. Niezrażony jednak tem Rumianek, postrzegłszy że burza już przeszła, a nawet lód który z nią spadł stopniał i wody tylko wielkimi płynęły strumieniami, po chwili snu i odpoczynku, zakławszy Motylicę, aby nikomu nie mówił o odkrytych kufrach, pieszko z nim w dalszą puścił się drogę.

Więc mu już jako samotnemu podróżnemu ubogiemu, bez przyzwoitego orszaku i towarzyszków, wypadło się tać z nazwiskiem i celem podróży, a szaty na wyrót wziawszy, miał bowiem tak porobione umyślnie przez nadwornego krawca w Stołpcu, że z jednej strony były królewskie, a na nice chłopskie, — o kiju powoli w dalszą wyszedł drogę.

Wielkie znużenie nie dało im zająć daleko, a pod noc Jaga, na którą królewicz zaświstał, wskazała na uboczu jakieś zabudowanie dosyć pozorne; udali się ku niemu z Motylicą.

Był to dworzec królika Pęteli, bardzo możnego pana, ale nie mniej potężnego dziwaka i w dodatku nieszczęśliwie dotkniętego kalectwem. Miał bowiem dwie twarze, tylko się starannie ukrywał, i czasem występowała mu jedna, to znowu druga na ramiona. Jakiś tam czarnoksiężnik tak go zaczarował i zrobił,

że mu się głowa okręcała na karku tak, że co się położył czasem czarny, wstawał biały, a białym pobywwszy, stawał się znowu czarnym.

Królik tem był nieszczęśliwszy z tego powodu, że i oczy w tych dwóch twarzach miał takie, które jednego dnia inaczej, nazajutrz znowu całę odmiennie widziały, i co dziś zrobił, nazajutrz odrabiał. W królestwie więc jego działało się bardzo dziwnie i osobliwie, co chwila następowały zmiany z pieca na łeb, jednego dnia zaczynało budować, i o świetle kazano wzniesione wywracać. Obiecane były wielkie skarby temu, kto by z tej choroby Pételkę wyleczył, ale choć bardzo z daleka sprowadzano doktorów i chirurgów, nikt na to poradzić nie umiał, głowa się zawsze kręciła. Jeden mądrzejszy operator dał mu być w chwili, gdy twarz zmieniać się zaczynała, tak potężnie w ucho, że i twarz wróciła i kilka miesięcy Pételka był zdrow, ale że więcej heroicznego tego lekarstwa zażywać nie chciał, chroniczna słabość po niejakiem czasie odnowiła się.

Królik Pételka miał właśnie twarz białą i serce białe, gdy Rumianek do drzwi jego zapukał, jako prosty podróżny prosząc o nocleg i powiadając się wędrującym grajkiem. Uczył się był bowiem na lirze i mógł z biedy uchodzić za śpiewaka, a w owych czasach daleko więcej szanowano tych, którym Bóg dał dar pieśni i słowa, poeci byli rzadcy i wszędzie ich ze czcią przyjmowano. Prawda, że naówczas dwunastoletnie bębny nie dawały koncertów, a poezje się nie drukowały i nie sprzedawały w sklepie razem z pomadą, ale też śpiewak zawsze miał pierwsze miejsce i wszędzie go witano z radością, jak zwiastuna wiosny lepszego świata, jaśniejszych myśli.

Król Pételka był na białe i wesołe, mocno się więc ucieszył z młodego lirnika, którego poprosili na pokoje, a zaraz za nim i jedna z starszych córek Kuka przyleciała ciekawa. Była to na podziw piękna istota, której podobnych i dziś rzadko, cóż dopiero wówczas, kiedy ludzie daleko byli w ogóle na większe rozmiary budowani.

Czarnooka, czarnebrewa, biała, różowa, smukła, gibka, zwinna, zręczna, a co więcej i dowcipna i rozumna i mistrzyni we wszelkich kunsztach, bo śpiewaczka, tancerka, haftarka, siedem razy jedna, i nikt nad nią ani lepiej, ani prędzej nie wykonać nie potrafił. Miała tylko jedną wadę, z której wyleczyć było trudno, kalectwo, które zakrywały sukienki. Zrazu było to dziecko jak inne i bardzo się nią rodzice cieszyli; ale w piętnastu leciech, ni z tego ni z owego wyrosły jej skrzydełka na ramionach, śliczne prawda, różowe, gazowe, złociste, misterne, i nie szpecilyby ją wcale, ale zawsze to był dodatek niepotrzebny. Wstydziła się ich nieboraczka i póki siedziała spokojnie nikt się ich nawet nie domyślał, ale skoro się roztrzpiotała, pękały najsilniejsze gorsety, podnosiły się skrzydła i dziewczyna fru! fru! ulatywała pod obłoki; a nigdy nie można było przewidzieć kiedy ci się z rąk wysłiznie i rachować godziny, w której ulecieć może.

Królewicz ukryty pod suknią śpiewaka, gdy ją zobaczył tylko, rozgorzał cały i o mało nie upadł przed nią na twarz i kolana, tak go samym już wzrokiem oczarowała. Cóż dopiero gdy się zbliżył do niej, gdy z nią rozmawiać zaczął, gdy uśmiech jej twarz rozpromienił, gdy posłyszał piosenkę, ujrzał taniec, a słowa z ust jej płynące weszły do duszy jego.

Mówiono o niej, że ją w kolebce wróżka jakaś piastunka codzień w lubczyku kąpała; nikt też na nią spojrzeć nie mógł, żeby się w niej nie pokochał, a za dworem zaraz był cmentarz, na którym leżało już półtorasta nieszczęśliwych kochanków, co śmiercią suchotniczą z wzdychania dla niej poginęli. — Ona — nie kochała zdaje się nikogo, ale bałamuciła wszystkich, chciała być wielbioną i pociągała każdego; dawała po troszę nadziei, rzucała pół słówkami i pajęczymi niemi opasywała dobrowolnych swych niewolników. A była już z tego sławna, że nikt się jej oprzeć nie mógł, i kto wszedł tylko na próg Pętłki, tego Kuka, starego czy młodego, opętać musiała koniecznie.

Stało się to i z królewiczem, który tego wieczora

popisywał się ze śpiewem i zyskał aplauz ogromny, uczuwszy zaraz, że ztąd o swej sile wynieść już nie potrafi. Kuka sama zresztą prosiła go, aby pozostał jak najdłużej, chciała się uczyć pieśni od niego, potrzebowała młodego lirnika, namówiła ojca, aby gwałtem wędrownika zatrzymał. Nikt nie wiedział wszakże, że to był przebrany królewicz, sądzili go lirnikiem, a nazwał się on Dumką.

Motylica i on oszaleli za królowną, przed którą, że się z tem nie mogli utaić, musiała się z nich śmiać pokryjomu. Nazajutrz raniuteńko Kuka była w ogrodzie, Dumka znalazł się przy niej i przechodzili kilka godzin pod lipami coraz bliższą zawiązując znajomość. Ona go coraz bardziej zdumiewała, on się jej zdawał co chwila więcej podobać. I przebyli tak dzień i pozostali nazajutrz jeszcze.

W wieczór, gdy znowu grali i śpiewali razem, nagle Pętłce wywróciła się głowa, dostał czarnej twarzy i jakoś mu się zaraz ten przybłęda nieznany uwijający tak bardzo około córki, nie podobał — powiedział kilka słów przykrych, które aż zasyczały w powietrzu...

Rumianek coby od kogo innego i cienia wzgardy nie zniósł, dla pięknych oczów czarownicy Kuki udał, że nie słyszy przymówki, że nie rozumie myśli i ani się chciał z dworu wybierać.

Nad wieczorem rejwach się wielki zrobił podedworem, gdyż jacyś ludzie przybyli w kilkuset szukając zgubionego królewicza, bez którego rodzicomby się pokazać nie śmieli. Wzięli gdzieś języka, że tamtędy przebrany przechodził Rumianek, i hałasowali dopominając się o wydanie jego. Królewicz domyślił się, że to byli jego towarzysze i ukrył się na poddaszu, aby go Waligóra nie znalazł i nie uprowadził od królownej. Nie wiem czy z tego powodu odgadnięto co czy nie, dość że Pętka nie wygnał Dumka lirnika, a ludzie legli obozem podedworem, na wszystkie strony wysyłając zwiady po straconego królewicza, który tymczasem u nóg swej pani grając na lirze, dnie całe przepędzał pijany.

Im dłużej z nią przebywał, tem namiętniej przywiązywał się do niej, czując że mu serce zabiera do ostatka, i że go nawet dla ojca i matki nie zostanie... I to go nawet zrazić nie potrafiło, że Kuka miała dwunastu starających się o jej serce i rękę, którzy przybywali z kolei każdy w innej godzinie, otrzymywali po wejrzeniu, uśmiechu i słowie i pokarmieni nazad wracali.

Żołd ten regularnie był im wypłacany.

Biedny Dumka siedział, płakał i kochał, a gdy wypadkiem spojrział w zwierciadelko ujrzał je zamglone bardzo, zciemniałe i ledwie po kilku chwilach uważnego przyglądania cienie w nim rodziców i Lali ukazywały mu się jeszcze...

Groziło widocznie niebezpieczeństwo, ale od Kuki odstać było nie sposób, a ile razy tłumoczek zabrawszy chciał odchodzić, zawsze się ona jakoś dowiedziała, wyjrzała oknem, kiwnęła paluszkami, i chłopak złamany powracał.

Tydzień za tygodniem upływał, ludzie go wciąż po okolicy szukali, on się krył jeszcze; wreszcie gdy stary Petelka coraz częściej stając się czarnym niegrzeczniwie się go pozbywać zaczynał, postanowił przyjąć u niego obowiązek i służbę bodaj pastuszą, aby tylko nie być wypędzonym.

Jednego tedy rana, gdy mówiono że twarz pobiełała, poszedł prosić, żeby go przyjął.

— A ty mnie do czego? spytał Petelka — albo to ja śpiewaka potrzebuję? córka mi śpiewa, słowiki mi śpiewają darmo, żebym ci jeszcze za piosenki płacił i... niedoczekanie twoje...

— No, to dajcie mi co innego robić?

— Chyba będziesz trzodę Bazylišków pasł.

Królewicz się bardzo zafrasował, gdyż wiedział, jak to było niebezpiecznie z temi stworzeniami, ale już miał przystać i na to, gdy Waligóra, który go w tej chwili oknem najrzał z podwórza, wpadł z łoskotem na pokoje.

Zdziwienie było wielkie, gdy się dowiedzieli, że

królewicz chciał dla Kuki pastuchem zostać... ale go wnet zaczęli inaczej przyjmować, a że król Gwoździł miał sławę bardzo potężnego mocarza, syna też otoczono czcią, jakiej dostojność wymagała; i poezęto od tego, że go siedem razy okadzono do koła bursztynem i piżmem, aby z niego Dumka lirniki wywietrzał.

Zjawiała się zaraz Kuka śliczniejsza jeszcze niż kiedy, odprawiawszy swoich dwunastu wzdychaczów i wejrzała na Rumianka tak, że nieborak o mało nie omdlał, przybyły świeżo Lizilapa wtórując uwielbieniu pana pokłakił i udał, że traci przytomność, co mu jednak później nie do dobrego apetytu przy śniadaniu nie przeskodziło.

Wyszli później samowtór do ogrodu, i tu już z Lirnika na królewicza awansowany kochanek upadłszy na kolana wyznał pannie swą gorącą miłość, co ona przyjąwszy z uśmiechem odpowiedziała, że pomyśli i za rok mu da stanowczą rezolucję. Bardzo to zmartwiło biednego Rumianka, który chciał się zaraz nazajutrz żenić, a przynajmniej mocno zaręczyć; ale skwaszona jego mina rozśmieszyła tylko Kukę, która zaczawszy się śmiać z niego ogromnie furknęła i poleciała.

Gdy tak osierocony przez bałamutkę królewicz pozostał na klęczkach przed starą wierzbą, która tam stała, nadbiegła do ogrodu młodsza siostrzyczka Kuki i ulitowawszy się nad nim, oznajmiła mu na ucho, żeby daremnie nic się nie spodziewał, gdyż Kuka przed rokiem przyrzekła jednemu, przed sześciu miesiącami drugiemu, dwa miesiące temu zaręczona została, dziś jemu zrobiła nadzieję a sześciu ma zapaśnych, i nie pójdzie chyba za takiego, który jej da na piśmie przed notariuszem, że latać pozwoli ile zechce i skrzydeł nie poobcina.

Dokąd zaś latała choć o tem nikt nie wiedział.

Młodsza siostra dawała też do zrozumienia Rumiankowi, chude jeszcze pokazując mu ramiona, że skrzydeł nie ma wcale, i że z nią bezpieczniejby się mógł ożenić.

Waligóra, który na to nadszedł nastawał także na

królewicza, żeby uciekał, i mglistą osłoną pokrywające się zwierciadélko wskazywało niebezpieczeństwo, ale królewicz oddalić się od czarownicy nie miał siły.

Widząc, że inaczej nic nie będzie, Waligóra z pomocą ludzi płaczącego i wyrwającego się posadził na koń, przywiązał jedwabnym sznurkiem, oczy mu kapturem zasłonił, i puścił się z nim galopem szeroką drogą, choć Kuka za niemi wołała, śpiewała i płakała.

Motylica pozostał tam przy dworze Petelki, bo go z sobą wziąć zapomnieli.

Nie rychło po tym szale królewicz oprzytomniał i przyszedł do siebie; dopiero w nim jakoś obudzili wznioślejsze uczucie przypominając bohaterski cel jego podróży, i niebezpieczeństwa i oddalenie i rady Gwoździka.

Gdy znowu jadą a jadą ciasnym wąwozem, dostali się do ogromnej doliny zewsząd opasanej górami, którą zwano Kościelisko. A była ze wszech stron zamknięta i otoczona zielonemi gajami porośłemi na gór bokach, cała jej ziemia usłana kośćmi, jak śnieg wybielałemi. Było to bowiem cmentarzysko wszystkich świata zwierząt, które poczuwszy zbliżającą się śmierć, ze wszech stron świata przybywały tu umierać od początku ziemi aż po dzisiejszy dzień. A było tam milion milionów, i ani jednego stworzenia żywego, ani komara w powietrzu. Sam oddech tutejszem powietrzem nie żywił, ale umarzał, wszyscy poczuli w sobie jakąś ochotę do snu, i gdyby nie Waligóra, byliby posiadali na spoczynek i zawarli szy powieki poumierali. Ale hetman zaciął konie i przelecieli po chrzęszczących kościach dolinę na wylot, trafili w wązki przesmyk i dostali się na drugą stronę szczęśliwie. Tu siedział Cerber, ale siedząc darmo na pół zdechał i rozsypał się w proch; z siedmiu głów jego jedna tylko trochę się ruszała i w tej miał widać flukcję, bo się podwijała chustką bawełnianą i kasać nie myślał nikogo. Ujrawszy podróżnych, chciał nawet z uszanowaniem zdjąć przed niemi szlafmycę, ale tak był już osłabiony, że nie mógł, i na zapytanie królewicza o drogę do żywiącej krynicy, wskazał tylko gościniec.

Według wszelkich obliczeń, byli już bardzo niedaleko cudów do których tak długo dobijali się podróżni, ale tu dopiero spotkać ich miały wedle powieści przeszkody i niebezpieczeństwa największe, choć z pozoru kraju wcale się na to nie zanosilo. Wszędzie do koła spokojnie było i wesoło, olbrzymów ani śladu, jednym jeden co się znalazł przewoźnikiem i po dydku biorąc przynosił podróżnych na drugi brzeg przez rzekę, co i z ludźmi królewicza i z końmi zrobił bardzo zwinnie, a jeszcze mu coś narzucili na piwo.

Zaraz na przeciwnej stronie stała gospoda murowana i ludu przy niej zgromadzonego było wiele, ale gdy się Rumianek począł dowiadywać o źródło i jabłoń, wszyscy się spojrzawszy po sobie rozśmiali znacząco, rękami mu wskazując bliski las i ramionami ruszając.

Nikt mu nie powiedzieć nie śmiał.

Szeroki i bity ztąd wiódł gościniec, ludu nim wlokło się co niemiara, a wybierano od nich piętowego poboru tylko po groszu, przy tem od każdego czuba nastrożonego po groszu, i od tych co staroświecką modą nosili jeszcze ogony, po groszu od chwostu. Ten zwyczaj noszenia przeczepianych różnie ogonów końskich z tylu już zaczynał przychodzić, niektórzy jednak odziedziczywszy po ojcach gotowy strój ten, porzucać go nie chcieli, choć nie bardzo był wygodny.

Ujechawszy spory kawał drogi, na wysokiej górze znaleźli ogromną ową jabłoń, która miała rodzić złote owoce, opasaną teraz szczelnym częstokołem, i ludzi którzy nie tylko, że do niej nie bronili przystępu, ale owszem zapraszali przybyłych. U furtki siedział żydek, który ją trzymał w arendzie i owoce sprzedawał. Pokłonił się nisko królewiczowi i przyniósł zaraz cały talerz.

Ale jakże się zdziwił Rumianek, gdy ujrzał wzięwszy jedno z jablek w rękę, że to była prosta tyrolka listkiem złota oblepiona dość niezgrabnie... o mało nią w oczy żydowi nie rzucił, tak się strasznie rozgniewał. Arendarz cofnął się kilka kroków.

— N. Paniczu, rzekł kładąc ręce za pas dla doda-

nia sobie powagi — wola pańska. Kupić nie kupić... ale na co się bić? Jabłoń już od stu lat nie rodzi, my za nią przecie płacimy, musiem sprowadzać tyrolki i tymczasem choć tym handlem na swoje wychodzić. Zresztą... niech jasny pan zrobi kontrakt, a pierwsze jabłko co dojrzeje będzie dla jasnego pana.

Królewicz spojrział w górę... jakże nieboraka miała rodzić, kiedy suchą była oddawna, a parę listków z zielonego papieru żydek poprzyczepiał dla oszukania.

Splunawszy więc, i niedozwoliwszy znęcać się nad arendarzami, których towarzysze królewicza poturbować chcieli, odjechał rozczarowany wielce podróżny. Ztamtąd już kilkaset kroków tylko było do żywiącego źródła, ku któremu żydki pomimo niegrzecznego z niemi obejścia chętnie pokazali drogę...

Przebyli las, dolinę, i wdrapali się na dosyć wysoki brzeg gliniasty, na który wyjeżdżając usłyszeli już wielki szum wody, jakby na lotkach.

Stanawszy na pagórku królewicz ujrzał ze zdumieniem widowisko, jakiego się nie spodziewał: źródło opasane było także ogrodzeniem, i na wszystkie strony ciekły z niego strumyki, najdziwniej użytkowane. Jedne obracały młynki, tartaki i hamernie, na drugich zakładano praczkarnie dla rodu ludzkiego na wielką skalę, inne użyto do kotłów jakichś, w których się jedzenie warzyło, do mieszania gliny. A że woda ta miała własność, że wszystko czyniła co chciano, a siłę miała w sobie nieprzełamaną — niestety! zamiast użyć jej na cel inny, ludzie ją po swojemu obrócili na najpodlejsze użytki. Źródło jak jabłoń było od dawna wydzierżawione towarzystwu akcjonariuszów, a ci panowie sprzedawali je na co kto chciał i życzył, byle grosz wyciągnąć, nie troszcząc się wcale, jak się woda obróci, choćby w najbrudniejsze pomyje. Jedni się w niej myli, żeby byli piękni, drudzy pławili konie, żeby je drożej sprzedać, inni wymywali plamy z zabrukanych szat młodości... nikt już nie pił tej wody i nie czuł do niej pragnienia. Zafarbowana, zamydlona, śmierdząca, zawałana ohydnie, wstręt wzbudzała tak wielki tłum w niej się babrał... a czysty jak łaźnia strumyk nieopodal od krynicy zmienił się w błotnistą kałużę.

— 83 —

Źródło żywota stało się sadzawką nieczystości. Królewicz ujrawszy to rzewnie zapłakał, a gdy mu żydek w podejrzaną szklaneczkę przyniósł do napicia zaczerpniętego napoju, odepchnął źródłaną wodę, zsunął się z konia bezsilny, rozkazał rozbić namioty.

Może oddalenie od Kuki, może znużenie podróży, czy inne powody takim smutkiem serce jego przejęły, że mu się życia, przygód i wszystkiego odechciało... Upadłszy na ziemię ledwie do niej głowę przyłożył, usnął snem twardym i głębokim.

Gdy się przebudził i otworzył oczy, nie rychło mógł się opamiętać i przypomnieć, gdzie się znajduje i co go otacza, — dwór cały spał jeszcze, słońce świeciło jasno, a u źródła kręcili się już kupeczyki i przekupnie roznosząc wodę w wiadrach, cebrzykach i kubkach.

Na duszy dziwnie tęskno zrobiło się królewiczowi, mimowolnie przyszedł mu na myśl chybiony cel podróży, daremnie opuszczony dom rodzicielski, Stołpiec, ojciec, matka, śliczna Lala z uśmiechem na ustach, zielone lasy okolicy, szerokie łąki kwiatami usiane, i spokój którego od niepamiętnych czasów państwo króla Gwoździka używało. Wyjął zwierciadło i spojrzął w nie, a tak wpatrzywszy się zadumał, że o wszystkim co go otaczało zapomniał.

Lizilapa widząc z kądem wiatr powiał, stanął na ustroju i jął sobie wzdychać i oczy przecierać, udając także żal wielki po domowej strzesze, której nie miał, i krewnych, których nie zostawił.

— Otóż i podróż nasza skończona, rzekł przeciągając się Waligóra, dalej już nie wiem dokądby i po co? Źródło żywota warendzie u żydów młyn obraca, złota jabłoń uschła, skarby ktoś przed nami zdobył, olbrzymi śpią, Cerber na fluksję chory... trzeba powracać do domu!

— A! do domu! do domu! zawołał Rumianek, bo widzę jasno, że nie wiem czegośmy po świecie szukali...

gdy wszystko czego dusza i serce pragnąć mogą tam jest! nawet... — dodał wahając się i rumieniąc — czyż nasza Lala nie śliczniejsza stokroć od tych, któreśmy po drodze spotykali?

Lizilapa z rozczeniem potwierdził to zdanie, utrzymując, że to było zawsze głębokiem jego przekonaniem wewnętrznem.

— Więc cóż dalej? zwijać obóz i do domu powrócić.

— Gdyby jaka jeszcze bliższa się droga trafiła! dorzucił ktoś z ludzi wzdychając.

— Ale jest-że jaka?

— Mnie się zdaje, że być musi, odparł zagadniony, jechaliśmy bardzo kręžno, a żydek z pod jabłoni powiedział, że ztąd na proszki do Stolpea półtora tylko dnia drogi.

— Czyżby to być mogło! krzyknął uradowany Rumianek... — jak to? a te kraje, przepaście, wąwozy, doliny, góry — wszystkomy więc nadaremnie z takim trudem przebywali?

— Może... aby nabyć doświadczenia, zapracować na tęsknotę i lepiej ocenić co się w domu porzuciło! rzekł Waligóra.

— A więc w drogę i do domu — zawołał królewicz niespokojny... — jednego się tylko teraz lękam, czy tam wszystkich zastaniemy szczęśliwych, zdrowych... żywych... i czy mi kto Lali nie porwał! dodał po cichu.

— Pokochałem ją, myślał w duchu, dopiero przy rozstaniu, a teraz czuję, że rozpadam się za nią, że bez niej żyć nie mogę... że ona jedna życiem mojem.

Siedli więc co najspieszniej na koń i przez grobelkę, którą tam żydzi nosząc ziemię ze starego cmentarza na stawie od źródła żywota usypali — puścili się nową i krótszą drogą do królestwa Gwoździkowego.

Była to droga czysto-poleska, przez bory i brody, ogromnym lasem sosnowym wiodąca, kręta, smutna, ale dla nich weselsza od pierwszej, bo do domu doprowadzić obiecywała. A choć w tem pustkowiu piaszczystem nie widać było żywej duszy, królewicz jechał wesoło i

rażno, dopytując tylko jak jeszcze byli daleko?

Bardzo się zdziwili, gdy nad wieczór wybrnąwszy z lasów postrzegli na uboczu znajomy już sobie kraj w sąsiedztwie Stolpea będący i na dzień drogi tylko od niego oddalony.

Poznali go zaraz po wielkiej fabryce królika Nowaka, który tam miał młyn, kuźnię i co było potrzeba do przerabiania starych na młodych ludzi. Nie zawsze mu się to udawało i wielu bardzo, nieostrożnie sobie z niemi poczynając, gdy przychodziło do przyszlubowywania głów i przystawienia sere, życia pozbawiali... bo ich już potem żaden balsam wskrzesić nie mógł — ale jednak tłum był zawsze wielki pacjentów i odbył we młynie znaczny, a przedpotopowy niemiec, sprowadzony umyślnie zajmował się preperacją i dzierżawił instytut Antropoiczny, (jak go nazwał) po kilkuset z niego ludzi wypuszczając całkiem odmiennych od tych jakich przyjmował do przerobienia. Niektórzy z nich powracali do domów tak doskonale zapomniawszy wszystkiego swego, że nie poznawali potem rodziców i krewnych, brzydzili się krajem i nazad do owego Niemca na butersznity i fasolę powracali.

Przerabiano tam ludzi w różny sposób i na rozmaite ceny, odmładzano tandetnie za małą opłatę lub staranniej, gdy kto sypnął, a za znaczne quantum robiono nawet co się nazywa wielkich ludzi z lada trutniów i gałganów na nie nie przydatnych. — Niemiec był dziwnie sprytny.

Zdała jednakże od tego Laboratorium stanęli obozem nad rzeczulką, aby kogo pokusa nie wzięła dać się przerabiać, a królewicz dobywszy zwierciadełka, którym się i w podróży pocieszał, cały wieczór w nie patrzył wzdychając do Lali, a dziwując się, jak był ślepy, że się na niej wprzód nie poznał i tyle czasu stracił próżno, gdy życie tak krótkie, młodość tak niepowrotna... a szczęście tak drogie!

Lizilapa potwierdzał to z zapalem, Waligóra zaś uczynił uwagę, że się tej nagle wezbranej miłości niebezpiecznie było poddawać, bo wielce jest rzeczą

watpliwa czy król Gwoździk pozwoli na małżeństwo z córką szewca-partacza, który chociaż był królem, ale bardzo dawno, i królestwa się pozbył niepowrotnie. O tem słuchać nawet nie chciał królewicz pewien będąc, że przez matkę sobie wymodli u rodzica zezwolenie na małżeństwo z piękną Lalą.

Jak świt ruszyli z obozu dalej ku państwu Gwoździkowemu, w którego granice tegoż dnia wjechali, dziwnym trafem napadłszy na dawny gościniec i na nim zaraz spotkawszy się z Motylicą powracającym z miną smutną i nosem spuszczone, bo mu na ostatku królowa Kuka o mało dla zabawy oczów wylupić nie kazała. Wieczorem grywano w ciuciubabkę, a panna lubiła do tej gry używać Motylicy, stał się jej jednak podejrzanym wkrótce, że nie dosyć sumiennie chustkę sobie zawiązywał, i chcąc go na wieki zdolnym do tej zabawy towarzyskiej uczynić, bez użycia zasłonek i innych przydatków, Kuka mocno naglić nań poczęła, żeby sobie dał oczy powyjmować. Widząc, że to nie są żarty, że panna płacze a ojciec nogą tupie, Motylica uciekł co tchu od nielitościwej psotnicy.

Gdy z za lasów ukazała się nareszcie stolica, zamek i wysoki Stół murowany, znane miejsca drogie i powiało od nich wonią domową, królewicz lży w oczach mając, z radości popędził konia i nim reszta towarzyszków podążyć za nim mogła stanął u ganku, w którym siedział właśnie w chłodku król Gwoździk rozmawiając z włodarzem, królowa przy kołowrotku, i Lala niżąca z paciorki. Zdumieli się niezmiernie i krzyknęli ujrzawszy go rzucając się ku miłemu gościowi... Matka długo trzymała go w niemym uścisku, Lala płoniła się jak wiśnia, a stary król wycalowawszy go spytał zaraz, gdzieby były zdobyte skarby, czupryny olbrzymów zwyciężonych i łupy podróży?

— A! ojcie kochany, rzekł smutnie Rumianek, olbrzymi pokamienieli, Cerber siedzi w szlafmycy, królowy noszą włosy przyprawne, źródło życia w arendzie u żydów obraca tartaki, jabłoni sucha... a co guzów do-
stał się to przy nas... Żadnej niestety! nie przywo-

zimy zdobyczy prócz tej smutnej prawdy, że człowiek daleko za szczęściem chodzić nie powinien, bo go zawsze ma w sobie i przy sobie, byle na nie zapracować umiał.

Ojciec tedy posadził kawalera, aby mu zaraz podróż swą opowiadał, a matka pobiegła go nakarmić bardzo będąc niespokojną czy nie wygodniał w drodze... Lala popatrzała nań zdaleka nieśmiało i on ją gonił nieustannie oczyma, aż stary Gwoździk to spostrzegł i brodę potargał, bo mu się to nieprzyzwoite oczkowanie nie podobało.

Rumianek znalazł Lalę piękniejszą stokroć niżeli porzucił i widywał w zwierciadelku, tak wykwiła ślicznie pod dachem rodzicielskim sierota. — Król Cwiczek bowiem obchodząc jakąś uroczystość z szewcami zwołanymi na wielki sejm, dla postanowienia prawem, ile skórek miano naszywać w obcasie i gwoździ zabijając w podeszwę, gdy się giełda rzemieślników żadną miarą na to zgodzić nie mogła, chciał sobie w tem absolutnie postąpić i sam rozstrzygnął drażliwą kwestję, powstała nań opozycja, rozruch, krzyk, wrzawa, Cwiczek przy swoim stał, rozgniewał się i z oburzenia zachorowawszy, umarł. Przyjaciółka jego klucznica wstąpiła do czarownic, które miały nowicjat w miasteczku pod Łysą Górą i sposobiła się już na gotowanie miłośnych eliksirów dla drugich, sama ich nie mogąc zażywać, bo nie skutkowały; królowa więc Dobruchna Lalę wzięła do siebie.

Gwoździk, pamiętny że zmarły w szewstwie Królik był jego bratem, i że wypadało go jakoś uczcić zabrawszy mu królestwo, sprawił bardzo wspaniały pogrzeb, kazał go spalić na cynamonowym i lawendowym stosie, serce zaś na osobnem zgłiszczu z wanilią i gwoździkami; i na mogile Cwiczka, wedle obyczaju tamtego kraju, wystawił kolos złocisty w kształcie wielkiego ćwieka, na pamiątkę ostatniej professji zmarłego i pierwotnych przeznaczeń, kładąc na piedestalu złoty but i berło strzaskane.

Lala więc była sierotą, a w grubej żałobie Rumian-

kowi wydawała się anielsko piękną; żadna z tych królewien, które widział po drodze i w których się po kilka godzin kochał, wyrównać jej nie mogła... pożerał ją oczami, klękał przed nią wejrzeniem, a ile razy wzrok na nią obrócił, biedne dziewczę oblewało się krwawym rumieńcem.

Stary król, który się czasem nudził nie mając co robić, bardzo był rad z rozrywki jaką mu sprawił syn opowiadaniem przygód podróży, której dziwniejsze wypadki przytomny Lizilapa potwierdzał natychmiast gwałtownym przysięg wylewem. Gniewał się tylko nieco, że żadnych pamiątek i zdobyczy nie przywieźli i tak odarto popowracali, że zaraz musiano nowy kubrak zadysponować dla Rumianka. Gwoździak sam z pod kłucza wydał na to niemieckiej purpury trzy łokcie babilońskie i kilkadziesiąt łokci galonów. Konie też po większej części szwankowały, królewiczowski kulał, Waligóry dostał dychawicy, Lizilapa swojego spleczył, trzechset ludzi i szkap nie dostawało... co także królowi Gwoździakowi dość było markotno, choć zdaje się że więcej koni niż ludzi żałował i z tem się nie tał.

Otóż koniec prawie naszej bajki; — Rumianek powróciwszy do domu, mocno zapragnął się ożenić, ale poprzysiągł sobie, że z nikim innym jak z Lalą, ku której dzień za dniem coraz strzelistszy afekt go napadał. Biedził się tylko jak się do tego przyznać przed rodzicami i swoje im postanowienie oznajmić.

Ale oko matki troskliwe wcześniej niż się spodziewał tę tajemnicę odgadło, a że i ona kochała Lalę jak dziecię własne, uśmiechała się tylko czekając rychło-li jej syn się przyzna. Domyślała się wprawdzie że strony Gwoździaka niemałych trudności, ale nie wątpiła że je pokonać potrafi. Umiała bowiem tak sobie z nim poczynąć, że choć niby najniższą była sługą, zawsze jak zaśpiewała tańcować jej musiał. Nie zrażało ją to, że się zrazu zaperzył i pogniewał, i fuknął i tupnął, i brodę potargał i oczy zrobił straszne, a głowę rozwarł jakby miał pół królestwa zjeść na zakąskę; — wiedziała że się ta burza uśmierzy, i król w końcu gderząc i plu-

jąc zrobi co mu każą.

Tymczasem Lala i Rumianek chodzili wieczorami po ogrodach rozkwitłych, bo to był wiek taki, że w królewskich wirydarzach wieczna panowała wiosna i drzewa z jednej strony rodziły, z drugiej zbierały się na pączki... Kochankowie choć nie prawie nie mówili sobie, oczy ich i serca dobrze się rozumiały. Rumianek był szczęśliwy, niepokój tylko o przyszłość go zatrwazał, ale postanowił, że jeśli mu król zenić się nie pozwoli, pochwyci Lalę gwałtem, ożeni się potajemnie i uciecze z nią na kraj świata, choćby na samą krawędź ziemi, w lesie gdzieś, w chatce, na pustyni prowadząc życie karmione orzechami, miodem, powietrzem i miłością stateczną.

Zbliżyła się nareszcie chwila stanowcza, królowa widząc ich tak gruchających, przekonała się, że bez jej pośrednictwa nic z tego dobrego nie będzie, i nie mówiąc nic synowi, gdy jednego wieczora siedzieli z królem przy cedrowem łuczynie, gdyż świece palono tylko od gości, — zagadła Gwoździaka o tem jak to się Lala i Rumianek kochają.

— A to bardzo dobrze, że się kochają, rzekł król dłubiąc w zębach, bo to by było wielkie nieszczęście żeby się nienawidzili.

— Ale oni się bardzo... bardzo kochają.

— No to cóż? spytał Gwoździak, którego widać w ciemie bito, bo się nie łatwo czego dorozumiewał — niech się bardzo kochają...

— A gdyby się pobrać chcieli?

— Co? co? I król porwał się, poskoczył aż zydel na którym siedział wywrócił, tak buchnął gniewny. — Co? Słicznie go jejmość zenisz! Córnka brata, to prawda, ale goła jak święty turecki, (zdaje się że już wówczas byli w Turcji i święci i golizna), a w dodatku... szewcówna! Mój syn, dodał, musi najmniej jedno królestwo dobrze zagospodarowane wziąć w posagu, i dać mi sprzymierzeńca silnego, gdyż chcę przed śmiercią zawojować parę kraików, czemu sam nie podołam, bo mi się ludzie rozleżeli.

Królowa z wielką flegmą ruszyła tylko ramionami.
— Chcesz go uczynić nieszczęśliwym? No! to dobrze, będzie po twojej woli.

Zamilkła potem, był to najlepszy sposób; Gwoździł milczał także ale niespokojny.

Nazajutrz począł koso patrzeć na Lalę i syna, a wieczorem spytał znowu:

— No, to asifidzka powiadasz że się kochają?

— Co to już o tem gadać! odparła Dobruchna, posłałam po wróżki, bo Rumianek słaby, kazali mu pić ziele na zapomnienie, a jedna z nich obiecała przynieść grabki z niedoperza zjedzonego przez mrówki, dla odpędzenia tej miłości od chłopca... bo dziecko usycha.

— A czemuż kiep nie gada? zawołał król.

— Bo nie śmie...

— Ma słuszość, nigdybym na takie głupstwo nie pozwolił.

Trzeciego dnia z naprawy królowej Lala zawiązała węzelek swoich manatków i przyszła Gwoździłowi pożegnać.

— A to co? spytał król — gdzież to się acpanna wybierasz?

— Idę służyć, szepnęła... cóż tu darmo chleb WK. mości będę jadła?

Król brodą się przewiazał i wasa targnął.

— Ot siedziałabyś głupia, kiedy ci dobrze! rzekł gniewnie. Ani mi się waży!

— Chcę pracować.

Król spojrzął na jej rączki drobne, na nóżki maleńkie, na oczki zapłakane, posłuchał głosu łkań i łez pełnego, coś mu koło serca zakręciło.

— Mówię ci siedź, dodał, ani mi myśleć o tem!

W duchu poczęło go już gryźć, że jej się także coś z tego zawojowanego po ojcu królestwa należało.

Znowu tedy wieczorem gdy siedli powiada Dobruchnie:

— A ta głupia Lala wybiera się jak czajka za morze.

— Na służbę, obiecano jej korzec pereł co roku i kwartę diamentów u króla Samona za to tylko, żeby w oknie stojąc świeciła ogrodowi oczyma i kwiatkom

rosnąć pomagała. Służba dobra, niech biedna dziewczyna na posag zarobi.

— Albo to ona nie nasza krew, żeby iść miała służyć niewiedzieć komu jak prosta dziewczyna?... Ludzie na mnie kamieniem rzucają, rzekł król... Toć to jej się i tu coś da, gdy za mąż będzie wychodzić...

Królowa milczała a Gwoździł dalej:

— Ot, jeszczeby i Rumianek za nią gdzie służyć poszedł za kucheika...

— On już o tem mówi nawet, dorzuciła Dobruchna, król Samon chce go wziąć do swej przybocznej straży, złożonej z najdoborniejszej młodzieży jeżdżącej na orłach. On ptasio dobrze słysze jeździ.

Król się mocno zaperzył, a jak tupnął nogą aż ziemia pękła, ale się zaraz pomiarkował, żeby szkody nie robić, i umitygowawszy się, posłał jar zasypywać parobków z ekonomem.

— Już ja wiem co to znaczy, dodał ochłonałszy — niech się sobie żenią... i kwita... ale...

— Gwoździłku kochanie, całując go szepnęła królowa, niech się lepiej nie żenią, kiedy cię to tak gniewa.

— Gniewa? nie... alebym wołał co innego! to mnie tylko pociesza, że im nic nie dam prócz futuru na piaskach w którym będą mieszkali, i ordynarji na utrzymanie... niechaj biedę klepią!

— Jak twoja wola i łaska!...

I tak królowa Dobruchna sklepiła nareszcie małżeństwo, a w dziesięć dni potem wyprawiono im weselisko wspaniałe, huczne, szumne, na którym ja byłem, miód i wino pilem, po brodzie ciekło, w gębie nic nie było.

Plaudite!

Tak skończył czytanie Konrad.

— A dalipan! zakrzyknął Teofil lecąc uścisnąć autora powieści, tegom się nie spodziewał... Tyś się z Rózią Piłsuciówną ożenił i śliczną bajkę napisałeś w dodatku... dwa razem cuda!

— Ożenił się z Rózią! dodali towarzysze chórem.

— Tak, podchwycił Longin, a ze spowiedzi wykrecił się sianem i wyklamał... Gdyby mu prawdę całą jak było przyszło śpiewać przed nami, nieraz by się zadławił.

— Ale jakże to było, na Boga! jak to było, Konradzie? spytał Cyryll.

— Słowo w słowo jak w bajce, z tą różnicą, że w niej myśli i uczucia splątały się i splotły z wypadkami i uczynkami... zresztą nie ma tu nic czegobym ja mniej więcej na jawie nie widział i nie doznał.

Trzeba tylko do bajki dodać mały komentarz nieprzerwany, a wszystkie tajemnice się wyjaśnią i bałamuctwa okażą rzeczywistością.

— A wieleż masz dzieci? zapytał Longin.

— Jak zwykle w bajkach, dodał Konrad — już ich jest sześćcioro, nie sędzę jednak żeby rachunek miał być skończony.

— Szczęście jednak jakiego doznajesz, rzekł Longin, wybiło ci zęby i dobrze wytarło czuprynę!...

— Ha! cóż robić? *Homo sum, humani nihil a me alienum puto!* westchnął Konrad.

— Słowa są Terencjusza, dodał Cyryll, na pewno — chociaż je i innym przypisują.

— Nie można zaprzeczyć, dorzucił Albin, ażeby nas tą powiastką nie rozerwał... jest talent!

— Chyba talencik... talenciczek, talenciątko! przerwał Longin... ale co za chaos!

— *Opus tumultuarium!*

— Jam też nie pisarz, wymawiał się Konrad — do autorstwa pretensji nie mam, bawilem się sobie tylko.

— A nam przerwałeś wyznania czemś przynajmniej nie tak pospolitem... *molle atque facetum*, za cośmy ci wdzięczni, bo któż wie jakie jeszcze nieklasyczne tragedje oczekują nas w dziejach Jordana, Cyrylla, Teofila i Baltazara?

— Za pozwoleniem, zawołał milczący Dr. Baltazar — ja wcale nie wiem czy jestem do spowiedzi obowiązany, siedmiu was związaliście się juramentem, jam tylko służył za świadka.

— Ale się przecie od ogółu nie odstrychniesz! Już ciż kto cudze je, ten i swoim częstuje...

— Różnie to bywa... najczęściej przeciwnie.

Gdy tak gawędzą, drzwi od drugiego pokoju otwały się szeroko, a przez nie jasność i woń razem rozkoszna buchnęła z przyległej sali, z której ukryta za wazonami muzyka zagrała nutę znanej pieśni akademickiej:

Gaudeamus igitur juvenes dum sumus.

Znacież wy czytelnicy kochani tę pieśń tradycyjną sięgającą może XIIgo lub XIIIgo wieku, tyła wesołych pokoleń usty powtarzaną? Któż z niej więcej umie nad jedną strofę... a jest ich tyle i tak wyrazistych! Utwór to nie jednego upojonego studenta, któremu życie zaszumiło w głowie i w piersiach zawrzało, ale ich przez lat kilkaset nie wiem wielu po słowie i wykrzyku na ten hymn młodości się składali... Jest też w nim wszystko co być powinno w piosnce pierwszy raz wyswobodzonego dziecięcia, które pije z długo odmawianego kielicha życia...

Nutą tej znanej pieśni gdy zagrały pokoje, wszystkie piersi wspomnieniem zadrgały, nie jedna łza błysła na oku, a widok sali jadalnej, okwieconej, przybranej, wyświeżonej i oświeconej wspaniale, stołu jaśniejącego kryształami migającymi jakby błyskiem łez i płomyków, owoców i zieleni ubierających go — woń uczyty... wszystko to obudziło młodą wesołość w sercach starych ludzi.

Albin też miał słuszną chwałę się swą wieczorzą, bo ją z całą starannością smakosza z powołania obmyślił, starając się i o jadło wykwentne i o zbytek a świetność, które go czynią ponętne, o to, co niejako uzacnia jedzenie i daje mu na chwilę przynajmniej szatę jakiejś poezji. Nawet Siamskiemu słoniowi jeść dają w złotym żłobie, żeby mu strawa nie obmierzła.

Przyznać musiano, że Albin potrafił dobrze zbudować ten monument tak kruchy i wąty, który za godzinę runąć miał i w brzydkie rozwaliny się zamienić. Stół świecił, nęcił, pachniał, pociągał i byłby spokusił

najobojetniejszego, najmocniej przekonanego nawet, że wieszczę jutro odchorować będzie musiał.

Przywyklejsi do uczt takich weszli powoli rozpatrując się tylko, zgadując po woni przyszłość podniebienia i satysfakcje żołądkowe... Longin jeden zgłodził przebił się przez stojących w okół i posunął śmiało naprzód, ze wzgardą jakąś i przybranem zuchwalstwem rozsiadając na pierwszym miejscu. Oczy mu świeciły blaskiem dziwnym, a usta drgały uśmiechem pełnym goryczy.

— No, zaczynamy *ab ovo*, to jest od wódki! zawołał, nie waszym tym kieliszeczkim, który jest urągówkiem z człowieka, ale starą szklenicą Goetzów z Berlichingen. Nalej, dawaj! w ręce wasze, panowie narzeczonym!

Albin się skrzywił, ale trudnoż było biednemu obdartusowi odmówić tej pociechy.

Baltazar z inną miną, ale równie chciwą i żarłoczną, przykradł się cicho, rozpatrując wszystko do bocznego stoliczka, jedząc naprzód oczyma przysmaki, połykając ślinę i starając się ukryć jakie w nim obudzały się żądze. Ręka jednak wyciągnięta trzęsała mu, oczy od widoku nagromadzonych łakoci oderwać się nie mogły.

Inni chodzili koło stołu nie śmiejąc rozpoczynać.

— A co? dobrze się spisał? spytał Albin, pochwalcież.

— Przepysznie! rzekł Konrad.

— Wybornie, dodał Cyryll... ale wróć mi przeżytych lat dwadzieścia, a oddam tę ucztę lukullowską za samowarek Cymbusia i pieczone kasztany.

Albin westchnął.

— Weselsze tamte były gody, rzekł, weselsze! wszystko tam smakowało, dziś trzeba dobierać dla ust wybrednych... a sercu już nikt nie nie dobierze... Ale siadajmy panowie, niech gra muzyka dobrej myśli k'woli...

Słudzy w kawowych frakach, oblamowanych herbownymi pasami, z akselbantami i kamaszami, poczęli

srebrne roznosić półmiski, Longin patrzył i uśmiechał się ciągle.

— Panowie, wniósł Teofil — gdybyśmy czasu nie tracąc, odprawiliśmy tych niepotrzebnych adjutantów, dalej nasze ciągnęli opowiadania? Trudno nam będzie sklecić rozmowę chyba ze wspomnień, bo życie rozbiło nas i porozdzierało tak, że nie między sobą wspólnego nie mamy... Na ciebie kolej, Cyryllu, coś wyszedł pieszo a wrócił karetą...

Biedny skazany westchnął.

— Nie będę się wam wymawiał, rzekł powolnie — nie powstydam się życia, chociaż ono i mnie omyliło, dając mi może nie to szczęście jakiego pragnąłem... ale takie jakie mu się podobało wydzielić.

— Nie skarż-że się a spojrzysz na buty moje! krzyknął Longin podnosząc nogę.

— Cóż czego innego pragnąłem od życia... mówił Cyryll dalej — nauka była dla mnie celem jedynym a namiętnością książka; dzieckiem byłem już stary, bom się kochał tylko w Plantynach, Aldach, Manuzzich i Elzevirach, w naszych Łazarzach i Försterach. Chciało mi się uczyć i zaświecić nauką, marzeniem było zostać bibliotekarzem i jak szczur zaryć się w cichej izdebce nad niemym jakimś folialem. Czy sądzicie, że gdy zamiast ukochanych tych skarbów życie da człowiekowi garść złota, świetniejsze na pozór położenie, dostatek bankierski i żydowski, to potrafi mu nagrodzić czego poskapiło tak okrutnie? Myślicież że karetą i dwór i majątek zastąpią mu to co kochał?

— A któż ci u licha broni? przerwał Konrad — nakupić sobie książek? zbierać Aldy i Elzewiry i cieszyć się niemi?

— Kto zabroni? Alboż ja panem dziś jestem siebie? a majątek nie jest-li niewolą? gorzko odparł Cyryll.

— Ale zaczynajże od początku! rzekł Longin.

— *Dicendi periculum non recuso* — odezwał się Cyryll po chwili namysłu. Jeśli brzęk szklanek i talerzy nie da wam usłyszeć spowiedzi, tem lepiej, nie

bardzoby kto skargę moją na los zrozumiał.

Gdyśmy rzucali miasteczko nasze, jam już miał nadzieję posady nauczycielskiej, osnułem sobie życie bardzo skromnie, na nauce i książkach, nie więcej, na pracy, którą ukochałem i co dla mnie była już nałogiem, w cichym kątku. Tak mi się śniło życie, ale począłem od walki z rzeczywistością; potrzeba było oczekując na umieszczenie żyć, jeść, mieć kątek na szpargały, stolik do pisania, izdebkę osobną. Na to wszystko grosza mi brakowało, musiałem zaprzedać pracę moją.

Poznałem się był w tych czasach z bardzo uczciwym i spokojnym czeladkiem przypadkiem, (bo to się zawsze tak w języku ludzi nazywa), choć przypadku nie ma na świecie. Był to cichy, niepozorny, ale naukę lubiący staruszek, z którym zszedłszy się w księgarni zbliżyliśmy się nieco, i jedne mając upodobania prawie, a czując się sobie potrzebni poprzyjaźniliśmy się powoli. Stary Horbacz, jakem się później z boku dowiedział, był niegdyś bardzo dobrym sercem go zgubił. Majątek topniał w jego rękach i z dosyć znacznego, przeszedł na ledwie mu do biednego życia wystarczający. On i żona jego puściwszy resztki resztek dzierzawą, przenieśli się do miasta i tu skąpo i oszczędnie żyli odsunawszy się od świata.

Dla Horbacza nie było wielkiem nieszczęściem, że zszedł do ubóstwa, nie miał bowiem pociągu do zbytku i skromnem się zawsze obchodził, ale go bolało, że już nie mógł czynić dla ludzi, i w kątku siedzieć był zmuszony nie mając udziału w dobrem, które inni robili. On, żona, z wielkiego niegdyś domu, znosząca dosyć cierpliwie, ale nie bez zżymania się swój upadek, córka i syn składali tę rodzinę, która zmuszona liczyć się i skąpieć, zajmowała na Skopówce mieszkanie od tyłu czyste i schludne, miłe nawet, ale ciemne i niepozorne.

Stary był jednym z tych ludzi, którym lada co wystarcza, bo się z wszelkim losem zgodzić potrafią, ale charakteru swojego nie potrafił przelać na żonę, która

choć się tała z boleścią przed nim, po kątach płakała nad upadkiem, oddaleniem przyjaciół i przyszłością dzieci; jak gdyby dzieciom koniecznie był potrzebny gotowy kapitał na podsycecie próżności i zapewnienie siedzenia z założonemi rękami — jak gdyby potrzeba zdobywania sobie stanowiska nie była także błogostwem.

Horbacz poznawszy się ze mną polubił mnie bardzo, zrazu spotykaliśmy się najczęściej na przechadzkach i długie rozmowy wiodły nas na Antokoł, na Pohulanke, ku Jeruzalem, na Rose... Czytał ogromnie wiele, zajęcie to stanowiło jego życie; — stare, nowe, złe i dobre, mając czasu wiele, polykał, aby się upoić i zadurzyć, ale nie tak czytał jak drudzy. Ani imię pisarza, ani rozgłos, ani czarodziejstwo stylu nie oblały go w sądzie o rzeczy, a właśnie ta niezawisłość wyroku, ta śmiałość z jaką roztrząsał już rozsądzone i potępione lub okryte sławą dzieła, wielce go dla mnie zajmującym czyniły.

W domu ukrywać się musiał niemal przed żoną z tem zajęciem, które się jej nie podobało; ona chciała go nakłonić do zajęcia interesami, do procesów, chodzenia czynnego około spraw zawikłanych, które on zdawał na Pana Boga.

Chodziliśmy tak z nim czytając ukradkiem i gawędząc szeroko; podziwiałem, gdy mi swe dawne i dzisiejsze położenie opisał, tę duszę wyższą nad pospolite, ten umysł spokojny i w świat patrzący z rezygnacją stoika. Dziwiłem się jeszcze bardziej, że jak wielu ludzi istotnie wyższych, Horbacz ilem mu razy pochwalił myśl jego i do pracy na korzyść powszechną zachęcał — uśmiechał się nie bez szyderstwa ruszając ramionami.

— Ale dajże ty mi pokój! mówił — toż to dziesięć już razy, lepiej odemnie, ktoś zrobił, po co papier psuć i jedno powtarzać, a mazanine mnożyć, gdy ludzie już aż nadto mają tego zaczernionego papieru.

Umysł prawdziwie poważny, umiał z najlżejszej rzeczy wyciągnąć treść istotną, nie gardził świstkiem i szpargałem najmnijszym, pisemkiem niepozornem i

blahem, a często zdumiewał mnie sądem o rzeczy oklepanej, zupełnie oryginalnym, który w niej nowe i niespodziane strony odkrywał.

Słowem, pokochaliśmy się, ale nasze stosunki były dziwne, ja nigdy nim chciałem, ani myślałem bywać u niego, on mnie do siebie nie zapraszał. Często u bramy mieszkania naznaczaliśmy sobie spotkanie i szliśmy dalej gawędząc; schodził, gdy mnie zobaczył, ale mnie do środka nie zapraszał. O rodzinie i położeniu swoim nigdy mi nie mawiał.

Jednego razu, gdym tak przyszedł na Skopówkę, aby go z sobą zabrać, wybiegł za nim chłopczyna, lat dziesięć mieć mogący, bladej i delikatnej, z poselstwem jakimś od matki przypominającej godzinę powrotu, na którą się adwokata spodziewano.

W oczkach miłego chłopczyny świeciło chorobliwie podbudzone życie... ojciec wziął go za głowę, pocałował i rzekł pokazując mi dziecko:

— To mój syn...

— Nicbym nie chciał, dodał po chwili, tylko przelać weń ten spokój duszy, jaki mi dało doświadczenie, moją rezygnację i wejrzenie na świat. Sam pracuję nad nim, ale z tą młodością to tak trudno! ze mnie tak zły nauczyciel! Nadto jeszcze jestem sobą bym mógł być dobrym pedagogiem; zbyt często wątpię i sumienny jestem, bym chciał dziecku narzucić to, w co sam nie wierzę, lub czego jasno nie widzę... Bieda to z temi dziećmi.

— Ale pan musisz mieć nauczyciela? spytałem.

— Otoż nie mam, kochany panie, bo to drogoby kosztowało, ja i matka dajemy mu lekcje, a że jeszcze ma siostrę, to się na nich podzielać musimy.

Tego dnia trudno nam było na inną przejść rozmowę i stary wciągnięty mimowolnie w gawędę pierwszy raz mi się wypowiadał ze swemi domowemi okolicznościami. Żał mi się go zrobiło — nie byłem bardzo zajęty.

— Weź W. Pan mnie, rzekłem mu w końcu, daj mi tylko dach i chleb suchy, a będę ci dzieci uczył,

parę godzin w dzień mogę im poświęcić i zajmę się serdecznie.

Stary spojrział na mnie z rozczerwieniem.

— Ale ty, rzekł, daleko lepsze sobie miejsce znaleźć możesz.

— Może, wiązać się jednak nie chcę, oczekuję nominacji na nauczyciela, a tymczasem próżnuje... nauczycielstwo potrzebuje nowicjatu, odbędę go u pana jeśli chcesz.

Przerwała się rozmowa, ale po dwóch dniach namysłu stary przyszedł do mnie sam i zastawszy mnie wśród moich szpargałów zajął się cały książkami, poczęliśmy swobodnie rozprawiać, czułem jednak, że mi coś ma do powiedzenia.

— A cóż projekt mój panie marszałku? spytałem po chwili, był bowiem jakimś marszałkiem.

— Właśnie z tem przychodzę — cóż? chciałbyś? Ale myśmy ubodzy i życie ubogie.

— Państwo mi łaskę robicie! rzekłem.

— No! to przenoś się do nas, — jest dwie izdebki trochę ciemnawe na twoje usługi, stół szlachecki... chleb powszedni! I wyciągnął mi dłoń drżącą.

— A serce nasze oceni cię, kochany Cyryllu!

Nazajutrz byłem już na Skopówce.

Sama pani przyjęła mnie zrazu z jakąś nieufnością, obawą, przyglądając mi się nieśmiało. Dobra to była kobieta, ale z niewieścią swą troskliwością o dzieci choć przywiązana do męża, pojąć nie mogła obojętności jego na ich przyszłość, miała mu za złe to opuszczenie rąk, płakała i gryzła się po cichu. Ja więc, jako sprzymierzeniec mężowski, wzbudziłem w niej odrazę i niechęć, bała się we mnie marzyciela; ale wprędce potrafiłem pokonać to uprzedzenie i zyskać sobie jej przychylną, zajmawszy się szczerze dziećmi i małe czyniąc posługi. Biedna kobieta była tego przekonania, że majątek został im wyrwany nieprawnie przez opieszałość męża; że przy staraniu można się było dźwignąć z upadku, wyprocedować, poodbierać, co im wzięto. Nie można jej było wytłómaczyć, że prawo często bywa

niezłomne i nie dozwala podnosić spraw raz ukończonych, nie pojmowała by sprawiedliwość ulegała przedawnieniu. Bolejąc z nią razem starałem się ją tem pocieszyć, że dla niej biegał po prawnikach, radził się, uczył, studjował, starego do zajęcia interesami zachęcał o ile mogłem i umiałem. Oprócz tego zająłem się dziećmi, Stefankiem i Marynią, młodszą od niego o rok córeczką, poświęcając im wszystkie wolne godziny. Resztę czasu siedziałem nad książkami mojami i swobodnie spędzałem go pod tym dachem gościnnym na własnej nauce, usiłując w jedną całość zbić i porządkownie rozklasyfikować cały gmach wiedzy ludzkiej, *hoc erat in votis*. Musiałem, jak się domyślać łatwo, co chwila nowe przedsiębrać badania, aby każdą gałąź poznać i w swoim miejscu ją położyć. Zarzucony książkami, znajdowałem rozrywkę i odetchnienie w lekcjach z dziećmi, w rozmowie z Horbaczem, nawet w cichych użaleniach samej pani, która przedemną lubiała się to z żalem wylewać, to świetniejsze swe malować mi czasy. Stałem się pokornie powiernikiem wszystkich, doradcą i przyjacielem. Nie wiem jak pozyskałem miłość tych dzieci, ojca i matki i wcieliłem się w rodzinę, przyjęty przez nich za brata, — trwogi ich, potrzeby, niepokoje dzielając sercem całym.

Horbacz teraz mając moje książki, więcej przy nich siedział w domu, co żonę jego uspokajało i cieszyło, bo go miała pod ręką dla porad z adwokatami. Ja sam pomagałem jej w nich i latałem, żeby biedną kobietę choć pocieszyć. Wszystko to jednak było napróżno, bo z tych mnogich procesów imaginacyjnych, prowadzonych bez pieniędzy z wymodloną protekcją, — naturalnie prócz zawodu nie wyrosnąć nie mogło.

Ale się przynajmniej jakas ludzila pociecha, a choć popłakała, ożywiła się na chwilę tłómacząc po raz setny papiery, które według niej w przyszłości niechybne odzyskanie majątku obiecywały.

Prawie rok przepędziłem tak u Horbaczów, gdy niespodzianie Stefanek, dziecko istotnie zastanawiające nadzwyczajnem pojęciem, umarł z lekkiego przeziębienia

nia i gorączki. Co tam był za lament w domu, jaka rozpacz matki i ojca, tego opisać nie potrafię. Gdy zachorował, sprowadziłem co było najlepszych doktorów w Wilnie, Wróblewskiego, Porcyankę, Mianowskiego, sam dzień i noc siedziałem przy łóżeczku — ale Bóg nie chciał dozwolić by nasz Stefanek wyżył i wziął go mimo wszelkich starań naszych. Umarłą dziecinę sam płacząc włożyłem w trumienkę, bom się do niego serdecznie przywiązał, i poprowadziłem z ojcem na cmentarz. Nas było dwóch tylko, ksiądz trzeci, matka w domu została z Marynią, a przyjaciół i znajomych, choć Horbacz miał ich dawniej wielu w wyższych społeczeństwach, nikogo. Ta podłość ludzi uciekających od boleści nieozłoczonej niczem, to opuszczenie i obojętność ścisnęły mi pierwszy raz serce, i dały uczuć, że nienawiść ku ludziom czasem się daje tłómaczyć.

Powróciłem już mniej potrzebny do tego domu, ale nie jako nauczyciel, lecz przyjaciel jedyny pozostałem przy nich. Stary oniemiał z boleści i straszliwie się odmienił, matka tonęła we łzach niustannych, a potrzebowała mówić o dziecku straconem — porzucić ich w tej chwili byłoby barbarzyństwem, zwłaszcza że tam czuł potrzebnym, że był dla nich ostatnim.

W tej właśnie chwili przyszło mi długo oczekiwane zamianowanie na profesora i nakaz do wyjazdu; pobiegłem do naczelników wypraszać się, ale zwłoka była niepodobna, trzeba mi było albo jechać natychmiast, albo się wyrzec miejsca, a rozważywszy co powinność czynić każe i sumienie, nie wahałem się, co zresztą było małą rzeczą, poświęcić obowiązkowi tę jakąś nadzieję przyszłości. Miejsce straciłem, alem naturalnie nie mógł, ani potrafił wspomnieć o tem Horbaczom, którzyby ofiary przyjąć pewnie nie chcieli; jedno mnie tylko trwożyło, że bym im nie został niepotrzebnym ciężarem póki bym znowu jakąś posadę mógł sobie wyjednać. Zresztą nie było tu z mojej strony tak wielkiego poświęcenia, przywiązanie do nich czyniło je lekkim i milem, niczy mi bowiem, nawet swobodne i niezawiste położenie, nie mogło dać szczęścia,

gdybym o nich był niespokojnym.

Byli dla mnie drugą rodziną — ten starzec onie- miały z boleści, ta kobieta upadająca na siłach, to dziecię miluchne, płaczące więcej przeczcuciem leż niż boleścią, która jeszcze w dziewczęciu długą i głęboką być nie mogła.

Poświęciłem się im jak mogłem; szczęściem znalaz- złem pracę maluczką przy wydaniu słownika jakiegoś, około którego zająwszy się szczerze, na siebie i trochę dla nich zarobić mogłem.

Nie marliśmy więc z głodu, a moje i ich było je- dnem. Pojechałem na wieś dla wyzyskania im coś z domu, gdzie najniepocziwsza administracja majątek gniołła, a wróciłem dniem i nocą śpiesząc do biednych, którym dopiero się potrzebnym uznałem, gdy ujrzałem jak mnie przybywającego przyjęli. Nie mogę myśleć o tem com dla nich czynił, tylko z gorącą wdzięcznością, że odemnie przyjęli ten ubogi serca datek, że mnie przyswoili jak krewnego, i powierzyli się jak bratu. Chwile to były ciężkie, niedostatek, strata dziecięcia, choroba wreszcie samej pani, zmuszały mnie podwajając się, aby wszystkiemu podolać.

Jużem nie myślał ani o posadzie niezależnej, ani o przyszłości, ani nawet o nauce, kradzione tylko chwile oddając jej w nocy, a gdy mi się starej książki za- chciało, nie miałem wyboru, bo im ten grosz, który- bym poświęcił fantazji na chleb powszedni był potrze- bny. Wśród tego cierpienia matki i jej bezsilności, mu- siałem myśleć o Marylce i nią się zająć, bo dziecko rośło i potrzebowało oprócz boleści co ją do życia przy- gotowywało, innego wychowania. Pracując nad słowni- kiem, a później nad tłumaczeniami, które grosz jakiś dawały, postarałem się jej o fortepian, o metra mu- zyki, sam resztę nauczycieli, których opłacić nie mo- głem, zastępując.

Horbacz dźwignął się nieco prędzej i znowu do za- czytywania się powrócił. Ma to do siebie nałóg ten pożerania książek i myślenia, że jest skutecznem le- karstwem na boleści i silną w chwili ciężkiej odrywką.

Stary tak czasem zaczytany, dzień cały w jakimś osłu- pieniu spędzał, a zajęcie się pewną epoką, krajem, czło- wiekiem, na chwilę go czyniło szczęśliwym monoma- nem, i jak Lafontaine co latał po ulicach pytając wszystkich czy czytali Baruch'a, tak on często zaprzą- tniony czemś, nie umiał już, jeno o tem myśleć i mówić.

Sama śmiercią syna do reszty sił i ochoty do ży- cia pozbawioną została, nawet zwykłe zajęcia proce- sami, podźwignieniem majątku, nie mogło jej z odrę- twienia rozbudzić — syna nie miała, dla którego to czyniła. Leżała w łóżku z książką od nabożeństwa, modliła się dnie całe i wypłakiwała oczy; posyłała mnie na grób dziecka, mówiła ze mną o Stefanku, a w przypominaniu jego, całą czerpała pociechę. Postrze- gliśmy wkrótce, że siły ją opuszczały i niebezpieczeń- stwo objawiło się gorączką prawie stałą, zwiększającą się tylko co wieczora. Napróżno znów sprowadziłem lekarzy, choroba i boleść zaległy głąb duszy, nie jej uratować już nie mogło. Stary niemy i przybity nie- odstępował jej łóżka od chwili niebezpieczeństwa do śmierci; — wkrótce drugi pogrzeb wyszedł z tego nie- szczęśliwego domu, gdzie ja jak grabarz zostałem sam ze starym i sierotą. Mógłbym ich teraz samolubnie porzucić?

Przyjaciele moi, mój pocziwy protektor napróżno wystawiali mi konieczność pomyślenia o sobie i stratę upływającego czasu — godziło się ich tak odstąpić i na zgubę i zatracenie wystawić, bez rodziny i przy- jaciół? Zwłaszcza że Horbach stał się zupełnie nie- zdatnym do poprowadzenia domu, podtrzymania pozo- stałego majątku, nawet pamiętania o codziennych po- trzebach; wzbudzał on we mnie miłość i szacunek, ale razem politowanie takie, żem się nie odważył pomy- śleć o porzuceniu go. Ja i stara Mikulska, dawna ich domu z lepszych czasów sługa, całem musieliśmy za- rządzić gospodarstwem.

Tak w tych wypadkach, przy pracy żmudnej i je- dnostajnej, upłynęło mi kilka lat nieliczonych niepo- strzeżenie, Marylka podrosła na dziewczkę, a moje

przywiązanie do dziecka zmieniło się w dziwne jakieś uczucie, któremu raz tylko doznał w życiu. Dziewcze to ledwie dorastające, opanowało mną zupełnie, rządziło, opanowało. Niestety co ją wykołysało, czy szczególne dary Boże, uczyniły z niej istotę niezwyčajną i wyjątkową. Nie powiem nic o jej piękności, są wdzięki marmurowe, których ja nie rozumiem, i są szpetne twarze, które tak rozpromienia duch, że je cudnemi czyni. Ona nie była ani tak piękną, jak są czasem piękne istoty, przed którymi ludzie klękają, ani brzydka, ale niechybnie oblicze to było niepospolite i uderzające, rozumem i uczuciem razem. Nic w niej nie było dzieciennego, pojęcie bystre i jasne, wzrok ducha szybko przenikający do głębi, a serce tak rozgrzane cierpieniem, jakiegom w życiu nie spotkał. Dojrzała wcześniej niż inne, a lzy lat jej dopełniły... ojciec zresztą i ja cośmy z nią byli ciągle i codzienne jej składali towarzystwo, brak niewieściich znajomości i rówieśniczek, coś jej dały męskiego i od pospolitych kobiet odmiennego z instynktem wdzięku, z upodobaniem piękną, z sercem czującym wszędzie co było dobrem i wielkiem. Była ona raczej młodzieńcem rozmarzonym, niż słabą kobietą, śmielszą niż kobiety w jej wieku bywają, mniej płochą i już świat pojmującą surowiej.

Potrzeba ciągłego czytania ojcę, który wzrok sobie nadwreżył, a musiał się żywić jedynym pokarmem, do którego był przywykł, zastępowanie mnie często przy nim, wdrożyły ją do poważniejszego zajęcia, tak, że czasem postrzeżenia jej i uwagi podziwienie w nas wzbudzały. Nie były to błyskotliwe i dowcipne popisy, ale słowa z duszy płynące i wyciśnione wątpliwością, bo Marylka była zadumaną i milczącą i nie łatwo się z myślą swą wydała...

Dla mnie to był anioł pociechy, dobroci, spokoju, nie wiem jak z jej nauczyciela stałem się prawie dziecieniem. Ona teraz opiekowała się mojem ubóstwem, odgadywała potrzeby, czuwała by mi nie zbywało na niczem, tam gdzie często brakowało wszystkiego.

W piętnastym roku była to już niewiasta poważna

i zbrojna do życia, a ojciec i ja po troszę mogliśmy się chlubić tem wychowaniem.

Coś majestatycznego ale łagodnego razem miała w wyrazie twarzy ślicznej, wypogodzonej, uśmiechnionej, a spokoju pełnej jak niebo w dzień pogodny. Nie wiem jak i z kąd podowiadowała się, może od pocziwej Mikulskiej, com ja dla niej robił, i heroiczną jakąś przyjaźnią, posunioną do egzaltacji, starała się ten dług wypłacić.

Tymczasem stary Horbacz dzieciniał, z przestrachem patrzałem na te symptomata starości, które potężny umysł obracając w ruinę, może przykrejsze uczucie wzbudzają, niż widok zwalisk najpotężniejszych grodów. Starość niedołęzna wielkiego człowieka jest pewnie więcej znikomości ludzkiej dowodzącym i bardziej upokarzającym obrazem, niż w gruzach zagrzebana Niniwa. Widzieć umysł co pracował, co się wyzwolił i dzwignął, co się wzbogacił, powoli, przez osłabienie narzędzi, które mu posługiwały, wające, tracące energję, pozbawiony pamięci, rozsypujący się w nicłość... to coś tak okropnego, że życie nie ma sztraszniejszego nadeń widowiska—śmierć w pełni sił—jeszcze apoteoza; a to już po starostawiańsku marne *zaczeczenie*. Horbacz miał chwile powrotów silnych do życia, wybuchy te jednak trwały krótko i przechodziły jak błysk, a po nich następowało głuche, głębokie milczenie, w ciągu którego oczy wlepił w jedno miejsce, usta mu zapadały dziwnie i nieporuszony siedział tak godzinę całą. Napróżno wówczas ja i córka usiłowaliśmy go rozbudzić, ożywić;—roztargniony pytał o jedno po kilkakrotnie, nie rozumiał odpowiedzi i uśmiechał się tylko ze starego nałogu, ale widać było, że myśl znużona nawet na pracę pochwycenia słów naszych nie wystarczyła i przedsiębrać jej nie śmiała.

Niekiedy znowu powtarzał jedno a jedno uparcie, i tracąc pamięć jakiegoś słowa, a innym go zastąpić nie mogąc, obracał się w koło... Dla Marylki i dla mnie widok to był może smutniejszy nad śmierć samą, oboje pracowaliśmy aby go wyrwać z tego za-

bójeżnego odrętwienia; stary wówczas dorozumiewając się tych usiłowań naszych, chwycił za rękę mnie lub ją i nie nie mówiąc płakał.

— Dajcie mi pokój, rzekł raz, wy chcecie nazad ku ziemi ściągnąć ulatującą już duszę, a tu jej tęskno i ciasno. Na co ja wam? na co świat mnie? dusza się gdzieś dalej wybiera, dzieci moje, jedno ją może tu trzyma, to przywiązanie do was, choć ja wam nie potrzebny tu chyba jak świadek... Zresztą mnie już tylko patrzeć, mówić nawet nie mogę, ciężko mi... myślenie samo utrudza...

— Słuchaj Cyryllku, rzekł inną razą do mnie — czemu ty o swojej przyszłości nie myślisz? cóż dalej? Okuleś się w kajdany dla nas, ja to pojmuję, jeśli serce za co płaci, mnie i Marylkę masz całych, ale cóż dalej? co dalej? Ja z dnia na dzień umrzeć wam mogę, dziecinne czułości na bok, potrzeba obmyśleć i przewidzieć. Wierzcie mi żem nie długowieczny...

A po chwili dodał:

— Gdybym był bogaty, wiem cobym ci powiedział; ale Marylka uboga... a ty...

Spojrzał mi w oczy.

— Gdybym miał wam co dać... ot, powiem ci szczerze, ożenił bym cię z nią i byłbym spokojniejszy.

Uściskałem starego, ale mi się słabo zrobiło na myśl tego niedostępnego szczęścia, które jak gałąź zaczarowanego drzewa spuszczało się nademną, by umknąć potem, gdybym ku niemu rękę wyciągał.

— Byćże to by mogło? ale ja... ale ona! — rzekłem pomieszany.

— Ona cię kocha jak ojca, jak brata, jak męża i byłaby z tobą szczęśliwą... Są tam jakieś szczątki naszego dawnego mienia... gdyby się to ułożyć mogło, jabym już sobie umarł spokojnie... pomyśl. Ona pracowała i wytrwała, ty także... weź dziecko moje.

— Ojciec mój drogi, odpowiedziałem wzruszony, ale to byłoby z jej strony poświęceniem, imię jej, urodzenie, stan, zresztą umysł i serce dają prawo do daleko większych nadziei, jam biedny, ubogi, sierota...

— Ale ona cię kocha... a tyś ją sobie sam wychował, rzekł żywo ojciec, ona tego pragnie, ja to widzę.

— Nie! to być nie może! nadto by było szczęścia dla mnie, zawolałem.

Stary zapłakał i pocałował mnie w głowę...

— Jeśli to będzie szczęście, moje dziecko — rzekł, tyś na nie gorzko zapracował... ale ona uboga...

— Czyż ubóstwo przestraszać może? odparłem... czyż się go lęka kto się nie obawia pracy?

— Marylko! — zawołał stary podszedłszy ku drzwiom jej pokoju, w które zastukał, chodź tu, chodź tu...

— Oto twój mąż! zawołał niecierpliwie, gdy się drzwi otworzyły, chwytając i łącząc ręce nasze, nie mam pierścionka abym was zaręczył, ale was poślubiam błogosławieństwem ojca i łzami.

Z obawą spojrzałem na nią, ale w jej oczach błyskała odwaga i radość dziecinna.

— Spełniło się, rzekła, czegom pragnęła... Teraz, za twe poświęcenie dla nas, ja powinienam ci zapłacić szczęściem, czuwaniem nad tobą, drogi nasz przyjacielu... Będziemy szczęśliwi, o ile ludzie mogą być na ziemi.

Żem nie oszalał w tej chwili, wielka to łaska Boża, ale mi się zdało, że się ziemia pod nami obraca i całując jej ręce, które drżały w moich dłoniach, płakałem razem ze starym.

Cicho odbyło się nasze wesele, ledwie kilku ciekawych służyli nam za świadków, pieszko poszliśmy do katedralnego kościoła, w codziennych sukniach, ona w białej muślinowej, ja w wyszarzanym fraku, nad który lepszego nie miałem, stary ojciec za nami. Kapłan przed ołtarzem św. Stanisława, męczennika obowiązku i prawdy, połączył nas na życie boju i trudów, które się ciężkiem obiecywało wówczas.

Jakkolwiek znałem Marynię, codzien z nią będąc od dziecka, mogę powiedzieć, że mi się poślubie nową objawiła istotą, gdy cała jej dusza i myśli, żadną dziewczą nie okryte zasłoną, zajaśniały przedemną. Jeżeli kiedy mną władała, to teraz upadłem przed nią jak przed istotą, w której zjednoczył Bóg co innym swym

dzieciom daje po czasteczce.

Siedzieliśmy zasklepieni w naszym szczęściu, ani chcąc wyrzec na świat, a stary na chwilę nas nie opuszczał, rzekłbyś, że się obawiał stracić widoku, na który długo oczekiwał.

Nie wiem czy go uspokojenie ożywiło, czy przeszła apatia, w jakiej od śmierci żony zostawał, ale nagle rozruszał się i począł krzątać więcej niż dawniej o majątek i przyszłość naszą. Nie chcieliśmy mu pozwolić aby jechał na wieś, ale się tego naparł tak mocno, że dla jego spokoju potrzeba mu było dogodzić. Zapóźna to praca jednak nie przyniosła owoców, bo majątek był zniszczony, a administracja, jak pospolicie u nas, wzięwszy go raz w swe szpony, dojadła do reszty. Wypasali się na niej ludzie bez sumienia, dla których robienie grosza choćby na sierocych ostatkach, byle go schwycili, jest rzeczą w świecie najnaturalniejszą. Państwa tej, gdy ją raz pochwyca, nikt już im z rąk nie wydrze. Starzec użył teraz całej dobytej z siebie energii, aby ocalić szczątki choćby sprzedając majątku, ale i to było trudnem, bo administratorom chodziło o ich zyski. Starzy przyjaciele Horbacza pogłuchli i zobojetnieli, a dzierżawca miał silnych popleczników i składając rachunki wołające o pomstę do Boga, śmiał się prawie z tego, któremu mienie wydzierał. Dopiero krzyk pokrzywdzonego, który z rozpaczą niemal dobył się publicznie z jego piersi, opamiętał nieco ludzi, którzy bezsilnego gniesć się nie wahali, i ulekli się wywołanej a strasznej boleści. Starzec nie bardzo umiejętnie wziął się do swej sprawy, ale przynajmniej nadzieję jakąś uzyskał, że go ze skóry nie obedrą. Złoczyńcy pomiarkowali się i musieli zawstydzic. Horbacz powrócił małym swym tryumfem gorzko opłaconym, szczęśliwy i promieniejący.

Tymczasem Bóg mu niespodzianie gotował daleko większą pociechę, i w chwili kiedy ubóstwo nasze opromieniało jeszcze szczęście nowe i pokój młodości, odebraliśmy wiadomość prawie do bajki podobną o śmierci stryja Marylki, który nieznajomy jej, na prze-

kór kallatorialnym dokuczliwym, cały swój majątek zapisał. Słyszałem o nim nieraz za życia matki, bo ona dla biednego Stefana całe na nim i bezżenności jego pokładała nadzieje, utrzymywała z nim korespondencją, ale po śmierci pani Horbaczowej, na kilka listów Marylki nie odpowiadał i wszelkie z nim stosunki zerwane zostały. Stary ten kawaler, rządny aż do skąpstwa, zostawił po sobie miljon kapitału i dwa razy tyle wartujący majątek, w jednym więc mgnieniu oka z ubóstwa przeszliśmy do bogactw, jakie się nam nigdy nie śniły.

Wyznam wam, że mnie to boleśnie dotknęło, w pierwszej chwili ucieszyłem się dla starca, dla niej, ale czułem upokorzony... Gdyby byli kilka tylko miesięcy poczekali, jabym nie był im zawadą, i nie byłbym nieznany, ubogi, jak kula na łańcuchu spętał ich sobą i przykuł do siebie. Postrzegł to stary i ona, nie dali mi boleć długo, potrafili pocieszyć, ale w głębi nie zmieniło to mojego położenia przykrego, człowieka, który nie nie mając, wziął chleb po żonie i na cudzem żyje.

Przy szczęściu mojem jest to troska codzienna, jest to nieustanna obawa; nie śmiem dotknąć tego grosza cudzego, tej pracy, tej własności, którą za swoją uważać nie mogę. Boję się zażądać czegoś, jestem męczennikiem dostatku, na który patrzę, którego użyć nie mogę, nie śmiem, nie powinienem.

Złoto wprowadziło mnie, prócz tego, w świat nowy, obcy, do którego ja nie był wcale stworzony. Z niem razem zjawili się przyjaciele starzy, których niedostatek porozpędzał, krewni, rodzina... Nazajutrz po nowinie owej, drzwi, które próg lubiły, jak się wyraża Horacjusz (Amatque janua limen) — i nie otwierały się, chyba popchnięte dłonią pocziwej Mikulskiej, zaczęły skrzypieć nieustannie od pochodu winszujących. Ci co nie umieli pocieszać i dzielić ubóstwa, przybiegli zobaczyć zaraz jak nam będzie z dostatkiem do twarzy; — pozbyć się ich było niepodobna. Ale Horbacz i Marylka i ja nie porzuciliśmy ani Skopówki,

ani życia, do któregośmy byli przywykli, pełnego wspomnień miłych. Trwało ono aż do naszego przeniesienia się na wieś. I nie łatwo nam przyszło rozstać się z tą małą, ciasną kamieniczką, oblaną tyłą łzami. Naręście z bólem serca musieliśmy wyjechać, opuścić te miejsca i stary w chwili odjazdu prawie zaniemógł z żalu, tak nałogowo przywiązał się do swojego więzienia.

— Wy sobie jedźcie, mówił, a mnie tu zostawcie, po co ja pojedę?

Opierał się długo, ale jechać nam potrzeba było razem lub razem pozostać, namówił się w ostatku, bo mu widok naszego szczęścia był potrzebny. Tak rozpoczynaliśmy życie nowe, które dla mnie nie przyniosło nowego szczęścia, owszem, szczerze powiem wam, że mi ono popsulo marzenia moje i przyszłość.

Grosz włożył na mnie cięższe kajdany niż nędza, której się nigdy nie obawiałem, dał mi natrętów, zabrał czas, przemusił zająć się obojętnymi rzeczami, zwichnął, onieśmielił. Byłem panem siebie i przyszłości, stałem się sługą grosza.

Bogactwo jest przesadą, z którego nie łatwo będzie wyleczyć się ludzkości, jeszcze pod tym względem dziecinnej, ale to pewna, że ono częściej daje pozór zazdrośny, niż dobro i spokój. Chleb powszedni, o którym mówi Ojciec nasz, oto co człowiek żądać powinien, i nie nad chleb powszedni, chleb jutrzejszy i pozajutrzejszy jest już ciężarem, za który się drogo płaci. Jam tego doznał na sobie, i choćbyście się z niedowierzaniem uśmiechać mieli, powiem i powtórzę, że nieraz po cichu przeklinał te miliony, które na nas spadły.

Pracując na chleb, miałbym prawo dogodzić i mojej fantazji bibliomana i zachceniom dziwaka, zakochanego w okładce, druku i papierze — bogaty musiałem odegrać rolę bogatego, z cudzego grosza zaczerpnąć nie śmiejąc, i wyrzec się jedyne, co po Marylce i ojcu kochałem. Obawiałem się aby dziwactwo moje nie stało się dla nich ciężarem, lękałem się tknąć cudzego grosza, którybym zamienił na ukochany mój papier

zbutwiały... Potrafiłem nawet oszukać Marylkę, udając zobojętnienie... ale co cierpię, Bóg wie!

Gdy to mówił, Teofil, który słuchał z natężoną uwagą, wstał i uklonił mu się z uśmiechem.

— Co takiego? spytał Cyryll.

— Nic, mów dalej... później się to wytłumaczy jakże oszukał żonę...

— Jestem szczęśliwy zresztą, dodał opowiadający, Bóg mi dał niezależność, żonę anioła dobroci, dzieci które mi się uśmiechają, ojca który w pokoju dożywa starości — ale to wszystko okupuję potajemną męczarnią, wyrzekłszy się powołania dla świata i zajęć obojętnych, nudnych, ciężkich dla mnie.

Czasem, gdy salony i ludzie, co po nich chodzą, znudzą mnie, zamykam się na klucz w mojej izdebce, gdzie pod sprzętami jakimiś ukrywa się gromadka moich starych książek, którem zbierał niegdyś od gęby sobie odrywając... tam zasiadłszy w kątku, przeglądam te skarby i przypominam dobre czasy, kiedy się z bibliomanią tać nie potrzebował. Dziś nie mogę już ani zapragnąć więcej, ani ręki po nie wyciągnąć, bo Marylka kupiłaby dla mnie bibliotekę Mazaryńską gdyby była do sprzedania, ale ja nie chcę, aby moja fantazja odjęła dzieciom chleb, na który nie pracowałem, dostatek, który mieć będą nie po mnie... Brałbym to jak jałmużnę, upokorzony...

Gdy mi się bardzo czego zechce, po cichu pracuję pod cudzym imieniem, biorę za to grosz jakiś i ten własny szeląg zapracowany obracam ukradkiem na książeczkę, z którą się taję. Nie jednej nocy kawałek, pod pozorem rachunków gospodarskich, poświęciłem aby nabyć kronikę świata, która mi się trafiła, której chciałem, a grosza na nią z kasy naszej nie wziąłbym za nic. Co przykrzej, tać się muszę z zabytkami temi, aby pocziwa żona nie postrzegła, aby nie odkryła mojej słabości, bo by jej chciała dogodzić kosztem wszystkiego co ma... a tego ja nie chcę...

— Kochanku, to tylko duma dorobkowicza — rzekł Albin, przyjmowali od ciebie twą przyszłość, którą im

dawałeś po kawalku, a ty od nich nie dziś przyjąć nie chcesz? Jest czasem grzechem nieprzyjęcie ofiary i rodzajem skąpstwa duszy, która wdzięcznością płacić nie chce... Tego ci nie pochwali nikt, dobrowolny męczenniku, jest to po prostu dziwactwo...

— Zrozumiecie mnie czy nie, pochwalicie czy nawziecie egoistą — cóż robić? dodał Cyryll — ja się odmienić nie mogę i nie chcę.

— To źle, rzekł Konrad.

— Dodajcie, mówił pierwszy, o czem już napomknąłem, wcielenie moje do świata zupełnie obcego, moje onieśmienie z tego powodu, rodzaj ukrytej ale dającej się czuć od ludzi wzgardy, które dziecię plebanii wiejskiej spotyka w tych sferach, niedostępnych zwykłe jemu podobnym, nadto harde by się z pochodzeniem swoim tailo, zbyt przenikliwie, by tego co wzbudza nie zrozumiało. Ani moje obejście się, ani język, ani upodobania nie są dla nich miłe, ja też przymuszony często podzielać ich zabawy i fantazje, nie bardzo się niemi uszczęśliwiam. To czeze życie wystawy, kłamstwa, które nikogo nie oszukuje, popisów, fanfaronady, zabaw i rozrywek dzieciennych, jest dla mnie męczarnią... Aleśmy na nieszczęście bogaci i nosić musimy jarzmo złote na karku.

Często w chwili, gdy się napawam książką, gdy myśl z trudnością wysnutą dobywam z siebie, zastukają do drzwi, wołają mnie do salonu i jeszcze rozgrzany pracą, wychodzić muszę żeby zabawić fircyka w białych rękawiczkach, który jako eks-uczonego, bo za takiego uchodzę, bawi mnie, owianego wonią klasyczną, swojemi fatalaszkami francuzkami i popisuje się z erudycją maślanych okładek. Często gdy w słowniku Ducange'a szukam wątpliwego wyrazu tej średniowiecznej łaciny, która jest językiem osobnym, gdy go łapię, gdy już dochodzę czegoś porównaniem i analogją, dzwonią po mnie do obiadu, na który oczekuje krewny hrabia i daleki kuzyn, pełen dowcipu a razem głupiusienki, mający mnie bawić topografią Paryża.

Trudnoż się zakopać, zerwać ze światem i zdziezczyć

dla niej, dla dzieci, zresztą dla tego, żeby mnie bakałarzem nie nazwano — niepodobna. Wiedziecie i to, że tam o mnie dziwne famijla rozpowiada historie, że mi kochani kuzynkowie żony co chwila czuć dają pochodzenie moje, ściskają serdecznie gdy potrzeba pożyczyc pieniędzy, ale im imie nawet to Cyrylla, teńące parafią, ciężko przez usta przechodzi.

Otóż to szczęście, któreś kareta zajeżdżając widział Longinie, któregoś może pozazdrościł w duchu, szczęście, co by się mieniało na chatkę ubogą z tą kobietą, która więcej stworzoną była do niedoli niż na dołę... Ona słabsza odemnie i cóż za dziw, że nie pasując się, serce jej dało się ovladnąć złotu i orszakowi, jakie ono wieździe za sobą, że musiała zostać panią? Jam w duchu jeszcze ubogi i obyczaj mam stare; ona zapomniała naszych dni próby na Skopówce, które są dla niej snem tylko i żyje w swoim żywiole.

Nędzy zląklibym się dla niej i dla siebie, ale ubóstwa uczciwego, cichego, przy pracy i swobodzie, pragnę i wołam: niech im znów będę potrzebny, niech na mnie spoczywa ich przyszłość, a rozwiążą mi się ręce i całkiem będę szczęśliwy.

Skończył Cyryll i smutnie spuścił głowę, a towarzysze jego spojrzeli po sobie.

— Ten znówu, rzekł Konrad, tak przefiltrowuje to co mu pan Bóg dał, że w końcu męty same otrzymał z kryształowego napoju!

— Człowiek zawsze człowiekiem, dodał Teofil — musi mędrować i męczyć, a machinka życia tak jest urządzona, że choćbyś ją jak pokręcił zawsze zapiszczeć musi. Najzabawniejsza to, że myśli, iż żonę oszukuje...

— Tymczasem, przerwał Longin, pozwólcie mi nie boleć wcale nad dolą i udziałem szanownego towarzysza, który ma trzy miliony i nie może sobie kupić książki za kilkaset złotych; albo warjat, albo go żona tyranizuje, do czego się przyznać nie chce...

Cyryll uśmiechnął się boleśnie.

— Ten anioł dobroci! ona! ona coby mi chciała

nieba przychylić!

— A jednego Alda nie domyśliła się kupić? — zawołał Teofil. Jakże to być może, żeby nie zgadła, nie odkryła, nie wyszpiewowała ciebie i twojej namiętności?... kobieta co rywalkę odgadłaby w ślupie, gdyby się w nim człowiek zakochał!

— Bo nie jest kobietą i nie obawia się rywalki, odparł Cyryll, zresztą proszę i mnie coś przyznać, bo nowe życie wcale na nie złego wystrychnęło mnie komedjanta... Zdziwilibyście się z jaką rolą moją odgrywam powagą i prawdą... Książki nie tknę, nie spojrzę zwłaszcza na starą, kryje się z nalogiem tym jak z pijaństwem, a niestety... jest to taki nałóg i fantazja, jak każdy inny... Książka wzbudza we mnie to co w was widok karty, butelki, kobiety... namiętność — pragnę jej, czuję że mi do życia braknie, że mógłbym ją ukraść... to dosyć! Zważcież co kosztować musi walka z taką namiętnością, codzienna, dręcząca... chwilami to ogłupia. Raz przyjechał wędrowny żydek, co na furze w sianie wozi razem elementarze, inkunabuły, rękopisma i nowe romanse... Nie wiem kto i na co kazał mu się rozpakować w sieniach, miał Danta takiego i parę nieoberzniętych Elzevirów, że gdym je przypadkiem wziął w ręce krew mi się rzuciła do głowy... miał wydania, które pachniały jak stare wino, śmiały się jak młode kwiaty... ale cóż? drżąc uciekłem do mego pokoju, aby się nie wydać z pokusą, a żyd powędrował dalej z Elzevirami, rzuciwszy je w słomę... Mogłem je nabyć łatwo, ale byłbym się wydał z moją namiętnością, którą chcę ukryć, postanowiłem ukryć i ukryję!

Teofil, nie mogąc już dłużej wytrzymać, rozśmiał się na całe gardło, a wszyscy znowu obrócili oczy na niego.

— Co ci jest? rzekł Cyryll.

— Co mi jest! ale to przedziwna historia! temu człowiekowi naiwnemu zdaje się, że kobietę oszuka.

— Zkąd-że te twoje wesołe protestacje? spytał Cyryll niespokojny, wiesz-że co? zdajesz się mówić na pewno? nie pojmuję.

Teofil począł szukać po kieszeniach.

— Historia jest taka, rzekł — ja się w książkach wcale nie kocham... móle to jedzą i miejsca potrzebuje... Ja, brat mój stryjeczny i siostra, odziedziczyliśmy świeżo po kanoniku H... wielkim bibliomanie, trzy do czterech tysięcy książek zbieranych przez całe życie. Mają to być *raritates*, unikaty, inkunabuły, białe kruki, czarne łabędzie... i co chcecie...

— To zbiór jedyny w kraju! zawołał Cyryll. Znam go z katalogu...

— Chcieliśmy go sprzedać i ogłosiliśmy o tem w gazetach.

— Wiem, dodał biblioman... ale cóż? pójdzie to jak wszelkie ludzkie zbiory, co kosztują życie pracy i zachodów, a potem się rozchodzą po rękach i rozsypują po świecie.

— Dajże mi skończyć! zawołał zwycięzko Teofil, od ogłoszenia sprzedaży jeden list tylko odebraliśmy; patrzaj-no, kochanie, nie znasz ty od kogo? nie poznasz czasem ktoby go mógł pisać? jak ci się zdaje?

Cyryll spojrział na adres, na pieczętkę, i pobladł... rzucił okiem na podpis i poznał rękę żony, która znać niedawno doszedłszy tej tajemnicy bibliomanii tak starannie ukrywanej, po cichu zaczęła umowę o nabycie całego zbioru dla męża. Na widok listu, który oczy jego przebiegły żywo, Cyryll zadrżał wzruszony cały i od łez wstrzymać się nie mógł.

— Anioł zawsze, anioł! wykrzyknął... ale w cóż poszła praca moja i walka... ona wie! ona odkryła wszystko.

— Otóż masz płakse, który i teraz gotów jeszcze narzekać, rzekł Longin, najwyraźniej oszalał!

— Widzę z listu, przerwał po chwili wychodząc nagle z osłupienia Cyryll — że o bibliotekę stanęła umowa... ale któż jej pilnuje?... lękam się już amatorów co mogą dzieła pozamieniać, przeklętych zbieraczy sztychów, którzy gotowi karty wycinać...

Dla książek zapomniał na chwilę o swoim przerażeniu i o żonie, ale wnet składając ręce, dodał znowu:

— A! czemu ja jej potrafię to wywdzięczyć!
— Zdrowie pani Cyryllowej! zawołał Albin podnosząc kieliszek... najpierwsze jej należy!

Za nim wszyscy podnieśli się powtarzając:

— Zdrowie pani Cyryllowej...

On milczał stojąc z głową spuszczoną...

— Tam jest żywot Opecia i Marcholt! rzekł jakby się budząc — wiem pewnie... i pyszny egzemplarz *Biblii pauperum*... to był biblioman niepospolity! A! byle by tam nie pokradli! co za szczęście! Marja moja! poczciwa i anielska Marja!

Mówiąc to, zerwał się od stołu nagle.

— Wybaczcie mi, rzekł, książki to głupstwo, ale żona taka to więcej... to skarb droższy nad wszelkie ziemskie... Miło mi z wami, jednakże po tym liście któryście pokazali, chwili dłużej zabawić nie mogę... leczę do nóg jej upaść.

— A! na Boga, tożbyś się mógł wstrzymać choć do jutra.

— A ananasy moje! zawołał Albin, jeszcze nie skończona wieczerza, deser panowie!

— Dajcie mi pokój z wieczerzą i deserem — wykrzyknął Cyryll, posyłam po konie i leczę do domu, bądźcie zdrowi!

Ruszyli się wszyscy, usiłując go nadaremnie powstrzymać, ale się im wyrwał, opanowany myślą o żonie i bibliotece. We drzwiach już wychodzącemu Longin, jak żebrak hiszpański z garlaczem na gościńcu, z miną zuchwałą zastąpił drogę.

— *Date obolum Belisario!* rzekł z dumą. Nie jedź nie wspomógłszy dawnego towarzysza... jesteś szczęśliwy, podziel się szczęściem i nie odpychaj.

Cyryll drżącą ręką dobył pugilaresu i podzielił się nim z Longinem, którego oczy zabłyśły straszną dla reszty zgromadzonych groźbą przyszłej składki.

Z kielichami przeprowadzono Cyrylla do przedpokoju, do sieni, w dziedziniec, ale nim Vivat krzyknęli, znikł im już pędząc ulicą do domu.

— Osobliwsza historia! rzekł gospodarz siadając

znowu do stołu... to tylko źle że nam wieczerzę przerwała, a nie gorszego nad przerwane jedzenie... nie ma potem całosci, nie ma ciągu, zepsuł mi swoim wybrykiem tak doskonale obmyślaną budowę...

— Już teraz, aby jej do reszty nie popsuć, rzekł Teofil — możeby dać pokój autobiografiom, które są smutne zawsze... chybaby kto nam chciał dać o Jordanie wiadomość; cudza historia zawsze się chłodniej opowiada.

— Jam gotów, zawołał rozweselony Longin, podobno naprózno byśmy go już czekali, kiedy do tej pory nie ma; ja może lepiej niż on opowiem jego przygody... On by nieochybnie kłamał, gdy ja żadnego nie mam powodu go oszczędzać... Więc posłuchajcie! jak mówi nieoszaczony Jowialski. Jakoś nie o sobie mówiąc lżej język chodzi, i wam nie potrzeba będzie min nastrajać, lepiej gadać i słuchać wygodniej... będę mógł upowieściować nieco relacją... ale jeszcze kieliszek tej madery, to nie zła rzecz!

— Sucha, stara madera, dodał Albin kiwając głową.

— Nie wiem co ty suchą nazywasz, odparł biedak, ale to pewna że gardło odwilża przyjemnie... a po niej historia Jordana pójdzie jak po maśle... Szczerą zresztą prawdę powiem za niego, możecie być pewni.

— „Gdyśmy się świętej pamięci, onego czasu rozstawali z workami pełnymi nadziei, mości panowie a bracia, rzekł Longin wysuszywszy maderę, Jordan milczkiem ale pewien siebie wyszedł w świat, z tem mocnem przekonaniem, że się czegoś dochrapać musi, czując w sobie siły i z góry zapowiadając jasno i wyraźnie, wszem w obec komu o tem wiedzieć było potrzeba, że w wyborze środków zbyt delikatnym nie będzie. Za narzędzie miał w ręku prawo, miecz obosieczny i ostry, i nim się zaraz rozmachał przeciw łosom i ludziom wojując... ale co jednemu uchodzi i wodzi, to drugiemu na zgubę idzie, przyczyna w tym djabelskim losie, którego nikt nie zrozumie.

W naszych czasach, przed jakimi laty dwudziestą, wiele było przykładów dorabiania się fortuny zręcznem matactwem i chodzeniem około brudnej pańskiej bielizny, a nas to podobno obu zgubiło żeśmy chwycili zębami twardą skorupę, z której już wprzód inni cały tłuszcz objedli.

Z razu robiły się majątki łatwiuteńko, póki się ludzie nie obejrzel, że plenipotenci, korzystali z ich gnuśności, niedbalstwa i nieświadomości, kilka grubych skandalów zepsuło to rzemiosło i kilku wielkich szelmów odjęło małym chleb od gęby... ale my jeszcześmy oba przyszli do studni podówczas, gdy każdy co się zajmował cudzemi interesami, swoje polepszał.

Jordan, jakeście go znali, wszystko lubił robić po cichu, ukradkowo, nie jak ja, com przywykł z hałasem i jawnie się przebijać i przynajmniej tem się chlubię, że otwarcie prowadziłem wojnę, nie tając po co i dokąd idę. Tamtemu się zdawało, że ta droga maleńka lepsza, że manowcami zajdzie dalej, jał się tedy, poczynając od małego adwokactwa, jak niby to i ja, ale inaczej. Wielkiej sprawy też nikty mu był nie powierzył, bo, prawdę powiedziawszy, z oczów mu patrzyło nie ciekawie, a ci co najmniej znali się na ludziach wstręt mieli od niego. Ja zawsze to powiadam, że choćby szelmstwo robić, to śmiało i w oczy patrząc. *Latrones fortuna juvat*. Jeśliby mnie kto miał ochotę nazwać rozbójnikiem, to jegoby wypadło złodziejem, a ta była między nami różnica, że ja przynajmniej łba nadstawiałem, gdy on tylko grzbietu.

Stykaliśmy się z razu często i witali uśmiechem, jak owi augurowie przy kiszkach bydłych; żaden z nas drugiemu w drogę nie wlażył, bo też gościnnie nie schodziły się. Ja zaraz sobie żyć zacząłem porządnie, ten sknerzył obrzydliwie, w kącie biedę klepiąc.

Pozór to nie był głupi, bo udawał cichego, pracowitego robaczka, do niepoznania, zdaje mi się nawet że chodził do kościoła, myśląc że i na modlitwę ulowi jakiego wieśniaka, ale pan Bóg mu tej pociechy nie dał. Z rana bywało piechota, z teczką pod pachą, od

drzwi do drzwi drepcze za sprawami, potem zje lichy obiadek w traktyerzyku za dwa złote, a wieczorem go nigdzie nie zobaczył chyba w jakiej billardowej dziurze, gdzie na wielki fest piwem się pokrzepiał, poglądając na graczy, ale sam kija nie dotykając. Trudno się nawet było domyśleć, że kroił na wielkie rzeczy, bo cierpliwie od małych poczynął. Straciłem go potem z oczów; w rok patrzę, ehe! już coś inaczej koło kawalera, i surducik opięty i futerko szopowe i często gęsto w błoto na dorożce się przejeżdża, po juryzdykcjach chodząc z wielkiem zajęciem... jakby miał około czego.

Poszczęściło się zrazu i jemu jakby los go chciał zaoskomić, bo to ten błazen ma do siebie, że z nas tak drwi wszystkich...

Dwie czy trzy sprawy wygrał także, o których już zrozpaczone, poczęto mówić o wielkiej jego głowie i zdatności, ktoś go posłał do stolicy, tam się porobiły stosunki, zaczęło się już żyć inaczej. Jużem myślał, że mu pójdzie na dobre, a może by tak było, gdyby powoli chciał iść, noga za nogą, ale zachciało się galopem niepodkutemu.

Wtem go też nie pochwalam, że sknerstwo i chciwość posuwał do najwyższego stopnia, bo często coś trzeba stawić na kartę a ludzie jak widzą tak piszą, i jeśli się skulisz biorą cię za małego.

Jordan wkrótce pośliznął się w najohydniejszy sposób, co na całe jego życie miało wpływ zgubny i już mu się podnieść nie było podobna, choć nie zbywało na odwadze. Jeden z jego pierwszych klientów, któremu on wygrał proces w Senacie, złapał go do jakiegoś przybyłego ze wsi jegomości, o którym naprzód cudów naopowiadał, że to był stary, bezdzietny, ogromnie majątny pieniaka, mający manją procesowania się, że mu plenipotent wprowadzić nie łatwo dogodził, ale miał sperandę raz nim o władnąwszy dojść do wielkich rzeczy... o władnąć zaś nim miało być tak łatwo jak kichnąć po tabace. Klient jako dowód przyjaźni i wdzięczności nastrecał Hruszce to miejsce, które mu wy-

stawiał jako warkocz fortuny... Ale fortuna oddawna wylisiała, nosi francuzki szynion, i kto ją pochwyli za kudły, tylko mu trochę włosów w garści zostanie.

— Starzec bezdzietny, monoman, mówił ów jegomość, podobasz mu się pewnie, ogarniesz go, i on twój i majątek... Kawaler, familji nie ma... któż wie.

To polowanie na wieloryba zrazu się niezmiernie Hruszce podobało. Poleciał jak strzała z rekomendującym na ulicę Niemiecką, gdzie zastali w zajezdnym żydowskim domu na tyle, w izdebce smrodliwej, staruszką siwego, przygarbionego, w zajęczem futerku, z nogami bosem w poobcinanych starych butach, w brudnej koszuli, z chustką zatabaczoną wiszącą u pasa za kolana, i w myce zatłuszczonej na głowie. Był to ów pan Murgill-Kruta...

Stary zdawał się mieć lat ze siedmdziesiąt, przygarbiony, kaszlący, suchy, zawiedły, ale żywy był jeszcze. Jak tylko wszedł Jordan, domyślił się w nim z miny kandydata do plenipotencji i rozpoczął bardzo zręczny egzamen. Był to bowiem najslawniejszy pieśniacz na Litwie, który już kilka pokoleń adwokatów jak olbrzym dzieci zjadł na swoich procesach, każdego brał na czas jakiś, trzymał, męczył, zajeżdżał, zszarzał, wyssał i w końcu pokłóciwszy się odrzucił, gdy mu już nie był przydatny. Znano go w prowincji jako pierwszą głowę prawniczą i obawiano się jak ognia; w jurydykcyjach adwokaci, urzędnicy uciekali gdy się zjawił jak od zapowietrzonego, gdyż była to dokuka straszliwa, zawsze nierad z tego co dlań zrobiono, nigdy dłużej nad lat parę z nikim w zgodzie nie pożył, a w końcu oplamił każdego. Płacił źle, wymagał wiele, gderał strasznie, a że sam był jurystą z powołania i znał się dobrze na wszystkim, więc nawet swobody najmniejszej nie dał temu kogo wziął w kleszcze — kierował, obracał, posyłał, narzucał co robić, a gdy mu czasem co nie po myśli wypadło, zawsze obwiniał tego kogo użył, nie siebie.

Dla Jordana ze wszech miar było to niestosowne miejsce, ale Hruszka nie obawiał się nikogo, nie za-

pytał nawet o człowieka, nie starał się objaśnić, a tak był pewien wygranej, że gdy go przestrzeżono śmiał się, i wpadł w łapkę sam najohydniej, gdy dołek pod nim kopać myślał...

Murgill Kruta w tej porze miał kilkadziesiąt swoich i cudzych ponabywanych różnemi tytułami procesów, wlewków, przekazów, całe życie pieniactwa na karku, majątek bardzo znaczny, nabyty szczęśliwemi kręcielstwami i sknerstwem obrzydliwym, a reputację najchytreszego z ludzi, ale Jordan ani się zastanawiał, ani badał, ani pojmował, by go kto mógł i potrafił podejść, tak rachował na własną przebiegłość.

Wielki znawca ludzi, Murgill poznał w nim nie-doświadczenie w połączeniu z zarozumiałością i zaraz je umiał obrócić na korzyść swoją.

Z pod okularów, które tylko dla zakrycia oczów nosił na końcu nosa, popatrzył na niego gdy papiery przerzucał, ocenił i postanowił zużytkować siły młode, póki by się nie wyczerpały, udając z talentem przed Hruszką człowieka podstarzałego, zmęczonego, któryby rad tylko pozbyć się ciężaru, zdając go w wierne ręce.

Nic go to zresztą nie kosztowało przedstawić się jak chciał, gdyż przywykły był przybierać strój, minę, mowę, jakich mu było potrzeba, i tę komedję z ludźmi odegrywał wiecznie, powtarzając za maksymę:

— Bądźcie chytry jak węże.

Stary jego sługus, siwy jak on kamerdyner, co mu się od lat czterdziestu przypatrywał, tak już dobrze wiedział o naturze pańskiej, że gdy przychodziło do ubierania, śmiejąc się po cichu, zawsze go wprzód zapytywał:

— A co jegomościu? jak dziś? co tam będzie? czy pan? czy szlachcie? kogo panu dziś wypada udawać, czy chorego czy zdrowego? magnata, czy zrujnowanego?

A Murgill krzywiąc się i prychając, sucho odpowiadał z udaną łagodnością:

— Wojtusińko kochanie, milcz i trzymaj język za zębami chcesz li być cały — tycho łycho! kto milczy

ten ma rozum... dziś mi dasz pańskie odzienie... tak wypada... i *mouczy!*

Wszystko szło wedle obmyślanego z góry planu i ludzi, z którymi się miało do czynienia. Gdy tak po pańsku wystąpić widział potrzebę, to i garderoba była stosowna i sygnety i precjoza i mina; gdy jak chudy pacholek miał się gdzie wcisnąć, to w wytartej kapocie, z kijem białym, czapczyną starą, a tak umiał się zastosować i twarzą i postawą do ubioru, że zwiódł kogo chciał. Bywało, że z siedemdziesięciu lat na pięćdziesiąt niespełna się przerabiał, i to mu się nawet udawało, bo się rozprostowywał, wymył, ogolił, odświeżył i głos dobył inny, a żaden taki wysilek go nie kosztował gdy szło o zwycięstwo. Raz, opowiadano, w sprawie jednej, gdy szło o ukończenie polubowne, wdówce się młodej począł zalecać, aby rachując na jego krocie i konkurenta w nim widząc, zaspiała gruszki w popiele. Dopiero po skończeniu sprawy zwinął chorągiewkę, schował miłość do kieszeni, skurczył się i odjechał kaszlącym i starym.

Z takim człowiekiem nie lada kto mógł się poborykać: szerokie sumienie, doświadczenie, znajomość ludzi, przewrotność miał na usługi.

Trafiła od razu kosa na kamień i szkaradnie, bo się w nim Jordan wcale kamienia nie spodziewał; śmiał się z przestrogi i z całą siłą młodości skoczył przeciw temu starcowi zawiedlemu, chytremu, stwardniałemu i chłodnemu... a panującemu nad sobą. W dodatku i miłość własna niepospolicie cierpieć musiała, bo Hruszka grał tu tylko rolę podrzędną, słuchał jak dziecko robiąc co mu kazano, a ile razy próbował zbić się z drogi o własnej sile, zawsze guza i burę oberwał.

Z razu poczęło się to od troskliwego egzaminu sił i charakteru, gdy Jordan niby się rozpatrywał w papierach, które stary poddawał mu ciągle, w różnych sprawach się go radząc; Murgill rzucanemi słówkami badał go z różnych stron, łechtał, podstępami zażywał, aby moc nowego narzędzia wypróbować. Kilka razy obawiając się w nim nazbyt łaskotliwego sumie-

nia, trącił go i z tej strony, a przekonawszy się że nie było wcale drażliwe, zadowolony pojęciem, ochotą, żywocią i wytrwałością, zatarł ręce i uczynił z nim jakąś umowę wedle starej formy, dobrze wprzód obrachowanej, którą zawsze wszystkim swym pełnomocnikom poddawał...

Cyrograf ten wartoby zachować dla historycznej pamiątki, ale go na nieszczęście nie mam.

Poznawszy Jordana na wylot, stary zatrzymał go, a widząc w nim gwałtowną chętkę nagłego zubożenia się, nie wabił go ani pensją ani obietnicą wynagrodzenia wielkiego, ale dał mu niewyraźnie do zrozumienia, że ma lat siedemdziesiąt kilka, zamilowanie w prawnictwie i szukał tylko człowieka wedle serca, a pewnie znalazłszy w nim pomoc i pociechę starości, gotów mu wszystko co ma przekazać.

Była to przynęta tak gruba, że trzeba było ślepoty Jordana, aby się na nią dać złapać, ale Hruszka przez chciwość głupiał i we wszystko wierzył co jego nadziejom pochlebiało, gotów był najniepodobniejsze przyjąć, byle w myśl przypadło... Został więc ofiarą tego obalamucenia i monomanji, nie widząc że stary po prostu drwi z niego... Wlazłszy w interesa Murgilla Kruty za stosunkowo bardzo małe honorarja, dokładał do nich grosza, życia, pracy, rozumu, łamał się, ujadł i chcąc dowieść staremu swojego poświęcenia, dokazywał rzeczy niepodobnych.

Kruta tylko ręce zacierał tak mu szło z nim wybornie, a kiedy niekiedy rzucił słówko nieznacznie na pastwę Jordanowi, który pożywiony ruszał dalej jak pijany.

Stary zamiatał nim jak ścierką, nie oszczędzając bynajmniej i zameczając na śmierć, a śmiejąc się po cichu z łatwowierności młodzieńca, którego za to chwalał przed wszystkimi, choć ze starym Wojtusiem żartowali sobie z niego nielitościwie. Ten już wszystko Murgilla miał za swoje i chodził jak około własnego, można się domysleć z jak zajadłą gorliwością.

Murgill był jednym z tych ludzi, co jak konie gdy

się rozhasają, leca nie pytając po co i dokąd choćby łeb przyszło roztrzaskać o ścianę. Siedmdziesiątletni sknerzył, zbierał, szafował sumieniem dla majątku, choć ani go użyć, ani zostawić miał komu...

Ale — któż wie? może same te przejścia, wzruszenia i wrażenia ciągłego pasowania się, gorączka pienactwa robiły mu jakąś przyjemność; potrzebował do życia tego żywiołu kłótni i sporu jak ryba wody, a gdy sam nie miał kogo pieniać, to drugich podlegał i pomagał im. Całe dnie siadywał w papierach, a często się trafiło że w świeżej zgodzie znajdował zarodki procesu, nigdy nie pisząc aktu, w którymby na przypadek dziury do wymknięcia się z niego nie zostawił.

Powoli począł przerabiać na swoje kopyto Jordana, wskazując mu nie tylko co miał robić, ale jak miał mówić i wyglądać — ten choć zrymując się często po cichu, słuchał starca i poddawał mu się we wszystkim.

W sprawie pierwszej Murgill wskazał tę zasadę Jordanowi, żeby nigdy nie szedł prostą drogą, a w przeciwniku zawsze domyślał się więcej niż ten pokazywał i robił. Murgill sam tak robiąc, zawsze śledził pokątnych powodów, chodów, myśli podstępnych i ścieżek ubocznych, i to co czynił jawnie, służyło tylko do zakrycia tego co robił pokątnie... A że nikomu nie wierzyć, było u niego drugą stałą zasadą, z Jordanem więc tyle tylko był otwarty ile konieczność wymagała, jeszcze i z nim biorąc się na figle czasem dla upokorzenia go, częściej dla przytrzymania przy sobie.

Był to rodzaj walki, z której Hruszka najpewniejszym się sądził że wyjdzie zwycięzko, codzień silniej przekonany, iż starca pozyszcze i cały po nim majątek odziedziczy. Prawda że gratka to była nie zła, ale diable trudnego zapaśnika miał przeciwko sobie. Stary urojenia te Jordana zrozumiał i poddawał mu ich jeszcze, czyniąc czasem wyznania, że szuka tylko człowieka, którego by pokochał, do którego by się przywiązał, aby go uszczęśliwić... Ten brał to za dobrą monetę, co ze strony starego było prostą rachubą. Tymczasem opanowany myślą ową Hruszka, stał się gorzej

sługi i wyrobnika, a co znosić musiał w domu skapca i w pożyciu z nim, to się opisać nie daje.

Były tygodnie, że w domu karmił się jednym odgrzewanym krupnikiem, a w drogę gdy jechał, musiał się ze swojego grosza utrzymywać, bo stary udawał zawsze jakoby o kosztach zapomniawszy... Ale że złote góry na potem obiecywał i coraz jaśniej dawał do zrozumienia, iż może zapisać wszystko, Hruszka znosił to z podaniem się, pokorą, nie śmiejąc ani pisać. Prawda że Murgill nie miał żywego ducha, przyjaciela, krewnego, familji, nikogo, sam był jak palec.

Wyszedł on z jakiegoś kąta Litwy tak po cichu, że nikt dotąd z pewnością dojść nie mógł z kąd właściwie pochodził; jedni mówili, że się rodził w Krożach, drudzy, że w Lidzie, inni, że koło Borysowa; wykształcił się późno i w sposób bardzo podejrzany. Począł z małego aplikanta przy palestrze, długo w wytartym ku-braczkę nosił papiery pod pachą, potem niezmiernie wolno wybijał się na wierzch i dostawszy kapitaliku, postem, głodem i chłodem i nie wiem jakimi usługami zdobytego, wstąpił na właściwą drogę, poczynając od nabycia procesu. Gdy mu się raz wlewek taki pozyskać udało, całkiem się na pienactwo rzucił, i przez najdziwniejsze frymarki przyszedł do fortuny. Pożyczał nazwisk, podejmował się rzeczy niepodobnych, chodził, straszył, i skapiąc przytem obrzydliwie, nabywał majątki coraz znaczniejsze. To go jednak nie uspokoiło, nawyknięcie, charakter niespokojny nie dały mu spocząć, i gdy już wcale nie potrzebował na nowe się narażać niebezpieczeństwa, na starość w tych popiołach grzebał cudzemi rękami, a zasmakowawszy we wzruszeniach, dalej bawił się tą grą w ludzkie słabości. Takich prawników namiętnych nie widać już dzisiaj, inne czasy i obyczaje, znikło to amatorstwo pieni, idziemy do sądu zmuszeni, starając się interesu poprzeć, wygrać a skrócić ile możliwości; — on zaś przedłużał umyślnie już z rachuby, już do rozsmakowania się w nim. Dla niego proces był dramatem, do poparcia go używał sprężyn wszelkich, grał komedję, farsę,

wymyślał środki jakich my już pojęcia nie mamy... Fałszywe wieści, nasyłanie postrachów, pogłoski, kłamane listy, i nie wiem co jeszcze... były u niego popolitą monetą. Miał po temu policję, wysłańców, tych co przynosili plotki i co je puszczała, umyślnych i mimowolnych popleczników i narzędzia. Niekiedy przerazić się starał następstw jakiemiś, które z prawdziwym talentem wysnuwał z powietrza i ten *ventus textilis* sprzedawał za straszliwe widmo; to znowu, gdy mu z tem było dogodniej, łudził przeciwnika nadziejami przedwczesnemi, przyczajał się, usypiał niby, podbiegał po cichu, sam odgrywał rolę zrozpaczonego i gotowego do układów, gdy ich wcale nie żądał, gniewał się, gdy był kontent z czego, przybierał fizjognomje według okoliczności, uciekał się do zajęczych skoków aby zbić z drogi antagonistę... słowem, więcej zawsze rachował na słabość ludzką i oszukanie niż na sprawiedliwość.

Sędziów podchodził równie zręcznie jak tych, z któremi się rozpierał, obiecywał, pochlebiał, straszył; o nim to rozpowiadają anegdotę, że w chwili podpisywania dekretu położył przed sędzią gruby pak papierów mających fizjognomje assygnat, tem jakoś skonwinkował go na swoją stronę, a w kopercie zamiast pieniędzy spodziewanych znalazły się stare gazety...

Z innym lepiej sobie jeszcze postąpił, bo mu dał rozcięte bankocetle i potem go pozwał o te połówki jako o depozyt, wiedząc, że do przyjęcia datku przyznać się nie może.

Równego mu w tym rodzaju już nie zobaczycie: to też do kogo się przyczepił prawie pewny był że przegrać musi, dostać mu było niepodobna, a jeśli zrazu poczuł zbyt gorącego antagonistę, to sobie robotę na lat dziesięć lub piętnaście rozłożył i nudził póki nie znękał, w chwili najmniej spodziewanej, gdy usypiał przeciwnik, dojeżdżając go ostatecznie. Bywało tak, że znów wygrano, ale nazajutrz po dekrete potrzeba się było układać dobrowolnie, bo wygrana pozorna była istotną ruiną.

Niedoświadczony, młody, choćby najzdatniejszy i tak jak ja gotów na wszystko człowiek, nie mógł sobie dać rady z wygą, ale Jordan o niczem nie wątpił, ani się spostrzegł, że stary drwił z niego oszukując... Przestrzegano go na próżno, starano się opamiętać, ale na to odpowiadał tylko pogardliwym uśmiechem.

Murgill też pracował dobrze aby go obalamucić, jednego dnia był czuły, serdeczny, łzawy, ścisnął, rozczulał się, to znowu straszył, to lechtał i obiecywał, a kochał go niby jak syna, i nie nazywał inaczej jak drogiem swem dzieckiem. A że go chwalił i lechtał przy tem miłość własną, prowadził potem jak chciał.

Życie Jordana na wsi było srogiem męczeństwem, bo już nie plenipotentem tylko, ale czem stary kazał być musiał: jeździł, pisał, zastępował ekonomą, pisarza, wójtów, błazna, komedjanta, pomagał do kłamstwa... i w nędzy pędził żywot zaprzędany. Murgill czy nie ufał żeby to długo potrwać mogło, czy wprost nie mając litości — miotał nim, używał i nadużywał, bo jeszcze tak posłusznego narzędzia w życiu swoim nie znalazł.

Kazał mu się kłócić, kłócił, godzić, jednał, pochlebiać, durzył, kochać, miłował... i nigdy nawet nie syknął. Fraszka to co kto zniósł w życiu obok tego nowicjatu Jordana... Djabeł by nic straszniejszego nie wymyślił.

Tymczasem cóż się robi? nadechodzi jakaś sprawa, w której była masa rachunków, kwitów i t. p. Niezmiernie ważnego dokumentu zabrakło, a na nim opierało się wszystko. Akt ten według Murgilla powinien był egzystować, dla tego że był potrzebny, i dowodził że się znaleźć musi. Ile razy Jordan powracał z poszukiwań z próżnemi rękami, stary zapalał się gniewem, stukał pięścią o stół, dowodząc że gdzieś znaleźć się powinien, że trzeba go z pod ziemi dobyć a poszukać koniecznie. Jordan posłuszny jeździł, chodził, latał, wachał, ale nie było sposobu stworzyć tego co podobno nigdy nie istniało. Trwało to nie wiem jak długo, wciąż w ten sposób, że Jordan szukał a Murgill się

niecierpliwiał, chorował, gryzł, dając niejako do zrozumienia, że czy dokument jest, czy go nie ma na świecie, powinien się znaleźć kiedy potrzebny.

— Wszyscy tak niewdzięczni! — wołał stary położywszy się w łóżko — nikt poczciwie nie służy... jak to być może żeby nie było tego papieru... to zdrada! ktoś go przetrzymuje... nie umiecie szukać!

Jordan usiłował dowieść że papier ten nie istniał, a stary zagadywał czem innem i narzekał.

— Ale cóż począć wreszcie, zagadnął Hruszka, jeśli papieru tego nie ma na świecie?

— Rób sobie co chcesz byle był, odparł stary, u mnie tego nie ma, ja nie rozumiem co niemożność, musi być!

Dorozumiał się wreszcie Jordan o co chodziło, ale nie bardzo chciał zdrową głowę kłaść za chorą pod ewangelję; nareszcie zgnieciony, przyciśnięty, nagle znalazł potrzebny dokument, nie mogąc nawet jasno się wyłomaczyć z kąd go dostał.

Akt autentyczny był i dowodny, o ile nim mógł być, ale strona przeciwna rozpatrując się w nim bacznie, jak zaczęła chodzić około papieru, okazało się wypadkiem, że na arkuszu z datą wodną 1800 r. napisany był kwit w r. 1796. Stało się to odkrycie w sądzie przy świadkach w chwili gdy go się najmniej spodziewano, dokument okazał się fałszowany. Przeciwna strona chwyciwszy to, poszła już drogą kryminalną o podrobienie...

Hałas narobiono ogromnego, bo *is fecit cui prodest* wskazywało sprawcę; stary co się pierwszy raz w życiu dał złapać na papierze, mimo swej chudości o mało nie padł rażony apopleksją. Całą winę zwalono na Jordana, a Murgilla czysto umył ręce i oddając go na pastwę sprawiedliwości, sam się pomaleńku wycofał.

Szczerściem dla obwinionego, nie było znowu najmniejszych dowodów, żeby on mógł akt podrobić; źródło z kąd dostał dokument zostało wskazane... winowajca za grobem... Silne jednak podejrzenie ciążyło na Jordanie, na chwilę został przyaresztowany, a gdy go dla braku dowodów wypuszczono splamionego, odartego, bez

grosza i wrócił zapukać do drzwi Murgilla, odprawiono go z kwitkiem, tak że się z nim nawet widzieć nie mógł. Wojtuś, siwy sługa i powiernik zapowiedział mu, żeby się nawet więcej nie pokazywał, gdyż to panu jego wielką zrobi nieprzyjemność i do zrobienia nieprzyjemności Hruszce zmusić go może.

Jordan jednak tak się odepchnąć nie pozwolił i powiedział stanowczo, że nie ustąpi póki się z Murgillem nie zobaczy; parlamentowano długo, wreszcie stary o kiju kaszląc wyszedł z miną surową.

— Co to jest? zawołał na wstępie, wpan mnie i dom mój kompromitujesz; rzuciłeś cień podejrzenia na całe życie uczciwe starca stojącego nad grobem i chcesz tu znowu powrócić gdzieś wniósł hańbę, a to by mnie jako współnika podejrzeniem równem temu, które na wpanu ciąży, obrzucić! Proszę pana, ustąp natychmiast i nie zmuszaj mnie do kroków ostatecznych...

Hruszka w gniewie, który mu przytomność odjął na chwilę, dopiero teraz poznał z kim ma do czynienia, ale to jak wiadro zimnej wody otrzeźwiło go nagle i dało przejrzeć jaśniej. Tem większa złość i chęć zemsty za to że się dał oszukać ogarnęła go.

— Słuchaj stary, rzekł, jam ciebie chciał oszukać, ty mnie... podszedłeś mnie i użyłeś za narzędzie, rzucając jak narzędzie niepotrzebne gdyś się zadrasnął. Czy to twoje ostatnie słowo?

— Pierwsze i ostatnie, jakem *człowiek honoru* (było to jego zwykle przysłowie); nie znamy się panie i znać się nie będziemy.

— Słuchajże dobrze co ci powiem, odparł Hruszka — wiesz to już że mnie jakiś fałszywy wstyd nie wstrzyma na drodze, wszystko mi jedno co o mnie powiedzą, gdy z twojej łaski zostałem fałszerzem, choć nim nie byłem nigdy. Zmuszasz mnie do zemsty, chcesz się próbować, dobrze, ale jakieś ty mnie nie znał, ja ciebie znać nie zechcę... rozrachuj na czem się to skończyć może. Znam od *a* do *z* wszystkie sprawy twoje, bom tu będąc jeszcze polapał na wszelki wypadek wszystkie twoich szachrajstw ślady, wiem drogi któremi chodziłeś

i chodzisz, przyczepię się do ciebie jak pijawka, nie mając co robić z sobą, i nie opuszczę cię dopóki nie zgubię.

Murgitt się uśmiechnął i podrapał po niegolonej brodzie, mrózając oko wpół zamknięte jak gdyby mówił:

— No! no! zobaczemy co z tego będzie.

— A no! spróbujemy się, rzekł w końcu, ty goły i głupi, bo byś tego mnie nie gadał a robił gdybyś miał olej w głowie, ja stary i trochę doświadczony, zobaczymy, zobaczymy! Może tak poborykawszy się ze mną, waść siły i rozumu nabędziesz, a ja będę miał chwilę satysfakcji...

Śmiech stłumiony starego, który się brał za boki, wzbudził w Jordanie gniew silniejszy jeszcze.

— Wpan mi grozisz? mówił Murgitt, to zabawna rzecz, dalipan! cóż mi zrobisz? możesz pisać, ale ba! czy to już jedno pisano na mnie? Ja także jutro mogę cię poznać o nadużycie zaufania, posadzić do ciupy i osądzić nim się opamiętasz... któż tobie uwierzy? któż ci pomoże? przeciw mnie, którego boją się i znają wszyscy... Otóż to głowa! otóż to głowa! Bardzo dobrze, zatem wojna wypowiedziana mośpanie! Trzymajże się dobrze, zobaczymy kto kogo położy... cha! cha!

To rzekłszy drzwi mu przed nosem zamknął i kazał ze dworu wyprawić.

Gdy przyszło wziąć się do rzeczy, Jordan poczuł dopiero że się wziął do przedsięwzięcia niepodobnego, ale się cofać już nie chciał, przyczaił się i zamilkł. Za lichą płacę zaciągnął się do jakiejś kancelarii, poświęcił na nędzę i z cicha zaczął swą krucjatę przeciwko Murgittowi, jak ja przeciw mojemu plenipotentowi...

Alle mnie szczęścia a jemu piątej klepki brakło, bo proszę was, czy to przystało ubogiemu poświęcać się dla jednej zemsty? Zemsta to deser po obiedzie, przysmak bogatych, ale rozpustnik kto mrąc z głodu takiego sobie pozwala zbytku. Wprost rozpusta, dodał Longin, różgami bym dał za to; rozumiem polizówkę zemsty kiedy są siły i możność, a chleba

nie mając, ale to był człowiek zwiechniony!

Dawał sobie rady bardzo zręcznie, przyznać mu to potrzeba, i gdyby te siły na co innego obrócił, mógłby istotnie do wielkich dojść rzeczy... Nauczony, nie gadał, nie obiecywał, nie hałasował ale się przyczaił, i stary pomyslawszy że go nastraszył, całkiem o nim zapomniał.

Tymczasem Jordan oddał się temu jednemu, nie jadł, nie pił, nie spał a zbierał dokumenta i ślady przecherstw i kręcielstwa swojego pryceypała, formując z nich rodzaj historii, którą codzień powiększał jakim dokumentem i dowodem. Murgitt wcale się nieopatrzył oo mu groziło, może nie dbał zrazu i nie przeszkadzał cwale, a że nieprzyjaciół miał dosyć pokątnych, Jordan po cichu się krzątając, pomoc w nich znajdował.

Gdy nareszcie to ciekawe sprawozdanie z całego życia pieniacza, z dokumentami, między którymi była i metryka urodzenia i co tylko pochodzenie i stan wyjaśnić mogło — wygotował, Hruszka ślicznie przepisana jego kopję posłał Murgittowi.

Czytając to ciekawe *factum* poznał dopiero i ocenił stary z kim miał do czynienia i omyłkę popełnioną; pierwszy raz w życiu może uczuł się niespokojnym i podchwyconym, a sam człowiek zemstą powiększony i silniejszy mu się wydał niż kiedykolwiek. Murgitt, jednem słowem, przeląkł się: ze wszech miar jednak nie wypadło mu ani kroku zrobić, ani ręki wyciągnąć. Tu dopiero zaczęła się przedziwnie zabawna komedia między dwoma graczami, na którą kółkiem stanawszy, jak w kawiarni kiedy wezmą kije dwaj najslawniejsi bilardowicze, warto było popatrzeć.

Jordan siedział na pozór cicho a ścigał starego postrachami; ten ani się ruszał, choć dnia nie wytrwał bez wysłańców i szpiegów, a dla ostrożności warty postawił we wszystkich jurydykacjach. Na niektórych z tych ichmościów poznał się Jordan, innych nie mógł dowołać, tak osłonięni otaczali go zewsząd. Po upływie pewnego czasu, zaczęto się z różnych stron, pod innemi zupełnie pozorami czeptać do Hruszki, stracił

naprzód miejsce w kancelarji i chleba kawałek; znalazł gdzieindziej zajęcie, i ztamtąd go jakimś oszczerstwem wyparowano; został prawie bez sposobu do życia, ale nie zwyciężony trwał w zamiarze opublikowania nieprzyjaciela. Wtem dla niedostatku papierów jakichś kazano mu nagle powracać na miejsce urodzenia, a że wszelkie ślady pasportu znikły i dowodów pochodzenia szlacheckiego nie miał, bo mu je nie wiem jak ukradziono, od stacji do stacji prowadzono go pieszo pod strażą okutego... Pochyliwszy głowę poszedł, i w miesiąc, opatrzony we wszystko co mu było potrzebne, zwycięzko powrócił.

Murgill nigdy nie był bez procesu, Jordan kilka ich swoim kosztem począł popierać przeciwko niemu, sam wpraszać się jego antagonistom, pracując, prosząc, pozywając, krzycząc, chodząc, i dokazawszy narreszcie, że jedną z najważniejszych spraw stary przegrał na łeb i szyję.

Natychmiast kopję dekretu przy liście winszującym choć późnego wymiaru sprawiedliwości, posłał Jordan staremu sztafeta... Obie strony rozjadły się do najwyższego stopnia, ale jedno poślizgnięcie się, po długich powodzeniach, jak to często bywa, zbiło zupełnie z tropu Murgilla.

Tak stały rzeczy w chwili gdym strony w których się to działo opuszczał, w półtora roku przyjeżdżam i z wielkiem podziwieniem mojem słyszę, że Jordan wrócił do Murgilla i znowu się jego interesami w najlepszym zajmuje. Było to niepojętem dla mnie, nikt zresztą wytłómaczyć nie umiał jak się to stało, faktem jednak było, że się znowu zeszli i targowali na jedno. Kto z nich pierwszy rękę podał nie wiem, jak sobie wzajemnie darowali urazy, nie pojmuję, dość, że Murgill wziął go i interesa mu całe powierzył z zupełnem zaufaniem. Powiadano głucho o scenie, jaką Murgill odegrał z towarzyszeniem łez nawet, przyjmując owego syna marnotrawnego... naśmiewano się z obu. Stary zdawał się zesłaby, pragnął pokoju, podupadł widocznie. Jordan śmielszy, zwawszy, pewniejszy siebie brnął

dalej nie wiem w jakim celu. Dziwna rzecz, że znając już Murgilla, raz oszukany, nie uląkł się go i znowu wpadł w jego ręce... jaka tam była rachuba? trudno odgadnąć.

W pół roku potem, gdy Hruszka już tryumfował i czychał zapewne na testament, który mu jeśli nie całość to część majątku miał przekazać, — stary dostał kaszlu zaziębiwszy się w izbie przez skapstwo nieopalonej, zapalenie płuc rozwinęło się i umarł prawie nagle...

Przed śmiercią mówiono, że podyktował ostatnie rozporządzenie. Za życia nie było ani jednego krewnego, któryby się doń przyznawał, zaraz po śmierci zjawili się ich kilkunastu po matce i po ojcu, przybywających z różnych stron niespodzianie, Murgillów, Murgillo-Krutów, Kruto-Murgillów, i Kruto-Krutowiczów. Wszyscy składali dowody blizkiego powinowactwa i z chciwie rozgarnionymi rękami opieczętowali, opisali, obwarowali co tylko miał nieboszczyk, przystępując do otwarcia testamentu, który znaleziono w istocie. Okazało się z niego, że pomijając wszelką familją znaną i nieznaną, majątek swój jako dorobkowy przekazywał na Inwalidów, Jordanowi zapisując tylko papiery po sobie, notaty i owoce długoletniego doświadczenia na polu prawniczych zapasów.

Byłe to pośmiertne szyderstwo, którego Hruszka mógł się spodziewać, a przecież go nie przewidział, sądząc, że starego uchodził, i że w nim choć postrachem potrafił wzbudzić jakąś miłość ku sobie. Wyszedł więc ztamtąd o kiju, a co gorzej znużony, bezsilny, skompromitowany i zmuszony po straconych latach najdroższych, które marnie poszły, rozpoczynać życie na nowo. Spotkaliśmy się wówczas na rozdrożu życia i musiałem mu poddać ducha tak go stracił. Już, już miał wyjeżdżać do Brazylii lub Kanady, ale pomiarkowawszy, że i tam Murgilla nieboszczyka znaleźć może, wołał już z domoroślami mieć do czynienia. Familja jego nie w tej chwili dlań zrobić nie mogła, a co gorzej ojciec i matka na oczy go widzieć nie chcieli, tak ostatnia

sprawa zniesławiała go szkaradnie... i nadaremnie. Jedyną dlań radę było porzucić strony, w których grał taką rolę, wynieść się daleko, gdzieby słuch o nim nie doszedł i na nowo życie rozpoczynać *de noviter repertis*... Bieda, że nie miał ni z czem, ni o czem, ni jak...

Wahał się i nie wiedział co począć, ja sam go znowu z oczów stracił i zapomniałem o nim nawet, gdy znowu spotkaliśmy się i ujrzałem go już w nowe obleczonemu suknie, zajmującego się interesami i zarządem majątku człowieka, który wielkie posiadając majątności zupełnie je był zadłużył i do licytacji się przysposabiał, gdy w rozpaczonym stanie, Jordan mu swe posługi zaoferował. Nie mając nic do stracenia, bankrut przyjął pomoc Hruszki i cały mu się oddał. Tu talent i czynność rozwinął niepospolite, porobił układy korzystne z wierzycielami, gospodarstwo podniósł, natchnął jakąś ufnością wszystkich i cudem prawie potrafił dźwignąć człowieka, który kredytu na trzy grosze i przyszłości już nie miał. Po upływie roku, jawnie i oczewiście okazały się owoce pracy takie, że Jordan wskazał po opłaceniu wierzycieli część majątku czystą, która mogła marnotrawcy pozostać. Był to cud, ni muiej, ni więcej.

Magnat oczom i uszom nie wierzył.

Jordan nie miał nigdy tego, co zowią sumieniem, odkładając nabycie tej zbytkownej fraszki *ad feliciora tempora*, wziął się więc do roboty tak bezwstydnie i ostro, że nikt mu nie dostał kroku, wszelki wybieg był mu dobry, a uczeń Kruty pokazał, że przy nim nabył przynajmniej doświadczenia. Gdybyż krew zimna! ale zaraz mu się od najmniejszego powodzenia głowa paliła, w boki się brał i nogi na księżyc chciał zarzucać.

Sądził się już tak nieodbitnie potrzebnym bankrutowi, że sobie go za nic nie miał i lekko z nim poczynając, w żywe oczy z niego żartował. Pan to znosił zrazu choć kwaśno, ale gdy interesa stanęły na lepszej stopie i drogi uczuł przetorowane, a Jordan uzuchwalał

się do tego stopnia, że sobie pozwalał drwić z niego publicznie, po bardzo gorzkich przymówkach poważnili się i rozstali. Hruszka znowu poszedł z kwitkiem. Miał tu wielkie bardzo nadzieje, a skończyło się na lichej sumce, którą ledwie wyrwać potrafił. Już mu wreszcie obrzydła ta kuchnia, w której ciągle się smażył dla drugich, sam nie jedząc.

Z nabytkiem więc jaki mu się dostał, wziął dzierżawę bardzo na ten raz szczęśliwie i tanio.

Dzierżawy u nas zawsze były jakąś grą azardowną na chybił trafił, często z nich dorabiano się fortun, lub tracono nawet włożone. Jordan nie wielki gospodarz rachował na szczęście jakieś, na los, na głowę, że sobie da lepiej radę od drugich. Jakoż pierwszy raz powiodło mu się szczęśliwie, tak, że w trzech latach na dzierżawie, za którą płacił dwadzieścia pięć tysięcy złotych kapaniną, zebrał około stu tysięcy, i rzuciwszy miejsce, gdzie mu się tak powodziło, nie ostrożniej w świecie poszedł zaraz na drugą daleko większą posesję, na której już obracać się począł z zuchwałą śmiałością, właściwą tym, którym po długiej biedzie zaczyna się coś prężyć nareszcie. Pewien był, że już jest na gościńcu do majątku.

W sąsiedztwie kluczyka który trzymał, były dobra księcia R..., a w nich zamieszkiwała wdowa po ekonomie generalnym, niegdyś nadzwyczajnej piękności kobieta, ale prosta, bez wychowania i prowadzenia więcej niż podejrzanego. Miała ona córkę którą książe mocno się jako ojciec chrzestny opiekując, zapisał jej sto tysięcy. Gadano o tem głośno, a panna wychowana była tak właśnie, jak się hodują konie na sprzedaż po wielkich stajniach... skóra świecąca, uszki powystrzygane, nóżki wylakierowane... gdy ze stajni wychodzi to się osadza na łapkach do góry; ogniem z nozdrzów ziele, gdy chcesz łagodny jak baranek... a śliczne to, a mile, nie pytaj, jakie nogi i czy wytrzyma w zaprzegu. To znaczy, że panna tańczyła solowe tańce, grała na fortepianie briliante... śpiewała mazurki, trzpiotała się, kokietowała, krew mamy dobrodziejki i wdziękiem i defektami przelała się na córkę, z tym

dotatkim, że córka chrzestna JO. księcia, choć się do niej tatko nie całkiem przyznawał, czuła się jednak księżniczką *in partibus*...

Dom pani ekonomowej, która teraz już dzierżawiła wioskę, był pełen kancelistów, oficerów, młodzieży różnego kalibru, co się jak komar na świecę łapie na lada wdzięk nie patrząc co pod nim... Wpadł tam i Jordan, a że był od tych wiercipiętów, nie posiadających nic nad paciorkami wyszywane cybuchy, solidniejszy, łatwo mu było mimo panny podobać się matce i księciu. Fanny płakała troszkę po jednym oficerze, z którym wieczorami chodziła po leszczynowych szpalerach, ale poszła za mąż za Jordana, robiącego kolosalne głupstwo, wziął bowiem z córką matkę, eks-piękność wyróżzowaną, eks-faworytę, przywykłą do panowania i kaprysów, a do tego przekupkę i prostytutkę, za lada łzę córuni z kulakami porywającą się do zięcia i grożącą mu wydrapaniem oczów i odkaszeniem nosa... Fanny miała się za królową hiszpańską, wymagała niezmiernie wiele, chciała się tylko bawić, słowem w tydzień po ślubie zaczął się już taniec taki, że Jordan mało nie zwarjował, a w dodatku przyjaciół oficerów i gryzipiórków z domu pozbyć się nie było sposobu... choć trutkę na nich kłaść. Sama eks-ekonomowa protegowała ich nie widząc w tem nic zdrożnego, że córka idąc w jej ślady, nieco się chciała zabawić, właściwie swemu wiekowi i wychowaniu. Że Jordan wcale się nie kochał w żonie, ale miał w małżeństwie prosty rachunek, pokój nie potrwał długo i byłby może pokonał żonę, ale starej faworyty nie było sposobu, tak miała wyparzone usteczka, dziwnie naiwne zasady i odwagę niepokonaną, gdy bronić ich przyszło. Piekło istne kupił sobie Jordan biorąc to dziecię książęce, rozpieszczane, zepsute, zalotne, wymagające, poczytujące się za wyższą od męża istotę... Wojna z kobietami doprowadziła go do szaleństwa, energii zimnej na nią mu brakło, a wybuchy zawsze się kończyły tem, że jego w nich pokonywano. W miesiąc po ślubie rozstali się, a straty poniesione z powodu ożenienia, bezpowrotnie

poszły, bo posagu ani widział, żonę mu odebrano, a książę obmyślił jej dzierżawę i dom, gdzie swobodnie wesole towarzystwo na wieczorki zbierać mogła.

A że jedna bieda nigdy sama nie przychodzi, poczęły się zaraz sypać jak z rękawa nieurodzaże, pomorek na bydło, grad, ogień, śledztwa o pobicie ludzi i t. p. Jordan wyszedł z dzierżawy zrujnowany ze stu tysięcy ledwie ocaliwszy pięć, i wyjechał z dworku kałamaszką, kobylą w holoblach z kulawym na przyprzążce i procesem o nadużycia w dodatku — sterty i magazyny przyaresztowano. Trzy razy potem jeździł prosić żony o przebaczenie, ale matka jej z ganku go odprawiała zbesztawszy, bo ją srodze jakimś epitetem obraził, a kobiety tego rodzaju przebaczać nie umieją i eks-ekonomowa groziła mu, że go do śmierci prześladować będzie.

Opuszczony, przybity poszedł na maleńką dzierżawkę klepać i zdaje mi się, że na niej dotąd kwaśniej wyszedłszy na mizantropa. Powtarza on co chwila utworzony przez siebie aksjomat nie zły zresztą, który nie obrażając nikogo powtórzyć mi pozwólcie — że durniom tylko na świecie dobrze.

Byłoby co za i przeciw temu powiedzieć, ale ze swego stanowiska Jordan ma trochę słuszności. Jabył się dziś na jego położenie nie pomieniał, mam, dodał Longin, trochę nadziei pokonać moich wrogów, żyję tą sperandą, gdy on już całkiem uszy opuścił, skapcianił i nie już z niego nie będzie. Daj Boże, żeby z głodu nie umarł. Otóż to tak panowie a bracia mili, — pytajcie kogo chcecie, żem wam nie skłamał opowiadając te dzieje, a podziękujcie, żem je z niepotrzebnych obrał łupin i dodatków... bu dużo jeszcze opuszczonego gwoili spóźnionej porze...

Wszyscy smutnie zamikli przesłuchawszy opowiadanie o żywocie Hruszki, a przykre wrażenie wypiętnowało się na twarzach, podniósł się z westchnieniem i spojrzawszy na zegar, Serapion szepnął w ucho gospodarzowi:

— Daj mi się wymknąć cichaczem... — czekają mnie

jeszcze pacierze wieczorne... i celka moja u XX. Bernardynów, do której mnie potem nie puszczają... a jutro rano muszę mszę stać odprawić. Więc do zobaczenia. Na sercu mi ciężko jakoś, za tych dwóch z grona naszego zatraconych popłakać i pomodlić się potrzebuje.

I ścisnąwszy dłoń Albina, ksiądz z cicha posunął się ku drzwiom, i znikł nie postrzeżony. Reszta towarzyszków została smętna pod wrażeniem opowiadania, mimo udanej wesołości Longina, przyjść do siebie nie mogąc.

— Na zakąskę po tej, niesmacznej potrawie, rzekł Albin, należałoby się nam coś słodszy... Teofilu! Baltazarze, panowie jesteście na kolei... Kto łaskaw? zapalemy cygara, siądziemy wygodnie i słuchać będziemy cierpliwie.

Ale oba wezwani milczeli, a doktor Baltazar dobrze podjadłszy, oglądał się tylko i miał minę człowieka, który drzwi szuka, żeby się wynieść po cichu. Drzwi wszystkie były zamknięte, a stróża przy nich stojące nikogo wypuszczać nie miały bez zezwolenia ogólnego, bo się spostrzeżono zaraz, że Serapion dezertował, i wielkiego narobiono o to gospodarzowi hałasu.

— Zaczny Baltazarze, zawołał poitochocony Longin, jam już dwa kroć dług za siebie i Jordana wypłacił, zechcesz-że zbankrutować?

— Na pana kolej, doktorze! prosimy! — podchwycili wszyscy.

— A dajcież mi pokój — rzekł siwy doktor z oburzeniem prawie — czym to ja dzieciak jak wy dotąd, żebym się spowiadał przed wami? I z czego? pytam. Moje życie nie dla historii, ciche, jednostajne, nie ma tam w co wglądać... dajcie mi pokój.

— A ha! to tak! — krzyknął Longin — słuchać to się słuchało, a gdy przyszło lba własnego nadstawić, to nie ma!

— I nie ma i nie będzie, — rzekł Baltazar — jak tam sobie chcecie, to mi wszystko jedno, co powiecie.

— Miałbyś takie tajemnice, których wyznanie tak wieleby kosztowało, że się na nic zebrać nie możesz?

— Ja! tajemnice! cóż znowu! całe życie moje jasne... właśnie że nie mam o czym mówić.

— Ale choć słowo przecie! nalegano — jak ci się wiedzie, co porabiasz, toć się nam należy.

— Co robisz? wiecie że jestem lekarzem; jak mi się wiedzie? a może się dziś powodzić lekarzowi, gdy więcej jest doktorów niż chorych? Komuż idzie? nie wiem, z głodu nie mrę, ale kapitałów nie składam. Wszyscy dziś wdają się w leki, spytajcie kto nie doktor. Miał słuszość Stańczyk, błazen Zygmunta I., gdy się ofiarował dowieść zawiązaną gębą, że lekarzów na świecie najwięcej, co krok to doktor. W dodatku mamy te hydry, których liczba rośnie w proporcji głupstwa ludzkiego: hydropathją, elektropathją, Leroy-pathją, homeopathją, morysonopathją, Pawelko- i Antoszeko-pathją i tysiące panaceów, w które ludzie więcej wierzą niż w naukę; mamy natchnionych owczarzy, jasnowidzące, a gdy nic nie pomogą stare baby i zamawiania, mamy cyrulików, mamy wszelkiego rodzaju gotowe leki, co przychodzą nam z Paryża w pięknych opieczetowanych pudełkach... pozostaje więc tylko patrzeć, cieszyć się i winszować.

I jak się tu ma powodzić, pytam?

— Jedno więc już jasno i oczewiście dowiódł — rzekł Longin — że jemu się nie wiedzie.

— Prosta rzecz — odparł stary, gładząc czuprynę i bakenbardy na przemiany — nie umiem być szarlata-nem, nie opasuję się mgłą tajemnicy, ani podwyższam udanemi jakimiś czarodziejstwami, chorego traktuję bez komedji, mówię prawdę i nie lubią mnie.

— Otóż i nasionko historii... — przerwał Teofil — trochę tylko ten temat rozwinąć, a będziemy mieli ciekawą biografję. Wszakże w uniwersytecie pilniejszego nad ciebie ucznia nie było, a do życia praktycznego usposobienie miałeś znakomite, szedłeś jak zegarek Bre-guet'a, rachowałeś zimno i na ścisłej formule opierałeś swą przyszłość.

— Jeden jest tylko rachunek pewny, rzekł Baltazar, a i za ten nie ręczę czyby się na księżycu okazał ró-

wnie prawdziwym jak u nas... że dwa a dwa czynią cztery; inne rachuby ludzkie, gdy do nich wpływają elementa żywe, zawsze bałamutne. Naprzykład jeden a jeden, dwa? nie, bo ja i moja żona czyniemy w ogóle sześć!

— A! a! aż czworo na twą siwą głowę? — rzekł Longin.

Baltazar zachmurzył się i spuścił oczy.

— Ale choć to nam powiedz jakieś się ożenił, *fama fert*, że pod koniec medycznego kursu zbyt często zachodzić nawykłeś pod gościnny dach Niemca piekarza, nie tyle dla bułek, ile dla pulchnej Frani... miałżebyś??

— I nic lepszego w życiu anim zrobił, ani mogłem uczynić. Tak jest, wziąłem ją za towarzyszkę żywota, i nie żałuję żem jej mój los powierzył, nasze Litewki mają w sobie nadto fantazji, którą ja brzydziłem się i brzydzę, tu sama krew germańska i przywicznienie do zegarkowego życia były dla mnie rękomią spokoju, ładu, porządku i szczęścia.

— W dodatku jeszcze cię musiała pewnie po niemiecku nauczyć *expedite*, dodał Longin, ot i czysty zarobek...

— A wniosłaż mi trzy tysiące rubli, powoli rozgađując się dorzucił Baltazar. Od tych poczęliśmy gospodarstwo, kupiliśmy dom i siedliśmy w miasteczku, które dobrze się rozpatrzywszy we wszelkich warunkach wybrałem. Naprzód okolica nie nazbyt zdrowa, w koło stare błota zakisłe, febry endemiczne uparte, to obiecywało chleb; dalej kołtun i różne przypadłości skrofuliczne, rachityczne i kilku panów chorujących na pedogre, która się zawsze leczy a nigdy wykurować nie może.

Doktora bliżej nad mil pięć ani jednego, cyrulik głupi jak bót... ja sam jeden. Z mocy tych praemisów kupiłem dom i osiadłem bezpiecznie, ale rachuby ludzkie zawsze omylają. Oto gdym się już osiedlił na dobre pokazuje się, że jeden dom pański choruje na homeopathję, i całe klucze dóbr swoich leczy maczkami mikroskopicznymi, — tam już nie ma co robić, a jeszcze

propagandą zarażają okolicę; dalej drugi fiksat kuruje Morysonem, trzeci propaguje Minajewa, czwarty jeździ do Antoszka... do Staśka... do Maćka... Kołtun rzadki, na febry kurują baby zamawiając, i cyrulik korą wierzbową... a chorych ani słycho. Czekam, czekam, chyba kto nogę złamię to mnie wezwą; ale któż nogi łamię? Z głodu można umierać, żydzi nawet homeopathyzują się, choć dawałem im do zrozumienia, że tam wchodzi słonina... Musiałem koniec końców dom sprzedać ze stratą i ruszyć na inne miejsce. Wybrałem sobie miasto powiatowe, jako żywsze centrum, bacząc że w niem było cztery winiarnie, w których trucię, sprzedawano publicznie, pijatyki częste, awantur dzużo które krew psują; byłem pewny praktyki, ale tu miałem dwóch współzawodników, z których jeden jeździł karetą i bardzo elegancko się nosił, drugi dreptał o kiju. Oba tak mi wszystko zmiatali z przed nosa, że nie było co robić, i na konsylja nawet nie wzywali, chyba do ubogich żydówek, lub gdy we trzech trzeba było stanowić o jednej nodze zgangrenowanej z nędzy... Na dobiecie zgryzoty; w miejscu gdzie dom sprzedałem i zkądem się wyniósł, osiadł inny i ogromnie mu się powodziło, bo pokazało się żem nie miał cierpliwości i taktu. Tamten zaraz wziął się do homeopathji, zakasował panie amatorki, woził im maczki, umiał zawiązać powoli przymierze z aleopathją... i dorobił się majątku.

Druga moja próba, na której już wyuczony doświadczeniem wytrzymywałem jak mogłem, gorsza była od pierwszej, po latach trzech zjedliśmy co mieli i musieliśmy uciekać z tego przekłętą kątą. Postrzegłem, że potrzeba było trochę się nadstawiać, i że nadto dotąd trzymałem się skromnie; z resztek więc kupiłem powóz, i wyjechałismy karetą, i koczem poprzedzani otrąbioną sławą na nowe osiedliny. Tu jakoś lepiej z początku poszło, jeździłem karetą, płacili podwójnie, ciekawość ciągnęła do mnie. Kilka pierwszych kuracyj doskonale mi się udały, dźwignąłem zdesperowanego prezesa, już już zdawało mi się, że na nogi stanę.

Tymczasem, trzeba takiego wypadku, zachorowuje

pani N... tamci ichmość lekarze traktują to jako febrę, ja widzę, że ją zabijają china, bo to coś wątrobowego, mającego tylko pozór febry... biorę na siebie odpowiedzialność, usuwam lekarzy, ręczę za życie i leczyć poczynam zupełnie przeciwnie. Trzy dni idzie ślicznie, czwartego dnia moja pacjentka przeciwko wszelkim prawdom niespodzianie umiera... To mi cios zadało okrutny — krewnych miała pełno w okolicy, przyjaciół jeszcze więcej, wszyscy bij zabij na mnie, a doktorowie bracia milczkiem jak zaczęli intrygować, zostałem bez jednego pacjenta. No... ale żydów im odciągnąłem i choć mizerna, drobna, ale jaką taką zachowałem praktykę lachmanów.

Tu zamilkł.

— Jak to! i na tem koniec? — spytał Longin — przecież musiałeś się dźwignąć?

— Dźwignąć! nie bardzo... wolałbym być konowalem, rzekł Baltazar, bo tych jest mało, a koni drogiech dosyć, i o konia posiadacz co zań zapłacił częściej dba niż o rodzzonego brata. Co to można zrobić teraz, gdy się nas namnożyło jak mrowia? Jeden na stu pójdzie, dziewięćdziesięciu dziewięciu pożywają chleb w pocie czoła i smrodzie cudzych chorób. Ale myślę wynaleźć specyfik i pigułki patentowane, choćby przeciw katarowi, założyć razem aptekę pod cudzym imieniem i ratować się tym sposobem. Tyle dla ludzi ma pociąg tajemnica, że wszelkie lekarstwo, którego składu nie wiedzą, zawsze najlepsze, a choćbyś im chleb tarty z cukrem dawał, cudów dokazesz z pomocą imaginacji. O tej władzy, jako o specyfiku, nie mówiono nam w medycynie, a przynajmniej za mało, szkoda, bośmy za późno się domyślili, że nie lekarstwo, ale wiara w nie, kuruje.

— Stare bardzo aksjomata!

— Mnie ich dopiero smutne nauczyło doświadczenie, kończył Baltazar, to są rzeczy nie dające się wciągnąć w żaden rachunek, ja zaś do rachuby przywykłem. Najgorzej żem tyle razy miejsce mieniał, gdy najmniej korzystne a stare zawsze lepsze od nowego. W pier-

wszej chwili nowe sitko na kółku ktoś wezwie, ale tylko ze starymi znajomymi oswoiwszy się, przywykły do nich, ludzie są stale związani... i wiara nabywa się powoli. Nowy człowiek zawsze wzbudza obawę, i nie gorszego jak miejsce przemieniać.

— Przecież we dwójgu z Franią, przysięgnę, rzekł Longin, żeście się czegoś dorobili...

— A tak! czworga dzieci! odezwał się Baltazar z goryczą, któż to dziś pieniądze robi? traci je wielu, ale dopracować się czegoś sumiennemu i uczciwemu człowiekowi?

— Wychodzi to coś na pogadankę Jordana — rozśmiał się Longin — z dodatkiem jeszcze cięższego przeciw losowi zarzutu, że wspiera niepokornych... *Latrones fortuna juvat!* Hej! hej! dawnom się tego domyślał... ale co u kaduka... czyż my z Jordanem tacy bardzo już uczciwi?

— Szkoda, że Serapion uciekł, dodał Albin, bo by nam był z tego tekstu kazanie powiedział... Stara to w oczy doli rzucona potwarz! powodzenie, niepowodzenie! Wszystko człowiek sam zasiewa, choć często nie dostrzeżonem ziarnkiem, a że siebie obwinić nie chce, na milczący los to zrzuca i już spokojny!

— Już ciż ja tam znowu tak bardzo narzekać nie mogę, przerwał Baltazar poprawiając się, ale prawdą szczerą, kto z nas wszystkich najwięcej się kwalifikował do zrobienia majątku? kto rachował najchłodniej? kto najwytrawniejszy wychodził w drogę? kto najlepiej znał ludzi? Już ciż ja com dużo wprzód praktykował, nie wy młokosy... tymczasem...

— Ale po cóż się było żenić z tą tabliczką Pythagoresa? — zapytał Longin... w tem sęk... to ziarno niepowodzenia... nie chciałbym poróżnić małżeństwa, ale gdybyś Wpanie doktorze kochany nie miał familji, żony, dzieci?? — Mógłbyś wysmienicie to zrobić, co Jordan zamierzał, a nie wykonał — pojechałbyś sobie do Brazylii lub Monomotapa, wykurowałbyś z żółtej febry pierwszego ministra, dyktatora lub generalisimusa, dostałbyś order srebrnego cielecia, czterokroć sto ty-

sięcy akrów ziemi złoto-dajnej, brunatną lub pomorańczową narzeczoną, byłbyś dziś naczelnikiem akademii medycznej... gdziekolwiek... choćby w Botany-Bay.

— Tak! jeżeliby sam wprzód z żółtej febry nie umarł...

— Nie! to być niepowinno! Ale mów-no dalej!

— Cóż dalej? nic... Frania utyla, ja posiwiąłem, dzieci wołają jeść, ludzie w koło zdrowi jak pnienie, cholery nawet nie widać... — westchnął doktor — to pewna, że syna eskulapem nie zrobię...

— Z Baltazara trudno coś dobyć... a więc ty Teofilu, zostałeś nam ostatni na zakąskę, spodziewamy się — rzekł Albin, że nas swojemi dziejami rozweselis i pocieszysz...

— Ja! smutnie odezwał się interpelowany, który od niejakego czasu zamysłony zdawał się zbierać materiały do powieści — ja...! Jeżeli chcecie bym z dobrym humorem i fantazją, najśmieszniejszą i najsmutniejszą razem opowiedział wam historję — a! nie będę się opierał... tajemnic tak dalece nie mam... Ale pozwólcie mi bym nie od mojej rozpoczął biografji, ale od historii dawnego znajomego naszego Cymbusia! to będzie zabawniejsze od dziejów nieszczęśliwego Teofila waszego...

— A! Cymbuś! Cymbuś! coż się też z nim stało? krzyknął Albin, czemuś go nie przywiózł z sobą? Jeszcze dziś stoi mi w oczach przytulony do pieca na pokucie, dmuchający w samowarek lub walczący z lawiną śmiecia... Cóż tedy? mów, lepiej-że jemu na świecie się powiodło? Trudno, aby ze swą naiwnością i powierzchownemi przymiotami do wielkich dochrapał się rzeczy.

— Ba! ba! posłuchajcież tej historii jako wstępu i przedmowy do mojej własnej... Cymbuś, ten co to imię nosił, dziś się zowie nie inaczej jak pan Aleksander Mincurzewski, jest dziedzicznym panem stu morgów gruntu, gospodarzy na nim, i tylko co nie widać jak kupi wioskę!

— A więc *stupidos fortuna juvat!* — rozśmiał się Baltazar...

— Musiał mieć ukryte przymioty, na których myśmy się nie poznali, dodał Albin.

— Już to samo, że lat kilka potrafił stać pod piecem choć stękając, ale wierny obowiązkowi, przerwał Longin, dowodziło w nim wytrwałości stoicznej, nieugiętości potężnej... musiał tę żelazną wolę z jaką dmuchał w rurę od samowarka na zgłiszczą wygasłe, użyć i skierować do robienia majątku...

— Trochę to tak, dodał Teofil, ale i szczęście mu służyło...

— Zawsze to szczęście, zawsze ślepa fortuna jak za rzymskich czasów! rozśmiał się Albin. Ale wróćmy do Cymbusia!

— Powrócił on ze mną do penatów rad przedewszystkiem, że się uroczyście wyspi, i więcej podobno zrazu nie nie pragnął tylko się wyleżeć i spocząć po akademickich szczęśliwościach... daleko od samowarka i pieca... *procul negotiis*. Drugiego i trzeciego dnia anim go widział w oczy, dostał się na strych i tam na wakującym materacu gościnnym wyciągnawszy się jak długi, spał, spał i spał... we śnie znać przyszły mu pomysły zbawienne. Czwartego dnia przybył do mnie do niepoznania zmieniony, zaczerwienił się nawet, ogolił, umył i ubrał w suknie wiejskie z pewną pretensją, stanął u drzwi prosząc o posłuchanie; zażądał, abym go od służby nieco zwolnił na jaki rok, dla potrzebnego mu wypoczynku. Że na ten urlop zasłużył bardzo, wspomniałomyślniem mu go raczył dozwolić. Natychmiast pokłoniwszy się znikł mi z oczów pan Aleksander vulgo Cymbuś a po roku dopiero zjawił się znowu, ale wypiękniony, rzeźwiejszy, rumiany, czub do góry, kołnierzyki białe wyżej uszów, a na łańcuszku przy żołądku pieczętka zegarek zwiastujące i mina okazała...

— Cóż Cymbusiu, jużes przecie wypoczął? Uśmiechnął się.

— At! rzekł, ale ja się już do służby nie zdam.

— A coż?

— Wziąłem się do handlu i ubierałem trochę grosza... chcę popróbować szczęścia...

— Próbuj! co myślisz.

— Będę się dorabiał... już mam *kole* trzechset rublów i myślę się ożenić.

Począłem się śmiać nieobyczajnie...

— Z kimże? kogo uszczęśliwiasz?

— Niech pan nie żartuje, panna z miasteczka, i co się zowie...

— Z miasteczka! ba! ba! Cymbusiu! pomyśl! z miasteczka!

— A co to szkodzi? i nie głupia i piękna i kawałek ziemi dobrej ma w posagu.

— A za ciebie idzie?

— Czemuż nie? albo to ja gorszy jak drugi? człowiek stateczny...

— Ależ piękny nie jesteś, bogaty także nie, i jeśli ona więcej ma od ciebie, a iść myśli, pewnie tem jakis fałsz w towarze...

— E! to głupstwo, proszę pana, machając filozoficznie rzekł Cymbuś... różnie tam gadają, ale co mnie do tego, bardzo porządna panna, piękna, nie stara, a gruntu szmat i dobry!

Cóż powiecie? Cymbuś z filozofją praktyczną największą ożenił się z tą panną, która w istocie wniosła mu wspomnienie życia w wesółych spędzonego towarzystwach, ale razem posag i ochotę usatkwowania się. Oboje jeli się zajadle gospodarstwa, zbudowali sobie dom, a Cymbuś rozwinął tu takie talenta dorobkowieczowskie, że się mu zaprawdę zdziwił — zimną krew, ochotę do pracy, wytrwałość żelazną.

Dziś już nie żartem patrzy na obywatela, kupił stary koczobryk i wyrestaurował go, żona się zaczyna stroić ale domu pilnuje, bo ją wprost kijem okłada jeśli czasem nie po myśli co zrobi... i są... najszcześliwsi. Dwoje ślicznych dzieci, kapitały, remanenta, oto zdobycze Cymbusia, który gdy przyjedzie do mnie, nieproszony już sam siada, czując że kieszeń, na której się opiera, prawo mu daje do tego. Kapitalista większy

odemnie, spekulator trafny i szczęśliwy, z żydami gra o lepsze, wynajął dzierzawą młyny ogromne, że nie ledwie byśmy mu mogli zazdrościć! cóż wy na to?

Albin westchnął i uśmiechnął się razem, Baltazar splunął, a Longin wziawszy się w boki począł ruszać ramionami.

— Otóż to sztuki twoje fortuna... rzekł, ja bez butów a Cymbuś Nabobem.

— I w lakierowanych, dodał Teofil... niechże mi tu kto zgadnie co się komu od przyszłości należy?

— Tak jak w Brienne nikt w Napoleonie nie odgadł zwycięzcy Europy, tak w Cymbusiu stojącym skromnie pod piecem, któżby się domyślał władcy młynów i folwarku i męża jakiejś Józefiny!

— Prawda! a cóż powiecie jeszcze na to, że ten Cymbuś utrapiony, co tyle od nas wycierpiał, dzisiaj gdy Wilno przypomni, owe lata ciężkiej próby i zahukania, uśmiecha się i wzdycha, a nieraz zagadawszy się o nich, zapomni o młynie, gospodarstwie i żonie.

— Rzecz do wiary niepodobna.

— A jednak prawdziwa.

— *Sunt lachrymae rerum*, dodał Teofil śmiejąc się smutnie... i ja samowarek pogięty chowam gdyby relikwią, bo święte, bo złote były te czasy naszej młodości, gdy życie nam wszystkim więcej obiecywało niżeli dać mogło. Ja może z was wszystkich najdziwniej dotąd sobie z niem poradzić nie mogłem...

— A! otóż: *Incipit historia Theophili*.

— Cicho! i proszę nie przerywajcie, jeśli łaska.

— Ja, rzekł po krótkiej chwili milczenia, nie pochwalę się życiem mojem, ale dziś mam już to pocieszające przekonanie, że nikt podobno nie otrzymał czego żądał, każdy z nas po czemś płacze... Najszcześliwsi na pozór ci co mają choć chleb...

— I masło do chleba... szepnął Longin.

— Ale niebieskich migdałów, które okwitły w mło-

dości, nikt!... a i te do życia potrzebne.

Znaliście mnie towarzyszem waszym, wiecie jak niepewien tego co z sobą pocznę, rozstawałem się z wami, wioząc folianty wierszów i prozy, stosy nut, teki rysunków pełne i serce niepewnością nadziane. Były dla mnie dnie natchnienia, zdawało mi się, że stworzony poetą, nazajutrz budziłem się muzykiem, szalałem za harmonją, co tydzień chciałem być koniecznie malarzem i mówiłem sobie że jeszcze nim zostać mogę. Postanawiam więc rzucić resztę, oddać jednemu wyłącznie, ale pokusa i żal chwytają za serce ciągle... jak się wyrzec języka pieśni, jak wyrzec tonów co mówią więcej niż słowa? jak nie wypowiadać rysem ołówka, co czasem za najdłuższe stanie opowiadanie, urzeczywistniając marzenie, dając życie myśli mglistej?...

Ta nieszczęsna namiętność do wszystkiego z kolei, zatruwała mi dnie spędzone z wami i całe popsula życie, nie miałem odwagi zostać czemś jednem wyłącznie, zamknąć się w komorze odosobnionej, i jestem jak ów skazany na roztarganie kołmi, którego rwą na wszystkie strony...

Powróciłem na wieś do ojca niby literatem... ale zupełnie jeszcze nie pewien co z sobą pocznę, pocziwy ojciec zostawił to mojemu upodobaniu i wyborowi, widać jednak było, że ta niepewność losu, na którą już i siebie skazałem, bolała go tajemnie. On także we mnie odkryć nie umiał ku czemu bym był zdolniejszy, obawiając się bym rozstrzelony nie skończył na pospolitym człowieczku salonowym, co po troszę liźnął wszystkiego a nie sercem nie ukochał i bez celu pozostał.

Przedewszystkiem mogłem sobie zostać swobodnie gospodarzem, szlachcicem, domatorem, ożenić się, nie robić i mieć w pewnej perspektywie marszałkostwo powiatowe... ale ojciec miał dla mnie więcej ambicji, widział we mnie coś więcej nad pospolitego wiejskiego szlachcica, pragnął koniecznie wy kierować mnie na fenomena... na feniksa. Tymczasem pierwszy

z brzegu nim być nie może, feniksy rodzą się jak wiadomo z popiołów, a w dodatku los im pomaga, forytuje, popycha... los, który mnie jakoś sprzyjać nie chciał, choć Cymbusowi dopisywał. Długośmy się naradzali z ojcem co począć, aż wreszcie stało na tem, że mam się trzymać literatury... Poezję miałem mnóstwo gotowych, odczytaliśmy je razem, mnie się one wydawały śliczne, cudowne ojcu, a przyjacielowi domu, który u nas rezydował, wyższe nad wszystko co dotąd kiedykolwiek w naszym języku napisane było, zwłaszcza gdy przy obiedzie miód stary podano, a po miodzie następowało czytanie.

Uchwaliliśmy tedy jednogłośnie wydanie arcydzieła i posłałem je do druku... naturalnie *proprio sumptu*, bo na początek inaczej być nie mogło. Poezje moje pokiereszowane i podopelniane kropkami tajemniczemi, w których dla profanów mgła osłaniała największe piękności, jak w owym obrazie zakryta twarz płaczącej matki — z pięciuset sześćdziesięcią omyłkami wyszły w żółtej okładce. Przyjeliśmy je wszyscy z niepokojem, radością, uśmiechem, szalem, gorączką, a ja zaraz od deski do deski odczytałem siebie drukowanego... stawiając się na miejscu czytelnika.

Otóż — co powiecie na to? — poezje moje w tej nowej szacie wydały mi się gorzej niż wiersze, pospolite, oklepane, blade, — ojciec nawet milczał czytając, jeden rezydent unosił się jeszcze, ale widać było, że przez punkt honoru tylko. Chodziło o skutek jaki sprawią na publiczności; — jak na biedę nie uczyniły żadnego, każdy numer gazety porywaliśmy szukając w milczeniu krytyki, wspomnienia, pochwały; znajdowaliśmy ementarzowe milczenie.

Trzykroć tylko maczkiem wydrukowane okazały się bibliograficzne uwiadomienia o wyjściu poezji... i cicho. Posłałem *gratis* egzemplarze wydawcom pism perjo dycznych i członkom areopagu...

Cisza... głucha, zabijająca cisza — ktoś się odezwał dwuznacznie, i znowu nic. Trzeba wiedzieć, że to była pora wylewu poezji, na którą są lata urodzaju i

posuchy; wówczas mieliśmy tyle noworoczników, zbiorów, zbiorów liryków, poematów, że czytelnik na poezję najlaskomszy nie mógł im podać, a że ja nieznany wystąpił nagle, bez opieki, nikt nawet czytać mnie nie chciał.

W pół roku dopiero przyszła komuś fantazja mnie zarząca, i w trzech numerach gazety, poczynając od przyznania mi talentu, dowodził, że w poezjach nie ma ani sensu, ani smaku, ani natchnienia, ani stylu, ani imaginacji, ani myśli. Skończył logicznym bardzo wyrokiem, że powinien pracować, kształcić się i nie ustawać... pisać głupstwa. Trzy numery bił mnie aby w końcu ojcowską poglaskać prawicą.

Jam to jakoś zjadł dosyć gładko przełknawszy, ale rezydent wpadł we wściekłość, a ojciec mówił o wyzwaniu na pojedynek; chciał bić i kłóć, niszczyć, redaktora pozywać, wojnę wypowiedzieć, krucjatę ogłaszać, i wymógł na mnie żem posłał odpowiedź, która choć ostra i jedrna, jeszcze mu się za słabą wydała. W sekrecie jednak sam gorąco obstał za mną i wypalił pierwszy w życiu artykuł, a rezydent nagle natchniony, wierszem siedmio i jedenasto zgłoskowym uciał satyrę przeciwko arystarchom wileńskim...

Koniec końcem, tak mnie to zniechęciło, że książki pozamykał, a cały się oddał muzyce. Zawszem ją kochał bardzo, ale nie uczył jej mało, grałem jak u nas bębnią wszyscy, ledwie się domyślając, że co innego uczyć się grać, co innego muzyki... Wziąwszy się do egzekucji zapragnąłem teorii i przekonałem się, że wypadło zacząć od alfabetu. Zaprzęgiem się tedy do pracy, i *Catel*, *Förster*, *Fetis* wprędce mi dali pojęcie tego co zostawało do zwyciężenia, myślałem udać się do konserwatorium w Pradze, ojciec nie bronił, ale uznawał mnie już tak wysoce usposobionym, że mu się to zdawało nieużytecznym.

— Ty więcej umiesz od nich! powtarzał.

A rezydent dodawał:

— Ale to już pewna, że czegoż on nie umie!

Choć grube kadzidło to — biję się w piersi, — przyjemnie lechtało w nos... Napisałem fantazję w trzech

częściach pod tytułem: *Sous le gibet*, z ogromną introdukcją, i posłałem ją znowu *proprio sumptu* sztychować w Lipsku... Była tak fantastyczna, ognista, dziwna, śmiało zbudowana, że na niej ogromne pokładał nadzieje... nie podobnego nawet muzyce przeszłości nie słyszeli, zakasowałem Wagner'a.

Ale cóż powiecie, nawet moim własnym kosztem Breitkopf arcydziela tego nie chciał sztychować, tylko podkreśliwszy mi ze sto omyłek ortografii i składni muzykalnej, odesłał rękopis, na którym zdawało się jeszcze czuć śmiech lipskich muzykusów z naiwnej śmiałości nowicjusza... na marginesach czerwonym ołówkiem postawiali łokciowe wykrzykniki!

Zjadłem to sam, ojcu się nie chwalać, ale zupełnie straciłem ochotę do muzyki.

Dotąd nie grywałem prawie tylko samych fortepianistów i to nowych, szybko-biegaczy szkoły świeżej, unosząc się nad Wilmersem i Fumagallim, nad Döhlerem i Thalbergiem; wtem zjawił się u nas skromny Czech muzyk, który z wielkiem podziwieniem mojem powiedział mi popisującemu się przed nim od niechcenia, że to nie jest muzyka...

On pierwszy oznajomił mnie z poważniejszymi dziełami, z prostotą Haydn'a, z sztuką Bach'a, z wdziękiem Mozart'a, z namietnością i rozpaczą Beethoven'a, z tęsknotą Schubert'a, z Schumannem i Spohrem, z Mendelssohmem - Bartholdy, spadkobiercą wielkich dziadów. Nowy świat odkrył się przedemną, ale ogrom jego uciśnął mnie i przybił — nie było już niewyspiewanej pieśni, nieużytej formy, nietkniętego motywu, nie nie pozostawało do zrobienia. Jak i z czem stanąć obok tych olbrzymów? Zawstydzony zmiarkowałem dopiero, że moja fantazja w Lipsku musiała się wydać dzieciną niedorzecznością — i zamknąłem fortepian.

Otwierałem go czasami żeby przeczytać sonatę starą, przejrzeć ciekawą partycję, ale biegająca po klawiszach ustala; ojciec mi wyrzucał, że zapominam muzyki, jam milczał upokorzony. Dawniej improwizowałem całe wieczory, teraz mi palce stężały, umysł odrę-

twiał, nie śmiałem tknąć fortepianu, zdawało mi się profanacją odezwać się z ubogą myślą nieforemnie przedstawioną po tylu mistrzach...

Tak kolej przyszła na malarstwo — ołówek wpadł w rękę znowu, rozpakowałem farby i począłem malować. Całe dnie pocziwy ojciec siedział za mną i patrzył, dziwiąc się i poprzysiegając, że był geniuszem uniwersalnym — czego zresztą i ja się po troszę domyślałem... Rezydent w zachwyceniu po miodzie gębę otwarłszy, powtarzał:

— Rafael! panie, słowo honoru, Rafael!

Wiele bym tak popsuł płótna, nie wiem — gdyby niespodziana okoliczność nie przerwała tych zajęć, które na nie się nie zdały, ale mnie robiły szczęśliwym na chwilę — wśród malowania zakochałem się.

W sąsiedztwie naszym zjawilo się cudo! była to panienka, dla której wychowania rodzice spędzali lat dziesięć w Paryżu, Rzymie, Florencji, Dreźnie, budując ją na fenomen. W kolebce uznana została a raczej namaszczone na dziecie cudowne i stosownie do tego ją pielęgnowano.

Matka miała ich kilka, próbowała z kolei każdą przerobić na heroinę, ale w tej dopiero znalazła odpowiedni materiał i jej poświęciła się zupełnie. Miernego majątku ludzie, oboje starannie wychowani, nie wiem czy wprost żądali sławy i rozgłosu, czy ufali w to, że sława talentów nadzwyczajnych nadzwyczajnego sprowadzi im zięcia, dosyć że wychowali córkę na inspektach jak delikatny kwiatek, usiłując podnieść uprawę, co Bóg obiecywał w zarodku.

Imię jej było Bogna... już siedem lat mając, śpiewała i grała w publicznym koncercie na ubogich, w tym wieku już była zachwycającą i zachwyconą istotą, wiedzącą doskonale, że jest fenomenem, kandydatką na bóstwo, starającą się podobać i tupającą nóżką, gdy kto śmiał nie zwracać na nią uwagi. Jedno z dwojga, wychowanie przedsięwzięte albo ją miało spotęgować, albo unicestwić... szczęściem *wytrzymała* je i nie się jej złego nie stało; owszem rękami najslawniejszych mi-

strzów wypielegnowana, nauki mając sobie podawane w cukierkach i opłatkach, w kąpielach wonnych i zakrapianiach nieznacznych, w kadzidlach i wyziewach, napoiła się niemi łatwo i przyjemnie utuczyła w tej atmosferze... Sztuki uczono ją galerjami, jeżdżąc z nią od areydzia do areydzia, muzyki lekcje brała od pierwszych kompozytorów, literatury kursu słuchała w Paryżu, a wszędzie padały przed nią na twarz zdziwione tłumy. Mając lat piętnaście występowała w konserwatorium z koncertem jako uczennica Thalberg'a i z kompozycją własną, kanonem na cztery głosy, który w zachwycenie wprawił peruki i okulary; w teatrze amatorskim grano jej operetkę buffa, wydała rozprawę o trzech nieznanach pieniążkach gallo-rzymskich po łacińsku, tam później po francuzku i niemiecką powieść filozoficzną pod tytułem *Panmorjon*. A że przytęm był to anioł piękności... możecie sobie wystawić jakie obudzała entuzjazmy! Wożono ją po salonach Europy, i wszędzie poczawszy od pani Swieczyn w Paryżu, hr. Rz. w Wiedniu, książąt R. w Berlinie, robiła niewysłowione furory. Było to coś nadzwyczajnego... poeta, muzyk, malarz, erudyta w kilkonastoletniej dziewczęce, której uśmiech kwitł jak róża. Corinna XIX. wieku, mówiąca wszystkimi językami i umiejąca wszystko, bo nawet robiła pończochę... co patrzącym łyż rozczulenia wyciskało. Rodzice występowali z tą pończochą bardzo często, a scena zawsze wielkie czyniła wrażenie.

Wypielegnowawszy to monstrum idealne, gdyż inaczej nazwać jej było niepodobna, naturalnie wozili je owinięte watą w pudelku i pierwsi byli kapłanami bożyszcz, łączącego w sobie do innych niezliczonych przymiotów, powagę potężną, zarozumiałość olbrzymią i upodobanie w kadzidle niezmiernie. Pochwały z którymi się obyla, zawsze dla niej zdawały się niedostateczne, sama opowiadała z krwią zimną jaką jej cześć oddawano, uważając ją tylko za wypląt cząstkowy długu; ciągle stojąc na piedestale marmurowym, oczom śmiertelników promieniała z niego aureolą chwały.

Gdy się to zjawisko ukazało napowrót w stronach

rodzinnych, poprzedzone głośniami w gazetach pochwałami, co żyło zbiegło się na oglądanie jego, spiesząc paść twarzą przed Bogną. Ale cóż dla niej znaczyły pochwały domowe po londyńskich i paryzkich, po rzymskich i wiedeńskich wspomnieniach?

Jeżeli domorosłe trzewiki po paryzkich kaleczą nogi, cóż dopiero cześć i uwielbienia naszych ludzi po tamtych? Bogna przywiozła ze swych podróży tę wzgardę domowej zagrody i domu rodzinnego, które znamionują ludzi wykarmionych białą europejską bułką. Nasz chleb żytni ma tę własność, że przywiązuje do domu, ich kołacze robią ludzi kosmopolitami. Zmuszona powrócić pod strzechę wiejską, owa pielęgnowana sława, o której tyle mówiono, pisano, rozprawiano, przyjechała z zadatkiem znudzenia, kwaśna, nie rada, pewna że uszczęśliwia kraj, racząc mu przyświecać.

Otóż na początek, po moich miłostkach uniwersyteckich, potrzeba mi było pokochać się w takim bóstwie marmurowem! — wystawcie sobie kochani przyjaciele, jakie mnie losy czekały!

Naprzód upokorzenie... Mniej więcej coś tam i ja umiałem, alem nie wiedział, a ta znała wszystko, cały świat, arecydziela mistrzów, arecyduda natury; z Lamartinem jadła objad, Musset dla niej improwizował, żartował z niej Hejne, Gutzkow z niej do jakiejś powieści studjował heroinę, z Dickensem podróżowała po Włoszech, Ingres robił jej portret, Delaroche dawał jej lekcje, Rauch statuetkę dla niej wylepił, Hugo wpisał jej cztery wiersze w albumie, Pellico dał ode... spiła śmietankę ludzkości, a tu przyjechała do nas na siwe mleko.

Gdym śmiało i nie wątpiąc o sobie wpadł pod źreńcę Bogny i uczył że wzrok jej przejął mnie do głębi duszy, anim się domyslał, że mam jej służyć za cel żartów i pocieszną próbkę świata, który nazywała barbarzyńskim. Potrzebowała z kimś rozmawiać, przed kimś się popisywać, bo miłość własna jej cierpiała świerzb nieustanny, byłem więc powoływany aby ją bawić, słuchać klaskać i brałem za dobrą monetę szy-

derskie jej komplementa... a Bogna — niestety! patrzyła na mnie jak na wzorek parafjańszczyzny.

Wprawdzie w niczem jej dotrzymać placu nie mogłem: większym obdarzona talentem, staranniej wyćwiczona, pojęcie i pamięć miała bystre, szacowny dar popisywania się śmiałego, a wiarę w siebie niezachwianą. Nie jej zbić z tropu nie mogło, a w najmniejszej jak w największej rzeczy walcząc przeciw niej, mógłłem się ja utrzymać? Służyłem tylko przy pokazywaniu tego cudu za ową czarną zaslonę koło obrazu, która koloryt jego podnosi. Miłość ta była od początku do końca upokorzeniem, trwogą, cierpieniem... Istota wyjątkowa kochać nie mogła i nie pojmowała miłości, bo któż jej był godzien? nie wiem czy na królewicza rzuciłaby okiem... cóż ja mogłem znaczyć przy tej jasnie oświeconej i najjaśniejszej pani? Byłem pokorną tylko zabawką, alem się nieostrożnie zakochał po uszy i takem się upoił i odurzył, że w jej serce i w możność połączenia losu z nią uwierzył. Szczęściem Bóg mnie uchronił od posiadania fenomenu, którybym był mógł pokazywać za biletami, ale bym z nim żyć nie potrafił. Na estradzie, otoczona słuchaczami, tłumem, Bogna była istotą natchnioną, wielką aż do śmieszności... w pospolitem życiu dzieckiem kapryśnym i zimmem. To też potrzebowała występować, a rodzice dla niej byli wiekuiстым Barnumem, przyprawującym jej wystąpienia... pokazywali ją tylko. Kiedy wchodziła na salę, wszystkie oczy ku niej się zwracały, gdy się odezwała słuchano jej w milczeniu, gdy raczyła zdanie objawić, nikt nie śmiał mu się sprzeciwić, choćby wyrzekła największe absurdum. Z góry wiedziano, że ilekroć otworzy usta wyjdzie z nich coś nadzwyczajnego, i w słowie każdym znajdowano intencje, odcienia, piętna jakieś cudowne.

Zrazu padłem ofiarą bóstwa i zupełnie oszalałem, ale kilkakroć w śmiech obrócony, jużem miał nareszcie tyle rozumu i siły, że wycofał postanowiwszy odcierpieć i zerwać stosunki, gdy mnie znów grzecznościami wciągnięto do tego domu. Byłem im potrzebny

czasem jak kompars do tej farsy, jako dający zapytania i odpowiedzi, jako orszak królowej, paż niosący jej ogon, a powinienem się być poczytywać za szczęśliwego, że mi dozwolano zbliżenia się do heroiny...

Bogna... gdy nikogo więcej nie było z widzów, występowała przedemną nawet, przed ojcem moim, przed rezydentem naszym, — ja myślę, że może przed swoim zwierciadłem, byle występować... Nie mogła nie grać tej roli fenomenu, do której była przywykła... Mnie, przyznam się, jej doskonałość, a raczej wprawa mechaniczna we wszystko co czyniła, odebrała smak do tych zajęć które ja z większą mocą ducha, ale daleko niezgrabniej spełniałem. Wprawdzie mało tam było oryginalności, ale niezmierny wdzięk formy i efektywność... Malowała jaskrawo, wykończono harmonijnie, wedle znanych sobie formułek; grała i śpiewała świetnie, cieniowano, starając się o wrażenie wszelkimi środkami, niekiedy zakrawającami na sztuczki, sądziła o rzeczach choć nie z wysokiego stanowiska, ale w sposób dowcipny i bardzo zręczny — wyrok jej zawsze miał być jej własny, wyjątkowy i udawał paradoksalność, choć jej w sobie nie miał.

Przy niej stałem się małuczkim...

Zresztą nie ukochałem w niej fenomenu, bo tych monstrów kochać niepodobna, ale piękną młodą istotę, idealną, i jak sądziłem — poetycznej duszy, której skrzydła miały mnie podnieść ku niebiosom. W tem, gdy się zatapiałem w kontemplacjach tego cudu, nadjeżdża młody paniczek goławy, ale z nadziejami fortuny i imieniem, a ja com był wyszedł na uprzywilejowanego słuchacza i publikum, wracam do mojej roli komparsa; zapominają o mnie w kącie, z którego wyciąga mnie bóstwo, gdym jej na podrzędną rolę potrzebny.

Bogna tymczasem wabi, pociąga, wikła panicza, któremu już sama woń zagranicy ziejąca od niej. zawróciła głowę. Był to drugi z rzędu zakochany, ja spałem na zapaśnego i niepotrzebnego. Nadbiegający po nim średnich lat bogaty książę, bardzo dowcipny i

wielce sterany, który swoje koncepta gotował co rana i po kilka razy w tydzień wszystkie do jednego powtarzał, wypędził panicza. Bogna miłowała nowość, chciała być kochaną, a jako fenomen nie czuła się obowiązaną do wzajemności, szukała stosownej partji z zimną krwią spekulatora. Książę mocno się zrazu zapalił, ale choć miał dowcip, jak perukę z cudzych włosów ciepłą i wygodną, ze zdrowego jednak nie wyłysiał rozsądku i zmiarkował prędko, że taka Bogna wzięta za małżonkę, byłaby niczem nie opłaconą męczarnią. Mąż naturalnie musiałby wozic, pokazywać, karmić tego białego słonia, służyć za kornaka, a w nagrodę znosić jego zakulisowe złe humory — przyszłość nie różowa. Cofnął się Jaśnie Oświecony, ujrawszy, jak wysoko w niepoścignionych chmurach stało bożyszcze, nie mające nad półtora kroć posagu po najdłuższem życiu rodzicieli, a potrzebujące rocznie pięćdziesiąt tysięcy na reprezentację i pielgrzymki. Po oddaleniu księcia wezwano panicza znowu, który powrócił posłuszny na skinienie. Mienialiśmy się tak, a ja zawsze leżałem na dnie, służąc za maniaka dla zwabienia drugich, za chwałcę, za rozpalcza zapalów cudzych i admiracji.

Ojciec mój, u którego znowu ja byłem fenomenem, obrażony się uczuł tą moją podrzędną pozycją, gniewał się na mnie, że sobie innej nie starał się wyrobić, że czas tracił na wdychaniach.

Ale jak wówczas kochałem się jeszcze, a miłość jest tak uroczyście głupia!

— Ty to mówisz, Teofilu! krzyknął ze zgrozą Albin.

— I dla tego, że głupia, jest tak wielka i piękna! poprawił się Teofil, daj jej rozum, a będzie to stara, kulawa, piskliwa i płacząca żebraczka... gdy bez niego to dziecię swawolne, uśmiechnięte, rozkoszne, a jak dzieciaki głupiuchne i naiwne.

— Byłbym tam siedział przylepiony nie wiem jak długo, kończył Teofil, gdyby nie rozmowa Bogny z paniczem, którą najniewinniej podsłuchiłem.

Wszedłem do pokoju, gdy tyłem do drzwi siedziała

na kozetce, i tak własnym moim portretem z natury zdjętym, strzeliła mi w same piersi.

— A! Teofilek, mówiła... ależ to dobry dzieciak! Wiesz pan, i on się we mnie kocha szalenie; biedna ja jestem doprawdy... mogę mieć życie jego na sumieniu, bom je zwichnęła... Któż wie mogłoby może co być z niego, zapewne mierna istota, słaba, bez energii, ale nie bez pewnego talentu... *Jak na nasz kraj*, i to by coś znaczyć mogło... Muzyk z niego nie wielki, poeta pospolity, bez wzniosłości, rysownik nie ciekawy... ale razem wzięwszy, w salonie bardzo znośny.

— Wie pani, odezwałem się w tej chwili, że portret skreślony po mistrzowsku, dziękuję... i wywożę go ztąd na pamiątkę! Nawet to prawda, że się kochał, ale w tej chwili okazałaś mi pani całą nedorzecznosc miłości tej, podobnej do zapalów, które w Anglikach rozdziła pewna statua Berniniego... jeśli się nie mylę... pani wiesz to lepiej. — Pozwól pożegnać...

Bogna zarumieniła się mocno.

— Otóż widzisz pan, zawołała nie tracąc przytomności, jak to źle podслуchiwać, jam to mówiła umyślnie widząc pana w zwierciadle...

— A w żarcie było dużo prawdy, odpowiedziałem, przekonany że mnie widzieć nie mogła i wyszedłem.

Nie wiele tam o mnie dbali w tym domu, chowając na przypadek, gdyby już panna niebezpiecznie starzeć zaczęła, ale im musiało być przykro, że się odprawił tak dziwnie sam *proprio motu*. Nie zajrzałem tam więcej. Bogna jest dotąd starą panną, powoli z bóstwa zeszała na boginię, z bogini przechodzi na bożyszcze i czeka apoteozy, która ją do niebios przesiedli.

Szał mój chwilowy i zbliżenie się do niej tem dla mnie było korzystne, że się przekonał, iż to co umiałem było własnością ogółu dobrze wychowanych ludzi europejskich, a nie żadną rzeczą nadzwyczajną i oznaką szczególnego talentu. W królestwie ślepych jam był jednooki, ale w państwie widzących byłem tylko na pół ślepy. Wybiwszy więc sobie z głowy słabość muzyczną, malarską i literacką, postanowiłem wziąć się

do gospodarstwa. Zmieszało ojca to zrazu, ale się tem pocieszał, że mu obiecywał wszystko do góry nogami przewrócić i zaprowadzić agronomją monumentalną, całe nową; na początek pojechałem uczyć się reform u Dombasla, który naówczas żył jeszcze.

Powiedział nam Albin jak był swą podróżą zniechęcony, na mnie ona wcale przeciwne uczyniła wrażenie. Wyjechawszy za granicę, jak zacząłem wielbić, jakoś mi się na to zebrało — tak z roztwartą gębą powróciłem nazad do kraju. Wystawcie sobie naszą drogę i kolej żelazną, różnica jaka jest między niemi da miarę porównania kraju i zagranicy. Jak się ma droga nasza do kolei tak nasz kraj do Europy.

Cały ten świat jest, prawdę powiedziawszy, jednym miastem w fabrykach i ogrodach — a jaki ład, porządek, co za policja! jaki rozum, cywilizacja i wygody! Co krok musiałem się zdumiewać niewidzianym rzeczom, uprawie ziemi, drogom, mostom, domom, ludziom, szachrajstwu i egoizmowi... wszystko na skalę nową i u nas nieznaną. Jak ten ktoś co się dziwował, że we Francji nawet chłopci mówią po francuzku, tak ja egzaltowałem się w obec cywilizacji, którą spotykałem wszędzie. Naturalnie potem, nasłuchawszy się lekcji chemii organicznej, wyterminowawszy u Dombasla, nabrawszy w torby podróżne zasad najzdrowszych, powróciłem z nasionami, machinami, dać wielki przykład radykalnej reformy i kamienia nie zostawić na kamieniu. Wyrachowałem sobie, że wioska nasza, która dawała wprzód około trzydziestu tysięcy czystego dochodu, powinna była dać trzy kroć, a przy uprawie roślin farbiarskich, pogłębionej orce, drenażu, fabrykach, jeszcze więcej.

Naprzód więc zrujnowałem z kretesem co było, ale gdy przyszło do budowania na nowo, ani sposobu. Postrzegłem dopiero, że stał jak wyspa wśród oceanu sam jeden, bez związku z krajem, wyjątkowo — nie mogąc sobie w niczem dać rady, bo po złamane kółko od machiny potrzeba było kilkadziesiąt mil posyłać, ludzi do wszystkiego przywozić z za morza, a w do-

datku farbiarskie rośliny, turnipsy i łubiny nie sprzedawały się nigdzie, i grosza za nie nikt nie dawał. Ziemia się nawet napojona odwiecznymi przesadami oparła, wzięliśmy ją od razu ze czterech na osiem cali i nie urodziła wcale; w innym miejscu gnoje popaliły, sąsiedzi przyjeżdżali na granicę śmiać się trzymając za boki, a ja się wściekałem. Niemcy, ogromnie pensjonowani upierali się iść dalej, szliśmy więc dalej, i doszliśmy do tego, że mi się zupełnie zrujnował w postępowem gospodarstwie, które jakoś poprowadziłem za nagle i zbyt szparko.

Złe tedy, wstydu dużo, a gorzej jeszcze golizna; ojciec biedny rozchorował się patrząc na to, ja cierpiełem srodze i podwójnie, za siebie i za niego. Nie zachwiało to jego wiary we mnie, do końca bowiem przypisywał niepowodzenie ludziom, klimatowi, niemcom, niepogodzie, ale nie mnie, tak biedny zmarł na moich rękach i przyszło mi stracić najlepszego na ziemi przyjaciela. Kto wie czy głupstwa moje nie przyspieszyły mu zgonu? myśl ta dziś jeszcze życie mi zatruwa. Został mi rezydent milczący i smutny, żałoba w domu i ruiny; pomiarkowawszy się ruszyłem, aby to znowu do dawnego stanu przywrócić i gospodarstwo radykalnie zmienić w powolniej postępowe i mniej niebezpieczne. Stryj dźwignął mnie nieco pieniędzmi, przyjaciele ojca dodali otuchy, choć zadłużony mogłem się trzymać jeszcze, ale na duchu tak upadłem, że zamknawszy się między czterema ścianami, założył ręce i opuścił głowę nic nie robiąc. Nie przyznam się wam jak nisko wówczas upadłem. Odsunięcie od ludzi, osamotnienie, znękanie moralne sprawiło, że szukałem rozrywki w miłośkach z prostą wiejską dziewczyną. Niestety! miłość to była z mojej strony czysta, poczciwa i młodzieńcza, a ze strony zepsutej już choć młodej istoty, zimna, obrachowana i zwierzęca. Chciałem jej natchnąć myśl, poezję, duszę, na próżno — w ślicznych jej oczach pusto było jak w głowie, jak w piersi. Okowany w te kajdany nałogu, upokorzony, gdy tysiąc razy odtrącała mnie dzikością swoją i naiwnem zepsuciem — opusz-

czałem ją i wracałem znowu — męczyłem się straszliwie. Nareszcie otworzono mi oczy, dowiedziono, że nie była godną przywiązania i musiałem namiętność zwyciężyć... ale świat obrzydł mi zupełnie i do życia straciłem wszelką ochotę. Nie wiedząc co z sobą zrobić, postanowiłem wstąpić do wojska.

— Ty! między synami Bellony! zawołał Longin.

— Ale poczekaj-że i wysłuchaj, rzekł Teofil, była to tylko chętka i zachcenie jak inne we mnie — nie trwałe. Zrazu odmalowałem sobie to życie bohatersko jakoś, rycersko, poetycznie, ale nim mundur wdziałem jużem postrzegł, że będę kółkiem w ogromnej maszynie nie znaczącem, numerem w szeregu liczb ogromnym: — podałem się więc za chorego i powróciłem na wieś. A co gorzej wróciłem do owej dziewczyny, wzmówiwszy sobie, że ją przedemną niewinnie oczerniono...

Rzucałem się tak na różne strony, czując się nad przepaścią, a zbudzić z odrętwienia i opanować paralitycznych tych ruchów nie mogąc.

Codzienną karmięm się myślą, inne robiłem projekta; nazajutrz po dniu wczorajszym robota moja zdawała mi się bladą, prózną i dziecinną. Napadały na mnie spleeny, w których gwałtownie zachciewało mi się w łeb sobie wypalić, ale próbując pistoletów namyśliłem się, że życie naboju prochu nie warte. To była kryzys! — dodał Teofil.

— Po niej zabrało się na ożenienie? spytał Albin.

— Jakże chcesz, żebym się ożenić mógł, zrujnowany, zardzewiały i osławiony ze złego prowadzenia się, bo cały już świat wiedział, że jakąś dziewczynę ze wsi miał we dworze. W domach, w których bywałem koso patrzano na mnie, przyjmowano zimno, a miano za półgłówka i nie bez powodu. Starzy już osądzili, że ze mnie nic nie będzie, młodzi za niepoprawionego ekscentryka, nikt nie chciał przyjacielskiej wyciągnąć dłoni.

Nagle chodząc po pokoju wieczorem i nudząc się śmiertelnie, zacząłem myśleć, żeby czas zabić.

— Uczyć się wschodnich języków i jechać na wschód! szepnęło coś we mnie.

Zadzwoniłem o światło, wydobyłem gramatykę hebrajską Żukowskiego i arabską Volneja i zasiadłem do roboty...

Lekarstwo zostało wynalezione: nauka — praca.

Nazajutrz już mi się wprawdzie odechciwało tych liter pokręconych dziwacznie i niepotrzebnych mozołów, ale mi sobie dał słowo honoru, że wytrwam i codziennie godzin kilka przesiadywałem nad dziełami jakie miałem, pókim lepszych nie sprowadził. Cel ten nadany życiu nagle odrodził mnie, ożywił, odmłodził; wytechnawszy chwilę powracałem do roboty z zapalem. W chwilach wolnych zrobiłem sobie zabawkę z myślistwa, zająłem się ogrodem, dziewczę wydałem za mąż, i począłem we wszystkim przychodzić do ładu i porządku; dzięki językom wschodnim, a raczej nałogowi pracy i wytrwania, w który się wprzegłem powoli.

Podróż na Wschód pozostała na oddalonym planie, bom się jakoś do domu przywiązał, ale nauka pocieszycielka nie opuściła mnie, a to czem dawniej miałem się wstawiać, dziś przyszło mnie pocieszać. Powróciłem znowu do muzyki studjując dzieła mistrzów, do ołówka dla rozrywki po pracy mozolnej, do książek, do kwiatów, a trochę nawet do gospodarstwa.

Wierzcie mi, że jedyną w życiu rozkoszą, która po sobie nie zostawia mętów żadnych, ani zgryzot, ani nawet znużenia, to kształcenie się powolne, uprawa sztuk, nauka... Dopóki człowiek zajmując się niemi ma na celu popis i sławę, jest w tem żywioł gorączkowy, jest trucizna, — gdy zacznie pracować dla pracy, nakarmienia wewnętrznego, błogo z tem i dobrze. Tegom ja doświadczał zmieniawszy tryb życia, rozrządziwszy tak godzinami, aby tylko zmieniać zajęcie, a nigdy gnusnie nie spoczywać.

Takich lat parę ciszy, szczęścia prawie, przeżyłem w jednostajnem spokoju... we śnie jakimś rozkosznym... człowiek więcej od ziemi wymagać nie ma prawa. Ale napisano było, aby nic dla mnie nie trwało; zrodziła się

chęćka wrócenia do pióra, zwłaszcza że o tomiku poezji ktoś później wspomniał życzliwie; i dwa epigrafy znalazłem z nich wzięte do jakiejś powieści. Znowu więc napisałem coś sobie... powieść, fantazją, gawędę, co chcecie... i wydrukowałem... najniepotrzebniej. Dość jest rzucić w paszczę tę włos jeden z głowy, by cię całego w nią pociągnął... Pochwała wkłada kajdany, nagana rozjątrza i budzi, obojętność niepokoi i drażni, — nie chce się zmilczeć, nie może odpocząć, a trochę wziętości pobudza do porywania się na zuchwałe zdobycze... Stałem się tak niewolnikiem pióra i zaprzędanem papieru, oglądając się co mówiono o mnie, podsluchując, nie śpiąc spokojnie dla tego, że ktoś o sto mil nie zasmakował w mojem gryzmoleniu. Pojmijcież człowieka! jemu zawsze potrzeba czemś się gryźć, czegoś się spodziewać, iść do czegoś koniecznie...

Teofil westchnął i zatrzymał się chwilę.

— Miałaby to być koniec? zapytał Albin — nie!

— A! nie, to dopiero początek dziejów ostatecznych... odparł spowiadający się smutnie. Wyratowany językami wschodnimi od rozpacz i upadku, przez literaturę znowu połączyłem się ze światem. Trochę sławy zdobytej gorzko i niestety — nie przyznanej mi jednogłośnie — uczyniło mnie dla ludzi osobliwością — anim się postrzegł jak zostałem wielkim człowiekiem powiatowym. Ludzie powoli, ostrożnie zaczęli się zbliżać do mnie, zaglądać, sondować, a przekonawszy się, że nie kłam i nie kaleczę, powoli pozbyli się dawnych przeciwko mnie uprzedzeń... Byłem człowiekiem drukowanym i ciekawym.

Znowu się tedy jakoś na nogi podniosłszy, bo i majątek dzięki staremu ekonomowi znacznie się podźwignął kilku dobrymi laty, zacząłem puszczać się w towarzystwo i nie tak już kwaśno mnie przyjmowano, a pleć piękna ciekawie spoglądała na dziwaka — literata.

Raz powracając z jarmarku w Kobylówce późną nocą, spotkałem się na drodze z młodym szlachcicem Julianem Maczyńskim, z którym razem tego dnia kupowa-

liśmy woły. Deszcz lał jak z wiadra a do domu miałem tegie jeszcze dwie mile. Młody człowiek, ledwie mi znajomy z nazwiska, bom go spotkał parę razy w sąsiedztwie, na rozstaju obraca się do mnie i powiada:

— Sędzicu dobrodzieju, widzisz o stałę mój dworek, ulewa straszna i dziś się nie wypogodzi... zajedź do mnie, przenocujesz, rad będę...

— Alem nie ubrany.

— Ja, stara matka moja i siostra, rzekł, oto cały nasz domek; ale kobiety się nie pokażą, żeby nie zrobić panu subiekcji, jedź pan, ogrzejesz się, proszę z serca.

— Jadę! rzekłem, i dziękuję podobnie.

— Oto! otóż i żona, zawołał Longin, spadnie z tym deszczem...

— Z deszczu pod rynwę! dodał Baltazar.

Smutnie jakoś na te uwagi uśmiechnął się Teofil i mówił dalej.

— W kwadrans zajechaliśmy przed dworek maleńki, stary, ale bardzo czysto utrzymany. Z sieni weszliśmy do bawialnego pokoju na lewo, w którym sprzęt był bardzo prosty, ale coś miłego i wdzięcznego w całym urządzeniu zdradzało rękę kobiety.

Na kominie już wcześniej przygotowany dla nas palił się ogień, śliczny wyżeł grzejący się przy nim wpadł z radością na pana, gdyśmy weszli. Nie było więcej nikogo, bo gościa zobaczywszy cofnęły się kobiety, a Maczyński przeprosiwszy mnie pobięł do matki i siostry.

Zgola prawie nie znałem uprzejmego gospodarza, wiedziałem tylko że miał cząstkę, pięć czy sześć chattek, żył ubogo i uczciwie i nie złe odebrał wychowanie; ojciec bardzo majątny niegdyś stracił fortunę na zbytki. W domku jednak, a przynajmniej w pierwszej jego izbie nie było znać nawet szczątków dawnego dostatku — stoly białe, podłoga także, parę sof, kilka krzesełek prostych, całą ozdobą jego były przesłiczne i dość rzadkie kwiaty w wielkiem oknie umyślnie dla nich urządzonem, kwitnące kamelje, rododendrony, azalje, pelargonje, gloxynje i achimenesy. To mnie zdziwiło, jako amator rzuciłem się ku nim, gdy gospodarz

wrócił i widząc moje zdumienie, rzekł:

— A! to oranżeryjka mojej siostry, jam to postarał się o tę dla niej zabawkę i dostałem tę trochę kwiecica; w ubogiem życiu i to wielki zbytek, ale zdaje mi się przebaczony.

— Zwłaszcza kiedy go się nie sobie pozwala ale drugim daję, odpowiedziałem...

— Tak! to mnie tłumaczy, godziło się memu ukochanemu dziecięciu zrobić tę małą przyjemność, choćby kosztem jakiejś ofiary...

Podano zaraz herbatę czysto i skromnie, ale nie bez pewnej elegancji wieśniaczej, kobiecej, prostej a milej; potem wieczerzę, która była niewykwintna, ale wyborna. Rozgadawszy się weszliśmy do pokoiku pana Maczyńskiego, gdzie ze zdumieniem ujrzałem półki książek pełne do koła. Dotąd jeszcze mówiąc unikał przedmiotów, któreby go z tej strony mogły mi dać poznać, nie popisując się wcale z czytaniem, rozmowa nasza była pospolita, gospodarska, wieśniacza; rzut oka na książki odkrył mi w nim nowego człowieka...

Było tam wiele niemieckiego, co zdradzało ucznia jakiegoś obcego uniwersytetu, dużo ksiąg łacińskich, a najwięcej religijnej i mistycznej treści. Na stole przy łóżku stał ukrzyżowany Chrystus i trupia głowa z rozżnięciem...

Pierwszy to raz w życiu trafiałem na dwudziesto-kilkoletniego człowieka z tak wybitną dążnością religijną, zdumiewając się nad tem co mi się zdało przymiotem właściwym starcom, bośmy w uniwersytecie, przynajmniej, nie bardzo byli pobożni.

Jakiś szacunek mimowolnie powziąłem dla niego; ujął mnie swą prostotą, szczerością i serdecznością ciachą, wiejskimi obyczajami przy ukształconym wielce umyśle; nie mogłem nawet ukryć, bliżej się z nim zapoznając, jak wielkie wzbudzał we mnie podziwienie.

— Dziwisz się pan, rzekł mi, znać to z każdego jego słowa; myślałeś że pod tą ubogą strzechą znajdziesz prostego jak wieśniaczy domek człowieka... i — przebac — tak ono jest, pozory cię uwodzą; jam nie wa-

szego świata człowiek, nie erudyta, ani mędrak, ale Sługa Boży cichy, pustelnik dobrowolny.

— Więc bliżej jesteśmy sobie niż się panu zdaje... rzekłem, ja także pustelnikiem nazwać się mogę, żyję sam z książką i myślą...

— Ja z Bogiem tylko...

Nie nie odpowiedziałem, ale się zadumałem głęboko; rozmawialiśmy potem długo, tak, że część nocy przeszła na gawędę, która mi przypominała nasze bezsenne na Łotoczku. Julian nie nawracając mnie wcale, gdy postrzegł że był małej wiary, rozmowę na inny przedmiot skierował. Jam znowu skreślił ją na ten przedmiot i chciwie polykałem każdy wyraz tego człowieka, którego pokoju duszy zazdrościłem. Nazajutrz rano deszcz lał znowu, musiałem parę godzin przebawić jeszcze, a do śniadania wyszły matka i siostra Juliana.

Były to postacie dla mnie całkiem nowe: matrona poważna, siwa, w sukni zakonnej, podpasana paskiem Sgo Franciszka, w terejarskim ubiorze, i dziewczę cudnej piękności, w ciemnej sukience z krzyżykiem na piersiach. Istoty to były tak święte i opromienione jakimś blaskiem cnoty, że poczułem od nich świętość i stanąłem przed nimi upokorzony. Dziewczę szczególnie, Emilja, była ideałem nie ziemskim; twarz jej przypominała madonny Rafaela i Perugina, spokój, ubłogosławienie, wesele anielskie rozpromieniały ją dziwnym blaskiem.

Obie powitały mnie życzliwie, bez uprzedzających grzeczności świata ceremonjalnego, bez niezgrabnego zakłopotania, prosto jakoś, mile, jak gdyby dawno znajome, rozmowa poczęła się o rzeczach obojętnych. Konie moje zaszły nareszcie i w chwili, gdy mi się najbardziej zostać chciało, musiałem odjechać. Ale obraz tego dworku, młodego człowieka, dziewczęcia i poważnej matrony tak mi się w pamięć i serce wraziły, że wkrótce znowu pod pozorem kwiatów, które im obiecałem, pojechałem odwiedzić Juliana.

Tak między nami zawiązała się przyjaźń trwała, której węzłem było nawrócenie moje; rozmowy, przy-

kład, książki których sam zażądałem od Juliana, skierowały ku wierze, dla której dotąd byłem obojętny; czułem jej potrzebę, upadłem na kolana i po gorącej modlitwie uczułem ducha, który na mnie zstąpił i ożywił obumarłego.

Wdzięczność przywiązała mnie do tych ludzi, których lepiej codzień poznając, oceniałem więcej. Z łona tej zacnej matki, która tak umiała znosić ubóstwo, doświadczywszy lepszych i świetniejszych losów, na rodzinę spłynęła osładzająca skromny żywot wiara; jej oni winni byli wszystko, ona wychowała ich tak, zbrojąc i przygotowując do życia rozbudzonem silnie uczuciem religijnem. Syn pracował z weselem skromnego chrześcijańskiego w winnicy robotnika, córka jak towarzyszka i pomocnica. Dom ich, mimo tej barwy klasztoru, jaką nosił, wesoły był i miły, oddychało się w nim swobodnie, czystem powietrzem i najrozkośniejsze wspomnienia winienem chwilom, które tu spędziłem. Julian był poważny i nad wiek swój starszy, ale na pół żył w świecie, pół w niebiosach, do których jak najczęściej się chronił; Emilja sposobiła się także wstąpić do zakonu, nie uważając tego za ofiarę, ale mając sobie za szczęście zbliżenie się w ciszy do Boga i poświęcenie usłudze bliźnich.

— No! powiedz-że nam i przyznaj się jakieś się zakochał, boć do tego idzie! przerwał Albin.

— Na cóż się wam przyda to wyznanie, kiedy miłość moja nie ściągnęła jej na ziemię — rzekł Teofil.

— Tak jest... widzieć ją i nie pokochać było niepodobieństwem; ale nie śmiałem powiedzieć jej o tem i pokoju świętej duszy zamącić; wyznałem to przed matką, która spokojnie, bez zadziwienia i wahania odpowiedziała mi:

— Dziękuję panu żeś Emilkę ocenił, ale byłoby to dla niej szczęściem w porównaniu z tem co ją czeka? Czysta klasztoru! Bóg! modlitwa! praca! bez tych niepokojów, które miota życie które na bóg wystawia! Miłość twoja mogłaby ostygnąć gdy ona najwięcej by jej potrzebowała, a Chrystus oblubieniec do śmierci

dźwigać ją i wspierać nie przestanie. Ani nędza, ani praca, ani umartwienia jej nie straszne przy pomocy z nieba...

Tak mi usta zamknęły, a Emilja wkrótce potem wstąpiła do Sióstr miłosierdzia i we dwa lata potem u łóża chorego chwyciwszy zgnilej gorączki, umarła jak święta z modlitwą na czystych ustach.

Jam wyniósł z tego domu przyjaźń Juliana i nowy zwrot ducha, za który do dziś dnia jestem mu obowiązany; nie zostałem jak on ascetą, ale mogę westchnąć do Boga, pomodlić się i wierzę!!! a wiara dała mi nowe życie.

Umilkł i wszyscy milczeli szanując głębokie przekonanie z jakim ostatnie wyrzekł słowa.

— Mów dalej, dodał po chwili Albin, boję się żeby i to u ciebie przechodzącym tylko nie było fenomenem.

— Nie — to jedno zostało we mnie; mam chwile wybuchów, łez i modlitwy gorętszej, ale nigdy mnie nie opuszcza wiara... Najlepszym moim przyjacielem jest Julian, żyjemy z nim jak bracia, on to skłonił mnie do ożenienia.

— A więc się ożeniłeś nareszcie! zawołał Albin, bravo!

— Jakim sposobem? spytał Longin.

— Wytlómaczył mi naprzód, że ideałów nie ma na błotnistym świecie naszym, że anioły (jak jego siostra) są bardzo rzadkie i do niebios uciekają, a pocziwych i miłych istot bardzo wiele, byleby pliszki w gnieździe jastrzębia nie szukać.

— Pewnik z historii naturalnej! rzekł Baltazar.

— On tedy zawiózł między pliszki w perkalowych sukienkach — dodał Longin.

— Nie, przypadek!

— Deszcz, burza czy spotkanie w drodze?

— Nie zgadniecie jaki!

— Cóż?

— Koń!

— A no! to ciekawe.

— Miałem potrzebę kupić konia, wskazano mi sławną stajnię w sąsiedztwie byłego pułkownika Narostowskiego;

pojechaliśmy razem z Julianem. W ganku spotkały nas trzy rodzone siostrzyczki, podobne do siebie, jednakowo ubrane, blondynki, uśmiechnięte, które mi Manię i Ziunię przypomniały. Zrobiła się znajomość. Niezmiernie wesoło gwarząc i pustując zabawiliśmy tam cały wieczór, koniam kupił, a zaproszony po staropolsku zabawiłem nazajutrz jeszcze. Najstarsza z córek pułkownika chwyciła mnie za serce tym wdziękiem czysto naszym dzieciom polskim właściwym, — wesela, szczeroty, dobroci. Powróciłem do tego domu raz, drugi i trzeci, nareszcie ośmieliwszy się, zawiozłem z sobą stryja aby mnie oświadczył.

Zrazu pułkownik czmychał, wziął mnie na konfesatę ostrą, nie było już co kłamać: wypowiadałem mu się z życia i błędów otwarcie i szczerze, choć doskonale je wprzód znał z plotek... przekonał się z zeznań że ani kłamać ani uniewinniać się nie chciałem, zrobił parę uwag, dał czas do namysłu, a w końcu pobłogosławił.

— Spodzielam się żeś się nie rozwiódł! rzekł Longin.

— Ja! jestem najzapaleńszym z mężów!

— Jak dawno żonaty, jeśli spytać wolno?

— Pięć lat!

— No! dość długo, próba dostateczna... i dziś cóż porabiasz?

— Gospodarzę, czytam, pracuję, uczę się i dzieci kołyszę.

— I nie przychodzą ci chętki do rozwodu, do zachania, do awantur? zostania księdzem lub wypalenia w łeb?

Teofil się uśmiechnął.

— Postarzałem, rzekł, a to doskonałe lekarstwo na fantazję bujną, wiek obciął jej skrzydła.

— Nie latając pełzać można...

— A! zamknąłem ją na klucz i nie puszczam z domu; wolno jej chodzić po pokojach, po ogródku, wylatywać w pole, bujać po półkach bibliotecznych, szeroko rozposcierać się w przeszłości, ale za granicę tego świata — wara!

Westchnął Albin wysłuchawszy cierpliwie końca tej historii, westchnął Teofil, co ją opowiadał i wszyscy zamilkli.

— Otóż i koniec, dodał po chwili Teofil — moich dziejów i dziejów nas wszystkich... każdy z nas złożył wyznanie i nadzieje ostatnie; wątpię żebyśmy tu za drugie lat dwadzieścia przyjść mogli z czemś nowem jeszcze. Wielu z nas żyć nie będzie, dla wielu epoka czynu i ruchu minęła, przyszedł wieczór odpoczynku... Któż z nas z drzewa, co miało rodzić owoce złote, zdjął choć jedno jabłko? Kto się szczęściem marzonym pochwali? Ile uronionych nadziei! ile postradzanych złudzeń! ile rozbitków po burzy na brzeg wyrzuconych kalekami! — Otóż życie!

— Urągowisko! urągowisko! podchwycił Longin — tym którym ono samo, którzy sobie najwięcej obiecywali, nic — a Cymbusiowi dostatek, a Cyryllowi miljony... a Longin bez butów!

— Jużes to najmniej dziesięć razy powtórzył! kwaśno przerwał Baltazar! włóż choć cudze, a więcej już tego nie gadaj! I ty, i ja, i każdy z nas, jeśli pokutuje, to za głupstwo własne, pozwólcie powiedzieć.

— Dajcież pokój narzekaniom! wtrącił Albin, nie przystoi nam, jak zowiecie rozbitkom, kończyć wesoly wieczór żalami gorzkiemi, elegjami i wyrzutami losom. — Co u licha! życie ma swą dobrą stronę!

— Tak, dla tych co jak ty wspaniale wczorze płacić i jeść mogą! rzekł Longin... ale dla nas...

— Żle pojmujemy życie, kończył filozof-gastronom — my je sobie zrazu wystawiamy jakąś wielką całością jednolitą, potężnym obrazem z zupełną harmonją kolorytu, tymczasem wszystko w niem chwilą, ułamkiem i całe zszyte ze skrawków. Łapać potrzeba chwile (*carpe diem*); przedłużać dnie jasne, i połowę godzin żywić się w czas posepny, jak Eskimosowie łowami letniemi podczas ciemności zimowych...

Błogo temu kto umie skorzystać z każdej chwili i schować ją niedojedzoną do torbki podróżnej.

— Wszyscy sposepnieli! rzekł po chwili oglądając

się na towarzyszków. — Na Boga! cóżby to zrobić żeby twarze wasze rozjaśnić? każę muzyce zagrać nam jeszcze starodawne *Gaudeamus*.

— I niech dadzą... poczał Longin, nie śmiejąc dokończyć.

— Co? wazę ponczu! nieprawdaż? zawołał gospodarz, zgoda?

— A ja go sam spreparuję! porwał się wiecznie spragniony Łazarz.

— Nie! to do mnie należy, ujął się Albin, ręczę że będziecie zadowoleni...

Klasnął w ręce i słudzy jakby myśl jego zgadując wnieśli natychmiast kosz cytryn i pomarańcz, kilka butelek wina i araku, stos cukru i potrzebne ku temu naczynia.

Wszyscy jeli pomagać, radzić, dodawać, ale wśród tego trzpiotowstwa sarkazmy i smutne uwagi jak ęmy czarne przelatywały... Skosztowano ponczu w milczeniu... wychylili po szklance, i on nawet nie ożywił, nie rozweselił ludzi złamanych walką i odartych z nadziei... Gdy zapalono napój, pogaszono świece, i w niebieskiem świetle płonącego rumu okazały się zmęczone twarze starych towarzyszków, ulękli się sami siebie... wyglądali na trupów z trumien wyjętych...

— Nie! rzekł Albin, ciemność nie miła! światło złowrogie jakieś, niech wniosą świece... jak konający Goethe, wołam *Licht! mehr Licht!*

Stało się światło ale nie stało wesele... smutek rozścielał się całunem po twarzach, każdemu coś na piersi ciążyło.

A że duszno było w pokoju, otwarto okna i księżyc w pełni zajrzał ciekawie przez drżące akacji gałęzie... woń letniego powietrza, przejętego wyziewami roślin, zalała pokój, trzeźwiąc pijanych i chłodząc czoła rozpalone...

— Ej, panowie, rzekł Teofil, który pełną piersią przyszedł jej zaczerpnąć spragniony — co będziemy siedzieć w tej dziurze? skończmy po młodemu i chodźmy z procesją starym się pokłonić pamiątkom, uczcić wspo-

mnienia i relikwie...

— Myśl nie zła, tylko nie wiem czy nogi jej posłuchają, odezwał się Longin, który swoim jakoś nie ufał.

— Myśl przedoskonała! podchwycili inni, kto nie dotrzyma tego podtrzymamy! Pod ręce się weźmy a silniejsi będziemy — chodźmy, Panowie! chodźmy!

I wszyscy podnieśli się z ochotą chwytając swoje i nie swoje czapki, aby odbyć tę nocną pielgrzymkę, której celu nikt jaśniej nie określał, ale noc była ciepła i pogodna, księżyc świecił wspaniale, a im tak duszno było po zeznaniach i wspomnieniach!

Prócz dwóch więc, którzy wcześniej opuścili towarzystwo, wszyscy ruszyli się na przechadzkę, a jeden tylko Longin, skutkiem powtórzonych libacyj, cokolwiek chwiał się na nogach...

Większa część dawnych uczniów Uniwersytetu od lat dwudziestu nie była w mieście, które teraz o nocej godzinie wydało im się puste jak cmentarz i smutne jak grobowiec. Żywej duszy nie spotykali na ulicach; niespracowane nawet szejne-katerynki już były zamilkły; wiatr, nowy gość z pól przyległych, korzystał z opuszczenia i wdzierał się żywo szumiąc po zaułkach; dzwony kościołów nie odzywały się, ludność pozamykana usypiała, w małych tylko szyneczkach jeszcze gdzieś niegdzie błyskało światelko i gwar lub śpiew ochryply słyszeć się dawał z za drzwi przymkniętych...

Dla tych co pamiętali Wilno rojące się młodzieżą wesolą, widok murów czarnych starej Akademii Batorskiej, ulic pustych, okien bez światła, pozamykanych sklepów i pozamykanych kawiarni, których szylkami wiatr się zabawiał tłukąc je o ściany... dziwnie był przejmujący. Nocami nawet nigdy tak cicho, tak smutnie dawniej nie było. Lipcowa noc ciepła od tego wrażenia przejmowała chłodem'

Mimowolnie wyszedłszy ze Ś. Michalskiego zaułka i zakręciwszy się chwilę na placu przed Ś. Janem, którego ciszę szmer tylko wody jednostajny przerywał, zawrócili się i posunęli po nad Wilją ku Antokolowi. I tu droga szeroka była pusta... a światło księżycowe pozór ruiny zamarłej dawało uspijonemu grodowi.

Każdy coś przypominał, westchnął, łzę miał na oku dawnego wesela, które się tak dobrze pamiętało, zaufania w przyszłości, odwagi, w niczyjem sercu nie było... Zaczynali rozmowę i nikt jej nie przedłużał, pół-słówka, westchnienia z ust spiekłych się dobywały.

— Ileż to razy śpiewając Fra-Diavolo i Niemę szło się tą drogą, rzekł Teofil, do Tivoli, na Antokol, lub tak, nigdzie... w świat tylko, zaczerpnąć piersią powietrza, oczyma światła... Jakżeby to był człowiek szalał taką nocą jak dzisiaj... jasną, cichą, majestatyczną! Dziś świat ten samy, my inni, i wszystkie uroki znikły...

— Bo młodość jedna tylko, rzekł Albin — jedna młodość i miłość jedna, jeden Allach i prorok jego; później w tysiąc form przechodzi życie, jest w niem wszystkiego po troszę, ale nie ma tej iskry, którą pierwsza boleść zgasila.

Zegary zdaleka powoli ochryply, wybiły północ, a dźwięk ich rozchodził się po rosą zlanej okolicy, jakoś żałośnie i smutno.

— Chodźmy i usiądźmy nad Wilją rzek naszych królową, rzekł Teofil, po co iść dalej... tu tak dobrze nam będzie śpiewać nasze *super flumina Babilonis*. Darmo szukać wspomnień pogubionych jak paciorki różańca, nic co je łączyła zerwana.

— O lirycy i poeci! zaśmiał się Longin szydersko — idący choć niezbyt pewnym krokiem za kupką pielgrzymów. Noc taka sama i wesolość taż sama dla tych co się wprzód nie bałamucili ideałami. Co tu odmienionego? daj mi tylko o *czem*, a będę śpiewał i tańcował...

— I ja! dodał Baltazar, rozsądnie mówi!

— Prawda, rzekł Albin, ale to o *czem*, każdy inaczej rozumie; każdemu braknie czegoś, Longinowi bu-

tów, a innym wiary i nadziei... i wszyscy boso.

— Przyszajcie kochani koledzy — zawołał nie słuchając rozprawy pierwszy, że mamy minę ludzi co się od Bonifratrów wyrwali! Iść się przechadzać po nocy, żeby oblewać łzami wspomnienia głupiej młodości, kiedy można było wypić drugą wazę ponczu siedząc spokojnie na kanapie.

— Poncz daje tylko ból głowy! rzucił Teofil.

— A ból głowy jest derywacją i odprowadza jak wezykatorja ból od serca, to i dobrze! rzekł Longin.

— A że febry dostać możemy, to też pewna! zawołał Baltazar — rosa, woda... chłód nocny... jabym wam chętnie życzył dobrej nocy.

— Nie! nie! dotrzymajmy! krzyknął Teofil — potrzeba dosiedzieć tak do wschodu słońca i przy młodym jego blasku spojrzym raz jeszcze na blade twarze, żegnając się do zobaczenia na Jozafatowej dolinie.

— Żeby zaś nie próżnować, przerwał Albin — i kataru ani febry nie dostać, kazałem tu przynieść tego co generał Komarzewski nazywał limonijadką.. Mamy tu koszt Szampańskiego leciuchny klikocik, ludzie go niosą za nami... Siadźmy na trawie i raz jeszcze zdrowie młodości! lub dobranoc królowej!

Na dany znak wyskoczyły korki, ale z butelek polała się smutek tylko... wszystkie piersi tak go były pełne, że przeszedł do szumiących kielichów. Młodość, na której dnie jest wesele, dobywa je winem z siebie, później co kto ma w gębie na wierzch wychodzi... najczęściej narzekanie i smutek.

— Niepodobna widzieć niczem tych szczęśliwców rozdobruhać, rzekł Longin — podobno ja z was wszystkich jeszcze jestem najweselszy! pocieszna rzecz! a gdybyśmy co zaśpiewali?

Wszyscy się uczul i ochrypli.

— O życie! zawołał Longin — oto sprawy twoje! z tylu półgłówków, porobiłoś czarno odzianych grabarzy, jeden Cymbuś i ja co jeszcze weseli jesteśmy!

Gdy to mówił wszystkich oczy zwróciły się w jedną stronę, cień jakiś mignął przed niemi... Postać dziwna

ukazała się nad brzegiem rzeki wlokąca powoli, za nią sunął się olbrzymi pas ciemności; księżyc dozwalał w niej rozpoznać chudego i wysokiego mężczyznę, który szedł z głową spuszczoną i rękami w kieszeniach, widocznie bez celu, bo kręcił się, zatrzymywał, stawał i błędził po wybrzeżu. Kilka razy zatrzymał się nad rzeką, i długo w jej połyskujące fale poglądał. Wszyscy uciszywszy się zwrócili nań oczy, coś niezwykajnego było w krętym chodzie i ruchach tego człowieka, w zaprzątnieniu głębokiem, które mu nie dawało dotąd dostrzedz nie daleko od niego siedzących, ani usłyszeć dość głośnej rozmowy.

— To coś bardzo podejrzanego! — rzekł Baltazar — uzbrajając się na wszelki wypadek w swoją łaskę.

— Może warjat! — zawołał Longin.

— Albo jak my... trochę pijany! — dodał Konrad.

— Lub złodziej! najprędzej! — powtórzył Dr. Baltazar.

— Cicho! cicho! panowie, rzekł Albin, on widocznie czegoś szuka.

— Cicho!

Wszyscy przyczaili się w milczeniu, postawiwszy na ziemi kieliszki, oczy wlepiając w nieznanego; który odchodził od nich i zdala migał jak cień fantastyczny... Długo tak przesuwiał się po brzegu Wilji jakby szukając dogodnego miejsca do spuszczenia się ku rzece, nareszcie dosyć ostrożnie zszedł rękami się podpierając nad samą wodę i tu znowu przypatrywać się zdawał jej biegowi z uwagą.

— On się może chce utopić — wstając żywo zawołał Longin.

W chwili kiedy tych wyrazów domawiał, cień mignął i plusk się dał słyszeć na fali... Teofil zerwał się pierwszy i jak stał natychmiast zbiegł i rzucił się w rzekę za samobójcą... Całe grono zbiegło się nad urwisko z ciekawością i niepokojem gotując dać pomoc Teofilowi, Konrad zrzucił odzienie... Topielec nie spodziewał się pewnie tak szybkiego ratunku, i ledwie zanurzył się w głębi, został schwycony i pociągnięty do

brzegu, gdzie mnóstwo rąk czekało na Teofila i podniosło się ku niemu.

Wyciągniono ich na brzeg obu; topielec miotał się i wrywał, kołem obścapił go wszyscy, a Longin, który pierwszy pochylił się nad nim, zakrzyknął z podziwieniem:

— Tego nam tylko brakło, to Jordan! traf osobliwszy!

Na głos ten i imię swe wymienione po nad głową, topielec dźwignął się, obłąkanym wzrokiem wodząc do koła.

— Co to jest? zawołał — kto wy jesteście?

— Jordanie... godziło się to!

— Ale któż mówi do mnie?

— No! ja Longin, stary kolega, a oto ichmość Konrad, Teofil, Albin... znajomi, przyjaciele, towarzysze, z których jeden za kołnierza wyciągnął cię po ośliźnieniu.

— A! to oni! cóż się stało? gdzie jestem?

— Po kiego licha zachciało ci się kąpać o pół nocku...?

Jordan milczał.

— To przypadek a nie rozpacz... usunęła ci się noga...

Hruszka uśmiechnął się gorzko.

— Życie, rzekł powoli spluwając w wodę — przeje się nareszcie, nie było już z niem co robić! Chciałem jeszcze zobaczyć was i poskarżyć się na nie przed wami, ale przybyłem na Łotoczek zapóźno, a od nikogo o was dowiedzieć się nie mogłem. Błądziłem więc po mieście ze sześć godzin zbijając bruki i zagryzając wspomnieniami.. Nudne i głupie życie! reszty wcale nie jestem ciekawy; nie mam ochoty dopijać do dna... Poszedłem tak nad Wilją, bez myśli błądząc, i chęćka przyszła szalona zobaczyć co się dzieje na dnie. Skończyć, skończyć... Długom się wahał, chodził, walczyłem, w końcu uległem pokusie; ale po cóż mnie było wyciągać?

— Żebyś żył i pogodził się z życiem po chrześcijańsku, rzekł Teofil.

— Kieliszek winaby mu nie zaszkodził, przerwał Baltazar, to lepiej rozgrzewa od moralów...

Albin pobiegł i podał nalaną szklenicę szampana

temu, który przed chwilą walczył ze śmiercią; ale Jordan spojrzawszy odrzucił napój ze wstrętem.

— Nie! — rzekł — nie, od kropli bym oszalał — i tak jestem pijany rozpaczą...

— Ale godziź się jej poddawać?

— Życia mojego nie znacie...

— Owszem Longin nam twoją opowiedział historję, aleśmy cię sądzili przybitym, uciśnionym, ubogim, nie rozpaczającym; trwającym w pracy, aby dójść do końca jak Bóg przykazał...

— Tak! i w końcu wytrwałości się przebrało.

— Czemużeś nie zwrócił się ku Bogu! — rzekł Teofil.

— Bom nie miał nikogo coby mnie nauczył się modlić, odparł Hruszka — bo w nie nie wierzę... Cóż jest po za życiem? nicość! Iskierka co płonie we mnie zagaśnie, ciało się rozsypie, pamięć zginie... i odpoczynek wiekuisty!

Gdy tak bluźnił, a wszyscy otaczający go milczeli zasepieni, pierwszy blask zorzy porannej ukazał się na niebie, powoli rozjaśniać się zaczęło na wschodzie, księżyc pobladał, obłoki się zarumieniły, lekkie chmury złociste przebiegły jak posły oznajmujące słońce, i pierwszy promyk dnia oblał ziemię życiem i ciepłem.

— Do miasta! wracajmy do miasta! — rzekł Albin.

— Jak z pogrzebem... dodał cicho Baltazar.

— I ty Jordanie z nami.

Topielec nie nie odpowiedział, podniósł się z ziemi, wstrząsł i powoli pociągnął za gromadkę, która w cichości opuściła brzeg Wilji, nie wiedząc po co i dokąd idzie.

Twarcz jego po dniu była straszliwą, oczy zagaste, wargi blade, czoło pomarszczone, policzki zsiniałe, ani śladu na niej młodości; zgarbiony dźwigał na grzbiecie brzemie lat przeżytych w boju i niepokoju.

Ze zdobyczą swą, szli tak powoli uliczkami ku miastu, które się rozbudzać zaczynało, kierując do mieszkania Albina, lecz gdy przeszli Ś. Michalski zaulek, posłyszeli dzwonek sygnujący na mszę u Bernar-

dynów i Teofil szepnął prowadzącemu Albinowi:

— Do kościoła!

Nikt prócz Baltazara, który się wilgoci kościelnej obawiał, nie sprzeciwił się tej myśli zakończenia dnia spędzonego tak dziwnie, na modlitwie u ołtarza. Longin milczał, Jordan zdawał się niepojmować co się z nim działo, obmokła ta i straszna postać wlokła się przerażając wyrazem swej twarzy, która nie z wody, ale z drugiego świata wyciągnioną się zdawała.

Zamiast do domu zajezdnego skierowali się milcząc na cmentarz Bernardyński, mimo kościółka Ś. Anny, do drzwi, które już stały otworem. Przy drzwiach na stołeczku jedna tylko siedziała żebraczka stara ze wzrokiem osłupiałym i zapadłymi usty, miała w ręku różaniec, ale się nie modliła.

— To Wawrzyńcowa! rzekł przypatrując się jej Teofil.

Na to imię staruszka podniosła głowę zdziwiona, powiedziała oczyma bladymi i ruszyła ramionami...

Wszyscy wiodąc Jordana, który się nie opierał, wsunęli się do kościoła. W świątyni była cisza poranna, pusto, smutno, ale spokojnie; blask nowego dnia przedzierając się przez szyby wąskich okien oświecał gdzieś grobowce poobijane Radziwiłła i Wesołowskiego, czepiał się po ołtarzach, migotał w złoceniach i lusterkach. Właśnie w chwili, gdy wchodzili wewnątrz, dzwonek od zakrystji uderzył trzykrotnie i ksiądz wyszedł przed W. ołtarz ze Mszą Świętą.

Gdy twarzą ku nim schodząc na stopnie się odwrócił, poznali w nim Serapiona, — oblicze jego jasne, spokojne, wypogodzone uśmiechem, rozlewało pokój dokoła. Oko padło mimowolnie na orszak towarzyszków młodości, w którego środku stał topielec zbolący, — na chwilę wstrzymał się przed rozpoczęciem ofiary, ale wprędce opamiętawszy, stanął odprawiać ją z gorącością i łzami.

Każdy się łatwo domyśli, że ją odprawiał za tych, których życie przybiło, zmęczyło, obłąkało... potrzebujących modlitwy i pomocy z niebios, głos jego był tak przejęty i rzewny, że chwilami do najzamkniętszych

serc się dociskał... A gdy przy kanonie przyszło wspomnienie żywych:

Memento, Domine, famulorum famularumque tuarum...

Wymienił imiona wszystkich stojących u ołtarza...

Gdy potem podniósł hostję i kielich wiekuistej ofiary, Jordan co dotąd stał niemy i kamienny, z łkaniem i płaczem rzucił się nagle na kolana, i Longin pochylił głowę w milczeniu... dreszcz święty przeszedł wszystkich przytomnych, bo modlitwa przebiła niebiosą i nawróciła dusze zbłąkane...

A słowa — pokój z wami! istotnie rozlały pokój na tych, którzy się go już nigdy zażywać nie spodziewali.

Nazajutrz rankiem znowu rozpierzchnęła się gromadka, ale z nadzieją trwalszą, niż młode nadzieje, z nadzieją jaką daje wiara głęboka, która nigdy nie zawodzi i nie opuszcza; z krzyżem na sercu i zaufaniem w serca ludzi. Wsparci siłami wspólnymi, dźwignieni, pokrzepieni, łzawymi oczyma pożegnali się tęskno do widzenia na Józefata dolinie...

A Serapion rozstając się z przyjaciółmi, każdemu z nich zostawił na pamiątkę ręką swoją przepisane rady, które św. Paweł dawał na bój życia Efezom...

„A przetoż weźcie zupełną zbroję Bożą; abyście mogli sprzeciwić się w dzień zły, i we wszystkim doskonali stać... Stójcież tedy przepasawszy biodra wasze prawdą, a obłókszy nogi w gotowość Ewangelii pokoju, we wszystkim biorąc tarczę wiary, którąbyście mogli wszystkie strzały ogniste złośliwego zgasić. I przyłbice zbawienia weźmijcie... i miecz ducha... które jest Słowo Boże.“

(Sw. Paweł, List do Efezów. R. VI.)

Żytomierz, 1856—1857.

KONIEC TOMU TRZECIEGO I OSTATNIEGO.

BIBLIOTEKA
JIK
ROMAN
566

